

Clarke Marcus

Dożywotnie zesłanie

Przełożyli z angielskiego
Wanda i Tadeusz Dehnelowie
Wydawnictwo „Książnica”

Tytuł oryginału

For the Term of flis Natura! Life

Koncepcja graficzna serii

Marek J. Piwko

Logotyp serii i projekt okładki

Mariusz Banachowicz

Ilustracja na okładce

Copyright © Hulton Archive/FPM

For the Polish edition

Copyright © by Wydawnictwo „Książnica”, Katowice i'Wi, 2(MM

ISBN 83-7132-672-6

Wydawnictwo „Książnica” sp, z o.o.

ul. Konckiego 5/223

40-040 Katowice

lei. (032) 757-22-16, 254-^4-19

faks (032) 757-22-17

Sklep inlemetowy: <http://www.książnica.arai.pi>

e-mail: ksiazki@ksiaznica.com.pl

Wydanie trzecie, pierwsi w tej edycji

Katowice 2004

Skład i łamanie.

Z.U. „Studio P” Katowice

Druk i oprawa:

WZDZ Drukarnia LEGA, Opole

Prolog

Na wschodnim, wysokim krańcu równiny

Hampstead Heath, między Finchley Road i Chestnut

Avenue, rozciągał się przestronny park, w którym

stał duży pałac z czerwonej cegły, zdobny

wykuszowymi oknami, a zwany North End House.

Wieczorem 3 maja 1827 roku w parku tym

rozgrywała się tragiczna scena rodzinna.

Uczestniczyło w niej troje aktorów. Pierwszy z nich

- stary mężczyzna - miał twarz zoraną

zmarszczkami i siwe włosy, co świadczyło, iż liczy

najmniej sześćdziesiąt lat. Stał wyprostowany,

zwrócony tyłem do parkowego muru, a w

podniesionej ręce trzymał ciężką hebanową laskę,

którą podpierał się zazwyczaj. Przed sobą miał

dwudziestoparoletniego młodzieńca, niezwykle

wysokiego i atletycznie zbudowanego, ubranego jak

do podróży morskiej. Człowiek ten tulił w

objęciach damę w średnim wieku, jak gdyby

pragnął bronić ją i osłaniać. Twarz jego wyrażała

grozę i zdumienie, a ciałem smukłej kobiety

wstrząsały spazmatyczne łkania.

Był do sir Ryszard Devine, jego żona i jedyny syn

Ryszard, który tegoż dnia rano wrócił z zamorskiej

podróży. A więc, pani małżonko - mówił sir

Ryszard rozdygotanym głosem, jakim w chwilach

krytycznych posługują się ludzie nawet najbardziej

opanowani-przez lat dwadzieścia byłaś

uosobieniem kłamstwa! Przez lat dwadzieścia

oszukiwałaś mnie! Przez lat dwadzieścia śmiałaś się

ze mnie niby ze ślepego durnia, wespół z łajdakiem,

którego nazwisko jest synonimem wszystkiego co

niecne i rozpustne!

A teraz, kiedy odważyłem się podnieść rękę na lekkomyślnego smarkacza, wyznajesz własną hańbę i pysznisz się tym wyznaniem!

— Matko! Najdroższa matko! błagał zrozpaczony młodzian. — Powiedz, że to nieprawda, że w gniewie rzuciłaś nieoględne słowa. Spójrz! Jestem już spokojny. On może mnie uderzyć, jeżeli zechce.

Lady Devine wzdrygnęła się nerwowo i przywarła do syna, jak gdyby w jego ramionach szukała pomocy.

— Poślubiłem cię, Eleonoro Wadę, dla twej urody

— ciągnął starzec. — Ty wyszłaś za mnie dla majątku.

Plebejusz ze mnie, cieśla i budowniczy okrętów. Ty za to jesteś wysoko urodzona. Twój ojciec należał do szynkownego towarzystwa, był szulerem, zadawał się z nicponiami i hula kami. Ja miałem pieniądze. Otrzymałem tytuł szlachecki. Geszyłem się łaskami Dworu. Twój ojciec potrzebował pieniędzy, więc sprzedał cię. Zapłaciłem żadaną cenę, ale w kontrakcie nie było słowa o dostojnym lordzie Bellasis, twoim kuzynie.

— Ulituj się, mężu! — westchnęła cicho lady Eleonora.

— Ulitować się! Nad tobą! wybuchnął z furją. A ty miałaś dla mnie litość? Nie! Dłużej nie dam robić z siebie błazna! Twojej rodzinie nie brak dumy i pychy. Pułkownik Wadę ma jeszcze córki na wydaniu. Twój gach, dostojny lord Bellasis, myśli nawet teraz o podreperowaniu nadszarpniętej fortuny korzystnym małżeństwem. Dobrowolnie wyznałaś własną hańbę. Jutro twój ojciec, twoje siostry, cały świat usłyszy historyjkę, którą mnie uraczyłaś.

— Na miłość boską, ojcze! Chyba tak nie postąpisz!

— zawołał młody człowiek.

— Milcz, bękarcie! — krzyknął sir Ryszard. Słusznie! Zgrzytaj zębami! Ale piękny epitet zawdzięczasz tylko ukochanej matce.

Lady Devine wysunęła się z ramion syna i padła na kolana przed mężem.

— Nie czyń tego, Ryszardzie! Byłam ci wierna przez dwadzieścia dwa lata. Znosiłam wszystkie upokorzenia, wszelkie zniewagi, jakich mi nie szczędziłeś. Wstydlivy sekret dziewczęcej miłości zdradziłam dopiero dzisiaj, gdy zaślepiony gniewem podniosłeś rękę na niego! Pozwól mi odejść, zabij mnie, lecz nie okrywaj hańbą!

Sir Ryszard odwrócił się, by odejść, ale przystanął nagle. Zmarszczył krzaczaste siwe brwi, twarz wykrzywił ohydny grymasem i roześmiał się głucho. W chichocie tym furia zdawała się stygnąć i odmieniać w chłodną, bezlitosną nienawiść.

A więc dobrze — powiedział. — Zachowasz dobre imię. Ukryjesz swoją niesławę przed światem. Stanie się wedle twojego życzenia, ale pod jednym warunkiem. — Pod jakim? — zapytała dźwigając się z klęczek. Twarz jej i oczy szeroko otwarte wyrażały grozę. Dreszcz wstrząsał całym ciałem. Ręce zwisały bezwładnie.

Starzec przyglądał się przez moment żonie, wreszcie podjął z wolna:

Pod warunkiem że ten przybłąda, co tak długo bezprawnie nosił moje nazwisko, trwonił moje pieniądze, a nawet chleb mój jadł nie mając po temu tytułu, spakuje manatki i precz pójdzie. Niechaj odrzuci przywłaszczony imię, zniknie mi z oczu i nigdy więcej nie przestąpi progę mojego domu.

Nie rozłączysz mnie przecie z jedynym synem! — zawołała nieszczęsna niewiasta.

Możesz przenieść się z nim razem do jego ojca.

Ryszard wyswobodził się z obejmujących go znów ramion, ucałował bladą twarz matki i – sam nie mniej blady zwrócił się do rozjuszzonego starca:
Nie mam obowiązków wobec pana – powiedział.
Zawsze nienawidził mnie pan i prześladował. Kiedy surowość wyгнаła mnie z tego domu, nasyłał pan szpiegów, by podglądali życie, jakie sobie obrałem. Nic nas nie łączy, a ja od dawna to odczuwałem. Teraz, gdy wiem, czym naprawdę jestem synem, widzę z radością, że panu zawdzięczam mniej, niż mniemałem. Przyjmuję warunek. Odejdę! Tak, matko. Odejdę! Nie zapominaj o swoim dobrym imieniu.
– Miło mi, że jesteś tak uległy – roześmiał się sir Ryszard Devine. – Posłuchaj teraz! Dziś jeszcze wezwę Quaida i zmienię testament. Syn mojej siostry, Maurycy Frere, zostanie spadkobiercą zamiast ciebie. Ty nie dostaniesz nic. Za godzinę opuścisz ten dom. Zmienisz nazwisko. Nigdy słowem ni uczynkiem me prz/yznasz ssę do związków ze mną ani moją rodziną. Nie dbam, jakie będą d grozić niebezpieczeństwa lub prywatnie. W chwili kiedy się dowiem, że na świecie istnieje ktoś, kto podaje się za Ryszarda Devine'a (chodażby nawet dzięki temu miał uratować życie), wstyd twojej matki stanie się publicznym skandalem. Znasz mnie. Wiesz, że potrafię dotrzymać słowa. Wróć do godziny, pani żono. Chcę wówczas usłyszeć, że tego człowieka tu nie ma.
Sztynny, wyprostowany minął lady Eleonorę i jej syna. Potem przemierzył ogród krokami sprężystymi od miotającej nim furii i ruszył drogą w stronę śródmieścia Londynu.
– Ryszardzie! zawołała nieszczęśliwa matka. Wybacz mi, ukochany synu! Zniszczyłam twoje życie!
Ryszard Devine odgarnął z czoła demrte włosy.
– Nie płacz, najdroższa matko powiedział głosem wezbranym miłością i troską. -- Nie jestem godzien twych łez. To ja, niewdzięczny i lekkomyślny w dażu tak wielu lat twojej niedoli, winienem błagać o przebaczenie. Obecnie razem poniesiemy brzemie, może więc ty odczujesz pewną ulgę. On ma słuszość. Należy, abym odszedł. Zapewne potrafię zyskać dobre imię, którego dźwięk nie przejmie wstydem ani mnie, ani dębie. Nie brak mi sił i zdrowia. Mogę pracować. Świat jest szeroki. Żegnaj, najdroższa matko!
– Zaczekaj! Jeszcze chwilę! Patrz... On poszedł w stronę Belsize! Ach, Ryszardzie, oby się tylko nie spotkali!
– Spokojnie, mam. Na pewno się nie spotkają... Jesteś blada, bliska omdlenia...
-- Zabija mnie strach przed niewiadomą, złą przyszłością. Drzę na myśl o niej, Ryszardzie! O, Ryszardzie! Wybacz mi! Módl się za mnie.
– Cicho, najdroższa matko, dcho! Odprowadzę dę do domu. Nie płacz. Napiszę do ciebie. Chodaż raz jeden napiszę, aby dę uspokoić i pocieszyć.
Sir Ryszard Devine, zaszczycony tytułem szlacheckim finansista, budowniczy okrętów i milioner, był synem deśli z Harwich. Wcześniej osierocony, mając na utrzymaniu siostrę, uczynił celem żyda gromadzenie pieniędzy. Przed blisko pięćdziesiąt laty, nie bacząc na przepowiadane mu niepowodzenie, zobowiązał się, że zbuduje w dokach Harwich kanonierkę „Hastings” dla Admiralicji najjaśniejszego pana króla Jerzego Trzedego. Kontrakt ten niby ostry klin rozszczepił potężny dębowy kloc rządowego zacofania, a rezultatem jego były nie tylko trójpokładowe okręty liniowe, które oddały znakomite usługi pod wodzą Pellewa, Parkera, Nelsona i Hooda, lecz również olbrzymie stocznie w Plymouth, Portsmouth i Sheerness oraz dostawy niezliczonych baryłek solonej wieprzowiny i skrzyń razowych sucha-

rów. Ordynarny, torujący sobie drogę łokdami syn Dicka Devine'a miał na widoku tylko jedno: zdobycie fortuny. Pełzał, płaszczył się, łasił, całował ślady stóp wielkich ludzi i usłużnie warował w ich przedpokojach gotowy na każde zawołanie. Nic nie było dlań zbyt nikczemne ani zbyt trudne. Przebiegły człowiek interesu, mistrz swojego rzemiosła, nie pętany nakazami honoru lub delikatnością, szybko zdobywał pieniądze, a zdobyte oszczędzał. Po raz pierwszy publicznie przyznał się do bogactwa, gdy w roku 1796 zadeklarował pięć tysięcy funtów na pożyczkę rządową rozpisaną celem pokrycia kosztów wojny z Francją. W roku 1805 oddał znaczne i podobno niebezinteresowne usługi podczas procesu lorda Melville'a, skarbnika Marynarki Królewskiej. W tymże roku wydał siostrę za bardzo bogatego kupca z Bristolu, Antoniego Frere'a, sam zaś poślubił Eleonorę Wadę, najstarszą córkę pułkownika Wottona Wadę'a, kompana zabaw księcia regenta, a przez swoją żonę wuja głośnego z wybryków lorda Bellasis. Zyski z dostaw dla rządu oraz pomyślne spekulacje giełdowe (przeprowadzone, jak krążą słuchy, dzięki poufnym informacjom z Francji w burzliwych latach 1813–1815) dały sprytnemu przedsiębiorcy iść monarszą fortunę i pozwoliły mu żyć na książęcą modłę. Ale stary kutwa nie umiał rozstać się z wrodzoną chciwością i skąpstwem. Zewnętrznym dowodem jego bogactwa było jedynie kupno tytułu szlacheckiego oraz wspaniałej rezydencji w Hampstead i ostentacyjne wycofanie się z interesów.

Próżniaczy żywot nie przyniósł szczęścia ni radość sir Ryszardowi Devine'owi. Był surowym ojcem i wymagającym panem domu. Służba nienawidziła go, a w żonie potrafił budzić tylko przestroch. Jedyne dziecko, Ryszard, odziedziczył, jak się zdawało, nieugiętą wolę i władcze skłonności ojca. Rozumne i sprawiedliwe zasady wychowania mogłyby niewątpliwie skierować go ku dobremu. Ale nieskrępowany niczym poza domem, w domu zaś poddawany żelaznej ojcowskiej dyscyplinie, stał się młodzieńcem nieokiełznanym i lekkomyślnym. Biedna tkliwa Eleonora, oderwana bezlitośnie od swojej pierwszej miłości, którą był kuzyn, lord Bellasis, próbowała mitygować chłopca, nie przyniosło to jednak zamierzonego skutku. Ryszard darzył matkę gorącym, płomiennym uczuciem występującym często u natur gwałtownych, ale nie ulegał jej wpływowi i po trzech latach utarczek z ojcem wyjechał do Francji, by prowadzić tam taki sam żywot, jaki w Londynie raził surowego sir Ryszarda. Wówczas stary kutwa wezwał do siebie siostrzeńca, Maurycego Frere'a (którego ojciec, zamożny kupiec z Bristolu, zbankrutował po zniesieniu jawnego handlu niewolnikami), kupił mu stopień oficerski w pułku piechoty i począł mętnie przebąkiwać o gotowanym dla pupila wielkim losie. Łaski okazywane Maurycemu odczuwała żywo uczuciowa i wrażliwa lady Eleonora, która często i nie bez przykrości porównywała wytworne marnotrawstwo ojca z mężowską drobiazgową oszczędnością.

Sympatia i życzliwość nie łączyły nigdy domów parweniusza Devine'a i szczytującego się długą galerią przodków Wottona Wadę'a. Sir Ryszard wiedział, iż pułkownik gardzi nim jako nowo kreowanym rycerzem z City. Słyszał również, że lord Bellasis oraz jego przyjaciele radzi przeklinają przywinie i kartach zły los, co dał pięknej Eleonorze tak nikczemnego oblubieńca.

Armigell Esme Wadę, wicehrabia Bellasis i Wotton, stanowił typowy produkt swoich czasów. Pochodził ze starej rodziny. Jego praszczur Armigell jakoby lądował w Ameryce jeszcze przed Gilbertem i Raleighem. Dobra Bellasis, zwane

także Belsize, odziedziczył po innym przodku, sir Esmem Wadzie, który był ambasadorem królowej Elżbiety przy dworze hiszpańskim, następnie zaś członkiem rady Jakuba Pierwszego i gubernatorem londyńskiej twierdzy Tower. Ów Esme miał ciemną przeszłość. On to z ramienia Elżbiety pertraktował z Marią Stuart. On wycisnął z Cobhama zeznania obciążające wielkiego Raleigha. Dorobił się pokaźnego majątku, a jego siostra (wdowa po Henryku de Kirkhaven, lordzie Hemfleet) związała się małżeństwem z rodem Wottonów i powiększyła jeszcze rodzinną fortunę wydając córkę Sybillę za Marmaduke'a Wade'a. Ten ostatni był lordem Admiralicji i protektorem Samuela Pepysa, który w swoim dzienniku (17 lipca 1668 r.) wspomina o odwiedzinach w Belsize. Marmaduke Wade otrzymał godność para i tytuł barona Bellasis i Wotton, a poślubił Annę, córkę Filipa Stanhope'a, hrabiego Chesterfielda. Po skolimaczeniu się z tak znamienitym rodem drzewo genealogiczne Wottonów Wade'ów zaczęło rozrastać się bujnie i wydawać owoce. W roku 1784 trzeci baron ożenił się ze słynną pięknością, panną Povey, i miał z nią syna Armigella, w którego osobie znalazł kres cały rozsądek czcigodnej rodziny. Czwarty lord Bellasis łączył nieogłędność awanturnika Armigella ze złymi skłonnościami Esmego, gubernatora Tower. Gdy objął w posiadanie majątek, począł grać, pić i hulać z rozmachem charakteryzującym minione stulecie. Uczestniczył we wszystkich niemal awanturach i skandalach, a pośród głośnych lowelasów swoich dni zyskał sławę najgłośniejszego. Około trzydziestki nie posiadał już majątku, a wraz z nim stracił nadzieję zdobycia jedynej kobiety, która mogłaby go uratować – kuzynki Eleonory. Zmienił się wówczas z gołębia w sokoła i został najnikczemniejszą pod słońcem istotą: szlachetnie urodzonym wydrwigroszem. Kiedy pułkownik Wade oznajmił mu chłodno, że o rękę Eleonory poprosił bogacz, sir Ryszard Devine, lord Bellasis zmarszczył krzaczaste ciemne brwi i zaklął okropnie. Wiedział już, że żadne boskie ni ludzkie prawa nie zdołają go teraz powstrzymać od zadośćuczynienia samolubnej pasji. Sprzedałeś córkę, a mnie zniszczyłeś doszczętnie powiedział pułkownikowi. Zobaczysz, jakie będą konsekwencje.

Wotton Wade uśmiechnął się cierpko.

Dom sir Ryszarda może się okazać gościnny – powiedział – a sam sir Ryszard będzie zapewne wyborym łupem dla gracza o twoim doświadczeniu, Armigellu.

W pierwszym roku małżeństwa swojej kuzynki lord Bellasis odwiedzał istotnie dom bogacza. Ale po narodzinach małego Ryszarda – bohatera naszej opowieści – po-

10

11

sprzeczał się z rycerzem z City i nazwał go starym sknera, co ani grać w kości, ani pić po dżentelmeńsku nie potrafi. Z tymi słowy odjechał, by na swą dawną modłę prowadzić grę ze złośliwą fortuną. W roku 1827 był to zatwardziały w nieprawościach sześćdziesięcioletni starzec o nadwątłym zdrowiu i pustej kieszeni. Dzięki gorsetom, farbowanym włosom i przyrodzonemu tupetowi stawiał jakoś czoło światu i w oblężonym przez komorników Belsize potrafił przyjmować przyjaciół z istic magnacką szczodrością i bez troską. Ale nieczęstym bywał gościem w tym podupadłym i zniszczonym starym dworze, który stanowił ostatnią resztkę rozległych niegdyś włości Wottonów Wade'ów.

Trzeciego maja 1827 roku lord Bellasis zaszczylił swoją obecnością zawody w strzelaniu do gołębi w Hornsey Wood, następnie zaś oparł się pokusie i nie pojechał do miasta,

choć namawiał go do tego pan Lionel Crofton, młody dżentelmen o niezbyt ugruntowanej pozycji w londyńskim wielkim świecie.

-- Nie, dziękuję, drogi panie odpowiedział Armigell.

Pojadę raczej przez Hampstead do Belsize. Mam po drodze spotkanie w świerkowym zagajniku.

-- Z damą? zainteresował się pan Crofton.

Nie. Z duchownym. Z duchownym?

Właśnie. Niedawno został przyjęty do wielebnego kleru. W zeszłym roku spotkałem go w Bath. Przyjechał tam na wakacje z Cambridge i był tak łaskaw, że przegrał do mnie coś niecoś.

A teraz pała pragnieniem, aby dług uiścić z dochodów pierwszej prebendy — ożywił się pan Crofton. Rozumiem i życzę panu wicehrabiemu prawdziwie miłej zabawy. No, pora na nas! Jedźmy, bo robi się późno.

Dziękuję drogiemu panu za chęć dotrzymania mi towarzystwa, niestety jednak muszę jechać sam odparł sucho lord Bellasis. — W sprawie uregulowania rachunków z zeszłego tygodnia może pan zgłosić się jutro. Do diabła! Biję dziewiąta. Dobrej nocy.

O pół do dziesiątej Ryszard Devine opuścił dom matki, aby rozpocząć nowe życie, a zatem ojciec i syn zbliżali się do siebie wiedzeni ręką losu, który tworzy wydarzenia.

Kiedy młodzieniec znalazł się w połowie ścieżki przecinającej rozległą równinę Hampstead Heath, spotkał sir Ryszarda Devine'a, który wracał z pobliskiej osady. Nie chciał rozmawiać z człowiekiem tak boleśnie skrzywdzonym przez jego matkę i omal nie uskoczył w cień. Ale w ostatniej chwili pomyślał, że ów starzec wraca samotnie do posępnego domu, zapragnął więc rzucić mu kilka pożegnalnych słów usprawiedliwienia i żalu. Nic jednak nie powiedział, gdyż ku jego zdziwieniu sir Ryszard minął go szybko, zapatrzony w dal niewidzącymi oczyma i pochylony do przodu, jak gdyby za chwilę miał upaść. Zaniepokojony tym młodzieniec podbiegł kilka kroków w obranym uprzednio kierunku i prawie się potknął o coś, co w pełni wyjaśniło osobliwe zachowanie starca. Przy ścieżce leżał ktoś z twarzą ukrytą we wrzosie, a tuż obok widać było ciężką szpicrutę o rączce zbrukanej krwią i otwarty pugilares. Ryszard chwycił ten ostatni i szybko odczytał zdobiące go złote litery: „Lord Bellasis”. Nieszczęśliwy młodzieniec przyklęknął i dźwignął bezwładne ciało. Zdawać się mogło, że tkwi w nim jeszcze iskierka życia mimo rany zadanej potężnym ciosem, co strzaskała czaszkę. Ryszard nie wątpił, że spełniły się najczarniejsze przeczucia matki, klęczał więc skamieniały zprzerażenia i trzymał w ramionach zamordowanego ojca. Pragnął pozostawić czas na ucieczkę człowiekowi, którego nazwisko dotąd nosił. W nerwowym podnieceniu zdawało mu się, że upłynęła godzina, nim w oknie domu, który niedawno opuścił, błysnęło światło dowodzące, iż sir Ryszard dotarł bezpiecznie do swojej komnaty. Pragnąc wezwać pomocy zostawił konającego i ruszył w stronę miasta. Ledwie jednak postąpił parę kroków, otoczyło go kilkunastu mężczyzn, z których jeden trzymał osiodłanego konia. Przybysze rzucili się na Ryszarda i pochwyciwszy go, obalili na ziemię. Niespodziewanie napadnięty młodzieniec nie zdawał sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa. Widział tylko jedno potworne wytłumaczenie zbrodni, nie podejrzewał więc, że inne równie oczywiste wnioski nasuwają się właścicielowi gospody „Pod Trzema Hiszpanami”.

Ulituj się, Boże! zawołał pan Mogford badając rysy rannego przy nikłym blasku wschodzącego księżyca.

Ulituj się, Boże! To lord Bellasis. O ty przeklęty rzezi-

12

13

mieszku! Hej! Jem! Dawaj go tu! Może dostojny lord pozna drania.

To nie ja! krzyknął przerażony Ryszard. Na miłość boską, panie wicehrabio, niech pan potwierdzi... -- Urwał nagle i rzucony na klęczki koło umierającego, zapatrzył się w jego twarz przejęty straszliwą grozą. U niektórych ludzi przestrach pobudza krążenie krwi i powoduje błyskawiczny bieg myśli. Ryszard zajrzał w mętne oczy lorda Bellasis i w tym straszliwym momencie zobaczył nieomylnie własną zgubę. Jego widoki na najbliższą przyszłość przedstawiały się fatalnie. Zaniepokojenie wywołał koń bez jeźdźcy. Pijacy z gospody „Pod Trzema Hiszpanami” jęli przetrząsać wrzosowiska i przyłapali nieznajomego im skromnie ubranego człowieka, który oddalał się szybko od miejsca, gdzie obok opróżnionego pugilaesu i zakrwawionej szpicruty dogorywał człowiek.

Ryszard zrozumiał, że spowija go sieć groźnych poszlak. Zaledwie przed godziną ratunek nie nastęrczałoby trudności. Dla rozwiania wszelkich podejrzeń wystarczyłoby zawołać: „Jestem synem sir Ryszarda Devine'a! Odprowadźcie mnie do tamtego domu, a dowiodę, że opuściłem go przed chwilą”. Obecnie jednak nie mógł liczyć na taki kierunek obrony. Aż nazbyt dobrze znał sir Ryszarda i na domiar złego był przekonany, że to on właśnie spotkał swojego krzywdziciela i zamordował go ulegając nieposkromionej pasji. W tej chwili syn lorda Bellasis i lady Devine mógł albo złożyć w ofierze samego siebie, albo też kupić nadzieję ocalenia za cenę hańby matki i śmierci człowieka przez tę matkę oszukanego i zdradzonego. Jeżeli szynkarz z towarzyszami powiedzie do North End House marnotrawnego syna, sir Ryszard wyprze się go niewątpliwie, on zaś, działając w obronie własnej, będzie musiał podjąć stanowcze kroki. Skompromituje wówczas publicznie własną matkę, a dotkniętego ojca, któremu zawdzięcza wykształcenie i dotychczasowe łatwe życie, pośle na szubienicę. Biedak rozmyślał tak i klęczał zdrętwiały, niezdolny przemówić słowa.

Jaśnie wielmożny lordzie! zawołał Mogford.

Niech pan oprzytomnieje i powie, czy ten łajdak jest winien.

Konający podjął ostatni wysiłek i niemal przytomnym spojrzeniem szklistych oczu przywarł do twarzy syna. Pokręcił głową, z trudem uniósł rękę, jak gdyby chciał wskazać inny kierunek, i martwy opadł ciężko na ziemię.

Jeżeli nawet nie jesteś mordercą, na pewno go ograbiłeś! krzyknął oberżysta. — Poczekaj! Prześpisz się dzisiaj przy Bow Street. Tom! Skocz no na roгатkę i powiedz, że mamy pasażera do dylizansu. Dawaj go tu, Jack. Jak się nazywasz, łotrze? Gadaj zaraz!

Ostatnie pytanie musiał powtórzyć dwa razy, zanim jeniec zwrócił ku niemu pobladałą, lecz spokojną już twarz i odpowiedział pewnie:

Rufus Dawes.

Ryszard Devine rozpoczął nowe życie jako Rufus Dawes. Oskarżony o morderstwo i rabunek, spędził bezsenną noc w areszcie policyjnym przy Bow Street, oczekując na losy dnia jutrzejszego.

Równie niecierpliwie czekali dwaj jeszcze ludzie: pan Lionel Crofton oraz jeździec, który z zamordowanym lordem Bellasis miał umówione spotkanie w cieniu świerków na Hampstead Heath.

Natomiast sir Ryszard Devine na nic nie czekał, bo

przestąpiwszy próg swojego pokoju upadł bez zmysłów,
rażony apopleksją.

14

Księga pierwsza

Rok 1827

Morze

1

Okręt-więzienie

W zdławionej ciszy tropikalnego popołudnia powietrze
było gorące i ciężkie, a bezchmurne niebo jak polerowane.
Cień żaglowca „Malabar” spoczywał samotnie na roziskrzono-
nej powierzchni morza.

Ognista kula słońca wstawiała każdego rana po lewej
stronie i wędrowała przez niezakłócony odmęt błękitu, aby
wieczorem utonąć po prawej stronie w purpurowej orgii
widnokręgu i oceanu. Obecnie zniżyła się wystarczająco, by
zajrzeć pod płócienny dach pokładu rufowego i obudzić
ubranego w polowy mundur piechoty młodego człowieka,
który drzemał na zwoju lin.

Bodaj to lichy! – mruknął, a następnie podniósł się
leniwie i przeciągnął niby ktoś, kto nie ma nic do roboty.
Musiałem chyba zasnąć...

Odwrocił się, uchwycił wanty i spojrzał w kierunku
śródkręcia. Był sam na pokładzie, nie licząc marynarza przy
sterze i wartownika spacerującego wzdłuż relingu. Kilka
mew zataczało szerokie koła. Raz po raz niknęły za dziobem,
aby wnet ukazać się znów w pobliżu rufy. Ociężały albatros
poderwał się za podwietrzną, otrząsając ze skrzydeł białe
krople wody, a miejsce, gdzie przed chwilą siedział, przecięła
niby błyskawica ohydna płetwa rekina. Styki porządnie
wyszorowanego pokładu ociekały topniejącą smołą, a mo-
siądz skrzynki kompasowej lśnił w słonecznym blasku niby
wspaniały klejnot.

W bezwietrznej ciszy ciężki kadłub okrętu kołysał się
miarowo na delikatnie rozchwianym morzu. Obwisłe żagle

2 Dożywotnie zesknąć

17

w równomiernych odstępach uderzały z łoskotem o maszty,
a bukszpryt unosił się leniwie, aby po chwili opaść z szarp-
nięciem, od którego drżały i prostowały się liny. Na dziobie
kilku żołnierzy, rozneglizowanych na różne sposoby, grało
w karty, paliło i obserwowało rybackie sznury zwisające
z kotbelek.

Na pierwszy rzut oka „Malabar” nie różnił się od
zwyčajnego transportowca. Atoli śródkręcie przedstawia-
ło szczególny widok. Zdawać się mogło, że zbudowano tam
grodz dla bydła, bo u stóp przedniego masztu i opodal
pokładu rufowego wznosiły się od nadburcia do nadburcia
mocne barykady opatrzone w strzelnice i drzwi umożliwia-
jące przejście. Na zewnątrz stał wartownik, wewnątrz zaś
(w zasięgu działowych luf z rufy) mniej więcej sześćdziesięciu
mężczyzn i chłopców w szarych mundurach stało, siedziało
lub przechadzało się leniwie. Ludzie ci byli więźniami
królewskimi, a za wspomnianą grodzia wolno im było
zażywać ruchu i powietrza. Więzienie znajdowało się w ła-
downi na twindeku, a ściany jego stanowiła barykada
sięgająca również w głąb kadłuba.

Dobiegały właśnie końca dwie godziny spaceru przyzna-
nego łaskawie więźniom przez najjaśniejszego pana króla
Jerzego Czwartego i więźniowie korzystali z dostępnej
rozrywki. Na śródkręciu nie było zapewne tak przyjemnie
jak pod płóciennym daszkiem na pokładzie rufowym. Ale
z uświęconego cienia korzystać mogli jedynie wielcy ludzie:
kapitan statku i jego oficerowie, lekarz Pine, porucznik

Maurycy Frere oraz osobistości postawione jeszcze wyżej kapitan Vickers z małżonką.

Nie ulegało wątpliwości, że więzień wsparty o burte pragnie uwolnić się choćby na moment od nieprzyjaznego słońca. Jego towarzysze siedzieli na obramowaniu luku albo po cienistej stronie barykady. Śmieli się, rozmawiali, klęli i dawali upust plugawej wesołości. On natomiast ściągnął czapkę na czoło, ukrył dłonie w kieszeniach szarej bluzy i stojąc na uboczu nie brał udziału w ponurych żartach. Słońce paliło go bezlitosnymi promieniami, a chociaż wszystkie styki pokładu pociły się kroplami roztopionej smoły, rosły mężczyzna tkwił nieruchomy i posepny, spoglądając na senne, błękitne morze. Zachowywał się tak od czasu, gdy okręt wypłynął z rozkołysanych wód Zatoki Biskajskiej, a stu osiemdziesięciu przewożonych nieszczęśliwych rozkuto i pozwolono im dwa razy na dzień korzystać z dobrodziejstwa świeżego powietrza.

Zgromadzeni na pokładzie przestępcy o niskich czołach i z gruba ciosanych twarzach obrzucali tę samotną postać wzgardliwym wzrokiem, lecz uwagi swe ograniczali jedynie do gestów.

Są liczne stopnie zbrodni, a Rufus Dawes, ten ponury skazaniec, uniknął szubienicy za cenę dozgonnego dźwignia kajdan, był więc osobistością nie bez znaczenia. Odpowiadał przed sądem za morderstwo i ograbienie lorda Bellasis.

Opowiadanie nie znanego nikomu przybłądy o tym, że znalazł na wrzosowisku rannego, nie zasługiwało na wiarę. Od stryczka uratował oskarżonego właściciel gospody „Pod Trzema Hiszpanami”, który pod przysięgą zeznał, że lord Bellasis spytany w ostatniej chwili, czy Dawes jest jego zabójcą, odpowiedział przeczącym gestem. Włóczęga został uniewinniony z zarzutu morderstwa, lecz skazany na śmierć za rabunek, a Londyn, który interesował się procesem, uważał, że potraktowano skazańca łagodnie, zmieniając wyrok na dożywotnie zesłanie i ciężkie roboty.

Na pływających więzieniach obowiązywał w zasadzie przepis, że przestępstwo każdego zesłańca trzyma się w tajemnicy przed towarzyszami niedoli. Chodziło o to, by winowajca – jeżeli zechce i pozwoli mu na to kaprys władz więziennych – mógł rozpocząć w nowym kraju życie nie napiętnowane ciemną przeszłością. Ale była to (jak często w podobnych przypadkach) czysta teoria i stu osiemdziesięciu skazańców znało wybornie historię swoich towarzyszy. Najbardziej winni szczylicili się ogromem swoich zbrodni, dowodząc często, że są łotrami większymi, niż się na pozór zdaje. Cóż dziwnego, że krwawy czyn i niespodziewane ułaskawienie okryło chwałą imię Rufusa Dawesa, którego znaczenie rosło w czasie podróży dzięki przewadze umysłowej, atletycznej budowie i dumnej, samotnej wyniosłości. Dwudziestoparoletni młodzieniec nie miał przyjaciół, ale w łotrowskim społeczeństwie był szanowany i poważany jako wielki zbrodniarz. Nawet najnikczemniejsi z pasażerów międzypokładzia mogli drwić między sobą z „głupiego

18

19

zadzierania nosa”, ale przy spotkaniach (warzą w twarz z Dawesem płaszczyli się i krygowali. Tak się już dzieje, że na statku zesłańców największy zbrodniarz jest największym bohaterem, a za jedyne prawdziwe wyróżnienie uchodzi w niecnym gronie „Order stryka” nadawany ręką kata. Młody człowiek z pokładu rufowego spostrzegł rosłego więźnia wspartego o nadburcie i skorzystał z okazji, aby urozmaicić sobie ciężką nudę.

Hej, ty! wrzasnął nie zapominając o przekleństwie.

Wynoś się z przejścia.

Rufus nie stał w przejściu, lecz o dobre dwie stopy od niego, na krzyk porucznika Frere'a wzdrygnął się jednak i posłusznie ruszył w stronę luku.

Mógłbyś dotknąć czapki, kundlu! zawołał znowu oficer podchodząc do relingu. Słyszałeś, co?

Więzień dotknął czapki, salutując niemal po wojskowemu.

Nauczę ja was grzeczności, łajdaki! burczał zirytowany Frere raczej do siebie. Bezczelne bydło!

W tej chwili wartownik na pokładzie rufowym z rozmachem sprezentował broń i odwrócił uwagę rozsierzonego młodzieńca. Szczupły, wysoki mężczyzna o wojskowej postawie, chłodnych błękitnych oczach i ostrych rysach wyszedł z salonu kapitańskiego położonego na rufie, wiodąc jasnowłosą damę wystrojoną i rozszczebiotaną. To kapitan Vickers (z pułku, do którego należał również Frere, translokowany ostatnio do Kraju Van Diemena*) wyprowadzał małżonkę na pokład, aby nabrała apetytu przed wieczerzą.

Pani Vickers miała czterdzieści dwa lata (przyznawała się do trzydziestu trzech) i zanim poślubiła sztywnego Johna Vickersa, przez jedenaście pracowitych karnawałów słynęła jako piękność rozmaitych garnizonów. Nie było to udane małżeństwo. On uważał żonę za rozrzutną, ona zaś odkryła w mężu oschłego i kostycznego gburę. Córka, urodzona dwa lata po ślubie, stanowiła jedyne ogniwo łączące źle * Kraj Van Diemena pierwotna nazwa Tasmanii, zniesiona w 1853 r. wraz z likwidacją tamtejszych kolonii karnych (przyp. tłum.).

20

dobraną parę. Kapitan ubóstwiał małą Sylwię i nie chciał zostawić jej w Anglii, kiedy przeniósł się do stacjonującego w Australii pułku, aby za poradą lekarza zmienić klimat i odbyć długą podróż morską. Na nic się zdały protesty pani Vickers, której chodziło o edukację Sylwii. Małżonek powiedział, że w razie potrzeby sam będzie uczył małą, lecz się z nią nie rozstanie.

Po uporczywej walce pani Vickers skapitulowała, rezygnując z uroczych marzeń o rezydowaniu w Bath, i podażyła w świat za mężem, robiąc możliwie dobrą minę do złej gry. Na pełnym morzu pogodziła się nawet z losem i czas dzieliła między strofowanie córki lub pokojówki a czarowanie nieokrzesanego młodego porucznika, pana Maurycego Frere^e. Kokieteria stanowiła nierozdzieloną część natury Julii Vickers, która żyła jedynie dla zbierania hołdów. Nawet na okręcie-więzieniu i u boku męża mogła albo flirtować, albo zmarnieć wśród duchowej pustki. Nie była nawet zła, tylko próżna i zalotna, a młody Maurycy Frere traktował jej awanse tak, jak na to zasługiwały. Zresztą sympatia kapitanowej mogła mu być przydatna z powodów, które wyjaśnia się niebawem.

Młodzieniec z czapką w rękę zbiegł żywo po trapie, aby pomóc kapitanowej wydostać się na pokład.

Dziękuję, panie Frere, bardzo dziękuję. Ach, te potworne drabiny! Doprawdy... chi, chi, chi... drzę cała, kiedy muszę się wspinać. Gorąco! Mój Boże, co za upał! John, gdzie moje składane krzeselko? O, jest. Bardzo dziękuję, panie Frere. Sylwio! Sylwio! Nie zapomniałaś zabrać soli trzeźwiących? Wciąż jeszcze mamy ciszę, prawda? Ach, te okropne cisze!

Dziwnie brzmiała niemal salonowa paplanina o dwadzieścia jardów od klatki dzikich bestii, znajdującej się po przeciwnej stronie barykady. Ale młody porucznik nie

zastanawiał się nad tym. Przyzwyczajenie zabija grozę, toteż niepoprawna flirciarka szeleściła muślinami i roztaczała wątpliwej jakości wdzięki opodal krzywo uśmiechniętych przestępców, a czyniła to równie swobodnie i beztrąsko, jak na sali balowej w Chatham. Gdyby nie miała nikogo więcej pod ręką, kokietowałaby zapewne pasażerów międzypokładzia i do najprzystojniejszych robiła zalotne minki.

21

Vickers skłonił się Frere'owi, a gdy ów wprowadził jego małżonkę po trapie, wrócił do kabiny po córkę.

Była to wążka sześciolatka dziewczynka o błękitnych oczach i jasnoblond włosach. Ojcowska pobłażliwość i nierówne usposobienie matki nie zdołały popsuć uroczej z natury istotki, a wychowanie rzuciło nieznaczną tylko cień na tysiączne dziecięce wdzięki, wobec czego za małą Sylwią przepadali wszyscy towarzysze podróży. Wolno jej było wchodzić wszędzie, robić, co zechce, a nawet skazańcy powstrzymywali się w jej bliskości od plugawej mowy. Wychodząc z kabiny u boku ojca, mała szczebiotała ze swadą osoby uwielbianej i pewnej siebie, rychło jednak zaczęła uganiać się tu i ówdzie. Zadawała pytania i odpowiadała na nie sama, nuciła, podskakiwała. Potem zajrzała do skrzynki kompasowej, poszperała w kieszeniach marynarza u steru, z ufnością utopiła rączkę w szerokiej łapie oficera wachtowego, ba! zbiegła nawet z pokładu rufowego, by wartownika na posterunku szarpnąć za połę munduru. Wreszcie, znudzona krzątaniem, wyjęła z kieszeni małą skórzaną piłkę w różnokolorowe pasy i z wesołym okrzykiem rzuciła ją ojcu. Kapitan podjął zabawę, która trwała przez czas pewien przy akompaniamencie dziecięcego śmiechu i klaskania w ręce pomiędzy rzutami.

Więźniowie prawie już wykorzystali szczupłą rację świeżego powietrza i niebawem mieli wrócić pod pokład, zbili się więc w gromadkę, by obserwować niezwykłe widowisko.

Szczebiot i śmiech dziecięcy były dla nich czymś nowym.

Niektórzy uśmiechali się śledząc zmienne koleje meczu. Jakiś wyrostek z trudem powstrzymywał okrzyki zachęty lub uznania. Zdawać się mogło, że spowijającą okręt duszną spiekotę orzeźwił nagle chłodny powiew. Pośród tej uciechy oficer wachtowy, który przebiegał wzrokiem różowiejący widnokrąg, przesłonił oczy dłonią i zapatrzył się bacznie w jakiś punkt na zachodzie. Spostrzegł to Frere, gdyż znudzony po trosze paplaniną pani Vickers zerkał dokoła, jak gdyby żywił nadzieję, że ktoś wreszcie nadejdzie. Coś ciekawego, panie Best? zapytał. Czy ja wiem? Mam wrażenie, że to kłęb dymu – odrzekł pan Best i sięgnąwszy po lunetę zwrócił ją ku zachodowi.

Niech pan pozwoli powiedział Frere i wnet spojrział przez szkła w tym samym kierunku.

Po lewej stronie tonącego w odmętach słońca majaczyło coś niby maleńki czarny obłok, ledwie dostrzegalny na płomienistym tle szkarłatu i złota.

Nic nie mogę wyrozumieć – powiedział Frere zwracając marynarzowi lunetę. – Przekonamy się, jak słońce zajdzie.

Oczywiście pani Vickers musiała również popatrzeć, a że nie mogła sobie poradzić z instrumentem optycznym, powiedziała z zalotnym uśmiechem, że widzi doprawdy tylko czyste niebo, a ten nieznośny porucznik Frere z pewnością naumyślnie bierze ją na fundusz.

Niebawem kapitan Blunt zjawił się na rufie i przyjawszy lunetę z rąk swojego oficera, badał widnokrąg długo i uważnie. Potem zainteresował marynarza na bocianim gnieździe, ten zaś odkrzyknął, że nie widzi nic szczególnego. Na koniec

ognista kula zapadła raptownie w wodę, a zagadkową plamę pochłonęły szybko gęstniejące mroki.

Po zachodzie słońca nowy wartownik wyszedł z luku śródkręcia, a żołnierz opuszczający posterunek sposobił się do nadzorowania spędzanych pod pokład więźniów. W tym momencie Sylwia nie chwyciła piłki, ta zaś minęła barykadę i potoczyła się do nóg Rufusa Dawesa, który stał jeszcze koło burty pogrążony w myślach. Wielobarwna piłka, dokładnie widoczna na białych deskach, zwróciła jego uwagę, schylił się więc odruchowo, podniósł ją i ruszył z miejsca, by zwrócić Sylwii jej własność. Drzwi klatki były otwarte, a wartownik, młody żołnierz, przyglądał się zmieniającemu go koledze, nie spostrzegł więc, że więzień minął barykadę i w jednej chwili znalazł się na uświęconym pokładzie rufowym.

Ożywiona zabawą Sylwia miała zaróżowione policzki, gorejące oczy i złote loki rozwiane wdzięcznie. Postąpiła krok, by odebrać zabawkę, w tej chwili jednak białe ramię wysunęło się z cienistego trapu, a kształtna dłoń pociągnęła za szarfę i zatrzymała dziewczynkę. Młody człowiek w szarym odzieniu przystanął również i bez słowa złożył piłkę na tej dłoni.

Tymczasem porucznik Frere schodził po drabinie z rufy na śródkręcie, nie widział więc opisanego sceny, a zauważył

22

23

tylko, że w sposób niewytłumaczony więzień znalazł się tani, gdzie być nie powinien.

Dziękując powiedział miły głos do stojącego przed zdyszczym dzieckiem Rufusa.

Zesłaniec podniósł wzrok i zobaczył osiemnasto- lub dziewiętnastoletnią dziewczynę stojącą u wyjścia z trapu kabinowego. Była wysoka, dobrze zbudowana, ubrana w białą suknię o luźnych rękawach. Jej czarne włosy, uczesane w koronę, zdobiły małą, kształtną głowę o pięknych ciemnych oczach i purpurowych wargach, które rozchylone w uśmiechu ukazywały perłowobiałe zęby. Dziewczyna miała drobne stopy, jasną cerę i małe, kształtne ręce. Rufus wiedział naturalnie, że to Sara Purfoy, pokojówka pani Vickers, nigdy jednak nie był tak blisko pięknej dziewczyny. Zdawało mu się teraz, że ma przed sobą dziwny podzwrotnikowy kwiat, co sieje mocne i upajające wonie. Przez moment przyglądali się sobie. Potem więzień poczuł, że ktoś chwytą go z tyłu za kołnierz i gwałtownie rzuca na deski pokładu.

Zerwał się i pod wrażeniem chwili chciał skoczyć na napastnika, pohamował się jednak, gdy zobaczył zwrócony ku sobie bagnet wartownika, a jednocześnie poznał porucznika Frere'a.

Skąd się tu wzięłeś, u diabła? krzyknął oficer. Co masz tu do roboty, kundlu? Jak jeszcze raz zobaczę cię na rufie, posiedzisz tydzień w łańcuchach. Rozumiesz?

Więzień, blady z gniewu i upokorzenia, otworzył usta chcąc się usprawiedliwić, ale słowa zamarły mu na wargach. Jakiż mógł być cel lub skutek obrony?

-- Jazda stąd i pamiętaj, łotrze, coś ode mnie usłyszał! krzyknął Frere i zorientowawszy się, co właściwie zaszło, zanotował w pamięci nazwisko nieuważnego wartownika.

Rufus otarł zakrwawioną twarz i odwróciwszy się na pięcie, bez słowa minął grube dębowe drzwi klatki na śródkręciu.

Frere pochylił się i swobodnym gestem sięgnął po białą, kształtną rękę Sary Purfoy. Ale dziewczyna cofnęła się ze wstrętem i z jej płomiennych czarnych oczu strzeliły błys-

kawice.

24

Tchórz! powiedziała.

Stojący opodal żołnierz usłyszał ten epitet i zrobił zdziwioną minę. Porucznik przygryzł wargi i pospieszył do salonu za pokojówką. Ta jednak ujęła rękę zdziwionej Sylwii i schroniwszy się wraz z nią do kabiny zatrzęsnęła drzwi przy wtórze pogardliwego śmiechu.

II

Sara Purfoy

Kiedy zesłańcy znaleźli się szczęśliwie w ładowni i legli na spoczynek, zajmując przydzieloną im (a zredukowaną nieco z racji warunków lokalnych) przestrzeń szesnastu cali na osobę, wieczory w salonie kapitańskim upływały całkiem miło. Pani Vickers osoba poetyczna i właścicielka gitary była również muzykalna i bardzo lubiła śpiewać. Kapitan Blunt był jowialnym, trochę nieokrzesanym jegomościem; lekarz Pine miał istną manię opowiadania dykteryjek, a sztywne nudziarstwo Vickersa równoważyła nieodmienna pogoda Frere'a. Ponadto stół zastawiano suto, więc po smacznej wieczery czas mijał przy popisach wokalnych, paleniu fajek, wiście i brandy z wodą tak szparko, że nie zdołałyby tego pojąć dzikie bestie stłoczone w więziennej ładowni po sześć na pryzach o szerokości pięciu stóp i trzech cali.

Atoli w wieczór, o którym mowa, nuda nawiedziła salon kapitański. Posiłek nie wpłynął na poprawę humorów i rozmowa nie kleiła się jakoś.

Nic nie wróży wiatru, panie Best? zapytał kapitan Blunt, kiedy pierwszy oficer wszedł i zajął swoje miejsce. Nie, panie kapitanie.

Ach, ta okropna cisza! Chi, chi, chi – odezwała się pani Vickers. – Trwa już chyba tydzień, prawda, kapitanie Blunt?

Trzyście dni, łaskawa pani odburknął zagadnięty.

25

Przypomina mi to pewne wydarzenie zaczął ochoczo Pine. Niedaleko Wybrzeża Koromandelskiego na „Grzechotniku” wybuchła straszna epidemia i... Może kieliszek wina, kapitanie Vickers? zapytał głośno Blunt, chcąc w zarodku unieszkodliwić rozpoczętą anegdotę.

Bardzo dziękuję, panie kapitanie. Głowa mnie boli.

Nic dziwnego. Schodzi pan przecież do ładowni, między to bydło. Zbrodnia, żeby tak przeciążać statki!

Mamy na pokładzie z górą dwieście dusz, a w łodziach ratunkowych nie starczy miejsca nawet dla połowy.

Dwieście dusz? Niepodobna! obruszył się Vickers.

Według regulaminów królewskich...

Stu osiemdziesięciu zesłańców, pięćdziesięciu żołnierzy, załoga w liczbie trzydziestu, no i w moim salonie... ile nas będzie osób?... raz, dwa, trzy... siedem! Proszę zsumować, panie kapitanie.

-- Tym razem mamy trochę za ciasno dorzucił pan Best.

To niedobrze, bardzo niedobrze odrzekł z namaszczaniem Vickers. – Według regulaminów królewskich...

Ale regulaminy królewskie były nie w smak towarzystwu, bardziej nawet niż nieskończenie długie opowieści lekarza, więc pani Vickers zmieniła spieszenie temat.

– Nie męczy pana, poruczniku Frere, okropny tryb życia, jaki pan wie? – zapytała.

Cóż, liczyłem na coś zupełnie innego odrzekł oficer

przyglądając piegowatą dłonią płomiennorudą czuprynę.

– Ale zawsze trzeba robić dobrą minę do złej gry.

W samej rzeczy – przyznała dama obojętnym tonem, jakim komentujemy zazwyczaj doskonale znane wydarzenia.

– Bolesnym ciosem musiała być dla pana niespodziewana utrata pokaźnej fortuny.

– Nie o to nawet chodzi! Gorsza była wiadomość, że łajdak, któremu dostało się wszystko, pożeglował do Indii w niespełna tydzień po śmierci mojego wuja. Lady Devine dostała od niego list w sam dzień pogrzebu. Pisał, że odpływa na „Hydaspesie” do Kalkuty i nigdy nie zamierza wrócić.

Sir Ryszard Devine nie zostawił innych dzieci?

26

Nie, tylko tego tajemniczego Dicka. Nigdy go nie widziałem, ale wiem, że musi mnie nienawidzić.

Mój Boże! Potworne są takie rodzinne kłótnie. Biedna lady Devine. Jednego dnia straciła męża i syna.

A następnego rano dowiedziała się o zamordowaniu kuzyna. Wie pani naturalnie, że my jesteśmy spokrewnieni z Bellasisami? Ojciec mojej ciotki poślubił siostrę drugiego barona Bellasis.

Aha... Rozumiem... Okropne morderstwo! Czy sądzi pan naprawdę, że popełnił je ten straszny człowiek, którego mi pan wczoraj pokazywał?

Przsięgli byli innego zdania roześmiał się Frere ale ja nie widzę nikogo innego, kto mógłby mieć jakiś zrozumiały motyw. Bardzo przepraszam, pójdę wypalić fajkę na pokładzie.

Ciekawe, co mogło skłonić starego kutwę do wydziedziczenia jedyne go syna na korzyść takiego pętaka? powiedział lekarz Pine do kapitana Vickersa, kiedy szerokie bary Maurycego Frere'a zniknęły na szczycie trapu. Myślę, że młodzieńcze wybryki synalka za granicą.

Dorobkiewicz nie cierpią rozrzutności. Ale Frere dostał za swoje. Żal mi go, bo to niezły chłopak mimo gburowatości. Trudno się dziwić, że trochę sarka na zły los. Przecież przypadek zabrał mu ćwierć miliona funtów i zostawił na świecie z niczym oprócz stopnia oficerskiego w pułku piechoty odkomenderowanym do kolonii karnych. Jak się to stało, że mimo wszystko syn nie zgłosił się po pieniądze?

Hm... Stary Devine wybrał się do wioski, by posłać po adwokata, bo chciał zmienić ostatnią wolę. Kiedy wrócił do domu, trafiła go apopleksja, prawdopodobnie z wielkiej irytacji. Rano ludzie wyważyli drzwi jego pokoju i znaleźli trupa.

A syn, gdzieś na szerokim morzu, nie wie wcale o nagłym uśmiechu losu. Romantyczna historia! – zawołała pani Vickers.

Cieszę się, że Frere nie dostał tych pieniędzy podjął Pine wierny swoim uprzedzeniom. – Nie spotkałem chyba mniej sympatycznej gęby nawet wśród kryminalistów z międzypokładzia.

27

Na Boga! Jakże można, doktorze' oburzyła się dama.

Honorem ręczę, łaskawa pani, że są pośród nich tacy, co przestawali z naprawdę dobrym towarzystwem. Zwłaszcza niektórzy złodzieje i oszuści grasowali pośród sfer najwyższej postawionych.

Okropni zbrodniarze! wzdrygnęła się pani Vickers.

John! chcę wyjść na pokład. Mężczyźni powstali z miejsc jak na komendę.

Jak boga kocham, Pine odezwał się kapitan Blunt, gdy został sam z lekarzem. - Albo ty, albo ja zawsze musimy się z czymś wyrwać.

Bo kobiety tylko zawadzają na okręcie powiedział Pine.

Ach, doktorze, chyba nie mówi pan serio! zabrzmiał przyjemny głos u boku malkontenta.

Głos ten należał do Sary Purfoy, która niepostrzeżenie wyszła z kabiny.

No, jesteś, mała - ożywił się Blunt. Dopiero co gadaliśmy o twoich oczach.

A jest o czym gadać, prawda, panie kapitanie?

- zapytała dziewczyna spoglądając mu prosto w twarz.

Pewnie, że jest o czym - przyznał wilk morski i uderzył pięścią w stół. - Jak żyję, nie widziałem piękniejszych oczu! A te świeże usteczka można by nazwać...

Proszę mnie przepuścić, panie kapitanie. Spieszę się. Bardzo dziękuję, panie doktorze powiedziała Sara i wymknęła się z salonu, zanim jego gospodarz zdążył temu przeszkodzić.

- Pierwszorządna sztuka mruknął Blunt. Niezły diabeł w niej siedzi.

Stary Pine zażył potężny ni uch tabaki.

Pewnie, że diabeł! - przyznał. Nic wiem, skąd ją Vickers wytrzasnął, ale powiem otwarcie, Blunt, że wolałbym zaufać życie najgorszemu łotrowi z międzypokładzia niż jej, gdyby miała do mnie jakąś urazę.

Dla takiej nic wykończyć człowieka roześmiał się kapitan. No, na razie, doktorze. Idę na pokład. Pine wyszedł jego śladem bez pośpiechu.

Nie udaję, że znam się na babach mamrotał do siebie ale ta mała ma coś na sumieniu albo skończony ze mnie osioł. Nie wyobrażam sobie, co mogło ją zmusić do podróży na takim okręcie, i to w roli pokojówki pani Vickers. Wziął fajkę w zęby i przystanął koło luku głównej ładowni, by obserwować spacerującą tam i z powrotem białą postać, do której zbliżyła się niebawem druga, ciemniejsza. Gotówem przysiąc, że knuje coś paskudnego - mruknął pod wąsem.

W tej chwili ramienia jego dotknął żołnierz w polowym mundurze, który wyszedł z luku.

O co chodzi? - zapytał szorstko lekarz.

Szeregowiec wyprężył się i zasalutował.

Jeden więzień zachorował, panie doktorze. Jest już po obiedzie, a z nim chyba bardzo kiepsko, więc ośmieliłem się zameldować o tym panu doktorowi.

Ach, ty ośle! - zawołał Pine, który jak wielu prostych ludzi pod szorstką powłoką miał dobre serce. Dlaczego nie przyszedłeś wcześniej?

Wytrzasnął świeżo zapaloną fajkę, schował ją do kieszeni i za żołnierzem zeszedł po trapie do ładowni.

Tymczasem dziewczyna podejrzwana przez starego zręde rozkoszowała się wątpliwym chłodem podzwrotnikowej nocy. Jej pani i panienska nie wyszły jeszcze z kabiny, a mężczyźni nie dokończyli wieczornych fajek.

Płócienny daszek zwinięto na noc i gwiazdy jaśniały pięknym blaskiem na bezksiężycowym niebie. Wartownik przy relingu przesunął się na śródokręcie, rufa opustoszała i panna Sara Purfoy miała okazję do idealnego tete-a-tete z samym kapitanem Bluntem. Dwukrotnie minęła go bez słowa, ale za trzecim razem wilk morski rozejrzał się dokoła i urzeczony blaskiem wielkich oczu dziewczyny, zbliżył się do niej.

Nie gniewasz się, mała, za to, co ci powiedziałem w salonie? zapytał.

Nie rozumiem, o czym pan mówi udała zdziwienie.

No... o... niby ja... Byłem trochę natrętny, przyznaję.

Skąd znowu! Wcale pan nie był natrętny.

Miło mi, że tak sądzisz — bąknął kapitan Blunt, któremu wstyd się trochę zrobiło własnej słabości.

28

29

Ifr

A!c na pewno byłby pan natrętny, gdybym na to pozwoliła podjęła Sara.

Ee... Skąd wiesz, mała?

Wyczytałam to z pańskiej twarzy. Myśli pan, że kobieta nie zdaje sobie sprawy, kiedy mężczyzna chce ją obrazić?

Ja miałbym obrazić ciebie? Jak Boga kocham!...

Pan mnie, kapitanie Blunt. Jest pan dość stary, żeby być moim ojcem. Ale to nie powód do pocałunku, o który nie poproszę.

Cha, cha, cha! roześmiał się kapitan. Dobrze sobie! Poprosi! No to, jak Boga kocham, poproś mnie, ty czarnooka kotko. Będę zadowolony!

Inni też byliby zadowoleni.

Na przykład -- podchwycił Blunt ten oficer z piechoty. Prawda, moja skromnisiu? Dzisiaj patrzył na ciebie tak, jak gdyby prosił wzrokiem. Cha, cha, cha! Sam widziałem.

Dziewczyna zerknęła nań z ukosa.

O ile się nie mylę, ma pan na myśli porucznika

Frere'a. Zazdrosny pan o niego, kapitanie?

Zazdrosny? Jak Boga kocham! O takiego smarkacza, co ledwie zrzucił krótkie spodenki! Zazdrosny... Dobrze sobie!

Widocznie mi się zdawało. Ale zazdrość byłaby zbyt duża. Ten jegomość to dureń, chociaż jest porucznikiem i nazywa się aż Frere.

Dureń! Masz rację, mała. Święta prawda! uradował się wilk morski.

Sara wybuchnęła zdławionym, dźwięcznym śmiechem, od którego gorąco się zrobiło kapitanowi. Poczuli przyspieszone tętno i uporczywe mrówki w końcach palców.

Kapitanie Blunt, myśli pan teraz o kapitalnym głupstwie powiedziała dziewczyna.

Przysunął się i ukradkiem sięgnął po jej rękę.

O jakim, mała?

Ile pan ma lat? odpowiedziała pytaniem,

Czterdzieści dwa, jeśliś tego ciekawa.

Aha! I chce się pan zakochać w dziewiętnastoletniej smarkuli!

W kim?

We mnie! odpowiedziała z uśmiechem na pełnych, purpurowych wargach i podała mu rękę.

Bezank krył ich przed wzrokiem marynarza u steru. Blask tropikalnych gwiazd nie rozpraszał mroku, co zalegał na pokładzie rufowym. Blunt czuł na twarzy gorący oddech zagadkowej dziewczyny. Jak przez mgłę widział gorejące oczy, a mała rączka, którą trzymał, zdawała się palić żywym ogniem.

Masz chyba słuszną szepnął. Jestem już napół zakochany.

Przymknęła ciężkie powieki i rzuciła lekceważącym tonem:

Niech pan lepiej nie ryzykuje drugiej połowy, bo

będzie pan żałował.

Będę żałował! obruszył się. To moja sprawa. Nie drocz się, mała! Daj no tego całusa, o który jak powiadasz, trzeba było poprosić w salonie.

Otoczył ją ramieniem, ale w tej chwili wyrwała się zwinnie i zmierzyła natręta płomiennym wzrokiem.

Jak pan śmie! – zawołała. – Całowanie siłą to umizgi godne niedorostka! Niech pan obudzi we mnie sympatię, a jeżeli się to uda, będę pana całowała tak często, jak pan zechce. Może się też nie udać, a wtedy proszę trzymać się z dala.

Blunt nie wiedział, czy gniewać się, czy śmiać z tej reprimendy. Uprzytomnił sobie jednak, że jego sytuacja wygląda dość komicznie, postanowił więc wybuchnąć śmiechem.

Wygadana jesteś – powiedział wreszcie. – Powiadaj, co mam zrobić, by zyskać twoją sympatię?

To pańska sprawa – odrzekła z głębokim dygiem.

W tym momencie głowa Maurycego Frere'a ukazała się w luku trapowym, wobec czego Blunt odwrócił się i odszedł w stronę relingu. Był zdziwiony i zaskoczony, ale bynajmniej nie rozczarowany.

Do diabła, miła szelma! pomrukiwał zsuwając na bakier czapkę. – I niech mnie licho, jeżeli nie leci na starego Blunta!

30

31

Zaczął pogwizdywać z cicha, maszerując tam i z powrotem, a na młodzieńca, który zajął chwilowo jego miejsce, spoglądał dobrotliwie i z politowaniem. Ale pewna nieśmiałość powstrzymywała go jeszcze, nie zbliżał się więc do młodej pary.

Powitanie Maurycego Frere'a brzmiało sucho i zwięźle.

No i co, Saro? Przeszły ci humory?

Zmarszczyła brwi.

Dlaczego uderzył pan tamtego człowieka? Przecież nie zrobił nic złego.

Wszedł tam, gdzie go być nie powinno. Jakiż interes mógł mieć na rufie? Łotrów, moja droga, trzeba trzymać krótko.

Bo inaczej oni zabraliby się do pana, prawda? Ale czy to nie przesada, panie Maurycy? Sądzi pan, że jeden człowiek zdołałby opanować statek?

Nie. Ale stu mogłoby to zrobić.

Nonsens. Nie poradzą żołnierzom, Ma pan przecież pięćdziesięciu uzbrojonych ludzi.

Mam, ale...

Jakie znów ale?

Mniejsza o to. Tamten człowiek /lekceważył regulamin, a ja musiałem go ukarać.

Aha! Według regulaminów królewskich... i tak dalej, jak powiada pan Vickers.

Frere roześmiał się, bo dziewczyna trafnie naśladowała uroczysty ton kapitana.

Dziwna jesteś, Saro podjął. W żaden sposób nie mogę cię zrozumieć. No, powiedz sięgnął po jej rękę – powiedz, kim jesteś naprawdę?

A nie powtórzy pan nikomu?

Nie powtórzę.

Słowo honoru?

Słowo honoru.

A więc... Ale pan nie utrzyma sekretu.

Utrzymam. Mów śmiało.
Jestem pokojówką w rodzinie dżentelmena wyjeżdżającego za granicę.
Saro! Czy nie potrafisz mówić poważnie?
Mówię poważnie. Tak brzmiało ogłoszenie, na które się zgłosiłam.
Ale mnie chodzi o to, co robiłaś dawniej. Chyba przez całe życie nie byłaś pokojówką?
Nikt nie przychodzi na świat jako pokojówka odpowiedziała poprawiając szal na ramionach i wzdrygnęła się nerwowo.
No właśnie! Kim jesteś naprawdę? Czy masz rodzinę?
Co robiłaś dawniej?
Spojrzała w twarz młodzieńca, mniej teraz odpychająca niż zazwyczaj, i przysunawszy się nieco bliżej szepnęła:
Czy kochasz mnie, Maurycy?
Porucznik poszukał spoczywającej na relingu kształtnej rączki i podniósłszy ją do ust ucałował pod osłoną ciemności.
Wiesz sama odparł. Możesz być pokojówką lub czym zechcesz, ale piękniejszej od ciebie nie spotkałem jak żyje-
Jeżeli więc mnie kochasz uśmiechnęła się blado nic nie znaczący, kim jestem.
Ale ty powinnaś mi to wyznać, jeżeli mnie kochasz odpowiedział z bystrością, którą sam był po trosze zaskoczony.
Nie mam nic do wyznania, a ponadto nie kocham cię... jeszcze.
Maurycy wypuścił jej dłoń z uścisku i niecierpliwie machnął ręką, nic jednak nie powiedział, bo podszedł ku nim Blunt, który nie potrafił już wytrzymać dłużej.
Śliczna noc, panie Frere.
Rzeczywiście, śliczna.
Ale wiatru nic nie zapowiada.
Aha. Nie zapowiada.
W tej chwili dziwny blask rozjaśnił liliowe mroki widnokręgu.
Co to? – zawołał Frere. Widział pan, kapitanie?
Wszyscy spostrzegli szczególne zjawisko i daremnie czekali, by się powtórzyło. Blunt przetarł oczy.
Widziałem wyraźnie – powiedział – jak gdyby łunę albo błyskawicę.
Znów natężyli wzrok, próbując przeniknąć ciemności.

32

3

Dozwotnic
zesłanie

33

Best już przed wieczorem zauważył coś podejrzanego.
Widać zanosi się na burzę.
Nagle światło błysnęło znowu i przygasło. Tym razem nie było mowy o pomyłce i stłumiony gwar przebiegł wszystkie pokłady. Z mroków na widnokręgu wystrzelił płomień, rozjaśnił noc na moment i opadł pozostawiając na wodzie niewyraźny ciemnopurpurowy odblask.
Jakiś statek płonie! zawołał Frere.
ii I
Urozmaicenie nudy
Odblask nie niknął, a nad nim wśród mroków rosła szkarłatna plama i wisiała w powietrzu niby zamglona gwiazda. Żołnierze i marynarze z fordeku spostrzegli również ową łunę i w jednej chwili ożywienie zapanowało na całym „Malabarze”. Pani Vickers z czepiającą się spódnic

małą Sylwią wyszła na pokład, aby nie stracić nowych wrażeń. Na widok chlebobdawczynie skromna pokojówka wycofała się dyskretnie z sąsiedztwa Frere'a. Mogła tego nie robić, bo nikt nie zwracał na nią uwagi. Nawet Blunt zapomniał ojej obecności, a Frere zajął się żywą rozmową z Vickersem.

Chce pan popłynąć szalupą? mówi! ten ostatni. Oczywiście, drogi poruczniku, naturalnie. To jest, jeżeli kapitan Blunt się zgodzi i nie będzie to w kolizji z regulaminami królewskimi.

Kapitanie, spuści pan szalupę, prawda? Może uda się ocalić tych biedaków! – zawołał Frere ożywiony nadzieją przygody i rozrywki.

Spuścić szalupę? powiedział Blunt. Przecie do tego statku jak nic dwanaście mil, a nie ma ani tchnienia wiatru.

Nie możemy pozwolić, aby tamci ludzie upiekli się jak kasztany! – zaprotestował Frere spoglądając na coraz szerszą i wyraźniejszą łunę.

Nic nie przyjdzie z szalupy wtrącił Pine. – Mieści tylko trzydziestu ludzi, a tam pali się duży statek. Można spuścić dwie szalupy, trzy!... My nie ruszymy palcem, a oni żywcem spłoną!

Mają własne łodzie – odrzekł Blunt, którego spokój dziwnie kontrastował z podnieceniem młodego oficera. Na pewno z nich skorzystają, jeżeli nie potrafią opanować ognia. Tymczasem damy im znać, że ktoś jest w pobliżu. Ledwie kapitan skończył, smuga błękitnego światła wzbiła się w górę z głuchym sykiem.

To muszą zauważyć dodał wilk morski obserwując upiorny odblask, który na moment przyćmił gwiazdy tym widoczniejsze później, gdy noc ogarnęła znowu kopułę niebios. Panie Best! Opuścić i obsadzić szalupy rufowe. Poruczniku Frere, może pan popłynąć, jeśli wola. A niech pan weźmie na ochotnika kilku tych ze śródokręcia. Przyda się jak najwięcej rąk, bo może będę musiał spuścić na wodę inne szalupy i kuter. Hej! Mocno trzymać! Spokojnie, chłopcy! Spokojnie!

Ośmiu marynarzy manipulowało już przy prawej i lewej szalupie rufowej, a porucznik Frere zbiegł żywo na pokład śródokręcia.

Pani Vickers wchodziła naturalnie w drogę i piszczała z cicha, kiedy Blunt potrącał ją i przeproszał stłumionym pomrukiem. Natomiast jej pokojówka stała wyprostowana i nieruchoma koło relingu, wodząc za wilkiem morskim pełnymi podziwu oczyma. Ów przystanął na moment, aby rozejrzeć się dokoła, i zauważył Sarę. Miał czterdzieści dwa lata, był otyły i siwy, ale pod tym wejrzeniem zarumienił się niby panienka.

Cud-dziewczyna! szepnął do siebie i zaklął nader umiarkowanie.

Tymczasem Maurycy Frere minął wartownika i zeskończył do głównej ładowni, gdzie na jego rozkaz otworzono niezwłocznie drzwi więzienia. Powietrze było tam ciężkie od mdlącego fetoru właściwego wszystkim miejscom, gdzie znajdują się stłoczone żywe stworzenia. Porucznik miał wrażenie, iż wchodzi do przepełnionej stajni. Przebiegł wzrokiem podwójny rząd prycz ciągnących się wzdłuż burty okrętu i podszedł do najbliższej. Coś musiało się tam

34

35

wydarzyć ostatnio, gdyż w nikłym odblasku z iluminatora widać było tylko cztery pary stóp miast przepisowych sześciu.

Co tu się stało? zapytał Frere wartownika.
Więzień zachorował, panie poruczniku. Pan doktor
wziął go do szpitala.
Ale brak dwóch. Co to znaczy?
W tej chwili Rufus Dawes wyszedł spomiędzy prycz,
stał na baczność i zasalutował.
Melduję, że niedobrze mi się zrobiło, panie porucz-
niku. Próbowałem odemknąć otwór wentylacyjny.
Wychyliły się liczne głowy. Oczy i uszy pragnęły słyszeć i
widzieć. Dwa rzędy prycz w przerażający sposób przypomi-
nały klatki z dzikimi zwierzętami. Maurycy Frere tupnął
gniewnie.
Niedobrze ci się zrobiło? Od kiedyś taki delikatny,
kundlu? Już ja ci dam okazję, żebyś wypocił humory. Jazda!
Odstąp i czekaj!
Więzień wykonał rozkaz nie bez zdziwienia. Ruszał się
ciężko, niepewnie i raz po raz przesuwiał dłonią po czole, jak
gdyby cierpiał na ból głowy.
Który tam potrafi trzymać wiosło w garści? zawo-
łał porucznik. – Dosyć! Nie potrzebuję pięćdziesięciu drani.
Trzech mi wystarczy. Ruszać się! Prędzej!
Ciężkie drzwi zgrzytnęły znowu i chwilę później czte-
rej „ochotnicy” znaleźli się na pokładzie. Szkarłatna lu-
na pożółkła tymczasem i ogarnęła znaczną część widno-
kręgu.
Po dwu do szalupy! zawołał Biunt. Co godzina
będę wypuszczał błękitną racę, żeby pan nie zbłądził, panie
Best. Niech pan uważa, bo statek może pana stuknąć.
Opuszczać, chłopcy! Śmiało!
W chwili gdy jeden z więźniów brał wiosło w szalupie
Frere'a, jęknął i upadł do przodu, niezwłocznie jednak zdołał
się opanować. Sara Purfoy, wychylona za burtę, spostrzegła
ów drobny incydent.
Co temu więźniowi? zapytała. Może chory?
Stojący obok niej Pine zmierzył wzrokiem szalupę.
To ten drab z pryczy numer dziesięć mruknął
i zawołał donośnie: – Hej! Panie Frere!
Ale porucznik nie słyszał. Był zapatrzony w łunę gorejąca
na odległym horyzoncie.
Odbijać, chłopcy! – krzyknął i wśród wiwatów
z „Malabaru” dwie szalupy ruszyły żywo, aby opuścić nikły
krąg światła rzucanego z pokładu i zniknąć w ciemnościach
nocy.
Sara spojrzała na lekarza, jak gdyby czekała wyjaśnień,
ale on odwrócił się i odszedł szybko. Przez chwilę stała
niezdecydowana, następnie zaś rozejrzała się wokół ukrad-
kiem i szybko zbiegła po drabinie na śródkręcie.
Dębowa, wzmocniona żelaznymi sztabami barykada
oddzielała żołnierzy od zesłańców. Była podziurawiona
strzelnicami dla karabinów, pośrodku zaś miała okutą furtę,
w której można było pomieścić lufę działa. Barykada ta
znajdowała się po lewej stronie dziewczyny, na którą war-
townik na posterunku przy potężnych drzwiach spojrzeł
pytającym wzrokiem. Dotknęła drobną rączką szorstkiej
dłoni żołnierza (wartownicy są również ludźmi) i zwróciła ku
niemu blask pięknych ciemnych oczu.
Do szpitala – szepnęła. – Przysłał mnie doktor.
Nim żołnierz zdążył odpowiedzieć, biała postać zniknęła
w czeluści luku i spiesznie minęła grodz, za którą leżał chory
więzień.

IV

Szpital

Tak zwany szpital stanowił po prostu część dolnego
pokładu wydzieloną z pomieszczenia przeznaczanego dla

żołnierzy. Ciągnął się w kierunku od dzioba do rufy i był jakby prowizorycznie odgradzoną kabiną, która przy dobrych chęciach mogła pomieścić dziesięciu lub dwunastu chorych.

Nie było tam tak gorąco jak w więzieniu, ale na międzypokładziu panowała na ogół atmosfera duszna i ciężka. Sara przystanęła na chwilę i gdy słuchała stłumionych

36

37

rozmów dochodzących z żołnierskich koi, poczuła się niedo-
brze, a w głowie jej zawirowało. Przemogła jednak słabość i wyciągnęła rękę do mężczyzny, zbliżającego się szybko pośród bezkształtnych świateł i cieni rzucanych przez rozchybotaną latarkę. Był to młody żołnierz, który minionego dnia pełnił służbę wartownika przy trapie dla więźniów.

-- Jestem tu, jestem powiedział. Czekam na panienkę.

Dziękuję, Miles odrzekła. Dobry z ciebie chłopak. Ale na mnie chyba warto poczekać, prawda? Pewnie, że warto -- żołnierz uśmiechnął się od ucha do ucha.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, lecz wnet pokryła to uśmiechem.

Podejdz bliżej, Miles szepnęła. Mam coś dla ciebie.

Chłopak postąpił krok, ona zaś dobyteła z kieszeni niewielki przedmiot. Gdyby zobaczyć go mogła pani Vickers, zirytowałaby się mocno, gdyż była to kapitańska butelka brandy.

Pociągnij -- zachęciła Sara. Dobry trunek. Taki sam piją panowie na rufie. Na pewno ci posłużą. Żołnierz nie wymagał zachęty. Jednym tchem wychylił pół zawartości flaszki, odsapnął i zerknął na dziewczynę. Pierwsza klasa! wyraził uznanie.

Prawda? Tak sądziłam spojrzała na niego z nieia-
joną odrazą. Do was, mężczyzn, przemawia tylko jedno: brandy.

Miles znowu postąpił krok.

Nie tylko powiedział z łakomym błyskiem w ma-
łych, świńskich oczkach. Do mnie przemawia jeszcze coś innego. Mam powiedzieć panience co?

Ton ostatniego zdania przypomniał dziewczynie, w jakim celu zeszała na dolny pokład. Roześmiała się w miarę głośno i wesoło i położyła dłoń na ramieniu towarzysza. Miles był młody. Należał do kategorii głupawych wiejskich wyrostków, co zamieniają pług na karabin i za szylinga dziennie poznają blaski i cienie wojennej chwały. Cóż dziwnego, że w takiej sytuacji zarumienił się aż do krótko ostrzyżonej czupryny.

Wystarczy, Miles powiedziała Sara. Jesteś już dostatecznie blisko. Rozumiesz chyba, że nie mam ochoty na romans z prostym szeregowcem.

Nie ma panienka ochoty? ??- zdziwił się. -- No to po co panienka kazała mi tu czekać?

Praktyczny z ciebie chłopak roześmiała się swobodnie. -- A nie przyszło ci na myśl, że mogę mieć coś do powiedzenia?

Miles pożerał ją wzrokiem.

Wiem, że ciężko być żoną żołnierza -- podjął akcentując ostatni wyraz z iście rekrucką dumą. -- Ale mogłoby się panience jeszcze gorzej trafić. A ja będę pracować jak wół, byle panience niczego nie brakło. Będę pracować, jak Boga jedyne go kocham!

Spojrzała na niego z zaciekawieniem i nie bez satysfakcji.

Czas miała wyliczony, ale nie potrafiła oprzeć się pokusie, bardzo bowiem lubiła słuchać pochwał pod własnym adresem.

Wiem, panno Saro, że ja nie jestem wart panienki.

Panienka jest damą, ale ja panienkę kocham, a przywiódł mnie do tego diabelskie sztuczki panienki.

Czyżby?

A pewnie, pewnie! Dlaczego panienka najprzód się ze mną umówiła, a potem poszła i zaczęła kręcić w głowie innym?

Jakim znów innym?

No, tym z rufy. Najprzód był kapitan okrętu i doktor, a później ten... jakże mu tam... Frere. Widziałem, jak panienka spacerowała z nim wieczorem na pokładzie. Niech go choroba! Rad bym mu w ten rudy łeb strzelił!

Ciszej, Miles, ciszej, bo żołnierze usłyszą, mój drogi.

Twarz jej płonęła, rozdęte nozdrza drżały. Niezaprzeczenie była piękna, ale miała teraz w sobie coś tygrysiego. Miles, zachęcony zwrotem „mój drogi”, otoczył ramieniem smukłą kibić Sary, podobnie jak Blunt przed niedawnym czasem. Tym razem nie obruszyła się tak gwałtownie. Prostym szeregowiec mógł być chwilowo bardziej przydatny niż kapitan okrętu.

Szszaa! – syknęła. – Ktoś idzie. Żołnierz odskoczył, ona zaś spokojnie wygładziła suknię.

38

39

Nikt nic idzie oznajmił Mile:,,

Widocznie się przesłyszałam. Posłuchaj teraz, Miles.

Zbliź się.

Chłopak posłuchał chętnie.

Kto jest w szpitalu? zapytała

Czy ja wiem?

Chcę tam wejść. Miles skrzywił się i podrapał w głowę

Nie da rady.

Dlaczego? Przecież mnie dawniej wpuszczales.

Teraz doktor zakazał. Powiedział wyraźnie, że nikt tam nie ma wstępu. Tylko on jeden.

Nonsens!

Jaki znów nonsens? Dziś doktor wziął do szpitala więźnia. Woli, żeby z nim nikt nie gadał.

Więźień w szpitalu? zainteresowała się Sara. Co mu się stało?

Nie wiem. Ale ma mieć święty spokój, dopóki stary Pine znów nie przyjdzie.

Posłuchaj, Miles. Musisz mnie wpuścić podjęła dziewczyna zdecydowanym tonem.

Niech panienka nie nalega. To byłoby wbrew rozkazowi...

Wbrew rozkazowi! przerwai.i. A kto przed chwilą bredził, że chciałby zastrzelić oficera?

Ja bredziłem? -- rozgniewał się chłopak. Bredziłem czy nie bredziłem, i tak panienki nie wpuszczę.

Niech i tak będzie odwróciła się zwinnie. Jeżeli tak mi dziękujesz za to, że zmarnowałam tutaj tyle czasu, wracam na pokład.

Słusznie... ee... - mruknął zbity z tropu chłopak.

Dużo tam przyjemnych panów. Ruszył śladem odchodzącej Sary.

Pan Frere na pewno pozwolił ms pójść do szpitala, jeżeli go poproszę powiedziała, lecz u stóp drabiny odwróciła się znowu.

Dobry z ciebie chłopak, Miles podjęła. Wiem, że

mi nie odmówisz.

Uśmiechnawszy się do naiwnego wyrostka, z którego robiła durnia, weszła szybko do kabiny szpitalnej. Nie było tam latarni, a częściowo przesłonięte iluminatory przepuszczały niewiele światła. Monotonny szelest wody rozbijającej się o bok leniwie rozkołysanego statku czynił melancholijne wrażenie, a ciężki oddech zdawał się przesycać całą atmosferę. Ciche skrzypnięcie drzwi zaniepokoiło chorego. Podparł się łokciem i zaczął mamrotać.

Sara przystanęła na progu, ale nie mogła zrozumieć zdławionych, urywanych słów. Ruchem ramienia, którego biel widoczna była w półmroku, przywołała Milesa.

Latarka – szepnęła. Przynies latarkę.

Żołnierz zdjął dyndającą na sznurze latarkę i przyniósł ją dziewczynie. W tej chwili chory usiadł na koi i pochylił się w kierunku światła.

Sara zawołał przejmującym głosem i wyciągnął przed siebie wychudłą rękę, jakby chciał pochwycić zjawisko. Sara!

Dziewczyna wyrwała latarkę z rąk Milesa, skoczyła niby pantera i zatrzymała się przy grodzi kabiny. Chory więzień młody, dwudziestokilkuletni mężczyzna – miał małe, kształtne dłonie zaciśnięte teraz kurczowo na kocach. Jego nieogolony podbródek pokrywała gęsta, bujna szczeć, czarne oczy płonęły gorączkowym blaskiem, a krople potu perliły się na bladym czole. Widać było, że oddycha z niezmiernym wysiłkiem.

Widok był iście upiorny, toteż Miles cofnął się i zaklął głośno. Nie dziwiło go wcale przerażenie Sary, która zapatrzona w chorego na barłogu stała z otwartymi ustami i spopielała twarzą, znieruchomiała, jak gdyby nagle obrócona w kamień.

A to ci przedstawienie, jak Boga kocham – odezwał się wreszcie żołnierz. – Chodźmy stąd, panienko, i prędko zamknijmy drzwi. On na pewno zwariował.

Słowa te wróciły Sarze przytomność. Postawiła latarnię na podłodze i podeszła do koi.

Głupcze! – zawołała. Nie widzisz, że się dusi?

Wody! Prędko wody!

Otoczyła ramieniem głowę chorego i przygarnawszy ją do piersi zaczęła tulić i głaskać niemal bezwiednie.

Miles zanurzył kubek w otwartej baryłce przytwierdzonej do grodzi w rogu kabiny i podał Sarze, ta zaś bez słowa

40

41

podniosła go do ust więźnia. Chory chciwie wychleptał wodę i z cichym westchnieniem ulgi opuścił powieki.

W tej chwili żołnierz pochwycił czujnym uchem szcęk broni.

Doktor idzie, panienko! zawołał. Wartownik sprezentował broń. Uciekajmy! Prędko! Prędko!

Sara chwyciła latarkę i odemknawszy rogową pokrywę zdmuchnęła płomyk.

Powiedz, że zgasła szepnęła rozkazującym tonem i trzymaj język za zębami. Ja dam sobie radę. Pochyliła się nad chorym, jak gdyby chciała poprawić poduszkę, a potem umknęła z kabiny szpitalnej, w chwili gdy Pine schodził po trapie.

Hej, tam! – zawołał lekarz potykając się w ciemnościach. Gdzie, u licha, latarnia?

Tutaj, panie doktorze odpowiedział Miles.

Wszystko w porządku. Latarnia sama zgasła, panie doktorze.

Sama zgasła! Nie mogłeś uważać, ośle? burczał

lekarz niczego nie podejrzewając. Ładna korzyść z laterek, co same gasną!

Omackiem szukał drogi wśród ciemności, a Sara przemknęła obok niego niepostrzeżenie i cichaczem wspięła się po drabinie na pokład.

V

Kojec

Więzienie na międzypokładziu zaległa ciemność nabrzmiała szmerem głosów. Wartownik przy trapie miał za zadanie „nie dopuszczać, by więźniowie hałasowali”, lecz przepis ten interpretował swobodnie i reagował tylko w przypadku krzyków lub bijatyk, które zdarzały się niekiedy.

Taką metodę postępowania dyktowała zarówno rozwaga, jak lenistwo, jeden bowiem żołnierz niewiele mógł zdziałać wobec tłumu. Więźniowie traktowani zbyt surowo robili

42

ogłuszającą kocią muzykę, która bezsprzecznie zasługiwała na miano „hałasowania”, zarazem jednak uniemożliwiała indywidualne kary. Trudno było skazać na chłostę stu osiemdziesięciu ludzi, a poszczególni sprawcy wrzawy byli nieuchwytni. A zatem na mocy milczącej umowy więźniowie rozmawiali szeptem i poruszali się swobodnie wewnątrz dębowego kojca.

Dla przybywsza z otwartego pokładu miejsce to było nieprzejrzane ciemne, ale nawykłe do półmroku oczy więźniów nie najgorzej rozróżniały pobliskie przedmioty. Na międzypokładziu mierzącym pięć stóp i dziesięć cali wysokości więzienie zajmowało powierzchnię mniej więcej pięćdziesiąt stóp długą i tak samo szeroką. Potężna barykada była opatrzona w strzelnice, a od strony rufy, tuż obok żołnierskich koi, znajdowała się kłapa podobna do stropowych drzwi piwnicy. Na pierwszy rzut oka zdawać się mogło, że jest to urządzenie wentylacyjne. Ale dokładniejsze oględziny zdradzały, że w otwór można wprowadzić lufę ustawionej opodal armaty, co umożliwia wymiecenie całego kojca kartaczami w przypadku buntu. Tak zwane świeże powietrze trafiało do więzienia przez strzelnice i w nieco większych ilościach dostawało się przez płócienne nawiewniki umieszczone po jednej tylko stronie od głównego trapu. W tej sytuacji z orzeźwiającego powiewu korzystało jedynie dwudziestu lub trzydziestu szczęściarzy, którym przypadły w udziale dogodne legowiska, reszta zaś miała się znacznie gorzej. Otwory wentylacyjne były stale uchylone, ponieważ jednak przesłaniały je prycze, dostarczane tą drogą powietrze należało wyłącznie do zajmujących najbliższe miejsca. Liczba prycz wynosiła dwadzieścia osiem, a każda obliczona była na sześciu ludzi. Biegły one podwójnym rzędem z trzech stron kojca: po dziesięć z obu boków i osiem przy dziobowej barykadzie koło drzwi.

Legowiska te miały mierzyć po pięć stóp i sześć cali szerokości, lecz konieczność pomieszczenia ładunku pochłonęła te sześć cali, a i tak dwunastu więźniów musiało sypiać na deku. Pine nie przesadzał mówiąc o przeciążeniu okrętów-więzień, a że za każdego zesłańca dostarczonego żywcem do Hobart Town przysługiwała mu nagroda wynosząca pół gwinei, miał słuszny powód do utyskiwań.

43

Przed godziną, kiedy Frcrc zeszedł na iniedzypokładzie, skazańcy leżeli grzecznie pod kocami. Obecnie działo się inaczej, chociaż na pierwszy szcęk rygla znów zapanowałyby w więzieniu spokój i wszyscy udawaliby, że śpią głęboko. Gdyby ktoś zeszedł teraz do ładowni i przyzwyczał wzrok do ciemności, zobaczyłby w cuchnącym półmroku dziwaczny i odrażający obraz. Stłoczeni w ciasnocie mężczyźni leżeli,

stali, siedzieli w rozmaitych pozach lub przechadzali się tu i ówdzie. Było to w pewnym sensie powtórzenie sceny ze spacerowej klatki, obecnie jednak dzikie bestie (z dala od wzroku dozorców) poruszały się nieco swobodniej. Niepodobna oddać słowami ohydy owych postaci i twarzy snujących się w zduszonej atmosferze więziennych ciemności. To wizja godna ołówka Callota* albo pióra Dantego; nieudolny opis mógłby wzbudzić najwyżej obrzydzenie. Życie ludzkie ma głębie, których nie ważymy się badać, jak nie ważymy się wchodzić do labiryntu skalnych pieczar.

Starcy, młodzi ludzie, wyrostki, krzepcy włamywacze i bandyci leżeli obok chuderlawych kieszonkowców lub pajęczarzy o przebiegłych szcurzych gębach. Fałszerz zajmował wspólną pryczę z hieną cmentarną. Kasjer defraudant poznawał osobliwe tajemnice złodziejskiego cechu, a nieokrzesany rzeźmieszek uczył się manier od zawodowego hochsztaplera. Szuler i obrotny wydrwigrosz wymieniali zyskane doświadczenia. Przemysłnik opowiadał o pomyslnych wyprawach i oszałamiających zyskach, a pospolity rabuś marzył o ciemnych, mglistych nocach i ukradzionych zegarkach. Kłusownik, co smętnie medytował o chorowitej żonie i pozostawionych w nędzy dzieciach, wzdrygał się nerwowo, gdy rajfur klepiąc go po ramieniu radził, by „trzymał się mocno i był prawdziwym mężczyzną”. Lekko-myślny subiekt, którego rzuciło na ten statek zamiłowanie do sztywnego towarzystwa i wystawnego życia, łatwo pozbywał się skruchy i wstydu, by chciwym uchem łowić opowieści starych wyjadaczy o uwiecznionych powodzeniem przestępstwach lub zbrodniach.

• Jacques Cali ot (1592 1635) francuski rytownik, znany szczególnie ze znakomitych scen batalistycznych. Zesłanie wydawało się tutaj pospolitą sprawą. Starzy wyjadacze kiwali siwymi głowami i ze śmiechem mówili o dawnych dziejach, a młodzież słuchała pilnie, zazdroszcząc weteranom wspaniałej przeszłości. Społeczeństwo było wspólnym wrogiem, a stróże prawa, sędziowie, dozorczy więzienni, duchowni stanowili naturalnych przeciwników. Tylko durnie są uczciwi, tylko tchórze całują kańczug i nie gotują zemsty praworządному światu, który ich krzywdzi. Każdy złotodziób stawał się rekrutem wielkiej armii buntowników i po krótkim pobycie w zatęchłej norze zaczynał z głębi serca nienawidzić porządków i praw ludzi wolnych. Nie miało znaczenia wszystko, co robił dawniej. Obecnie był tylko więźniem wtrąconym do plugawego kojca, w tłum bluźnierczy, występny i bezwstydnny. Cóż dziwnego, że tracił cały szacunek dla samego siebie i wnet zostawał tym, za co poczytywali go strażnicy: dziką bestią, której tylko zamki i kraty nie pozwalają wyrwać się i targać ludzi na sztuki.

Tematem rozmowy było niespodziewane odejście czterech towarzyszy.

Po co byli potrzebni o takiej porze? Powiadam ci, że coś się stało na pokładzie. Nie słyszałeś tego tupania i szurania?

Właśnie! Zdaje mi się, że było też słychać plusk wiosel.

Po diabła mogli spuszczać łodzie?

Nie wiem. Może ktoś tam zdechł i robili mu pogrzeb? domyślił się z pogodą niski, barczysty mężczyzna.

Aha! Pewnie jeden z tych drani z rufy! ucieszył się ktoś inny i zarechotał śmiechem.

Za dużo byłoby szczęścia. Prędzej my odwalimy kite niż oni. Myślę, że to panowie wybrali się na rybki.

Frajer! Nikt nie spuszcza łodzi, żeby łowić ryby, i to po nocy.

Po nocy lubi łowić stary Dovercy roześmiał się ktoś, pijąc do siwowłosego draba drugi raz skazanego za wykradanie trupów z cmentarzy.

Aha! Tylko że on woli śniętych ludzi niż żywe rybki wtrącił młodzieniec cieszący się opinią, iż najczujniej w całym Londynie „stoi na świecy”. Biada wam, łowcy ciał ludzkich, jak powiadają klechy.

44

45

Złodziejaszek dobrze udawał ton kaznodziejski, więc odpowiedział mu wybuch tłumionego śmiechu.

W tej chwili chuderlawy londyński doliniarz zmierzając ku drzwiom roztrącił grupkę zajętą rozmową. Powitały go przekleństwa i szturchańce.

Stokrotnie panów przepraszam usprawiedliwił się intruz. Chciałem tylko odetchnąć świeżym powietrzem.

To wybierz się z dziwką w krzaki! zawołał „Świeca”, któremu animuszu dodało życzliwe przyjęcie poprzedniego żartu.

Boli! Oj, moje plecy! pisnął doliniarz.

Wynoście się stąd! pisnął inny głos w ciemności.

O rety! Duszę się! Hej! Wartownik! Na pomoc!

Wody! krzyknął znowu mały kieszonkowiec.

Na miłość boską, dajcie nam trochę wody! Przez cały dzień nie miałem kropli w pysku.

Na morzu każdy dostaje pół galona a dziennie i koniec powiedział były marynarz. Gdzieś przehandlował swoją porcję, co?

Ktoś mi ją zwędził poskarżył się wyrostek, który przez cały czas wił się pod nogami „Świecy” i jego kompanów.

Na pewno łże. Sprzedał! zawołał więzień z pobliskiej pryczy. Sprzedał, jak pragnę szczęścia! Za pół galona wody chciał kupić elegancki niedzielny surdut. Okropny z pana człowiek pisnął kobiecym głosem i udając zgorszenie nakrył głowę kocem.

Puście mnie już, panowie, puście prosił doliniarz, z zawodu terminator krawiecki. Zmiłujcie się, panowie, bo zdechnę! Już zdycham!

Konwersacja więzienna zaczęła być trochę zbyt głośna.

Dajcież spać, do cholery! odezwał się nowy głos i z górnej pryczy wyjrzała potargana czupryna. Chcecie, żebym zeszedł i porachował komu kości?

Widocznie przemówił ktoś znaczny, bo zgiełk umilkł niezwłocznie, a w ciszy zabrzmiał zduszony pisk niefortunego krawca:

Ratunku! Bo mnie zdeptają!

Co tu się wyrabia? wrzasnął ten, który uspokoił zamieszanie, i zeskoczywszy z pryczy roztrącił niesforną gromadkę.

Dajcie mu spokój! Słyszycie?

Powietrza! – skamlał doliniarz. Powietrza! Słabo mi!

W tej chwili rozległ się głuchy jęk na nieco dalszej pryczy.

Znów chory odezwał się ktoś o miłosiernym sercu.

Trzeba dać znać straży.

Pewnie, że warto – podchwycił żartowniś. – Zabiorą go i dla zdechłaków będzie więcej świeżego powietrza.

Hej! Wartownik! Człowiek zachorował! Wartownik!

Ale żołnierz na posterunku dobrze znał swoje obowiązki i wolał nie odpowiadać. Był młody, lecz orientował się w chytrych podstępach więźniów, a ponadto kapitan Vickers

troskliwie wbił mu w pamięć, że „według regulaminów królewskich wartownikowi nie wolno odpowiadać na pytania lub prośby więźniów, a w razie potrzeby należy wezwać podoficera służbowego”. Strażnik mógł oczywiście porozumieć się z wartownią na fordeku, nie chciał jednak zakłócać spokoju kolegom z racji tak błahej jak niedyspozycja więźnia. Ponadto wiedział, że za kilka minut nastąpi zmiana, wolał więc odwlec sprawę.

Tymczasem krawiec poczuł się gorzej i zaczął jęczeć boleśnie, a jego opiekun znowu zabrał głos.

Nuże! zawołał. – Pomóżcie mu! Nie róbcie tłoku.

Do drzwi go. Dalej.

Więźniowie usłuchali i podając chorego z rąk do rąk, dostarczyli go pod dziobową barykadę.

Wody! – szeptał bębniąc słabo w potężne dębowe bale. Pić, na miłosierdzie Boże! Dajcie nam wody, panie żołnierzu.

Ale przezorny wartownik nie odpowiadał i czekał na dzwon zapowiadający zmianę na posterunku. Wreszcie dzwon zabrzmiał, a stary Pine, który zszedł do ładowni, aby zbadać swojego pacjenta, dowiedział się, że jest jeszcze jeden chory. Bez zwłoki kazał otworzyć drzwi i wyprowadzić krawca. Wystarczyło jedno spojrzenie na rozgorączkowaną, wykrzywioną twarz cherlaka.

– A kto tam jeszcze jęczy? zapytał lekarz.

46

47

Był to więzień, który od godziny daremnie wzywał wartownika. Pine kazał go również wyprowadzić, co wywołało niejaki wrazenie pośród pasażerów kojca.

Obydwu do szpitala rozkazał. 1 słuchaj, Jenkins, jeżeli jeszcze który zasłabnie, daj mi zaraz znać. Będę na pokładzie.

Żołnierze wymienili znaczące spojrzenia. Byli trochę zaniepokojeni, ale nie rozmawiali na ten temat, bo nieznaną statek płonący na spokojnej tafli wody zaciekał ich bardziej niż inne, bliższe niebezpieczeństwo.

U szczytu drabiny Pine spotkał kapitana Blunta.

Mamy zarazę na pokładzie powiedział.

Wielki Boże! przeraził się wilk morski. Co ty gadasz, Pine?

Lekarz pokiwał frasobliwie szpakowatą głową.

Wszystko przez tę piekielną ciszę mruknął.

Chociaż czego się można było spodziewać na tak przeładowanym statku? Kiedy służyłem na „Hekubie”...

Kto tak wrzeszczy?

Lekarz roześmiał się na pół ironicznie, na pół współczująco.

Oczywiście jakiś więzień. A tyś myślał, że kto? Wciąż ryczą w tej ciasnocie, niczym woły na Smithfield. Stu osiemdziesięciu ludzi w klitce pięćdziesiąt stóp długiej!

A powietrze tam niby w diabelskim piecu. Ładna historia!

Kapitan tupnął gniewnie.

Nie moja wina! odburknął. Żołnierzy też muszę jakoś pomieścić. Nic nie poradzę, jeżeli rząd przeciąża te piekielne statki.

Rząd! Właśnie rząd! Dobre sobie! Rząd nie sypia na międzypokładziu w ładowni wysokiej na niespełna sześć stóp! Rząd nie dostaje tyfusu od tropikalnego skwaru...

Nie... Ale...

Najważniejsze „ale”, to że rząd ma w nosie takie sprawy.

Blunt otarł zroszone potem czoło.

Kto zachorował pierwszy? spytał.

Więzień z koi numer dziewięćdziesiąt siedem, w dolnym rzędzie. Powiada, że nazywa się John Rex.

Jesteś pewien, że to tyfus?

Najpewniejszy. Głowa gorąca jak ogień, język wyschnięty na rzemień. Omyłka niemożliwa – uśmiechnął się posępnie. Kazałem go przenieść do szpitala... Szpital! Ładny mi szpital. Ciemno tam jak w kopalni. Widywałem znacznie porządniejsze psie budy.

Blunt wskazał spojrzeniem unoszące się nad odległą łuną obłoki dymu.

Przypuśćmy, że dostanę świeży ładunek: tamtych pogorzalców... Nie mogę przecież odmówić ich przyjęcia. A nie możesz, nie możesz. Jeżeli przypłyną, musisz ich jakoś upchnąć. Będzie wówczas tylko jedno wyjście: jak wiatr powieje, pruć pełnymi żaglami do Przylądka Dobrej Nadziei.

Pine odwrócił się, by popatrzeć na płonący okręt.

VI

Los „Hydaspesa”

Tymczasem dwie szalupy zmierzały prosto ku szkarłatnej kolumnie, co niby olbrzymia pochodnia wznosiła się nad spokojnym morzem.

Jak określił Blunt, płonący statek znajdował się o dobre dwanaście mil od „Malabara”, a więc podróż była uciążliwa i długa. Z dala od burt okrętu, którym odbywali ponury rejs, żeglarze poczuli się jak gdyby w innym świecie, bo po raz pierwszy objawił się im naprawdę bezmiar oceanu. Na pokładzie okrętu otaczały ich wspomnienia starego ładu, nie zdawali więc sobie sprawy, jak bardzo oddalili się od cywilizacji, pośród której na świat przyszli. Dobrze oświetlony, wygodny salon kapitański, koszarowa wesołość na dziobie, uregulowany tryb życia, punktualne zmiany warty, nawet ponura monotonia więziennej ładowni – wszystko to dawało podróżnikom poczucie bezpieczeństwa i oddalało lęk wobec nieznanego gróźb morza. Byli rzućeni na wodne bezkresy, lecz nie osamotnieni, a zatem każdy myślał podświadomie, że potrafi wytrzymać to, co znosi tylu innych.

48

Dczywolmc

zesłanie

49

Obecnie jednak załogi szalup odczuwały własną znikomość, znalazły się bowiem na rozległym oceanie, pomiędzy dwoma okrętami, z których jeden malał z każdą chwilą, drugi zaś gorzał coraz widoczniej. „Malabar” ów potwór morski, co w przestronnym wnętrzu mieścił tak wiele żywych i cierpiących istot ludzkich – skurczył się do rozmiarów łupiny orzecha. Wydawał się drobiną, a przecież szalupy były takie maleńkie, gdy wypływały z cienia potężnej niby baszta rufy. Wówczas kadłub okrętu był jakby symbolem bezpieczeństwa i mocy. Obecnie sprawiał wrażenie kawałka drewna pływającego na bezkresnych i niezgłębionych obszarach wody. Niedawno błękitna raca oświetliła ocean, odebrała blask gwiazdom i upiornym błyskiem rozjaśniła kopułę niebios. Teraz była punkcikiem migocącym w oddali i tym bardziej świadczącym o znikomości okrętu. „Malabar” sprawiał wrażenie świetlika na pływającym liściu, a ognie sygnałowe rozjaśniały mrok nie bardziej niż jedna świeczka zapalona przez górnika w czarnej czeluści szybu węglowego. A jednak na tym okręcie znajdowało się z górą dwieście istot ludzkich!

Woda dokoła szalup była czarna i gładka; ciche, równe fale zdawały się tym groźniejsze. Szumiące morze mówi, a głos jego rozluźnia pęta strachu, natomiast kiedy milczy

i drga bezszelestnie, budzi obawę, gotuje zdradliwą zasadzkę. Podczas ciszy ocean przypomina zadumanego olbrzymia, który cicho i posępnie knuje coś złego. Ponadto rozkołysane morze wydaje się mniej rozległe niż wówczas, gdy drzemie. Spiętrzone fale przybliżają widnokraj. Człowiek nie widzi wtedy spokojnych, gładkich fałd ciągnących się jednostajnie przez niezliczone mile. Aby w pełni ocenić straszliwy bezmiar oceanu, trzeba zobaczyć jego drzemkę.

Nad cichymi wodami spoczywał strop bezchmurnego nieba. Gwiazdy lśniły fioletowo przez dolne warstwy eteru. Wśród bezcielesnej ciszy każdemu zanurzeniu wiosła odpowiadały harmonijne echa grające w bezmiarach przestrzeni. Kiedy pióra dotykały wody, tryskały z niej iskry, a za szalupami ciągnęły wydłużone fosforyzujące ślady, niby dwa węże morskie sunące przez toń żywego srebra.

Był to jak gdyby wyścig. Wioślarze zaciskali zęby i w skupieniu pracowali niestrudzenie. Ale po pewnym czasie pierwsza łódź zwolniła nagle, a Best wyprzedził ją z triumfalnym okrzykiem i posterował prosto ku rosnącej na morzu purpurowej plamie.

Co się stało? – zawołał.

W odpowiedzi usłyszał przekleństwo Frere'a i szalupa znów nabrała szybkości, próbując wyrównać straty. Nie stało się na niej nic ważnego, tylko jeden z więźniów opadł z sił.

Co z tobą? – warknął Frere. – Bodaj cię wszyscy diabli! A, to ty, Dawes. Naturalnie, Dawes! Czego innego można się było spodziewać po takim draniu? No, bierz się w garść, bo ze mną nie ma żartów! Do roboty, bydlaku!

On chyba chory, panie poruczniku – odezwał się miłosierny głos z dzioba.

Chory? Nic podobnego! Udaje. No, bierz się za wiosło, łajdaku!

Więzień przemógł słabość i szalupa ruszyła szybciej. Ale mimo gróźb i próśb porucznika nie zdołała doścignąć rywalki i pan Best znalazł się pierwszy pod obłokami dymu, co unosiły się nad zaróżowionym od łuny morzem. Na jego rozkaz łódź Frere'a stanęła burtą w burtę.

Musimy trzymać się z dala. Jeżeli na pokładzie jest jeszcze wiele ludzi, mogliby nas wyrzucić i zatopić. A coś na to wygląda, bo nie spotkaliśmy łodzi ratunkowych mówił Best, a utrudzone załogi odpoczywały wsparte na wiosłach.

Potem pierwszy oficer „Malabara” podniósł głos i jał nawoływać w stronę płonącego statku.

Był on duży i ciężko zbudowany. Nad kadłubem o szerokim śródokręciu wysoko sterczał przestronny pokład rufowy. Całość sprawiała wrażenie opuszczonego przez załogę wraka, co było dziwne, gdyż pożar zauważono na „Malabarze” stosunkowo niedawno. Głównie siedlisko ognia znajdowało się na śródokręciu, a dolny pokład spowijało morze płomieni. Tu i ówdzie widać było w bokach ziejące purpura wyrwy, przecięte poczerniałymi belkami niby prętami kraty. Główny maszt upadł na prawą burtę i przechylił w tę stronę wrak. Ogień huczał niby olbrzymi wodospad, a potężne kłęby upstrzonego iskrami dymu dobywały się z ładowni i układały na morzu jak ciężkie czarne czmury.

50

51

Szalupa wolno opływała rufę. Frere nawoływał raz po raz. Nie było odpowiedzi, a chociaż powódź ognia ukazywała wyraźnie każdą linę i każde drzewce, wzrok nie mógł dostrzec na pokładach żywej duszy. Po chwili błysnęły złocone litery nazwy statku.

Co tam napisane? zawołał Frere, a jego głos utonął w ryku pożogi. Kto to odczyta, chłopcy? Rufus Dawes wstał i osłonił oczy dłonią, jak gdyby uległ obudzonej nagle ciekawości. No i co? — krzyknął Frere. Zapomniałeś gadać? Co tam napisane? „Hydaspes”

Frere zaniemówił.

„Hydaspes”! Statek, na którym odpłynął Ryszard Devine! Statek, który nigdy nie powróci do Anglii... Statek... Maurycy błyskawicznie przypomniał sobie rozważania na temat zaginionego kuzyna...

Druga szalupa podpłynęła cicho.

Odczytał pan nazwę? zapyta! Best. „Hydaspes”.

Słyszałem o nim. Płynął do Kalkuty, a na pokładzie miał pięć ton prochu.

Słowa te wystarczyły. Proste zdanie wyjaśniało zagadkową pustkę na wraku. Na pierwszy alarm załoga poszukała ratunku w szalupach i okręt ze śmiertelnym ładunkiem zostawiła na pastwę losu. Obecnie rozbitkowie musieli być daleko, na nieszczęście zaś nie zwrócili się w stronę możliwego ocalenia.

Łodzie pomykały szybko. Ludzie spieszyli do pożaru, ale z powrotem było im jeszcze pilniej. Kilka najbliższych minut miało zdecydować o wszystkim, gdyż płomienie sięgały już rufy. Przez chwilę milczeli wszyscy. Wioślarze pracowali zajadle, nie odrywając wzroku od płomieni i dymów, od których się oddalali. Frere i Best odwracali głowy, by spojrzeć na śmiertelne niebezpieczeństwo, i zachęcali załogi do jeszcze większego pośpiechu. Języki ognia pochłonęły już banderę i jęły lizać rzeźby na rufie.

Jeszcze moment, a dramat dobiegnie końca...

Nareszcie!

Z głuchym łoskotem płonący okręt rozpadł się na części. Ognisty słup uniósł poczerniałe szczątki wiązań i belek, aby wnet runąć tak potężnie, jakby sklepienie niebieskie zawaliło się do oceanu. Na miejscu „Hydaspesa” wyrosła olbrzymia góra wodna i zakolebała gwałtownie szalupami, aby po chwili zostawić ich ogłuszone, oślepe załogi na pastwę nieprzeniknionych ciemności i grobowej ciszy.

Ludzie ocknęli się na plusk opadających na wodę szczątków. W tej chwili błękitna rakietka wykreśliła na morzu świetlną smugę, uprzytomnili więc sobie, że są żywi i bezpieczni.

Na „Malabarze” dwaj mężczyźni przechadzali się po pokładzie wyglądając świtu.

Przyszedł nareszcie. Niebo pojaśniało, rozplynęły się mgły, a potem długa żółtawa smuga ubarwiła wschodni skraj widnokregu. Wody poczęły iskrzyć i stopniowo zmieniać kolor z czarnego na brunatny, a z brunatnego na bladozielony. Wreszcie marynarz z bocianiego gniazda oznajmił, że spostrzegł łodzie płynące w stronę statku. Pokłady zaroiły się od widzów, którzy przyglądając się szalupom i wodzie rozbijanej pracowitymi wiosłami, wznosili wesołe okrzyki i wymachiwali czapkami.

Nie wiozą nikogo! zawołał Blunt. — Wracają same załogi. Dobrze chociaż, że im się nic nie stało.

Szalupy przybiły i rychło Frere stanął na pokładzie.

No i co, poruczniku?

Szkoda było fatygi odparł młody oficer dygocąc z chłodu. Ledwie zdążyliśmy umknąć. Na Boga! Niewiele brakowało, panie kapitanie.

Widział pan kogoś?

Ani żywego ducha. Pewno wcześniej spuścili łodzie ratunkowe.

W takim razie nie mogą być daleko —? zawołał Blunt badając horyzont przez lunetę. — Muszą przez cały czas wiosłować, bo tego przeklętego wiatru wciąż nie ma i nie ma. —? Mogli popłynąć w przeciwną stronę — powiedział Frere. — Sprawa prosta. Daliśmy im co najmniej cztery godziny for.

Z kolei Best wspiał się na pokład i zaczął opowiadać wszystko gromadce pilnych słuchaczy. Marynarze podnieśli i umocowali szalupy, a następnie pobiegli na dziób, aby

52
53

posilić się i między kęsami opowiadać swoje wrażenia. Czterej więźniowie zostali przekazani straży i zamknięci bezpiecznie na międzypokładziu.

— Zdrzemnąłby się pan trochę, Frere zaproponował stary Pine. — Nie ma po co tkwić cały dzień na pokładzie. I tak wiatru pan nie sprowadzi.

— Posłucham chyba dobrej rady, doktorze roześmiał się młodzieniec. — Zmęczony jestem jak pies i sen mi oczy klei.

Odwrocił się i zbiegł po trapie rufowym. Pine kilka razy przemierzył pokład, następnie zaś spojrzął wymownie na Blunta i zatrzymał się przed Vickersem.

Może nie powinienem tak mówić, panie kapitanie zaczął — ale lepiej będzie, jeżeli nie odszukamy tamtych biedaków. I bez nich dosyć mamy na głowie.

Jak to, panie Pine? obruszył się oficer, w którym uczucia ludzkie wzięły widocznie górę nad oschłością. — Nie zostawimy przecież rozbitków na pełnym morzu!

— Nie wiem, czy rozbitkowie byliby nam wdzięczni za przytułek.

Nie rozumiem, panie Pine.

Na „Malabarze” wybuchła epidemia tyfusu. Vickers zmarszczył czoło. Nie miał doświadczenia w takich sprawach i nie dostrzegał własnego zagrożenia, chociaż rozumiał, że w przeludnionym więzieniu epidemia może być groźna.

Bardzo przykra wiadomość powiedział. Liczę jednak, że pan, doktorze, podejmie stosowne kroki i... Jak dotąd, chorują tylko więźniowie rzekł lekarz akcentując złowróżbne dwa pierwsze wyrazy. Ale trudno przewidzieć, czym się to skończy. Na razie mam w szpitalu trzech pacjentów.

— W takich warunkach decyzja należy do pana, doktorze. Ja chętnie zastosuję się do wszelkich wskazówek.

— Bardzo dziękuję, panie kapitanie. Na początek muszę mieć więcej miejsca w szpitalu. Należałoby trochę ścieśnić żołnierzy.

Zobaczę, co się da zrobić.

A małżonka pana kapitana i mała powinny jak najwięcej przebywać na pokładzie.

Vickers przygryzł wargi, bo oschły ton i przerażająca rzeczowość starego lekarza wydały mu się zapowiedzią nieszczęścia.

Wielki Boże! Sądzi pan, że... że Sylwii grozi niebezpieczeństwo?

Niebezpieczeństwo grozi wszystkim. To zrozumiałe.

Ale ostrożnością można wiele zdziałać. Aha! Jest ta pokojówka pani Vickers. Niech pan jej powie, żeby trzymała się bardziej na uboczu. Ma brzydki zwyczaj wałęsania się po całym statku. Widzi pan, tyfus jest bardzo zaraźliwy, a dzieciom udziela się łatwiej niż dorosłym.

Vickers zbladł na wzmiankę o ukochanej córce.

Milczący dotąd Blunt wystąpił nagle w obronie Sary.

Co chcesz od pokojówki, Pine?—powiedział. — Moim zdaniem jest zupełnie na miejscu. Temu nie przeczę — obruszył się doktor. — Dodam nawet, że pewnie ostatnia zachoruje. Jest żywotna niczym kotka. Widać to dobrze z jej twarzy. Ale i ona może przenieść zarazę, podobnie jak każdy inny.

— Ja... ee... Zabronię zaraz... — wyjąkał biedny Vickers i odwrócił się na pięcie, by stanąć twarzą w twarz z osobą, przed którą Pine ostrzegał.

Sara była bledsza niż zwykle, a ciemne sińce pod jej oczami świadczyły o nie przespanej nocy. Rozchyliła już usta, żeby coś powiedzieć, umilkła jednak na widok chlebowca.

Co się stało? — zapytał Vickers. Dziewczyna spojrzała kolejno na trzech mężczyzn. Ja do pana doktora — odezwała się wreszcie.

Uczucie podszeptało kapitanowi cel, w jakim Sara przyszła.

Ktoś zachorował? rzucił szybko. Ta-ak... Panienska, panie kapitanie. Myślę, że to nic poważnego. Jest trochę rozgorączkowana i kaprysi. Ale pani kapitanowa kazała... Vickers zbladł i w jednej chwili był na dole trapu. Pine chwycił dziewczynę za krągłe ramię. Gdzieś ty łąziła? — zapytał.

54

55

Zarumieniała się mocno i zwróciła błagalne spojrzenie w stronę Blunta.

Nie denerwuj się, Pinc powiedział kapitan. Daj spokój tej smarkuli.

Byłaś ostatniej nocy z Sylwią? indagował lekarz nie uwalniając ramienia pokojówki.

Nie... Byłam w swojej kabinie od wczorajszej kolacji. Pani kapitanowa dopiero co mnie zawołała. Proszę mnie puścić, panie doktorze. To boli.

Pine uwolnił dziewczynę, zadowolony widąc z wyjaśnienia.

Przepraszam — mruknął niepewnie. Nie chciałem cię skrzywdzić. Ale, widzisz, tyfus zaczął się w więzieniu i boję się, że Sylwia na to właśnie zachorowała. Uważaj teraz i nie chodź tam, gdzie cię nie potrzeba. Smutno pokiwał głową i zeszedł pod pokład śladem kapitana Vickersa.

Sara zaniemówiła z przerażenia. Przez chwilę stała z rozchyłonymi ustami i szeroko otwartymi oczyma. Potem zrobiła taki ruch, jak gdyby chciała się cofnąć, ale została na miejscu.

„Biedactwo! —?• pomyślał zacy Blunt Strasznie zaniepokoiła się o małą. Niech piorun trzaśnie tego nieokrzesanego medyka!”

Nie martw się, moja droga powiedział do pokojówki. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Nie raz już przeżyłem zarazę na morzu.

Przy jasnym dniu kapitan był do umizgów mniej skory niż pod osłoną nocy.

Dziewczyna ocknęła się na dźwięk głosu Blunta i postąpiła krok w jego stronę.

Zaraza na okręcie! Wiele o tym słyszałam. Przy takim tłoku ludzie będą ginęli jak muchy.

No, no, nie przejmuj się zanadto. Na pewno panna Sylwia nie umrze, a i ty także ujął jej dłoń. — Na tamten świat przejedzie się, być może, kilkudziesięciu więźniów. Widzisz, oni są ciasno upchani w ładowni, ale...

Dziewczyna cofnęła gwałtownie rękę, lecz w tejże niemal

chwili podała ją znów kapitanowi, jak gdyby nagle oprzytomniała.

Co się stało? •?- zapytał.

Niee... Nic... Źle się czuję... Wcale nie spałam w nocy.

Spokojnie, moja droga... Spokojnie... Znadto się przejmujesz. Lepiej idź do kabiny, połóż się trochę. Sara wpatrywała się w morze, mijając wzrokiem kapitaną, a robiła to tak uporczywie, że jej towarzysz mimo woli odwrócił głowę. Ruch ten przywołał dziewczynę do przytomności. Drgnęła, zmarszczyła ciemne brwi niby ktoś, kto po namyśle obrał metodę postępowania.

Ząb mnie okropnie boli powiedziała dotykając palcami policzka.

Zażyj opium poradził Blunt, który przypomniał sobie, jak jego matka kurowała podobne dolegliwości. Stary Pine chętnie da ci kilka kropel. Ku wielkiemu jego zdziwieniu Sara wybuchnęła płaczem.

Uspokój się, dziewczyno! Nie płacz, u diabła! Co ci się znowu stało? Nie płacz, jak Boga kocham – uspokajał ją zatroskany wilk morski. -- Dlaczego płaczesz?

Otarła perliste łzy i spojrzała nań wilgotnymi oczyma z wyrazem bezbrzeżnego zaufania.

Dla niczego... Jestem taka sama, daleko od kraju i... i... Doktor Pine posiniaczył mi ramię. O, proszę spojrzeć! Podniosła rękaw i na krągłej marmurowej bieli pokazała trzy różowe piętna.

-- Stary osioł! Bodaj go diabli! obruszył się Blunt i zerknawszy spiesznie dokoła, pocałował obolałe miejsce. Ode mnie dostaniesz opium. Nie będziesz musiała prosić tego niedźwiedzia. Głowa do góry! Chodźmy do mojej nory.

Kajuta kapitańska mieściła się po prawej stronie pokładu rufowego i miała aż trzy iluminatory. Jeden z nich wyglądał za burtę, dwa zaś na ocieniony płóciennym daszkiem pokład. Taką samą kabinę po przeciwnej stronie zajmował Maurycy Frere. Blunt zamknął drzwi i sięgnął po małą apteczkę ustawioną na hakach, z których zwisała luneta ozdobiona podobiznami flag sygnałowych.

Spójrz! Od lat nie rozstaję się z tym pudełkiem, chociaż korzystam z niego rzadko, dzięki Bogu. Poczekaj, zaraz dostaniesz kilka kropel.

56

57

Boję się! Może pan kapitan chce mnie otruć? Proszę mi dać buteleczkę. Poradzę sobie sama.

Tylko nie bierz za dużo, Pamiętaj, że to lek zdradliwy. – Nie ma obawy. Zażywałam już opium.

Drzwi były zamknięte, kiedy więc Sara wsunęła lekarstwo do kieszeni, rozkochany kapitan porwał ją w ramiona.

•?- No i co? He? Chyba zarobiłem na całusa?

Łzy obeschły już dawno, a skutkiem ich było tylko powabne zaróżowienie twarzy. Sara była rozumna i nigdy nie płakała tak długo, by z tej racji zbrzydnąć. Rzuciła kapitanowi powłóczyście spojrzenie ciemnych oczu.

Może później... Dziękuję szepnęła i umknęła zwinnie do swojej kabiny sąsiadującej z pomieszczeniem pani Vickers.

Przez cienką grodz słychać było popłakiwanie chorego dziecka. Łzy tym razem prawdziwe wezbrały w oczach Sary Purfoy.

- Biedna mała szepnęła. Mam nadzieję, że nie umrze.

Rzuciła się na łóżko i przywarła rozognioną twarzą do

poduszki. Jak widać, wiadomość o wybuchu epidemii wywarła na dziewczynie silne wrażenie. Czyżby tyfus miał pokrzyżować jakieś jej plany? Czy bliskie urzeczywistnienia rachuby miały zawieść i natrafić na przeszkodę nie do pokonania?

„Jeżeli Sylwia umrze, to przeze mnie medytowała Sara. Ale skąd mogłam wiedzieć, że on ma tyfus? Może sama się zaraziłam? Coś niedobrze się czuję! – Nagle usiadła olśniona nową myślą.–A może on umrze? Zaraza rozprzesztrzenia się szybko. Co wtedy? Spisek spełźnie na niczym. Trzeba więc działać szybko, zaraz! Nie wolno rezygnować w ostatniej chwili!”

Wyciągnęła flaszeczkę z kieszeni i spojrzała pod światło, żeby zbadać jej zawartość. Była pełna w trzech czwartych. Starczy dla obojwójch syknęła przez zęby, potem uśmiechnęła się na wspomnienie zakochanego Blunta.

– Dziwny to sposób okazywania uczuć mężczyźnie – szepnęła. – Ale cóż? On nie dba o mnie, a ja nie powinnam dbać o niego. Ha! Warto się z tym uporać! W najgorszym razie mogę przecież liczyć na Maurycego.

58

Obluźniła korek w buteleczce, aby wyciągnąć go w razie potrzeby bezszelestnie, i ukryła zdradliwy lek za pachą.

„Trzeba się trochę zdrzemnąć – pomyślała. – Oni dostali gryps. Wszystko winno stać się tej nocy”.

VII

Tyfus

Zesłaniec Rufus Dawes wyciągnął się na pryczy i usiłował zasnąć. Wszelako nie mógł zmrużyć oka, chociaż był zmęczony i głowa ciążyła mu ołowiem. Długa praca przy wiosle na świeżym powietrzu utrudziła go, zarazem jednak ożywiła i dodała sił. Ale groźna choroba dawała znać o sobie: tętno było szybkie i gwałtowne, a w rozognionych skroniach waliło niby młotem. Leżąc w ciasnocie i półmroku więzień przewracał się z boku na bok i przymykał powieki. Wszystko na próżno. Snu nie potrafił sprowadzić. W otępieniu słuchał głuchego szmeru głosów towarzyszy, a przed oczyma miał nieustannie obraz płonącego „Hydaspesa” – okrętu, którego katastrofa zatarła raz na zawsze wszelkie ślady nieszczęśliwego Ryszarda Devine'a.

Na szczęście więzień, który wiosłował w szalupie Frere'a, był gadatliwy, gdyż zesłańcy pragnęli wiele razy słuchać opowieści o wybuchu, a po powrocie z awanturniczej wyprawy Rufus musiał potwierdzić nazwę rozbitego statku. Gdyby nie wstrętny szacunek, jakim go darzono, byłby zapewne zmuszony do opisanie nieszczęścia „Hydaspesa” własnymi słowami i do udziału w ożywionej dyskusji nad widokami ocalenia rozbitek. Obecnie jednak zostawiono go w spokoju, leżał więc nie budząc niczyjego zainteresowania i próbował zasnąć.

Pięćdziesięciu ludzi oddychało świeżym powietrzem na pokładzie, a więc w ładowni było nieco chłodniej niż w nocy i wielu więźniów korzystało z okazji, by zdrzemnąć się

59

ukradkiem na opustoszałych pryczach. Czterem ochotnikom-wioślarzom zezwolono naturalnie na dobrze zasłużony wypoczynek.

Na razie tyfus nie wzbudził niepokoju. Komentowano wprawdzie trzy nagłe zasłabnięcia, ale pożar na „Hydaspesie” osłabił ich wrażenie i środki ostrożności zalecone przez doktora Pine'a przeszły prawie niepostrzeżenie. Starzy wyjadacze, co mieli już za sobą podobne podróże, podejrzewali coś niecoś, ale nic nie mówili żółtodziobom. Może

nawet byli zadowoleni, bo oczekiwać należało, że za burtę pójda najslabsi i najbardziej chorowici, a dla silniejszych zostanie więcej miejsca.

Trzej tacy starzy wyjadacze prowadzili właśnie rozmowę tuż obok legowiska Dawesa. Jak wiadomo, prycze mierzyły pięć stóp kwadratowych, a każda miała mieścić sześciu ludzi. Oznaczona numerem dziesięć (zajmowana przez Rufusa) znajdowała się w kącie pomiędzy prawą burtą a poprzeczną barykadą, za nią zaś była niewielka wnęka z otworem wentylacyjnym. Dawes miał obecnie tylko trzech „towarzyszy łoża”, gdyż John Rex i chuderlawy krawczyk odeszli do szpitala. Ci trzej gawędzili w kryjówce koło cienkiej obudowy pryczy. Pierwszy z nich – olbrzym, który poprzedniej nocy potrafił przywrócić porządek w ładowni sprawiał wrażenie herszta, a nazywał się Gabbett, Był recydywistą i po raz drugi płynął na ciężkie roboty, skazany za kradzież z włamaniem. Kompanii dotrzymywali mu: Sanders, lepiej znany pod przydomkiem „Lepka Ręka”, oraz Jemmy Vetch -- „Świeca”. Rozmawiali szeptem, ale Rufus nie mógł ich nie słyszeć.

Tematem był zrazu pożar i wybuch „Hydaspesa” oraz szansę ratunku dla jego załogi. Wywołało to wspomnienie 0 innych katastrofach i przygodach. Niebawem jednak Gabbett powiedział coś, na co dyskretny słuchacz drgnął 1 zaniechał próżnych starań, by usnąć. Usłyszał własne nazwisko połączone z imieniem młodej kobiety, którą dnia poprzedniego spotkał na pokładzie.

Sara gadała wczoraj z Dawesem. Sam widziałem – powiedział olbrzym i zaklął szpetnie. Wcale nie trzeba nam więcej kumpli. Nie myślę nadstawiać karku dla fantazji tej dziwki Rexa. Otwarcie jej to wygarnę.

Na pewno powiedziała mu tylko coś o tej małej odrzekł Świeca z łobuzerską gracją. Myślę, że pierwszy raz się spotkali. Co tu gadać! Cholernie leci na Johna, czyli nie zwącha się z innym chłopem ani nie sypnie. Jakbym myślał, że sypnie, udusiłbym sukę i tyle warknął gniewnie Gabbett.

John miałby tu trochę do powiedzenia wtrącił Lepka Ręka – a to gość, któremu niezdrowo wleźć na odcisk.

Stul pysk! – obruszył się Gabbett. – Szkoda gadać na wiatr. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Co teraz robić? – podjął Lepka Ręka. John chory, a bez niego dziwka palcem nie kiwnie.

Właśnie – burknął olbrzym. O to chodzi.

Drodzy przyjaciele – podjął wymowny i dwocipny Świeca bracia chrześcijanie! Wielka to szkoda, natura dała wam diabelnie twarde łby, ale zapomniała włożyć coś niecoś do ich wnętrza. Chcecie wiedzieć, co ja kombinuję? Dobrze! Teraz właśnie przyszła pora w sam raz. John jest w szpitalu. I co z tego? Przecież mu tam nie lepiej. A jeżeli on odwali kitę, dziewczyna rzeczywiście palcem nie kiwnie.

Rozumiecie? Dla niego, nie dla nas ona obmyśliła całą hecę.

Czy ja wiem? Może masz rację – wtrącił Gabbett tonem niezupełnego przekonania.

Na pewno mam rację i powiadam: trzeba się pośpieszyć. Jeszcze jedno! Jak chłopaki zwachają, że na łajbie mamy tyfus, zobaczycie, jakiego dostaną pietra. Wszyscy przystaną do nas. I co? Trzeba tylko dobrać się do broni, a robota pójdzie jak z płatką. Kapujecie?

Konwersacja, obficie przeplatana przekleństwami, obudziła w Rufusie żywe zainteresowanie. Wtrącony do więzienia i pospiesznie osądzony, nie wiedział o śmierci rzekomego ojca i odziedziczonej magnackiej fortunie. Cóż dziwnego, że

uległ posępnej rozpaczce, zobojętniał na wszystko i trzymając się na uboczu, pogardliwie odtrącał wszelkie przyjazne gesty zbrodniarzy. Obecnie dostrzegł swój błąd. Zrozumiał, że imię, które niegdyś nosił, przestało istnieć, a ostatnie nici łączące go z minionym życiem spłonęły w ogniu, który pochłoniął „Hydaspesa”. Dla zachowania tajemnicy Ryszard Devine dobrowolnie zrezygnował z nazwiska i naraził się na

60

61

śmierć potworną i haniebną. Tera/ tajemnicy tej nic nie grozi, bo Ryszard Devine zginął na morzu wraz z załogą nieszczęsnego statku. Udało mu się przecież wysłać list z więzienia i zrećcznie wprowadzić w błąd matkę. Ryszard Devine nie żyje, umarł więc również wstydlivy sekret jego pochodzenia. Na świecie został tylko Rufus Dawes, alter ego nieboszczyka Ryszarda Devine'a. Ów zesłaniec i zbrodniarz podejrzany o morderstwo winien żyć, aby odzyskać wolność i dokonać pomsty. W razie potrzeby musi wziąć tę wolność i pomstę siłą, wbrew strażnikom i kratom! Czuł dziwny zamęt w rozognionej głowie, mimo to jednak bacznie nastawił uszu. Zdawało mu się, że gorączka osłabia wszelkie inne zmysły, lecz wzmacnia wrażliwość słuchu. Wiedział oczywiście, że jest chory. Bolały go kości, w skroniach waliły tętna, ręce były gorące. Ale słyszał wszystko wyraźnie i dobrze zdawał sobie sprawę, czemu słuca pilnie.

Bez Sary nic nie zwojujemy mówił Gabbett. Ona ma skołować wartownika i otworzyć nam drogę. Cwany jesteś, bracie, niby sam król Salomon Świeca uśmiechnął się chytrze. Warto cię posłuchać, jak Boga kocham. Ale spójrz lepiej na to – szepnął pokazując brudny świstek papieru, nad którym Gabbett i Sanders ciekawie pochylili głowy.

Skąd to masz?

Wczoraj po południu Sara stała na rufie i rzucała mewom okruchy, a ja spostrzegłem, że jakoś dziwnie na mnie patrzy. Powoli podchodzi do barykady i wciąż karmi te ptaszyska. Ja gapię się na nią i gapię, w końcu widzę, że spora kulka utoczona z rozmiękłego suchara pada tuż koło mnie. Podniosłem ją ukradkiem, no i to znalazło się w środku.

Aha! powiedział Gabbett. Ciekawe. Przeczytaj nam, Jemmy!

Charakter pisma był kobiecy, litery duże i wyraźne. Sara pamiętała widocznie o brakach w edukacji przyjaciół i starała się sprawić im jak najmniej kłopotu.

Wszystko w porządku. Jutro wieczorem wyjdę na pokład o trzecim dzwonie. Uważajcie! Jeżeli upuszczę chusteczkę,

62

bierzcie się do roboty w ustalonej porze. Wartownik nie przeszkodzi.

Rufus Dawes z trudem odmykał powieki i czuł omdlałość w całym rozgorączkowanym ciele, lecz chciwie chłoniął wymawiane szeptem zdania. A więc uknuto spisec dla zawładnięcia „Malabarem"! Sara Purfoy współdziałała z więźniami. Zapewne jest żoną albo kochanką jednego z nich. Przyjęła służbę mając gotowy plan, który obecnie dojrzał do wykonania. Rufus słyszał niejedno o okrucieństwach, jakich dopuszczają się zwycięscy buntownicy. Opo-wieści na ten temat budziły często ohydny śmiech w więziennym kojcu. Nie miał złudzeń co do wartości moralnej tych łotrów, którzy oddzieleni tylko przepierzeniem z desek klęli i rechotając mówili o niedalekiej swobodzie i odpłacie. Mało rozmawiał z zesłańcami, ale ci trzej zajmowali wspólną z nim

prycze, wiedział więc o nich wiele i zdawał sobie sprawę, w jaki sposób zemściliby się na prześladowcach. Łeb groźnego potwora John Rex – był chwilowo unieszkodliwiony, lecz pozostały dwie ręce lub raczej macki: włamywacz i zbieg z więzienia. Ale nie na tym koniec. Zniewieściał, obleśny Świeca nie miał inteligencji i siły herszta, brak ten wyrównywał jednak diabelskim sprytem i zwinnością kota. Szansę powodzenia zwiększał znacznie współdziałanie potężnego sojusznika zewnętrznego w osobie rzekomej pokojówki. Więźniów było stu osiemdziesięciu, żołnierzy ledwie pięćdziesięciu. Jeżeli powodzenie uwieńczy nagły szturm – co przy pomocy Sary jest bardzo prawdopodobne – statek zostanie opanowany. Rufus pomyślał o drobnej jasnowłosej dziewczynce, co z takim zaufaniem podbiegła doń na pokładzie. Pomyślał o niej i zadrżał. No i co? – roześmiał się ironiczny Jemmy Vetch. Jak się wam zdaje? Czy dziwka ma ochotę nas sypnąć? Nie! – odpowiedział olbrzymi włamywacz przeciągając się rozkosznie niby dziki zwierz w słonecznym skwarze. Cały interes przedstawia się znacznie lepiej. Czeka nas... – Anglia, dom i powaby życia! – zadeklamował Jemmy heroicznym tonem, niezgodnym trochę z omawianą kwestią. – Chciałbyś wrócić do kraju, prawda, stary? Po co ci jechać w świat?

63

Gabbett spojrział na świecę nienawistnym wzrokiem i gniewnie zmarszczył niskie czoło. Nie strugaj wariata! warknął. Tobie się zdaje że praca w łańcuchach to miła zabawa. Ja tam byłem, szczeniaku. Wiem, co to znaczy.

Zapadło milczenie. Olbrzym zadumał się posepnie, ajego towarzysze wymienili znaczące spojrzenia. Gabbett spędził dziesięć lat w kolonii karnej Macquarie Harbour i miał wspomnienia, którymi nie dzielił się z nikim. Ulegał im jednak niekiedy i wówczas przyjaciele woleli zostawiać go w spokoju.

Rufus nie wiedział, czemu przypisać nagłą ciszę. Zdziwił się, że wytężonym słuchem przestał łowić szepty. Doświadczeni artylerzyści twierdzą, iż po kilku dniach pracy na reducie niespodziewana cisza sprawia nieznośne cierpienie. Podobnego uczucia doznawał teraz Dawes. Zdawało mu się, że usunięto pod nim zapadnię, że nieoczekiwanie znalazł się w próżni. Miał wrażenie, że mdleje. Krew uderzyła mu do głowy, w oczach zrobiło się ciemno. Podjął ostatni wysiłek, by zachować przytomność, lecz jęknął tylko z cicha i osunawszy się na barłóg, uderzył czołem o przepierzenie.

Stuknięcie zaniepokoiło spiskującą trójkę. Ktoś był na pryczy! Wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a Gabbett skoczył co tchu za drewnianą ściankę.

To Dawes – powiedział Lepka Ręka. Zapomnieliśmy o nim.

Przystanie do nas, nie bój się, stary podchwycił Świeca, bo z zasady brzydził się „mokrą robotą”. Gabbett zaklął okropnie, rzucił się na Rufusa i wyciągnął go z legowiska. Ale nagłe omdlenie, które zdradziło go poprzednio, uratowało Dawesowi życie. Włamywacz przydusił ofiarę jedną ręką, drugą zaś sposobił do ciosu, który raz na zawsze uciszyłby niepowołanego słuchacza poufnej wymiany myśli. Przeszkodził temu Świeca.

On spał! – zawołał chwytając Gabbetta za przegub ręki. Nie bij go! Nie widzisz, że się nawet nie obudził? Nadbiegło kilku więźniów. Olbrzym puścił Rufusa, on jednak jęknął tylko i głowa opadła mu na ramię.

Zabiłeś go! – krzyknął ktoś z niewtajemniczonych.

64

Gabbett spojrzął na purpurową twarz Dawesa i zroszone potem czoło. Odskokczył i począł trzeć dłoń o bluzę, jak gdyby chciał się pozbyć czegoś plugawego.

To tyfus! – wrzasnął i twarz wykrzywiło mu przerażenie.

Co takiego? zapytało dwadzieścia głosów.

Tyfus, idioci! Widziałem już takie rzeczy. Na statku mamy zarazę! On jest czwarty!

Krąg dzikich bestii, co zbiegły się, by popatrzeć na bójkę, rozluźnił się, gdy padły złowróźbne, niezupełnie jeszcze zrozumiałe słowa. Zdawać się mogło, że bomba eksplodowała pośrodku gromady. Rufus Dawes leżał bez ruchu i dyszał ciężko. Widzowie wpatrywali się tępo w bezwładną postać. Alarm rozprzestrzeniał się szybko. Całe więzienie biegło, by popatrzeć na jego przyczynę. Nagle chory drgnął, dźwignął się na łokciach i poruszył szczękami, jak gdyby chciał coś powiedzieć. Atoli żaden dźwięk nie dobył się z ust zaciśniętych kurczowo.

Prawie gotowy orzekł Lepka Ręka z brutalną prostotą. Na pewno nic nie słyszał. Trzymam zakład.

W tej chwili zgrzytnęły ciężkie rygle. To pierwsza grupa więźniów wracała ze „spaceru”. Drzwi otwarły się szeroko i na bagnatach straży zamigotały promienie słońca przenikające prostopadłe do luku. ów blask za progiem cuchnącej i zatłoczonej ładowni zdawał się drwiną z ludzkiej niedoli. Jak gdyby samo niebo urągało nieszczęśliwym. Pod wpływem niespodziewanego impulsu, jakiemu często ulegają tłumne zbiegowiska, więźniowie zapomnieli o tyfusie i jak na komendę rzucili się ku drzwiom.

Powietrza! Powietrza! ??- wołały liczne głosy. – Dajcie nam powietrza!

Spójrzcie! mruknął Sanders do kamratów. – Widziałem, że rozrusza ich nowina o tyfusie.

Gabbett, w którym zawrzała krew na widok gorejących oczu i rozognionych twarzy, chciał skoczyć ku drzwiom wraz z innymi, ale przezorny Vetch pociągnął go za poję.

65

Wolnego – syknął. – To zaraz minie. Miał słuszność.

Pośród zgiełku szczęknęło żelazo. Warta stanęła z bronią w pogotowiu, a szara ciżba zatrzymała się na widok skierowanych ku niej luf karabinowych.

5 Dożywotnie zesłanie

Na moment wszystko zastygło w bezruchu. Potem stary Pine wszedł do więziennego kojca i nie napastowany przez nikogo przyklęknął obok rozciągniętego na deku Dawesa. Widok dobrze znanego lekarza, spokojnie pełniącego swoje obowiązki, przywrócił szacunek dla władzy wpojony dzięki surowej i ściśle przestrzeganej dyscyplinie. Więźniowie cofnęli się ku pryzom lub usłużnie pospieszili z pomocą panu doktorowi. Ładownia przypominała klasę, do której nagle wkroczył wychowawca.

Spokojnie, chłopcy, spokojnie! Weźcie go we dwóch i zanieście do drzwi. O, tak. Biedak ledwie zipie. Rozkazy lekarza zostały posłusznie wykonane, on zaś zczekał, aż chory znajdzie się za drzwiami, i podniósł rękę na znak, że chce przemówić.

Domyślacie się zapewne, co mani do powiedzenia. Na „Malabarze” wybuchła epidemia. Ten człowiek dostał również tyfusu. Niedorzeczna byłaby nadzieja, że nikt więcej nie zachoruje. Mnie samemu grozi niebezpieczeństwo. Wiem, chłopcy, że w waszym pomieszczeniu jest duszno i ciasno, ale na to nic poradzić nie mogę. Nie ja zbudowałem ten statek.

Słuchajcie! Uwaga!

Dotknęło nas wielkie nieszczęście, musicie jednak znosić je odważnie i po męsku. Wiecie, jakie są zasady dyscypliny. Nie w mojej mocy je zmienić. Postaram się ulżyć wam w granicach możliwości i wzajemnie Uczę na waszą pomoc. -- Ze śmiało podniesioną siwą głową stary Pine przeszedł wzdłuż szeregu więźniów, nie spoglądając w prawo ani w lewo. Powiedział tyle właśnie, ile było trzeba. Do drzwi odprowadził go bezładny chór głosów:

Dobrze mówi!

Brawo, doktor!

Nie damy się!

Brawo!

Wyszędłszy z więziennego kojca lekarz odetchnął swobodnie. Rozumiał, że wypełnił trudne i niebezpieczne zadanie.

Bodaj was lichy! warknął z kąta Lepka Ręka.

Podlizywać się takiemu durniowi!

Poczekaj, stary – uspokoił go przezorny i sprytny

Vetch. – Zostawcie hołocie trochę czasu. Do wieczora jeszcze kilku zachoruje. Zobaczymy, co wtedy będzie.

VIII

Groźne przesilenie

Późnym popołudniem Sara Purfoy ocknęła się z niespokojnej drzemki. Śniła o czynie, którego miała niebawem dokonać, była więc zdenerwowana i podniecona. Ale zdając sobie sprawę z następstw powodzenia lub klęski, opanowała się szybko. Umyła twarz i ręce i z możliwie obojętną miną wyszła na pokład rufowy.

Nic nie zmieniło się tam od dnia poprzedniego. Broń wartowników połyskiwała w blasku bezlitosnego słońca, okręt kołysał się na spokojnym morzu, a w klatce na dolnym pokładzie tłoczyły się te same ponure postacie w takich samych jak wczoraj pozach. Nawet pan Maurycy Frere, wypocząwszy po nocnych trudach, drzemał na zwoju lin. Jednakże bystry obserwator dostrzegłby pewne różnice pod zewnętrzną powłoką identyczności. Marynarz przy sterze przebiegał zatroskanym wzrokiem horyzont i z przygnębioną miną spluwał w oleistą wodę. Wędki zwisały z kotbelki, nikt jednak nie zwracał na nie uwagi. Żołnierze i marynarze zbici gromadnie na dziobie nie mieli nawet ochoty palić i w milczeniu spoglądali po sobie. Vickers pisał coś w salonie, Blunt był w swojej kabinie, a stary Pine dyrygował dwoma cieślami przydzielonymi mu do rozbudowy szpitala. Stukanie młotków budziło złowrogie echa w żołnierskich kojach. Zdawać się mogło, iż rzemieślnicy zbijają trumny. W kojcu na pokładzie panował dziwny spokój przypominający ciszę przed burzą. Zesłańcy nie opowiadali anegdota, nie śmiali się ze sprośnych żartów; siedzieli skupieni w gromadki, jak gdyby oczekiwali czegoś cierpliwie. Dwu więźniów i jednego żołnierza zabrano do szpitala już po zasłabnięciu Rufusa Dawesa. Nie było dotąd objawów paniki, ale wszystkie twarze wyrażały nieme pytanie: kto następny? Groźny cień padł na okręt kołyszący się ciężko z boku na bok na drzemiących odmętach oceanu. Zdawać się mogło, że „Malabar” spowija naelektryzowana chmura, a posępne jej kłęby lada iskierka obróci w pożogę pochłaniającą wszystko.

66

67

Kobieta, która trzymała w rękach dwa końce przewodnika zdolnego wywołać tę iskierkę, przystanąła u trapu. Potem wyszła na pokład i rozejrzawszy się wokół stanęła koło relingu rufowego, aby zwrócić wzrok w dół, ku klatce za barykadą. Więźniowie tworzyli grupki po czterech lub

pięciu, a jedna z takich grupek budziła szczególne zainteresowanie Sary. Trzej mężczyźni oparci o nadburcie obserwowali pilnie każde poruszenie nowo przybyłej, No i mamy ją - mruknął Gabbett, jak gdyby kontynuował rozmowę. Fajno wygląda, jak zawsze, i nawet patrzy w naszą stronę.

Nie widzę chustki - wtrącił praktyczny Lepka Ręka. Cierpliwość to cnota nad cnotami odezwał się wytworny Świeca. - Zostaw czas młodej damie, kochany przyjacielu.

Do stu tysięcy diabłów, nie chcę dłużej czekać! warknął Gabbett oblizując szarawe wargi. Dość mam tego zwodzenia z dnia na dzień i umizgów do dziwki Dandysa. Wyglądamy jak pieski, co tańczą na dwóch łapkach. Na pokładzie tyfus, a my jesteśmy całkiem gotowi. Po cholere czekać? Otworzy nam dziwka drzwi czy nie otworzy, uważam, że trzeba zaraz brać się do roboty... Oo! Patrzcie tylko! - dodał i zaklął szpetnie, bo Maurycy Frere zjawił się obok pokojówki i obydwój odeszli ku rufie. Czego się złościć, stary durniu? syknął szykowny Vetch. Myślisz, że Sara może coś zrobić z takim facetem u boku?

Olbrzym warknął tylko i podniósł zaciśniętą pięść, wobec czego Świeca odskoczył z pośpiechem. Gabbett nie ruszył za nim, więc Vetch zatrzymał się, skrzyżował ramiona na piersi i uwagę poświęcił Sarze Purfoy. Budziła ona widać szerokie zainteresowanie, gdyż w tym samym momencie młody żołnierz wyszedł na pokład, przystanął i uparcie zapatrzył się w dziewczynę.

Maurycy Frere zbliżył się od tyłu i dotknął jej ramienia. Po wczorajszej wieczornej rozmowie postanowił, że nie da dłużej robić z siebie durnia. Sara igra z nim najwidoczniej, musi więc jej dowieść, że on nie nadaje się do takich figlów.

Dzień dobry, Saro.

Dzień dobry, panie Frere odpowiedziała spoglądając nań z uśmiechem.

Doskonale dziś wyglądasz. Doprawdy ślicznie!

Nie raz już to słyszałam. Nie ma mi pan nic więcej do powiedzenia?

Tyle, że cię kocham szepnął gorąco.

Też nie nowina. Wiem, że pan kocha.

Do licha, Saro! Czego chcesz ode mnie? - wybuchnął zapominając o układnych manierach. - Co za sens bawić się człowiekiem niby kot myszą?

Człowiek powinien sam wiedzieć, co ma robić. Nie prosiłam, panie Frere, żeby się pan we mnie zakochał. Jeżeli nie podoba mi się pan, to chyba nie moja w tym wina. - Ee... O co ci chodzi?

Wy, żołnierze, macie tyle na głowie: zmiany warty, dyscyplinę, rozmaite inspekcje. Brak wam czasu dla takiej małej, biednej kobietki jak ja.

Brak czasu! - obruszył się porucznik. Jak Boga kocham, zgódź się tylko, a czas zawsze znajdzie. Skromnie spuściła oczy i zapłonila się wstydliwie.

Sama mam wiele zajęcia szepnęła. - A zresztą tyle oczu na mnie patrzy. Nie mogę się poruszać niepostrzeżenie.

Chcąc podkreślić sens ostatniego zdania rozejrzała się trwożliwie po pokładach. Przez moment jej wzrok spoczywał na stojącym na dziobie młodym żołnierzu. Nie mogła go poznać z tak znacznej odległości, nie wątpiła jednak, że to Miles. Frere uśmiechnął się zadowolony z odmiany tonu Sary. Zbliżył się i szepnął jej coś do ucha, ona zaś udała

przestrach, odskoczyła o krok i korzystając z okazji dała ręką znak Świecy.

Przyjdę o ósmej wieczorem powiedziała ze skromną minką.

O ósmej jest zmiana warty zaproponował Frere.

W porządku. Niech pan się zajmie zmianą warty.

Mnie nie zależy na spotkaniu.

Ależ Saro... ee... Zastanów się... -- Zakochana kobieta nigdy się nie zastanawia – odrzekła mierząc go spojrzeniem, od którego stopniałby mężczyzna bardziej niż on lodowaty.

68

69

„Kocha mnie zatem! pomyślał. Tylko idiota mógłby nie skorzystać z okazji. Niech obieca, że przyjdzie, to najważniejsze. A o pogodzeniu miłości ze służbą pomyślę później. Zresztą warta może raz zmienić się sama, bez mojego nadzoru”.

Dobrze, najdroższa, o ósmej.

?--? Ciszej! ?- szepnęła. Idzie ten głupi szyper.

Frere oddalił się szybko, a dziewczyna oparła rękę na relingu i patrząc bystro w stronę barykady, upuściła chusteczkę. Padła u nóg rozkochanego kapitana, który podniósł ją zrećźnie i wspiał się na pokład rufowy, by zwrócić zgubę właścicielce.

Serdecznie dziękuję, panie kapitanie. Uśmiechnęła się, a jej oczy powiedziały nierównie więcej niż słowa. Zażyłaś opium? – szepnął Blunt i mrugnął porozumiewawczo.

Kilka kropel... Flaszeczkę odniosę panu dziś wieczorem.

Blunt odszedł ku rufie pogwizdując rażno, a porucznika Frere'a przywitał przyjaznym klepinięciem po ramieniu. Obydwaj roześmieli się do własnych myśli, ale wesołość pogłębiła tu tylko posępną grozę otoczenia.

Sara Purfoy zerknęła w kierunku barykady i spostrzegła, że jej trzej współnicy zmienili pozycję są znów razem. Świeca zdjął czapkę więzienną i wyciągnawszy ją przed siebie na długość ramienia, drugą ręką otarł czoło. Znak rzekomej pokojówki został zrozumiany.

Podczas tych wydarzeń Rufus Dawes, przeniesiony do szpitala, leżał na wznak i patrząc przed siebie próbował odnaleźć w pamięci, co ma do powiedzenia.

Pamiętał, że w chwili nagłego omdlenia, co poprzedziło chorobę, został gwałtownie wyciągnięty z pryczy. Pamiętał pochylone nad sobą okrutne twarze i jakieś grożące mu niebezpieczeństwo. Wiedział również, że tuż przed zasłabnięciem podsłuchiwał rozmowę niezmiernie wagi dla niego i dla całego „Malabara” – nie potrafił jednak odtworzyć treści tej rozmowy. Daremnie walczył z maligną i wywlekał z pamięci strzępy zdań. Nie tworzyły one żadnej całości i szybko ulatywały. Chory cierpiał nieznośnie, gdyż w chwilach przytomności zdawał sobie sprawę, że gdyby stać go było na dziesięć minut ciągłego wysiłku, potrafiłby dobyć z pamięci coś, co mogłoby odwrócić od niego zgubę, a zarazem ocalić statek. Niestety jednak leżał bezwładnie, z rozgorzałą głową, zeszlými wargami i półmartwym ciałem. Był jak urzeczony: nie zdołał poruszyć ręką ani nogą. W pomieszczeniu szpitalnym panował półmrok. Przemysłny Pine kazał umieścić w iluminatorach płócienne zasłony, aby położyć tamę zabójczym promieniom słońca, i urządzenie to pochłaniało prawie całe światło. Rufus widział nad sobą deski pokładu i rozróżniał niewyraźnie zarysy trzech prycz podobnych do swojej. Słyszał jednostaj-

ny plusk wody i miarowe stukotanie ciesielskich młotów przy budowie nowej zagrody dla chorych. W momentach gdy hałas ów milknął, rozlegały się jęki, przyspieszone oddechy i krzyki, co dowodziło, iż pozostali pacjenci jeszcze żyją. Nagle dobiegł Dawesa głos:

Przyznaję, że te weksle warte są czterysta funtów, ale, łaskawy panie, czterysta funtów to nie suma odpowiednia dla człowieka w mojej sytuacji materialnej. Do licha! Nie raz wyrzucałem czterysta funtów dla kaprysu mojej kochanki, Sary! Prawda, że tak było, co, Jezabel? Sara to niezła dziewczyna, o ile dziewczyna w ogóle może być niezła. Pani Lionelowa Drofton. Adres: Crofts, Sevenoaks, Kent... Sevenoaks... Seven...

Rufus doznał nagłego olśnienia. Jego sąsiadem był John Rex!

Rex! – szepnął z wysiłkiem. Już... Już... Idę... Nie spieszcie się... Wartownik załatwiony, a... Działo stoi o pięć kroków od drzwi. Hura! Na pokład, chłopcy, i statek nasz! Nie! Mój... Mój i mojej żony, pani Lionelowej Crofton z Sevenscrofts... nie... Sevenoaks... Kent... To Sara Purfoy, pokojówka i niania... Cha, cha, cha! Pokojówka i niania! Ostatnie zdanie było kluczem labiryntu, w którym miotał się Rufus Dawes. Sara Purfoy! W pamięci jego odżyły szczegóły podsłuchanej rozmowy. Zrozumiał, że bez zwłoki musi ujawnić zagrażający okrętowi spisek. Nie zastanawiał się wcale, w jaki sposób ów spisek ma być zrealizowany. Wiedział jedynie, że goni resztkami przytomności, a gdy ją utraci, wszystko przepadnie bezpowrotnie.

70

71

Spróbował wstać, ale żarc gorączką ciało oparło się wysiłkowi woli. Spróbował przemówić, ale wyschnięty język przylegał do podniebienia, a zęby były zaciśnięte. Nie mógł poruszyć palcem, nie mógł dobyć głosu. Deski nad jego głową drżały niby strzepywane prześcieradło, zagroda szpitalna wirowała wokół własnej osi, słoneczna plama na deku chwiała się niby odbłask poruszanej świecy. Chory opuścił powieki i pomyślał z ciężkim westchnieniem, że należy poddać się losowi.

W tej chwili ustał łoskot młotków i drzwi się otwarły. Była szóstka po południu, więc Pine zeszedł do szpitala, by przed wieczera rzucić okiem na pacjentów. Niewątpliwie ktoś towarzyszył doktorowi, bo namaszczony, choć nie pozbawiony ciepłych tonów głosu orzekł, iż „szpital jest stanowczo za mały, co sprzeciwia się regulaminom królewskim, które w takiej potrzebie winny być przestrzegane z nieubłaganą ścisłością”.

Pocziwy Vickers drżał o życie ukochanego dziecka, nie zaniedbywał jednak obowiązków i skrupulatnie odwiedzał chorych, jakkolwiek wiedział, że takie wizyty muszą go rozłączyć z małą Sylwią. Tak postępował zawsze. Pani Vickers od dawna biadała nad sobą i zwykła skarżyć się w garnizonowych towarzystwach, że „biedny John to okropny służbista, po prostu niewolnik dyscypliny”.

Na razie mamy tu sześciu powiedział Pine i zbliżając się do pryczy Rexa dodał: Z tym jest najgorzej. Gdyby nie jego końskie siły, nie ręczyłbym, czy doczeka rana. Trzy, osiemnaście, siedem, cztery mamrotał Dandys. Do licha! Nie idzie karta! Czy to zajęcie godne dżentelmena? Nie, łaskawy panie, nie! Dobrej nocy życzę panu hrabiemu, dobrej nocy... Co to? Dziewiąta bije... pięć, sześć, siedem, osiem... No, dzień minął. Nie ma się na co skarżyć.

Niebezpieczny człowiek, bardzo niebezpieczny po-

wiedział Pine. – To znaczy, był niebezpieczny. Cóż, jak pan widzi, to prawdziwa mysia nora, ale nic nie poradzimy. –? Chodźmy na pokład – odrzekł Vickers tonem zniechęcenia.

Rufus Dawes poczuł kroplisty pot na czole. Ci ludzie nie podejrzewają niczego. Odchodzą. On musi ich ostrzec. Nadludzkim wysiłkiem odwrócił się na bok i dobył rękę spod koca.

Oo! A cóż temu się stało? powiedział Pine zbliżając latarnię do pryczy. – Leż spokojnie, człowieku. Nie mecz się. Co? Chcesz wody? Naturalnie... Zaraz dostaniesz. Z tymi słowy podniósł kubek do poczerniałych, spieczonych warg chorego. Chłodny płyn zwilżył gardło i Rufus podjął ostatni wysiłek, by przemówić.

Sara Purfoy... tej nocy... więzienie... bunt... Ostatni wyraz powiedział tak głośno, że John Rex odzyskał na chwilę zmysły.

Cicho! – zawołał. Czy to ty, Jemmy? Możesz zaufać Sarze. Poczekaj, aż da znak.

Lekarz potrząsnął chorego za ramię.

Co ty mówisz, człowieku? Czy szykuje się bunt więźniów?

Rufus otworzył usta i kurczowo zacisnął pięści, ale nie zdołał dobyć głosu. Spróbował potwierdzić gestem, lecz głowa opadła mu na piersi; sprzed oczu zniknęła zaniepokojona twarz doktora i zdziwiona kapitana, półmrok szpitalny i migotliwy blask latarki. Zdażył zobaczyć, że dwaj panowie wymieniają zatroskane spojrzenia, a następnie popłynął chłodną rzeką znaną z dzieciństwa, aby wraz z Sarą Purfoy i porucznikiem Frere'em podnieść bunt na „Hydaspesie”, który stał na kozłach w starym domu w Hampstead.

IX

Kobięcy oręż

Po odkryciu niezwyklej tajemnicy Vickers i Pine odbyli naradę wojenną. Pierwszy chciał niezwłocznie zaalarmować i oznajmić zesłańcom, że ich plany zostały zdemaskowane. Ale wilk morski – obznajmiony z transportowaniem więźniów – był odmiennego zdania.

Ja znam takich pasażerów lepiej niż pan kapitan powiedział. – Przede wszystkim nie wiemy, czy bunt się

72

73

szykuje. Wszystko może być wymysłem tego... jakże mu tam... Dawesa. A jeśli podsuniemy więźniom pomysł, że obawiamy się napaści, niepodobna przewidzieć, jakie to wywołała konsekwencje.

Ale ten człowiek mówił z całym przekonaniem zaoponował Vickers. – Wymienił nawet pokojówkę mojej żony.

Wymienił pokojówkę pańskiej żony i na Boga, zapewne miał słuszność. Od początku nie podobała mi się mina tej osoby. Jeżeli powiemy więźniom, że odkryliśmy ich tym razem, nie przeszkodzimy przecież następnym próbom. Nie znamy ich planów. Nie wiemy, czy do buntu przyłączą się wszyscy. Nie, panie kapitanie! Proszę pozwolić, że ja, jako lekarz na „Malabarze”, pokieruję akcją. Zdaje pan sobie sprawę...

...że według regulaminów królewskich ma pan w przypadku epidemii pełnię władzy podchwycił oficer, który nigdy nie zapominał o dyscyplinie. Tak... Naturalnie... Zrobiłem tylko propozycję, a o tej dziewczynie nic właściwie nie wiem. Ma dobre świadectwo od swojej dawniejszej pani, o ile pamiętam, pani Crofton. Widzi pan, byliśmy zadowoleni, że ktokolwiek zgodził się wyjechać

z nami w taką podróż.

Przypuśćmy, kapitanie podjął Pine że oznaj-
mimy tym łajdakom o ujawnieniu ich bliżej nieokreślonych
planów. Co dalej? Wyprą się w żywe oczy i poczeka-
ją następnej sposobności, kiedy my nie będziemy nic wiedzieli.
Tak czy inaczej nie mamy pojęcia o charakterze domnie-
manego spisku ani nie znamy nazwisk jego przywódców.
Lepiej będzie, jak podwoimy warty i po cichu zarządzimy
pogotowie. Niech panna Sara spokojnie robi swoje, a jeżeli
bunt wybuchnie, stłumimy go w zarodku. Prowodyrów za-
kujemy w kajdany i w Hobart prześlemy władzom. Nie
jestem okrutnikiem, panie kapitanie, ale wieziemy przecież
ładunek dzikich bestii i musimy przestrzegać wszystkich
środków ostrożności.

Zapewne, zapewne, panie Pine... Ale nie bierze pan
pod uwagę możliwości śmiertelnych ofiar. Wolałbym osobi-
ście... ee... jakieś bardziej ludzkie metody postępowania.
Gdybyśmy zdołali zapobiec w porę...

74

A pan, kapitanie Vickers, nie bierze pod uwagę
bezpieczeństwa statku -- przerwał Pine suchym, rzeczowym
tonem odpowiadającym tak dobrze jego charakterowi.
Wie pan albo przynajmniej słyszał, co się dzieje podczas
tego rodzaju buntów? Czy pomyślał pan o losie tych sześciu
kobiet z żołnierskich kwater? Czy pomyślał pan o losie
własnej żony i córki?

Vickers wzdrygnął się nerwowo.

Niech pan załatwia sprawę po swojemu -- odparł.

Tylko, panie Pine, nie należy szafować życiem ludzkim na
próżno.

Może pan być spokojny, kapitanie. Zrobię wszystko,
co w ludzkiej mocy. Pan nie zna więźniów. Pan nie wie, jacy
są albo raczej jakimi uczyniła ich sprawiedliwość. Jak
dotąd...

Biedacy! przerwał Vickers, który jak wielu suro-
wych służbistów miał dobre serce. -- Dobrocią wiele można
by z nimi zdziałać. Mimo wszystko to ludzie, nasi bliźni.
Tak. Nasi bliźni przyznał lekarz. -- Nie na wiele
jednak przydałby się ten argument, gdyby oni zawładnęli
okrętem. Proszę zostawić mi wolną rękę i na miłosierdzie
boskie, nikomu ani słowa, panie kapitanie! Życie nas wszyst-
kich zależy teraz od absolutnej dyskrekcji.

Vickers obiecał dochować tajemnicy i przyrzeczenia
dotrzymał tak wiernie, że przy wieczerzy gawędził beztrako-
sco z Bluntem i Maurycym Frere'em. Do żony napisał kilka słów
zalecając, by nie opuszczała kabiny, jeżeli usłyszy coś
niewyraźnego, lecz zaczekała, aż on nadejdzie. Dobrze znał
jej fantazje i wybryki, wiedział jednak, że lekkomyślna dama
zastosuje się do rozkazu sformułowanego w taki sposób.

Zgodnie z regulaminem obowiązującym na okrętach--
więzieniach zmiana warty odbywała się co dwie godziny, a
o szóstej po południu posterunki z pokładu rufowego
schodziły na fordek i broń składały na strzeżonym stojaku
w kabinie wartowniczej. Vickers posłuchał oczywiście rad
starego Pine'a i porucznika o niczym nie uprzedził, lecz
osobiście wydał stosowne rozkazy. Żołnierze, z wyjątkiem
tych, co za dnia pełnili służbę, mieli być pod bronią na
kwaterze. Obowiązywał ścisły zakaz wychodzenia na pokła-
dy, a u wejścia do żołnierskiego pomieszczenia stanął na

75

warcie ordynans kapitana siary weteran godzin bez-
granicznego zaufania. Następnie Vickers podwoił strażę,
odebrał podoficerowi służbowemu klucze więzienia, aby
zatrzymać je przy sobie, i osobiście sprawdził, czy ustawiona

na międzypokładziu armata naładowana jest kartaczami. Przygotowania ukończył za piętnaście siódma i wraz z Pine'em stanął przy luku głównej ładowni, zdecydowany czuwać tam do rana.

Gdyby pół godziny później ktoś ciekawy zajrzał przez okno do kabiny Blunta, zobaczyłby zgoła niezwykły widok. Rycerski kapitan siedział na swoim łóżku trzymając w ręce szklaneczkę rumu z wodą, a przystojna pokojówka pani Vickers zajmowała miejsce na pobliskim stołku. Nietrudno było spostrzec, że wilk morski jest kompletnie pijany. Twarz miał szkarłatną, szpakowate włosy w nieładzie, robił cudaczne miny i mrużył oczy niby sowa w słonecznym blasku. Podniecony pięknymi nadziejami wypił przy kolacji więcej niż zwykle wina, a następnie w chwili, gdy ofiara jego męskich uroków bezszelestnie wśliznęła się do kabiny, dla wzmożenia odwagi dobył butelkę rumu. Miał już wówczas w czubie, a zachęcany do dalszego picia, bynajmniej nie dawał się prosić.

Bardzo nam tu miło i przyjemnie, moja mała mówił przerywając sobie czkawką. Ale widzisz... hip!... Saro, nie podoba mi się, że jesteś, taka... ee... dumna. Jestem prosty marynarz... hip!... Prosty marynarz, jak Boga kocham, Saro... Phineas Blunt, kapitan „Malabara”... Hip!... I co ty na to? Hę?

Dziewczyna roześmiała się i zręcznie wysunęła spod spódnic kostkę. Rozkochany Phineas wykonał skomplikowany manewr, by sięgnąć po jej rękę.

Ty mnie kochasz... hip! podjął. A ja kocham ciebie, Saro. Śliczna z ciebie pieszczotka! Jak Boga kocham! Dasz mi całuska, mała? Co?

Pokojówka pani Vickers wstała i ruszyła w stronę drzwi.

Ee... Co to? Idziesz! Nie odchodź, Saro!

Zerwał się i chwiejnie podążył jej śladem, nie wypuszczając szklanki z ręki.

Zabrział dzwon okrętowy. Teraz lub nigdy! Blunt otoczył ramieniem kibić dziewczyny i pijany uczuciem i rumem przyciągnął ją, by zdobyć upragniony pocałunek. Sara wykorzystwała moment. Pozwoliła się objąć i dobywszy z kieszeni flaszeczkę opium wlała połowę jej zawartości do szklanki piastowanej przez natarczywego wielbiciela. Myślisz, że jestem... hip!... pijany, co? -- mamrotał kapitan. – Nie, moja mała! Wcale nie jestem pijany!... Neee...

Ale upije się pan, jak nie przestanie ciągnąć. No, proszę się uspokoić. Niech pan dokończy tę szklanekę i usiądzie grzecznie, bo inaczej pójdę sobie.

Sensowi słów towarzyszyło wyzywające spojrzenie zrozumiałe nawet dla ciężkawego intelektu Blunta. Kapitan zachwiał się, odzyskał równowagę dzięki futrynie drzwi i z pijackim rozmarzeniem spojrzął na Sarę. Następnie przeniósł wzrok na szklanekę, z powagą czknał trzykrotnie i jak gdyby przypomniał sobie o nie wypełnionym obowiązku, wychylił duszkiem rum z wodą i opium. Skutek był natychmiastowy. Pijak upuścił szklanekę, wyciągnął ręce ku stojącej obok drzwi dziewczynie, następnie zatoczył się w takt przechyłu statku, runął na swoją koję i donośnie zachrapał.

Sara Purfoy przyglądała mu się przez chwilę, a później zgasiła światło i wyszedłszy z kabiny zamknęła drzwi za sobą. Mrok spowijał pokłady jak poprzedniego wieczora. Zawieszona na dziobie latarnia chwiała się jednostajnie wraz z kolebaniem się statku. Nad głównym lukiem jaśniał odbłask z ładowni, a szereg lamp oliwnych płonęło w kapi-tańskim salonie. Sara zajrzała tam i poszukała wzrokiem

Vickersa, który lubił przesiadywać w tej kabynie. Ale salon był pusty.

„Tym lepiej” – pomyślała i otulając się czarną peleryną zastukała do drzwi Frere'a.

W tej chwili poczuła dziwny ból w skroniach i ugięły się pod nią kolana. Wysiłkiem woli przemogła słabość, otrząsnęła się i wyprostowała. W takim momencie nie mogła pozwolić sobie na załamanie.

Drzwi uchyliły się i Maurycy Frere wciągnął dziewczynę do kabiny.

Więc przyszedł? szepnął.

Jak pan widzi... Boże! Jeżeli mnie kto widział...

76

77

Nonsens! Kto mógł cię widzieć? Kapitan Vickers, doktor

Pine... Czy ja wiem? Nic podobnego! Obydwoj zeszli do

kabiny Pine'a zaraz po kolacji. Nic nam nie grozi.

Zeszli do kabiny Pine'a! Wiadomość zaniepokoiła Sarę.

Czemu przypisać to niezwykle wydarzenie? Nie mogą chyba podejrzewać niczego?

Po co tam zeszli? zapytała.

Porucznik nie miał ochoty na roztrząsanie tej kwestii.

Licho ich wie! – powiedział. Ja nie mam pojęcia.

A resztą co to nas obchodzi, Saro? Vickers i Pine nie są nam wcale potrzebni.

Dziewczyna milczała. Zdawać się mogło, że nasłuchuje czegoś bacznie. Jej nerwy były napięte do ostatnich granic. Przecież najbliższe minuty miały zadecydować o powodzeniu spisku!

O czym tak dumasz, mała? podjął Maurycy Frere.

Mogłabyś spojrzeć na mnie, do diabła! Ale ty masz oczy!

I włosy!

W tej chwili huknął wystrzał karabinowy. Bunt się rozpoczął.

Żołnierz przypomniał sobie o obowiązkach. Wyzwolił się

z ramion oplatających mu szyję i żywo skoczył ku drzwiom.

Ale była to chwila, której z utęsknieniem czekała współniczka

więźniów. Nie dała za wygraną. Mocno przywarła do

młodego oficera. Jej włosy muskały mu twarz, gorący

oddech palił usta, a białe, krągłe ramiona wzrok urzekały.

Upojony zatrzymał się i prawie skapitulował. Nagle jednak

szkarłatne wargi Sary spopielwały, a oczy zaszczyły mgłą. Dziew-

czyna rozluźniła uścisk ramion, zachwiała się i dotykając

dłonią piersi wydała przejmujący okrzyk bólu.

Tyfus, z którym od dwóch dni walczyła wysiłkiem woli,

przypuścił szturm w momencie napięcia nerwowego. Chora

zbladła śmiertelnie i zatoczyła się pod grodzie kabiny.

Huknął drugi wystrzał. Rozległ się donośny szczęk broni.

Frere pozostawił zemdloną Sarę na łasce losu i co tchu

wybiegł na pokład.

X Ósmy

dzwon

O siódmej poruszenie panowało również w więziennym

kojcu. Nowina o zarazie obudziła w zesłańcach pragnienie

wolności, uspięne w początkowym okresie monotonnej

podróży. Pod grozą śmierci ludzie zaczęli przemyśliwać

o ratunku, jaki dać mogła swoboda ruchów.

Niech nas wypuszczą mówił ten i ów do najbliż-

szego przyjaciela. – W zamknięciu wyzdychamy niczym

szczury.

Ponure twarze i oczy o tępym wyrazie przywodziły -na

myśl brunatną burzową chmurę, rozjaśnianą niekiedy niby

błyskawicą gniewnym spojrzeniem rozpaczki lub buntu. Nie

wiadomo, jak i kiedy rozprzestrzeniła się wieść o doj-

rzewającym spisku. Krążyły słuchy, że są więźniowie, którzy gotują drogę do wolności i myślą o oswobodzeniu towarzyszy z jarzma. Pasażerowie międzypokładzia tłumili cuchnący oddech i czekali w skupieniu, przejęci lękiem, by nie obudzić przedwczesnych podejrzeń. Ale utajona myśl dawała znać o sobie na pozór beładnym ruchem, w którym uczestniczyli występnymi, ciemnymi i niewinni. Więźniowie podobni do siebie z tych lub innych względów przyciągali się wzajemnie i na nieokreślonym tle tworzyli grupki, podobnie jak kolorowe szkiełka tworzą figury geometryczne w kalejdoskopie. O siódmym dzwonie kojec więzienny był już podzielony na trzy partie: zdecydowanych, lękliwych i ostrożnych. Partie te zajmowały w ładowni stosowne miejsca. Buntownicy z Gabbettem, Vetchem i Sandersem na czele zajęli teren najbliższy drzwi. Lękliwi schronili się pod przeciwległą barykadę: byli tam młodzi chłopcy, starcy, Bogu ducha winni nieszczęśnicy osądzeni na podstawie niefortunnych poszlak, wieśniacy skazani za przynależność do złodziejskiego cechu nierządka z racji rzepy wyrwanej w cudzym ogrodzie. Ostrożni – czyli ludzie gotowi w zależności od rozwoju wydarzeń walczyć albo zachować neutralność, atakować albo umykać, pomagać władzom lub towarzyszom niedoli – usadowili się pośrodku. Partia zdecydowanych liczyła nie więcej niż

79

trzydziestu więźniów, a ledwie kilku i nich wiedziało, na co się naprawdę zanosi.

Dzwon okrętowy wybił połowę godziny. Trzej wartownicy odezwali się, dając znać, że czuwają, a kiedy głosy ich umilkły, Gabbett stuknął łokciem opartego o drzwi więzienne Świecę

Czas, Jemmy! szepnął. Powiedz chłopakom,

o co chodzi.

Pomruk olbrzyma dobiegł najbliższych sąsiadów. W tej części kojca zapadła nagle cisza i niby fala jęła sunąć nad tłumem, aby wkrótce sięgnąć pryncz w przeciwległym końcu.

Uwaga, proszę panów! rozpoczął Vetch na swój ironiczno-uprzejmy sposób i nie bez wisielczego humoru. Ja i kilku obecnych tu kumpli mamy zamiar zdobyć statek i ofiarować go szanowanym panom. Może ci, co mieliby ochotę nam pomóc, wypowiedzą się zaraz, bo za pół godziny będzie chyba za późno.

Umilkł i spojrzał na słuchaczy z tak beczelnie ufną miną, że trzej ostrożni przysunęli się bliżej.

Nie bójcie się, panowie podjął Świeca. Droga przygotowana starannie. Za barykadą czekają przyjaciele, a drzwi otworzą się same. Liczymy tylko na wasze zrozumienie i poparcie. Wasze, to znaczy twoje i twoje, i...

Przestań bajdurzyć! – przerwał mu cynicznie Gabbett. Do rzeczy, Jemmy! Powiedz, że czy chcą, czy nie chcą, my zdobędziemy statek, a tchórzów, co nie połączą się z nami, powyrzucamy za burtę. Chyba mówię wyraźnie i po angielsku?

Jasne i proste słowa wywołały wrażenie. Lękliwi stłoczeni w najdalszym kącie ładowni jęli wymieniać wymowne spojrzania. Powstał szmer, a ktoś obok Gabbetta roześmiał się gardłowo, co bynajmniej nie dodało ducha opornym.

Co będzie z żołnierzami? zapytał głos w grupie ostrożnych.

Niech ich czart porwie! zawołał Sanders, jakby doznał nagłego objawienia. Mogą cię tylko zastrzelić. Nie wszystko jedno, czy zdechnąć od kuli, czy od zarazy? Lepka Ręka potrafił właściwą strunę. Odpowiedział mu pomruk ogólnego uznania.

Gadaj dalej, stary szepnął Jemmy Gabbettowi, zacierając nerwowo szczupłe dłonie. Chłopaki, gotowe. Uwaga! – dodał, bo bystrym słuchem złowił szcęk broni. Teraz do drzwi! Jeden skok i po wszystkim!

Była ósma. Zmiana warty schodziła z pokładu. Skupieni koło drzwi zesłańcy nasłuchiwali powstrzymując oddech.

Wszystko przygotowane! mruknął głucho olbrzym. –

Drzwi się otworzą, a my hajda na nie! Dostaniemy żołnierzy, nim skombinują, co się dzieje. Trzeba ich wepchnąć do więzienia, obskoczyć stojak na broń i po zabawie! Idą spokojnie – szepnął niepewnie Świeca. Myślę, że wszystko w porządku.

Odstap od drzwi, Miles zabrzmiał za barykadą głos Pine'a.

Świeca odetchnął z ulgą. Lekarz mówił zwyczajnym głosem, a Miles był tym żołnierzem, którego Sara Purfoy przekupiła, aby nie strzelał. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej.

Klucz zgrzytnął w zamku. Najśmielszy pośród ostrożnych, który zamierzał zaryzykować życie i w porę podnieść alarm, by zyskać ulaskawienie, stłumił okrzyk wzbierający w gardle. Rozmyślił się, kiedy więźniowie odstąpili od drzwi gotując się do szturm. Resztę odwagi odebrał mu widok zjeżonych włosów i wyszczerzonych zębów groźnego Gabbetta.

Teraz! – wrzesnął Jemmy Vetch, gdy odemknęły się dębowe drzwi okute blachą, Gabbett zaś skoczył pierwszy z gardłowym rechotem szarżującego odyńca.

Czerwone światło, co błysnęło w rozchylonych przed chwilą drzwiach, zniknęło pod osłoną fali ludzkiej. W mgnieniu oka pięciu, dziesięciu, dwudziestu najodważniejszych znalazło się po drugiej stronie barykady. Jak gdyby morze szturmujące kamienną ścianę trafiło na szczelinę, która przepuści wodę. Wszystkich porwał duch walki. Trwoga poszła w niepamięć. Vetch wyniesiony w górę na falach ludzkiej powodzi zachęcał gestami do ataku. Odpowiedzieli mu nawet najlękliwsi, zgromadzeni dotychczas w głębi kojca. Nagle rozległ się okropny ryk dzikiej bestii chwyconej w pułapkę. Wezbrany potok utknął w drzwiach. Błysk oświetlił olbrzymią sylwetkę Gabbetta, jednocześnie zaś

80

6

Dożywotnie
zesłanie

81

zagrzmiał wystrzał i ktoś jęknął boieśnic. To zradziecki wartownik padł trafiony kulą w piersi. Ciżba przystanęła na moment i cofnęła się, jak gdyby pod naporem własnej masy. Ciężkie drzwi zgrzytnęły w zawiasach i mocne rygle ze szcęką wróciły na miejsce.

Wydarzenia rozegrały się błyskawicznie. Niemal w jednej chwili drzwi więziennego kojca otwarły się i zamknęły. Obraz, który ukazał się oczom zesłańców, był migawkowy, niby w latarni magicznej. Czas, jaki minął, pokrywał się ściśle z łoskotem karabinowego strzału. Drugi wystrzał i głośny szcęk broni dały znać buntownikom, że „Malabar” został zaalarmowany. Co stało się z towarzyszami pozostałymi na pokładzie? Czy potrafią rozbroić straż, czy też doznają klęski?

W gorącym półmroku zesłańcy stali bez ruchu i spoglądając po sobie oczekiwali rezultatów spisku. Nagle zgiełk ustał i pośród ciszy rozległ się dzwiny głos, jak gdyby stłumiony turkot.

Jaki właściwie był przebieg wydarzeń?

Więźniowie wydostali się z gęstego mroku i oślepieni nagłym blaskiem latarni niby szaleńcy rozbiegli się po ładowni. Miles, wierny danej obietnicy, nie wystrzelił, lecz w tejże chwili Vickers wyrwał mu broń z ręki, odwrócił się i dał ognia w kierunku więziennego kojca. Nie spodziewał się aż tak gwałtownego ataku, lecz nie utracił przytomności umysłu. Liczył, iż wystrzał odegra podwójną rolę: zaalarmuje kwatery żołnierskie na dziobie oraz, być może, zagrozi drzwiami trupem i położy tamę strumieniowi buntowników. Pośród zamętu i zgiełku, otoczony korowodem dzikich twarzy, Vickers zapomniał o ludzkich uczuciach i mierzył w głowę Jemmy'ego Vetcha. Atoli pocisk chybił celu i położył trupem nieszczęsnego Milesa. Gabbett i jego kamraci znaleźli się tymczasem u stóp głównego trapu, gdzie napotkali połyskujące w blasku latarni topory wzmocnionej straży. Rzut oka wystarczył olbrzymowi, aby ocenić, że stojak na karabiny jest strzeżony, a zbrojny oddział czeka w otwartych drzwiach grodzi za bezanmasztem. Nie grzeszył on bystrością, zrozumiał jednak, że zdrada pokrzyżowała dobrze obmyślane plany. Z rykiem rozpacz (który usłyszano w więziennym kojcu) rzucił się, by utoro- wać sobie powrotną drogę. W tym momencie wystrzał Vickersa powstrzymał stłoczoną w wąskim przejściu ciżbę, a Pine i dwaj żołnierze korzystając ze sposobności zatrzasnęli i zaryglowali drzwi w barykadzie. Buntownicy znaleźli się w potrzasku. Zawrzała bijatyka. Dziesięciu żołnierzy borykało się z dwakroć liczniejszymi zesłańcami w ciasnej przestrzeni między barykadą a głównym trapem. Pośród zamętu i kłębówiska ciał trudno było odróżnić swoich od nieprzyjaciół i niewiele brakło, by wszyscy rozpoczęli walkę przeciwko wszystkim. Gabbett wyrwał żołnierzowi topór i nawołując Sandersa skoczył na trap, gotów stawić czoło salwom warty. Lepka Ręka posłuchał wezwania. Dotrzymując kroku olbrzymowi, rzucił się na najbliższego żołnierza i chwyciwszy go za przegub ręki, usiłował zawładnąć toporem. Tymczasem ogromny drab o wolim karku uderzył pięścią w twarz innego żołnierza, ten zaś, oszołomiony ciosem, wypuścił z ręki topór i dobywszy pistoletu wpakował kulę w głowę napastnika. Był to drugi strzał, który wywołał z kabiny rozkochanego Frere'a.

Młody porucznik wybiegł na pokład i oceniwszy wzrokiem ugrupowanie straży, doszedł do wniosku, że inni lepiej niż on dbali o bezpieczeństwo „Malabara”. Brakło mu jednak czasu na wyrzuty sumienia, bo u głównego luku zderzył się z Gabbettem, który ryknął na widok nieoczekiwanego przeciwnika. Był za blisko, by uderzyć, porwał więc porucznika w uścisk żelaznych ramion. Oficer i więzień padli na pokład. Wartownicy bali się strzelać, gdyż dwa ciała wiły się i tarzały na deskach, przez chwilę więc cenne życie Maurycego Frere'a wisiało na bardzo cienkim włosku. Sanders, zbрызganym krwią i mózgiem zastrzelonego towarzysza, stanął na dolnym szczeblu trapu, gdy uderzenie kolbą wytrąciło mu topór z ręki. Zachwiał się i szarpnięty za kaftan upadł do tyłu, na deski deku. W tej chwili spostrzegł, że Świeca wyskoczył z gromady więźniów szamocących się z żołnierzami, trafił na puste miejsce obok trapu i podniósł rękę, jak gdyby zasłaniał się przed ciosem.

Nagle walka ustała i zapadła grobowa cisza, co tak zdumiała więźniów po tamtej strasnej barykadzie.

82

83

Niepewność nie trwała długo. Dwaj żołnierze, którzy przy pomocy Pine'a zamknęli w porę drzwi więzienia,

odryglowali teraz klapę w barykadzie. Na rozkaz Vickersa trzej inni przetoczyli naładowaną armatę i w otwór strzelniczy wsunęli jej śmiercionośną lufę. Kapituluje! – krzyknął Vickers głosem, który utracił wszelki ton ludzkich uczuć. Kapituluje i wydajcie prowodyrów albo jak psy was wystrzelam! Słowa te i widok kapitana stojącego obok Pine'a, tuż koło groźnego działa, przemówiły do więźniów. Nawet najmniej lotni pojęli, że oficer dotrzyma słowa, jeżeli będą się wahać. Zapadła przerażająca cisza, wśród której słychać było tylko chrobotliwy szelest, jak gdyby wypłoszona z baryłki z mąką rodzina szczurów szukała schronienia w szczelinach kadłuba statku. To więźniowie zamknięci już w kojcu zmykali na prycze, by ukryć się przed zapowiedzianym gradem ołowiu. Dźwięki te przemówiły do dwudziestu śmiazków dobitniej niżli słowa. Czar prysnął. Wiedzieli już na pewno, że towarzysze niedoli nie przystaną do buntu. W momencie przesilenia sytuacja przedstawiała się dziwnie. Przez czarny otwór strzelniczy nie widać było więzienia. Dobywał się stamtąd tylko stłumiony szelest, podobny do szmerów, co grają w muszli morskiej. Otwór ów mógłby być dnem tunelu, a tuż przy tym okropnym oknie zwartą grupę tworzyli Vickers, Pine i wartownik. Przed nimi leżały zwłoki nieszczęsnego chłopca przywiezionego do zguby przez Sarę Purfoy. Opodal, stroniąc od zbryzganego posoką stratowanego trupa, kulilo się dwudziestu buntowników. Wylot armaty zagrażał gwałtowną i masową śmiercią, a nad lawetą strzeżoną przez uzbrojonych w karabiny żołnierzy świecił złowroźnie płomyk lontu trzymanego przez wiernego sługę kapitana. Daję minutę! – zawołał Vickers przekonany, że wystarczyłaby sekunda. Za minutę powróci spokój albo... Na miłość boską, poddajcie się, ludzie! zawołał ktoś z więźniów. Na co wam nasza zguba? Wrażliwość cechująca natury nerwowe podszeptała Świecy, że towarzysze pragną, aby przemówił w ich imieniu. Poddajemy się – powiedział cienkim głosem. Nie ma już po co nadstawiać karku.

84

Podniósł ręce i posłuszny gestowi kapitana ruszył w stronę żołnierskich kwater. Przynieść kajdany, ale szybko! rozkazał oficer opuszczając niebezpieczny posterunek. Po chwili ostatni z buntowników minął dymiący nadal lont, a szczęk żelaza oznajmił, że Jemmy Vetch odzyskał łańcuchy, z którymi rozstał się przed miesiącem na biskajskich wodach. Niebawem zamknięto klapę, armata zaturkotała wracając na dawne miejsce, a nasłuchujący za barykadą więźniowie odetchnęli z ulgą. Tymczasem na górnym pokładzie rozgrywała się scena niemal równie dramatyczna. Gabbett, przywieziony do szalu świadomością klęski, chciał uśmiercić bodaj jednego wroga, chwycił więc Frere'a za gardło. Miał za sobą przewagę siły i ciężaru, lecz w młodym oficerze znalazł groźniejszego, niż oczekiwał, przeciwnika. Maurycy Frere nie był tchórzem. Na ogół uchodził za bezwzględnego, nielitościwego samoluba, ale o brak odwagi nie pomawiali go nawet wrogowie. W minionej epoce hulaniek i wesołego życia cieszył się opinią nie lada zucha. Jak mężczyźnie przystało, lubił popisywać się sprawnością pięści i podczas wielu rozmyślnie wywoływanych nocnych bijatyk w knajpach zadawał kłam twierdzeniu, że prowokator bywa zazwyczaj tchórzem. Miał upór buldoga, który gdy wczepi

zęby w ciało wroga, padnie raczej, niż rozluźni szczęki. Męstwem nie ustępował Gabbettowi, a górował nad nim dobrą szkołą, która w pojedynku między jednako walecznymi ludźmi znaczy zazwyczaj więcej niż żelazne mięśnie. Atoli sądzić należało, że w tym spotkaniu umiejętności zapaśnicze nie zdadzą się na nic, że rozjuszony olbrzym, który ciśnie gardziel leżącej pod nim ofiary, wstanie po chwili odniósłszy łatwe zwycięstwo. Zdecydować miała brutalna siła, bona zręczność i subtelność kunsztu nie było miejsca ani czasu.

Jednakże wprawa, która nie może dać siły, zapewnia chłodne opanowanie. Maurycy Frere nie stracił zimnej krwi, chociaż został napadnięty zniemacka. Nie zdążył uderzyć, ale padając na wznak uchwycił pod kolano potężne udo wroga

85

i prawą dłoń wczepił w jego kołnierz. Zapaśnicy przewalali się czas pewien na deskach pokładu, a przerażony wartownik nie śmiał wystrzelić do buntownika. Wreszcie przechył statku zmienił pozycję walczących i Frere spostrzegł, że ma olbrzyma pod sobą. Natężając wszystkie mięśnie starał się unieruchomić przeciwnika, lecz z równym powodzeniem mógłby zмагаć się z kamiennym murem. Czuł, że Gabbett odwraca go powoli, a wreszcie rozluźnia nieco uścisk, by oswobodzoną pięścią zadać cios ostateczny. Wówczas Frere opadł bezwładnie na pokład, skurczył się i kolanem uderzył pod brodę, korzystając zaś z oszołomienia wroga uwolnił lewą rękę i zadał cios w ogorzałą szyję. Gabbett osunął się, stanął na dłoniach i kolanach, a marynarze rzucili się nań w jednej chwili.

Zaczął się iście homerycki bój jednego przeciwko dwudziestu zapasy, co nie tracą nic z bohaterstwa, jeżeli nawet Ajaks jest zesłańcem, a Trojanie noszą zgrzebne żeglarskie bluzy. Więzień otrząsnął prześladowców, jak ranny dzik otrząsa psy ze szczeniastego grzbietu. Zerwał się i wymachując zdobytym toporem utrzymywał krąg wrogów w przyzwoitej odległości. Czterokrotnie żołnierze przy luku brali na cel Gabbetta, lecz nie strzelali z obawy, by nie zranić którego z oblegających go marynarzy. Olbrzym miał włos zjeżony i oczy gorejące furją. Zaciskał i rozprostowywał olbrzymie łapy, jakby chciał coś pochwycić, obracał się, był tu i tam, groził połyskującym ostrzem, ryczał jak rozjuszony buhaj. Rozerwana koszula odsłaniała drgania potężnych mięśni, krople krwi z rany na czole plamiły twarz i pomieszane z pianą, co wystąpiła na posiniałe wargi, ciekły na szeroką, kudłatą pierś. Ilekroć napastnik znajdował się w zasięgu topora, zbój doznawał nowego ataku furii. Raz niknął pośród prześladowców, a jego ramiona, barki, nogi zdawały się obwieszane masą ciał ludzkich, raz stał sam groźny, rozszalały, bardziej niż do człowieka podobny do szatana albo olbrzymiej, srogiej małpy, goryla z afrykańskiej dżungli. Uwolniwszy się na moment, roztrącił krąg marynarzy i rzucił się na pierwszego przeciwnika, który tymczasem zdążył dźwignąć się na nogi. Chciał zadać mu cios ostatni, kładący na zawsze kres tyranii Frere'a. Był przekonany, że Sara dopuściła się zdrady, a rolę kusiciela odegrał przystojny

86

oficerek. Olbrzym pragnął tylko pomsty, a wyglądał tak strasznie, że gdy podniósł nad głowę lśniące ostrze, porucznik – człowiek z natury nieustraszony – przymknął powieki i z rezygnacją poddał się woli losu. Ale w krytycznym momencie „Malabar” szarpnął i przechylił się mocno. Gabbett stracił równowagę i upadł, a zanim zdążył powstać, przygniotły go i obezwładniły ręce dziesiątka marynarzy.

Prawie w tej samej chwili przywrócono porządek na górnym i dolnym pokładzie. Bunt został ostatecznie zdławiony.

XI

Odkrycia i zwierzenia

Wstrząs, który zwałił z nóg Gabbetta, dał się odczuć na całym okręcie, a przyczynę jego odgadł natychmiast Pine, dozorujący skuwania ostatniego buntownika.

— Dzięki Bogu! — zawołał. — Wiatr! Nareszcie.

Wybiegł na pokład w momencie, gdy pokonany olbrzym skrępowany, posiniaczony i ociekający krwią — znajdował się już w luku. „Malabar” sunął lekko przez pobielające fale pod tchnieniem bryzy o prędkości piętnastu węzłów.

— Do reowania topsli! Załoga na reje! Zwijać topżagjel! wołał Best z pokładu rufowego, a Maurycy Frere zdawał sprawę z przebiegu wydarzeń, pomijając w miarę możliwości własne zaniedbanie obowiązków służbowych.

Pine zmarszczył brwi.

Myśli pan, że ta pokojówka należała do spisku? zapytał.

Skąd znowu! — zaprzeczył żywo porucznik. — Jakim cudem? Ona w spisku! Zresztą zachorowała, i to na tyfus, o ile się nie mylę.

Nie mylił się. W kabinie znaleziono Sarę Purfoy, która leżała tam, gdzie upadła przed piętnastoma minutami. Nie zbudził jej huk wystrzałów ani złowrogi szczeł białej broni.

87

Trzeba zamienić na lazaret jej kabinę rzekł lekarz spoglądając spod oka na chorą. Nie zdaje mi się, by było z nią bardzo źle. Przeklęta dziwka! Chyba to ona była przyczyną całej awantury. Niedługo się dowiemy, bo powiedziałem hunewotom, że jeżeli nie wyznają wszystkiego do jutra rano, dostaną po sześć tuzinów batów, jak wylądujemy w Hobarcie. Chętnie zaaplikowałbym chłostę nawet wcześniej. Niech pan bierze za ramiona, Frere. Wyniesiemy ją stąd, nim nadejdzie Vickers. Ale się pan popisał! Jak Boga kocham, wiedziałem, że tak będzie. Z babami tylko zmartwienie na morzu. Dziwne, że pani V. nie pokazała się dotąd. Uwaga, drzwi! Można by pomyśleć, człowieku, że nigdy nie trzymał pan dziewczyny w objęciach. Cha, cha, cha! Nie rób pan takiej głupiej miny. Nikomu nic nie powiem. Prędzej, bo zaraz przyjdzie nasz kapitan. On jest godny niczym pastor, a duchowni konkurują w plotkarstwie ze starymi kumoszkami.

Burcząc tak, stary doktor pomagał w przenoszeniu pokojówki do jej kabiny.

Do diaska! Ładna z niej sztuka! podjął mierząc nieruchome ciało zawodowym, lekarskim wzrokiem. Nic dziwnego, Frere, że zrobił pan z siebie durnia. Mógł pan też złapać tyfus, chociaż chyba Bóg pozwoli, że ten wiatr przegna od nas epidemię. Ach, ta stara mała Blunt! Że też nie wstydzi się takich rzeczy w swoim wieku!

Hę? O co chodzi, doktorze? Co Blunt ma do powiedzenia na temat tej dziewczyny?

Nie wiem •?-- odburknął Pine. Po prostu wpadł w kabałę jak wielu innych.

Jak wielu innych? powtórzył Frere.

A pewnie! roześmiał się lekarz. Ta mała robiła słodkie oczy, do kogo się dało. Raz przyłapałem ją, jak całowała żołnierza.

Pan Maurycy Frere zaczerwienił się mocno. On, wytrawny kobieciarz, został wciągnięty w sidła, oszukany, może nawet wyśmiany! Zdawało mu się, że zręcznie uwodzi czarnooką pokojówkę. Tymczasem czarnooka pokojówka

owijała go wokół małego palca i prawdopodobnie małpowała jego zaloty dla rozrywki kochanka, prostego szeregowca! Nie były to przyjemne myśli, lecz (dziwna rzecz!)
88

przewrotność Sary nie zmniejszała bynajmniej sympatii, jaką czuł do niej porucznik. Zdarza się niekiedy, że miłość jeśli miłością wolno nazwać to uczucie – rozkwita pod wpływem lekceważenia i zdrady. Tak czy inaczej Maurycy Frere zaklął szpetnie dla zachowania pozorów.

Wyszedłszy z kabiny Sary, Pine i Frere natknęli się na Vickersa.

Biedny Blunt zachorował, doktorze? – powiedział kapitan. – Pan Best znalazł go w kabinie. Majaczy, stęka. Chodźmy tam. Prędko!

Blunt leżał na koi w pozałowania godnym stanie, jaki bywa zazwyczaj wynikiem snu w ubraniu. Doktor schylił się, potrząsnął wilkiem morskim i rozluźnił mu kołnierz.

Wcale nie jest chory, tylko pijany – oznajmił.

Blunt! Hej, Blunt! Zbudź się! Nie było odpowiedzi.

Oo! Co to? – mruknął Pine, wachając stłuczoną szklanekę. Jakoś dziwnie pachnie... Rum?... Nie! Opium!...

Jak Boga kocham, otruty!

Co za brednie!

Rozumiem! – Pine klepnął się po udzie. Piekielna dziwka! Uśpiła go i to samo chciała zrobić z... – (Frere spojrzał nań błagalnym wzrokiem) ...z każdym osłem, co pozwoliliby się okpić. Dawes miał rację, kapitanie Vickers. Maczała palce w spisku! Przysięgnę, że tak było.

Kto? Pokojówka mojej żony? Niepodobna! obruszył się Vickers.

Co za brednie! – powtórzył Maurycy Frere.

Żadne brednie. Ten zastrzelony żołnierz... jakże się nazywał... Aha, Miles! Otóż on... Ale to nie ma już znaczenia.

Sprawa skończona.

Do rana więźniowie złożą zeznania. Wtedy zobaczymy powiedział kapitan i poszedł do kabiny swojej żony. Pani Vickers sama otworzyła mu drzwi. Od niejakiego czasu siedziała przy chorym dziecku i nasłuchując odgłosów walki oczekiwała powrotu męża. Lekkomyślna flirciarka i kokietka umiała w groźnych momentach zdobyć się na siłę charakteru właściwą niekiedy naturom jej pokroju. Ziewała nad książką wyżej poziomu ckliwego romansidła, dziewczęcymi minkami próbowała czarować chłopców, którzy

89

mogliby być jej synami, piszczała na widok żaby lub pajaka, zarazem jednak potrafiła znosić napięcie, jakie ostatnio przeżyła, z męstwem przeczącym innym, iście niewieścim cechom.

Po wszystkim? zapytała.

Tak, dzięki Bogu odrzekł Vickers przystając w drzwiach. –Poradziliśmy sobie, chociaż... hm... niewiele brakowało. Jak tam Sylwia?

Jasne loki dziewczynki leżały w nieładzie na poduszce.

Wychudłe, drobne dłonie drgały odruchowo.

Chyba trochę lepiej – odpowiedziała matka. Ale majaczy ciągle.

Rozchyliły się purpurowe wargi, a duże błękitne oczy spojrzały wokół nieprzytomnie. Sylwia usłyszała zapewne głos ojca, bo zaczęła odmawiać dziecienną modlitwę:

Boże błogosław mamusi, tatusiowi i wszystkim dobrym ludziom na tym okręcie. Boże błogosław mnie i pozwól, bym była grzeczna przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego, amen.

Proste słowa modlitwy w ustach chorego dziecka budziły

lęk i wzruszenie i łzami przepełniły oczy dzielnego Johna Vickersa, który tak niedawno gotów był podpisać wyrok śmierci na siebie i za cenę życia uratować „Malabar”. Kontrast był wstrząsający. Małe, niewinne dziecko w malig- nie ufnie wzywało opieki Niebios na bezkresach oceanu i na okręcie-więzieniu oddalonym o setki mil od najbliższego ładu, nawiedzonym straszliwą epidemią, pełnym oszustów, złodziei i morderców.

W dwie godziny później, kiedy „Malabar” wolny od wszelkiego niebezpieczeństwa sunął szparko po wyiskrzonym morzu, sprytny Jemmy Vetch złożył zeznania w imieniu buntowników. Wyraził ubolewanie i nadzieję, że pogwałce- nie dyscypliny zostanie winnym darowane, ponieważ obawa przed tyfusem pozbawiła niektórych więźniów zdrowego rozsądku. Buntownicy nie mieli prowodyrów ani współ- ników poza więzieniem, uważają jednak, iż obowiązkiem ich jest wyznać, że do zamieszek nakłonił ich Rufus Dawes. Świeca odgadł, kto udzielił wiadomości, które udarem- niły bunt, i w taki oto sposób wywarł zemstę.

XII

Wycinek z gazety

„Hobart Town Courier” doniósł w dniu 12 listopada 1827 roku: .

„W ubiegły wtorek zostało zakończone dochodzenie w sprawie więźniów, którzy uczestniczyli w nieudanym zamachu na »Malabarze«. Czterej przywódcy: Dawes, Gab- bett, Vetch i Sanders, zostali skazani na karę śmierci. Dowiadujemy się jednak, że jego ekscelencja pan gubernator skorzystał z prawa łaski i zmienił ów wyrok na szesc lat ciężkich robót w kolonii karnej Macquarie Harbour”.

90

Księga d r u g .-i

Rok 1833

Macquarie Harbour

i

Topografia Kraju Van Diemena

Południowo-wschodnie wybrzeże Kraju Van Diemena przypomina suchar obgryziony przez szczury. Jest nieregularne, postrzępione, zżarte nieustannym szturmem oceanu, który oderwał dawny półwysep od australijskiego kontynentu, podobnie jak inne wody odłączyły od Wielkiej Brytanii wyspę Wight. Urozmaicone formy wyspy i przyległych archipelagów rozproszonych między Przylądkiem Południo- wo-Zachodnim a Swan Port przypominają dziwaczne kształ- ty, jakie przybierają zastygające w wodzie krople płynnego ołowiu. Zbyt bujnej wyobraźni może się wydać, że gdy odlewano australijski kontynent, nieostrożny kolos prze- wrócił tygiel i uronił w głębiny oceanu Kraj Van Diemena. Żegluga przybrzeżna jest tam równie zdradliwa jak na Morzu Śródziemnym. Na szlaku od przylądka Bougainville do Wyspy Marii marynarz napotyka nieprzeliczone mielizny i rafy, aby natknąć się później na Półwysep Tasmana zwisający z głównego masywu wyspy niby podwójny kol- czyk. Dalej leży skaliste urwisko zwane Kolumną, wyspa Storing w Zatoce Wichrów i Półwysep Apeniński tego Adriatyku w miniaturze. Pomiędzy Hobartem a Sorrellem osobliwie ukształtowany cypel włoski but z noskiem zwróconym ku górze — sięga w zatokę niemal do wyspy Bruny i tworzy zdradliwy kanał D'Entrecasteaux. Połu- dniowe jego wyjście blokuja podwodne skały zwane Rafami Akteona, a od Przylądka Południowego do rozwartej jak potworna paszcza zatoki Macquarie Harbour zębate szczyty morskich skał, mielizny i rafy odstraszaają żeglarzy od brzegu.

92

Zdawać się może, iż natura, zazdrosna o urodę srebrzystej Derwent, zamknęła przystęp do niej przemyślnymi przeszkodami. Kiedy jednak ominie się szczęśliwie archipelagi na kanale D'Entrecasteaux albo mniej niebezpieczną, położoną na wschodzie Zatokę Wichrów, żegluga w górę rzeki jest naprawdę urocza. Od samotnej Żelaznej Góry, stojącej niby na warcie, do czarownych wybrzeży Norfolku nurt wije się w niezliczonych zakrętach i wielu przełomami rozdziera malownicze urwiska skalne.

Linia prosta pociągnięta od źródeł Derwent ku północy natrafiłaby na drugą rzekę, która przecina północną część Kraju Van Diemena podobnie jak pierwsza południową. Na północy szturmy oceanu były nieco mniej zaciekle. Prądy Pacyfiku spotykające się przy ujściu rzeki Tamar łagodnie starły przesmyk i na jego miejscu wyźłobiły może śródlądowe, Port Philip Bay, co zajmuje przestrzeń dziewięciuset mil kwadratowych i pracowicie nadgryza południowe wybrzeża Wiktorii.

Mniej więcej o sto siedemdziesiąt mil od tych wybrzeży rozciąga się Kraj Van Diemena piękny, żyzny, bujny, obficie zraszany życiodajnymi deszczami z chmur, które często spowijają wyniosłe szczyty Frenchman's Cap, Wyld's Crag i najwyższy z nich: stożkową Górę Wellingtona. Nie ma tam owych suchych, gorących wiatrów, które wyjałowiają kontynent australijski. Chłodna południowa bryza marszczy łagodnie czyste wody Derwent i igra z firankami w otwartych oknach miasta skrytego w cieniu potężnej Góry Wellingtona.

Wschodnia część Kraju Van Diemena należy do najmiłszych klimatycznie zakątków świata. W Launceston jest ciepło, zacisznie i wilgotno, a Hobart, osłonięte od południa przez wyspę Bruny oraz archipelagi kanału D'Entrecasteaux i Zatoki Wichrów, ma umiarkowaną temperaturę Smyrny.

Obszar pomiędzy tymi miastami przecinają liczne przepiękne doliny, po których dnie strumienie toczą czyste, srebrzyste wody.

Ale charakter krajobrazu jest zgoła odmienny na wybrzeżu zachodnim, ciągnącym się od skalistego przylądka Grin do otoczonej buszem pustyni Przylądka Piaszczystego i ponurego wejścia do Macquarie Harbour. Wszystko jest

93

tam jałowe i posępne. Na tyra straszliwym wybrzeżu fale oceanu kończą swą podróż dokoła globu, a zimne wiatry niosą na skrzydłach tajemniczą grozę bieguna południowego i bezlitośnie smagają prostopadłą ścianę Mount Direction oraz iglaste lasy w pobliżu Huon. Potężne huragany i częste burze odstraszały tubylców od ponurego wybrzeża, a wejście do Macquarie Harbour – „Bramy Piekieł” osławionej w tym czasie (rok 1833) z racji kolonii karnych dostępne jest tylko przy spokojnej wodzie. Linie brzegową wytyczają liczne stare wraki, a podwodne skały noszą smutne nazwy okrętów, które się na nich rozbiły. Powietrze jest tutaj chłodne i wilgotne, gleba rodzi jedynie kolczaste krzewy i skąpe trawy, a cuchnące wyziewy z oparzelisk snują się nieustannie nad powierzchnią ziemi. Cały krajobraz wieje żalostną pustką, a oblicze przyrody zdaje się ustawicznie zasępione. Rozbitek z zatopionego statku lub skutu zęślaniec, z trudem wlokący pień ściętego drzewa, może spojrzeć z wyżyny na bezmiar mgieł, z którego jak wyspy sterczą bazaltowe skały. Może również oglądać porośniętym buszem pustkowie, a na ich krańcach dwie przysadziste góry Mount Heemskirk i Mount Zeehan niby lwy trzymające straż nad wodami oceanu.

II Samotnik z

Bramy Piekieł

Bramę Piekieł tworzy skalisty cypel, który wyrasta ku północy i wschodnią krawędzią prawie się styka z wąskim półwyspem zamykającym ujście Rzeki Królewskiej. Cieśnina ta ma naturalny rygiel w postaci wysepki, która wystrzela z piaszczystej płycizny pośrodku nurtu rzeki i przyplływów, występują więc tam podwójne wiry trudne do pokonania nawet przy dobrej pogodzie. Przepłynąwszy cieśninę od strony morza, skutą zesłaniec ma przed sobą nagi stożek Frenchman's Cap tonący w mgłach o pięć tysięcy stóp wyżej. Ściany basenu, zębate od skał i ocienione potężnym bozem,

94

obniżają się i prawie łączą przy ujściu rzeczki Gordon. Rwały ów potok, zasilany przez strugi, co niosą masy gnijącej próchnicy, ma wodę o szkodliwych właściwościach. Nie tylko nie nadaje się ona do picia, lecz również zabija ryby zabłąkane z falami przyplływów. Szalejące tu często huragany postrzępiły dziwacznie linię brzegową, a siła ich bywa tak olbrzymia, że po kilku dniach północno-zachodniego wiatru woda w Gordon jest słona kilkanaście mil w głąb lądu. Kwaterna główna kolonii karnej mieściła się na położonej w pobliżu ujścia tej niegościnniej rzeczki wysepce zwanej Wyspą Sary. Obecnie pustka panuje wokół złowrogiej zatoki i tylko zbutwiałe bale i bierwiona świadczą o niedolach, które nie powrócą nigdy. Ale w 1833 roku zabudowania były liczne i rozległe. Na Wyspie Filipa, po pomocnej stronie portu, znajdowała się niewielka farma, gdzie uprawiano jarzyny na użytek administracji więziennej. Wyspa Sary miała moło portowe, a mieściła tartak, kuźnię, niewielkie doki, wartownię, więzienie i baraki koszarowe. Załoga wojskowa w sile sześćdziesięciu ludzi (wraz z dozorcami i policjantami) strzegła przeszło trzystu pięćdziesięciu skazańców. Nędzarzy tych – odartych z wszelkich nadziei na przyszłość – używano do najcięższych robót. W kolonii nie było zwierząt pociagowych, więc cały transport przeprowadzano siłą mięśni ludzkich. Więźniów, którzy sprawowali się dobrze, nagradzano stosunkowo lżejszą pracą. Ci, w liczbie około setki, dostarczali drewno do nadbrzeża i pomagali w dokach przy budowie łodzi lub małych statków. Inni ścinali drzewa w głębi lasu i na własnych barkach dostarczali pnie nad morze. W gęstym poszyciu kolczastego buszu musieli torować drogi i budować pochylnie z pierwszych pni, aby następne staczać na dziką plażę. Z tak uzyskanego budulca wiązano tratwy i drewno magazynowano później w dokach lub odstawiano drogą morską do Hobartu.

Na Wyspie Sary zesłańcy kwaterowali w barakach okalających karcer, którego cele były postrachem nawet dla najbardziej zahartowanych. Każdego rana dostawali owsiankę na wodzie, aby następnie odpłynąć pod strażą na poręby, gdzie bez pożywienia harowali do zmroku. Wielu z nich dźwigało ciężkie łańcuchy, a praca przy transporcie i spławianiu drewna odbywała się nieraz w wodzie sięgającej pasa.

95

Zmarłych grzebano na Wyspie Hallidaya (była to nazwisko pierwszego pochowanego tam zesłańca), a zatknięta w ziemi deska z inicjałami nieboszczyka stanowiła jedyny jego pomnik.

Długa, płaska Wyspa Sary znajduje się w południowo-wschodnim kącie zatoki. Pośrodku jej stały w owym czasie domy komendanta i kapelana, oddzielone koszarami od pomieszczeń więziennych i karceru. Szpital znajdował się na zachodnim wybrzeżu, opodal zaś były dwa rezerwowe baraki. Całą kolonię przesłaniały wysokie palisady, co sprawiało wrażenie obozu warownego. Zbudowano je, by

powstrzymać gwałtowne wichry, które dawnymi czasy zrywały nieraz dachy i z ziemią równały hangary na łodzie. Osadę tę wzniesiono na odludnych krańcach cywilizacji, jak gdyby wbrew prawom natury, a więc mieszkańcy jej musieli wieść nieustanną walkę z wiatrem i morskimi falami. Ale karcer na Wyspie Sary nie był jedynym więzieniem w tej posepnej okolicy. Uzupełniała go samotna skała położona opodal ładu i wystawiona na srogie szturmy huraganów i nawałnic.

Wieczorem trzeciego grudnia 1833 roku, kiedy słońce niknęło za wierzchołkami drzew po lewej stronie zatoki, na szczycie owej skały pojawił się mężczyzna. Miał na sobie nędzny więzienny ubiór, a kostki jego nóg otoczone żelaznymi pierścieniami łączył krótki i gruby łańcuch. Rzemień przywiązany u środka łańcucha rozdzielał się u góry w kształcie litery „T” i okalał mężczyznę w pasie, aby uchronić go od potyknięcia się o kajdany. Więzień miał odkrytą głowę, a rozpięta płócienna bluza w granatowe i białe pasy odsłaniała potężny kark i mocno opaloną szyję. Mężczyzna ten wyszedł z małej celi lub pieczary wyżłobionej w skalistym zboczu i rzucił sosnowe polano na skąpy ogień dymiący między dwoma płaskimi kamieniami. Następnie wrócił do jaskini po żelazny garnek z wodą i ustawił go w zagłębieniu wygrzebanym w popiele zrogowaciałyymi dłońmi. Jak stąd wynika, pieczara była mu schronieniem i spiżarnią, a dwa płaskie kamienie zastępowały kuchnię.

Ukończywszy przygotowania do wieczerzy więzień wstał na ścieżkę wiodącą ku wierzchołkowi skały. W okowach musiał stawiać drobne kroki i krzywił się raz po raz, jak gdyby kąsało go żelazo. Lewą kostkę, otartą pierścieniem, miał przewiazaną brudną szmatą. Wolno i mozolnie wspiał się do końca ścieżki, gdzie padł na ziemię i rozejrzał się dokoła.

Po południu przeszła burza, więc promienie zachodzącego słońca malowały czerwienią rozkołysaną, spienioną zatokę. Po prawej stronie leżała Wyspa Sary, po lewej bezludne brzegi, a dalej sterczał wyniosły stożek Frenchman's Cap. Na wschodzie czarne chmury burzowe wisiały ciężko nad pasmem jałowych, nagich wzgórz. Jedyne objawy życia można było dostrzec w dole, gdzie dwie łodzie z załogą więźniów holowały bryg ku ładowi.

Widok ten obudzić musiał jakieś wspomnienia czy refleksje, bo więzień podparł brodę dłonią i zapatrzony w nadpływający statek zadumał się posepnie. Minęła długa godzina, a on nie zmienił pozy. Bryg zarzucił kotwicę, łodzie z więźniami odpłynęły, a po zachodzie słońca ciemność spowiła zatokę. W zabudowaniach osady jęły połyskiwać światła. Ogień przy grocie wygasł. Woda w żelaznym garnku ostygła. Samotnik nie poruszał się nadal. Wzrokiem przywarł do statku i na jałowej skale, która była mu więzieniem, leżał zastygły niby skała.

Samotnikiem tym był Rufus Dawes.

III

Wieczór towarzyski

Tegoż wieczora, trzeciego grudnia 1833 roku, było niezwykle wesoło w domu komendanta kolonii karnej Macquarie Harbour, pana majora Vickersa.

Porucznik Maurycy Frere, do niedawna komendant

Wyspy Marii, zjechał nieoczekiwanie i przywiózł interesujące nowiny od władz centralnych. W normalnych warunkach szkuner rządowy „Biedronka” zawijał do osady dwa razy na rok, a osadnicy wyczekiwali niecierpliwie tej okazji. Dla zesłańców oznaczała ona świeże twarze, wiadomości o sta-

rych kamratkach i nowiny ze świata, z którego zostali wygnani. Czuli się wtedy ludźmi, przypominali sobie, że okalające więzienie posępne skały i bory nie są granicą wszystkiego, że nadal istnieje świat, gdzie podobne im istoty piją, palą, śmieją się, wypoczywają i są WOLNE! Kiedy na redzie stawała „Biedronka”, skazańcy otrzymywali wieści takie, na jakich im zależało nie bezduszne relacje o toczących się wojnach, o ruchu okrętów lub wielkemiejskich wydarzeniach towarzyskich. Dowiadywali się, że Tom pracuje przy budowie szosy, Dick jest na urlopie zdrowotnym, Harry zwał szczęśliwie do buszu, a Jack został powieszony na dziedzińcu więziennym w Hobarcie. Zesłańców interesowały jedynie nowiny z własnego świata, a w takich kwestiach „nowi” byli zazwyczaj dokładnie poinformowani. Dla skazańców „Biedronka” równała się kawiarnianym plotkom, teatrowi, cedułam giełdowym i ostatnim wiadomościom dziennikarskim. Szkuner był gazetą, listonoszem, jedynym urozmaiceniem straszliwego życia, ostatnim ogniwem łączącym własną nędzę z obcym szczęściem. Ale sam pan komendant i inni ludzie wolni witali niemal równie gorąco tego łącznika ze światem zewnętrznym. A gdy wydęte żagle zniknęły za grzbietem wzgórze, nie było w Macquarie Harbour nikogo, kto nie czułby nieznośnego ciężaru na sercu.

Tym razem major Vickers miał większy niż zazwyczaj powód do ożywienia. Gubernator Arthur zdecydował, iż kolonia karna zostanie zlikwidowana. Kilka morderstw wśród więźniów i prób ucieczki zwróciło na nią oczy opinii publicznej, a znaczne oddalenie od Hobartu wywołało trudności i narażało administrację na poważne wydatki. Na siedzibę zesłańców gubernator wyznaczył Półwysep Tasmania (wspomniany wyżej podwójny kolczyk), przyszłą osadę nazwał na swoją cześć Port Arthur, a porucznika Maurycego Frere'a wysłał z rozkazem, by major Vickers przetransportował tam więźniów z Macquarie Harbour. Chcąc ocenić w pełni wagę i znaczenie tego rozkazu, wypada zaznaczyć się z sytuacją kolonii karnych w ówczesnym okresie.

Przed dziewięćmioma laty pułkownik Arthur, były gubernator Hondurasu, objął władzę w krytycznym momencie. Jego poprzednik, pułkownik Sorrell, odznaczał się przyjemnym usposobieniem, lecz brakowało mu siły charakteru. Ponadto wiódł rozwiązłe i hulaszczę życie, a za jego przykładem podkomendni łamali wszelkie zasady dyscypliny i moralności. Nikogo nie dziwiło, gdy oficer trzymał w domu zesłankę w roli jawnej, choć nieformalnej towarzyszką łoża. Uległość zapewniała wygody i dobrobyt. Na tym jednak nie koniec. Krążyły dziwne pogłoski o prześladowaniu kobiet, wybierających kochanków według własnego upodobania. Położenie kresu tej rozpuszcience było najpierwszą troską nowego gubernatora, który zabiegając o pozory moralności, nie dostrzegał być może jej treści i nakazów życia. Odważny, uczciwy i bezkompromisowy – był zarazem chłodny i wyraźny, a wszelkie ataki ostentacyjnie dobrego humoru wolnych kolonistów rozbijały się o lodowatą uprzejmość i ceremonialną etykietę jego ekscelencji. Kołom oficjalnym stworzonym przez pułkownika Arthura przeciwstawiało się towarzystwo ludzi przymusowo osiedlonych w Kraju Van Diemena oraz więźniów na urlopiach okolicznościowych. Było ich nierównie więcej, niż

można by sądzić. W rejestrach z drugiego listopada 1829 roku widnieje trzydzieści osiem ułaskawień bezwarunkowych i pięćdziesiąt sześć warunkowych, a poza tym siedmiuset czterdziestu pięciu więźniów korzystało w tym okresie z urlopów okolicznościowych lub zdrowotnych.

O warunkach, w jakich żyli ci ludzie, trudno mówić bez zdziwienia. Zgodnie z oficjalnymi raportami osób godnych zaufania – funkcjonariuszy państwowych, oficerów i poważnych kolonistów – obyczaje tej na poły wolnej ludności były przerażające. Najbardziej krzewiącym się występkiem było pijaństwo. Nawet dzieci wałęsały się ulicami w nietrzeźwym stanie. W dzień świąteczne kobiety i mężczyźni oblegali drzwi szynków, czekając niecierpliwie, aż minie godzina nabożeństwa. Sytuacji więźniów niepodobna opisać. Mimo surowych kar za potajemną sprzedaż alkoholu handel taki prosperował doskonale. Zesłańcy obojga płci urządzali wspólne libacje, a dwadzieścia batów uchodziło za przystępną cenę butelki brandy. Więzienie dla kobiet było siedliskiem ohydnych występków, a zbrodnie pospolite wśród odbywających ciężkie roboty kajdaniarzy zbyt potworne, by mówić

98

99

o nich wprost. Wszystko najgorsze, co przewrotność człowieka zdoła wymyślić i zastosować w życiu, było na tej nieszczęsnej ziemi stosowane.

W roku 1826, po ukończeniu nowych pomieszczeń więziennych w Hobarcie, podzielono zesłańców na siedem kategorii. Zaliczani do pierwszej mogli nocować poza barakami i pracować dla siebie w soboty. Drugiej przysługiwała jedynie ta ostatnia ulga. Trzecia miała wolne tylko sobotnie popołudnia, do czwartej i piątej należeli „usposobieni krnąbrnie i buntowniczo, którzy winni pracować w kajdanach”. Szósta obejmowała niepoprawnych i niebezpiecznych dla otoczenia, którzy „winni pracować w kajdanach, odizolowani całkowicie od pozostałych zesłańców i więźniów”. Siódma była najgorsza, bo w skład jej wchodziły wyrzutki tych wyrzutków społeczeństwa bandyci, mordercy, nikczemnicy, których poskromić nie zdołały łańcuchy ani batog. Uważano ich za społecznie umarłych i odstawiano do Bramy Piekieł albo na Wyspę Marii. Brama Piekieł uchodziła za najpotworniejszą z potwornych kaźni. Dyscyplina była tam tak surowa, że zesłańcy ryzykowali wszystko, żeby podjąć próbę ucieczki. W jednym roku zanotowano osiemdziesiąt pięć zgonów, a pośród nich tylko trzydzieści z przyczyn naturalnych. Ponadto dwudziestu siedmiu skazańców utonęło, ośmiu zginęło w rozmaitych wypadkach, trzech zastrzelili żołnierze, dwunastu zaś uśmiercili towarzysze niedoli. W roku 1822 ukarano chłostą stu sześćdziesięciu dziewięciu ludzi z ogólnej liczby stu osiemdziesięciu dwóch, a wymierzono do dwóch tysięcy batów. W ciągu dziesięciu lat umknęło stu dwunastu więźniów; sześćdziesięciu dwu z nich odnaleziono w buszu martwych. Nierzadko kończyli samobójstwem, bo woleli śmierć niż ujęcie i powrót do okropności dawnego życia. Otóż zadaniem Maurycego Frere'a było bezpieczne przetransportowanie resztek tych podwójnie skazanych nieszczęśników do nowego więzienia gubernatora Arthura.

Porucznik siedział przed pustym kominkiem, nonszalancko założył nogę na nogę i ze znudzoną jak zwykle miną zabawiał towarzystwo. Po sześciu latach spędzonych z dala od Anglii zmężniał i przytył. Włosy miał nieco rzadsze, twarz czerstwiejszą, oczy bardziej chłodne, lecz jego zachowanie zmieniło się na ogół. Był poważniejszy i jego głos nabrał tonów, jakie może nadać tylko stałe rozkazywanie, ale złe

cechy pozostały mu te same. Pięć lat na Wyspie Marii rozwinęło jego wrodzoną grubiańską dufność i dobre mniemanie o sobie, zarazem jednak dało mu poczucie władzy, które maskowało pewne brzydkie właściwości charakteru. Znienawidzony przez więźniów, zyskał dobrą opinię u przełożonych i uchodził za uczciwego, pracowitego oficera. Zarzucano mu tylko skłonność do błagi i zbytęczną niekiedy surowość. „U mnie słowo i uderzenie przychodzą razem” zwykł często mawiać.

No i co, łaskawa pani? powiedział biorąc z rąk pani Vickers filiżankę herbaty. Nie będzie pani tęsknić do tej dziury, prawda? Przepraszam, Vickers, poproszę pana o grzanekę.

Och, nie będę! Z pewnością! odrzekła dama z dawnym dziewczęcym wdziękiem przyćmionym nieco latami. Potworne miejsce! Ale cóż? Obowiązki służbowe Johna muszą być zawsze na pierwszym miejscu. Te okropne wichury! Mój Boże! Pan, drogi poruczniku, nie ma wyobrażenia, jak u nas wieje! Chciałam nawet wysłać Sylwię do Hobartu, ale John nie zgodził się oczywiście. Aa... właśnie! Jak się miewa panna Sylwia? – zapytał Frere protekcyjnym tonem, jaki ludzie jego pokroju przybierają zazwyczaj mówiąc o dzieciach. Niestety, nie za dobrze – odpowiedział Vickers. Widzi pan, czuje się bardzo osamotniona. Nie ma tutaj rówieśników z wyjątkiem córeczki pilota, a z nią nie mogła się jakoś zaprzyjaźnić. Ale mimo wszystko wolę nie zostawać się z małą i sam próbuję ją uczyć. Hm... O ile sobie przypominam, panna Sylwia miała... ehem... bonę czy coś w tym rodzaju -- podjął Frere mierząc wzrokiem zawartość filiżanki. – Jakże się ona nazywała?

Sara Purfoy – odparła z powagą pani domu. – Biedactwo! To taka smutna historia!

Czyżby? – Frere zmrużył oczy. – Jak pani wie, wyjechałem wkrótce po procesie buntowników i nie znam wielu szczegółów – powiedział obojętnym tonem, chociaż odpowiedzi czekał niecierpliwie.

100

101

Smutna historia powtórzyła dama. Sara jest żoną jednego z buntowników, Rexa. Zgodziła się do mnie na pokojówkę tylko dlatego, żeby się z nim nie rozłączyć. Za nic biedulka nie wyznałaby mi prawdy, chociaż po oskarżeniu tego niedobrego doktora... A mówiłam, mówiłam! Od początku nie podobał mi się wcale! Otóż po oskarżeniu pana Pine'a prosiłam ją prawic na klęczkach o zupełną szczerłość. Pamięta pan chyba, z jakim oddaniem to pocziwe stworzenie pielęgnowało w chorobie Sylwię i biednego Johna? Pocziwa młoda osobai jaka inteligentna! Myślę, że naprawdę musiała być guwernantką w dobrym domu. Frere podniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „Guwernantka! Doskonały pomysł! Że też nigdy nie przyszedł mi do głowy!”

Jej zachowanie było bez zarzutu, bez najmniejszego zarzutu! ?– ciągnęła pani Vickers. W czasie półrocznego pobytu w Hobarcie bardzo dużo nauczyła Sylwię. A że ma męża łajdaka... Cóż, to przecież nie jej wina, prawda? Niewątpliwie – przyznał Frere. O tym mężu też coś obilo mi się o uszy. Słyszałem, że miał jakieś kłopoty... Bardzo dziękuję, ale tylko pół filiżanki. Panna Purfoy czy też pani Rex, ... choć nie sądzę, by to było jej prawdziwe nazwisko... Nie zapomniałam chyba, że herbatę pija pan z cukrem i mlekiem, prawda?... Otóż Sara

otrzymała niewielki spadek po starej ciotce w Anglii. Frere skinął głową i pomyślał: „Stara ciotka. Właśnie! Czegoś podobnego należało oczekiwać.” Odeszła wtedy od nas ciągnęła pani Vickers i wynajęła domek w nowej dzielnicy Hobartu, a Rex otrzymał urlop okolicznościowy i został jej przydzielony do służby. Aha! Często tak bywa powiedział porucznik i zarumienił się lekko. – No i co dalej? Co dalej? Łajdak próbował czmychnąć, i to, niestety, z jej pomocą. Chciał dostać się do Launceston, a stamtąd statkiem do Sydney. Złapano go i został tutaj zesłany. Sarę ukarano tylko grzywną, ale to była dla niej okropna katastrofa. Katastrofa? Dla niej? zdziwił się młody oficer. Tak. Mało kto wiedział o jej związku z Rexem i biedulka cieszyła się dobrą opinią. Ale po tej historii ludzie

102

przypomnieli sobie oskarżenia starego Pine'a... Pamięta pan chyba, drogi poruczniku, że ten człowiek od początku wcale mi się nie podobał... A więc ludzie przypomnieli sobie proces buntowników i biedna pani Rex została zbojkotowana! Prosiła mnie, żeby ją zabrać tutaj. Chciała uczyć naszą małą. Ale John się nie zgodził, bo jego zdaniem Sarze chodziło tylko o to, żeby być blisko męża.

I miałem słuszość! – zabrał głos major. – Frere, jeżeli chce pan zapalić, wyjdziemy na werandę... Ona nie uspokoi się, póki nie wydobędzie tego łajdaka na wolność. To wytrawny opryszek, co? – powiedział Frere otwierając oszklone drzwi do mizernego ogródka. – Bardzo łaskawą panią przepraszam, ale stałem się istnym niewolnikiem nałogu, fajka zastępuje mi żonę i dzieci. Cha, cha, cha!

Tak, wytrawny opryszek odpowiedział Vickers. cichy, układny, gotów na każde łotrostwo. Zaliczam go do niepoprawnych. Tak. Mamy kilku podobnych, ale on jest chyba najgorszy.

Trzeba mu łości skórę, Vickers ożywił się porucznik. Jak Boga kocham, ja nie żałuję moich zuchów, gdy tylko zaczynają pokazywać humory.

A ja nie bardzo wierzę w kańczug – odrzekł niechętnie major. – Barton, mój poprzednik, często stosował chłostę. Nie wyszło z tego nic dobrego. Kilka razy więźniowie próbowali go zabić. Pamięta pan, Frere, historię tych dwunastu powieszonych? Nie pamięta pan? Prawda! Wtedy tu pana nie było.

A jak pan sobie radzi?

Cóż, muszę także łości skórę, jak pan się wyraził. Ale przestrzegam zasady, by na chłostę skazywać najwyżej jednego więźnia tygodniowo i stosować nie więcej niż pięćdziesiąt batów. Trochę się ostatnio uspokoiłi. Oprócz chłosty mamy inne kary. Ciężkie łańcuchy, separatkę w karczerze, wyspę...

Jaką wyspę?

Więzienie w zupełnej samotności na wyspie Grummet. Jeżeli ktoś źle się sprawuje, ładujemy go do czółna i z prowiantem odwozimy na tę wysepkę. Jest tam cela wykuta w skale. Więzień musi sobie sam radzić i może

103

zastanawiać się nad sobą. Zostaje na Grummecie kilka lub kilkanaście tygodni. To znakomicie obłaskawia i cywilizuje.

Słowo daję, wyborny pomysł! zawołał młody oficer. Szkoda, że nie mam takiej skały na Wyspie Marii. Na Grummecie siedzi teraz jeden podjął major.

Dawes. Pamięta go pan oczywiście? Jeden z przywódców buntu na „Malabarze”. Okropny bydlak! Przez pierwszy rok bardzo się tu awanturował, a że jak powiedziałem, Barton wierzył w chłostę, Dawes ma teraz dziecienny lęk przed kańczugiem. Jak tutaj przyjechałem... Kiedy to było? Aha, w dwudziestym dziewiątym roku. Dawes wystąpił wtedy z petycją o odesłanie do Hobartu, Mówił, że w buncie nie uczestniczył. Oskarżono go fałszywie.

Łajdak! – obruszył się Frere. Ma pan zapalki?

Bardzo dziękuję.

Oczywiście nie mogłem go puścić, ale zwolniłem od pracy w kajdanach i przenieśliśmy go na „Rybołowa”. Widział pan ten statek w porcie? Przez pewien czas Dawes sprawował się bez zarzutu, a później znów próbował ucieczki. Stary kawał. Cha, cha, cha! Nie wie pan o tym, majorze? – Frere zrobił mądrą minę i wypuścił wielki kłab fajkowego dymu.

Złapaliśmy go. Dostał pięćdziesiąt batów i w łańcuchach wrócił na porębę. Potem przenieśliśmy go do łodzi transportowej, a kiedy pobił się ze sternikiem, poszedł do budowy tratw i spławiania drewna. Mniej więcej sześć tygodni temu czmychnął raz jeszcze z Gabbettem. Pamięta pan Gabbetta? Na „Malabarze” o mały włos pana nie zabił. Dawes miał nogi obdarte łańcuchami, więc złapaliśmy go łatwo. Ale Gabbett przepadł z trzema towarzyszami. I nie zostali odnalezieni? zapytał młody oficer pykając z fajki.

Nie. Ale ich los przesadzony. Wrócą jak inni. Jeszcze nikt nie umknął z Macquarie Harbour.

– Do diabła! – roześmiał się Frere. Nietęgo będą wyglądali, jeżeli nie wrócą do końca miesiąca.

Wrócą. Na pewno wrócą, jeżeli to będzie możliwe.

Widzi pan, ludzie zbłąkani w buszu nie mają dużych szans ratunku.

Kiedy pańska kolonia będzie gotowa do transportu?

zmienił temat porucznik.

Kiedy pan sobie życzy, byle prędzej. Nie chciałbym ani dnia zwlekać. Życie jest tu okropne.

Naprawdę tak pan sądzi? zdziwił się porucznik A ja je raczej lubię. Naturalnie jest monotonne. Na Wyspie Marii straszliwie się z początku nudziłem. Ale można utrzymuje w ryzach bandę takich drani. Miło popatrzeć, jak im ślepie błyskają na mój widok! Jak Boga kocham, rozszarpaliby mnie na sztuki, gdyby mogli sobie na to pozwolić. – Roześmiał się zadowolony z siebie i dumny z otaczającej go nienawiści.

Jak mam zorganizować transport? – zapytał Vickers. -- Czy przywiózł pan instrukcje?

Nie. Gubernator pozostawił wszystko panu. Mówił tylko, że ma pan zwinąć manatki i zakwaterować hołotę na Półwyspie Tasmana. Uważa, że znajduje się pan za daleko i, do licha! ma rację. Chce się z panem częściej porozumiewać. Cha, cha, cha!

Transport tak wielu ludzi naraz musi być niebezpieczny napomknął Vickers.

Dlaczego? Nie zrobią nic złego, jeżeli ciasno upcha się ich pod pokładem, a straż będzie w pogotowiu.

Ale moja żona i córka...

Myślałem o tym. Pan, majorze, weźmie ludzi na „Biedronkę”, a ja z pańską rodziną popłynę na „Rybołowie”.

Tak. To chyba jedyne wyjście. Nie ma rady... Tak...

Nie chcę, by Sylwia odbywała podróż wśród tych łotrów, ale wolałbym się z nią nie rozstawać...

Mam na to sposób! – zawołał Frere ze zwykłą pewnością siebie. – Ja wezmę „Biedronkę” i więźniów, a pan z żoną i córką popłynie na „Rybołowie”. Nie, nie! – obruszył się major. – Tego się nie da zrobić. Według regulaminów królewskich... Może pan nie cytować! – przerwał młody oficer. Znam to na pamięć. W porządku, drogi majorze, mnie wszystko jedno...

Myślałem tylko o Sylwii – usprawiedliwiał się Vickers.

104

105

O wilku mowa, a wilk tui zawołał Frere, gdy skrzypnęły oszklone drzwi werandy i na progu stanęła drobna biała postać. – Niech się pan z nią naradzi. Witam, droga Sylwio! Nie podasz rączki dawnemu znajomemu? Z jasnowłosego dziecka Sylwia wyrosła na jasnowłosa dwunastoletnią panienkę. Kiedy przystanęła w uchylonych drzwiach, nawet mało obeznany z kanonami estetyki Frere nie mógł się oprzeć urokowi jej nadzwyczajnej piękności. Smukła i wiotka niby młoda wierzba, oczy miała koloru przejrzystej lazururowej wody, a jej subtelna, uduchowiona twarzyczkę otaczała złocista aureola włosów bujnych, puszystych takich, jakimi natchnieni malarze średniowiecza przyozdabiali głowy swoich promiennych aniołów.

Nie dostanę całusa, panno Sylwio? ciągnął Frere.

Ee... chyba nie zapomniałaś mnie, mała? Ale dziewczynka położyła rękę na kolanie ojca i z pełną wdzięku dziecinna impertynencją obejrzała gościa od stóp do głów.

Kto to jest, papo? zapytała szeptem.

Pan Frere, kochana. Nie pamiętasz? Grywał z tobą w piłkę na „Malabarzc”, a potem, jak wracałaś do zdrowia, zawsze był dla ciebie bardzo miły. Doprawdy, wstydź się, Sylwio! – zgromił dziecko Vickers, lecz w tonie jego tyle było tkliwej serdeczności, że wymówka przeszła bez wrażenia.

– Pamiętam pana odpowiedziała Sylwia. Ale wtedy był pan ładniejszy niż teraz. Wcale mi się pan nie podoba.

Na pewno mnie nie pamiętasz! zawołał młody człowiek nadrabiając miną, lecz trochę zbity z tropu. Jak się nazywam?

Porucznik Frere. Pobił pan więźnia, który podniósł moją piłkę. Wcale mi się pan nie podoba.

Jak Boga kocham! Młoda dama z tupetem! roześmiał się Frere. – Cha, cha, cha! I jaka pamięć! Tamten więzień jest teraz u nas, prawda, papo? ciągnęła mała nie zwracając uwagi na apostrofę porucznika. – Nazywa się Rufus Dawes i ciągle ma straszne kłopoty. Tak mi go żal, biedaka. Danny powiada, że on trochę niespełna rozumu.

A kto to jest Danny? wtrącił Maurycy Frere.

Kucharz – odpowiedział Vickers. – Stary, schorowany człeczyzna. Wziąłem go z lazaretu. Sylwio! Za dużo rozmawiasz z więźniami. Nieraz już zwracałem ci uwagę. – Danny nie jest przecież więźniem. To kucharz, papo, i bardzo mądry człowiek. Często mi opowiada o Londynie, gdzie lord major jeździ oszkloną karocą, a do wszystkich robót używa się tylko wolnych ludzi. Danny mówi, że w Londynie nie słychać nigdzie brzęku więziennych łańcuchów. Ach, papo! Strasznie chciałabym zobaczyć Londyn! Chciałby go też zobaczyć i pan Danny. Nie wątpię burknał Frere.

Wcale nie! zawołała dziewczynka. Danny

chciałby tylko zobaczyć swoją starą matkę. Nie mogę sobie wyobrazić matki Danny'ego. Musi być okropnie stara i okropnie brzydka! On powiada, że zobaczy ją w niebie. Czy naprawdę zobaczy ją tam, papo?

Mam nadzieję, kochanie.

Papo!

Co, córeczko?

A w niebie Danny będzie też nosił żółty kaftan czy będzie tak ubrany jak wolni ludzie? Frere ryknął śmiechem.

Bardzo pan nieuprzejmy! zawołała Sylwia z gniewnym błyskiem w jasnych oczach. — Kto pozwolił panu śmiać się ze mnie? Na miejscu papy dałabym panu pół godziny trójkąta. Impertynent! -- zakończyła rozpieszczona mała piękność i purpurowa z pasji zatrzęsnęła drzwiami.

Vickers zrobił zatroskaną minę, ale jego gość wybuchnął niepoohamowanym śmiechem.

Dobre, co? — rechotał. Cha, cha, cha! Jak Boga Kocham! Pół godziny trójkąta! Cha, cha, cha! Doskonały pomysł!

Dziwne dziecko podjął major. I często mówi dziwnie jak na swój wiek. Ale trudno ją winić. Rozumie pan... Braki w wykształceniu, wychowaniu i specyficzna atmosfera otoczenia. Czegóż można oczekiwać od dziecka wychowanego w kolonii karnej?

Drogi majorze! — zawołał Frere. Pańska córeczka jest urocza! Zachwyca naiwnością i nieznaną światu!

106

107

Warto by ją wysłać na trzy lub cztery lata do dobrej szkoły w Sydney. Zrobię to, jak Bóg pozwoli wydostać się stąd nareszcie. A może nawet wyprawię ją do Anglii? To dobre dziecko, prawe, ale niestety brak jej ogłady i wykształcenia.

W tej chwili ktoś nadszedł ogrodową ścieżką, stanął na baczność i zasalutował.

Co powiesz, Troke? zapytał Vickers.

Zameldował się zbiegły więzień, panie majorze.

Który?

Gabbett, panie majorze. Dopiero co przyszedł.

Sam?

Tak jest, panie majorze. Powiada, że tamci trzej umarli.

Co takiego? zainteresował się młody oficer.

Wrócił zbieg, o którym już mówiłem: Gabbett, pański dawny znajomy — wyjaśnił major Vickers.

Jak długo go nie było?

Mniej więcej sześć tygodni, panie poruczniku odpowiedział dozorca i zasalutował znowu.

Do diabła! Ciężkie musiał mieć chwile. Chętnie bym go obejrzał.

Jest niedaleko w karczerze pospieszył z odpowiedzią usłużny Troke, były włamywacz, nagrodzony za dobre sprawowanie stanowiskiem dozorca. Jeżeli pan major i pan porucznik życzą, mogą go zaraz zobaczyć.

Co pan na to, Vickers? zapytał Frere.

Jestem do usług, poruczniku.

IV

Zbieg

Karcer był istotnie blisko i po paru minutach spaceru wzdłuż potężnej palisady Frere zobaczył długi kamienny budynek, z którego dobywały się krzyki, przekleństwa i ochryple śpiewy. Gdy kolby wartowników stuknęły głucho w deski podłogi, hałas ten ustał i zapadła posępna cisza.

Oficerowie przeszli między dwoma rzędami dozorców i znaleźli się w przedsionku karceru, gdzie na pryczy z nieheblowanych desek leżała jakaś postać w łachmanach. Na stołku koło pryczy siedział mężczyzna w szarym ubraniu „dobrze sprawującego się więźnia”, noszonym dla odróżnienia od złotego kaftana „opornych”. Człowiek ten trzymał między kolanami miskę zupy i usiłował karmić człowieka w łachmanach.

Nie chce jeść, Steve? zapytał Vickers. Na dźwięk głosu komendanta Steve zerwał się ze stołka.

Nie wiem, co z nim, panie majorze – odpowiedział i dodał stukając się palcem w czoło: Chyba mu się w głowie pokręciło. Nie mogę dać sobie rady.

Gabbett!

Bystry i usłużny Troke dzwignął kłęb łachmanów, posadził na pryczy i tą metodą obudził. Gabbett pogładził twarz szeroką dłonią i mętным wzrokiem spojrzął na swoich gości.

No i co, Gabbett? podjął major. Znowu wróciłeś, prawda? Kiedy wreszcie nabierzesz rozumu? Gdzie twoi kamraci?

Olbrzym nie odpowiadał.

Słyszysz? Gdzie twoi kamraci?

Pomarli.

Wszyscy?

Aha.

Jakim sposobem ty wróciłeś?

Zbieg odpowiedział wymownym milczeniem, pokazując okrwawione stopy.

Znaleźliśmy go na cyplu, panie majorze -- pokwapił się z wyjaśnieniem układny Troke i przywieźli czółnem. Dostał trochę kaszy, ale coś tak wygląda, jakby nie był głodny.

Głodny jesteś? -- podjął Vickers.

Tak.

To czemu nie jesz kaszy?

Już jadłem warknął Gabbett wykrzywiając usta.

Nigdy nie wymyślicie tu nic lepszego niż baty? Dranie! Ile tym razem zarobiłem, majorze? Pół setki? – roześmiał się głucho i opadł na deski.

108

109

Ładny okaz! uśmiechnął się Yickers. I co z takim robić?

Żeby się do mnie tak odezwał, kazałbym na śmierć zachłostać rzucił sucho Frere.

Słowa te obudziły szacunek Trokc'a i innych zesłańców.

Ton i wygląd nieznanego oficera świadczyły, że nie wahały się wprowadzić w czyn srogiej zapowiedzi. Olbrzym odwrócił głowę i zmierzył go wzrokiem, lecz najwyraźniej nie poznał. Zobaczył tylko nieznaną twarz, zapewne jakiegoś gościa komendanta.

Mnie możecie chłostać, ile wola burknął byłem dostał za to ciut tytoniu.

Frere roześmiał się głośno. Przypadła mu do gustu zwierzęca obojętność pojmanego zbiega. Zerknął porozumiewawczo na Vickersa, dobył z kapciucha zwitek prasowanego tytoniu i podał olbrzymowi. Gabbett pochwycił prymkę, niby wygłodniały kundys kość, i od razu wsunął ją w usta.

Ilu miał kamratów? zapytał Maurycy takim tonem, jak gdyby „kamrat” był czymś, z czym człowiek na świat przychodzi, jak na przykład ze znamieniem.

Trzech, panie poruczniku odpowiedział służbista

Troke.

Olbrzym poruszał szczękami, a Frerc przyglądał mu się niby osobliwemu zwierzęciu w menażerii.

Trzech... Hm... No to, panie majorze, zasłużył na trzydzieści batów, prawda? rzucił pogodnie młody oficer.

Żeby miał jeszcze trzech, nie mielibyście okazji wlepić mi ani jednego! mruknął Gabbett.

Co on gada? – zainteresował się porucznik. Troke nie dosłyszał, a „dobrze sprawujący się więzień” odskoczył nerwowo od zbiega i powiedział, że on również nie zrozumiał. Olbrzym milczał zajęty pracowitym żuciem prymki.

Kiedy siedział tak na podwiniętych nogach i poruszał żuchwą, przedstawiał budzący grozę widok. Przyrodzoną jego brzydotę stokrotnie powiększały brudne, poszarpane szmaty, co ledwie okrywały krzepkie, ale wynędzniałe cielsko. Wstrętem przejmowały zapadnięte policzki, nie golony zarost, zajęcza wargę, krwią nabiegłe oczy i okaleczone stopy. Kiedy tak siedział –?– kudłaty, brudny, wynędzniały miał w sobie coś straszliwie nieludzkiego. Ociekające ślina usta Gabbetta, jego niespokojne dłonie, poruszające się z wolna szczęki, spode łba rzucane spojrzenia przekrwionych oczu wyrażały ohydę okropniejszą niż męki głodowe. Kryły w sobie wspomnienia tajemnej tragedii, jaka rozegrała się wśród mrocznych lasów, które po sześciu tygodniach wyrygały zbiega.

Chodźmy odezwał się Vickers. – Trudna rada, trzeba go będzie znowu ukarać chłostą... Ach! To przeklęte miejsce! Nic dziwnego, że nosi nazwę Bramy Piekieł. Drogi majorze, ma pan zbyt miękkie serce –powiedział Frere. – Zwierzęta trzeba traktować jak zwierzęta. To chyba jasne?

Vickers westchnął smutno, chociaż miał czas przywyknąć do podobnych sytuacji.

Nie moją sprawą jest krytyka systemu... – zaczął i nie dokończył, bo uległ szacunkowi dla dyscypliny. Wszelako dodał w myśli: „Ale sądzę czasami, że łagodność mogłaby dokazać więcej niż kajdany czy batóg”.

Dawny pański konik, drogi majorze! – roześmiał się Frere. – Na „Malabarze” omal nie zapłaciliśmy życiem za wyrozumiałość. Nie, nie! Ja znam się trochę na tych ptaszkach, choć prawdę mówiąc, moi nie są aż tak źli jak pańscy. Jest na nich jedna rada, panie majorze. Krótko trzymać łotrów, aby czuli swoją sytuację. Zesłano ich na ciężkie roboty, niech więc pracują, a jeżeli nie chcą, trzeba im łoić skórę, dopóki nie zechcą. Mogą sprawować się dobrze... Ha! W takim razie na pewno nie zaszkodzi, by od czasu do czasu posmakowali bata. Przypomni im to w porę, na co się narażą, jeżeli pofolgują lenistwu.

Dwaj oficerowie zbliżali się do werandy. Wschodzący księżyc rzucał srebrzyste blaski na wody zatoki i bladym palcem dotykał skalistego szczytu wysepki Grummet.

Wiem – odrzekł Vickers. – To powszechna opinia.

Ale niech się pan zastanowi nad życiem, jakie oni wioda. Na Boga! – zawołał z nagłym ogniem, gdy porucznik przystanął, aby popatrzeć na morze. – Nie jestem okrutnikiem i jak mi się zdaje, nie wymierzyłem nigdy niezasłużonej kary.

110

111

I

Ale za
moich
tutaj

rządów
 utopiło
 się
 dziesięci
 u
 więźnió
 w. Tak,
 panie
 Frere!
 Skakali
 z tej oto
 skały.
 Woleli
 śmierć
 niż takie
 nędzne
 życie.
 Przed
 trzema
 tygodnia
 mi dwaj
 z poręby
 w
 górach
 mieli
 jakieś
 zajście
 z
 dozorcą
 .
 Pożegn
 ali się z
 towarzy
 szami,
 uścisnęł
 i
 wszystk
 im
 dłonie, a
 potem
 ręka w
 rękę
 skoczyli
 do
 zatoki.
 Mój
 Boże!
 Strach
 pomyśle
 ć!...
 P
 owinni
 tak
 postępo
 wać,
 żeby
 tutaj nie
 trafić
 odparł
 zawsze
 praktyc
 zny
 Frere.
 Wiedzi

eli, na
co się
narażają

.

Spotkał
ich los
dobrze
zasłuży-
ny.

N
ie
pomyśla-
ł pan
nigdy,
że ktoś
może
być tu
przysła-
ny
niewinni
e?

Niech
pan
sobie
tylko
spróbuje
wyobraz-
ić
uczucia
takiego
człowie-
ka!

N
ie mogę
sobie
wyobra-
zić i nie
obchod-
zą mnie
niewinn-
i --

obruszy-
ł się
poruczn-
ik. Do
licha!
Oni
wszyscy
są
niewinni
, jeżeli
wierzyć
ich
bajkom.

Oo! Co
tam
połyskuj-
e tak
czerwon-
o?

Da
wes pali-
ogień na
Grumm

ecie
wyjaśnił
major.
Mówiła
m panu
o nim.
No,
wracajm
y do
domu.
Napije
się pan
brandy
z wodą,
prawda?
Chcę
zamknąć
drzwi
i nie
patrzeć
na to
przeklęte
miejsce!
V
S
y
l
w
i
a
N
iedługo
pan tu
zabawi
powiedz
iał
Frere,
kiedy
znaleźli
się w
bawialn
i.
Przygot
uje pan
chyba
wszystk
o przed
końcem
miesiąc
a, a ja
nie będę
zwlekał
z
zabranie
m pani
Vickers.
C
o
mówiliś
cie o
mnie?
zapytała
żywo

dama,
która
usłyszał
a tylko
ostatnie
słowa.
Okropn
i
jesteści
e! Jak
można
było
zostawi
ć mnie
samą na
tak
długo?
Pan
Frere
jest tak
uprzejm
y, że
zgodził
się
zabrać
na
„Ryboło
wa”
ciebie,
moja
droga, i
Sylwię
odparł
major.
Ja
oczywiś
cie będę
musiał
objąć
dowództ
wo
„Biedro
nki”.
Bardzo
pan
łaskaw,
panie
Frere!
Dopraw
dy
jestem
wzruszo
na –
zawołała
pani
Yickers
i
zarumie
niła się
lekko
na
wspomn
ienie
flirtu z

młodym
oficerki
em w
czasie
rejsu
„Malaba
ra”
przed
sześćcio
ma laty.

—

Zawsze
okazyw
ał nam
pan tyle
życzliw
ych
względó
w!

Posłuch
aj,
Sylwio!
Jak to
będzie
miło
popłyną
ć do
Hobartu
z panem
Frere'em
i mamu-
szą!
Cieszys
z się,
córeczk
o?

P
anie
poruczn
iku
odezwa
ła się
Sylwia
wychod
ząc z
kąta
pokoju

—

przepras
zam za
to, co
panu
powiedz
iałam.
Czy
wolno
prosić o
przebac
zenie?
Pyta
nie to
zadała
tak
naiwnie

i po
staroświ
ecku, że
Frere
omal
nie
roześmi
ał się
znowu.
Spojrzał
na
dziewcz
ynkę,
która
stała
skromni
e
naprzeci
w niego.
Złote jej
loki
opadły
na
ramiona
, dłonie
były
splicion
e na
czarnym
jedwabn
ym
fartuszk
u, w
który
ubrała
ją Julia
Vickers,
hołdując
a osob-
liwym
poglądo
m na
temat
dziecięc
ej
mody.
N
aturalnie
—
odpowie
dział z
uśmiech
em. —
Wolno
prosić o
przebac
zenie,
które na
pewno
uzyskas
z,
drogie
dziecko.
Wiem,

że
wyrwał
o ci się
coś,
czego
nie
chciałaś
powiedz
ieć.

W
łaśnie że
chciała
m.

Dlatego
właśnie
tak mi
przykro.
Pan nie
wie, ale

ja
jestem
czasami
nieznoś
na,
zwłaszcz
za przy
historii
rzymski
ej.

Jestem
zdania,
że

Rzymia
nie nie
byli
nawet w
połowie
tak
dzielni
jak
Kartagi
ńczycy.

A pan
jak
sądzi,
panie
Frere?

Ofic
er,
zask
oczo
ny
znie
nack

a,
odpo
wied
ział
pyta
niem

:

-

C

ze

mu
tak
uw
aża
sz,
pan
no
Syl
wio
?
C
zemu?
Bo
Rzymia
nie
utrzymy
wali
stale
całe
tłumy
wojska.
Dwa
razy
bardziej
wolę
Kartagi
ńczykó
w,
choć
i oni
potrafili
być
okrutni,
gdy
zwycięż
ali.
C
z
y
ż
b
y
?
—
b
a
k
n
a
ł
F
r
e
r
e.
C
zyżby!
Czyżby!
Dobre
sobie!
Przecież
to
Kartagi
ńczycy

obcięli
powieki
biednem
u
Regulus
owi i
stoczyli
go ze
wzgórza
w
beczce
wybitej
ćwieka
mi.
Chyba
nie
nazwie
pan tego
inaczej
jak
okrucie
ństwem
?
Pan
Frere
pokiwał
ryżą
czupryn
ą i
dając
dowód
grun-
townem
u
wykszta
łceniu
klasycz
nemu
przyzna
ł, iż
Kartagi
ńscy
zachow
ali się
bardzo
niestoso
wnie.
B
ardzo
jesteś
edukow
ana,
panno
Sylwio
—
dodał
zbity po
trosze z
tropu
przez
dziwne,
pewne
siebie i
porywcz

e
dziecko.
— Czy
lubisz
czytać?

—

S

tras
znie

!

112

8

Dożywotnie
zesłanie

113

A jakie książki już czytałaś?

O! Całe mnóstwo! „Pawła i Wirginię”, „Raj utracony”, „Utworky sceniczne Szekspira”, „Robinsona Kruzoe”, „Kazania doktora Blaira” i „InformatorTasmański”, i „Album piękności”, i „Toma Jonesa”, i wszystko!

Obawiam się, że to dobór trochę dziwaczny uśmiechnęła się blado pani Vickers, której nie zaprzętały kwestie literackie. — Ale cóż, nasza biblioteczka jest z konieczności bardzo szczupła, a ja nie należę do miłośników literatury... John, mój drogi, pan Frere wypiłby chętnie drugą szklaneczkę brandy z wodą... Trudno mieć mi to za złe. Jestem tylko żoną wojskowego. Sylwio, kochanie, powiedz dobranoc panu porucznikowi i idź już spać.

— Dobranoc, panno Sylwio. Nie dostanę całusa? powiedział Maurycy.

Pewnie, że nie!

Sylwio! Niegrzeczna jesteś! zgromiła matka.

Ja? zawołała dziewczynka urażona sposobem, w jaki potraktowano jej wynurzenia literackie. — To on jest niegrzeczny! Nie pocałuję pana. Także pomysł! Takiego pocałować!

Nie pocałujesz, ślicznotko? zawołał Frere i szybko chwycił małą w ramiona. W takim razie ja ukradnę ci całusa!

Spełnił zapowiedź i był nieco zaskoczony, kiedy dziewczynka zarumieniła się mocno i drobną piąstką wymierzyła mu policzek.

Cios był niespodziewany i dotkliwy, toteż Frere omal nie zdradził swojej prawdziwej natury i z trudem zdołał zdławić ordynarne słowa.

Sylwio! — zawołał Vickers tonem głębokiej nagany, a młody oficer uwięził w jednej dłoni obie małe piąstki i mimo oporu dziewczynki raz po raz całował ją ze śmiechem.

—? A masz! Masz! powiedział. Widzisz! Ze mną gniewem i siłą nic nie zrobisz!

Vickers wstał i wyraźnie niezadowolony zbliżył się, by oswobodzić Sylwię, która skorzystała ze sposobności i uwolniwszy ręce jęła okładać prześladowcę z iście dziecięcą pasją. Dyszała przy tym ciężko i histerycznie szlochała ze złości.

Niedobry! Wstrętny! — wołała. Puść mnie! Puść!

Nie cierpię cię! Nie cierpię! Nie cierpię!

— Bardzo przepraszam, panie Frere — powiedział major, gdy drzwi zamknęły się za Sylwią. — Myślę, że nie gniewa się pan na małą?

Na nią? Nic podobnego! — roześmiał się porucznik.

Podoba mi się nawet ta jej fantazja. Okazuje się, że płeć piękna jest na całym świecie podobna. Kobiecie trzeba pokazać wyraźnie, że ma pana i władcę.

Vickers skwapliwie zmienił temat i pośród dawnych wspomnień i świeżych nadziei na przyszłość drobny incydent poszedł w niepamięć. Mniej więcej po godzinie Frere wędrował korytarzem do gościnnego pokoju i zdziwił się raz jeszcze, gdy drogę zastąpiła mu drobna postać okryta szalem.

Była to jego mała nieprzyjaciółka.

Czekałam, żeby pana przeprosić, panie poruczniku powiedziała cicho. – Nie trzeba było pana bić. Byłam strasznie niegrzeczna. Proszę nie przeczyć, bo na pewno byłam niegrzeczna i jeżeli się nie poprawię, nigdy nie pójde do nieba.

Z tymi słowy Sylwia wysunęła szczupłą rękę spod szala i podała Maurycemu złożoną na kształt listu ćwiartkę papieru.

Ee... Co to? – zapytał i odzyskawszy równowagę dodał: – Zmykaj do łóżeczka, moja droga, bo się przeiębisz.

– To przeprosiny na piśmie powiedziała a ja się nie przeiębię, bo mam na nogach pończochy. Jeżeli pan odrzuci moje przeprosiny – ciągnęła poważnie i ze zmarszczonym czołem – nie moja wina. Uderzyłam pana, ale i przeprosiłam. Jestem kobietą, nie mogę więc dać panu satysfakcji honorowej.

Pan Frere w porę stłumił śmiech i złożył przeciwnicze szarmancki ukłon.

Przeprosiny przyjmuję, panno Sylwio odrzekł z powagą.

– W takim razie podjęła wyniosłym tonem – nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Życzę panu porucznikowi dobrej nocy.

114

115

Młoda dama otuliła się szalem i odeszła w głąb korytarza z godnością, jakiej nie powstydziliby się sam Amadis de Gaula.*

Frere dławiąc się śmiechem wszedł do swojego pokoju, gdzie przy płomyku łojówki odczytał nieudolne, dziecinne litery:

Łaskawy Panie! Uderzyłam Pana, więc przepraszam na piśmie.

Łączę wyrazy głębokiego uszanowania,
Sylwia Yickers.

Ciekawe, z jakiej książki to wzięła? mruknął do siebie Maurycy. – Wydaje mi się trochę pomyłona... Ale, mój Boże! W takich warunkach dziecko prowadzi dziwne życie. To pewne!

VI. Skok w ciemność

Minęło kilka dni od przybycia „Biedronki” i samotnik z Grummetu zaczął zwracać uwagę na osobliwe zmiany w życiu kolonii. Uprzytomnił sobie, że przestały się pojawiać czółna z więźniami, które dotychczas odbijały od brzegu każdego rana o świcie, kierując się ku zalesionym równinom po przeciwległej stronie zatoki. Przerwano również budowę zachodniego falochronu, a wzmógł się dziwnie ruch przy stojącym w doku na pochylni, a bliskim ukończenia szkunerze „Rybołów”. Ale nie na tym koniec. Codziennie z rana oddział żołnierzy z „Biedronki” lądował i pomagał w jakichś zagadkowych, pospiesznie przeprowadzanych robotach.

Rufus Dawes obserwował to wszystko ze skały i daremnie próbował odgadnąć, co znaczy tak szczególne ożywienie.

* Amadis de Gaula bohater licznych średniowiecznych romansów hiszpańskich i portugalskich (przyp. tłum.).

Nikt jednak nie przybywał z osady, by zaspokoić jego rozbudzoną ciekawość.

Około piętnastego grudnia samotnik dostrzegł jeszcze bardziej tajemnicze poczynania. O wschodzie słońca łodzie z załogami przeparıły się na drugi brzeg zatoki, a w ciągu dnia kłęby szarego dymu spowiły zbocza wzgórz. Nazajutrz i dnia następnego powtórzyło się to samo, a wreszcie łodzie odbiły od brzegu holując wielką tratwę. Była ona związana z bali, desek i krokwi, kiedy zaś przybiła do boku „Biedronki”, drewno to wywindowano na pokład i stopniowo złożono w ładowni.

Rufus Dawes jał zastanawiać się głęboko. Czyżby władze postanowiły zaniechać wyrębu lasów, a zesłańców zatrudnić w jakiś inny sposób? Transportował już drewno, budował łodzie, garbował skóry i szył buty. Może teraz przyjdzie mu poznać jakąś zupełnie nową dziedzinę pracy? Nim zdążył odpowiedzieć sobie na to pytanie, zauważył znów coś nowego. Trzy łodzie przepłynęły zatokę i po całodniowej nieobecności pojawiły się obładowane palami i narzędziami rolniczymi, a załoga ich wzrosła o czterech ludzi. Samotnik zorientował się łatwo, że wyprawa miała za cel Wyspę Filipa, gdzie był „ogród” kolonii, a wróciła z ogrodnikami oraz ich sprzętem i owocami pracy.

Dawes miał wzrok wyostrozony z racji życia w półdzikim stanie, poznał więc Maurycego Frere'a i wyciągnął wniosek, iż „Biedronka” przywiozła nowego komendanta, ten zaś wprowadza w Macquarie Harbour własne porządki i „udoskonalenia”. Rozumowanie takie wydawało się słuszne, poszło więc dalej logicznym torem. Porucznik Frere będzie niewątpliwie komendantem surowszym niż major Vickers, a ponieważ nieszczęsny więzień miał już zupełnie dosyć surowości, zdecydował, że skończy śmiercią samobójczą. Nie potępiajmy tego grzesznego zamiaru. Spróbujmy najprzód uprzytomnić sobie, ile biedak wycierpiał w ciągu ubiegłych sześciu lat. Mamy wyobrażenie o okręcie-więzieniu i wiemy, jakie męki przeżył Rufus Dawes, nim stanął na jałowym wybrzeżu Bramy Piekieł. Aby jednak w pełni zrozumieć jego straszliwe cierpienia, musimy pomnożyć stokrotnie ohydę znaną z międzypokładzia „Malabara”. Do tamtego więzienia przenikał mdły promyk światła. Nie

wszystko przejmowało odrazą, nie wszyscy znajdowali się nieodwołalnie poza nawiasem społeczeństwa i uczuć ludzkich, niedola przygnębiała, towarzystwo budziło wstręt niepokonany, ból sprawiały wspomnienia utraconego szczęścia. Pozostawała jednak iskierka nadziei, gdyż przyszłość była niewiadoma. Ale do Macquarie Harbour trafiały męty z tego szaflika pomyj. Przybywali tam i musieli pozostawać na zawsze najgorsi spośród najgorszych. Otchłań piekielna sięgała tak głęboko, że nie jaśniał nad nią bodaj skrawek nieba. Do końca życia nie mogła błysnąć iskierka nadziei, bo tylko śmierć dzierżyła klucz od przeklętej wyspy.

Czy podobna ogarnąć wyobraźnią udrękę, jaką człowiek niewinny, ambitny, przywykły do miłości i szacunku przeżywa w ciągu tygodnia takiej kaźni? Nędza to niepojęta dla nas, zwyczajnych ludzi, co spacerują, odbywają przejażdżki, śmieją się, żenią, wydają córki za mąż. Mętnie zdajemy sobie sprawę z dobrodziejstw wolności lub z obrzydzenia, jakie musi rodzić nikczemne towarzystwo, lecz na tym koniec. Wiemy, że umarlibyśmy albo ulegli szaleństwu, gdybyśmy byli żywieni jak psy, traktowani gorzej od zwierząt pociągowych, co dnia pędzeni do pracy nad siły obelgami i razami batów; gdyby zmuszano nas do obcowania z łotrami, pośród

których wszystko szlachetne, dobre i prawdziwie ludzkie zasługuje na jawną pogardę. Nie zgłębiamy natomiast i nie możemy zgłębić całej ohydy życia pośród najnikczemniejszych skazańców, co przykuci do pni drzewnych brzęczą kajdanami i do wtóru bluźnią Bogu z piekielnej pustki Wyspy Sary. Nie zrozumiemy i nie możemy zrozumieć, ile rozpaczy, ile wstrętu do samego siebie budzi kilka dni takiej egzystencji. Żaden skazaniec nie zdoła tego opisać, bo gdyby nawet pisać potrafił, cofnie się na wspomnienie haniebnej męki niby ktoś, kto szukając na pustyni ludzkiej twarzy napotka kałużę świeżej krwi i w jej purpurze zobaczy własne odbicie. Czy można zatem ogarnąć wyobraźnią podobne tortury znoszone w ciągu sześciu długich lat?

Rufus Dawes nie domyślał się, że niezwykle zjawiska oznaczają likwidację kolonii, a „Biedronka” zawięła do portu, by zabrać więźniów, postanowił więc zrzucić ciężące mu nieznośne brzemie. Sześć lat był drwalem i bydłociem pociągowym, sześć lat żywił nadzieję, sześć lat spędził

118
w dolinie cienia i śmierci. Nie śmiał wspominać cierpień. Otepiał na rozpacz i mękę. Pamiętał tylko jedno: został skazany na dożywocie! Daremnie zrazu marzył o wolności i robił wszystko, by przykładnym zachowaniem zyskać ulaskawienie. Vetch i Rex wydarli mu podstępem owoce starań, a ujawnienie spisku na „Malabarze” na nic się nie przydało. Uznano go winnym, a chociaż bronił się rozpaczliwie, osądzono i ukarano surowo. Zdrada – bo za zdradę uważali jego postępek skazańcy – nie przyniosła Dawesowi uznania władz, otoczyła go natomiast nienawiścią i wzgarda potworów, wśród których się znalazł. Po przebyciu Bramy Piekieł został napiętnowany i odtąd był pariasem pomiędzy istotami, co za pariasów uchodzą w oczach zewnętrznego świata.

Trzykrotnie więźniowie próbowali go zamordować, ale bronił się, bo nie był jeszcze zmęczony życiem. Obronę dozorczy uznali za bójkę i Rufus odzyskał kajdany zrzucane przed niewidoma dniami. Siła fizyczna nie tylko go ocaliła, lecz zyskała mu również specyficzny respekt. Towarzysze niedoli pozostawili go w spokoju, co odpowiadało mu na razie. Stopniowo jednak stało się źródłem nowej udręki. Mozoląc się przy wiośle, kopiąc po pas w błocie, uginając się pod ciężarem zrąbanej sosny, samotnik pragnął gorąco, aby go ktoś zagadnął. Kiedy był częścią ludzkiej gasienicy sunącej wolno pod brzemieniem ogromnego kloca, rad wzięłby na barki podwójną wagę, byle usłyszeć życzliwe słowo. Za serdeczny uśmiech towarzysza zgodziłby się harować w dwójnasób. Pograżony w bezdennej rozpacz, tęsknił do przyjaciół, bandytów, morderców. Z kolei nastąpiła reakcja i Dawes ze wstrętem słuchał dźwięku głosów towarzyszy. Nie odzywał się nigdy i nie reagował, gdy ktoś przemówił do niego. Chętnie jadałby na uboczu skape wieczorne posiłki, gdyby łańcuchy pozwoliły mu na to. Rychło zyskał opinię ponurego, niebezpiecznego łotra i półwariata. Poprzednik Vickersa, kapitan Barton, ulitował się nad nim i zatrudnił odludka jako ogrodnika. Z początku Dawes korzystał pokornie z tej litości, po tygodniu jednak komendant zobaczył w swoim ogródku dziwny widok. Kiedy rano wyszedł z domu, mizerne krzewy były powyrywane z korzeniami, grządki kwiatowe zdeptane, a ogrodnik

119
siedział na szczątkach połamanych narzędzi. Ze ten świadomie złośliwy postępek został oczywiście skazany na chłostę. Przed trójkątem zachowywał się osobliwie: płakał, prosił o zmiłowanie, klękał przed Bartonem, obiecywał poprawę.

Kapitan nie chciał go słuchać, a więzień umilkł posępnie po pierwszym razie batoga. Od tej pory jeszcze bardziej zamknął się i tylko czasami, w samotności, rzucał się na ziemię i szlochał niby pokrzywdzone dziecko. Powszechnie mniemano, że załamał się i cierpi na zaburzenia umysłowe. Kiedy Vickers objął komendę, Rufus Dawes poprosił o posłuchanie i błagał, by odesłać go do Hobartu. Naturalnie spotkał się z odmową, ale major przeniósł petenta do pracy przy budowie szkunera „Rybołów”. Potem czas pewien zachowywał się przykładowo, niebawem jednak wykorzystał zwolnienie z łańcuchów. Ukryty pod pochylnią doczekał nocy i popłynął na drugi brzeg zatoki. Pościg ujął zbiega, który został ukarany chłostą i wrócił do najcięższych robót. W łańcuchach wypalał wapno, dźwigał pnie sosen, harował na łodzi przy wiośle. Bojkotowany i znienawidzony przez współwięźniów, budził lęk dozorców i nieżyczliwość władz kolonii, toteż staczał się na samo dno upadku i nędzy. Przywiedziony do ostatecznej rozpaczki zwąchał się z Gabbettem i jego trzema niefortunnymi współnikami, ale próbując ucieczki został jeszcze raz pojmany. Nogi miał poranione kajdanami i chociaż Gabbett zapewniał, że poradzi sobie doskonale, upadł, nim przebiegł sto kroków, i dostał się w ręce usłużnych dla władzy więźniów.

Jego niepowodzenie ułatwiło zadanie czterem pozostałym zbiegom, gdyż pan Troke zaniechał niebezpiecznego pościgu i w triumfie sprowadził przed oblicze Vickersa ofiarę, którą pragnął okupić własne karygodne niedbalstwo. Niepoprawny Dawes zapłacił za swój ostatni wybryk samotnym pobylem na skalistej wysepce Grummet, w ponurej pustelni miał czas na rozmyślenia i naprawdę zaczynał tracić równowagę władz umysłowych. Często miał wizje na jawie, a we śnie dziwne koszmary. Godzinami leżał bez ruchu, zapatrzony w niebo lub morze. Prowadził rozmowy z urojonymi postaciami i wielokroć przeżywał pożegnalną scenę, która rozegrała się między nim a matką. Wiódł dysputy ze skałami, a głązy wzywał na świadków,

120
którzy potwierdzą jego niewinność i dobrowolną ofiarę. Widywał zjawy przyjaciół z dawnych dni i sądził chwilami, że jego obecne życie jest tylko snem. Potem budził się i pilnie słuchał głosów, które nakazywały mu, by skoczył w fale obmywające podnóże skały i raz na zawsze wyzwolił się od tych straszliwych koszmarów. Z letargu ciała i myśli wyrwały go niecodzienne wydarzenia w kolonii i na wybrzeżach zatoki. Zrodziły one nową niechęć do życia, bo Rufus widział w nich coś niezrozumiałego i groźnego, co wróżyć może tylko dodatkową udrękę. Cofnąłby się zapewne, gdyby wiedział, że „Biedronka” sposobi się do podróży, a on zostanie sprowadzony z Grummetu i wraz z innymi więźniami odstawiony w kajdanach do Hobartu. Ale wiedział jedynie, że ciężar życia jest nieznośny i przyszła pora, aby go wreszcie zrzucić.

Tymczasem kolonia kipiała gorączkowym ożywieniem. W niecałe trzy tygodnie przygotowania dobiegły końca i Vickers uzgodnił z Frere'ern wszelkie szczegóły akcji. Sam odpłynie na „Biedronce” i zabierze prawie cały transport, natomiast Frere dopatry ostatnich porządków i likwidacji, a potem z panią Vickers i Sylwią wyjdzie w morze na „Rybołowie” najwcześniej, jak to będzie możliwe.

— Zostawię panu kaprala z drużyną dziesięciu więźniów jako załogę — mówił major. — To powinno wystarczyć. Frere uśmiechnął się i z pewną siebie miną oznajmił, że w razie potrzeby da sobie radę i z pięcioma więźniami, bo u niego najgorszy nygus musi pracować za dwóch.

Pośród wydarzeń związanych z likwidacją kolonii jedno jest godne szczegółowej wzmianki. Na północnym wybrzeżu zatoki, niedaleko Wyspy Filipa, grupa więźniów pracowała w tak zwanej „węglami” przy wypalaniu węgla drzewnego. Ludzie ci, ściągnięci pospiesznie przez Vickersa, pozostawili część narzędzi i zapas drewna. Niemal w ostatniej chwili komendant wysłał łódź z załogą, aby ów błąd naprawić. Narzędzia zabrano, a sosnowe kłocce (warte w Hobarcie po dwadzieścia pięć szylingów) związane łańcuchami w tratwę, którą więźniowie jęli holować tuż po zachodzie słońca. Ale w ogólnym zamieszaniu szwankowała widocznie dyscyplina i robotę wykonano mniej starannie niż zazwyczaj. Bystry prąd uzupełnił niedbalstwo więźniów i pnie jęły się rozluź-

121

w

niać. Pokąd wioślarze pracowali gorliwie, napięty łańcuch utrzymywał je razem, ale dobijając celu łódź zwolniła i pan Troke ledwie zdążył zahaczyć bosakiem o burtę „Biedronki”. Zobaczył wówczas, że duży kłoc wymyka się spod tratwy i odpływa z prądem. Zdawało mu się także, iż słyszy krzyk, ale był zajęty ratowaniem zagrożonej rufy czółna, nie miał więc czasu zwrócić uwagi na to wydarzenie. Zerknął spod oka na oddalający się ciemny kształt (jak gdyby to był oporny więzień zasługujący na dwa dni karceru) i dalej robił swoje.

Krzyknął wtedy Rufus Dawes. Ze swej samotni widział łódź, która minęła skałę i skierowała się ku stojącej na redzie „Biedronce”. Nagle uległ dziecinnemu kaprynowi, bo w momentach decydujących dorośli nieraz wracają do dzieciństwa. Postanowił, że skoczy w spienione u stóp odmęty, gdy gęstniejące mroki pochłoną szalupę. Łódź szarzała i malała z chwili na chwilę, bo oddalała ją każde uderzenie wioseł. Po pewnym czasie widać było jedynie sylwetkę stojącego na rufie Troke'a, niebawem jednak i ona zniknęła. Na grzbiecie kolejnej fali pojawił się nikły zarys tratwy i w tym momencie Rufus Dawes skoczył.

Był skuty, zapadł więc w głębię ciężko jak kamień. Nie chciał próbować ratunku i zrazu wzniosł ręce nad głowę, aby pójść na dno tym szybciej. Zaczął się jednak dusić, a lodowata woda rozproszyła mgły spowijające jego umysł. Oprzytomniał. Wykonał kilka rozpaczliwych ruchów i mimo wagi kajdan szybko wypłynął na powierzchnię.

Oszołomiony, ulegając jedynie pierwotnemu instynktowi życia, zobaczył, że coś wielkiego i ciemnego wyłania się z mroku. Nagłe zderzenie z prądem, nieudana próba nurka, uczucie, iż obciążone stopy ciągną ku dołowi i wielki oderwany od tratwy bal runął na Dawesa, przytłaczając go kostropatą powierzchnią. W obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa uleciały samobójcze myśli. Więzień wrzasnął rozpaczliwie (ten właśnie krzyk posłyszał Troke) i wyciągnął ręce, by pochwycić potwora, co spycha go w otchłań śmierci. Przygnieciony, wtłoczony pod wodę, sunął rękami wzdłuż chropowatego kłoca, a napotkawszy pozostawioną na nim pętlę z rzemieiennej liny, uczeplił się jej z desperacką mocą. Po chwili wymurzył głowę i nadludzkim wysiłkiem wydzwignął się na wierzch kłoca, by ułożyć się na nim poprzecznie.

W oczach mignęła mu ciemna, skalista sylwetka Grummetu, a w oddali zajaśniały na moment rufowe iluminatory zakotwiczonego statku. Potem wyczerpany, posiniaczony, zdyszany opuścił powieki i popłynął w nieprzeniknione ciemności nocy.

O świcie następnego dnia pan Troke wylądował na Grumecie i ze zdziwieniem stwierdził, że wysepka opus-

toszała. Czapka więźnia leżała na przybrzeżnym urwisku, ale sam więzień zniknął. W drodze powrotnej na „Biedronkę” sprytny Troke zastanawiał się nad tym wydarzeniem, a mel-
dując o nim Vickersowi nie pomiął zagadkowego krzyku, który słyszał ubiegłego wieczora.

Na mój rozum, panie majorze — kończył — Dawes próbował przepłynąć zatokę i na pewno poszedł na dno, bo w kajdanach nie mógł przecież utrzymać się na wodzie przez pięć minut.

Komendant, pochłonięty ostatnimi przygotowaniami, przyjął ów logiczny wniosek bez dyskusji. Cóż, więzień popełnił samobójstwo albo raz jeszcze próbował ucieczki. Tak czy inaczej, zginął z własnej winy, a nie żyje na pewno, albowiem jak rozumnie osądził pan Troke, nie ma człowieka, co by potrafił pływać w kajdanach.

Kiedy zatem w godzinę później „Biedronka” mijiała Grummet, wszyscy pasażerowie szkunera byli przekonani, że ostatni lokator tej skały spoczywa pod falami obmywającymi jej podnóża.

VII

Ostatnie chwile w Macquarie Harbour

Na „Biedronce” sądzono, że Rufus Dawes nie żyje; nie wiedzieli o jego niezwykłym ocaleniu także ci, co zostali na Wyspie Marii. Gdyby porucznik Frere przypomniał sobie

122

123

niepoprawnego łotra z Grummctu, byłby przekonany, że siedzi on bezpiecznie w ładowni szkunera i odbył już połowę drogi do Hobartu. Podobnie nikt z osiemnastu osób na pokładzie „Rybołowa” nie podejrzewałby nawet, że łódź wysłana po Dawesa wróciła bez niego. Prawdę mówiąc, niewiele było czasu namyślenie o takich sprawach, bo młody oficer chciał odpłynąć jak najprędzej, by popisać się zaradnością i energią, zapędzał więc do pracy dziesięciu nieszczęsnych więźniów tak bezlitośnie, że w tydzień po „Biedronce” gotów był do wyjścia w morze i „Rybołów”. Pani Vickers i Sylwia spoglądały ze zrozumiałym żalem na rozbiórkę ich starego domu, ale w kabinie brygu zainstalowały się wygodnie, a jedenastego stycznia wieczorem pan Bates, pilot pełniący obowiązki szypra, oznajmił załodze, że porucznik Frere wydał rozkaz, by o brzasku podnieść kotwicę. Zgodnie z rozkazem „Rybołów” rozwinął żagle i o brzasku ruszył przy południowo-zachodniej bryzie, by o trzeciej po południu stanąć szczęśliwie na redzie już poza Bramą Piekieł. Na nieszczęście wiatr zmienił się na północno-zachodni i podniósł silną falę przybojową na płyciźnie, wobec czego rozważny pan Bates (biorąc pod uwagę obecność na brygu kobiety i dziecka) cofnął się o dziesięć mil i o siódmej wieczorem ponownie zarzucił kotwicę w Zatoce Wellingtona. Przy wysokim przypływie bryg kołysał potężnie, więc pani Vickers nie wyszła z kabiny, a na pokład wysłała Sylwię, poleciwszy jej, by dotrzymywała towarzysztwa panu Frere'owi. Sylwia udała się na pokład, ale nie była usposobiona towarzysko. Do porucznika żywiła częstą u dzieci instynktowną odrazę; od pamiętnych przeprosin była dlań ledwie uprzejma. Daremnie umizgał się i prawił komplementy. Pochlebstwem nie mógł pozyskać sympatii młodej osoby.

Nie lubię pana mówiła na swój szczerzy sposób ale to nie powinno robić panu różnicy. Zajmuje się pan więźniami, a ja potrafię bawić się sama. Dziękuję za towarzysztwo.

— Dobrze, dobrze... Nie przeszkadzam, panno Sylwio odpowiadała pozór obojętnie, w istocie jednak urażony.

Tego wieczoru dziewczynka była mniej oschła i surowa niż zazwyczaj. Wobec wyjazdu ojca i niedyspozycji matki czuła się osamotniona i w młodym oficerze widziała ostatnią deskę ratunku. Kiedy pojawiła się na pokładzie, Maurycy Frere spacerował tam i z powrotem paląc fajkę. Dobry wieczór, panie poruczniku. Mamusia przyszła mnie, żeby z panem porozmawiać.

Aa... Więc słucham.

Nie... To ja słucham. Dżentelmen powinien bawić damę.

No to siadajmy, damo, i rozmawiajmy – zawołał Frere, który był w wybornym humorze z racji udanych przygotowań do odjazdu. – O czym pogawędzimy? Strasznie pan niemądry! Nie wiem. Przecież to pan ma mnie bawić. Proszę opowiedzieć jakąś śmieszna historyjkę. O Pawle i Gawle?

Też pomysł! Może o Pawle i jego babci, co? Niech pan sam coś wymyśli.

Frere roześmiał się znowu.

Nie potrafię – wyznał. Jak żyję, nie robiłem takich rzeczy.

Może pan dzisiaj zacząć. Pójdę sobie, jeżeli mi pan czegoś nie opowie.

Oficer potarł ręką czoło.

Czytałaś chyba... ee... „Robinsona Kruzo”? Prawda?

Pewnie, że prawda! Kto nie czytał „Robinsona Kruzo”?

Aa... ta... naturalnie. Zaraz coś opowiem... -- wyjął Frere i pykając z fajki jał szukać tematu pośród wspomnień z lektur.

Sylwia siedziała obok niego i czekała cierpliwie na zabawny pomysł, który nie miał zaświtać w oficerskiej głowie. Wreszcie naburmuszyła się i powiedziała z niesmakiem:

Okropnie pan niemądry, panie poruczniku. Bardzo żałuję, że nie ma z nami papy. On umie opowiadać prawie tak dobrze jak Danny.

To Danny umie opowiadać?

- Danny! – zdumiała się, jak gdyby Frere zakwestionował dar narracyjny Waltera Scotta. --Pewnie że umie. Dobrze sobie!

124

125

w

Pochyliła głowę i komicznym tonem wyższości zapytała: Słyszał pan kiedy bajkę, co się nazywa: „Jak Kostucha pod drzwiami czekała”?

Nie, nigdy.

Ani o „Gospodzie pod Białym Koniem”?

? Nie,

Należało się domyślać... Ani o „Odmieńcu”, ani o „Domowym skrzacie”?

Nie!

Sylwia wstała z obramowania świetlika, na którym dotąd siedziała, i z głęboką pogardą zmierzyła wzrokiem zajęte paleniem fajki zwierzę.

Panie Frere przemówiła jest pan doprawdy bardzo niemądry. Proszę wybaczyć, jeżeli pana uraziłam. Nie chciałam być niegrzeczna. Ale nie spodziewałam się, że człowiek w pańskim wieku może tak mało wiedzieć. Lubisz mówić impertynencje, Sylwio! obruszył się oficer, zirytowany już trochę.

Mówi się do mnie: panno Vickers, panie poruczniku

Frere odrzekła z godnością. A teraz pójdę sobie.

Porozmawiam z panem Batesem.

Zapowiedź spełniła niezwłocznie, a pan Bates, który zajmował odpowiedzialne i niebezpieczne stanowisko pilota, opowiedział jej o nurkach i rafach koralowych i własnych (może niezupełnie własnych) przygodach na Morzu Chińskim. Frere zajął się wygasłą fajką. Był zły. Trochę na siebie, trochę na irytującą małą piękność. Pociągała go w sposób, którego nie rozumiał i nie potrafiłby sobie wyjaśnić.

Nie widział jej już tego wieczora, a nazajutrz podczas śniadania w mesie został potraktowany wyniośle i oziębło.

Kiedy nareszcie podniesiemy kotwicę, panie Frere? zapytała młoda dama. Poproszę o marmoladę. Dziękuję, panie Frere.

Nie wiem, panno Yickers odpowiedział.

Ogromna fala na płytcźnie. Rano próbowaliśmy sondować z panem Batesem. Nie jest jeszcze bezpiecznie.

Mam nadzieję, że nie rozbijemy się i nie będziemy musieli płynąć całymi milami, by znaleźć schronienie podjęła książkowym stylem.

Cha, cha, cha! --? roześmiał się porucznik. – Proszę się nie bać, mała! Już ja cię wezmę pod opiekę, nawet jeżeli się rozbijemy.

Umie pan pływać, panie Bates? zwróciła się młoda dama do pilota.

Umiem, panienko.

Więc pan weźmie mnie pod rękę, bo pana lubię. Pan Frere może się zająć mamusią. Wylądujemy na bezludnej wyspie, prawda, panie Bates? Będziemy zbierać kokosy i owoce drzewa chlebowego... Ach, jaki okropnie twardy suchar!... I, panie Bates, ja będę Robinsonem Kruzoe, a pan Piętaszkiem, prawda? Strasznie chciałabym mieszkać na bezludnej wyspie, ale takiej, gdzie jest dużo jedzenia i wody, a nie ma ludożerców.

To byłoby niezłe, tylko, panienko, takich wysp nie ma już na świecie.

A więc nie możemy się rozbić i nie rozbijemy, prawda, panie Bates?

Mam nadzieję.

Na wszelki wypadek radzę wziąć suchar do kieszeni wtrącił Frere.

Pan, panie poruczniku, zna moją opinię o sobie.

Proszę do mnie nie mówić. Nie mam ochoty na sprzeczkę.

To bardzo ładnie, panno Vickers. Sylwia wstała od stołu i z poważną miną stanęła przed drzwiami kabiny, w której rezydowała z matką.

Panie Frere – powiedziała – wie pan, co zrobiłabym z panem, gdybym była Ryszardem Trzecim?

Nie wiem – odparł Frere posilając się spokojnie.

Co takiego?

Kazałabym panu stać przed portalem katedry Świętego Pawła w białej koszuli i z zapaloną świeczką w ręku, póki by pan nie zmądrzał i nie przestał ludzi drażnić.

Obraz pana Frere'a w białej koszuli i z zapaloną świeczką w ręku, stojącego przed portalem katedry Świętego Pawła, wystawił powagę pana Batesa na zbyt ciężką próbę i zacny pilot ryknął śmiechem.

To dziwne dziecko, panie poruczniku – rzekł, kiedy opanował się po chwili, a Sylwia wyszła z mesy. – Istna

126

127

jędza, a jednocześnie pocziwa duszyczka. Nieprawda, panie

poruczniku?

Kiedy pan będzie gotów do podniesienia kotwicy, panie Bates? zapytał chłodno Frere, urażony niewczesną wesołością pilota.

Bates wyczuł zmianę tonu i przystosował się zrećźnie do nastroju.

Myślę, że pod wieczór, panie poruczniku odpowiedział. – Jak przyływ opadnie, będzie całkiem bezpiecznie, ale wcześniej wolałbym nie ryzykować.

Ludzie prosili, żeby ich puścić na ląd. Chcą wyprać łachy. Jeżeli mamy stać do wieczora, proszę ich wyprawić po obiedzie.

Tak jest, panie poruczniku.

Popołudnie mijało spokojnie. Więźniowie odpłynęli na ląd i prali ubrania. Było ich dziesięciu: James Barker, James Lesly, John Lyon, Benjamin Riley, William Cheshire, Henry Shiers, William Russen, James Porter, John Fair i John Rex. Rex został przydzielony na „Rybołowa” ostatni, jako dziesiąty. Pod koniec pobytu w Macquarie Harbour zachowywał się nieco lepiej, a w czasie robót związanych z likwidacją kolonii zasłużył na wyróżnienie. Dzięki inteligencji oraz wpływowi na współwięźniów był niezastąpiony i Vi ckers jął przyznawać mu ulgi, jakimi nie obdarzyłyby go dawniej. Natomiast porucznik Frere, który doglądał załadunku „Biedronki”, nie doceniał pracowitości Rexa. Popędzał go nieustannie, wymyślał rozmaite zarzuty, uparcie twierdził, że to leń, arogant i ponury łajdak. „Rex, to! Rex, tanto! Rex, do roboty!” słychać było ustawicznie. Wreszcie zesłańcy orzekli, że Frere wyraźnie przyczepia się do Dandysa. W przeddzień podniesienia kotwicy przez „Biedronkę” Rex ożywiony nadzieją rychłego odjazdu zareagował zbyt gwałtownie na jakąś szczególnie dotkliwą uwagę, a Frere poskarżył się na niego Vickersowi. – Temu cwaniakowi coś strasznie pilno do odjazdu powiedział. Niech poczeka na „Rybołowa”. Przynajmniej będzie miał nauczkę.

Major zgodził się i zawiadomił Johna Rexa, że nie odpłynie w pierwszym rzucie. Więźniowie szemrali, że to niesprawiedliwość i ucisk, lecz pokrzywdzony milczał układowo. Tylko starał się jeszcze bardziej i nawet uprzedzony doń Frere nie mógł mu nic zarzucić.

Obłaskawienie niesforenego więźnia przypisywał nawet własnej zasłudze, a jego uległość i gorliwość uważał za przykład skutecznego działania surowych metod. Ale kamraci lepiej znający Johna Rexa poczytywali jego spokój i chęć do pracy za znak złowróżbny.

Wieczorem trzynastego stycznia Dandys wtócił na pokład wraz z innymi i był w szczególnie pogodnym humorze. Pan Frere raz jeszcze pogratulował sobie, bo usłyszał jego śmiech, kiedy znudzony długim oczekiwaniem postanowił wziąć welbot, którym wrócili więźniowie, i przed wieczorem wybrać się na połów ryb.

Czas mijał. Zapadał mrok i pan Bates przechadzając się po pokładzie niecierpliwie wyglądał łodzi. Chciał co prędzej rozwinąć żagle, bo wszystko było gotowe. Pani Vickers i jej córka znajdowały się w kabinie, dwaj żołnierze (dwu innych zabrał porucznik) czuwali na rufie, więźniowie śpiewali chórem w ładowni. Wiatr był pomyślny i fala znacznie opadła. Za godzinę „Rybołów” mógł wypłynąć szczęśliwie na pełne morze.

VIII

Moc pustkowia

Kloc, który dziwnym zbiegiem okoliczności uratował Rufusa, sunął unoszony prądem wypływającym z zatoki.

Przez czas pewien jego pasażer był nieprzytomny. Wyczerpany rozpaczliwą walką o życie, więzień leżał bez zmysłów na zesłanej przez miłosierdzie Boże tratwie. Wreszcie potężny wstrząs przywrócił mu świadomość. Otworzył oczy i zobaczył, że kłoc zarył się w piasku na cyplu, którego kraniec ginał w ciemnościach. Dźwignął się z trudem, wyprostował, a postąpiwszy kilka kroków upadł na plażę i zaraz usnął. Kiedy się rozwidniło, Rufus łatwo poznał okolicę. Jego kłoc ominął Wyspę Filipa i wylądował koło „węglami”,

128

9

Dożywotnie

zesłanie

129

jakieś trzysta kroków od szop i szałasów opuszczonych przez pracujących tam do niedawna zesłańców. Przez czas niejaki Rufus grzał się w promieniach wschodzącego słońca i nie śmiał poruszać obolałymi, poranionymi rękami i nogami. Rozkoszował się cudownym wypoczynkiem i nie myślał nawet, czemu pobliskie prowizoryczne zabudowania opustoszały. Gdyby „węglarnia” była zaludniona, zostałyby w ciągu kilku minut zauważony i odstawiony na samotną skałę. Znekany, wyczerpany do ostatnich granic, przyjął do wiadomości istniejący stan rzeczy i ponownie zapadł w głęboki sen. Spał, gdy pan Troke meldował Vickersowi o jego zniknięciu i domniemanej śmierci. Spał, gdy „Biedronka” przeżywała tak blisko, że z pokładu łatwo byłoby dostrzec przez dobrą lunetę rozciągniętą na piasku nieruchomą postać. Kiedy się ocknął, prosto w twarz świeciło mu słońce wczesnego popołudnia. Wstał odświeżony długim wypoczynkiem i spostrzegł, że ubranie jego wyschło, a wilgotne jest tylko z boku, na którym dotąd leżał. Oczywiście nie zdawał sobie sprawy z własnej sytuacji. Odzyskał wolność, to prawda – niewątpliwie jednak na krótko. Dobrze znał historię dawniejszych ucieczek, wiedział więc, że na tych jałowych brzegach zbieg może liczyć jedynie na pojmanie lub śmierć głodową. Zerknął ku słońcu i zdziwił się, iż pozostawiono go w spokoju tak długo. Potem zwrócił uwagę na szałas i szopy. Sprawiały wrażenie bezludnych, opustoszałych. Zbudziło to w nim nieokreśloną obawę. Zbliżał się i wchodził do zabudowań ostrożnie, jak gdyby w każdej chwili spodziewał się zobaczyć zaczajonego dozorcę albo żołnierza pod bronią. Nagle zobaczył w kącie szałasów bochenki chleba, które poprzedniego wieczoru rzucili tam odjeżdżający więźniowie. Pomyślał, że to cud albo urojenie, że bochenki za moment znikną. Gdyby żył w dawniejszych wiekach, poszukałby wzrokiem anioła, co ów dar z niebios przyniósł.

Biedak pokrzepił się strawą zesłaną w nadprzyrodzony sposób, następnie zaś począł odtwarzać w myśli przebieg ostatnich wydarzeń, co przychodziło mu łatwo dzięki więziennemu doświadczeniu. Zapewne nowy komendant wymyślił inne zajęcie dla bydła roboczego, w związku z czym „węglarnia” została porzucona, a przypadkowego zbiega czeka co najmniej kilka godzin swobody. Ale nie wolno mu czekać, nie wolno odpoczywać. Jeżeli pragnie umknąć, musi rozpocząć wędrówkę bez zwłoki. Spojrzał na chleb i solone mięso i coś niby promyk nadziei zaświtało w jego mrocznej duszy. Oto prowiant na drogę: mniej więcej dzienna racja sześciu ludzi. Czy przy takiej pomocy nie uda mu się przebrnąć pustkowi, co dzieła od wolności? Serce zabiło żywiej w piersi zesłańca. Niewątpliwie wydaje się to możliwe! Trzeba tylko oszczędzać i jeść mało podczas długich marszów, a głód trzech dni zaspokajać jednodniową racją. Oto

żywność dla sześciu ludzi na jeden dzień, czyli na sześć dni dla jednego człowieka. Przy oszczędności starczy na dni osiemnaście, na czas, w którym wiele da się dokonać. Może przejść trzydzieści, ba! czterdzieści mil na dobę, czyli w sumie sześćset mil albo więcej! Droga jest ciężka. Busz trudny do przebycia. Nie należy zapominać o powrotach własnym śladem, o obejściach, które pochłoną cenne godziny. Licząc z umiarem, dzienny etap należy określić na, powiedzmy, dwadzieścia mil. Tak! Dwadzieścia mil na dobę to nietrudny spacer. Zbieg znalazł patyk i jał robić rachunki na piasku. Dwadzieścia razy osiemnaście to trzysta sześćdziesiąt mil. Tak! Do wolności znacznie bliżej. Przedsięwzięcie wydaje się możliwe! Możliwe przy wielkiej przeczności. Trzeba tylko być wytrwałym i skąpym. Właśnie! A on już zjadł za dużo. Niewątpliwie za dużo! Spieszenie wyjął z ust i dołączył do zapasów nadgryziony już kawałek mięsa.

Postanowiwszy, że popróbuje ucieczki, więzień musiał przede wszystkim pozbyć się kajdan. Zadanie było łatwiejsze, niż oczekiwał. Za pomocą kamienia i znalezionego w szopie żelaznego ćwieka należało jedynie wybić bolce z pierścieni. Rufus spakował chleb i mięso, wsunął za pas ćwiek (który mógł się przydać do obrony) i ruszył w drogę. Zamierzał szerokim kręgiem ominąć położoną nad morzem kolonię karną, przebiec bezludny busz, a w okolicach zamieszkałych znaleźć pomoc i opiekę dzięki jakiejś bajeczce o rozbiciu statku czy też zmyleniu drogi. Nie zastanawiał się wcale, co będzie robił, kiedy nareszcie trafi między ludzi wolnych. Przyjmował za pewnik, że miną wówczas wszystkie niebezpieczeństwa i trudności. Należy tylko przebyć rozległe pustkowia, a następnie odwrócić podejrzenia dzięki własnej

130

131

pomysłowości lub uśmiechowi fortuny. Niebezpieczeństwo natychmiastowego ujęcia było tak groźne, że bladły wobec niego odległe sprawy.

Do świtu dnia następnego zbieg pokonał dziesięć mil, a dalsze czterdzieści miał za sobą czwartego wieczora wędrówki. Zdrożony, z odparzonymi nogami, legł w cieni-
stych zaroślach i zniewysłowioną ulgą myślał, że przekroczył granice możliwego pościgu. Nazajutrz posuwał się wolniej, bo szlak był szczególnie trudny. Drogę zagradzały wciąż zarośla poplątane i gęste na kształt tropikalnej dżungli albo łańcuchy nagich, skalistych wzgórz. Dawes błądził w jarach bez wyjścia, tracił orientację w ciemnych chaszczach, natrafiał na grząskie oparzeliska. Morze rozległe, bezlitosne, słońce – połyskiwało dotąd po lewej stronie, nagle jednak przeniosło się na prawą. Dawes spostrzegł to z wysokiej przełęczy i pojął, że musi wracać swoim tropem. Błąkał się przez dwa dni, trzeciego zaś stanął u stóp wyniosłej skalistej góry. Przeszkodę należało pokonać wprost albo obejść. Rufus wybrał obejście.

Naturalna ścieżka okalała podnóże urwiska, a gałęzie, połamane tu i ówdzie, budziły podejrzenie, że nie po raz pierwszy stopa ludzka depce to pustkowia. Rufus słabł i uginał się pod coraz lżejszym brzemieniem zapasów. Wreszcie ścieżka dobiegła końca w niewielkiej kotlinie, na której dnie coś leżało. Zbieg postąpił kilkanaście kroków i prawie potknął się o zwłoki człowieka!

Wydawało mu się, że wśród śmiertelnej ciszy pustkowia słyszy nawołujące głosy. Trup w żółtym więziennym kaftanie był jakby realnym obrazem wszystkich czytanych lub słyszanych niegdyś okrutnych i fantastycznych opowieści o morderstwach. Zbieg nachylił się ulegając niepohamowanemu impulsowi, by poznać choćby najgorsze. Nachylił się i spo-

strzegł, że ciało jest okaleczone. Brakowało jednego ramienia, czaszka była strzaskana potężnym ciosem. A więc to nie ostrzeżenie przed szaleńczym zamiarem, nie zwłoki zmarłego z głodu zbiega! Nieodparcie nasuwa się bardziej ponure podejrzenie. Rufus odczytał numer na zgrzebnej tkaninie numer najmłodszego z towarzyszy ucieczki Gabbetta. Oto stoi na miejscu, gdzie popełniono morderstwo... Tak! Morderstwo! Przecież nie mogło to być nic innego. Chwała Bogu, 132

on nie wyczerpał jeszcze całego prowiantu! Odwrócił się i umknął spoglądając trwożnie przez ramię. Z trudem oddychał w cieniu tej przerażającej góry. Znekany, podrapany do krwi, półprzytomny torował sobie drogę pośród kolczastej gęstwiny. Wreszcie napotkał niską ostrogę skalną i rozejrzał się wokół. W górę wyrastały kamienne iglice, w dole rozpościerała się panorama buszu. Biały stożek Frenchman's Cap strzelał w niebo po prawej stronie, z lewej kolejne łańcuchy wzgórz stwarzały przeszkodę nie do pokonania. Ku wschodowi połyskiwało coś niby powierzchnia jeziora. Na tle opałowego wieczornego nieba rysowały się wdzięczne sylwety sosen, a u ich stóp rosła niedawno przebyta gęstwina bezkresnego buszu. Rufus odniósł wrażenie, że z miejsca, na którym stoi, może skoczyć prosto na korony położonych w dole drzew. Podniósł wzrok, spojrzął dalej i zobaczył szare niby długa stalowa klinga wody zatoki, z której wybrzeża ruszył w drogę. Na ciemnych falach majaczył nieco ciemniejszy punkcik: „Rybołów” zmierzający ku Bramie Piekieł. Wydawał się tak blisko, że na pokład można by dorzucić kamieniem.

Rufus Dawes wydał stłumiony okrzyk grozy. Przez trzy dni błądził w buszu, wracał przebytą już drogą. Zmarnował połowę przewidzianego czasu i nie był dalej niż trzydzieści mil od więzienia. Śmierć czekała, by pochwycić go dopiero tutaj, na jałowym, wrogim pustkowiu. Bawiła się nim jak kot myszą: przez pewien czas pozwoliła wyzywać przeznaczenie, żywić złudną nadzieję, cieszyć się urojonym bezpieczeństwem. Teraz ucieczka stała się niemożliwa! Biedak wznosił wzrok ku niebu i ujrzał purpurowe słońce, jak gdyby wsparte na koronie olbrzymiej sosny. Promień jego przenikał do położonej w dole kotlinki i niby okrwawiony palec zdawał się wskazywać spoczywające tam zwłoki. Na ów złowieszczy omen Rufus Dawes zadrżał, odwrócił twarz i jak szalenciec skoczył znowu w leśną gęstwinę.

Przez cztery dni bez celu błąkał się w buszu. Stracił wszelką nadzieję na pomyślny koniec wędrówki, postanowił jednak omijać kolonię karną, póki starczy zapasów żywności. Nękany głodem powiększył! dzienną rację i ustawicznie marzył o najedzeniu się do syta, chociaż solone mięso zaczynało już gnić pod wpływem ciepła i wilgoci.

133

Czerstwy żytni chleb i kęski nadpsulej wołowiny zdawały mu się przysmakami godnymi stołu monarszego. Próbował nawet żuć młode pędy rozmaitych drzew i krzewów. Oszukiwało to głód na czas pewien, lecz wywoływało dręczące pragnienie, nietrudne zresztą do ugaszenia przy lodowatych górskich źródłach. Gdyby źródelka te były mniej liczne, zbieg umarłby niezawodnie w ciągu kilku dni.

Wreszcie dwunastego dnia po wyruszeniu z „węglami” Rufus Dawes stanął u podnóża Mount Direction, przy nasadzie półwyspu tworzącego zachodnie wybrzeże zatoki. Uciążliwą wędrówką zamknął półkrag wokół kolonii. Jeżeli pójdzie dalej, odnajdzie nazajutrz wieczorem przystań położoną naprzeciwko Wyspy Sary. Prowiant skończy się za czterdzieści osiem godzin, a głód dokucza bezlitośnie. Ale

Rufus Dawcs nie myślał już o samobójstwie. Opanowało go jedno pragnienie: zdobyć coś do jedzenia. Postąpił nie inaczej niż wielu innych. Wrócił do więzienia i zostanie ukarany chłostą, lecz również nakarmiony. Ale wartownia koło przystani była pusta. Zbieg spojrzawszy uważnie na Wyspę Sary i nie dostrzegł tam żadnych oznak życia. Zrozumiał. Kolonię karną zlikwidowano!

Doznany wstrząs omal nie pozbawił go zmysłów. Przez kilka dni straszliwej wędrówki żył tylko myślą o powrocie do więzienia, a obecnie, u kresu męki, pojął, że więzienie przestało istnieć! Wymierzył sobie lekki policzek, aby upewnić się, że nie śni. Nie chciał wierzyć własnym oczom. Krzyczał, wymachiwał rękami, powiewał nad głową podartym kaftanem. Strudzony tym wysiłkiem powiedział sobie spokojnie i chłodno, że najwidoczniej doznał porażenia słonecznego, bo od dawna wędruje z gołą głową. Znów odzyskał nadzieję, że lada chwila znajoma łódź nadpłynie i zabierze go do ludzi. Ale łodzi nie było widać, wobec czego Rufus wyciągnął wniosek, że myli się co do miejsca. Oto ma przed sobą nie Wyspę Sary, lecz jakąś inną, podobną w kształcie wysepkę. Za kilka minut zorientuje się w terenie, odkryje, na czym polegają różnice.

Nic z tego! Znane od sześciu lat nienawistne góry udzielały niemej, ale stanowczej odpowiedzi. Morze uśmiechało się ironicznie, jak gdyby ktoś wykrzywił łakome usta o cienkich, sinych wargach. Mimo wszystko jednak Rufus nie potrafił pojąć, dlaczego Wyspa Sary opustoszała. Czuł się jak ów wędrowiec, co w zaczarowanych górach wrócił do towarzyszy i zobaczył, że zostali obróceny w głązy.

Na koniec przemówiła doń straszliwa prawda. Cofnął się kilka kroków, krzyknął rozpaczliwie i potykając się pobiegł na zawieszoną nad głębiną urwistą rafę. W momencie gdy powtórnie zamierzał skoczyć w ciemne fale, przebiegł wzrokiem wybrzeża okrutnej zatoki i dostrzegł szczególne zjawisko. Wydłużona sinawa plama strzelała w niebo po lewej, zachodniej stronie widnokregu i rozplýwała się w wieczornym powietrzu. Niezawodnie był to dym ogniska! Nowa nadzieja ożywiła konającego nędzarza. Oto Bóg zesłał mu znak wyraźny! Znikoma niebieskawa smuga wydała mu się wspaniała, olśniewająca niby ów Słup Ognisty, co wiódł Izraelitów na pustyni. A więc w pobliżu znajdują się istoty ludzkie!

Rufus Dawes odwrócił twarz od chciwego łupu morza i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku światła.

IX

Zamach na „Ryboiowa”

Wyprawa rybacka porucznika Frere'a była zupełnie nieudana i co za tym idzie – długa. Młody oficer przejawiał upór nawet w najbardziej błahych sprawach, nie chciał więc wracać z próżnymi rękami, chociaż australijski zmierzch gęstniał i ciemniał szybko. Napomnieniem stał się dopiero wyraźny sygnał: strzał z karabinu na pokładzie brygu. Widać pan Bates zaczyna się niecierpliwic! Frere zrobił niezadowoloną minę i kazał dwom żołnierzom wiosłować w stronę statku.

Jednakże „Rybołów” stał nieruchomo na redzie, a na jego nagich masztach nie wykwiwały żagle. Żołnierzy przy wiosłach wystrzał nie zdziwił wcale. Pragnęli jak najprędzej pożegnać ponurą zatokę, toteż niechętnie oceniali rybacki zapal porucznika i od dawna niecierpliwie czekali hasła

134

135

powrotu. Odwróceny plecami do brygu wiosłowali spokojnie, nagle jednak zaniepokoiła ich zmiana wyrazu twarzy

przełożonego. Frere siedział na rufie welbotu, dostrzegł więc łatwo, że na pobliskim statku dzieje się coś niezwykłego. Nad nadburciem pojawiały się i równie szybko niknęły jakieś postacie, a po falach niósł się jakby pomruk odległych głosów. Wtem drugi wystrzał zbudził pośród wzgórz echa i coś ciemnego zsunęło się przez burtę do wody. Frere zaklął, stanął w łodzi i ocieniwszy oczy dłonią, uważnie spojrzął na „Rybołowa”. Żołnierze przestali wiosłować i poszli za przykładem oficera, a welbot rozkołysał się na fali przybojowej. Przez moment panowała pełna napięcia cisza. Potem trzeci wystrzał i piskliwy krzyk niewieści dokładnie wyjaśnił sytuację. Więźniowie opanowali statek!

Do wiosła! wrzasnął Frere.

Żołnierze zdali sobie sprawę z grozy położenia, zebrali więc wszystkie siły i welbot pomknął tak szparko, jak mógł przy tylko jednej parze wiosła.

Pan Bates, znudzony długą bezczynnością i upojony poczuciem pozornego bezpieczeństwa, zszedł do kabiny, aby powiedzieć małej przyjaciółce, że niebawem popłynie do Hobartu, znanego jej dobrze z opowiadań. Korzystając z nieobecności pilota żołnierz, który nie pełnił warty, powędrował na dziób, bo chciał posłuchać z bliska, jak więźniowie śpiewają. Siedmiu drabów siedziało kołem, trzech zaś zabawiło towarzyszy „pikantną” piosenką. Głosy mieli niezłe, a słowa śpiewki, co rozbrzmiewały i będą rozbrzmiewać na niezliczonych pokładach, bardzo odpowiadały prostej żołnierskiej naturze. Szeregowiec Grimes zapomniał, że pokład jest nie strzeżony, i usiadł, by rozerwać się trochę. Kiedy tak siedział i słuchał pogrążony w przyjemnych wspomnieniach, pięciu więźniów przemknęło ukradkiem do trapu i wydostało się na pokład. Byli to: James Lesly, William Cheshire, William Russen, John Fair i James Barker. Ten ostatni znalazł się przy luku rufowym w chwili, gdy żołnierz na warcie wykonywał przepisowy zwrot. Od tyłu chwycił go za szyję i obalił na pokład, nim wartownik zdążył dobyć głosu. Zaskoczony zniechęca wypuścił z rąk karabin i próbował wyrwać się napastnikowi, ale Fair chwycił porzuconą broń i zapowiedział szeptem, że kolbą roztrzaska czaszkę żołnierzowi, jeżeli ten piśnie słówko lub poruszy palcem. Upewniwszy się, że wartownik został „załatwiony”, Cheshire, jak gdyby wykonywał plan przygotowany z góry, zeskoczył do luku rufowego, spokojnie wziął karabin ze stojaka i podał je Lesly'emu i Russenowi. Nie licząc broni zdobytej na wartowniku, więźniowie zawiązali teraz trzema karabinami. Chwyciwszy jeden z nich i zostawiwszy więźnia pod strażą Faira, Barker zbiegł po głównym trapie do mesy. W wyniku tego manewru Russen został rozbrojony, nie protestował jednak, bo jak się zdaje, wiedział, na czym jego zadanie polega. Cichaczem wrócił na dziób i ominąwszy zasłuchanego żołnierza, dotknął ramieniem jednego ze śpiewaków. Był to znak umówiony. John Rex przerwał sobie śmiechem w pół taktu i podsunął pięść pod nos nic nie przeczuwającego szeregowca Grimesa. Ani pary z gęby! – warknął. – Bryg jest nasz!

Zanim żołnierz zdołał zrozumieć, co się stało, Lyon i Riley powalili go i związali.

Na pokład, chłopaki! – powiedział Rex. – I dawajcie tu jeńca. Tym razem się powiodło. Bryg jest nasz! Po chwili wartownik z kneblem w ustach został zrzucony do ładowni i luk zamknięto starannie.

Stań przed głównym trapem, Porter – rozkazywał donośnie Rex – i jak się ktoś pokaże, w łeb go bosakiem. Lesly i Russen, do kabiny! Lyon! Uważaj na welbot. Jak się zanadto zbliży, strzelaj!

W tej chwili huknął pierwszy wystrzał. To Barker dał ognia pod pokładem rufowym. Kiedy Bates zszedł pod pokład, zobaczył Sylwię, która czytała pilnie, skulona na kanapce w mesie. No i co, panienko? — odezwał się. — Tylko patrzeć, jak rozwiniemy żagle i ruszymy w drogę do tatusia. Dziewczynka odgarnęła włosy z czoła, spojrzała na pilota i odpowiedziała pytaniem zupełnie nie na temat: Panie Bates, co to jest podjezdka? Przepraszam, nie zrozumiałem — bąknął. Pod-jezd-ka... — wyskandowała. — Nie wie pan? Zdziwiony pilot pokręcił głową.

136

137

Nie mam pojęcia odrzekł i dodał pochylając się nad książką: — Czy to stąd wyraz?

Tak — potwierdziła Sylwia i zaczęła czytać z powagą: „Starożytni Brytowie byli barbarzyńcami. Malowali ciała sinidłem...” To, wie pan, taka używana dawniej niebieska farba, a kiedy siedzieli w lekkiej podjezdce z surowej skóry rozpiętej na drewnianym szkielecie, musieli przedstawiać widok odrażający i pierwotny”. Hm... — mruknął pan Bates wysłuchawszy interesującej lektury. — Ciężki orzech do zgryzienia, co? Podjezdka... Podjezd... Mam! — zawołał, jak gdyby doznał nagłego olśnienia. — W Hyde Parku widuje się różne dziwolągi. Na przykład o młodym koniu pod wierzch mówi się tam podjezdek! To, panienko, łączy się jakoś z podjezdka. Złota młodzież ma własny język.

A co to jest złota młodzież, panie Bates?

Złota młodzież? powtórzył biedny pilot zaatakowany ponownie. — No... Fircyki, dandysi. Bogaci młodzi ludzie, co chcą się popisać.

Rozumiem. — Sylwia poważnie kiwnęła głową.

?— Arystokraci. Książęta i tacy różni. Ale co oni mają wspólnego z podjezdka i starożytnymi Brytami?

Myślę, panienko, że podjezdka to jakiś... ehem...

ekwipaż... Może rodzaj dwukółki czy faetonu?

Ale panna Vickers nie była zadowolona i wróciła do książki, cienkiego i podniszczonego tomiku noszącego tytuł: „Historia Anglii na użytek wieku dziecięcego”. Przez chwilę czytała ze zmarszczonym czołem, potem wybuchnęła srebrzystym śmiechem.

Ach, panie Bates, kochany panie Bates! zawołała wymachując książką nad głową. Obydwoje jesteście strasznie niemądry! Ekwipaż! Dobrze sobie! Przecież podjezdka to łódka.

?-- Łódka? powtórzył pilot pełen podziwu dla inteligencji małej przyjaciółki. — Dlaczego w takim razie nie nazwać jej od razu łódką? Pocieszna historyjka!

Chciał zawtórować dziecku śmiechem, lecz w tym momencie spostrzegł w otwartych drzwiach Barkera z karabinem.

OoL. Co się stało? Czego tu szukasz?

Przykro mi, że przeszkadzam uśmiechnął się

krzywo więzień. — Pozwoli pan ze mną, panie Bates.

Pilot odgadł niezwłocznie straszną prawdę, ale nie stracił przytomności umysłu. Pod prawą ręką miał jedną z poduszek kanapki, chwycił więc ją i z rozmachem cisnął prosto w twarz napastnika. Miękkie pocisk trafił i na chwilę oślepił Barkera. Karabin nieszkodliwie wystrzelił w górę, a nim więzień odzyskał równowagę, Bates wypchał go z mesy i wołając: „Bunt! Bunt!”, przekręcił klucz od środka. Hałas wywabił z kabiny panią Vickers, a Sylwia zapomniała o historii Anglii i z płaczem rzuciła się w ramiona matki.

?- Wielki Boże! Co się stało, panie Bates? - zapytała majorowa.

Pocziwy pilot zapomniał się tak dalece, że zaklął w obecności kobiet.

To bunt, proszę pani! zawołał. Proszę wrócić do kabiny i drzwi zamknąć na klucz. Napadli nas ci łajdacy z piekła rodem!

Julia Vickers poczuła, że serce w niej zamiera. Czy nie wyrwie się nigdy z tego potwornego życia?

Proszę wrócić do kabiny, łaskawa pani powtórzył pilot. - I palcem nie ruszać, póki nie powiem. Może nie tak źle z nami, jak się zdaje. Chwała Bogu, mam przy sobie pistolet, no i pan Frere na pewno usłyszy strzały. Bunt! Na pokład! - krzyknął wielkim głosem, sposepniał jednak, gdyż jedyną odpowiedzią był szyderczy śmiech z góry.

Pozostawiwszy w mesie kobietę i dziecko, przerażony pilot odwiódł kurek pistoletu, chwycił tasak ze stojaka na broń umieszczonego przy stopie masztu, kopnięciem otworzył drzwi i skoczył na trap rufowy. Słyszał był, że Barker wycofał się na pokład, liczył więc na wolną drogę, ale zatrzymali go Lesly i Russen z nabitymi karabinami w rękach. Zamachnął się tasakiem, nie trafił Russena, widząc więc, że atak nie ma szans powodzenia, wycofał się do mesy. Tymczasem Grimes i drugi żołnierz wyrwali się z więzów. Usłyszeli wystrzał, sądząc zatem, że jeszcze nie wszystko stracone, spróbowali wydostać się na pokład lukiem dziobowym. Porter - niezbyt z natury odważny, a ponadto złamany długoletnią więzienną dyscypliną - stawiał opór niezdecydowany i słaby. Jones (żołnierz, który pełnił wartę)

138

139

łatwo wyrwał mu bosak i skoczył w stronę rufy na pomoc pilotowi. Ale na śródkręciu Cheshire chłodny, opanowany zbrodniarz o bystrych niebieskich oczach zabił go wystrzałem z karabinu. Grimes potknął się o trupa kolegi i upadł, a bandyta, nie mogąc wystrzelić powtórnie, kolbą uderzył go w głowę. Potem chwycił ciało nieszczęsnego Jonesa i wyrzucił za burtę.

- Porter, ty ofiario! zawołał strudzony walką.

Chodź no! Dokończ drugiego drania!

Błądy jak płótno Porter postąpił kilka kroków, w tej chwili jednak inne wydarzenie odwróciło uwagę buntowników, a rannemu Grimesowi uratowało życie.

Rex, przywiedziony do szału nieoczekiwanym oporem pilota, wyrwał górny świetlik kabinowy, a Barker, który zdążył już naładować karabin, strzelił przez ów otwór do kabiny. Kula przebiła drzwi mesy i utkwiała w drewnianej grodzi, tuż koło złocistych loków małej Sylwii. Wówczas właśnie przerażona matka krzyknęła, a jej krzyk usłyszano w welbocie.

Rex oszust przywykły do cywilizowanego świata i nie pozbawiony ludzkich uczuć brzydził się niepotrzebnym rozlewem krwi, sądząc więc, że wystrzał Barkera był celny, krzyknął:

Ty bydlaku! Zamordowałeś dziecko!

O co chodzi? wrzucił ramionami bandyta.

Dziecko i tak musi zdechnąć, wcześniej czy później.

Dandys wsunął głowę do świetlika i wezwał pilota, by się poddał. Ale ten wyciągnął tylko drugi pistolet.

Chcecie popełnić morderstwo? -- zapytał Rex spoglądając dokoła zatroskanym wzrokiem.

Nie! Nie! - zawołali niektórzy buntownicy wstrząśnięci śmiercią Jonesa. Powiedz mu, żeby wyszedł, a nic mu nie będzie. Po co robić więcej bałaganu, niż trzeba?

Proszę wyjść na pokład, panie Bates zawołał Rex.
Daję słowo, że nie spotka pana krzywda.
Czy odstawicie na ląd żonę pana majora i jego dziecko?
zapytał pilot spoglądając śmiało w oczy buntownika.
Tak.

1 nie zrobicie im nic złego? podjął Bates pertrak-
tując dalej pod lufami naładowanych karabinów.
140

Nie zrobimy! Nie odpowiedział tym razem Russen.
Chcemy tylko wolności, nic więcej. Bates spodziewał się
mimo wszystko, że welbot wróci, próbował więc zyskać na
czasie.

— Zamknijcie świetlik — podjął głosem, któremu da-
remnie starał się nadać ton rozkazujący. — Muszę zapytać
o zdanie pani Vickers.

Nie da rady — zaprotestował Rex. — Może pan
zapytać jej o zdanie z miejsca, na którym stoi.
W tej chwili drzwi kabiny otworzyły się i w progu stanęła
blada i drżąca pani Vickers z Sylwią u boku.
Niech pan przyjmie ich warunki, panie Bates — po-
wiedziała. — Nie widzę innej rady. Nic nie zyskamy od-
mową. Jesteśmy przecież na ich łasce. Może Bóg nas jakoś
wesprze.

Amen szepnął dzielny pilot i dodał głośno: — Zga-
dzamy się.

Niech pan położy pistolet na stole i wyjdzie — rzekł
Rex nie spuszczać pilota z muszki karabinu. Nikt pana
palcem nie tknie.

X Zemsta Johna

Rexa

Pani Vickers blada i osłabła z przerażenia, ale
podtrzymywana tą dziwną odwagą, o której była już mowa
przeszła szybko pod otwartym iluminatorem i postąpiła
w stronę drzwi. Sylwia objęła matkę jedną ręką, w drugiej zaś
trzymała kurczowo „Historię Anglii”, gdyż opanowana
grozą nie pomyślała o odłożeniu książki.

— Niech pani majorowa weźmie szal czy coś takiego
i kapelusik dla panienki — powiedział Bates.
Kobieta spojrzała na otwarty iluminator i wzdrygnawszy
się pokręciła głową. Buntownicy na pokładzie irytowali się
i klęli, toteż trójka jeńców pospiesznie opuściła mesę.

141

Kto jest obecnie kapitanem „Rybołowa”? spytał
nieustraszony Bates.

Ja odparł John Rex i z moimi zuchami gotówem
odbyć podróż dokoła świata.

Napuszone zdanie przypadło widać do smaku „zu-
chom”, bo krzyknęli „hura!” stłumionymi nieco głosami.
Sylwia zrobiła zdziwioną minę. Była wychowana w kolonii
karnej, a więc radosny okrzyk więźniów zaskoczył ją nie
mniej, niż cytat poetycki w ustach lokaja zaskoczyłby
światową damę. Atoli Bates człowiek zrównoważony
i życiowy — ocenił wypowiedź herszta z innego punktu
widzenia. Śmiały projekt ubrany w słowa wydał mu się
oczywistym nonsensem. Dandys z dziewięcioosobową załogą
miałby odbyć podróż dokoła świata! Też pomysł! Przecież
nikt z tej szajki nie potrafi wziąć namiarów.
Oczyrna żeglarskiej wyobraźni pilot ujrzał bryg zbłąkany
na bezkresach Pacyfiku lub uwięziony pośród lodów Antar-
ktydy i żałośnie ocenił widoki na przyszłość dziesięciu
desperatów. Jeżeli nawet zawiną do jakiegoś portu, nie
odzyskają wolności. Co powiedzą o sobie? Jakich wyjaśnień
udziela władzom? Pod wpływem takich myśli zacny pan
Bates próbował nakłonić buntowników, by dobrowolnie

przyjęli odrzucone więzy.

Szaleńcy! zawołał. Zdajecie sobie sprawę, na co się ważycie? Ucieczka nie może się wam powieść. Oddajcie bryg, a przysięgam na Boga i Ewangelię, że nic nie powiem i wszystkim wam wystawię dobrą opinię.

Lesly i ktoś drugi wybuchnęli śmiechem, ale Rex odpowiedział poważnie, bo zdążył już rozważyć wszystkie szanse:

Nie ma o czym mówić. Zdobyliśmy „Rybołowa” i chcemy go zatrzymać. Znam się na nawigacji, chociaż nie jestem marynarzem, a wszyscy pragniemy wolności. Może się pan nie trudzić, panie Bates.

A z nami co zrobicie?

Zostawimy was na lądzie.

Co? Tutaj? Pilot pobladł.

Aha. Niezbyt to malownicze miejsce, ale proszę pamiętać, że ja spędziłem tutaj sześć lat uśmiechnął się zesłaniec.

142

Bates umilkł. Logika tego uśmiechu była nieodparta.

Ruszać się! – zawołał Rex otrząsnawszy się z melancholijnych wspomnień. – Żywo! Opuścić jolkę, chłopcy!

Zechce pani zejść do kabiny, pani Vickers, i wziąć, co pani trzeba. Niestety, muszę odstawić panią na ład, ale nie chcę, by pozostała pani bez ubrania.

Bates z ponurym uznaniem słuchał słów dwornego więźnia. On nie potrafiłby mówić tak gładko – nawet za cenę życia.

– Spokojnie, panienko – ciągnął Rex. – Proszę pójść za mamusią i nie bać się niczego.

Ja się nie boję! – odpowiedziała zarumieniona ze złości Sylwia. Nigdy nie wzięlibyście brygu, gdyby go broniły kobiety! Ja się nie boję! A teraz ustąp mi z drogi, więźniu!

Buntownicy ryknęli śmiechem, a biedna majorowa zadrżała na myśl o skutkach, jakie wywołać może zuchwalstwo małej. Szaleństwem wydawało się takie potraktowanie buntownika, od którego fantazji zależały przyszłe losy jeńców. Ale śmiałość słów Sylwii stanowiła swego rodzaju tarczę. Wprawdzie podanie w wątpliwość jego odwagi i pogardliwy akcent na słowo „więzień” (oficjalne miano zesłańców) do żywego dotknęły Rexa – człowieka z pozoru tylko układnego. Gdyby był zależny od siebie, inaczej potraktowałby małą impertynentkę. Ale ochrypły śmiech kamratów dał mu wiele do myślenia. Opinia publiczna działa nawet pośród zbrodniarzy, więc Dandys nie odważył się wyładować pasji na tak niegodnym przeciwniku. Wolał obrócić wszystko w śmiech i na dowód, że nie odczuł urazy, potraktował dziewczynkę przyjaznym uśmiechem.

Łaskawa pani – zwrócił się z ukłonem do przerażonej matki – pani córka odziedziczyła po ojcu odwagę i siłę ducha.

Pilot słuchał z otwartymi ustami. Zdawało mu się, że źle zrozumiał komplement więźnia. Nie wierzył własnym uszom! Po chwili jednak odczuł, że John Rex okazał się człowiekiem nieporównanie większym niż John Bates.

W momencie gdy pani Vickers schodziła po trapie, welbot zbliżył się na odległość strzału, a Lesly zgodnie z otrzymanymi rozkazami dał ognia z karabinu nad głowami

143

Frerc'a i żołnierzy. Ale porucznik kipiał gniewem i mimo przeciwności losu nie chciał bez walki rezygnować z władzy. Niepomny na ostrzeżenie kazał wiosłować dalej i nie odrywał wzroku od „Rybołowa”. Zapadł już zmierzch i postacie na

pokładzie były ledwie widoczne, toteż młody oficer mógł tylko wyobrazić sobie przebieg wydarzeń. Nagle odezwał się głos z ciemności -- odezwał się i umilkł, jak gdyby zduszony gwałtownie.

Uwaga! Nie podpływać! Nie..,

To Bates stając przy burcie spostrzegł, że Rex i Fair wynieśli z ładowni wielką bryłę surówki żelaznej i wydzwignęli ją na reling. Zamiar buntowników nie nasuwał wątpliwości, a więc odważny pilot zaszczekał niby pies, co ostrzega swojego pana. Żadny krwi Cheshire chwycił go za gardło, a Frere, obojętny na niebezpieczeństwo, zatrzymał welbot burta w burtę z brygiem, niemal u stóp spragnionego zemsty Rexa. Masa żelazna osunęła się na łódź i rozbiła w drzazgi kilka desek na rufie.

Łajdacy! -- krzyknął Frere. Chcecie nas pocić?

--? A pewnie roześmiał się Dandys. Was i jeszcze tuzin takich! Bryg jest nasz! Nie widzicie? Teraz my górą! Frere zaklął i rozkazał żołnierzowi na dziobie, by zahaczył bosak, ale uderzenie żelaznej bryły odtrąciło welbot i oddaliło od statku. Porucznik spojrział w górę i zobaczył wykrzywioną z furii twarz Cheshire'a, a jednocześnie usłyszał szcęk odwodzonego kurka. Żołnierze, wyczerpani długim wiosłowaniem, nie próbowali nawet zawrócić łodzi i pokład brygu rozpląnął się wnet w mroku.

Frere opanowany bezsilnym gniewem uderzył pięścią w siedzenie łodzi.

Łotry! rzucił przez zęby. Przechytrzyli nas!

Ciekawe, co teraz myślą robić?

Odpowiedź padła bezpośrednio po pytaniu. Nad czarnym kadłubem brygu błysnął płomień. Rozległ się huk i kula karabinowa plusnęła opodal welbotu. Jednocześnie biała plama pojawiła się nad falami i jęła opadać na tle ciemnej sylwetki „Rybołowa”.

Zbliźcie się! zawołał jakiś głos. Zbliźcie się, bo źle z wami będzie!

Chcą nas zamordować wyjąkał Frere. Uciekajmy, chłopcy!

Ale dwaj żołnierze spojrzeli tylko po sobie i ujawszy wiosła zwrócili welbot dziobem do brygu.

Kundle! Jesteście w znowie! -- ryknął purpurowy z pasji Frere. -- Czy to bunt?

Spokojnie, spokojnie, panie poruczniku odburknął posępnie jeden z podkomendnych. -- Nie pora na krzyki. A czy to bunt? Nie, bo teraz wszyscy jedziemy na jednym wózku.

Takie słowa w ustach człowieka, który przed niewieloma minutami bez wahania wykonałby każdy jego rozkaz, nawet wymagający ofiary życia, lepiej niż wszystkie dowodzenia przekonały Maurycego Frere'a o bezcelowości oporu. Minęła jego władza zrodzona zbiegiem okoliczności, a podtrzymywana z zewnątrz. Wystrzał z karabinu zrównał oficera z szeregowymi i więźniami, ba! postawił go niżej, bo warunki dyktowali obecnie ci, co broń zdobyli. Oficer spuścił wzrok i z ciężkim westchnieniem poddał się losowi.

Niebawem zobaczył, że jolka została spuszczone na wodę i stoi obok statku. Było w niej jedenaście osób: Bates z raną ciętą na czole i związanymi rękami, ogłuszony jeszcze Grimes, Russen i Fair przy wiosłach, Lyon, Riley, Cheshire i Lesly z karabinami oraz John Rex przy sterze. Ten ostatni miał za pasem pistolety Batesa, na kolanach zaś trzymał nabity karabin. Jasna plama widziana z welbotu była obszernym szalem spowijającym panią Vickers i Sylwię.

Na widok tego białego tobołka Maurycy Frere zaklął tonem niezmiernej ulgi. Obawiał się, że krzywda mogła spotkać dziecko. Na rozkaz Rexa welbot stanął burta w burtę z jolką, a Cheshire i Lesly przeskoczyli na jego pokład. Cheshire oddał karabin hersztowi, a z porucznikiem obszedł się podobnie jak uprzednio z Batesem, to jest związał mu ręce za plecami. Oficer próbował protestować, ale Cheshire przyłożył do jego ucha wylot lufy karabinowej i obiecał, że w łeb mu palnie, jeżeli piśnie bodaj słowo. Frere spojrział w złośliwe oczy Rexa i zamilkł, bo uprzytomnił sobie, że jedno drgnienie palca łatwo może wyrównać dawne rachunki.

144

10

Dożywotnie

zesłanie

145

Zechce pan do nas pozwolić, panie poruczniku odezwał się Rex z ironiczną uprzejmością. Ubolewam, że musiałem pana spętać, ale należało wziąć pod uwagę nie tylko pańską wygodę, lecz również nasze bezpieczeństwo.

Oficer sposępniał jeszcze bardziej i przelazłszy niezręcznie do szalupy, upadł. W więzach nie mógł podnieść się bez pomocy, więc Russen dźwignął go za kołnierz, postawił na nogi i wybuchnął grubiańskim śmiechem, który zabolął sponiewieranego oficera jeszcze dotkliwiej niż powróż na rękach.

Biedna pani Vickers wyczuła to iście niewieścim instynktem i mimo własnych trosk znalazła siłę, by udzielić pociechy.

Nędznicy! szepnęła, gdy posadzono obok niej porucznika. Jak mogą tak pana dręczyć!

Sylwia nie powiedziała nic, tylko jak gdyby odsunęła się od sąsiada. Być może dziecięca fantazja widziała w nim odzianego w złocisty pancerz, uzbrojonego od stóp do głów rycerza, co pospieszy z odsieczą, albo przynajmniej krzepkiego bohatera, który przybędzie i rozwikła kłopoty. Jeżeli dziewczynka snuła podobne rojenia, surowa rzeczywistość musiała ją zmrozić. Pan Frere czerwony, zasapany, nieporadny, również w pętach nie miał w sobie nic heroicznego.

A teraz, chłopcy, dajemy wam wybór odezwał się Rex, przejmując bezwiednie niedbale władczy ton Frere'a. Możecie zostać za Bramą Piekieł albo odpłynąć z nami. Żołnierze milczeli niezdecydowani. Podróż z buntownikami to niewątpliwie długa i ciężka harówka, a u jej kresu być może szubienica. Natomiast pozostanie z jeńcami oznaczało według wszelkiego prawdopodobieństwa śmierć głodową na jałowym i bezludnym wybrzeżu. Jak to często bywa w podobnych razach, szalę przeważył drobiazg. Grimes z wolna odyskiwał zmysły, zrozumiał więc propozycję Dandysa, a że był jeszcze niezupełnie przytomny, nie mógł powstrzymać się od komentarza.

Przystańcie do nich, dziady mruknął. Przynajmniej zostawcie za sobą samych porządnych ludzi. Ale dostaniecie za to wały! Zobaczycie!

Ostatnie słowa Grimesa kojarzyły się z najprzykrzejszym składnikiem dyscypliny wojskowej z chłostą – a zatem podziały na wyobraźnię dobranej pary, skorej i tak do zrzucenia jarzma.

Życie żołnierza w kolonii karnej było w owe lata ciężkie. Nierzadko brakowało prowiantu, a wszelkie dostępne gdzie indziej rozrywki zastępował żelazny rygor i surowe kary. Nic

dziwnego, że kompanie strażnicze rekrutowały się z nie najlepszego elementu, a dwaj żołnierze z szalupy dobrze się nadawali do życia, jakie mogli w tym momencie obrać. Płyniemy z wami – powiedział jeden z nich i odwróciwszy twarz splunął w wodę.

Na te słowa zesłańcy jęli kłać radośnie i dwu adeptów bandyckiego fachu przyjęli wylewnymi uściskami rąk. Następnie Rex w zbrojnej asyście Lyona i Riley'a przesiadł się na welbot i rozwiązawszy dwóch jeńców kazał im zająć miejsca Russena i Faira. Po tej zamianie siedmiu buntowników wzmocniło załogę welbotu. Rex zasiadł przy sterze, Fair, Russen oraz dwaj żołnierze jęli się wiosła, a czterej inni stali z karabinami zwróconymi w kierunku jolki. Długa niewola przyzwyczała zesłańców do lęku przed władzą, toteż bali się jej, chociaż była zdana na ich łaskę i trzymana w ryzie groźba czterech karabinów.

Trzymajcie dystans! krzyknął Rex, gdy Frere i Bates poczęli wiosłować w stronę brzegu, aby pod eskortą welbotu i zgodnie z poleceniem Rexa dostarczyć tam grupkę nieszczęsnych jeńców.

Kiedy znaleźli się u celu, była już noc, ale pogodne niebo pojaśniało przed wschodem księżyca, a fale rozbijające się o piasek plaży połyskiwały jakby własnym blaskiem. Frere i Bates wyskoczyli z łodzi, a następnie pomogli wysiąść pani Vickers i Sylwii, i rannemu Grimesowi. Później pod groźbą karabinów musieli odepchnąć szalupę, którą Riley zahaczył bosakiem i wziął na linkę holowniczą.

A teraz, chłopaki – rzucił Cheshire z dziką radością trzykrotne „hura” na cześć starej Anglii i wolności! Okrzyk zbudził stokrotne echa wśród posepnych wzgórz, które były świadkami tak wielu nieszczęść.

W uszach pozostawionych na brzegu pięciorga nieszczęśliwych wiwaty owe rozbrzmiewały niczym podzwonne.

146

147

Wielki Boże! – zawołał Bates i jak gdyby w pogoni za oddalającymi się łodziami wbiegł po kolana w wodę. Nie zostawicie nas tu chyba na śmierć głodową?

Ale odpowiedzią był tylko plusk i zgrzyt dwóch par wiosła.

XI

Pozostawieni za Braną Piekieł

Nic ma potrzeby opisywać dokładnie udręki tej pierwszej upiornej nocy. Osoba najmniej bodaj zdolna do znoszenia cierpień najdokładniej uprzytomniała sobie ich groźbę. Pani Vickers była lekkomyślna i płocha, miała jednak ów szósty zmysł właściwy swojej płci: instynktowne wyczucie bliskiego niebezpieczeństwa. Jako kobieta i matka bolała w dwójnasób. Naprzód za sprawą niewieściej wyobraźni oglądała tortury własnej śmierci głodowej, następnie przeżywała ponownie całą groźbę w skojarzeniu z losami dziecka. Bates proponował pani Vickers swój ciepły kaftan, a Frere ofiarował się z bliżej nieokreśloną pomocą. Odmówiła obydwu opiekunom i z córką w ramionach zasiadła pod urwiskiem skalnym, aby samotnie patrzeć na morze i snuć dręczące myśli. Natomiast Sylwia otrząsnęła się z wrażenia i prawie zadowolona usnęła otuliwszy się szalem matki. Dla dziecięcej fantazji ta noc miała wszystkie cechy romantycznej przygody. Niepodobna było bać się w tak bezpośrednim sąsiedztwie Batesa i Frere'a, nie mówiąc nawet o matce.

A zresztą papa ten bóg i władca kolonii – wróci niebawem i straszliwie ukarze bezczelnych więźniów, co ośmielili się źle potraktować jego żonę i córkę. Zасыpiając dziewczynka obruszyła się na samą siebie, bo z niejakim

współczuciem pomyślała o buntownikach, którzy dobrowolnie zaplątali się w matnię. Kiedy papa wróci, wszyscy dostaną chłostę i to jaką! Chwilowo sen pod gołym niebem był niewątpliwie nowością, nawet nowością przyjemną.

148

Zacny Bates uchronił szczupły zapas sucharów i z właściwą mu szlachetnością oznajmił, że zachowa je na wyłączny użytek płci pięknej. Jednakże pani Vickers odmówiła stanowczo.

Podział musi być równy dla wszystkich - odrzekła tak, jak w podobnej sytuacji odrzekłby jej małżonek, a Frere zdziwił się pozornej sile ducha majorowej.

Nie dziwiłby się, gdyby miał bystrzejszy umysł, bo w momencie kryzysu słabsza z dwu płci, które wiele przeżyły razem, odczuwa zazwyczaj krzepiący wpływ tej drugiej silniejszej i szlachetniejszej.

Frere miał w kieszeni krzemień, hubkę i krzesiwo, rozniecił więc ogienek z suchych liści chrustu. Grimes położył się i zasnął, a dwaj pozostali mężczyźni usiedli w bliskości płomienia, aby omówić szansę ratunku. Trudno im było uwierzyć, że zostali porzuceni ostatecznie, przekonywali się więc nawzajem, że jeżeli bryg nie podniesie kotwicy w nocy (a sylwetkę jego widać było w blasku księżyca), buntownicy wróca, by zaopatrzyć ich w żywność. Przewidywanie to okazało się słuszne, gdyż mniej więcej w godzinę po świcie zobaczyli welbot zmierzający ku lądowi.

Był to rezultat dyskusji, która odbyła się na pokładzie „Rybołowa”. Inni chcieli od razu rozwinąć żagle, ale Barker, do niedawna wioślarz w szalupie pilota, wiedział coś niecoś o płytcźnie przybrzeżnej, oznajmił więc, że po ciemku nie wyprowadzi brygu za Bramę Piekieł. Wobec tego przycumowano łodzie za rufą i ustawiono strażę na wypadek jakichś desperackich zabiegów o odzyskanie statku. W ciągu nocy podniecenie minęło i buntownicy zrozumieli ogrom czekających ich zadań, a zarazem jęli odczuwać litość dla wysadzonych na ład biedaków. W imię czego brać na sumienie pięć bezużytecznych morderstw? A jeżeli „Rybołów” zostanie ujęty? Co wówczas? Pośród dziesięciu opryszków prawie wszyscy byli mało wrażliwi na rozlew krwi, nikt jednak nie potrafił myśleć spokojnie o śmierci niewinnego dziecka komandanta. John Rex szybko zorientował się w nastroju, postanowił więc zapisać miłosierny uczynek na własne konto. Chciał rządzić obecnymi kamratami tak, jak rządził innymi zawsze i wszędzie. Wolał prowadzić ich obroną przez ogół drogą, niż odkrywać i pokazywać własną.

149

Proponuję odezwał się żebyśmy podzielili zapasy żywności. Ich jest pięcioro, nas dziesięciu. Lepiej niech nikt nie ma do nas pretensji.

Słusznie! - podchwycił Porter, przypominając sobie zbliżony wypadek. - Jeżeli wpadniemy, ci z łądu powiedzą, jak zostali potraktowani. Pamiętajcie sprawę „Cyprysa”? Tam zostawieni na brzegu pomarli z głodu. Po co ma się to u nas powtórzyć?

Racja! Racja! zawołał Barker. Kiedy w Hobaracie windowali Fergussona na szubienicę, stary Troke gadał, że frajer wyniosłby całą skórę, gdyby zostawił na ładzie trochę żarcia. Dobrze to zapamiętałem!

Ponieważ własny interes i uczucia ludzkie zalecały miłosierdzie, o świcie wydobyto prowianty na pokład i dokonano sprawiedliwego podziału. Żołnierze, zapewne pod wpływem wyrzutów sumienia, opowiadali się za dwoma równymi częściami, atoli Barker zaprotestował gorąco.

Nie ma zgody! Jak komendant skapuje, że brygu nie widać w porę, na pewno wróci szkunerem i tych tam odnajdzie. A nam potrzeba żarcia, bo diabli wiedzą, kiedy zobaczymy następny ład.

Wniosek został uznany za słuszny i wprowadzony w życie. W wybitej blachą beczce znajdowało się około pięćdziesięciu funtów solonego mięsa. Buntownicy odłożyli na bok trzecią część, a ponadto mały woreczek mąki, torbę zawierającą nieco herbaty zmieszanej z cukrem oraz żelazny kociołek i metalowy kubek. Skarby te załadowano do welbotu, a Rex, obawiając się pijaństwa wśród załogi, dorzucił jeszcze jedną z dwóch baryłek rumu. Cheshire zaoponował, a rozjuszony na Rexa porwał za nogę zabraną z Wyspy Filipa kozę, rzucił do morza i krzyknął, że ją także należałoby ofiarować tym z ład. Dandys wciągnął niefortunne zwierzę do welbotu, który ruszył w stronę brzegu obciążony tak różnorodnym ładunkiem. Koza beczała rozpaczliwie, a załoga łodzi śmiała się do rozpuku. Postronny widz mógłby mniemać, że to szczęśliwi rybacy czy osadnicy nadbrzeżni wracają do domu po dniu spędzonym mile w pobliskim miasteczku.

Kiedy łódź zaryła dziobem w nadbrzeżnej mieliźnie, Rex zawołał, by Bates przyszedł po żywność. Wyładunku dokonano pod czujnym okiem trzech buntowników z karabinami, by nie dopuścić do próby odzyskania brygu.

Macie! – powiedział Rex. – Nie mówcie tylko, że zostaliście źle potraktowani. Podzieliliśmy całe żarcie. Widok nieoczekiwanej pomocy dodał ducha piątce z ład i obudził jej wdzięczność. Po beznadziejnej nocy wszyscy byli skłonni spoglądać z życzliwością na tych, co się nad nimi zmiłowali.

Dziękuję! – powiedział Bates głosem zdławionym łzami. Wcale na to nie liczyłem. Dobrzy z was ludzie, bo wiem, że na brygu mało macie żywności.

Tak powiedział Frere – dobrzy z was ludzie.

Rex roześmiał się szyderczo.

– A ty stul lepiej pysk, tyranie warknął zapominając o dobrych manierach. – To nie na twój benefis. Podziękuj pani i małej panience.

Julia Vickers postarała się ułagodzić zbawcę swojego dziecka.

Jesteśmy wam wdzięczne powiedziała z godnością, jakiej jej mąż by się nie powstydział. – Jeżeli uratujemy się kiedykolwiek, postaramy się, by wasza dobroć zyskała rozgłos.

Oszust i fałszerz zdjął skórzaną czapkę szarmanckim gestem. Od pięciu lat nie przemówiła doń kobieta, obecnie jednak przypomniały mu się czasy, kiedy był panem Lionelem Croftonem, „dżentelmenem żyjącym z własnych funduszków”. Był wolny i miał przed sobą życie, odzyskał więc szacunek dla własnej osoby i śmiało spojrział w twarz damy.

Głęboko wierzę, że łaskawa pani się uratuje. Czy mogę wtedy liczyć na jej wyrozumiałość dla siebie i towarzyszy?

Pan Bates zdumiał się i zawołał z entuzjazmem:

Co to za dziwny człowiek! Jak Boga kocham, Rex, nie urodziłeś się na zesłańca i więźnia!

Dandys uśmiechnął się smutno.

Żegnam, panie Bates powiedział. – Oby Bóg czuwał nad panem.

Żegnaj, Rex – rzekł pilot zsuwając kapelusz z czoła.

Życzę... Ee... Niech to wszyscy diabli! Życzę, żebyście

wywinęli się szczęśliwie. Przecież wolność jest słodka dla wszystkich!

Żegnajcie, więźniowie dodała Sylwia powiewając chusteczką. — Ja także mam nadzieję, że was nie złapia. Niebawem welbot odpłynął przy życzliwych okrzykach i wymachiwaniu chusteczkami.

Wzruszeni bezinteresownym na pozór postępkami Johna Rexa, wygnańcy zapomnieli chwilowo o własnych troskach i chociaż może się to wydać dziwne, myśleli przede wszystkim o przyszłych losach buntowników. Przytomnieli jednak stopniowo, w miarę jak oddalający się welbot malał, a kiedy wreszcie zniknął w cieniu brygu, ocknęli się i uświadomili sobie własną pożałowania godną sytuację.

Pod przewodnictwem pana Frere'a odbyła się rada wojenna, na której postanowiono zmagazynować wspólne zapasy. Solone mięso, mąkę i herbatę umieszczono w niewielkiej grocie z dala od morza, a Bates został mianowany szafarzem i miał sprawiedliwie wydzielać ustalone porcje. Kozę uwiązano do drzewa na sznurze rybackim wystarczająco długim, by mogła szczypać trawę. Ponadto uchwalono jednomyślnie, aby baryłkę rumu złożyć w głębokiej rozpadlinie skalnej, a zawartości jej używać tylko w przypadkach nadzwyczajnych, takich na przykład jak choroba. Brak wody nie zagrażał, bo obfite źródło tryskało ze skały w odległości stu jardów od miejsca wylądowania. Należało liczyć, że przy rozumnej oszczędności zapasy starczą na co najmniej cztery tygodnie.

Z kolei okazało się, że wygnańcy posiadają trzy scyzoryki, kłębek szpagatu, dwie fajki, cegiełkę tytoniu, sznury rybackie z haczykami oraz duży nóż marynarski zabrany przez porucznika do patroszenia ryb, które miał nadzieję złowić. Niestety pośród ruchomości nie znajdowało się nic, czego można by użyć jako siekiery. Pani Vickers miała szal, a Bates gruby kaftan, ale Frere i Grimes zostali bez cieplejszej odzieży. Po naradzie postanowiono, że każdy zatrzyma swoją własność, a tylko sznury rybackie zostaną skonfiskowane na rzecz ogółu.

Niebawem kociołek napełniony wodą ze źródła zamisnął nad ogniem na trójnogu z patyków i wszyscy (z wyjątkiem Grimesa, który powiedział, że nic nie przełknie)

152

otrzymali po sucharze i kubku lekkiej herbaty. Po śniadaniu Bates zagniółł i upiekł w popiele podpłomyk, a następnie druga rada wojenna zajęła się kwestią przyszłego mieszkania.

Nie ulegało wątpliwości, że niepodobna biwakować pod gołym niebem. Była wprawdzie połowa lata i deszcze nie groziły, ale za dnia słoneczny żar dokuczał nieznośnie. Ponadto pani Vickers i Sylwia musiały mieć koniecznie jakieś pomieszczenie.

W pewnej odległości od wybrzeża ciągnęła się u podnóża skał piaszczysta wydma, a na jej wschodnim krańcu rósł mały gaik. Frere zaproponował, by wyciąć nieco drzewek i zbudować z nich szałas. Mężczyźni przystąpili do pracy, niebawem jednak zrozumieli, że niewiele dokonają za pomocą scyzoryków. Musieli nacinać mozolnie, a następnie łamać co mniejsze drzewka, lecz w ciągu kilku godzin zgromadzili wystarczający zapas drewna. Następnie położyli daszek pomiędzy dwiema skałami: jedna z nich mieściła grootę z magazynkiem żywności, druga — podobna w kształcie do młota — sterczała z masywu górskiego o pięć kroków dalej. W taki sposób matka i córka zyskały szałas, a Frere i Bates postanowili, że będą sypiać u wejścia do spiżarni, strzegąc

prowiantów, a zarazem kobiet. Grimes miał zbudować dla siebie drugi szałas na miejscu, gdzie poprzedniego wieczoru rozniecono ogień.

Kiedy Bates i Frere wrócili na obiad, zastali panią Vickers bardzo zaniepokojoną. Grimes, ranny jak wiadomo w głowę, pozostał na biwaku, obecnie zaś spacerował po plaży tam i z powrotem, mamrotał do siebie i wygrażał pięściami urojonym wrogom. Okazało się, że jest zupełnie nieprzytomny, bez wątpienia od zadanego kolbą ciosu. Zrazu Frere próbował uspokoić biedaka, a gdy to nie pomogło, skapano go w morzu za radą pilota. Zimna woda podziałała tak skutecznie, że Grimes pozwolił ułożyć się w cieniu skały i zaraz usnął.

Z kolei pan Bates rozdzielił podpłomyk i wraz z solonym mięsem wydał go towarzyszom. Przy obiedzie pani Vickers powiedziała, że spostrzegła znaczny ruch na pokładzie brygu; najprawdopodobniej, chcąc ulżyć statkowi, wyrzucono za burtę wszystko, co nie będzie nieodzownie potrzebne

153

w długiej podróży. Pilot potwierdził słuszność tych przypuszczeń i z własnych obserwacji dodał, że buntownicy zarzucili kotwicę holowniczą i z wolna obracają „Rybołowa” dziobem w stronę wyjścia z portu. Nim obiad dobiegł końca, powiał lekki wiatr i zatrzepotał zawieszoną na maszcie statku banderą angielską, odwróconą dołem ku górze. Następnie huknął wystrzał (znak pożegnania lub triumfu), rozkwitły żagle i „Rybołów” zniknął za zachodnim cyplem ładu.

Pani Vickers wzięła córkę za rękę, odeszła kilka kroków i wsparta o skalną ścianę swojej nowej siedziby rozplakała się gorzko. Mężczyźni udawali pogodę, lecz w duchu przyznawali, że w zakotwiczonym brygu widzieli pewną ostoję i dopiero teraz uprzytomnili sobie całą grozę samotności. Ale czas naglił, nie pozwalał na czcze biadania. Pilot dał dobry przykład i dwaj mężczyźni zabrali się do roboty tak żywo, że przed nastaniem nocy zgromadzili dosyć chrustu, by skończyć szałas dla pani Vickers i Sylwii. W pracy przeszkadzał Grimes, który zrywał się raz po raz i wołał, że towarzysze oszukali go i podstępnie wydali buntownikom. Bates czuł się również niedobrze. Skarżył się na coraz bardziej bolesną ranę na czole i częste, silne zawroty głowy. Co chwila chodził do źródła, aby zlać głowę zimną wodą, i dzięki temu trzymał się jakoś na nogach. Atoli po zakończeniu pracy rzucił się z jękiem na ziemię i powiedział, że chyba już nigdy nie wstanie.

Frere zastosował kurację tak skuteczną w przypadku Grimesa, lecz słona woda zaogniła tylko otwartą ranę i stan biednego pilota pogorszyła. Pani Vickers wpadła na pomysł, iż przemycie alkoholem może być zbawienne, wobec czego baryłka z rumem została dobyta z ukrycia i odszypuntowana. Wieczereż stanowiła herbata z podpłomykiem, a przy blasku ogniska sytuacja wydawała się wszystkim mniej beznadziejna. Pani Vickers ustawiła kociołek i kubek na płaskim kamieniu i nalewała herbatę ze spokojną godnością, która mogłaby śmiech budzić, gdyby nie była głęboko wzruszająca. Przyglądała włosy i z wdziękiem udrapowała szal na ramionach, a nawet ubolewała z cicha, że nie zabrała na ład więcej strojów. Sylwia była w doskonałym humorze i twierdziła, że wcale nie odczuwa głodu. Kiedy wypito herbatę,

154

pobiegła z kociołkiem do źródła i przyniesioną wodą obmyła głowę Batesowi. Na koniec postanowiono, że od następnego rana należy łowić na zmianę ryby w jakimś stosownym miejscu, które się niewątpliwie znajdzie.

Najwięcej kłopotu sprawiał na razie Grimes, bo nie tylko bredził, lecz również dostawał ataków szału tak gwałtownych, że Frere musiał go ustawicznie mieć na oku. Wreszcie mamrocąc coś do siebie i postępując zapadł w głęboki sen, a porucznik pomógł biednemu Batesowi ułożyć się na posłaniu z zielonych gałązek, aby potem zaryzykować również parogodzinną drzemkę. Wyczerpany silnymi wrażeniami i całodzienną pracą zasnął głęboko i dopiero nad ranem obudziły go dziwne odgłosy.

Grimes, którego obłąd szybko przybierał na sile, zdołał przedrzeć się przez skleconą naprędce chruścianą zagrodę i z drapieżnością furiata rzucił się na chorego. Warcząc groźnie, chwycił ofiarę za gardło, a osłabiony upływem krwi i gorączką Bates nie mógł sprostać szaleńcowi i cichym głosem wzywając pomocy, sięgał po wspomniany wyżej nóż marynarski. Frere zerwał się, skoczył na ratunek, ale nie zdążył na czas. Na widok stalowego ostrza Grimes ryknął, wyrwał broń Batesowi i dwukrotnie pchnął go w piersi, zanim porucznik zdołał temu zapobiec.

Boże! Umieram! –jęknął słabo pilot.

Widok krwi i głos ofiary przywróciły szaleńcowi świadomość. Grimes spojrział z przerażeniem na purpurowy nóż, odrzucił go daleko i umknąwszy błyskawicznie na nadbrzeżną skałę, głową w dół runął do wody.

Frere, oszołomiony niespodziewaną tragedią, patrzył śladem Grimesa niby urzeczony. Nad wodą połyskująca wdzięcznie w blaskach poranka ukazały się dwie ręce, a między nimi ciemna plama głowy. Potem zabrzmiał rozdzierający krzyk, wszystko znikło i tylko drobne falki zalśniły wesołymi iskierkami.

Przerażony porucznik zwrócił oczy w kierunku rannego Batesa i w połowie drogi między wybrzeżem a porzuconym nożem zobaczył coś, co mogło wyjaśnić śmiertelny napad furii. Koło popiołów wczorajszego ogniska leżała baryłka po rumie, a nieco dalej szmata, którą owinięto potłuczoną głowę Grimesa. Niewątpliwie biedak obudził się w nocy i błądząc

155

nieprzytomnie, trafił na baryłkę, by wypić część jej zawartości i doznać ostatecznego pomieszania, zmysłów.

Frere otrząsnął się z wrażenia, pobiegł szybko do rannego, dźwignął go i próbował zatamować krew ciekącą obficie. W momencie zadania ran Bates leżał wsparty na lewym łokciu, napastnik zaś wyrwał mu broń z prawej ręki i pchnął dwukrotnie w prawą część klatki piersiowej. Pilot był blady, nieprzytomny i jak obawiać się należało, bliski śmierci. Frere zerwał z szyi halsztuk i starał się nałożyć opatrunek, ale wąski skrawek jedwabiu nie nadawał się do tego celu. W tym momencie nadeszła obudzonahalasem pani Vickers i mimo przerażenia okazała znaczną przytomność umysłu, gdyż oddarła falbanę spódnicy i wykorzystała ją jako bandaż dostatecznie szeroki. Następnie Frere obejrzał baryłkę po rumie, aby sprawdzić, czy nie zostało w niej trochę płynu, którym można by zwilżyć wargi konającego. Niestety jednak Grimes napił się do syta, a baryłkę postawił dnem do góry, wobec czego rum do ostatniej kropli wsiąkł w suchy piasek.

Tymczasem Sylwia przyniosła wody ze źródła i po obmyciu głowy Bates począł jakby wracać do życia. Chcąc mu sprawić ulgę pani Vickers wydoiła kozę (nawiasem mówiąc po raz pierwszy w życiu) i podała rannemu kubek mleka. Wypił je chciwie, ale niezwłocznie wymiotował, co dowodziło, że ma poważne obrażenia wewnętrzne.

Na śniadanie nikt nie miał apetytu, ale Frere mniej od kobiet wrażliwy – zjadł kawałek podpłomyka z solonym

mięsem. Nagle pomyślał z egoistycznym zadowoleniem, że wraz ze śmiercią Grimesa zapasy żywności jak gdyby wzrosły, apowiększą się jeszcze bardziej, jeżeli i Bates dokona żywota. Nie dał jednak wyrazu tym myślom i siedział spokojnie z głową rannego na kolanach, spędzając natrętne muchy z jego twarzy. Mimo wszystko miał nadzieję, że biedny pilot nie umrze, bo wtedy on pozostałby jedynym opiekunem kobiety i dziecka. Zapewne podobne rozważania dręczyły panią Vickers, a Sylwia bynajmniej nie ukrywała obaw. Niech pan nie umiera, panie Bates prosiła pochyłona nad rannym, którego lękała się dotknąć. -- Niech pan nie umiera, nie zostawia mamusi i mnie na tym okropnym wybrzeżu. Nie chcemy być zupełnie same.

156

Biedny pilot nie odpowiedział oczywiście, lecz Frere zrobił niezadowoloną minę, a pani Vickers szepnęła tonem wymówki: „Sylwio!” – zupełnie tak, jak gdyby była w swoim dawnym domu na nieosiągalnej obecnie Wyspie Sary. Po południu porucznik odszedł, by zebrać nieco drewna na opał, a gdy powrócił, zorientował się, że ranny jest bliski śmierci, gdyż od godziny leży bez ruchu i prawie nie oddycha. Pani Vickers asystowała przy niejednym zgonie, była więc spokojna, ale Sylwia drżała ze strachu, siedząc opodal na płaskim głazie. Wyobrażała sobie mgliście, że śmierć musi być nagła i gwałtowna, oczekiwała więc trwożnie tego, co miało nastąpić. Po zachodzie słońca ranny ocknął się z otępienia, lecz niewątpliwie był to ostatni błysk dogasającej świecy.

Umiera -- szepnął Frere, jakby lękał się obudzić drzemiącą świadomość konającego.

Zapłakana pani Vickers uniosła głowę zacnego pilota i wilgotną chusteczką otarła spieczoną wargi. Bates wzdrygnął się i odemknął powieki. Czy miał mętne, kiedy jednak zobaczył pochylone nad sobą twarze, spojrział przytomnie i niewątpliwie przypomniał sobie wszystko. Wzrok jego spoczął na bladej, przerażonej Sylwii, aby następnie powędrować ku porucznikowi. Trudno było nie pojąć tej niemej, choć wymownej prośby.

Tak! – powiedział z mocą Frere. Zaopiekuję się nią troskliwie.

Bates uśmiechnął się i w tym momencie spostrzegł, że splamił purpurą biały szal pani Vickers, zrobił więc taki ruch, jakby chciał się odsunąć. Sądził widocznie, że nie uchodzi, by krew prostego człowieka brukała ubiór wytwornej damy.

Majorowa zrozumiała ów gest i wiedzioną niezawodnym instynktem przytuliła do piersi biedną głowę. Płochą flirtiar-ka była w obliczu śmierci tylko po kobiecemu dobra i współczująca. Na chwilę zapadł kamienny spokój. Zdawać się mogło, że ranny skonał. Nagle jednak otworzył oczy i zwrócił spojrzenie w kierunku morza.

Chcę na nie spojrzeć... ostatni raz... Odwróćcie mnie... wyszeptał, a gdy go Frere podźwignął, jał nasłuchiwać pilnie. –? Jest spokojne, chwala Bogu... – podjął ale dalej... Słyszę fale na płyciźnie... Szumi!

157

Z tym słowy opuścił głowę na piersi i wyzionął ducha. Frere złożył trupa na murawie, a wystraszona Sylwia przygarnęła się do matki.

– Mamo! Mamo! – wybuchnęła płaczem. Dlaczego Bóg go zabrał, chociaż był nam tak bardzo potrzebny? Przed zmrokiem Frere zadźwigał umarłego pod odległe skały, okrył mu twarz kaftanem i przysypał kamieniami. Nie miał dotąd okazji, by zastanawiać się nad błyskawicznym biegiem wydarzeń, i nie zdawał sobie właściwie sprawy, że

z pięciu ludzkich istot pozostawionych na pustkowiu dwie zdażyły się już wyzwolić. Uprzytomnił to sobie i bezwiednie zadał nieme pytanie: na kogo teraz kolej?

Pani Vickers była zmęczona i wyczerpana nerwowo po ciężkim dniu, wcześniej więc schroniła się do szałas, a Sylwia pospieszyła za matką mówiąc, że nie chce zostać z Frere'em. Demonstracyjna niechęć dziecka bolała młodego oficera bardziej, niż rad by przyznać nawet wobec siebie. Był zły, że dziewczynka go nie lubi, ale nie podejmował żadnych starań, by zyskać jej sympatię. Myślał tylko ze złośliwą radością, że teraz będzie go musiała uważać za władcę i jedyne go opiekuna. Gdyby panna Vickers była o kilka lat starsza, porucznik podejrzewałby serio, że się w niej zakochał. Następnego dnia minął posępnie. Było gorąco i parno, a nad górami wisiały ciężkie mgły. Do południa Frere grzebał w piasku grób dla biednego Batesa, a że był człowiekiem praktycznym, ściągnął z trupa niektóre części garderoby, aby je wykorzystać na własny użytek. Atoli zdobycz ukrył pod kamieniami, bo wolał nie przyznawać się pani Vickers do tak nieładnego postępu. Później ułożył ciało w dole, zasypał je i zbudował najwyższą, jaką mógł, mogiłę z odłamków skalnych. Po obiedzie wybrał się na upatrzony dnia poprzedniego cypel skalny zwisający nad falami i zarzucił linkę rybacką, niestety jednak nic nie złowił. W drodze powrotnej minął świeży grób i spostrzegł, że majorowa ustawiła na nim krzyż z dwu związanych szpagatem patyków.

Po kolacji – składającej się jak zawsze z podplomyka i solonego mięsa – Frere zapalił skąpo nabita fajkę i spróbował nawiązać rozmowę z Sylwią.

– Cemu to panna Vickers nie chce żyć ze mną w zgodzie? zapytał.

Bo pana nie lubię odpowiedziała. I boję się.

Dlaczego?

Dlatego, że pan nie jest dobry. Nie robi pan nic złego, ale jest pan... Ach! Jakbym chciała, żeby tu był z nami papa!

Chceniem go nie sprowadzisz -- odrzekł porucznik ubijając palcem tytoń w fajce.

O, właśnie! Pan jest taki! „Chceniem go nie sprowadzisz!” Czy to było uprzejme? „Chceniem go nie sprowadzisz!”. A szkoda!

Nie miałem zamiaru być nieuprzejmy – bąknął Frere. – Doprawdy, dziwne z ciebie dziecko.

Są osoby – podjęła dziewczynka – które nie czują do siebie sympatii i nie ma na to rady. Coś podobnego wyczytałam w jakiejś książce, którą mi dał papa. Widocznie ja nie czuję do pana sympatii i nie ma na to rady.

Brednie! – obruszył się Frere. Chodź do mnie.

Opowiem ci coś ciekawego.

Pani Vickers poszła już spać. Porucznik i Sylwia byli sami przy ognisku. Opodal stał kociołek i leżał świeżo upieczony podplomyk. Mała z wahaniem zbliżyła się do Maurycego, on zaś chwycił ją i posadził sobie na kolanach. Strzelił mu do głowy złośliwy pomysł, by przestraszyć bezbronne dziecko. Przecież dokoła zalegały posępne mroki, księżyc jeszcze nie wzeszedł, a płomienie ogniska budziły do życia fantastyczne, widmowo drgające cienie.

Niegdyś, bardzo dawno – zaczął Frere stał zamek w odwiecznym lesie, a w zamku mieszkał olbrzym ludojad, co miał ogromne, wylupiające ślepie...

Niemądry pan jest! – zawołała Sylwia wyrывая się porucznikowi. – Próbuje mnie pan przestraszyć.

Ten olbrzym ludojad lubił chrupać kosteczki małych dziewczynek. Pewnego dnia jedna mała dziewczynka węd-

rowała przez las i nagle usłyszała, że olbrzym zbliża się i szczerka groźnie: hau! hau! hau! – Proszę mnie puścić, panie Frere!

Dziewczynka przestraszyła się okropnie i rzuciła się do ucieczki. Ucieka, ucieka, ucieka, aż tu widzi...

Boże! Co to?! – krzyknęła rozzwierając Sylwia i przytuliła się do prześladowcy.

158

159

Po drugiej stronie ogniska stał jakiś człowiek. Zachwiał się, pochylił do przodu, padł na kolana, a potem wyciągnął ręce i ochryple szepnął jedno słowo: Jeść!

Był to Rufus Dawes.

Dźwięk głosu ludzkiego rozproszył grozę. Sylwia spojrzała na podarty brudny kaftan i w jednej chwili zrozumiała wszystko. Zrozumiał też Maurycy Frere. Oto ujrzał przed sobą nowe niebezpieczeństwo, nową gębę do żywienia!

Porwał płonąca głównię i pogroził zbiegłemu więźniowi. Ale Rufus rozejrzał się dokoła wilczymi oczyma i sięgnął po leżący kawałek podpłomyka. Frere machnął głównią przed twarzą więźnia.

Precz! – krzyknął. Żywność mamy tylko dla siebie!

Dawes warknął groźnie i z ćwiekiem w ręku rzucił się na porucznika. Atoli Sylwia minęła szybko tego ostatniego, chwyciła podpłomyk i wsunęła go w rękę konającego zgłodu nieszczęśnika mówiąc:

– Masz, biedny więźniu. Jedz.

Potem zmierzyła Frere'a wzrokiem tak pełnym obawy, pogardy i zdziwienia, że młody oficer pochylił czoło i odrzucił głównię.

A jak zachował się Rufus Dawes?

Oszłomiło go widocznie nagłe pojawienie się złoto-włosego dziecka, bo upuścił podpłomyk i półprzytomnie spojrzawszy śladem oddalającej się i niknącej w mroku Sylwii. Potem ukrył twarz w poczerniałych, zrogowaciałych dłoniach i wybuchnął rozzwierającym płaczem.

Xli „Pan”

Dawes

Czego chcesz? rzucił szorstko Maurycy Frere.

Głodomór ocknął się, podniósł głowę i poznał stojącego przed nim oficera.

Aa... to pan – wymówił z wolna. Jak to? Znasz mnie?

Zdziwiony Frere cofnął się o krok. Ale więzień nie odpowiedział. Pierwsze wrażenie minęło i wróciły męki głodowe. Podniósł z murawy podpłomyk i w milczeniu jał go łakomie pożerać.

Czego chcesz? powtórzył wreszcie porucznik.

Nie słyszałeś, człowieku?

Uciekłem z więzienia. Może mnie pan tam rano odesłać. Robiłem, co mogłem, ale przegrałem.

Maurycy zdziwił się znowu. Więc ten człowiek nic nie wie o likwidacji kolonii!

Nie mogę odesłać cię do więzienia powiedział. W całej kolonii zostałem sam z kobietą i dzieckiem. Rufus Dawes przestał żuć i spojrzawszy pytająco na oficera. Więźniowie odpłynęli szkunerem ciągnął ten ostatni. Jeżeli o mnie chodzi, cieszę się wolnością. Jestem równie bezradny jak ty.

Ale skąd pan wziął się tutaj?

Frere roześmiał się gorzko. Nie miał zwyczaju udzielać wyjaśnień więźniom. Ale cóż? Teraz było mu już wszystko jedno.

Więźniowie zbuntowali się, opanowali bryg – od-
rzekł.

Jaki bryg?

„Rybołów”.

Rufus Dawes doznał straszliwego olśnienia. Zaczynał
pojmować, że po raz drugi zmarnował szansę ucieczki.

Kto opanował bryg?

Ten fałszywy lis, John Rex! – wybuchnął oficer.

Żeby z piekła nie wyjrzał, żeby...

Oni odpłynęli przerwał więzień i gestem bezsilnej
wściekłości i rozpaczycy chwycił się za włosy.

Tak. Odpłynęli dwa dni temu. A nas zostawili tu na
śmierć głodową.

Rufus roześmiał się tak, że dreszcz wstrząsnął porucz-
nikiem.

W takim razie powiedział razem zdechniemy
z głodu, bo będziemy się dzielić, póki zostanie panu choć

160

Dożywotnie

zesłanie

161

okrucz suchara. Nic odzyskam wolności, trudno! Ale ze-
mszczę się przynajmniej!

Widok zgłodniałego dzikusa, który siedział z brodą
wspartą na kolanach sterczących z łachmanów i w blasku
ognia kołysał się w przód i do tyłu, silnie podziałał na oficera.
Poczuł się jak ów afrykański myśliwiec, co wróciwszy na
biwak zastał tam lwa.

– Łajdaku! – zawołał. Czemu chcesz się mścić na
mnie?

??– Uważaj, co gadasz! warknął jeniec. Dosyć mam
wyzwisk! Łajdak! Możliwe. Ale kto zrobił mnie łajdakiem?
Jeżeli nienawidzę ciebie, siebie i całego świata, kto nauczył
mnie nienawiści? Urodziłem się wolny, równie wolny jak ty.
Po co było zsyłać mnie między zbrodniarzy, skazywać na
niewolę gorszą od śmierci? Po co? Odpowiedz na to pytanie,
panie Maurycy Frere!

?- Ja nie dyktuję praw bąknął oficer. Dlaczego
mnie się czepiasz?

--•? Bo jesteś tym, czym ja byłem. Jesteś wolny! Możesz
robić, co zechcesz. Możesz kochać, pracować, myśleć. Mnie
wolno tylko nienawidzić. – Umilkł, jakby zdziwiony własną
mową, po chwili roześmiał się głucho i podjął: Piękne
słowa w ustach więźnia, co? Ale nie gniewaj się, panie Frere.
Nie warto! Teraz jesteśmy sobie równi. Nie umrę o godzinę
wcześniej niż ty, chociaż jesteś człowiekiem wolnym.
Maurycy zaczął podejrzewać, że ma do czynienia z dru-
gim szaleńcem.

Ani ty, anijaniemusimy umrzeć powiedział tonem
najbardziej pojednawczym, na jaki stać go było. W każ-
dym razie na śmierć mamy jeszcze dużo czasu.

Słowa godne człowieka wolnego. My, więźniowie,
mamy przewagę nad wami, panowie dżentelmeni! Wy boicie
się śmierci. My modlimy się o nią. To coś najlepszego, co
może nas spotkać. Raz mieli mnie powiesić, ale nie powiesili.
Szkoda! Mój Boże, jaka szkoda!

Ostatnie słowa wyrażały głębię rozpaczycy zrozumiała
nawet dla Maurycego Frere'a.

—• Uspokój się, człowieku powiedział. Idź spać.
Jesteś zupełnie wyczerpany. Odpocznij. Porozmawiamy
jutro z rana.

162

Zaraz! Nie tak prędko zawołał Rufus Dawes
grubiańskim tonem, tak różnym od dotychczasowego.

Kto jest tu z tobą?

Żona i córka komendanta odpowiedział porucznik przestraszony natarczywością pytania.

Nie ma nikogo więcej?

Nie ma.

Biedaczki! Żal mi ich.

Z tymi słowy wyciągnął się jak pies przy ognisku i momentalnie usnął.

Przyglądając się wynędzniałemu włóczędze, który powiększył szczupłe grono wygnańców, Maurycy Frere nie wiedział zupełnie, jak postąpić. Nigdy dotychczas nie zetknął się z osobnikiem, co płakał i groził na przemian, raz kłął i warczał w więziennym grubiańskim tonie, raz przemawiał rozumnie i niemal elokwentnie. Co sądzić o tym szalonym, zrozpaczonym, gotowym na wszystko nieszczęśniku w łachmanach? Pomyślał zrazu, by rzucić się na śpiącego i szybko się z nim rozprawić. Spojrzał jednak na muskularne, choć wychudłe ramiona i barki i nie uległ pierwszemu podszeptowi strachu. Ale tchórzostwo suflerowało dalej. Zapasy żywności są naprawdę skąpe, a lepiej chyba ratować kobietę i dziecko, niż chronić życie nieznanego straceńca. Pod wpływem takich rozważań porucznik zaczął rozglądać się za nożem – narzędziem popełnionego już na tym wybrzeżu morderstwa. Należy jednak przyznać mu sprawiedliwość, że okropną pokusę zdławił w zapałku.

Poczekajmy do rana – rzekł do siebie. – Zobaczmy, jak się sprawy ułożą.

Potem zbliżył się do zagrody z gałęzi, za którą matka i córka tuliły się do siebie, i szepnął, że on czuwa, a niepożądany przybysz śpi na razie. Atoli z rana okazało się, że nie było powodu do obaw. Głodomór leżał w pozycji prawie nie zmienionej i oczy miał zamknięte. Poprzedniego wieczora wybuchnął – wstrząśnięty zapewne niespodziewanym ratunkiem – obecnie jednak, jak oczekiwać należało, nie był groźny ani skory do napaści. Frere podszedł doń i potrząsnął go za ramię.

Biedak drgnął i zasłonił się pięścią gotową do ciosu.

Precz! – krzyknął. – Nie rusz!

163

Spokojnie, spokojnie powiedział Frere. Nikt nie zrobi ci krzywdy. Wstawaj.

Rufus Dawes potoczył wokół półprzytomnym wzrokiem, a następnie przypomniał sobie widocznie, co zaszło, gdyż z niemałym wysiłkiem dźwignął się na nogi.

Myślałem, że mnie dostali mruknął. No, ale stało się inaczej. Śniadanie, panie Frere! Głodny jestem.

Musisz trochę poczekać odrzekł Frere. Nie wyobrażaj sobie, że jesteś pierwszą osobą.

Rufus Dawes przetarł oczy strzępami rękawa.

Nic sobie nie wyobrażam. Wiem tylko, że jeść mi się chce.

Porucznik wyprostował się dumnie. Teraz lub nigdy należało uregulować przyszłe stosunki. W nocy, leżąc bezsennie z nożem marynarskim w pogotowiu, obmyślał właściwą metodę postępowania. Przybysz otrzyma tyle ile inni, lecz ani trochę więcej. Jeżeli się zbuntuje, musi nastąpić próba sił.

Słuchaj, człowieku! powiedział. Mamy mało

żywności. Ledwie zdołamy wytrwać, nim pomoc nadejdzie.

Jestem odpowiedzialny za los kobiety i dziecka, a więc przez wzgląd na nie muszę dbać o grę uczciwą. Podzielimy się z tobą wszystkim do ostatniego kęsa i ostatniej kropli, ale, jak Bóg na niebie, nie dostaniesz więcej niż inni!

Więzień wyciągnął przed siebie chude ręce i spojrzął na

nie, jakby był pijany.

Słaby teraz jestem mruknął. Nie dam rady.

Potem osunął się na ziemię i jęknął słabo.

Pić mi się chce... Wody...

Frere podał kubek nędzarczowi, ów zaś wypił łakomie i z uśmiechem ułożył się znów przy ognisku. Spał jeszcze, gdy pani Vickers z córką wyszły z szałasów i łatwo poznały najbardziej opornego spośród zesłańców z Macquarie Harbour.

Nigdy nie mieliśmy większego opryszka powie-
działa majorowa, jak gdyby utożsamiając się z mężem.

— Boże! Co my teraz poczniemy?

Wiele nam zrobić nie może odparł Frere spog-
lądając z góry na natarczywego zbrodniarza. Wydaje mi
się bliski śmierci.

Nie pozwolimy, by umarł odezwała się Sylwia
mierząc młodego oficera jasnym dziecięcym spojrzeniem. —
?To byłoby morderstwo!

Nie, nie! — podchwycił skwapliwie Frere. — Nikt mu
śmierci nie życzy. Ale pomoc też niewiele potrafimy.

Ja go będę pielęgnować — oznajmiła dziewczynka.

Frere roześmiał się wesoło, chyba pierwszy raz od dnia
buntu.

Ty go będziesz pielęgnować! Jak Boga kocham,
doskonały pomysł!

Biedne dziecko — słabe i wrażliwe — żywo odczuło ton
lekceważenia i wybuchnęło płaczem.

Niedobry pan, podły! Dlaczego mnie pan dręczy? Ten
biedak jest chory i... i... umrze jak pan Bates. Ach, mam!

Mamo! Chodźmy stąd! Lepiej zostańmy same!

Porucznik zaklął i odszedł spiesźnie, aby usiąść w zaroś-
lach pod skałą. Pełen był dziwnych myśli, jakie nie nawiedziły
go nigdy i jakim nie potrafili dać wyrazu. Niechęć Sylwii
raniła go boleśnie, a mimo to dokuczał jej z prawdziwą
satysfakcją. Zdawał sobie sprawę, że straszając ją minionego
wieczoru postąpił nikkczemie, że sam ugruntował jej niena-
wiść. Zarazem jednak wiedział, że bez wahania narazi życie
w obronie małej nieprzyjaciółki, gdyby zagroził jej czymś
półdziki przybłęda z lasu, chociaż bezsensowną złość budziło
w nim okazywane nędzarczowi współczucie. Dlaczego Sylwia
potępia tak stanowczo jego — Maurycego Frere'a? To
oczywista niesprawiedliwość! Chociaż znowu zachował się
niedorzecznie. Przede wszystkim zaklął w obecności kobiet,
a co gorsza, zostawił je nagle bez opieki. Rozumiał, że
postępuje źle, ale to tylko wzmagало jego wrodzony upór.
Nie chciał się cofać, nie chciał niczego odwołać, nawet wobec
samego siebie. Wstał i ruszył przez zarośla. Po chwili natknął
się na grób ozdobiony krzyżem z patyków. Oto jeszcze jeden
dowód niesprawiedliwości Sylwii. Zawsze wolała Batesa niż
Frere'a. A teraz, kiedy Bates nie żyje, musiała przenieść
swoje dziecięce uczucia na jakiegoś złoczyńcę, zbiegłego
więźnia.

Ach, mała jędzo! — syknął do siebie, wspominając
liczne, choć niewybredne podboje miłosne. — Gdybyś już
była kobietą! Nauczyłbym cię, jak mnie kochać!

164

165

Roześmiał się z własnego szaleństwa i dodał w myśli:

Ha, staję się romantyczny!

Kiedy wrócił na biwak, Dawes leżał na posłaniu z chrus-
tu, a Sylwia siedziała opodal.

— Lepiej mu — oznajmiła pani Vickers tak spokojnie,
jak gdyby poranna scena nie rozegrała się wcale. Proszę
siadać, panie Frere, i zjeść coś niecoś.

-- Lepiej ci? - rzucił szorstko oficer i zdziwił się uprzejmą odpowiedzią więźnia:

- Tak. Za dzień czy dwa odzyskam siły. Będę mógł panu porucznikowi pomagać.

- Pomagać? Jak?

-- Zbudujemy porządny dom dla pań i spędzimy tu resztę życia. Nie wrócimy do więzienia, nigdy!

- Już dawniej trochę bredził wtrąciła pani Vickers.

- Biedaczek! Wydaje mi się zupełnie sympatyczny. Więzień zaczął śpiewać po niemiecku, podając sobie takt rękami. Porucznik spojrział nań z zainteresowaniem. Gekaw jestem historii tego człowieka powiedział.

- Trzymam zakład, że jest osobliwa.

Sylwia uśmiechnęła się pojednawczo.

- Zapytam go, jak wyzdrowieje. A jeżeli pan będzie dobry, wszystko panu powtórzę.

Frere przyjął bez wahania propozycję przyjaźni.

- Czasami straszny ze mnie grubianin, prawda, Sylwio?

- powiedział. - Ale nie mam nic złego na myśli.

- Czasami straszny z pana grubianin powtórzyła z przekonaniem dziewczynka. Możemy jednak podać sobie ręce i żyć zgodnie. Nie ma sensu się kłócić, skoro jest nas tylko czworo.

W taki oto sposób przestępca Rufus Dawes został formalnie spójnięty do rodzinnego grona. Po tygodniu od dnia, w którym zobaczył dym ogniska, zbiegły więzień odzyskał siły i stał się osobistością o niepoślednim znaczeniu. Znikła nieufność, z jaką nań zrazu spoglądano. Nie był już napiętnowanym, wzgardzonym wyrzutkiem. Nie mówiło się o nim wstydliwym szeptem. Pozbył się nieokrzesanych manier, nie groził już ani biadał, a chociaż chwilami ulegał melancholii, usposobienie miał na ogół równiejsze niż Frere, który często bywał posępny, rozdrażniony, zgryźliwy. Rufus Dawes nie przypominał już sponiewieranego nędzarza, co skoczył w czarne wody zatoki, by umknąć od nienawistnego życia, później zaś bluźnił i płakał na zmianę pośród pustkowi leśnych. Stawał się pożytecznym członkiem społeczności - społeczności złożonej z czterech osób - odzyskiwał więc niezależność i poczucie własnej godności. Z wdzięczał to przede wszystkim wpływowi małej Sylwii. Kiedy odzyskał! zmysły po straszliwej wędrówce, po raz pierwszy od sześciu lat doświadczył błogosławionej potęgi dobroci. Miał teraz w życiu cel nie związany bezpośrednio z własną osobą. Był komuś potrzebny, a gdyby umarł, ktoś opłakiwałby go niezawodnie. Podobna świadomość ma dla nas małe znaczenie, lecz dla człowieka tak nieszczęśliwego stanowi wszystko. Rufus Dawes odkrył ze zdumieniem, iż nie budzi pogardy, a dziwnym trafem znalazł się w sytuacji, w której doświadczenie zesłańca daje mu przewagę. Wiedział przecie, jak utrzymać płomyk życia minimalnymi dawkami żywności. Potrafił zrąbać drzewo bez siekiery, upiec chleb bez pieca, zbudować zaciszny dom bez cegieł i wapna. Z pacjenta wyrósł na doradcę, a z doradcy na wodza, bo okazało się, że w półdzikim życiu, na jakie została skazana czwórka wygnańców, największą cenę mają wiadomości nabyte w więziennej dżungli. Siła była tu prawem, a wynikająca ze stanowiska władza Maurycego Frere'a musiała szybko ustąpić miejsca władzy Rufusa, opartej na umiejętnościach i wiedzy. Z biegiem czasu zmalał szczupły zapas prowiantu, a powaga byłego więźnia rosła. Jeżeli wynikały wątpliwości co do jakiejś nieznannej rośliny, on wydawał ostateczny wyrok. Jeżeli trzeba było nałowić ryb, on je łowił. Jeżeli pani Vickers poskarżyła się, że chruściany szalaś nie zabezpiecza od wiatru, on potrafił spleść z prętów ściankę i umocnić ją glina

tak, że drwić mogła z najsrozszej nawałnicy. On robił kubki z sosnowych sęków, talerze z płatów kory. Pracował za trzech tęgich mężczyzn. Nic nie zrażało go, nie zniechęcało. Kiedy majorowa zasłała z trosk i niedożywienia, on urządził jej wygodne posłanie ze świeżych liści, on dobrowolnie rzekł się połowy racji mięsa, aby chora mogła odzyskać siły. Matka i córka zaczęły go nazywać „panem Dawesem”.

Frere patrzył na to wszystko z niezadowolaniem bliskim otwartej nienawiści. Atoli musiał milczeć, bo nie mógł zaprze-

166

167

czyć, iż w porównaniu z Dawesem jest niedołągą. R ozumiał to tak dobrze, że godził się nawet wykonywać polecenia byłego więźnia! Dla Sylwii Rufus stawał się stopniowo drugim Batesem. A ponadto był jej bezsporną zdobyczą, bo ona przecież broniła go w swoim czasie i pielęgnowała. Gdyby nie ona, nikt nie uratowałby życia cudownemu zjawisku. Rufus darzył dziewczynkę wiernym, bliskim pasji uczuciem. Była jego dobrym aniołem, protektorką, promykami z niebios. Dała mu jeść, kiedy umiera! z głodu, zaufała mu, kiedy pozostałych dwoje odniosło się doń podejrzliwie. Dla Sylwii oddałby życie i z miłości do niej wypatrywał statku, który jej miał przywrócić wolność, jemu zaś kajdany.

Ale czas uchodził, a nie pojawiał się zbawczy statek.

Codziennie wygnańcy przebiegali widnokrag głodnym wzrokiem. Codziennie żywili złudną nadzieję, że bukszpryt „Biedronki” minie zębate skały otaczające wejście do portu. Pani Vickers nie wracała do zdrowia. Spiżarnia pustoszała coraz bardziej. Dawes jał mówić o obcięciu do połowy racji własnej i porucznika. Widać było, że wygnańcy zginą z głodu, jeżeli pomoc nie nadciągnie za dni kilka,

Frere snuł rozmaite szalone plany zmierzające do zdobycia żywności. Przepłynie zatokę, spenetruje gruzy kolonii karnej i może znajdzie skrzynkę sucharów zapomnianą wśród spiesnych przygotowań do odjazdu. Będzie zastawiał sidła na mewy i dzikie gołębie. Ale wszystko to było niewykonalne i wygnańcy spoglądali posępnie na malejący z dnia na dzień woreczek mąki. Wreszcie zaczęła ich dręczyć myśl o ucieczce z przekłętą wybrzeża. Może potrafią zbudować tratwę? Niepodobna bez gwoździ lub smarów?...

A łódź? Ta sama trudność. Czy uda się rozpalić ogień tak wielki, by go spostrzeżono z przepływającego statku? To bardzo łatwe, ale po tych odległych wodach nie pływają statki. Można było jedynie czekać na szkuner, który wcześniej lub później musi po nich wrócić. Uprzytomnili to sobie i czekali, każdego dnia słabsi.

Pewnego popołudnia Sylwia siedziała na słońcu i czytała „Historię Anglii” zabraną przez roztargnienie podczas buntu.

Panie Frere – zapytała co to jest alchemik?

– Alchemik? Człowiek, który robi złoto brzmiało niezbyt dokładne określenie.

Zna pan takiego?

Nie.

A pan, panie Dawes?

Znałem niegdyś kogoś, kto uważał się za alchemika.

Jak to? Znał pan człowieka, który robił złoto?

W pewnym sensie.

••?- Ale czy on naprawdę robił złoto? – dopytywała dziewczynka.

Nie tak naprawdę. Raczej ubóstwianie pieniądza uczyniło z niego jakby alchemika.

Co się z nim stało?

Nie wiem –• odrzekł Dawes tak głucho, że dziewczynka instynktownie zmieniła temat.

A więc alchemia to bardzo dawna sztuka?

O tak.

Czy znali ją starożytni Brytowie?

Nie. Nie jest aż tak stara.

Sylwia krzyknęła nagle. Przypomniała sobie wieczór przed buntem, kiedy czytała biednemu panu Batesowi o starożytnych Brytach. Do fragmentu tego wracała później sto razy, nigdy jednak nie uzmysłowiła sobie w pełni jego znaczenia. Obecnie ją spieszenie przerzucać zniszczone kartki i przeczytała głośno:

„Starożytni Brytowie byli barbarzyńcami. Malowali ciało sinidłem, a kiedy siedzieli w lekkiej podjezdce z surowej skóry rozpiętej na drewnianym szkielecie, musieli przedstawiać widok odrażający i pierwotny”.

Podjezdka to czółno – zawołała triumfalnie. – Czy uda nam się zbudować podjezdkę, panie Dawes?

XIII

Myśl podsunięta przez wodorosty

Pytanie Sylwii odrodziło nadzieję wygnańców. Maurycy Frere, popędliwy jak zawsze, orzekł, iż pomysł jest zupełnie wykonalny, i dziwił się, czemu sam nie wpadł na podobny.

168

169

To zadanie najprostsze pod słońcem! zawołał.

Uratowałaś nas, Sylwio!

Wszelako po szczegółowym rozważeniu planów okazało się, że do spełnienia ich jest bardzo daleko. Zbudowanie podjezdki ze skór wydawało się bardzo łatwe, ale skąd zdobyć skóry? Przyrodzone okrycie jednej marnej kozy stanowczo nie wystarczy. Sylwia uradowana nadzieją ratunku i dumna z roli, jaką odegrała, patrzyła bacznie w twarz Rufusa Dawesa, lecz w jego zamyślonych oczach nie mogła dostrzec upragnionego błysku radości.

– Nie uda nam się zbudować podjezdki, panie Dawes?

– zapytała lękliwie.

Więzień posępnie zmarszczył brwi

No, Dawes! – podchwycił Frere zapominając o urazach i niechęci. – Nic nie wymyślisz? Co?

Zesłaniec odczuł miły dreszcz zadowolenia. Oto mała społeczność zwraca się do niego, niby do uznanego przywódcy!

-- Nie wiem odpowiedział. Trzeba się trochę zastanowić, sprawa wydaje się prosta, a przecież...

Urwał, bo w tym momencie zwrócił uwagę na coś w falach zatoki. Przyływ popychał w stronę wybrzeża całe masy pęcherzowatych wodorostów! Zwyczajne to zjawisko winno ująć niepostrzeżenie, ale w danym przypadku podsunęło szczęśliwą myśl Rufusowi.

– Tak – powiedział z wolna i całkiem odmiennym tonem. Uda się nam zbudować podjezdkę. Sądzę nawet, że wiem, w jaki sposób.

Słuchacze milczeli z szacunkiem, pokąd pan Dawes nie odezwał się znowu.

– Ile mil trzeba, by płynąć przez zatokę? zapytał Frere'a.

Dokąd? Na Wyspę Sary?

Nie. Na Cypel Pilot.

Mniej więcej cztery mile.

-- Nie poradzę wpław westchnął więzień. Dawniej stać by mnie na to było, ale takie życie, jak moje, niszczy człowieka. Trudno! Muszę to zrobić mimo wszystko.

– Co musisz zrobić? – zapytał Frere.

– Zabić kozę.

Sylwia krzyknęła, bo polubiła swoją niemą przyjaciółkę.

Zabić Nanny! Ach, panie Dawes! Dlaczego?

Chcę zbudować czółno odpowiedział. --Potrzebne mi są skóry, struny, łój.

Przed niewidoma tygodniami Maurycy Frere przyjąłby takie zdanie śmiechem. Zaczynał jednak rozumieć, że nie wypada śmiać się z tego zbiegłego zesłańca i mimo nienawiści należy uznać jego przewagę.

Człowieku! Z jednej kozy możesz ściągnąć tylko jedną skórę – rzucił pytającym tonem, jak gdyby podejrzewał, że wszechstronnie uzdolniony Dawes może ściągnąć również drugą skórę jakimś cudownym, sobie jedynie znanym sposobem.

Dlatego właśnie muszę upolować więcej kóz.

Gdzie?

Na Cyplu Pilota.

A jak się tam dostaniesz?

Przez zatokę. Szkoda czasu na pytania. Bierzemy się do roboty. Niech pan pójdzie i zetnie trochę młodych drzewek.

Oficer spojrział ze zdziwieniem na więźnia, ale ustąpił wobec wyższej wiedzy i bez szemrania pospieszył wykonać rozkaz. Przed wieczorem zwłoki biednej Nanny, poćwiartowane w sposób zupełnie rzeźnicki, wisiały na pobliskim drzewie, a Frere wróciwszy z tyloma młodymi pędami, ile zdołał przydźwigać, zastał Davesa przy osobliwym zajęciu. W ciągu dnia zesłaniec zabił kozę i głowę uciał przy styku z szyją, a nogi w stawach kolanowych. Następnie wyciągnął tuszę ze skóry otworem przeciętym w dolnej części brzucha i otwór ten zaszył szpagatem. W ten sposób zyskał niezdarny worek, który w chwili nadejścia porucznika wypychał zeschłą trawą i zielskiem. Frere zauważył również, że tłuszcz kozy został troskliwie zebrany, kiszki zaś mokną w niewielkim zagłębieniu skalnym opodal źródła.

Jednakże Rufus odmawiał wszelkich informacji co do swoich zamierzeń.

Mam pewien pomysł mówił. Proszę mi dać spokój, bo wszystko może jeszcze spalić na panewce. Frere nagabywany przez Sylwię udawał, że dokładnie wie, na czym plan polega, został jednak zobowiązany do

170

171

milczenia. W istocie jednak kipiał gniewem na myśl, że nędzny zesłaniec włada tajemnicą dla niego nieprzeniknioną. Nazajutrz młody oficer otrzymał polecenie, by naciąć trzciny rosnącej w odległości mniej więcej mili od obozowiska i jak największą wiązkę przynieść na grzbiecie. Stracił na to prawie pół dnia, bo szczupłe racje żywnościowe zaczynały źle wpływać na jego siłę fizyczną. Natomiast więzień, zahartowany w przeróżnych trudach i prywacjach, nabierał werwy i czuł się coraz lepiej.

Na co ta trzcina? zapytał porucznik rzuciwszy sporą wiązkę na ziemię.

Żeby zrobić pływak wyjaśnił wódz łaskawie.

Pływak? Dlaczego? Dawes

wzruszył ramionami.

Nudny pan, panie Frere. Wybieram się na Cypel Pilota po kozy. Sam przepłynę zatokę na wypchanej skórze, ale kozy muszę przyholować na tej właśnie wiązce trzciny.

Ale jak, u diaska, upolujesz kozy? zapytał Frere ocierając zroszone potem czoło.

Zesłaniec skinął nań, by się zbliżył, i porucznik zorientował się wnet, że Rufus czyści kozie wnętrzości. Po

usunięciu z zewnętrznej strony tłuszczu i innych substancji odwracał jelito wewnętrzną ścianką do wierzchu, a robił to w pomysłowy sposób. Najprzód wywijał jak gdyby niewielki mankiet i zanurzał jelito w zbiorniku koło źródła. Pod ciężarem wody mankiet robił się szerszy, a wielokrotne powtórzenie tej czynności przekreślało całe jelito środkową błoną na zewnątrz. Po zeszkobaniu tej błony zostawała cienka, przezroczysta rura, którą Rufus skręcał mocno i wieszał na słońcu, aby wyschła.

Ma pan strunę – wyjaśnił. Będzie z niej doskonały stryczek. Nauczyłem się tej roboty w kolonii karnej. A teraz proszę dalej.

Frere poszedł za przewodnikiem i zobaczył ogień płonący między dwoma odłamkami skalnymi, w pobliżu zaś kociołek zakopany do połowy w ziemi. Zbliżył się i dostrzegł, że kociołek pełen jest gładkich kamyków.

– Niech pan wysypie te kamyki zakomenderował więzień.

Porucznik posłuchał. Na dnie kociołka biała drobny proszek, który osadził się również na ściankach.

Co to? zapytał Frere.

Sól.

Skąd wzięłeś sól?

Nalałem do kociołka wody morskiej, a potem wrzuciłem tam rozgrzaną w ogniu kamyki. Mógłbym chwycić parę na płachtę i wyźmyć słodką wodę, gdyby nam była potrzebna. Ale, chwała Bogu, wody do picia mamy pod dostatkiem.

Czy i tego nauczyłeś się w kolonii karnej? zapytał zdumiony oficer.

Dawes roześmiał się gorzko.

Myśli pan, że całe życie spędziłem w kolonii karnej? To prosta sprawa: odparowanie roztworu. Oficer nie mógł stłumić wyrazów uznania.

Wspaniały z ciebie człowiek, Dawes! Kim właściwie jesteś... to jest... chciałem powiedzieć: kim byłeś? Więzień spojrzał na oficera triumfującym, promiennym wzrokiem. Przez chwilę zdawać się mogło, że wyzna coś rewelacyjnego. Ale pohamował się w porę i ze zniechęceniem machnął ręką, a blask przygasł w jego oczach.

Jestem zesłańcem. A kim byłem... mniejsza o to.

Marynarzem, budowniczym okrętów, synem marnotrawnym, włóczęgą... Jakże to ma znaczenie? Przecież i tak nic nie zdoła zmienić mojego losu.

Jeżeli uratujemy się szczęśliwie – zawołał Frere poproszę o ułaskawienie dla ciebie. Stokrotnie na nie zasłużyłeś!

Zobaczmy! – roześmiał się głucho Rufus. -- Najprzód uratujmy się szczęśliwie.

Nie wierzysz mi?

Nie chcę nic panu zawdzięczać odpowiedział tonem dawnej wrogości. – No, do roboty! Proszę tu przenieść trzcinę i mocno związać linką rybacką. W tym momencie nadeszła Sylwia.

Dzień dobry, panie Dawes. Strasznie pan zapracowany, prawda? O! Co tam jest w kociołku?

Sól, panienko. Potrzebna mi do polowania na kozy.

172

173

?-- Do polowania na kozy? roześmiała się dziewczynka. Co? Naprawdę będzie pan sypał sól kozom na ogony?

- Nie. Kozy bardzo lubią sól, więc użyję jej na przynętę,

kiedy będę zastawiał pułapki na Cyplu Pilota. Kozy przyjda, żeby lizać sól, a tam będzie pętla zrobiona ze struny.

Rozumie panna Sylwia?

Rozumiem. Ale jak dostanie się pan na Cypel Pilota?

To okaże się jutro.

XIV Dzień owocnej

pracy

Następnego dnia Rufus Oawes zerwał się o brzasku.

Najprzód owinał strunę wokół cienkiego patyka, a lekki trzciniowy pływak spuścił na wodę i umocował przy niewielkim występie skalnym przypominającym po trosze molo portowe. Potem wziął większy patyk i linę rybacką i zabrał się do kreślenia czegoś na piasku. Ukończony rysunek przypominał konturami czółno osiem stóp długie i trzy szerokie. Witki wierzbowe zaznaczały po każdej stronie cztery otwory rozmieszczone w równych odstępach.

Z kolei zesłaniec obudził oficera i pokazał mu swoje dzieło.

Niech pan postara się o osiem mocnych pali z wierchołków jodeł -powiedział. Jeżeli trzeba będzie ostrugać gałęzie, może je pan opalić. Taki pal trzeba wbić w ziemię na miejscu każdej z tych wierzbowych witek. Potem niech pan naznosi łożyny tyle, ile się tylko uda. Ja nie wrócę przed wieczorem. A teraz proszę mi pomóc przy pływaku.

Na występie skalnym Rufus rozebrał się, odzież zwinął i umieścił na wypchanej kozie skórze, sam zaś legł na prowizorycznym pływaku i wiosłując rękami odbił od brzegu. Uniesionemu wysoko ubraniu nie groziło zamoczenie, ale trzcina zanurzyła się pod ciężarem ciała ludzkiego i wkrótce nad nawierzchnią sterczała tylko ciemna głowa. W takiej pozycji osobliwy żeglarz trafił na nurt odpływu i uniesiony został w kierunku wyjścia z portu.

Frere wrócił, by przygotować śniadanie - nad wyraz skąpe, gdyż racje zostały już zmniejszone o połowę, a Dawes pozwolił napocząć kozie mięso tylko w przypadku, gdyby jego wyprawy nie uwieńczyło powodzenie. Po drodze młody oficer zastanawiał się, jaki los postawił na jego drodze dziwnego zesłańca.

„Duchowny widziałby w tym szczególne zrządzenie Opatrzności medytował. - Bo gdyby nie Dawes, nie wytrzymałyśmy tak długo. A jeżeli powiedzie mu się z łodzią, wszystko może się dobrze skończyć. Piekielny spryciarz! Ciekawe, kim jest naprawdę?”

Frere był przed długi czas dozorcą więziennym, toteż bezwiednie pomyślał, ile kłopotów w kolonii karnej potrafiłby narobić jeden taki człowiek. Jak utrzymać go w karchach, skoro na wszystko ma sposób?

Ha! Niejedno opowiem o jego pomysłowości - monologował dalej. - Będą go musieli pilnować jak oka w głowie, jeżeli wróci kiedy na właściwe miejsce.

W tej chwili porucznik przypomniał sobie rozmowę z dnia poprzedniego.

Obiecałem - ciągnął że poproszę o ułaskawienie dla tego łotra. Ale on nie chce. Jest zbyt ambitny, żeby przyjąć dobrodziejstwo z mojej ręki. Dobrze sobie! Dać trochę wolności łajdakowi, a do cna przewróci mu się w łbie! Poczekajmy. Może wrócimy do świata. Wtedy pokażę mu stosowne miejsce, bo w gruncie rzeczy nie mam żadnego długu wdzięczności. Przecież jemu chodzi o własną wolność tak samo, jak o moją... to jest... chciałem powiedzieć: naszą. Nagle zaświtała w głowie porucznika myśl zupełnie godna jego charakteru:

„A gdyby tak porwać łódź i zostawić tu Dawesa?”

Wydało mu się to tak pociesznie złośliwe, że wybuchnął

głośnym śmiechem.

Co się stało, panie Frere?

Aa... To ty, Sylwio... Cha, cha, cha!... Przypomniało mi się... ee... coś zabawnego...

Naprawdę? Miło mi, że jest pan w dobrym humorze.

A gdzie pan Dawes?

174

175

Oficerowi nie przypadł do smaku ton zainteresowania, jakim zadane było ostatnie pytanie.

– Wciąż tylko myślisz o tym człowieku. Od rana do wieczora słyszysz: Dawes, Dawes, Dawes! Nie ma go.

– Szkoda, bo mamusia chciała go zobaczyć.

– Po co? – obruszył się porucznik.

?– Mamusia jest chora, panie Frere,

Dawes to nie lekarz. Co dolega pani Vickers?

-- Czuje się gorzej niż wczoraj. Nie wiem, co jej dolega.

Frere zaniepokoił się trochę i ruszył w stronę szałasu połączonego z zagłębieniem skalnym.

„Małżonka komendanta” zajmowała dosyć dziwaczne pomieszczenie. Pieczara była wysoka, lecz bardzo wąska, trójkątna w kształcie, a dwie strony miała otwarte na ataki wiatru. Niedogodność tę usunął pomysłowy Dawes, bo zbudował ścianki z chrustu wzmocnionego gliną, a u jednej z nich zawiesił drzwi plecione z wierzbowych witek.

Frere pchnął te drzwi i wszedł do środka. Biedna kobieta leżała na posłaniu ze świeżych gałązek i sitowia i pojękiwała słabo. Na początku boleśnie odczuwała niedostatek i trudy, a troska o los własny i córki źle wpływała na stan nadwątłego zdrowia. Ogólne wyczerpanie pogłębiało się z dnia na dzień, a reszty dokonało lenistwo praktykowane od chwili pojawienia się Dawesa. Ostatnio pani Vickers była tak osłabiona, że nie mogła dźwignąć się z legowiska.

– Odwagi, droga pani! odezwał się porucznik z nie szczera pogoda. – Za dzień, dwa wszystko się dobrze skończy.

Ach, to pan? Posłałam Sylwię po Dawesa.

Nie ma go. Zaczynam robić czółno. Sylwia nic pani nie mówiła?

Owszem, mówiła, że to on robi czółno.

Nie... ee... tak. Robimy czółno razem. Dawes wróci wieczorem. Można pani czymś służyć?

– Nie. Dziękuję. Chciałam zapytać pana Dawesa, jak idzie robota. Muszę stąd szybko odjechać albo nie odjadę wcale. Serdecznie dziękuję za troskliwość, panie Frere... Zabawne! – roześmiała się głucho. Przyjmować gości w takim okropnym lochu!

Proszę się tym nie martwić powiedział porucznik.

Za kilka dni będzie pani w Hobarcie. Na pewno wyłowi nas jakiś statek. Ale trzeba być dobrej myśli. Może pani pozwoli herbaty albo... ee... czegoś?

Nie, dziękuję, panie Frere. Nie mam apetytu.

Jestem zanadto zmęczona.

Sylwia zaczęła płakać.

Nie martw się, moje dziecko. Niedługo będzie mi lepiej. Ach, jaka szkoda, że nie ma pana Dawesa.

Maurycy Frere wyszedł z szałasu oburzony. Na to wygląda, że on jest nikim, a ten „pan Dawes” kimś! Ha! To się jeszcze okaże!

Przez cały dzień pracował ciężko, aby wykonać polecenia zesłańca, zarazem jednak obmyślał tysiączone plany zmierzające do odwrócenia sytuacji. Może oskarżyć Dawesa o napaść. Może zażądać, by został potraktowany jak zbiegły

więzień ujęty na gorącym uczynku ucieczki. Wówczas sąd zająłby się sprawą i orzekł wyrok śmierci stosowany zazwyczaj w takich przypadkach. Jeżeli jednak wygnańcy powrócą szczęśliwie, nadzwyczajna odwaga i zaradność zbiega przemówią dobitnie na jego korzyść. Pani Vickers i Sylwia będą wychwalać jego dobroć i troskliwość, będą błagać o darowanie mu winy. A Dawes zasługuje na ulaskawienie, jak to powiedział mu sam Maurycy Frere! Człowiek zły i nikczemny czuł się poniżony i gorzał nieokreśloną bliżej zazdrością, marzył więc o szczęśliwej okazji, która pozwoli mu przypisać sobie zasługę uratowania wygnańców i biednemu więźniowi, co ośmielił się z nim rywalizować, wydrze ostatnią nadzieję wolności.

Rufus Dawes pozwalał się nieść prądowi wzdłuż wschodniego wybrzeża zatoki, dopóki nie zobaczył po przeciwległej stronie celu swojej wyprawy – Cypla Pilota. Krótco przed godziną siódmą przybił do piaszczystej plaży, wyciągnął tratwę i z węzła odzieży dobył niewielki kawałek podpłomyka. Posilił się oszczędnie, a obeschnąwszy na słońcu schował resztki śniadania i zepchnął znów pływak na wodę.

Cypel Pilota widniał na drugim brzegu zatoki, nieco bliżej wyjścia w morze. Ale lądowanie pośrednie było celowe. Rufus chciał wyruszyć ponownie z korzystniejszego miejsca,

176

Dożywotnie

zesłanie

177

gdyby bowiem próbował żeglować w prostej linii, nurt odpływu porwałby go i poniósł na ocean. Był osłabiony i kilkakrotnieomal nie zsunął się z wiązki trzciny, która porwana prądem wirowała dokoła własnej osi lub zanurzała się zbyt głęboko. Na koniec jednak zmęczony i półprzytomny wylądował o pół mili poniżej obranego celu wyprawy. Prowizoryczną tratwę wyciągnął z wody i zostawił w bezpiecznym od przypływu miejscu, sam zaś ruszył przez wzgórze w kierunku Cypla Pilota.

Przybył tam około południa i zaraz wziął się do zastawiania sideł. Nie wymagało to szczególnej ostrożności, bo kozy, których skórą miał nadzieję pokryć czółno, były liczne i mało płochliwe. Rufus starannie zbadał ich tropy i stwierdził, że spotykają się w jednym punkcie na szlaku wiodącym do pobliskiego źródła. Nie szczędząc trudu zebrał wiele gałęzi i zagroził dostęp do tego wodopoju, pozostawiając tylko jedno wąskie przejście. Sól otrzymaną drogą prymitywnej destylacji rozsypał w owym przejściu i wzdłuż poszczególnych tropów, opodal zaś w położeniu, jak sądził, najdogodniejszym – urządził pomysłowe pułapki. Najprzód wyciął i ogołocił z gałązek oraz liści kilka młodych, giętkich prętów, następnie zaś za pomocą noża wykonał w ziemi szereg dołków głębokich mniej więcej na stopę. Do grubszego końca każdego pręta przywiązał luźno poprzeczny kijek, używając do tego celu kawałków linki rybackiej. Potem pręt wepchnął siłą w dołek, zasypał starannie i udeptał. Zakotwiczone tak paliki stały prosto i mimo wysiłków nie dawały się wyrwać z ziemi. Na cieńszych ich końcach Dawes ponacinał rowki i mocno przywiązał pętle zrobione ze strun przysposobionych dnia poprzedniego, aby następnie wygiąć pręty i z przeciwnej strony zakopać je i umocnić tak samo, jak u podstawy. Była to najtrudniejsza część zadania, gdyż należało tak obliczyć ciśnienie, by pałak tkwił mocno, lecz prostował się przy lekkim nawet pociągnięciu za pętlę ze

struny. Po wielu daremnych próbach Rufus wybrnął z tych kłopotów, zastawił sidła, zamaskował je chrustem, wyrównał gałęzią poruszony piasek i ukrył się w zaroślach, aby oczekiwać rezultatów ciężkiej pracy.

Minęły dwie godziny, nim kozy przyszły do wodopoju. Było ich pięć z dwoma kozłętami. Spokojnie dreptały w stronę źródła. Niebawem Dawes przekonał się, że jego nadmierna ostrożność była stratą czasu. Idący na czele kozioł natrafił na pętlę, która chwyciła go za szyję. Szarpnął się, zawisnął na wyprostowanym gwałtownie pręcie i począł wierzgać becząc komicznie. Rufus wiedział, że powodzenie jego planu jest kwestią życia lub śmierci, lecz patrząc na podrygi schwytanego zwierzęcia nie mógł opanować śmiechu. Inne kozy rozbiegły się spłoszone przygodą przewodnika i trzy wpadły w sąsiednie pułapki. Należało teraz zabezpieczyć zdobycz, chociaż trzy pałaki nie zostały jeszcze wykorzystane. Rufus z nożem w ręku skoczył w stronę starego kozła, nim jednak zdążył, nie dosuszona struna pękła i jeniec umknął wielkimi susami, zabawnie potrząsając łbem. Ale trzy kozy były w porę zabite, a strata sideł nie miała większego znaczenia. Zostały przecież nienaruszone pułapki i do zachodu słońca łup powiększył się o dalsze cztery sztuki. Zesłaniec zebrał starannie struny, które tak dobrze wypełniły zadanie, i zawlókł zwierzynę nad brzeg morza, aby ją upakować na tratwę.

Okazało się jednak, że ładunek jest za duży, a ponadto woda przesiąkła do wnętrza skóry biednej Nanny, zamoczyła tratwę i powiększyła zbytnio wagę pływaka. Dawes pracował dwie godziny, by ponownie wypchać wór wełnistymi wodorostami, co obficie leżały na skraju plaży i doskonale mogły zastąpić tratwę. Następnie wiązki trzciny przywiązał z obu stron świeżo wypchanej skóry i uzyskał rodzaj prymitywnego czółna zdolnego unieść nawet pokaźny ciężar. Rufus nie jadł nic od rana, a pracowity dzień wyczerpał go doszczętnie. Ale podniecony radością i nadzieją nie miał zamiaru odpoczywać i z wysiłkiem wędrując po plaży zabijał zmęczenie nowym trudem. Jeżeli chce osiągnąć przeciwległy brzeg, należy wyruszyć zaraz, w czasie przyprływu, bo przy niskiej wodzie przeprawa z Cypla Pilota graniczy z niepodobieństwem. Gdyby zmarudził do odpływu, musiałby spędzić beczynnym następnym dzień, a nie miał przecież ani godziny do stracenia. Z młodego drzewa wyciął długą żerdź i przywiązawszy ją do wiązki trzciny zaholował swoją tratwę do skały, gdzie od razu zaczynała się głębia.

Noc była jasna. Księżyc w pełni wzeszedł niedawno i z ukosa rzucał na wodę srebrzyste blaski. Szare mgły

178

179

spowijały brzeg przeciwległy i plażę, z której rano zesłaniec ruszył na wyprawę. Ukryty za występem skalnym ogień biwaku świecił szkarłatną łuną. Za wyjściem z zatoki i płycizną słychać było groźny, stłumiony pomruk oceanu, a w zatoce drobne falki rozpoczynającego się przyprływu złowroźnie szemrały po piasku.

Dawes omal nie uległ pokusie, by zaczekać, aż ranek rozjaśni piękne, zdradliwe wody. Ale siły jego odrodziła myśl o biednym, bezbronnyim dziecku, co na przeciwległym brzegu czuwa i wypatruje jego powrotu. Spojrzał na czarowny odbłask nad mroczną masą drzew i śmiało zepchnął tratwę na głębie.

Trzcinowe wiązki dobrze unosiły się na wodzie, lecz siła prądu zepchnęła Rufusa pod powierzchnię. Przez kilka sekund obawiał się, że nie zdoła utrzymać cennego ładunku, lecz żelazne, zahartowane w ciężkiej pracy mięśnie sprostały

ostatniej próbie. Tratwa wydostała się z przybrzeżnych wirów i z nurtem przyływu pomknęła wysrebrzonym szlakiem. Dawes był na pół uduszony. Dyszał ciężko, zmartwiałymi palcami kurczowo czepiał się trzcinowej wiązki, lecz po krótkim odpoczynku zacisnął zęby i wiosłując rękami oraz nogami skierował swój ładunek w stronę zbawczego ogniska. Miotał się jak szalenię, tracił rachubę czasu, lecz w momencie kiedy osłabłe ciało przestawało ulegać nakazom woli, poczuł, że stopą dotknął twardego dna. Otworzył oczy i zobaczył, że znajduje się pod osłoną zębatej skały zakrywającej ognisko. Zdawać się mogło, że złośliwe dotąd fale okazały w ostatniej chwili miłosierdzie i wyrzuciły Rufusa na ląd tuż koło celu jego pragnień. Dopiero wówczas uprzytomnił sobie w pełni, jak groźne przebył niebezpieczeństwo. Zadrżał z obawy, ale obawie tej towarzyszył dreszcz radości i triumfu.

„Po co czekałem tak długo, skoro ratunek jest łatwy?” pomyślał.

Odciągnął kozie tusze w miejsce zabezpieczone przed wysoką falą, okrążył nadbrzeżną skałę i ruszył w stronę ogniska. Przypomniawszy sobie noc, gdy po raz pierwszy zbliżył się do tego blasku, i doznał nowego upojenia. Jakże innym człowiekiem stał się od tamtej chwili! Na plaży spostrzegł wbite w piasek pale, które Frere miał ustawić. Oto oficer pracuje pod jego kierunkiem! On, tylko on zna tajemnicę ratunku! Tylko Rufus Dawes sponiewierany, zahukany więzień potrafi wrócić trzy istoty ludzkie cywilizowanemu światu! Gdyby odmówił im pomocy, na zawsze pozostałyby w kaźni, gdzie on wycierpiał tak wiele. Zmieniły się role. Biedny zesłaniec został w pewnym sensie komentem.

Zbliżył się do ogniska, nim czuwający tam samotny strażnik zdążył posłyszeć jego kroki. Czuł to, co niewątpliwie musiałyby czuć Frere, gdyby odwróciła się sytuacja: gardził mężczyzną, który pozostał w domu.

Porucznik zerwał się i zawołał:

To ty? Jakże się powiodło?

Rufus Dawes skinął głową.

Co? Upolowałeś kozy?

Tak. Cztery leżą pod skałami. Na śniadanie będziecie mieli świeże mięso.

Na dźwięk głosów Sylwia wybiegła z szałasem.

Ach, pan Dawes! Jakże to szczęście! A zaczynałyśmy już być niespokojne... mama i ja...

Rufus chwycił dziecko i z radosnym śmiechem podrzucił je w górę.

Powiedz --? zawołał co zrobicie dla mnie, jeżeli ciebie i mamę doprowadzę szczęśliwie do domu?

Postaramy się o ułaskawienie odpowiedziała dziewczynka? - i papa przyjmie cię na pewno do służby.

Frere roześmiał się szyderczo, a w biednym zesłańcu serce zamarło. Postawił dziecko na ziemi i odszedł bez słowa.

Istotnie! Niczego więcej nie mógł się spodziewać. Pomysłowość, odwaga, niebezpieczeństwa, na jakie się narażał, przyniosą mu najwyżej protekcję osobistości tak znamienitej, jak sam major John Vickers. Oto dokona cudu zręczności i poświęceń, a w nagrodę zostanie służącym osób, które ratuje. Atoli na cóż innego wolno liczyć zesłańcowi?

Sylwia zrozumiała, jak bolesną ranę zadała mimo woli, pobięła więc za Rufusem i zawołała:

Proszę pamiętać, panie Dawes, że ja zawsze będę pana kochać!

Ale uniesienie zesłańca minęło. Niemym gestem odprawił dziewczynkę i utrudzony legł ciężko pod osłoną skały.

180

181

XV

Podjezdka

Nazajutrz Rufus był od rana bez przerwy na nogach i nie próbował nawracać do wczorajszej sceny. Zdażył już obłupić ze skóry jedną kozę, a Frere'owi polecił zabrać się do drugiej.

– Niech pan przecina skórę z tyłu od ogona do kolan, a z przodu od mostka – powiedział. Trzeba mi płatów dużych, czworokątnych.

Dzięki wyteżonej pracy do śniadania cztery kozy były odarte, a wnętrzności wypłukane i gotowe do skręcenia. Potem upieczono kawał świeżego mięsa i przygotowano suty posiłek. Pani Vickers nie czuła się lepiej, więc Dawes poszedł ją odwiedzić i widocznie pojednał się z Sylwią, gdyż z szalasu wyprowadził ją za rękę. Frere, który krajał mięso w wąskie paski do suszenia na słońcu, spostrzegł to i rozgorzał znów ogniem niedorzecznej zazdrości i urazy. Nic jednak nie powiedział, ponieważ wróg nie ujawnił dotychczas, jak czółno ma być zbudowane.

Dopiero koło południa młody oficer stał się współnikiem tajemnicy, zupełnie prostej w gruncie rzeczy.

Dawes wybrał dwie najdłuższe i najmocniejsze jodłowe żerdzie i związał je starannie odziomkami na zewnątrz, co dało bal mniej więcej dwanaście stóp długi. Następnie naciął młode drzewka w odległości dwu stóp od jednego i drugiego końca i ostrożnie wygiąwszy te zakończenia, umocnił je rzemieniami z surowej skóry. Całość przedstawiała teraz z grubsza zarys łodzi z dziobem, kilem i rufą w jednej płaszczyźnie. Łuk ten został ustawiony między wbitymi w piasek palami, które z kolei stanowiły oparcie dla czterech żerdzi wygiętych tak, by przykrępowane do kila tworzyły żebra. Następnie przywiązano do tych żeber po cztery z każdej strony poziome żerdzie, z których dwie dały zarys burty, dwie stanowiły poprzecznice. Na wszystkich stykach żerdzie zostały mocno związane kawałkami linki rybackiej. Następnie usunięto pale, a na piasku został szkielec łodzi odwróconej dnem do góry, długiej na osiem stóp, a na trzy szerokiej.

182

Frere miał dłonie spuchnięte, zaproponował więc krótki odpoczynek, ale zesłaniec nie chciał o tym słyszeć.

Musimy skończyć! zawołał niebaczny na własne zmęczenie. -- Skóry przeschną zanadto, jeżeli będziemy marudzić.

Ja już nie mogę - burknął posępnie oficer. - Nie wytrzymam. Ty masz, jak widzę, mięśnie ze stali. Ja nie.

Ja, panie Maurycy Frere, musiałem nieraz pracować, chociaż nie mogłem wytrzymać. Baty wybornie dodają ducha. W więzieniu często słyszałem, że niclepiej nie pomaga na obolałe mięśnie, jak ciężka praca.

No, a co teraz trzeba zrobić?

Pokryć czółno. Jazda! Trzeba roztopić łój i strunami zeszyć skóry. Po dwie obok siebie, rozumie pan? A potem parami od strony karków. Jedno jest pewne: strun nie zabraknie.

Nie odzywaj się do mnie jak do psa! wybuchnął nagle Frere. - Mógłbyś być uprzejmiejszy.

Ale zesłaniec zajął się pilnie struganiem wystających końców żerdzi i nic nie odpowiedział. Sądził, być może, iż utrudzony porucznik nie zasługuje na jego uwagę.

Na godzinę przed zmierzchem skóry były zeszyte, a szkielec czółna gotowy, gdyż Rufus zdażył przepleść żebra witkami. Teraz rozpiął na owym rusztowaniu skóry sierścią

do wnętrza. W pokrywie tej wywiercił szereg otworów i rzemieniami z surowej skóry przywiązał ją starannie do najwyższej poprzecznicy. Pozostała jeszcze ostatnia czynność ostatni środek ostrożności. Rufus zanurzył kubek w roztopionym tłuszczu i hojnie nasmarował wszystkie ścięgi. Obecnie łódź wyglądała jak skorupka wielkiego orzecha włoskiego, okryta dymiącymi, ociekającymi krwią skórą, albo jak czaszka oskalpowanego tytana.

Załatwione! – oznajmił Rufus tonem triumfatora.

Dwanaście godzin na słońcu, a skóry wyschną, zeszywnieją i nasze czółno będzie pływało niczym kaczka! Następnego dnia zajęły dalsze przygotowania. Suszone kozie mięso zwinięto w najmniejszą możliwie paczkę, baryłkę po rumie napełniono wodą źródlaną, a ponadto kozie pęcherze użyte zostały jako prowizoryczne gurty. Dawes zakorkował je drewnianymi szpuntami i zabezpieczył wiąza-

183
niem ze strun. Następnie z długich kawałków kory, zeszytych i zaimpregnowanych łojem i żywicą, sklecił cztery zupełnie znośne wiadra. Została jeszcze jedna skóra, którą postanowiono wykorzystać zamiast żagla.

Prądy są silne mówił zaradny zesłaniec więc nasze nędzne wiosła nie na wiele się zdadzą. A przy pomyślnym wietrze taki żagiel może ocalić nam życie. Nie można było oczywiście oprzeć masztu na wiotkiej strukturze, ale i na to znalazła się rada. Dwa drążki umieszczone w poprzek od burty do burty posłużyły jako osada. Maszt został między nimi ustawiony i przykrępowany rzemieniami, a zabezpieczała go rybacka linka przywiązana do dzioba i rufy. Na dnie czółna ułożono duże płyty kory, co dało miękką i wygodną podłogę. Wszystkie te przygotowania dobiegły końca czwartego dnia pod wieczór, zapadła więc decyzja, że wygnańcy ruszą w awanturyczną podróż nazajutrz wczesnym rankiem. Do płycizny popłyniemy tuż koło brzegu orzekł Rufus. Tam zaczekamy na szczyt przypływu. Nic lepszego wymyślić nie potrafię.

W tej chwili Sylwia odezwała się z pobliskiej skały. Świeże mięso przywróciło jej siły, a nadzieja rychłego ocalenia dodała ducha. Siedząc na skale udrapowała na skroniach koronę z wodorostów, a w rękę trzymała witekę uwieńczoną liśćmi i z powodzeniem zastępującą berło. Sądziła niewątpliwie, że jest uosobieniem jednej z heroin swojej dziecięcej lektury.

Jestem Królową Wyspy zawołała wesoło a wy moimi wiernymi poddanymi. Powiedzcie, rykerzu Eglamour, czy korab gotowy? Gotowy, najjaśniejsza pani odpowiedział Rufus.

Życzymy sobie go obejrzyć podjęła dziewczynka.

Wy, szlachetny rykerzu, pójdziecie przed nami. Nie żądamy, żebyście upadli nosem w piasek na wzór Piętaszka, bo byłoby to dla was kłopotliwe. Nie bawi się pan z nami, panie Frere?

– Tak! Tak! roześmiał się porucznik rozbrojony zalotną minką, która towarzyszyła ostatnim słowem Sylwii.

– Bawię się! Co mam robić?

Musi pan iść u mojego boku i okazywać Królowej Wyspy należny szacunek. Naturalnie to tylko udawanie dodała spiesznie, jak gdyby przypomniała sobie pychę i próżność młodego oficera. Oto Królowa udaje się na wybrzeże w otoczeniu swoich wiernych nimf. Nie ma się z czego śmiać, panie Frere. Rozumiem, że pan nie jest podobny do nimfy, ale nic na to nie poradzę.

Orszak odbył komicznie uroczysty pochód i przystanął koło podjezdki.

Prawdziwa łódka! zawołała Królowa zapominając o przystojnej godności. – Jest pan czarodziejem, panie Dawes!

Zadanie było proste uśmiechnął się zesłaniec.

Ładnie proste! wybuchnął Frere, bo w atmosferze radości na moment zapomniał o urazach. – Ja jestem innego zdania. To prawdziwe arcydzieło budownictwa okrętowego.

Czysta robota! Prawie gołymi rękami!

Tak, czysta robota – powtórzyła jak echo Sylwia.

Czysta robota dobrego pana Dawesa. Po chwili zaczęła śpiewać na prostą dziecięcą nutę, a słowa kreśliła na piasku przedstawiającą berło witką.

Dobry pan Dawes!

Dobry pan Dawes!

Czysta robota dobrego pana Dawesa!

Czyli: „Tere-fere-kuku, strzela baba z łuku”! powiedział Frere, który dłużej nie mógł opanować złości.

Dobry pan Dawes! Dobry pan Dawes! – powtórzyła dziewczynka. – Mówię tak, bo chcę! A pan jest bardzo nieprzyjemny, panie Frere. Nie będę się z panem bawić! Z tymi słowy odeszła po piasku plaży.

Biedna mała – odezwał się Rufus Dawes. Po co ja było drażnić?

Cóżno było gotowe, a zarazem Frere odzyskał dawną pewność siebie. Sądził, iż pora przybrać ton, do którego tytuł daje mu stanowisko. Przecież świat cywilizowany był dziś nieporównanie bliżej niż przed paroma dniami.

Słuchając Sylwii – powiedział – można by pomyśleć, iż nikt dotychczas nie zbudował łodzi. Nie zachwycałaby

184

185

się chyba bardziej, gdyby zamiast tego szaflika zobaczyła trójmasztowiec z doków mojego wuja. Jak Boga kocham!

– roześmiał się szyderczo. – To ja winienem mieć wrodzony talent do budownictwa okrętowego. Ach, gdyby stary łajdak umarł mniej nie w porę, zostałbym właścicielem wielkich doków grubą rybą!

Na dźwięk słowa „umarł” Rufus odwrócił się i jał poprawiać coś przy wiązaniach skórzanej powłoki. Gdyby porucznik mógł spojrzeć mu w twarz, zdziwiłby się zapewne jej naglej bladości.

-- Tak ciągnął Frere na poty do siebie, na poły do milczącego towarzysza. – Ładną sumkę straciłem, prawda?

– Jaką ładną sumkę? zapytał zesłaniec nie odwracając twarzy.

Jaką! Człowieku, omal nie dostałem w spadku ćwierć miliona funtów! Ale stary sknera, który miał mi je zapisać, umarł, nim zdążył zmienić ostatnią wolę. Rozumiesz?

Wszystko co do szylinga przypadło marnotrawnemu synowi, co od lat stronił od ojca. Nie ma sprawiedliwości na świecie!

Rufus milczał przez chwilę i nie patrzył na oficera, kiedy jednak opanował się i odzyskał oddech, rzucił szorstko, nie zmieniając pozy:

Nie lada szczęściarz z... z tego syna.

Szczęściarz! ?– powtórzył Frere i zaklął szpetnie.

Dobre sobie! Spalił się żywcem na „Hydaspesie” i o własnym szczęściu nie usłyszał nigdy. Całe pieniądze dostały się jego matce.

Zaklął raz jeszcze, zły, że pozwolił wziąć górę gadulstwu nad poczuciem godności. Potem odszedł w stronę ogniska, medytując zapewne po drodze o różnicy między Maurycym Frere'em, bogaczem, ozdobą najlepszego towarzystwa, pro-

tektorem bokserów, właścicielem stajni wyścigowej i kogutów bojowych – a Maurycym Frere'em, porucznikiem bez pensa, przykutym do jałowych wybrzeży Macaouarie Harbour, a ostatnio podkomendnym zbiegłego więźnia.

Rufus Dawes pogrążył się również w zadumie. Oparł się o burtę upragnionego czółna, a wzrokiem przywarł do morza wyzłoconego blaskami zachodu, lecz niewątpliwie nie widział nic przed sobą. Oszołomiony wieścią o swoim dziedzictwie utracił panowanie nad wyobraźnią i powrócił do scen, 0 których daremnie próbował zapomnieć. Daleko, za rozis krzoną zatoką i bezmiarami oceanu, widział stary dom w Hampstead i niezapomniany park pełen posępnych cieni. Zdawało mu się, że szczęśliwie pokonał wszelkie grożące niebezpieczeństwa i dzięki temu zrzucił plugawe jarzmo. Widział swój powrót do utraconego świata. Oto wymyśli jakąś bajkę o niezwykłych wędrownicach, obejmie w posiadanie majątek i będzie żył znów wolny, bogaty, szczęśliwy, otoczony powszechnym szacunkiem. Widział ukochaną, bladą twarz matki -- prawdziwą światłość kółka rodzinnego. Widział siebie w tym kółku odzyskanego i witanego radosnymi łzami, jakby narodził się powtórnie lub powstał z grobu. Oto otwiera się przed zesłańcem nowe, spokojne 1 promienne życie!

Biedak tak pogrążył się w marzeniach, że nie dosłyszał szelestu kroków na piasku. Pani Vickers dowiedziała się o pomyślnym wyniku starań niezastąpionego zesłańca, pokonała więc słabość i zawędrowała aż na plażę, żeby obejrzeć czółno. Obecnie, poprzedzana przez Sylwię, sunęła z wolna wsparta na ramieniu Maurycego Frere'a.

Panie Dawes! Panie Dawes! Mamusia idzie obejrzeć łódkę! wołało dziecko.

Ale pan Dawes nic nie słyszał. Powtórny okrzyk nie doszedł również do jego świadomości.

Panie Dawes! – krzyknęła raz jeszcze Sylwia i pociągnęła za rękaw niemą i nieruchomą postać.

Biedak ocknął się i zobaczył wzniesioną ku sobie ładną, szczupłą twarzyczkę. Snuł jeszcze niedorzeczne rojenia 0 wolności i szczęściu, bezwiednie więc porwał dziewczynkę w ramiona, uniósł i pocałował tak, jak mógłby pocałować własną córkę. Sylwia nic nie powiedziała, ale Frere zdziwił się 1 oburzył, bo ulegając właściwemu sobie tokowi myśli ujrzał niewinne wydarzenie w odmiennym świetle. Zdawało mu się, że odzyskał już dawną pozycję, więc wybryk zesłańca zgromił tak, jak gdyby obaj znajdowali się w jego królestwie na Wyspie Marii.

Co sobie myślisz, łajdaku! wrzasnął. Jak śmiesz?

Nie zapominaj, kim jesteś.

Ostatnie zdanie wróciło Rufusa Dawesa do rzeczywistości. Słusznie! Był przecież więźniem. Jak śmiał pozwolić sobie

186

187

na czułość wobec dziecka swojego pana i wiadcy? Ale po wszystkim, czego już dokonał i dokonać zamierzał, takie potraktowanie wydało mu się okrucieństwem. Tych dwoje ogląda czółno zbudowane przez niego i... 1 zrozumiał nagle ostateczny rezultat swoich starań. Oto blask nadziei rozjaśnienia wynędniałe oblicze chorej kobiety, a w oczach porucznika widać zimny błysk poczucia władzy. Tak! Z własnej woli oddał się znów w niewolę. Póki ratunek zdawał się niepodobnym, „pan Dawes” był przydatny, nawet szanowany i ceniony. Teraz, gdy on wskazał drogę odwrotu, spadł znów do poziomu bydlęcia roboczego. Na pustkowiu był panem Dawesem, wybawcą, w świecie cywilizowanym został znowu Rufusem Dawesem, zbrodniarzem, opornym

więźniem, pojmanym zbiegiem. Stał oniemiały i spokojnie słuchał, jak Frere wychwala zalety jego dzieła. Pani Vickers rzuciła kilka słów podziękowania, których ton zmroziła uraza z racji niestosownej poufałości względem Sylwii. Więzień wyczuł ten chłód, odwrócił się więc i bez słowa odszedł w gęstwinę buszu.

Dziwny człowiek powiedział frere do pani Vickers, która spoglądała śladem oddalającego się zesłańca. Zawsze zły i drażliwy.

Biedaczek! Wobec nas zachowywał się bardzo poprawnie westchnęła majorowa.

Nawet ona zdawała sobie sprawę, że w zmienionych warunkach nastąpiła w niej z niewyjaśnionych przyczyn szczególna zmiana. Oto ślepa wiara we wszechstronnie uzdolnionego zesłańca ustąpiła miejsca protekcyjnej życzliwości, która nie ma nic wspólnego z przywiązaniem ani szacunkiem.

-- No, chodźmy na kolację odezwał się Frere.

– Myślę, że to będzie ostatnia na tym diabelskim wybrzeżu. On wróci, jak się przestanie dąsać.

Ale on nie wrócił, a pani Vickers i jej córka, zajęte obawami i nadziejami na dzień następny, zapomniały niebawem, że w ogóle odszedł. W naiwności ducha sądziły, że nie rozpoczętą jeszcze straszliwą grę musi uwieńczyć powodzenie. Zdobyć czółna zdawało im się wydarzeniem tak cudownym, że wcale nie myślały o niebezpiecznej podróży. A Maurycy Frere rad był, że więzień nie wchodzi mu w drogę, i chętnie pozbyłby się go na dobre.

XVI Litery na piasku

Z dala od niewdzięczników, których przyjaźń pozornie zyskał, Rufus Dawes rzucił się na ziemię targany gniewem i rozpaczą. Po raz pierwszy od sześciu lat zaznał szczęścia czynienia dobrze, rozkoszy samowyrzeczeń. I jaką otrzymał nagrodę! Dzierżył stargane nerwy na wodzy, by nie urazić otoczenia. Starał się nie pamiętać o poniżeniach, by cień ich nie padł przypadkiem na delikatne dziecko wplątane tak dziwnie w sieć jego losów. Taił przeżyte męki, by nie sprawić przykrości ludziom, co na pozór darzyli go współczuciem. Wyrzekł się zemsty w warunkach, gdy była najłatwiejsza. Od lat czekał na sposobność zadania ciosu przesładowcom, a kiedy traf wsunął mu oręż do ręki, nie skorzystał z okazji. Narażał życie, w niepamięć puścił krzywdy, prawie zmienił charakter a zapłata były mu chłodne spojrzenia i obelżywe słowa. Stał się zbyteczny, gdy pomysłowością i męstwem wybrukował drogę do wolności.

Uprzytomnił to sobie w chwili upojenia zdumiewającą nowiną o własnym bogactwie, cóż więc dziwnego, że zgrzytał zębami buntując się przeciwko okrucieństwu losu? W imię miłości synowskiej – tego najszlachetniejszego z uczuć wolał skazać się na śmierć cywilną, niż dopuścić do ujawnienia czegoś, co okryłoby hańbą ukochaną matkę.

Dziwne zrządzenie losu ułatwiło mu zmylenie świata. Nie poznał go brat cioteczny. Nawet „Hydaspes”, na którym jakoby płynął z Anglii, spłonął, a załoga i pasażerowie przepadli bez wieści. Żadne ogniwo nie mogło połączyć Rufusa Dawesa, zesłańca, z Ryszardem Devine'em, zaginionym dziedzicem fortuny zmarłego właściciela doków.

Ach, gdyby tylko wiedział! Gdyby w mrocznym więzieniu, targany lękiem i rozpaczą, domyślił się, że śmierć stanęła między sir Ryszardem a jego zemstą! Mógłby wówczas oszczędzić sobie zbytecznej ofiary. Był sądzony i skazany jako marynarz-włóczęga, który nie potrafił wskazać świadków obrony i odmawiał wyjaśnień co do swojej przeszłości. A mógł twierdzić uparcie, że nic nie wie o morderstwie, mógł

zataić nazwisko mordercy i mimo wszystko u/y skać wyrok uniewinniający. Sędziowie są sprawiedliwi, ale opinia publiczna ma też wiele do powiedzenia, a więc możliwym się zdaje, że Ryszard Devine, milioner, uniknąłby losu Rufusa Dawesa, marynarza. Szalony pomysł, że mimo wydziedziczenia został spadkobiercą niezmiernych bogactw ojca, ani na moment nie przyszedł mu do głowy, gdy bliski obłądu obliczał w celi szansę ujścia z życiem. Wiadomość taka zmieniłaby cały bieg jego życia, ale o zgonie sir Ryszarda usłyszał po raz pierwszy przed chwilą za późno. Zesłaniec kładł się na piasku plaży, potem wałęsał się bez celu pośród drzew białych od blasku zamglonego księżyca, potem siadał tak, jak siadywał zwykły w więzieniu: z głową wspartą na rękach i kołysząc się miarowo w tył i do przodu. Ale tak czy inaczej, nieustannie rozważał tragiczny problem swojego życia.

Dziedzictwo nie na wiele mogło mu się przydać. Zesłaniec 0 dłoniach zrogowaciałych od ciężkiej pracy i grzbiecie pooranym razami batoga nie zostanie przyjęty przez dobrze urodzonych i bogatych. Jeżeli upomni się o nazwisko 1 prawa, co na tym zyska? Jest przecież zbrodniarzem, skazańcem pozbawionym przez sprawiedliwość praw i na zwiska. Jeżeli pójdzie do Maurycego Frere'a i wyzna, że jest jego zaginionym krewnym, porucznik wyśmieje go tylko. Jeżeli głośno zacznie mówić o swoim pochodzeniu i niewinności, więźniowie uśmiechną się tylko krzywo, a dozorczy przydzielą go do cięższej pracy. Jeżeli nawet nadludzkiem uporem zyska wiarę dla dziwnej opowieści, cóż stąd wyniknie? Jak przyjęta zostanie w starej Anglii wiadomość, że o prawa spadkowe nabyte przez porządnych, powszechnie szanowanych ludzi dopomina się zesłaniec z Macquarie Harbour, podejrzany o morderstwo, skazany na ciężkie roboty i kajdany, którego cała przeszłość więzienna jest pasmem buntów i najsurowszych kar? Na pewno wiadomość taka nie wywoła pragnień, by zatwardziałego łotra rozkuć z łańcuchów i obdarować majątkiem zmarłego ojca. Raczej poczytana zostanie za katastrofę i ujmę dla nieskalnego dotychczas nazwiska. Jeżeli nawet syn marnotrawny wróci do matki (pogodzonej już zapewne z jego stratą), cóż to przyniesie? Dla matki może zostać w najlepszym razie żywym symbolem hańby niewiele mniejszej niż inna, która przejmowała ją grozą.

Atoli powodzenie graniczy z niepodobieństwem. Skazaniec nie ośmielił się powrócić własnym tropem przez potworny labirynt, w którym się pograżył. Czy ma pokazywać blizny na barkach, żeby dać dowód, że jest dżentelmenem i człowiekiem niewinnym? Czy ma mówić o niewysłowionych potwornościach Macquarie Harbour, aby dać dowód, że zasługuje na życzliwość ludzi prawych i miejsce honorowego gościa u stołu wytwornych? Czy ma cytować plugawy żargon z okrętu-więzienia lub makabryczne żarty skutych kajdanami więźniów, aby dać dowód, że godzien jest wejść do towarzystwa subtelnych kobiet i niewinnych dzieci? Jeżeli nawet zdoła ukryć nazwisko prawdziwego mordercy, a sam pozbędzie się piętna zbrodni, za którą został skazany, wszystkie bogactwa świata nie wrócą mu nieznajomości zła, jaka była niegdyś jego udziałem. Wszystkie bogactwa świata nie odkupią zabitego kańczugiem poczucia własnej wartości, nie usuną z pamięci wspomnień o poniewierce.

Męka trwała długie godziny. Rufus Dawes jęczał jak gdyby z bólu fizycznego, a potem leżał kompletnie wyczerpany, stępały na cierpienia. Nie wolno mu marzyć o wolności

i honorach •— to beznadziejna sprawa. Lepiej milczeć i wieść dalej życie przez zły los narzucone. Powróci do więzienia. Sprawiedliwość uzna go za zbiegiem i wymierzy stosowną karę. Może uniknie śmierci w nagrodę za starania zmierzające do ocalenia dziecka? W takim przypadku mógłby powiedzieć: dopisało mi szczęście. Szczęście! A może nie wracać wcale, lecz powędrować przez pustkowia i umrzeć? Lepsza śmierć niż takie piekło na ziemi. Polował już na kozy, potrafi łapać ryby, potrafi zbudować barak. W kolonii mogło zostać trochę ziarna, które zasiane, wyda plony. Poradzi sobie. Sklecił czółno, ustawił kamienne palenisko, osłonił i zabezpieczył szałas pani Vickers. Stać go na wolne, dzikie życie w samotności. Przecież sam dokonał wszystkich cudownych wynalazków. Czółno jego roboty i pomysłu stoi u brzegu. Czemu nim nie umknąć? Dlaczego nie zostawić na pastwę losu ludzi, co nie okazali mu wdzięczności. Myśl ta olśniła go tak nagle, jak gdyby ktoś szepnął mu ją do ucha. Dwadzieścia kroków i zawładnie łodzią! Pół

190

191

godziny dryfowania z prądem, a wszelka pogoń okaże się niemożliwa. Minie pływając przybrzeżną i pozęgluje na zachód, gdzie powinien spotkać statek wielorybiczny. Z pewnością natknie się na jakiś w ciągu niewielu dni. A żywności i wody będzie miał pod dostatkiem. Jakakolwiek bajeczka

0 rozbiściu okrętu wystarczy marynarzom i...

Urwał nagle. Zapomniał, że zdradzą go łachmany, które nosi! Z okrzykiem rozpaczki dzwignął się, podparł dłońmi

1 natrafił palcami na coś miękkiego. Leżał dotychczas na skraju niskich zarośli, koło kopca kamieni, spod których wystawał ów miękki przedmiot. Rufus szarpnął go i wyciągnął. Była to koszula biednego Batesa. Drżącymi rękami rozrzucił kopiec i znalazł pozostałe części garderoby. Zdać się mogło, że ktoś celowo ukrył je dla niego. Niebo zesłało mu przebranie tak bardzo potrzebne!

Noc minęła na medytacjach, pierwsze smugi brzasku rozjaśniały już wschodni widnokrąg. Wynędzniały i blady Rufus powstał i nie wając się myśleć o tym, co zamierza uczynić, pobiegł w kierunku czółna. Odwagi dodawały mu wewnętrzne głosy:

„Twoje życie więcej warteniż tamtych szeptały. Oni umrą, ale nie okazali wdzięczności, więc na śmierć zasługują. Umkniesz z otchłani piekielnej, odnajdziesz kochające serce, które cię oplakuje. Dla ludzkości potrafisz uczynić więcej niż ocalenie trzech osób, co tobą gardzą. A zresztą oni nie są skazani na śmierć. Szkuner musi po nich wrócić, na pewno wróci! Zastanów się, co może czekać ciebie, zbiegłego więźnia!”

Był o trzy stopy od łodzi, gdy zatrzymał się nagle i niby skamieniały przywarł wzrokiem do piasku, jak gdyby zobaczył złowróżbne słowa, co oznajmiły niegdyś klęskę Baltazara. Miał przed sobą trzy słowa nakreślone przez Sylwię ubiegłego wieczora. Płonęły one w szkarłatnym blasku słońca, które powstało nagle z oceanu, co sprawiało wrażenie, że same wykwitły u nóg zesłańca:

DOBRY PAN DA W ES

„Dobry pan Dawes"! Jakże straszliwy wyrzut mieściło to proste zdanie! Ile tchórzostwa, nikczemności, okrucieństwa demaskowało trzynaście liter! Głosem dziecka, które pielęgnowało go w chorobie, błagały one o zmiłowanie. Zobaczył Sylwię stojącą między nim a łódką, jak stała pierwszego wieczora, kiedy szlachetnym gestem wręczyła mu podpłomyk.

Jak pijany zatoczył się pod skałę i chwyciwszy za ramię

śpiącego Frere'a szarpnął nim mocno.
Wstawać! -- zawołał. – Wstawać! Czas w drogę.
Porucznik zerwał się i z tępym zdziwieniem spojrział na
bladą twarz i krwią nabiegłe oczy nieszczęśnika.
Co się stało, człowieku? – zapytał. Masz minę,
jakbyś zobaczył upiora.
Rufus Dawes ocknął się na dźwięk znajomego głosu.
Westchnął głęboko i dłonią przetarł oczy.
Wstawaj, Sylwio! zawołał Frere. – Czas w drogę.
Ja jestem już gotowy.
Ofiara została dopełniona. Zesłaniec odwrócił się, a dwie
wielkie łzy spłynęły po jego ogorzałej twarzy i upadły na
piasek

XVII

Na morzu

W godzinę po wschodzie słońca wątła łódź ostatnia
nadzieja czworga ludzkich istnień podryfowała z od-
pływem ku wyjściu z zatoki. Spuszczona na wodę jęła tonać,
gdyż była przeciążona, wobec czego żeglarze musieli zo-
stawić znaczną część suszonego mięsa. Nietrudno sobie
wyobrazić, z jak ciężkim sercem to zrobili – każda drobina
żywności mogła się równać godzinie życia. Nie było jednak
rady. „Wóz albo przewóz” – jak wyraził się Frere. Od-
płynąć należało mimo wszelkiego ryzyka.
Wieczorem wylądowali u Bramy Piekieł. Rufus Dawes
obawiał się żeglugi przed szczytem przypływu i dopiero
o dziesiątej w nocy spróbował przeprawy przez płyciznę. Noc
była piękna, a morze spokojne. Zdawać się mogło, że Bóg

192

13

Do?xwolnie

zesłanie

193

okazał miłosierdzie wygnańcom, bo mono zdradliwej fali
przybojowej kručze czołno pokonało groźne niebezpieczeń-
stwa. Raz, u skraju płycizny, potężna góra wodna omal nie
zalała słabej struktury ze skór, żerdzi i wikliny. Ale Dawes
dzielnie sterował pod prąd, a Frere wyczerpywał wodę
i podjezdka trafiła wreszcie na głębinę. Stało się jednak
wielkie nieszczęście: fala zmyła dwa wiadra z kory, a wraz
z nimi blisko piątą część skąpego zapasu wody. Niezamoco-
wanie wiader było błędem nie do darowania, lecz w obliczu
poważniejszych niebezpieczeństw sprawa zdawała się błaha
i znalazłszy się na pełnym morzu żeglarze osądzili, że fortuna
obdarzyła ich niezwykłym uśmiechem.

Mozolnie posuwali się za pomocą niezdarnych wiosł, ale
o świcie powiała lekka północno-zachodnia bryza, podnieśli
wiec żagiel z koziej skóry i żywiej ruszyli wzdłuż wybrzeża.
Postanowiono, że mężczyźni będą czuwać na zmianę, i Frere
po raz drugi pokazał pazury, oddając Rufusowi pierwszą
wachtę.

Jestem zmęczony oznajmił. Zdrzemnę się
trochę.

Zesłaniec nie spał od czterdziestu ośmiu godzin i brał na
siebie wszystkie najcięższe prace, nic jednak nie powiedział.
W ciągu ostatnich dwu dni przeżył tak wiele, że zobojętniał
na wszelkie cierpienia.

Oficer spał do południa, a kiedy się obudził, zobaczył, że
czołno nadal kołysz się na wodzie, a pani Vickers i Sylwia
walczą z chorobą morską. Wydało mu się to dziwne, gdyż
chorobę morską przywykł kojarzyć z cywilizacją. Spog-
lądając posępnie na wysokie zielone fale, co wyrastały raz po
raz między nim a widnokrzem, porucznik rozmyślał o prze-
biegu niezwykłych wydarzeń.

Oto odwrócił nową kartę swojej autobiografii. Zdawało mu się, że od lat nie robił nic innego, tylko smętnym wzrokiem omiatał zatokę i wybrzeże. Ale w dniu pożegnania z niegościnnym brzegiem policzył karby na drażku-kalendarzu i zdumiał się, bo było ich tylko dwadzieścia dwa. Obecnie sięgnął po nóż i dwa razy naciał wiklinowe nadburcie podjezdki. Razem dało to dwadzieścia cztery wiklinowe dni. Bunt miał miejsce trzynastego stycznia, był zatem szósty lutego.

„Na Boga! pomyślał Frere. »Biedronka« mogła już na pewno wrócić”.

Nie wiedział oczywiście, że niepomysłne wiatry zapędziły szkuner do Port Davey i uwięziły tam na siedemnaście dni. Nocą wiatr ustał i wędrowcy musieli wziąć się do wiosł. Ale do rana niedaleko się posunęli, wobec czego Rufus zaproponował, by wylądować i poczekać na nowy podmuch bryzy. Jednakże wzdłuż prostopadłych bazaltowych skał fale łamały się straszliwie na rafach tworzących podkowę na sześć lub siedem mil długą. Nie mieli wyboru. Mogli jedynie wlec się dalej wzdłuż wybrzeży.

Przez dwa dni nie dostrzegli śladu żagla, trzeciego zaś zerwał się silny południowo-wschodni wiatr i cofnął ich o całe trzydzieści mil. Podjezdka przeciekała i nieustannie musieli wyczerpywać wodę, a co gorsza, baryłka po rumie przeciekała również i opróżniła się do połowy. Aby ją zaszpuntować, rozszerzyli otwór i zatkali go szmatami. Na szczęście nie ma tu tropikalnych upałów – pocieszał się Frere.

Biedna pani Vickers leżała na dnie czółna otulona przemokłym białym szalem. Zimny wiatr przejmował ją do szpiku kości, nie miała więc siły mówić. Chyba dławiąca cisza tropików nie mogła być gorsza niż ta szara pustynia wodna. Sytuacja czwórki wędrowców stała się niemal beznadziejna. Majorowa była kompletnie załamana i należało sądzić, że nie wytrzyma niewygód i trudów i umrze rychło, jeżeli nie nadciągnie pomoc. Sylwia znosiła podróż nieco lepiej. Rufus Dawes dał jej swoją wełnianą koszulę i w tajemnicy przed Frere'em dzielił się z małą swoją codzienną porcją suszonego mięsa. Nocą spała w jego ramionach, a za dnia na krok go nie odstępowała, jak gdyby był jej ostoją i ucieczką. Przy nim czuła się bezpieczna. Rozmawiali niewiele, ilekroć jednak zesłaniec poczuł na dłoni uścisk drobnej rączki albo ciężar dziecięcej główki na ramieniu, zapominał o przejmującym zimnie i głodzie, co skręcał mu wewnątrzności.

Znowu minęły dwie doby i żagiel nie pojawił się na horyzoncie. Dziesiątego dnia podróży skończyły się zapasy żywności. Pod wpływem wody morskiej mięso zaczęło gnić, a podpłomyki zmieniły się w mdłe ciasto. Ocean był niespokojny, a wiatr – północny teraz – dał coraz potężniej.

194

195

Szarobłękitne mgły przesłaniały chwilami ciemniejący po lewej stronie pas lądu. Woda miała gliniastą barwę i deszcz zdawał się wisieć w powietrzu. Nędzna łupina, której wędrowcy zaufali życie, przeciekała w czterech miejscach. W przypadku sztormu (częstego w tym rejonie) nie wytrzymałaby godziny. Dwaj mężczyźni wyczerpani, przeziębli i głodni – pragnęli niemal, by koniec nastąpił rychło. Na domiar złego Sylwia zachorowała. Raz była rozpalona, raz lodowato zimna i jęcząc nieustannie, zaczynała niekiedy majaczyć. Rufus Dawes trzymał ją w ramionach i z rozpaczą patrzył na cierpienie, któremu nie mógł ulżyć. Czy mimo wszystko dziecko musi umrzeć?

Minęły dzień i noc, a jedenasty ranek zobaczył czółno

rozkołysane na tej samej morskiej pustyni. Wygnańcy leżeli na dnie podjezdki nie oddychając prawie.

Nagle Dawes krzyknął i pochwyciwszy linkę żagla wykonał błyskawiczny manewr.

Żagiel! Żagiel! — zawołał. Nie widzicie?

Frere przebiegł bezkres morza wyglodniałym wzrokiem.

Nie ma żadnego żagla, głupcze mruknął. Nie drwiłbyś lepiej.

Czółno zmieniło kierunek i sunęło teraz nie równolegle do wybrzeża, lecz prosto na południe, ku bezmiarom Oceanu Lodowatego. Frere spróbował wyrwać linkę z rąk zesłańca i wrócić na dawny kurs.

— Oszalałeś? — warknął z rozpaczą. Chcesz nas zapędzić na pełne morze?

W gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Równie dobrze można utonąć na pełnym morzu, jak w bliskości lądu.

Dzień włókł się leniwie i żagla nie było widać. Pod wieczór wiatr przybrał na sile i podjezdka zataczała się na brunatnych falach niby pijana, przeciekając ustawicznie wodą. Wybrzeże zniknęło za horyzontem, a dokoła wzdymał się i parskał ocean — niezmierny, burzliwy, złowrogi. Wydawało się niepodobieństwem, by żeglarze mogli doczekać następnego rana. Ale Rufus Dawes, zapatrzony w jakiś punkt widoczny tylko dla niego, tulił chore dziecko w objęciach i śmiało prowadził wążkę czółno przez czerń nocy i wodnej pustyni. Nieruchomy, z rozwianym czarnym włosem i wzrokiem utkwionym w przestrzeń, robił wrażenie

196
istoty nadprzyrodzonej i strasznej. Tak przynajmniej sądził Frere, który siedząc pośepnie na rufie zaczynał podejrzewać, że zesłańca postradał zmysły ze strachu lub wyczerpania.

Medytując tak i biadając nad własnym losem porucznik zasnął i po chwili (jak mu się zdawało) został obudzony krzykiem. Zerwał się przerażony, ze zjeżonym włosem. Dniało. Długa smuga bladego szafranu złociła widnokrąg po lewej stronie. Między tą smugą a rufą podjezdki zabielał przez sekundę znikomy punkcik.

Żagiel! — wołał Rufus Dawes. Żagiel! Mówiłem przecież, że widziałem żagiel!

Głos mu drżał, oczy gorzały dziwnym blaskiem. Frere natężył wzrok i serce skoczyło mu do gardła, bo biała plamka pojawiła się znowu. Prawie uwierzył w ocalenie, po chwili jednak ogarnęła go rozpacz. Z tak znacznej odległości załoga statku nie może dostrzec małej łódki!

Oni nas nie zobaczą! wrzasnął. — Dawes! Dawes!

Słyszysz? Oni nie zobaczą nas nigdy!

Rufus ocknął się jak z letargu. Szybko przywiązał linkę żagla do nadburcia, położył śpiące dziecko obok matki, aby następnie udrzeć kawałek kory, na którym siedział, i skoczyć za rufę.

Muszą nas zobaczyć i zobaczą! — krzyknął. — Wyrwij tę żerdkę! O, tak. Teraz połóż ją w poprzek. Tak! Tnij nadburcie. Dobrze! Widzisz? Sucha wiklina. Odciągnij dalej skórę! Nie martw się o czółno. Nie będzie nam potrzebne.

Widzisz? Suche poprzecznice! Ruszaj się! Nie marudź!

Co chcesz zrobić, człowieku? — zawołał przerażony Frere, gdy zesłańca ułożył na rufie stos z całego suchego drewna, jakie mógł zdobyć.

Co chcę zrobić? Rozpalić ogień.

Frere zrozumiał wreszcie.

Zostały mi trzy zapalki powiedział szperając drżącymi palcami w kieszeni. -- Są suche. Owinąłem je w kartkę wydartą z książki.

Z książki! Było to nowe źródło natchnienia. Rufus Dawes

chwycił „Historię Anglii”, która oddała już tak znamienitą usługę, wyrwał ze środka suchsze strony i troskliwie wsunął pod stos drewna.

Teraz. Ostrożnie! ?- zakomenderował.

197

Potarta zapalka dała płomyk, który momentalnie chwycił suchy papier. Frere jął dmuchać uważnie i niebawem zajęła się kora. Ogień rósł, a dwaj mężczyźni rzucali na stos wszystko, co było pod ręką. Wkrótce skóry zaczęły się tlić i w niebo wystrzeliła kolumna czarnego dymu.

Sylwio! – zawołał Rufus. Najmilsza Sylwio! Jesteś uratowana!

Dziewczynka otworzyła błękitne oczy, ale spojrzenie ich świadczyło, że nie poznała Dawesa. Była nieprzytomna i w godzinie ocalenia zapomniała swojego zbawcy. Ten ostatni cios zmógł biednego zesłańca. Nie rzekł już słowa i z chorym dzieckiem w ramionach usiadł na dziobie czółna. Frere pracowicie podsycał ogień i myślał, że wreszcie nadeszła okazja upragniona od dawna. Matka jest bliska śmierci, córka zaś bredzi w malignie. Kto w takim razie potwierdzi zasługi i zdolności znieawidzonego więźnia? Głos będzie miał jedynie pan Maurycy Frere. Jako oficer odpowiedzialny za porządek w koloniach karnych musi oddać zbiegłego w ręce sprawiedliwości.

Statek zmienił kurs i zbliżył się do zagadkowego ognia na morzu. Czółno z rufą płonąca na kształt pochodni mogło utrzymać się na powierzchni nie dłużej niż godzinę. Rufus z Sylwią w objęciach siedział jak skamieniały na dziobie. Pani Vickers leżała bez czucia, nieświadoma nadciągającej pomocy.

Statek bryg pod amerykańską banderą podszedł na odległość głosu. Frere rozróżniał już sylwetki ludzkie na pokładzie. Podszedł do miejsca, gdzie siedział Rufus Dawes, otępiały, z Sylwią na rękę, i kopnął go brutalnie.

– Wstawaj! – rozkazał. Oddaj mi dziecko.

Zesłaniec podniósł głowę i zobaczywszy nadciągający statek wrócił do przytomności. Roześmiał się głucho, wręczył porucznikowi czule piastowany ciężar i ruszył w stronę gorejącej rufy.

Bryg był blisko. Żagle rzucały cienie na fale. Wilgotne pokłady lśniły w blasku poranka. Sterczące nad relingiem brodate twarze ze zdziwieniem patrzyły na odnalezioną na pełnym morzu płonące czółno i jego wynędzniałą załogę. Frere z Sylwią na rękę czekał na pewny już ratunek.

Księga trzeci a

Rok 1838

Port Arthur

I

Robotnik z winnicy Pańskiej

W roku pańskim 1838 ludność Hobartu przedstawia interesujący obraz złożony z nader różnorodnych elementów. Tak brzmiał fragment błyskotliwego listu, który wielebny Meekin – nowo mianowany kapelan i stały rezydent w Kraju Van Diemena – niósł właśnie pocztę, aby sprawić przyjemność swojemu protektorowi w Anglii. Drepcząc wzdłuż ulicy, co leżała między błękitną rzeką a czerwona góra, spoglądał dobrotliwym wzrokiem na bogate przejawy życia i z przyjemnością oceniał trafność zdania skreślonego tak niedawno i własnoręcznie.

Napotykał wymuskanych oficerów z miejscowego garnizonu, z wdziękiem kłaniał się sztywnym damom, ustępował z drogi źle ubranym i brzydko pachnącym zesłańcom na urlopie, szybko przechodził na drugą stronę ulicy, aby uniknąć potrącenia przez wóz zaprzęgnięty w kilku szaro

ubranych mężczyzn, co z turkotem wyjeżdżał nagle z przecznicy. Tak! Ludność Hobartu była złożona z nader różnorodnych elementów. Oto zadzierający nosa wyższy urzędnik zapomina nagle o swej godności, by pozdrowić łaskawie kapelana, którego zaszczyca względami sam gubernator, sir John Franklin. Oto puszy się i rozpycha łokciami zamożny były więzień, utuczony zyskami z handlu rumem. Niewątpliwie ludność, co wyległa na miasto w słoneczne grudniowe popołudnie, musiała wydać się interesująca sprytnemu kapelanowi. Przecież niedawno zjechał z Anglii i po raz pierwszy w przyjemnym, łatwym życiu obywatel się bez

199

parawanów, które w cywilizacji londyńskiej tak pięknie przesłaniają ułomności i wady ludzkiej natury. Ubrany w lśniący czarny surdut, najmodniejszego dla duchownych kroju, w eleganckie trzewiki i jasnowawendowe rękawiczki, okryty białym jedwabnym kitem dla ochrony przed upałem wielebny Meekin zawędrował na pocztę i tam zostawił list.

W powrotnej drodze spotkał dwie znajome damy.

Pan Meekin!

Szykowny kapelusze odsłonił myślące czoło i na moment

zawisnął w powietrzu, niby dobrze wychowany kos.

Pani Jellicoe, pani Protherick! Cóż za miła niespodzianka! Jak łaskawe panie zamierzają przepędzić to cudowne popołudnie? Siedzenie w domu byłoby zaiste zbrodnią. Ach, uroczy klimat, droga pani Protherick. Istny raj! Niestety jednak raj nie pozbawiony węzów... Tak, drogie panie! Raj nie pozbawiony węzów westchnął wielebny Meekin.

Przyjazd tutaj musiał być dla pana ciężką próbą odezwała się pani Jellicoe współczującym tonem.

Wielebny Meekin uśmiechnął się tak, jak mógłby się uśmiechnąć męczennik z doborowego towarzystwa.

— Służba Boża, łaskawe panie. Służba Boża. Jestem skromnym robotnikiem w winnicy pańskiej. Przywykłem do mozołu długich, skwarnych dni ciężkiej pracy. Nieskazitelną halsztuk, biały jedwabny kitel, eleganckie trzewiki i pełen zadowolenia z siebie cierpiętniczy uśmiech kolidowały z wszelkim wyobrażeniem o skromnym robotniku, co przywykł do mozołu długich, skwarnych dni ciężkiej pracy. Poczciwa pani Jellicoe żona pobożnego kontrolera magazynów więziennych — przeraziła się, gdyż przez sekundę była bliska herezji.

Naturalnie wolałbym pozostać w Anglii ciągnął wielebny Meekin gładząc jeden lawendowy palec koniuszkiem drugiego. Wszelako poczucie obowiązku nie pozwoliło mi odrzucić propozycji przewielebnego biskupa. Tutaj, łaskawe panie, znajduje się pole działania właściwe dla chrześcijańskiego pasterza. Wzywały mnie głosy owieczek Chrystusowych, tych zbłąkanych i odtraconych owieczek naszego Kościoła.

Pani Jellicoe potrząsnęła jaskrawymi wstążkami przy pasterce i uśmiechnęła się pobłażliwie.

Nie zna pan naszych zesłańców powiedziała takim tonem, jakim mogłaby powiedzieć: „naszego bydła”. — To okropne hultajstwo. A nasza służba... Mój Boże! Co tydzień mam nową. Pobędzie pan tu trochę dłużej, panie Meekin, a pozna pan ich lepiej.

Są nie do wytrzymania podchwyciła pani Protherick, wdowa po intendencie baraków więziennych. Trudno o bardziej niż ja cierpliwą i wyrozumiałą osobę, przyznaję jednak, że głupcy i łajdacy, których bierzemy do

domów, potrafią świętego wyprowadzić z równowagi. Każdy z nas dźwiga swój krzyż, każdy, drogie panie odrzekł pobożnie wielebny Meekin. -?• A łaska Boża daje nam siły, byśmy podołali brzemieniu. Pozwolę sobie pożegnać łaskawe panie.

Dlaczego, panie Meekin? Idziemy przecież w jedną stronę. Możemy razem odbyć spacer.

Cała przyjemność po mojej stronie. Wybieram się z wizytą do majora Vickersa.

A ja mieszkam z nim prawie drzwi w drzwi - ucieszyła się pani Protherick. - Jaka to czarująca istotka, prawda? Kto? zdziwił się duszpasterz.

Sylwia! Nie zna jej pan? Urocze dziewczątko!

Majora Vickersa spotkałem tylko raz w Pałacu

Rządowym. Nie miałem jeszcze przyjemności widzieć jego córki.

Ach, to smutna historia! zabrała głos pani Jellicoe.

Można by nazwać ją romantyczną, gdyby nie była tak bolesna. Biedna pani Vickers!

Biedna? Dlaczego? - zapytał wielebny Meekin odpowiadając z gracją na ukłon przechodnia. - Czyżby niedomagała?

Umarła odrzekła pani Jellicoe z ostentacyjnym westchnieniem. -- Jak to? Nie słyszał pan tej historii, panie Meekin? Naprawdę?

Droga pani, w Hobarcie jestem zaledwie od tygodnia i naprawdę nie słyszałem tej historii.

Wszystko zaczęło się od buntu, wie pan, od tego buntu w Macquarie Harbour. Więźniowie opanowali statek,

200

201

a panią Vickers i Sylwię zostawili na brzegu. Był /. nimi także kapitan Frere. Biedaczki, przeszły okropne chwile. Mało co nie umarły. Ale kapitan Frere zbudował czółno i uratował ich amerykański bryg. Niestety pani Vickers żyła tylko kilka godzin, a mała Sylwia (miała wtedy dwanaście lat) doznała strasznego wstrząsu. Rozumie pan? Postradała zmysły i wszyscy byli pewni, że nigdy nie przyjdzie do siebie.

Przerażające! A czy mała Sylwia przyszła do siebie?

O tak! Jest teraz zupełnie zdrowa, tylko straciła pamięć.

Pamięć?

Tak wtrąciła szybko pani Protherick, bo też chciała powiedzieć swoje. Nie może sobie przypomnieć kilku tygodni spędzonych na bezludnym wybrzeżu w czółnie. Może coś niecoś pamięta, ale nad wyraz mętnie. Podobno...

To łaska boska! przerwała pani Jellicoe nie rezygnując z pierwszeństwa głosu. Po co miałyby pamiętać takie okropności? Mój Boże! Strach słuchać opowieści kapitana Frere'a.

Doprawdy? --- bąknął wielebny Meekin i dyskretnie otarł nos wykwintną chusteczką.

Tak, tak! Przypadkiem został w Macquarie Harbour jeden zbiegły więzień i, proszę sobie wyobrazić, panie Meekin, odszukał tych biedaków i stanowczo zażądał, by podzielili się z nim zapasami żywności. Taki łajdak! Kapitan Frere musiał go ustawicznie mieć na oku, bo mógł przecież wszystkich wymordować. Ba! Próbował nawet wyrzucić towarzysza z czółna i umknąć samotnie. Podobno to był najgorszy zbrodniarz w całej kolonii, najbardziej oporny. Warto posłuchać, jak kapitan Frere to opowiada.

- Gdzie on jest obecnie? zapytał duchowny z pew-

nym zainteresowaniem.

Kapitan Frere?

Nie. Ten zbiegły więzień.

Mój Boże, nie wiem! Pewno w Port Arthur. W każdym razie stanął przed sądem pod zarzutem ucieczki. Gdyby nie wstawiennictwo kapitana Frere'a, na pewno zostałby powieszony.

Istotnie, smutna i dziwna historia – westchnął wielbny Meekin. – I powiadają panie, że panna Vickers wcale jej nie pamięta?

Wie tylko tyle, co jej później powiedziano. Biedna dziewczyna. Jest zaręczona z kapitanem Frere'em. Z bohaterem, który ją uratował! Jakie to piękne, romantyczne.

Tak wszyscy mówią. Kapitan Frere jest znacznie starszy od narzeczonej.

Ale mimo to --- podchwycił zacny duszpasterz dziewczęce uczucia trwają wiernie przy walecznym wy-bawcy. Godna uwagi, rozczulająca historia. Zupełnie jak... ee... bluszcz i dąb, drogie panie. Upadła natura człowieka zachowała jednak cechy pełne uroku... ee... o ile się nie mylę, to ta furtka?

Gracki lokaj-zesłaniec (w minionych czasach był znanym kieszonkowcem) odszedł, aby poszukać panienki, a duchownego zostawił w bogato urządzonej salonie, za którego oknami rozciągał się przestronny, cienisty ogród. Major Vickers, inspektor kolonii karnych, był nieobecny w związku z czynnościami służbowymi, ale odnalezienie jego córki w ogrodzie nie mogło zająć dużo czasu.

Wielbny Meekin otarł spocone czoło, wysunął z rękawów śnieżnobiałe mankiety i zasiadł na sofie. Podobało mu się wytworne otoczenie i atmosfera przyjemnego chłodu. W braku lepszej analogii porównał ów zbyt kowny pokój z miękkimi fotelami, otwartym fortepianem i przepychem kwiatów do komnaty w rezydencji plantatora z Indii Zachodnich, gdzie pod gołym niebem panuje suchy żar i barbarzyństwo, w domu zaś przytulna świeżość, dobrobyt i smak wykwinny. Tak był oczarowany tym porównaniem (na ogół lubił własne myśli), że począł układać nowy list do biskupa i wymownymi słowami kreślił obraz rozkosznej oazy pośród niemiłej, pustynnej „winnicy”. Zajęty takimi myślami usłyszał nagle dobiegający z ogrodu dźwięk głosów i jak mu się wydało, szluchy i pociąganie nosem. Gchaczem wyszedł na szeroką werandę i spostrzegł na trawniku dwie osoby: starca i młodą dziewczynę. Płakał niewątpliwie starzec.

202

203

Słowo daję, panienko, to prawda, jak Boga kocham! Wróciłem do niej dopiero dziś rano. Jak można robić takie kawały staremu człowiekowi? – mówił ów siwowłosy mężczyzna w szarym mundurze zesłańca.

Stał oparty jedną ręką o podstawę kamiennej wazy, w której kwitły róże.

Twoja wina, Danny – odpowiedziała łagodnie panienka. – Wszyscy ostrzegaliśmy cię przed nią. Pewnie, pewnie. To prawda, panienko. Ale kto by pomyślał, że ona drugi raz tak mi się przysłuży.

– Ile dostałeś?

–? Sześć miesięcy, panienko. Powiedziała, że jestem pijanica i że ją biję. Ja ją biję! Mój Boże! Naturalnie jej uwierzyli, nie mnie. A teraz, jak wróciłem, zastałem w domu pełno jakichś chłopców, a jej naturalnie nie było. Za przeproszeniem panienki, szlaja się z jakimś szyprem i po-

dobno pije „Pod Jerzym Czwartym”. Jak można robić takie kawały staremu człowiekowi?

— Niewiele mogę ci pomóc, Danny westchnęła dziewczyna — Chcesz, zajmij się ogrodem jak dawniej. Porozmawiam z panem majorem, jak wróci do domu. Danny podniósł wzrok, by podziękować panience, spostrzegł jednak wielbego Meekina i zasalutował sprężystością. Panna Vickers odwróciła się i duszpasterz mógł osądzić, że młoda dama liczy około siedemnastu wiosen, ma duże łagodne oczy, bujne jasne włosy i kształtne białe dłonie, w których piastuje niewielki tomik.

— Panna Vickers, jak sądzę. Moje nazwisko Meekin, wielbny Artur Meekin.

•--- Bardzo mi miło odpowiedziała Sylwia i podając gościowi rękę spojrzała mu prosto w oczy. Papa niebawem wróci.

Towarzystwo córki wynagrodzi z nawiązką nieobecność ojca uśmiechnął się duszpasterz. Cieszę się, że miałem zaszczyt poznać panią.

Nie lubię pochlebstw, a przynajmniej takich pochlebstw, panie Meekin — powiedziała z rozbijającą szczerością zrodzoną z prostoty i urody. Proszę więc nie posługiwać się nimi. Ale na ogół młode osoby chętnie słuchają komplementów, prawda?

204

Zaskoczony nagłym atakiem wielbny Meekin zdobył się tylko na ukłon i przymilny uśmiech.

Idź do kuchni, Danny — podjęła Sylwia. — Niech ci tam dadzą trochę tytoniu. Powiedz, że ja cię przysłałam.

Pozwoli pan do salonu, panie Meekin.

Interesujący staruszek — rzekł duchowny. — Zapewne wierny sługa domu?

Tak. Zesłaniec i nasz służący. Papa wziął go wiele lat temu. Biedak dostał ostatnio za swoje. Żal mi go.

Dostał za swoje? — zdziwił się wielbny Meekin spoglądając na Sylwię, która zdejmowała właśnie kapelusik. Tak, przy budowie dróg. Miał, jak się tutaj mówi, kłopoty matrymonialne. Ożenił się z wolną kobietą znacznie od siebie młodszą. Rozpiła go, a potem oddała do więzienia za nieposłuszeństwo.

Za nieposłuszeństwo? Stokrotnie przepraszam, panie Vickers, ale chyba źle zrozumiałem.

Zrozumiał pan dobrze. Przecież Danny jest przydzielonym tej kobiecie służącym — odpowiedziała Sylwia, jak gdyby podobny obyczaj panował na całym świecie. — Źle postępował, jej zdaniem, więc mogła go wysłać do budowy dróg.

Wielbny Meekin otworzył oczy bardzo szeroko.

Zdumiewające warunki! — powiedział. — Zaczynam wierzyć, droga panno Vickers, że istotnie trafiłem na antypody.

Nie wątpię, że tutejsze społeczeństwo różni się od angielskiego. Tak mówią wszyscy nowi przybysze — odparła spokojnie panienska.

Ale żebyż żona mogła odesłać męża do więzienia! To nie do wiary!

Może też zażądać, aby dostał chłostę. Danny brał w skórę. Jego żona to bardzo zła kobieta. Głupstwo zrobił, że się z nią ożenił. Ale cóż, panie Meekin, trudno przekonać starego, jak się zakocha.

Chrześcijańskie oblicze duszpasterstwa poczerwieniało, a jego cnotliwa krew zaróżowiła nawet końce palców. Jak żyje, nie słyszał, żeby młoda dama mówiła tak po prostu i otwarcie. To straszne! Przecież czytając przed

ołtarzem Dekalog wielebny Meekin zwykł wymawiać
półgłosem jedno

205

drażliwe przykazanie, by nie urazić delikatnych uszu swoich
owieczek płci żeńskiej! Szybko zmienił niebezpieczny temat,
chociaż chętnie usłyszałby więcej o wyjątkowej władzy
„wolnych żon” w Hobarcie.

Co pani czyta, panno Vickers? zapytał wskazując
książkę.

„Pawła i Wirginię”. Czytałam to już po angielsku.

Aa... Pani zna francuski?

Nie bardzo. Miałam nauczyciela tylko przez kilka
miesięcy. Papa musiał go odesłać do więzienia. Ukradł
z jadalni srebrny kubek.

— U... ukradł? Nauczyciel... eee... wyjąkał duszpas
terz.

Tak. To był zesłaniec. Bardzo rozumny i wykształco-
ny. Pisywał niegdyś artykuły do „London Magazine”.
Niektóre z nich czytałam. Są nieprzeciętnie dobre.

— A jak... eee... jak tutaj trafił? zapytał wielebny
Meekin, zdając sobie stopniowo sprawę, że został robot
nikiem w winnicy nieporównanie większej, niż przypusz-
czał.

Zdaje się, że otruł siostrzenicę. Nic pamiętam szcze-
gółów. To był człowiek z towarzystwa, ale okropny pi-
jak.

Wielebny Meekin oniemiał. Nie mógł pojąć dziwnego
kraju, gdzie piękna młoda dama mówi beztróska o karze
chłosty i trucicielu, gdzie żona odsyła męża do więzienia,
a morderca naucza języka francuskiego. W milczeniu uper-
fumował powietrze, dobywając z kieszeni chusteczkę z cie-
niutkiego batystu.

— Pan od niedawna w Hobarcie? zapytała po chwili
Sylwia.

Tak. Ledwie od tygodnia. I przyznaję otwarcie,
jestem zaskoczony. Cudowny klimat, ale jak powiedziałem
dzisiaj pani Jellicoe, to raj nie pozbawiony węzów.

•— Anglia przysyła nam wszystkich łajdaków, trudno
zatem wymagać, aby tu był raj pozbawiony węzów obru-
szyła się Sylwia. — Nie nasza wina.

— Ach nie, skąd znowu, droga panno Vickers! pod-
chwycił Meekin zawsze skory do przeprosin. Bardzo
przepraszam, ale warunki są tu zdumie wa ją ce.
Panowie duchowni winni je poprawić. Nie mam
pojęcia, jak wyglądają kolonie karne, ale nawet w mieście
zesłańcy niewiele mają zachęty, by stać się przyzwoitymi
ludźmi.

Dwa razy w tygodniu słuchają pięknych i rozumnych
słów naszego świętego Kościoła — odrzekł wielebny Meekin
z przystojnym namaszczeniem. — Jeżeli to ich nie poprawi,
cóż można więcej?

Tak, naturalnie... Zesłańcy mają nabożeństwa... Maja,
ale tylko w niedziele. Nie mówmy o tym, panie Meekin.
Odgarnęła z czoła niesforny złocisty lok. — Papa twierdzi,
że nie powinnam roztrząsać takich kwestii, bo wszystko
odbywa się zgodnie z regulaminami królewskimi. Nie wiem,
co to znaczy, ale papa tak mówi.

Ma słuszną — przyznał z zapałem Meekin i doznał
znaczej ulgi, bo drzwi otwarły się i do salonu weszli major
Vickers i kapitan Frere.

Vickers osiwił zupełnie, lecz Frere nosił na karku
trzydziestkę tak lekko, jak inni lat dwadzieścia.

Wyobraź sobie, Sylwio, mam nadzwyczajną nowinę
zaczął major, ale zauważył gościa i urwał.

Papa zna już pana Meekina odezwała się Sylwia.
Pan Meekin, kapitan Frere.
Bardzo mi miło, że był pan łaskaw – powiedział
Vickers. Zechce pan usiąść.
Wielebny Meekin zauważył, że panienska pocałowała bez
afektacji ojca i przyszedłgo męża, ale pierwszy jej pocałunek
był nieco cieplejszy.
Okropny upał, prawda, panie Meekin? zabrał głos
Frere. Sylwio, kochanie, nie wychodziłaś chyba na słońce,
co? Wychodziłaś! A tak prosiłem...
Wcale dziś nie gorąco! – obruszyła się panienska. Też
pomysły! Nie roztopię się, nie jestem z masła. Dziękuję,
mój drogi. Nie trzeba opuszczać rolet! – Nagle, jakby
zirytowała się na siebie za własną irytację, serdecznie
wyciągnęła rękę do kapitana. – Ty zawsze o mnie dbasz,
Maurycy. Dobry jesteś.
Taki upał męczy, panie kapitanie – odezwał się
duszpasterz. – A nowego przybysza wyprowadza po trosze
z równowagi.

206

207

Może kieliszek wina? ? zaproponował J-'rere gościnnie,
niby we własnym domu. Warto oblać taką wiadomość,
jaką otrzymaliśmy dzisiaj.
A właśnie, właśnie! podchwycił major. Kieliszek
wina. Sylwio, każ podać sherry. Dobrze, moja droga? Mam
nadzieję, że mała nie nudziła pana swoimi cudacznymi
teoriami? zwrócił się do gościa.
Ależ bynajmniej, bynajmniej odparł wielebny
Meekin i uprzytomnił sobie, że osobliwej młodej damy nie
ocenia się tu normalnymi kategoriami. Porozumieliśmy
się wybornie, drogi majorze, naprawdę wybornie.
Bardzo się cieszę odrzekł major. Bo u mojej
małej co w sercu, to i na języku. Ludziom obcym często
trudno ją zrozumieć. Przyznasz mi chyba rację, Laleczko?
Laleczka wzruszyła ramionami.
Nic o tym nie wiem. Dlaczego obcy mieliby mnie nie
rozumieć? Ale we drzwiach zacząłeś, papo, mówić o jakiejś
nadwyczałnej nowinie. Cóż to takiego?
Aha! Nowina jest istotnie nadwyczałna. Wyobraź
sobie, Sylwio, capnęli łajdaków.
Aa... Co ty mówisz? Niemożliwe, papo! zawołała
Sylwia i na twarzy jej pojawił się wyraz przerażenia.
Dla tego kółka rodzinnego istniała na całym świecie tylko
jedna banda łajdaków – buntownicy z „Rybołowa”.
Na razie czterech jest pod kluczem: Rex, Barker,
Shiers i Lesly. Siedzą w ładowni „Lady Jane”. Jak żyję, nie
słyszałem tak niezwykłej historii. Łajdacy dotarli do Chin,
gdzie podali się za marynarzy z rozbitego statku. Kantońscy
kupcy urządzili składkę i wyprawili ich do Anglii. Dopiero
w Londynie poznał zbójów stary Pine, ten lekarz z „Malabara”.
Sylwia usiadła na fotelu.
A gdzie reszta? – zapytała z ożywieniem.
Dwóch stracono w Anglii. O pozostałych sześciu nic
nie wiadomo. Tę czwórkę przysłano nam na proces.
Bardzo przepraszam, drogi panie majorze, ale niezbyt
rozumiem, o czym mowa odezwał się Meekin zerkając na
sherry wzrokiem świątobliwego ascety.
– O pirackim napadzie na bryg odparł Vickers.
Stało się to pięć lat temu. Zbrodniarze wysadzili na brzeg
moją nieboszczkę żonę i tu obecną córkę. Skazali je na śmierć
głodową! Na pewno umarłyby biedaczki, gdyby nie Frere.
Niech mu Bóg tego nie zapomni! Zastrzelili szypra i żoł-

nierza, a potem... Ale to długa historia. Nie pora teraz opowiadać.

Znam ją po trosze powiedział Meekin pociągając ostrożnie wino z kieliszka, który podał mu służący-zesłaniec. Słyszałem też o pańskiej bohaterskiej postawie, kapitanie Frere.

Ach, nie ma o czym mówić zarumienił się oficer. Wszyscy jechaliśmy na jednym koniu, prawda, Laleczko? Może pozwolisz kieliszek sherry?

Dziękuję, nie mam ochoty rzuciła szorstko Sylwia. Patrzyła na słoneczną smugę pod roletą, jak gdyby światło mogło przywrócić jej wspomnienia. Co się stało? zapytał Frere pochylając się nad panią.

Nic... Nic... Próbowałam sobie przypomnieć, ale nie mogę. Wszystko się płacze. Pamiętam tylko długie, długie wybrzeże i rozległe morze i... i dwóch mężczyzn. Jeden z nich to ty, mój kochany. Przecież to ty nosiłeś mnie na rękach. Mój Boże! – westchnął wielebny Meekin.

Sylwia była wtedy małym dzieckiem – wtrącił żywo Vickers, jakby nie chciał przyznać, że utrata pamięci córki nastąpiła w wyniku choroby.

Ach, nie! Miałam dwanaście lat. Wcale nie byłam małym dzieckiem. Myślę, że tak zgłupiałam od gorączki. Frere spojrział na Sylwię i niespokojnie poruszył się w fotelu.

Najlepiej przestań, Laleczko, myśleć o tamtych sprawach powiedział.

Maurycy! Co się stało z tym drugim? zapytała nagle.

Z jakim drugim?

Z człowiekiem, który był wtedy z nami.

Z biednym Batesem?

Nie! Z więźniem. Jakże się on nazywał?

Aa... z więźniem --? bąknął kapitan takim tonem, jak gdyby i on niewiele pamiętał. – Wiesz przecież, kochanie, że został wysłany do Port Arthur.

208

Dożywotnie
zesłanie

209

Ach! dziewczyna wzdrygnęła się bezwiednie, I jest tam jeszcze?

Tak sądzę odrzekł posępnie Frere.

A, prawda! – ożywił się Vickers. Trzeba będzie ściągnąć tego łajdaka na proces. Musi potwierdzić tożsamość podsądnych.

Po co? zaniepokoił się kapitan. To samo może zrobić pan, majorze, albo ja.

Obawiam się, że nie. Po pięciu latach nie zeznam pod przysięgą, że to ten sam więzień.

– Na Boga! Ja zeznam! Nie zapominam nigdy. Wystarczy mi raz zobaczyć twarz człowieka.

Lepiej wezwiemy kilku więźniów, którzy byli wtedy w Macquarie Harbour – powiedział Vickers chcąc widocznie przeciąć dyskusję. – Nie pozwolę łajdakom przemknąć mi między palcami.

Czy w Port Arthur są starzy więźniowie? zapytał wielebny Meekin.

Naturalnie. Tam wysyłamy skazanych wyrokami „kolonialnymi”, tych najgorszych z najgorszych. Port Arthur zajmuje teraz miejsce Macquarie Harbour. Będzie tam radość, jak szkuner zawinie do portu w poniedziałek!

Radość w Port Arthur ucieszył się duszpasterz. Jakże miło to słyszeć. Ale dlaczego, kochany majorze? --- ? Widzi pan, szkuner zabierze świadków na proces. W Port Arthur mamy przeważnie dożywotnich, a dla takich podróż do Hobartu stanowi nie lada atrakcję. To dożywotni nie opuszczają nigdy miejsca zesłania? – zapytał Meekin chrupiąc delikatnie herbatnik. Przykre doprawdy!

Nigdy. Dopiero po śmierci roześmiał się Frere. Wówczas grzebie się ich na małej wysepce. To uroczy zakątek, malowniczy. Powinien pan wybrać się tam ze mną, panie Meekin.

Mój drogi – rzuciła szorstko Sylwia i na znak protestu ruszyła w stronę fortepianu. Wstyd mówić w podobny sposób o takich sprawach!

– Chętnie zwiedziłbym tamte okolice odrzekł Meekin chrupiąc nadal herbatnik. Sir John wspomniał

210
w mojej obecności, że w Port Arthur wakuje stanowisko kapelana, a klimat jest tam podobno zupełnie znośny. Lokaj-zesłaniec, który wszedł z jakimiś służbowymi papierami dla majora, spojrział ze zdumieniem na wymuskanego duszpasterza, a Maurycy Frere roześmiał się ponownie na całe gardło.

Co tam znośny! Cudowny! zawołał. – Wymarzone miejsce dla człowieka takiego jak pan, panie Meekin. Urocza mała kolonijka i najlepsza w Kraju Van Diemena kuźnia złośliwych plotek.

Beztraska konwersacja o klimacie i plotkach raziła w zestawieniu z cmentarzem na odludnej wysepce i ludźmi skazanymi na dożywotnie ciężkie roboty. Sylwia była zapewne takiego zdania, bo uderzyła kilka akordów, zmusiła więc całe towarzystwo do uprzejmego milczenia, a wielbnemu Meekinowi przypomniała, że wypadałoby się pożegnać.

Do zobaczenia, droga panno Vickers --- powiedział duszpasterz z najśłodszy z uśmiechów. – Stokrotnie dziękuję za doskonałą muzykę. Przepadam za tą śliczną, starą melodią. Lubili ją też biedna lady Jane i przewielebny biskup. Bardzo przepraszam, panie kapitanie Frere, ale nadzwyczajna nowina... Mam na myśli ujęcie piratów, rozumie pan... Otóż nadzwyczajna nowina usprawiedliwi mnie zapewne, gdy poruszę delikatny temat. Jak miło patrzeć na pana, drogi kapitanie, i pańską czarującą narzeczoną. Wybawca i ocalona. Prawda, kochany majorze? „Nikt, jeno śmiały, nikt, jeno śmiały, nikt, jeno śmiały godzien jest zdobyć piękność!” Pamięta pan naturalnie te słowa wielkiego Johna*? Aleja gadam i gadam... Do widzenia, drodzy państwo!

Może to nieco zbyt odległe zaproszenie – powiedział Vickers łatwy do pozyskania przez każdego, kto chwali jego córkę – jeżeli jednak nie ma pan w planie nic lepszego, zechce pan przyjść do nas na obiad w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Tego dnia urządzamy zazwyczaj skromne przyjęcie. Zaszczyci pan nas, panie Meekin?

* John Dryden (1621 -1700) poeta i dramaturg angielski. Zacytowane zdanie wzięte z „Ucztę Aleksandra” (przyp. tłum.).

211
To dla mnie zaszczyt i prawdziwa przyjemność odparł ugrzeczniony duszpasterz. Tak! Prawdziwa przyjemność. Jakże miło spotkać w tej uroczej kolonii ludzi o pokrewnych gustach. Ale pora na mnie! Jeszcze raz: do widzenia!

Kiedy drzwi się zamknęły, Sylwia wybuchnęła śmiechem.

Pocieszna figura! Ach, te rękawiczki i mankiety, i uczesanie, i rozsiewane wonie! Mój Boże! Takie ciepłe kluski mają wskazywać ludziom drogę do nieba. Wolę już starego pana Bowesa, chociaż jest ślepy jak kret i często irytuje cię, papo, bo jak powiadasz, lubi zalewać robaka. Ależ, Sylwio! – zgromił córkę major Vickers. Pan Meekin to duchowny. Nie wiesz tego?

Wiem, wiem! Ale dlaczego duchowny nic może mówić jak człowiek? Że też nam przysyłają takich cuda-ków! Na pewno w starym kraju przydaliby się znacznie bardziej. Ach, papo! Biedny Danny znów do nas wrócił. Powiedziałam mu, że może pójść do kuchni. Dobrze zrobiłam, prawda?

Dobrze, Laleczko, dobrze. Major pocałował córkę. Najchętniej zapełniłabyś cały dom włóczęgami. Cóż, trzeba go zostawić. A co mu się znowu przytrafiło?

Żona zamknęła go za to, że się upija. Żona! Dobrze sobie! Ciekawa jestem, po co ludziom żony?

Zapytaj Maurycyego uśmiechnął się ojciec. Sylwia zachnęła się i odskoczyła od majora. – A cóż on o tym może wiedzieć? Maurycy! Jesteś głuptas i niedźwiedź i nie kochałabym cię ani trochę, gdybyś nie uratował mi życia. Masz! Możesz mnie pocałować ~ zmieniła ton głosu. – Zdenerwowała mnie ta gadanina o zesłańcach i koloniach karnych. Tak! Byłabym niewdzięczna, gdybym cię nie kochała.

Maurycy Frere zarumienił się mocno, spełnił polecenie narzeczonej i odwrócił się do okna. Mężczyzna w szarym mundurze pracował w ogrodzie i pogwizdywał wesoło.

Wcale im się tak źle nie powodzi mruknął cicho kapitan.

Co mówisz, mój drogi? zapytała Sylwia.

Mówię, że niewart jestem ciebie! wybuchnął.

Ja... ja...

O moim szczęściu musisz myśleć, waleczny kapitanie przerwała. Uratowałeś mi życie, a więc byłabym złą dziewczyna, gdybym cię nie kochała. Nie! Nie chcę już pocałunków! rzuciła znowu szorstko. – Papo, na dworze już chłodno. Chodźmy pospacerować w ogrodzie. Maurycy może tu zostać i medytować o swojej niedoskonałości. Frere zmierzył posępnym wzrokiem odchodzącą parę. Wciąż zaniebuje mnie dla ojca – szepnął do siebie. Ciekawe, czy naprawdę kocha, czy jest tylko wdzięczna? Często zadawał sobie to pytanie, ale w trakcie pięcioletnich zalotów nie znalazł nigdy zadowalającej odpowiedzi.

II

Żądanie Sary Purfoy

Wieczór minął podobnie jak sto innych. Kapitan Frere wypalił fajkę w koszarach, a następnie wrócił do siebie. Mieszkał w niewielkim domku przy drodze do Nowego Miasta, a rezydencję tę zajmował od czasu, gdy w uznaniu zasług z okresu buntu na „Rybołowie” uzyskał stanowisko audytora sądu karnego. Kapitan Maurycy Frere robił karierę. Miał przydział w Hobarcie, w miejscowym towarzystwie zajmował dobrą pozycję, a ponadto piastował kolejno kilka lukratywnych posad, przydzielanych od roku 1834 oficerom w służbie czynnej. Był inspektorem robót w Bridgewater, a po awansie na kapitana audytorem sądu karnego w Bothwell. Sprawa brygu „Rybołów” narobiła hałasu, a więc koła urzędowe postanowiły taktownie, że pierwsze „ciepłe miejsce”, które zawakuje, przypadnie w udziale walecznemu zbawcy córki majora Vickersa.

Temu ostatniemu wiodło się również dobrze. Był zapobiegliwy i skromny, oszczędził więc trochę pieniędzy i kupił

ziemię na bardzo dogodnych warunkach. System „pracy przydzielonej” pozwolił mu gospodarować tanim kosztem, a więc przyjętym wówczas zwyczajem prowadził coraz większą hodowlę owiec i bydła. Ponadto sprzedał korzystnie

212

213

stopień oficerski i na starość został zamożnym człowiekiem. Był dobrze widziany w Pałacu Rządowym, a zajmowany urząd inspektora kolonii karnych zapewniał mu władzę i pozycję „na świeczniku”. Major Vickers pionier kolonialny mimo woli stał się z biegiem czasu jedną z pierwszych osobistości w Kraju Van Diemena. Jego córka była doskonałą partią, toteż Maurycemu Frere'owi zazdrościł szczerze niejeden chorąży lub porucznik marniejący w prowincjonalnym garnizonie, niejeden syn bogatego osadnika uwięziony między górami na ojcowskiej farmie, niejeden szykowny funkcjonariusz administracji cywilnej. Ten i ów posuwał się nawet do twierdzenia, że urodziwa jedynaczka „regulaminowego Vickersa” zasługuje na kogoś lepszego niż pospolity i rumianogęby Frere, znany z upodobania do złego towarzystwa, grubiańskich manier i obrzydliwej pewności siebie. Natomiast nikt nie przeczył, że kapitan Frere jest doskonałym oficerem. Chodziły o nim różne słuchy. Podobno dzięki niewybrednym gustom rozumiał świat zesłańców lepiej niż ktokolwiek inny. Podobno przebierał się niekiedy i wchodził w towarzystwo więźniów na urlopie oraz zesłańców-służących, aby poznać tym lepiej ich podstępny i sekretne zwyczaje. Kiedy sprawował władzę w Bridgewater, lubił wymyślać więźniom w ich własnym ohydny żargonie, a nowego przybysza zdumiewał niekiedy znajomością jego dotychczasowej kariery. Podwładni nienawidzili kapitana i zabiegali o jego względy, gdyż z okrucieństwem i gwałtownością charakteru łączył specyficzny wisielczy humor, który pozwalał mu przymykać niekiedy oko i lekceważyć literę prawa. Ale, jak mówili zesłańcy, „z kapitanem człowiek nie mógł być niczego pewien”. Maurycy Frere potrafił pić i żartować w szynku, którego właścicielce patronował, a następnie wynieść się cichaczem bocznymi drzwiami w chwili, gdy frontowymi wkraczała policja. Nazajutrz zaś karał schwytych biedaków tak surowo, jak gdyby sam nigdy w życiu nie przestąpił progę knajpy. Przełożeni nazywali takie postępowanie „gorliwością”, zesłańcy „zdrada”, a Frere zwykł mawiać ze śmiechem, że „z hultajami wszelkie metody są godziwe”.

Ale wraz ze zbliżaniem się terminu ślubu kapitan zrezygnował stopniowo z podobnych metod i całym postępowaniem usiłował pokryć liczne głośne skandale dotyczące jego życia osobistego, o których utrzymanie w sekrecie nie dbał zupełnie dawnymi czasy. Jako komendant kolonii karnej na Wyspie Marii i następnie w ciągu dwu lat po powrocie z niefortunnej wyprawy do Macquarie Harbour nie liczył się bynajmniej z opinią publiczną, a stanowisko swoje począł zmieniać dopiero wtedy, gdy owładnęło nim uczucie do dziewczyny czystej, uczciwej i traktującej go jako wybawcę. Wówczas zamknął księgę doświadczeń rozpustnego życia kolonialnego i nie zamierzał zaglądać do niej więcej. Nie miał wyrzutów sumienia, nie odczuwał nawet przesytu. Po prostu doszedł do wniosku, że jako kandydat do stanu małżeńskiego winien położyć kres kawalerskim wybrykom. Ale nie dręczyły go widma przeszłości pełnej głupstw i grzeszków nieobcych znamienitej większości młodych mężczyzn. Miał naturę zbyt prozaiczną, aby dostrzec istnienie upiórów takiego pokroju. Sylwia górowała nad nim tak bardzo, że wznosząc wzrok ku narzeczonej przestawał

dostrzegać kobiety, do których poziomu zwykł zniżać się niegdyś. Ale na tym nie koniec. Grzechy z okresu poprzedzającego przemianę dokonaną za sprawą istoty doskonałej i szlachetnej uważał za popełnione w innych warunkach bytu i nie obciążające go odpowiedzialnością. Mimo wszystko jednak grzechy te dawały niekiedy znać o sobie, a jeden z nich groził konsekwencjami właśnie tego wieczora.

Zgodnie z otrzymanymi rozkazami służący-zesłaniec oczekiwał kapitana, a gdy ów przyszedł wreszcie do domu, oddał mu list zaadresowany kobiecym charakterem pisma. Kto to przyniósł? – zapytał Frere rozdzierając pospiesznie kopertę.

Lokaj z gospody „Pod Jerzym Czwartym”, panie kapitanie. Mówił, że jeden pan czeka tam na pana kapitana. Frere uśmiechnął się na myśl o tak inteligentnym przekazaniu wiadomości, a potem zrobił chmurną minę po przeczytaniu listu.

Nie czekaj na mnie powiedział służącemu.

Trudno. Będę musiał wyjść znowu.

Zmienił czapkę na miękki kapelusz, wybrał laskę ze stojącej w kącie bogatej kolekcji i ruszył w stronę miasta własnym śladem.

214

215

Czego ta znów może chcieć ode mnie? pomrukiwał gniewnie, idąc drogą skapaną w księżycowym blasku.

Jednakże w gniewnym tonie brzmiała utajona nuta lęku, która pozwalała się domyślać, że „ta” ma prawo liczyć na spełnienie wszystkiego, czego chcieć by mogła.

Gospoda „Pod Jerzym Czwartym” mieściła się w długim, niskim budynku położonym przy Elisabeth Street. Front jej był pomalowany na kolor ciemnokrwisty, a drobne szybki w oknach i ostentacyjnie szkarłatne zasłony miały stwarzać pozory staroangielskiej przytulnej gościnności.

Grupa mężczyzn stojących przed wejściem do baru stopniała na widok kapitana, gdyż minęła już jedenasta, a po ósmej wieczorem każdemu przechodniowi grozić mogły kłopotliwe pytania lub żądania okazania przepustki. Utworzona z zesłańców straż porządkowa gorliwie spełniała obowiązki, a Frere w letnim szarym ubraniu był na pozór podobny do przedstawiciela straży.

Oficer musiał znać ów dom dobrze, bo bez wahania pchnął boczne drzwi i minął długi, wąski korytarz zakończony drugimi drzwiami – oszklonymi. Zastukał i po chwili poszedł na piętro za bladą, dziobatą młodą Irlandką, która wpuściła gościa i ukłoniła mu się nisko.

Pokój, w którym się znalazł, był duży, bogato umeblowany i miał trzy okna z widokiem na ulicę. Dywan był gruby i miękki, świece płonęły jasno, a na stoliku między oknami kusząco połyskiwała taca z kolacją. Na spotkanie kapitana wybiegł z głośnym szczekaniem mały terier, co dowodziło, że pan Maurycy Frere nie był tu częstym gościem. Potem zaszeleścił jedwab kobiecej sukni. Kapitan zatrzymał się przed otomaną i stanął twarzą w twarz z Sarą Purfoy.

Dziękuję, że przyszedłeś powiedziała. Siadaj.

Innych słów powitania nie wymienili. Frere usadowił się posłusznie na miejscu wskazanym przez pulchną, upierścienioną rękę.

Minione jedenaście lat łagodnie obeszło się z Sarą Purfoy. Miała równie jak niegdyś drobne stopy i białe dłonie. Jej gładko uczesane włosy były lśniące i bujne, oczy nie utraciły nic z wyzywającego blasku. Za to kibić sprawiała wrażenie mniej strzelistej, a skłonny do pochlebstw portrecista zmie-

niłby chyba nieco zarys ramion widocznych pod muślinem sukni. Ale najbardziej uderzające zmiany nastąpiły w twarzy, która zaokrągliła się i utraciła dawną cerę, tak nadzwyczajnie czystą i jasną. Na policzkach rysowały się gdzieś tam szkarłatne żyłki – owe pierwsze oznaki starzenia się urodziwych kobiet. Wraz ze średnim wiekiem i zaokrągleniem figury, do czego mają zazwyczaj skłonności kobiety o bujnym temperamencie, pojawiła się również mało uchwytna, lecz niewątpliwa wulgarność głosu i ruchów – cecha, którą długotrwały brak hamulców moralnych wywołuje niezawodnie.

Maurycy Frere odezwał się pierwszy, gdyż zależało mu bardzo na skróceniu niemiłej wizyty.

Czego chcesz ode mnie? zapytał.

Sara Purfoy wybuchnęła śmiechem tak nienaturalnym, że gość spojrzał na nią uważnie.

Mam zamiar prosić cię o łaskę, o wielką łaskę, jeżeli oczywiście nie sprawi ci to kłopotu – powiedziała.

O co chodzi? – rzucił kapitan szorstko i posępnie.

Masz zamiar prosić mnie o łaskę. Dobrze sobie! A to co, jeżeli nie moja łaska? wybuchnął uderzając o poręcz otomany. – A ten piękny hotel i całe urządzenie twojego mieszkania czym jest, jeżeli nie moją łaską? Mów, o co chodzi!

Ku niezmiernemu zdziwieniu kobieta odpowiedziała potokiem łez. Frere milczał przez czas pewien, nie ulegając tak prymitywnej metodzie oddziaływania, na koniec jednak zorientował się, że musi coś powiedzieć.

– Znowu zaczęłaś pić? – zapytał. – A może dolega ci coś innego? Mów, czego chcesz i szybko zakończmy sprawę. Nie wiem doprawdy, po co tu w ogóle przyszedłem.

Sara wyprostowała się i gwałtownie otarła oczy wierzchem dłoni.

Jestem chora. Nie widzisz, głupcze? – powiedziała.

Zupełnie wykoleiła mnie ta wiadomość. Jeżeli nawet znowu zaczęłam pić, co z tego? Chyba to nie twój interes, prawda?

Nie mój, przyznaję. Jedynie ty jesteś osobą zainteresowaną. Jeżeli sobie życzysz, możesz zapić się na śmierć. Nie przeszkadzam.

216

217

T

-?? Pewnie! Bo nie ty płacisz za brandy odpaliła z wprawą dowodzącą, że to nie pierwsza ich sprzeczka.

No, gadaj, o co chodzi rzucił gniewnie. Nie myślę siedzieć tu do rana.

Sara przysunęła się do niego.

Maurycy, bardzo mnie dawniej lubiłeś...

Słusznie: dawniej? – przerwał.

Nie tak znów bardzo dawno

Do licha! Nie zaczynamy jeszcze ra/ od początku!

wybuchnął strącając jej dłoń z ramienia. Kiedy lubiłem cię, nie piłaś jeszcze, nie klęłaś, nie wpadałaś w pasję z byle przyczyny.

Mój drogi podjęła, a spojrzenie jej pięknych, lśniących oczu harmonizowało z łagodnym brzmieniem głosu – ciężko pokutowałam za swoje winy. Chyba mi przyznasz rację? Wypędzałeś mnie na ulicę, jak psa tłukłeś batem, wtrącałeś do więzienia... Trudno walczyć przeciwko tobie, Maurycy.

Frere uśmiechnął się. Komplement pod adresem jego nieugiętego uporu przypadł mu do gustu, zapewne zgodnie z planem przebiegłej kobiety.

– Mniejsza o to, Saro. Najlepiej dajmy spokój dawnym czasom. Ostatecznie powiodło ci się nie najgorzej rozejrzała się po bogato umeblowanym pokoju. Mów, czego żadasz.

– Dziś rano zawiął do portu frachtowiec. Zawinał. I co z tego?

Przecież ty wiesz, kogo przywiózł.

Aha! O to chodzi! roześmiał się ochryple. Na

Boga, jaki osioł ze mnie, że od razu nie zgodłem! Chcesz się z nim widzieć, prawda?

Przysunęła się znowu i chwyciła oficera za rękę.

– Chcę mu uratować życie szepnęła.

– Dobrze sobie! Uratować mu życie! Wiesz sama, że tego się nie da zrobić.

?– Da się zrobić! wybuchnęła. Ty możesz to zrobić, Maurycy!

Ja? Ja miałbym ratować życie Johna Rexa? Chyba oszalałaś, kobieto!

– Posłuchaj, Maurycy. To jedyny na świecie człowiek, który mnie kocha, który dba o mnie. Przecież nie zrobił nic
218

złego. Chciał tylko odzyskać wolność. Chyba to naturalne pragnienie, prawda? Ty potrafisz go uratować, jeżeli chcesz. Proszę jedynie o jego życie. Co ci to szkodzi? Co może przynieść komu śmierć nieszczęśliwego więźnia? Pozwól mu żyć, Maurycy!

Dlaczego właśnie ja? roześmiał się Frere.

Bo jesteś najważniejszym świadkiem w jego sprawie.

Nie będzie wisiał, jeżeli powiesz, że zachował się przyzwoicie. A tak się przecież zachował. Rozumiesz to chyba? Inny na jego miejscu zostawiłby cię na śmierć głodową, bez żywności.

Nie będzie wisiał, powiadasz? Mnie to obojętne.

Zmiłuj się, Maurycy! pochyliła się ku niemu

i próbowała utrzymać jego rękę, lecz wyrwał ją gwałtownie.

Miła z ciebie niewiasta! powiedział. – Chcesz,

bym ratował łotra, który zostawił mnie na pewną śmierć na tamtym przeklętym wybrzeżu. Wzdrygnął się na wspomnienie dotkliwych upokorzeń sprzed pięciu lat. – Jego

ratować! Do diabła! Niech to robi ktoś inny, nie ja.

Zrobisz to, Maurycy, zrobisz – podjęła kobieta

z tłumionym łkaniem. – Cóż ci to szkodzi? Przecież nie

dbasz już o mnie. Pobiliś mnie, wyrzuciłeś za drzwi, chociaż

nie uraziłam cię niczym. Tamten by! moim mężem, nim

jeszcze ciebie spotkałam. Nigdy nie skrzywdził cię i nie

skrzywdzi. Będzie ci błogosławił, jeżeli go uratujesz, Maurycy.

Będzie mi błogosławił! zawołał kapitan. – Nie

życzę sobie takich błogosławieństw. Niech dynda! Co mi do tego?

Sara nie myślała ustąpić. Błagając zdławionym głosem

0 zmiłowanie, zalewała się łzami, wyciągała do kapitana

białe ręce, nawet na klęczkach czepiała się jego surduta.

Szalona, piękna, zrozpaczona przypominała zdradzoną

1 opuszczoną Ariadnę, poniżoną Medeę. Trudno było

pomy

śleć, że to nieszczęśliwa, półobłąkana, samotna kobieta prosi

o życie swojego męża – zbrodniarza i zesłańca.

Maurycy Frere zaklął i odtrącił Sarę.

•- Wstawaj! – krzyknął grubiańsko. – I przestań

bredzić! Ja nic nie zrobię dla tego człowieka. Możesz go uważać za trupa. To moje ostatnie słowo.

219

Długo tłumiona pasja wybuchnęła wrsc/cie.

Twoje ostatnie słowo! powtórzyła Sara i zerwaw-

szy się z kolan odgarnęła włosy z czoła. Coś ty za jeden,

żeby tak do mnie mówić? Niewart jesteś jego małego palca. On to mężczyzna, prawdziwy, dzielny mężczyzna. Nie taki jak ty tchórz... Tak! Tchórz! Tchórz! Tchórz! Odważny jesteś wobec bezbronnej mężczyzny i słabej kobiety. Biłeś mnie do krwi, kundlu! Ale kto widział kiedy, żebyś uderzył mężczyzną, jeżeli ten mężczyzna nie był związany lub skuty łańcuchami? Dobrze cię znam. Nieraz widziałam, jak kato- wałeś skazanego na chłostę więźnia. Nieraz modliłam się, żeby ten biedak zerwał pęta i zamordował cię, jak na to zasłużyłeś... Zapamiętaj dobrze, co ci teraz powiem! Pew- nego dnia Maurycy Frere zostanie zamordowany. Ludzie, żywi ludzie z krwi i kości nie wytrzymają tortur, jakie im zadajesz. Ja ci to mówię.

Dobrze, dobrze, Saro przerwał jej poblady nagle Maurycy. Niepotrzebnie się podniecasz.

Znam cię, ty tchórze i dręczycielu! podjęła. Nie na próżno byłam twoją kochanką, wybac mi to, Boże! Nauczyłam się ciebie na pamięć. Od początku widziałam twoją głupotę i zarozumiałość. Słyszałam, jak drwili z ciebie ludzie, których karmiłeś smakołykami i poiłeś winem. Sły- szałam, co mówili o tobie rzekomi przyjaciele, jakie robili porównania. Każdy pies ma tyle co ty rozumu i dwa razy tyle serca. Na Boga! Takich ludzi przysyłają nam na władców! Takie bydła jak ty ma wobec nas prawo życia i śmierci! Powieszysz także, że on będzie dyndał? Dobrze! W takim razie mnie powieszysz także, a Bóg wybaczy mi morderstwo, bo zabiję tylko ciebie! Słyszysz? Zabiję!

Frere znosił po stoicku cały atak furii, lecz na ostatnie słowa postąpił w stronę Sary, jakby chciał ją uderzyć.

Z rozpaczliwą odwagą stanęła naprzeciw niego.

— ? Bij mnie! Katuj! — krzyknęła. A widzisz? Boisz się,

tchórze! Może chcesz świadków? Dobrze! Zawołaj tu te wszystkie nieszczęsne istoty, które za twoją sprawą poznały w tym przeklętym domu drogę do piekła. Zawołaj je, niech patrzają! To twoje dawne przyjaciółki. Wszystkie przeszły przez ręce kapitana Maurycego Frere'a.

— Saro!

Pamiętasz Lucy Barnes, co ukradła kawałek perkalu wart sześć pensów? Ciekawe, czy poznałbyś ją teraz. Nie jest już dzieckiem o pogodnej twarzyczce, jakim była, kiedy zesłano ją tutaj „dla poprawy obyczajów”, a porucznik Frere doszedł do wniosku, że przyda mu się nowa pokojówka. Zawołaj ją! Zawołaj! Słyszysz? Zapytaj o Lucy Barnes któregośkolwiek z łotrów skazywanych przez ciebie na kajda- ny i chłostę. Każdy powie ci wiele o niej... o niej i wielu innych nieszczęśliwych kobietach zdanych na łaskę każdego bydła- ka, co ukradnie gdzieś funta na łapówkę dla strażników. Boże! Panie na niebie! Czy nigdy nie osądzisz tego nikczem- nika?

Frere zadrżał. Często widywał wybuchy gniewu Sary, ale z takim orkanem nie zetknął się nigdy dotąd. Był przerażony jego gwałtownością.

Saro, uspokój się. na miłość boską — powiedział.

Czego chcesz? Co masz zamiar zrobić?

Pójdę do twojej narzeczonej. Powiem wszystko, co wiem o tobie. Nieraz spotykam ją na ulicy. Widzę, jak odwraca głowę, kiedy mnie mija. Widzę, jak zagarnia muślinowe spódnice, kiedy przypadkiem dotkną moich jedwabi. A przecież ja niańczyłam ją, słuchałam jej dziecin- nych pacierzy... Ulituj się nade mną. Boże! Wiem, co ona myśli o takich jak ja kobietach. Jest dobra, cnotliwa, zimna. Zadrży, kiedy usłyszy ode mnie słowa prawdy. Zadrży i znienawidzi ciebie. A ja powiem jej wszystko. Zobaczysz!

Chcesz być człowiekiem szanowanym, wzorowym mężem. Poczekaj! Niech ona najprzód posłyszy coś niecoś ode mnie, niech pozna kilka nieszczęśliwych kobiet, które ja do niej pošlę. Chcesz zabić moją miłość? Dobrze! W takim razie ja zniszczę i podepcę twoją.

Frere chwycił Sarę za ręce i siłą rzucił na klęczki. Nie wymawiaj tylko jej imienia, bo stanie się nieszczęście powiedział ochryłym głosem. — Wiem, co knujesz. Nie jestem takim głupcem, by tego nie odgadnąć. Milcz! Ludzie mordowali nieraz takie jak ty kobiety. Teraz rozumiem, co ich do tego przywodziło. Przez kilka minut panowała cisza. Na koniec kapitan wypuścił ręce Sary Purfoy i cofnął się o kilka kroków.

220

221

Zrobię to, czego żadasz, ale pod jednym warunkiem rzekł głucho.

Pod jakim?

Że stąd wyjedziesz.

Dokąd?

Dokądkolwiek. Im dalej, tym lepiej. Zapłacę za twój przejazd do Sydney. Możesz tam zostać albo udać się dalej. Jak zechcesz.

Słowa te znacznie uspokoiły Sarc.

-- A co będzie z tym domem? zapytała.

Masz długi?

Nie.

Więc zostaw dom, Czyja wiem?... To twoja sprawa, nie moja. W każdym razie musisz wyjechać, jeżeli ja pomogę. A jego będę mogła zobaczyć.

Nie.

Ach, Maurycy!

Możesz go zobaczyć na ławie oskarżonych, jeżeli zechcesz roześmiał się Frere, ale spowaźniał zaraz na widok gniewnego błysku w oczach kobiety. No, nie denerwuj się. Nie chciałem cię dotknąć.

Ty nie możesz mnie dotknąć. Mów dalej.

Posłuchaj, Saro — podjął. Jeżeli stąd wyjedziesz i obiecasz, że nigdy nic zakłócisz spokoju mnie ani moim bliskim, zrobię to, czego żadasz.

Co mianowicie? — zapytała z bezwiednym niemal, niemożliwym do powstrzymania uśmiechem triumfu.

Nie powiem wszystkiego, co wiem o tym człowieku.

Zeznam w sądzie, że wobec mnie postąpił przyzwoicie.

Postaram się go uratować.

I uratujesz, jeżeli naprawdę zechcesz! zawołała.

Nie wiem, ale honorem ręczę, że spróbuję. — Cóż, muszę ci wierzyć szepnęła z powątpiewaniem i zaraz dodała tonem prośby, kontrastującym dziwnie z tak niedawną pasją. — Ale ty mnie nie okłamujesz,

Maurycy?

Nie. Dlaczego miałbym cię okłamywać? Ty dotrzymasz swojej obietnicy, ja swojej. No i co? Sprawa załatwiona?

Załatwiona, Maurycy

Przez chwilę mierzył ją przenikliwym wzrokiem, a następnie odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

Maurycy!

Sara знаła go dobrze, wiedziała więc, że dotrzyma słowa, ale jej kobieca natura nie potrafiła odmówić sobie pożegnanej drwiny.

Nasza umowa nie broni mi pomóc mu w ucieczce powiedziała z uśmiechem.

W ucieczce! Ręczę ci, że on nie ucieknie. W Port Arthur i w kajdanach będzie zupełnie nieszkodliwy. – Frere uśmiechnął się; widocznie uśmiech tej kobiety był zaraźliwy. Dobranoc, Saro.

Wyciągnęła do niego rękę, jak gdyby nie zaszło nic osobliwego.

Dobranoc, kapitanie Frere powiedziała. – A więc nasza umowa zawarta?

Tak, zawarta.

Daleko masz do domu. Nie napijesz się brandy?

Wszystko mi jedno. Mogę się napić – poszedł do stołu i nalał sobie kieliszek. – Szczęśliwej podróży, Saro. Spojrzała na niego i wybuchnęła śmiechem.

Dziwni są ludzie – powiedziała. – Kto by pomyślał, że przed chwilą wymyślaliśmy sobie! Okropna ze mnie jędza, jak się rozzłoszcę. Prawda, Maurycy?

Pamiętaj, co mi przyrzekałeś – odparł tonem po- gróżki. Musisz odpłynąć stąd najbliższym statkiem.

Nie bój się. Odpłynę.

Na chłodnej ulicy pod wygwieżdżonym niebem Frere spojrział na morze oddychające spokojem, którego jemu tak brakowało. Daremnie starał się otrząsnąć z nerwego lęku. Rozmowa z Sarą była przerażająca, gdyż zmusiła go do myślenia. Oto odwraca nową kartę życia, lecz na niepokalanej bieli uparcie pojawiają się dawne kleksy. To straszne! Dla własnej wygody postanowił zapomnieć o przeszłości, lecz przeszłość przypomina o sobie okrutnie i brutalnie.

222

223

III

Dzieje pary drapieźników

W roku 1825 mieszkał w Saint Helicrs na wyspie Jersey zegarmistrz Urban Purfoy. Dzięki pracowitości dorobił się skromnego majątku, mógł więc dać wnuczce wykształcenie nieco lepsze od przeciętnego w owych czasach. W szesnastym roku życia Sara była pustą, upartą, lekkomyślną dziewczyną o wielkich ciemnych oczach. O kobietach miała jak najgorszą opinię i szczerze podziwiała młodych, przystojnych reprezentantów płci odmiennej. Sąsiedzi zwykli mawiać, że jak na swoją pozycję zbyt nio zadziera nosa. Dziadek uważał ją za piękność, podobnie jak jej nieboszczkę matkę. Sama dziewczyna szacowała dość nisko swoje walory zewnętrzne i bardzo wysoko umysłowe. Kipiała chęcią życia i silnymi namiętnościami, a skrupuły religijne nie stanowiły dla niej hamulca. Niechęć do nudnego życia, jakie wieść jej przyszło, wyrażała buntem przeciwko utartym zwyczajom. Lubiła zwracać uwagę ekscentrycznością stroju i była najbardziej kontenta, gdy rozumiano ją niewłaściwie. Należała do młodych osób, o których kobiety mówią: „Jaka szkoda, że ona nie ma matki!”, a mężczyźni: „Tej małej przydałby się mąż”. Takie dziewczęta często zadają sobie w duchu pytanie: „Kiedy nareszcie będę miała kochanka?”.

Kandydatów na amanta nie brakło pośród oficerów stacjonujących w Port Royal i Fort Henry, lecz żeńska ludność wyspy była liczna i nie wyróżniała się surowością obyczajów, wobec czego Sary nie dostrzegano w nadmiarze bogactwa. Panna Purfoy przepadała za wojskowymi, ale jej pierwszym kochankiem został cywil. Kiedy pewnego dnia spacerowała nad morzem, wpadł jej w oko wysoki, przystojny, dobrze ubrany młodzieniec. Był to pan Lemoine, syn zamożnego obywatela wyspy, który przyjechał z Londynu dla poratowania zdrowia i złożenia wizyty rodzinie. Spotkanie było oczywiście przypadkowe, lecz oczarowana powierz-

chownością młodego dżentelmena Sara obejrzała się za nim. On obejrzał się również, zawrócił, dogonił dziewczynę, przemówił do niej. Jego głos wydał się pannie Purfoy muzyką niebiańską. Wymienili kilka potocznych uwag o pogodzie, wietrze, krajobrazie, samotnych przechadzkach i nudach w Saint Heliers.

Często pani tu spaceruje?

Czasami.

A jutro przyjdzie pani?

Tak sądzę.

Pan Lemoine uniósł kapelusza i udał się na obiad bardzo z siebie zadowolony.

Spotkali się nad morzem drugiego dnia i trzeciego. Pan Lemoine nie był dżentelmenem, obracał się jednak między dżentelmenami i przyswoił sobie trochę ich manier. Był zdania, że cnota to w gruncie rzeczy puste słowo, bo świat szanuje bogatych i potężnych bardziej niż biednych i uczciwych. Sara podzielała ów pogląd. Jej dziadek był przecież biedny i uczciwy, a nikt nie darzył go respektem – przynajmniej nie takim respektem, na jakim jej by zależało. Oprócz daru wymowy pan Lemoin miał prezencję i pieniądze; podczas jednej z przechadzek pokazał pannie Purfoy gruby plik banknotów. Ponadto interesująco opowiadał o Londynie i stołecznych wielkich damach. Napomykał dyskretnie, że damy te nie zawsze są cnotli wie, a robił przy tym taką minę, jak gdyby sam często był przyczyną fatalnych zbroczeń z drogi cnoty. Panna Purfoy przyjmowała te przechwałki za dobrą monetę. Sama uległaby przecież chętnie tak szykowemu młodzieńcowi, gdyby była stołeczną wielką damą. Zaczęła kokietować lwa salonowego, dając do zrozumienia, iż ona również zna życie i zdaje sobie sprawę z iluzorycznej wartości cnoty. Pan Lemoine brał jej spryt za naiwność i poczynął uważać się za zdobywcę. Był zdania, że dziewczyna jest ładna, a ubrana jak należy, wyglądałaby zupełnie znośnie. Drogę miłości zagrażała tylko jedna przeszkoda: wytworny dandys był ubogi. W Londynie żył nad stan, a ojciec nie zdradzał chęci powiększenia jego dochodów. Sarze podobał się bardziej niż ktokolwiek z dawniej poznanych mężczyzn. Ale panna Purfoy miała cel ściśle określony: koniecznie chciała znaleźć się w Londynie. Daremnie wielbiciel wzdychał i przysięgał dozogonną miłość. Opór czystej Diany mógł skruszyć tylko wyjazd do stolicy, im dłużej drożyła się Sara, tym bardziej pożądał jej londyński

224

i 5

Dożywotnie

zesłanie

225

złoty młodzieniec. Jego pragnienia rosły w stosunku wprost proporcjonalnym do jej oporu. Wreszcie ustąpił lubej i pożyczył dwieście funtów od zaufanego subiekta swego ojca.

Pary tej nie łączyło uczucie. Próżność była głównym motywem jej postępowania. On nie miał ochoty dostać kosza. Ona sprzedała się za przejazd do stolicy i wprowadzenie do „wielkiego świata”.

Nie warto opisywać szczegółowo losów panny Purfoy w owej epoce. Starczy powiedzieć, że przekonała się wkrótce, iż grzech nie zawsze wiedzie do szczęścia i nawet na tym świecie nie spotyka się z nagrodą, na jaką pozornie zasługuje. Przesycona, rozczarowana, znudziła się rychło „wesołym”

życiem i marzyła o wypoczynku po nużących wybrykach.

W takich warunkach zakochała się po raz pierwszy.

Przedmiotem jej uczuć został niejaki pan Lionel Crofton wysoki, dobrze zbudowany i niepospolicie gładki młody

jegomość. Naprawdę piękne w jego twarzy były tylko oczy czarne niby węgiel, podobnie jak włosy. Pan Crofton miał szerokie bary, dobrze rozwinięte mięśnie, drobne stopy oraz dłonie, kształtną, krągłą głowę i dziwnie małe, mocno przylegające uszy. Siedemnastoletnia Sara zakochała się bez pamięci w tym człowieku starszym od niej o ledwie cztery lata. On polubił ją szczerze, mimo to jednak nie znosił kaprysów i często pozwalał sobie na wybuchy gniewu, co znajdowało wyraz w wyzwiskach lub nawet razach. Crofton nie miał zawodu i nie prowadził żadnych interesów, a mimo poprawnych manier był dżentelmenem w stopniu jeszcze bardziej znikomym niż Lemoine. Mimo to Sara uległa szczególnemu pociągowi, jaki stanowi o wielkich romansach kobiet jej pokroju, i szczerze przywiązała się do kochanka. Crofton uległ temu uczuciu, a oceniając należycie brak skrupułów i inteligencję młodej dziewczyny, powiedział jej prawdę o sobie.

Był oszustem, fałszerzem, złodziejem, a nazywał się John Rex. Usłyszawszy to wyznanie panna Purfoy doznała ponurej radości. Serce topniało w niej, gdy kochanek mówił o łotrostwach, pomysłowych sztuczkach, niebezpieczeństwach, którym uszedł szczęśliwie. Upajała się myślą, że ten młody człowiek od lat okpiwa z powodzeniem świat świat, co ją rozczarował i zepchnął na dno.

226

Cieszę się, że mnie znalazłeś powiedziała. – Co dwie głowy, to nie jedna. Zaczniemy pracować razem. John Rex (znany w kołach przyjaciół jako Jack Dandys) był oficjalnie synem długoletniego lokaja lorda Bellasis, który odszedł ze służby u rozwiązanego arystokraty otrzymawszy żonę z posagiem. John ukończył szkołę – najlepszą, do jakiej można go było oddać – i mając lat szesnaście został kancelistą w znanym domu bankowym. Posadę tę zawdzięczał pewnemu wpływowi, jaki jego matka miała na byłego chlebodawcę ojca. Rex senior lubił rozprawiać o „prawdziwych dżentelmenach” i „doborowym towarzystwie”. Pani Rex uwielbiała syna i łatwo natchnęła go pragnieniem „zadawania szyku” w kołach arystokratycznych. John był wyrostkiem bystrym, kompletnie pozbawionym zasad; kłamałby bez rumieńca i kradł bez skrupułów, gdyby wiedział, że ujdzie mu to bezkarnie. Był przezorny, dociekliwy, obdarzony bujną wyobraźnią, zarozumiałały i przebiegły. Miał inteligencję i umiejętność wnioskowania, lecz brakło mu całkowicie zmysłu moralnego. Rychło zorientował się, że jego koledzy z banku nie są „panami” klasy uznawanej przez jego matkę, więc zaczął ich lekceważyć. Chętnie wstąpiłby do wojska, bo odznaczał się atletyczną budową i lubił wysiłek fizyczny. Całodzienne przykucie do pulpitu przekraczało granice jego wytrzymałości. Ale doświadczony ojciec zalecał „czekać i patrzeć, co z tego wszystkiego wyjdzie”. John posłuchał dobrej rady, lecz na pociechę począł wałęsać się po nocach, wpadł w podejrzaną kompanię i ostatecznie podpisał nazwisko klienta banku na czeku opiewającym na dwadzieścia funtów. Fałszerstwo było oczywiście nieudolne i wyszło na jaw w ciągu dwudziestu czterech godzin. Właściciele domów bankowych są na ogół zdania, że fałszerstwo popełnione przez pracownika nie przysparza dobrej sławy firmie, a zatem postanowiono nie kierować sprawy na drogę sądową, lecz niezwłocznie udzielić dymisji panu Johnowi Rexowi. Były lokaj nigdy nie lubił swojego rzekomego syna, uległ jednak prośbom żony i umieścił obiecującego chłopca w magazynie bławatnym przy City Road.

Zajęcie to nie było najlepsze i John Rex chciał je jak

najprędzej porzucić. Mieszkał w domu, a na własne potrzeby
227

miał pensję około trzydziestu szylingów na tydzień. Dzięki talentowi do kija bilardowego znacznie powiększał dochody, ale nie starczyły mu one mimo wszystko i wydawał więcej, niż zarabiał. Gdy zaciągnął już wszelkie możliwe pożyczki, znalazł się znowu w opałach. Ale pierwsza nauczka dała mu lekcję ostrożności, postanowił więc wyznać wszystko pobłażliwej matce i w przyszłości gospodarzyć oszczędniej. Niestety jednak do młodzieńca uśmiechnęło się szczęście, którego uśmiech tak często niszczy ludzi. Starszy subiekt umarł nagle i właściciel sklepu, pan Baffaty, nie mogąc znaleźć odpowiedniego kandydata, powierzył czasowo to stanowisko szykowemu Rexowi. Starszy subiekt ma możliwości niedostępne zwykłemu śmiertelnikom, toteż trzeciego wieczora John przyszedł do domu ze sztuczką koronki w kieszeni. Na nieszczęście jednak dochód z drobnej kradzieży nie pokrył najpilniejszych długów, wobec czego pan Rex musiał kraść dalej. Niebawem został zdemaskowany. Jeden z subiektów zobaczył, że chowa zwój jedwabiu, by wynieść go przy sposobności, i ku niemałemu zdziwieniu początkującego złodzieja zawołał: „Pół na pół, bracie”. Rex udawał zrazu cnotliwe oburzenie, wkrótce jednak zrozumiał, że nie wywiedzie w pole młodego spryciarza.

-- Widziałem, jak ściągaleś jedwab powiedział ten ostatni. Albo się podzielimy, albo powiem szefowi. Wybieraj.

John uznał argumentację kolegi za przekonywającą i wybrał podział. Dwaj młodzieńcy zawarli ścisły sojusz, a samozwańczy wspólnik zdradził Rexowi, gdzie sprzedawać ukradziony towar, i zapoznał go z paserem. Na przekór wszystkim konwencjom romantycznym nie był to żyd, lecz prawowierny chrześcijanin. Miał sklepik z używaną garderobą przy City Road i podobno agentów w całym mieście. Pan Blicks kupił jedwab za mniej więcej trzecią część wartości i, jak się zdaje, był oczarowany powierzchownością pana Rexa.

Z ciebie, młodzieńcze, mógłby być pierwszorzędny cwaniak powiedział, a w ustach człowieka o tak rozległym doświadczeniu stanowiło to nie lada komplement.

Zachęceni powodzeniem wspólnicy kradli coraz śmielej. John Rex spłacił długi, odetchnął z ulgą i raz jeszcze rozpoczął żywot „godny dżentelmena”. Ale pan Baffaty niebawem odkrył braki. Nie słyszał o historii ze sfałszowanym czekiem, nie podejrzewał wiec Rexa, młodego człowieka o pańskim wyglądzie i poprawnych manierach. Zainteresował go natomiast wspólnik Johna, chłopak ordynarny i na domiar złego zezowaty, wezwał go więc do siebie i powiedział otwarcie, co sądzi o całej sprawie. Obwiniony zaprzeczył naturalnie z przekonaniem i głęboką urazą. Stary Baffaty był człowiekiem łagodnego usposobienia i bez uszczerbku mógł sobie pozwolić na stratę pięćdziesięciu funtów, zostawił więc domniemanemu złodziejowi czas do następnego rana; jeżeli w tym terminie nie wyzna prawdy i nie powie, co się stało z ukradzionym towarem, dalsze pytania stawiać będzie policjant.

Nieszczęsny subiekt przybiegł ze łzami do wspólnika, by zawiadomić go, że wszystko stracone. Wolałby naturalnie nie przyznać się do kradzieży i nie zdradzić kamrata, jeżeli jednak nic nie powie, trafi do aresztu. Ucieczka nie wchodziła w rachubę, bo obydwaj chłopcy nie mieli pieniędzy.

W kłopotliwej sytuacji Rex przypomniał sobie komplement pana Blicksa i zapragnął stanąć na wysokości zadania. Wycofa się, ale w nieprzyjacielskim kraju zostawi

spustoszenie. Jego odwrót będzie podobny do wyjścia Izraelitów z Egiptu – przyniesie Egipcjanom więcej strat niż korzyści.

Zgodnie z powszechnie przyjętym zwyczajem starszy subiekt korzysta w południe z półgodzinnej przerwy obiadowej. John Rex nie zmarnował cennego czasu. Najał dorożkę i pojechał do Blicksa, który przyjął go wylewnie, bo zdawał sobie sprawę, że obiecujący młodzieniec dorzuci już do wielkich czynów. Obiecujący młodzieniec wyłuszczył swój plan szybko i zwięźle. Drzwi składziku są zamknięte na zatrask. On ukryje się tam po zamknięciu sklepu na dany znak otworzy. Lekki furgonik lub dorożka będzie czekać w pobliskim zaułku, a trzech ludzi naładuje ów pojazd niepostrzeżenie i w krótkim czasie. Chodzi jedynie o to, czy pan Blicks znajdzie trzech odpowiednich ludzi. Pan Blicks odrzekł z wymownym błyskiem w oczach, że prawdopodobnie znajdzie. Zgłoszą się o pół do dwunastej w nocy.

228

229

Pan Blicks był zdania, że sprawa /ostała wyczerpująco omówiona. Rex niezupełnie się z tym godził. Nie nastęrczy takiego złotego interesu za darmo. Łup przyniesie co najmniej pięć tysięcy funtów, a zatem w chwili kiedy dorożka zajedzie przed dom pana Blicksa, Rex dostanie do ręki setkę. Paser odmówił bez wahania. Podział to inna sprawa, ale nie kupi przecież kota w worku. Rex nie ustępował, bo w takim rozwiązaniu widział jedyny ratunek, ostatecznie więc wytargował osiemdziesiąt funtów.

Następnej nocy miał miejsce bohaterski czyn znany w kronikach policyjnych pod nagłówkiem: „Wielka kradzież jedwabii”, a w dwa dni później John Rex i jego wspólnik jedli wystawny obiad w Birmingham i w londyńskiej gazecie czytali bardzo niezgodny z prawdą opis swojego przedsięwzięcia.

Zerwawszy jawnie nudne więzy uczciwości, John Rex rozstał się z domem rodzinnym i jał spełniać pragnienia matki. Na własną modłę był „dzentelmenem”. Żył dostatnio, pokąd nie wydał osiemdziesięciu funtów, a nim je zdążył wydać, zajął jaką taką pozycję w nowym, wysoce dochodowym fachu oszustwa. Był przystojny, gładki w obejściu, dowcipny, sprytny, a przyrodzone te dary pomnażał talentem do bilardu, pewną znajomością szulerskich sztuczek i krzepiącą świadomością, że człowiek może być tylko drapieżnikiem albo łupem drapieżnika.

Nie był przeciętnym oszustem. Wrodzone oraz nabyte zalety chroniły go od pospolitych błędów. Rozumiał, że ten, kto chce żerować na bliźnich, musi odznaczać się pomysłowością nie tylko wybitną, lecz również wysoce oryginalną. Człowiek, który jest tylko trochę sprytniejszy niż inni, zawsze kiedyś wpadnie, a dla oszusta pierwsza wpadka równa się ostatecznej klęsce. Studiując dzieje ujawnionych przestępstw John Rex uczynił ciekawe odkrycie. Na dzień każdej grabieży, każdego fałszerstwa czy oszustwa kryje się szczęściarz, co ciągnie zyski z nierozwagi kamratów. To nasunęło mu doskonały pomysł. Należy żerować na społeczeństwie, wykorzystując uzdolnienia nie tylko własne, lecz również cudze. Zbrodnia jest jak drabina. Warto zajmować miejsce na jej najwyższym szczeblu, lecz nie należy lekceważyć znajdujących się niżej poczciwców. Specjalnością Rexa stały się

230

szachrajstwa, gra w bilard, szulerka karciana, wyludzanie pożyczek, paserstwo – nigdy jednak spryciarz nie ryzykował częściej niż dwa lub trzy razy do roku. Inni robili

włamania, kradli bransolety, zegarki, diamenty. W ciągu nocy zagarniali więcej niż on w pół roku. Atoli ich zajęcie było nieporównanie bardziej niebezpieczne. Tak: bardziej niebezpieczne, ale dlaczego? Ponieważ byli to prostacy, dość odważni i dość sprytni na swój prymitywny sposób, niezdolni wszakże stawić czoła prawu zbrojnemu argusowym okiem i stoma rękami. Ordynarną robotę załatwiali sprawnie: otwierali zamki, wylamywali drzwi, „uspokajali” policjantów, ale nie potrafili przygotować rozumnego planu natarcia i odwrotu. Tacy ludzie winni zatem spełniać zadanie rąk, a on – głowy. Zacznie obmyślać napady i kradzieże, tamci zaś staną się wykonawcami.

John Rex pracował na rozlicznych polach i nie zapominając nigdy o przyjsciu z pomocą kamratowi w opalach, zyskał w ciągu pięciu lat pozycję szefa hultajskiego bractwa. Ale sukces jego był najzupełniej prozaiczny, można by rzec handlowy. Zawierał znajomości z żądnymi uciech subiektami i kancelistami lub nie podejrzewającymi niczego młodymi lowelasami z zamożnego mieszczaństwa, dzięki czemu dowiadywał się o źle strzeżonych domach i łatwo dostępnych składach, po czym „napuszczał” rzezimieszków Blicksa na bardziej ryzykowną robotę. W rozmaitych przebraniach i pod różnymi nazwiskami przenikał nawet do pewnych kół „lepszego towarzystwa”. Jako pan Antoni Croftonbury, kapitan James Craven lub pan Lionel Crofton bywał na kawalerskich przyjęciach w domach zamożnych utracjuszy, a niejeden zrujnowany bogacz wspominał go – czasem z przyjemnością, częściej z głębokim żalem. Niewątpliwie miał jedną zaletę nieocenioną dla człowieka jego fachu: był umiarkowany i ostrożny.

Kiedy z powodzeniem wydusił prowizję z Blicksa, ograł w karty naiwnego hazardzistę typu Lemoine'a, zagarnął biżuterię wysłaną do hrabstwa Gloucester pod adresem jego „żony”, zniknął na czas pewien. Kochał wygody i pozory uczciwego, godnego szacunku spokoju.

Żył już od trzech lat na podobną modłę, gdy spotkał Sarę Purfoy i wraz z nią zyskał nadzieję na długi okres pomyślności i bezpieczeństwa. Mniemał, że z taką kobietą u boku śmiało może drwić z prawa. Ona została siecią, którą zastawiał na swoje „rybki”. Jako dobrze ubrana i ułożona dama zamawiała w Londynie towary dla swojego męża z Canterbury i wypłacała gotowizną połowę ceny, zgodnie z otrzymanym z domu poleceniem. Nieraz dopisywało jej szczęście, tam gdzie osobę mniej urodziwą i sprytną musiałaby spotkać klęska. Jej mąż widział przed sobą pokaźną fortunę i wierzył, że przy jakiej takiej ostrożności potrafi wykonywać, póki zechce, lukratywny zawód „dżentelmena żyjącego z własnych funduszków”. Niestety natura ludzka miewa swoje słabości! Pan Crofton strzelił pewnego dnia głupstwo i stróże prawa, których tak skutecznie wywozili w pole, ujęli go w najprostszy sposób.

Pod przybranym nazwiskiem państwa Skinner John Rex i Sara Purfoy mieszkali spokojnie i skromnie w niedalekim sąsiedztwie Bloomsbury. Właścicielka domu uczciwa, niezamożna niewiasta – miała syna policjanta. Ów syn nie umiał trzymać języka za zębami i któregoś wieczora powiedział matce, że nazajutrz w nocy ma wziąć udział w wyprawie przeciwko bandzie fałszerzy monet działającej przy Old Street Road. Matka nie mogła usnąć, bo śniły się jej różne okropności, a dnia następnego przyszła do saloniku pani Skinneri w najściślejszej tajemnicy opowiedziała jej o srogim niebezpieczeństwie czekającym jej jedynaka. John Rex był z lordem Bellasis na zawodach w strzelaniu do gołębi, a gdy

wrócił do domu po dziewiątej wieczorem, Sara powtórzyła mu wiernie wszystko, co usłyszała. Otóż przy Old Street Road pod numerem czwartym rezydował niejaki Green, który od dawna trudnił się zyskowym, lecz niebezpiecznym fachem reprodukcji podobizny królewskiej. Człowiek ów należał do luminarzy bandy Blicksa, a więc kwestia jego wolności miała pierwszorzędne znaczenie. John Rex nerwowo jadł kolację, bo przez cały czas myślał nad niemiłą nowiną, a w rezultacie postanowił, że wypada ostrzec biednego Greena. Nie chodziło mu naturalnie o osobę tego człowieka, hołdował jednak polityce świadczenia przysług kamratom, a ponadto podejrzewał, że Green aresztowany i przyparty do muru zacznie mleć językiem zbyt nieopatrnie. Ale jak się do tego zabrać? Jeżeli pojedzie do Blicksa, może już być za późno. Trudno. Trzeba osobiście wybrać się do Greena. Co postanowił, to zrobił i został aresztowany przy Old Street Road. Dowiedziawszy się o katastrofie Sara przystąpiła gorliwie do pracy. Zgromadziła wszystkie swoje pieniądze i klejnoty, zapłaciła komorne państwa Skinner, postarała się o widzenie z Rexem, zaangażowała adwokata. Pan Blicks był dobrej myśli, ale Green (bardzo bliski wyroku śmierci) zeznał, że człowiek zatrzymany w jego domu należał do bandy, a sędzia (widocznie tego dnia źle usposobiony) skazał Johna na siedmioletnie zesłanie. Sara Purfoy zaklinała się, że nie opuści ukochanego w biedzie. Pojedzie do Australii jako pasażerka, emigrantka, w każdej możliwej roli! Przypadkiem natknęła się na ogłoszenie pani Vickers i oczywiście skorzystała ze sposobności. Rex znalazł się również na „Malabarze”, co „poko-jówka kapitanowej” odkryła, nim minął tydzień od wypłynięcia z portu. Wówczas przyszedł jej do głowy śmiały projekt, aby zorganizować bunt celem uwolnienia kochanka. Czytelnik zna już historię tego buntu oraz późniejszej udanej ucieczki Rexa z Macquarie Harbour.

IV

Niepoprawny Dawes

Buntownicy z „Rybołowa” od dawna uchodzili za zmarłych, a o ich awanturycznej ucieczce prawie nikt nie pamiętał. Kiedy więc zostali ujęci w niezwykłych okolicznościach, plotka jęła im przypisywać rozmaite romantyczne przygody. Opowiadano, że byli królami na wyspach ludożerców, kapitanami korsarskich okrętów, solidnymi żonatymi ludźmi na Jawie, kupcami w Singapurze, oszustami i szulerami w Hongkongu. Pewien teatr londyński wystawiał sztukę traktującą o dziejach zbiegów z Macquarie Harbour, a popularny w owe lata powieściopisarz pracował w pocie czoła nad książką na tenże temat.

232

233

Krażyły słuchy, że herszt bandy JohnRex pochodzi z arystokratycznej rodziny, a sir John Franklin otrzymał w jego sprawie petycję od wysoko postawionych osób. Groziła mu wszakże szubienica, bo najzagorzalsi nawet wielbiciele jego sprytu i męstwa musieli przyznać, że popełnił zbrodnię, za które prawo przewiduje karę śmierci. Rzecznik oskarżenia nie zasypiał gruszek w popiele i do zatłoczonego już więzienia sprowadził z Port Arthur kilku „dożywotnych”, którzy mieli potwierdzić tożsamość podsądnych. Pośród tych świadków znalazł się, jak mówiono, „niepoprawny Dawes”.

Wiadomość o tym dostarczyła żeru licznym wspomnieniom i tworom fantazji. Przypominano sobie, że ów „niepoprawny Dawes” to zbieg z Wyspy Sary, ujęty w swoim czasie przez

przez kapitana Frere'a. Powinien wtedy być powieszony, ale uniknął śmierci, gdyż pomagał kapitanowi Frere'owi przy budowie cudownego czółna i w ten sposób przyczynił się do ocalenia wygnañców zostawionych na bezludnym wybrzeżu. Przypominano sobie również, iż „niepoprawny Dawes” był ponury i milczący podczas rozprawy sądowej przed pięcioma laty, a wybuchnął szatańskim śmiechem, gdy go zawiadomiono o zmianie wyroku śmierci na dożywotnie ciężkie roboty. Miejscowy dziennik „Hobart Town Gazette” zamieścił zwięzłą biografię tego człowieka. Podał w niewielu zdaniach, iż uczestniczył on w buncie na „Malabarze”, dwukrotnie uciekał z Macquarie Harbour, często bywał karany chłostą za bójki i dowody niesubordynacji, obecnie zaś, po nowych usiłowaniach odzyskania wolności, pracuje w Port Arthur zakuty stale w kajdany. Przypominając, że Dawes po raz pierwszy został skazany na zesłanie za rabunek na drodze publicznej, dziennik wnioskował, iż podobne mu dzikie bestie należałoby raczej uśmiercać, aby nie zatruwały atmosfery i nie brnęły w nowe nikczemności. „Jakie korzyści przyniósł ów nikczemnik społeczeństwu w ciągu ubiegłych lat jedenastu?” pytał dziennikarz z niejakim patosem, a opinia publiczna przyznawała, iż prawdę rzekłszy, nie przyniósł żadnych korzyści. Przy sposobności panna Sylwia Vickers stała się również przedmiotem ogólnego zainteresowania. Jej romantyczne ocalenie przez walecznego Frere'a, który niebawem miał

234

otrzymać nagrodę na staroświecką, pocziwą modłę, przyniosło młodej damie popularność niemal równą tej, jaką cieszył się „niepoprawny Dawes” lub jego kamrat, ten potwór Rex. Krażyły pogłoski, że panna Vickers oraz jej przyszły małżonek złożą zeznania w czasie procesu, bo tylko oni dwoje są pozostałymi przy życiu świadkami buntu na „Rybołowie”. Podobno kapitan Maurycy Frere nie szczędził starań, by jego narzeczona nie została wezwana do sądu, ponieważ od pięciu lat cierpiała na niedomagania nerwowe wywołane okropnymi przeżyciami i o przeżyciach tych zachowała nader mgliste wspomnienia. Okoliczność ta wzmagiała dodatkowo romantyczny posmak całej niezwyklej sprawy.

Z racji pogłosek tego rodzaju w dniu procesu zbiegów sala sądowa była przepełniona publicznością. Awanturnicze przygody uzupełniano wciąż nowymi szczegółami i ogólne podniecenie przybierało na sile z minuty na minutę. Pojawienie się czterech skutych więźniów wywołało sensację niezwykłą w tym mieście kajdaniarzy. Poczęto robić zakłady na temat obrony, jaką podsądni zastosują. Zrazu przewidywano, że zdadzą się na łaskę i niełaskę wymiaru sprawiedliwości licząc, że ich niezwykle przygody wywołały przychylne zainteresowanie opinii publicznej. Ale postawa głównego oskarżonego, Johna Rexa, rozwiała wkrótce te złudzenia. Był opanowany, chłodny, pewny siebie. Zdawać się mogło, że pogodził się z losem albo też chowa w zanadrzu coś, co na pewno uchroni go od kary śmierci. Twarz miał kamienną, tylko uśmiechnął się dyskretnie, kiedy usłyszał punkt aktu oskarżenia zarzucający podsądnym, iż „podstępnie zawładnęli brygiem <dlybołów>”, a zatem winni są piractwa”. Uśmiech ten zgorszył wielebnego Meekina, który zasiadał pośród przysięgłych.

To dzika bestia, droga panno Vickers. Doprawdy, ma w sobie coś z tygrysa – powiedział, gdy podczas przerwy w przesłuchiowaniu więźniów z Port Arthur wszedł do pokoju dla świadków, gdzie czekała Sylwia z ojcem. Nieszczęśliwy człowiek! westchnęła panienska i

wzdrygnęła się nerwowo.

Nieszczęśliwy? – powtórzył zdziwiony duszpasterz.

Chyba mu łaskawa pani nie współczuje?

235

Współczuję jemu i wszystkim tym biedakom odparła Sylwia załamując ręce.

Czarująca wrażliwość powiedział Meekin zerkając na Vickersa. -- Szlachetne niewieście serce, kochany panie majorze!

Oficer zabębnił palcami o blat stołu, bo rozdrażniła go ta paplanina nie w porę. Sylwia była bardzo zdenerwowana, bliska załamania.

– Chodź tu, Laleczko – powiedział Yickers. Spójrz przez te drzwi. Widać ich dobrze, jeżeli więc nie poznasz nikogo, nie rozumiem, po co miałabyś stawać na trybunie świadków. Chociaż z drugiej strony musisz to zrobić, jeżeli sąd cię powoła.

Umieszczona na podwyższeniu ława oskarżonych znajdowała się naprzeciw drzwi pokoju dla świadków, toteż nad głowami tłumu rysowały się wyraźnie postacie czterech skutych więźniów i czterech czuwających nad nimi uzbrojonych strażników. Dziewczyna nie była nigdy na procesie w sprawie gardłowej, więc staroświecka, uroczysta formalistyka działała na nią tak, jak musi działać na każdego, kto spotyka się z nią po raz pierwszy. W sali panowała atmosfera ciężka, przygnębiająca. Łańcuchy oskarżonych pobrzękiwały złowroźnie. Bezlitosną zdawała się miażdżąca siła sędziów, służby sądowej, policjantów, strażników, zgromadzona po to, by wymierzyć karę czterem bezbronnym ludziom.

Sylwia patrzyła po znajomych twarzach i odnosiła wrażenie, że dostrzega w nich niedobre zmiany. Nawet zwrócona ku trybunie świadków twarz jej przyszłego męża wyrażała krwiożercze okrucieństwo. Zwróciła oczy w kierunku, który major wskazał palcem, i zobaczyła ławę oskarżonych. Dwu z nich siedziało sennie, obojętnie, trzeci żuł słomkę lub cienką gałązkę i niespokojnie gładził ręką balustradę ławy, czwarty z marsmem na czole patrzył w stronę trybuny świadków, niewidoczniej z miejsca, na którym stała panna Vickers. Twarze podsądnych były jej zupełnie obce.

– Nie znam tych ludzi, papo westchnęła dziewczyna.

– Nie przypominam ich sobie.

Odwracała się już, by odejść, lecz w tej chwili zadrżała i pobladła, gdyż dobiegł ją czyjś głos z trybuny dla świadków. Publiczność była również pod wrażeniem, bo tłumiony pomruk przebiegł salę.

Cisza! – krzyknął donośnie jakiś funkcjonariusz sądowy.

Na trybunę świadków wstąpił w tej chwili notoryczny przestępca Rufus Dawes, dożywotni więzień z Port Arthur, nikczemnik niegodzien żyć, zdaniem dziennikarza „Hobart Town Gazette”. Był to młody, trzydziestoletni mężczyzna, a jego atletycznego torsu nie zdołał zdeformować nawet ohydny żółty kaftan. Miał kształtne, ogorzałe nerwowe dłonie, dumną wyniosłą postawę i czarne przenikliwe oczy, których wilcze spojrzenie jęło bładzić po zgromadzonym tłumie.

Waga podwójnych kajdan zwisających z rzemienia, jakim był przepasany, nie potrafiła odebrać mu zręczności ruchów nieodłącznej od wielkiej siły fizycznej. Liczne zwrócone w jego stronę wrogie twarze nie potrafiły zaprawić szacunkiem pogardliwego tonu, jakim rzucił:

Rufus Dawes, więzień.

Chodź już, Laleczko powiedział Vickers zaniepo-

kojony bladością i wyrazem oczu córki.

Zaraz, zaraz – rzuciła niecierpliwie, zasłuchana w głos człowieka, którego nie mogła widzieć. Rufus Dawes... Mój Boże... Słyszałam już to nazwisko. Jako więzień przebywacie w kolonii karnej w Port Arthur?

Tak.

Czy otrzymaliście wyrok dożywotni?

Tak. Dożywotni. Sylwia spojrzała w twarz ojca gorejącym wzrokiem.

Ach, papo! Znam to nazwisko, znam głos. Kto to?

Człowiek, który płynął z wami czółnem, moja droga odrzekł z powagą major. Tamten więzień. Błyski w oczach dziewczyny zgasły. Przesłoniła je mgła smutku i rozczarowania.

Myślałam, że to dobry człowiek. Jego głos brzmi tak miło. Wzdrygnęła się i zakryła oczy dłońmi.

Uspokój się, Laleczko -- szepnął łagodnie ojciec.

Ten człowiek nie może zrobić ci nic złego.

236

237

Pewnie, że nic może! potwierdził zadowolony z siebie wielebny Meekin, Łajdak nie zagraża już nikomu.

Przesłuchanie sądowe biegło tymczasem własnym torem.

Czy znacie ludzi zasiadających na ławie oskarżonych?

Tak.

Jak się nazywają?

John Rex, Henryk Shiers, James Lesly i... i... Nie jestem pewien tożsamości czwartego.

Nie jesteście pewni tożsamości czwartego. Ale trzy wymienione nazwiska możecie powtórzyć pod przysięgą?

Mogę.

Dokładnie pamiętacie tych ludzi?

Przez trzy lata pracowałem z nimi w kajdanach w Macquarie Harbour.

Posłyszawszy ów dowód bliskiej znajomości Sylwia krzyknęła głucho i osunęła się w ramiona ojca.

Ach, weź mnie stąd, papo! Zabierz! Boję się, że mogę sobie przypomnieć coś okropnego.

Pośród ciszy zalegającej salę sądową okrzyk biednej dziewczyny zabrzmiał wyraźnie. Wszyscy zwrócili głowy w kierunku drzwi pokoju dla świadków, nikt więc nie zauważył dziwnej przemiany, jaka zaszła w Dawesie. Twarz mu poczerwieniała, krople potu zrosiły czoło, a spojrzenie błyszczących czarnych oczu przywarło do ściany tak, jakby chciało na wylot przewiercić deski kryjące osobę, która się odezwała.

Maurycy Frere zerwał się z miejsca i utorował sobie drogę pośród ciżby.

Co się tu dzieje? zwrócił się szorstko do Vickersa.

Dlaczego pan ją tu sprowadził? Sąd jej nie wezwie.

Przecież mówiłem o tym.

– Byłem zdania, że muszę spełnić obowiązek odparł major tonem chłodnego wyrzutu.

Czego się przestraszyła? Co zobaczyła? Usłyszała? dopytywał kapitan z dziwnie pobladałą twarzą. Sylwio!

Sylwio!

Na dźwięk znajomego głosu dziewczyna uniosła powieki.

Ja chcę do domu, papo szepnęła. Słabo mi!...

Ach... te okropne myśli...

238

Co ona mówi? Jakie okropne myśli? zawołał Frere

mierzając ojca i córkę niespokojnym spojrzeniem. Panna Vickers przelękła się tego łajdaka, Dawesa zabrał głos wielebny Meekin. Biedactwo! Odżyły w niej jakieś bolesne wspomnienia. Proszę się uspokoić, opamiętać, droga panno Sylwio. Ten człowiek jest obecnie nieszkodliwy. Przestraszył cię Dawes? – zapytał szybko Frere. Tak – westchnęła cicho Sylwia. – Przestraszył mnie. Chyba nie będę tu potrzebna, prawda, Maurycy? Nie muszę czekać dłużej, mój drogi? Nie... nie – odrzekł Frere i twarz mu się rozchmurzyła. – Stokrotnie przepraszam, majorze. Uniosłem się trochę. Niech pan zaraz odprowadzi Sylwię do domu. Takie denerwujące historie są nie dla niej. Powiedziawszy to kapitan wrócił na swoje miejsce, oddychając ciężko niby ktoś, kto przed chwilą uniknął śmiertelnego niebezpieczeństwa. Rufus Dawes nie zmienił pozy ani wyrazu twarzy, póki w drzwiach nie pojawił się Maurycy Frere. Kto tam był? zapytał ochrypłym głosem stojącego za nim policjanta. Panna Vickers – odrzekł szorstko zagadnięty, rzucając odpowiedź tak, jak mógłby rzucić kość złemu kundlowi. Panna Vickers? – powtórzył zesłaniec tonem zdumienia. A ja słyszałem, że ona umarła. Policjant sapnął gniewnie, jak gdyby chciał powiedzieć: „Jeżeli wiesz, to po co pytasz, bydlaku”. Ale uporczywe spojrzenia więźnia domagały się dalszych wyjaśnień, podjął więc po chwili: Myślałeś, że umarła. Nic dziwnego. Zrobiłeś wszystko, by ją uśmiercić. O tym ja słyszałem. Więzień podniósł ręce, jakby chciał rzucić się na policjanta nie bacząc na jego naładowany karabin. Potem opanował się, odwrócił w stronę sędziów i zawołał: Wysoki Sądzie! Panowie przysięgli! Pragnę złożyć ważne zeznanie! Donośny głos zesłańca i nagła zmiana jego tonu zwróciły powszechną uwagę. Wszystkie spojrzenia przeniosły się z drzwi, którymi wszedł Frere, na trybunę świadków. Niejeden odniósł wrażenie, że nie stoi już tam „niepoprawny 239 Dawes”. Miejsce wyprostowanego dumnie, bezczelnego łotra zajął człowiek złamany, pobladły, który jedną rękę wspierał o balustradę trybuny, jak gdyby bał się upaść, druga wyciągał przed siebie rozpaczliwym, błagalnym gestem. – Wysoki Sądzie! – wołał Rufus. Popelniono straszliwą omyłkę. Pragnę powiedzieć wszystko o sobie. Próbowałem to wyjaśnić, kiedy zesłano mnie do Port Arthur. Pisałem prośby, ale komendant ich nie wysyłał. Nie skarżę się z tego powodu. Wiem, że takie jest prawo. Wysoki Sądzie! Ja uratowałem żonę i córkę pana Vickersa. Ja zrobiłem wszystko, a łotr, który mnie nienawidzi, zaręczył słowem, że odzyskam wolność. Do dziś myślałem, że nikt nie zna prawdy, bo powiedziano mi, że ona nie żyje... Nieoczekiwana, zdumiewająca przemowa zaskoczyła sąd tak, że nikt nie przywołał zesłańca do porządku. Za ucieczkę zostałem skazany na śmierć. Wysoki Sądzie, a ulaskawienie zyskałem tylko dlatego, że pomagałem przy budowie czółna. Pomagałem! Przecież to czółno było moim pomysłem i moim dziełem! Ona to potwierdzi, Wysoki Sądzie! Pielęgnowałem ją w chorobie. Nosilem na rękach. Dla niej umierałem z głodu, Wysoki Sądzie! Ona mnie lubiła, naprawdę lubiła i nazywała „dobry pan Dawes”. Ktoś wybuchnął ochrypłym śmiechem i zaraz umilkł. Przewodniczący pochyliwszy się do przodu zapytał pisarza

sądowego:

Czy on mówi o panie Vickers?

Dawes zwrócił oczy ku ławie przysięgłych i dostrzegł utkwione w siebie, pełne niewypowiedzianego lęku spojrzenie krzywdziciela.

-- Jesteś tutaj, kapitanie Frere, tchórze i kłamco! Niechaj Wysoki Sąd powoła go na świadka. Niech rozkaże mu opowiedzieć wszystko pod przysięgą. Wiem, że on skłamię znowu, ale ona zaprzeczy jego słowom. Mój Boże! A ja do dziś myślałem, że ona umarła!

Przewodniczący zdażył tymczasem wysłuchać wyjaśnień pisarza sądowego.

Panna Vickers jest poważnie chora. Przed chwilą zemdliała w pokoju dla świadków. Więźnia, z którym odbywała tragiczną podróż czółnem, wspomina z przerażeniem i odrazą. Obecnie zasłabła na jego widok. Ten więzień to niepoprawny przestępca i przewrotny kłamca. Jego zeznania zostały już uprzednio sprostowane przez kapitana Frere'a.

Przewodniczący sądu człowiek dobry z natury, lecz dzięki doświadczeniu nieufny wobec twierdzeń zesłańców powiedział wszystko, co mógł powiedzieć, a następujący dialog odsunął na dalszy plan tragedię minionych pięciu lat: Przewodniczący: - To nie miejsce, aby wnosić oskarżenie przeciwko kapitanowi Frere'owi albo dowodzić waszej rzekomej krzywdy. Jeżeli potraktowano was niesprawiedliwie, władze przyjmą waszą skargę i podejmą stosowne kroki.

Rufus Dawes: - Wnosiłem skargi, Wysoki Sądzie.

Pisałem list po liście do władz wyższych. Ale żaden z tych listów nie został wysłany. Później dowiedziałem się, że ona umarła, i skierowano mnie do kopalni węgla, a tam nie docierają żadne wiadomości.

Przewodniczący: - Sąd nie może was wysłuchać. Panie Mangles, ma pan jeszcze pytania do świadka?

Pan Mangles nie miał pytań. Ktoś zawołał głośno:

Mateusz Gabbett!

I Rufus Dawes, który usiłował powiedzieć coś więcej, został wyprowadzony z sali przy wtórze stłumionych uwag i pytań licznej publiczności.

Przewód sądowy postępował dalej bez zakłóceń. Sylwia nie była wezwana na świadka, a kapitan Frere zeznawał ku ogólnemu zdziwieniu - przychylnie dla Johna Rexa. Oskarżony mógł pozostawić nas bez żywności i skazać na śmierć głodową mówił. - Mógł nas także zamordować. Znajdowaliśmy się w jego mocy. Zapas prowiantu na brygu był szczupły, sądzę więc, że dzieląc go z nami w tak trudnej dla siebie sytuacji, John Rex postąpił wspólniało-myślnie i szlachetnie.

Słowa te były szczególnie korzystne dla podsądnych, gdyż kapitan Frere słynął jako nieprzejednany rygorysta i wróg wszelkich przejawów buntu, a zatem tego rodzaju opinię mogło mu podyktować tylko poczucie sprawiedliwości i umiłowanie prawdy. Ponadto Rex obrał pomysłow i przekonywającą linię obrony. Przyznał, iż winien jest

240

!6

Dożywotnie

zesłanie

241

ucieczki, lecz okoliczność łagodząca musi stanowić jego umiarkowanie. Pragnął tylko odzyskać wolność, a kiedy dopiął celu, żył uczciwie przez blisko trzy lata, czego podejmuje się dowieść. Akt oskarżenia zarzuca mu piractwo

z racji opanowania brygu „Rybołów”. Atoli statek ten został zbudowany przez więźniów i nie był nigdy zarejestrowany, wobec czego nie istniał formalnie jako jednostka pływająca i nie mógł stać się przedmiotem „pirackiej napaści” w ścisłym znaczeniu.

Sąd uznał słuszność tego wyводу prawniczego, a biorąc pod uwagę przychylne świadectwo kapitana Frere^a, okres pięciu lat, jaki upłynął od popełnienia przestępstwa, oraz fakt, że dwaj najbardziej winni buntownicy zostali już straceni w Anglii – skazał Johna Rexa i pozostałych oskarżonych na dożywotnie ciężkie roboty w kolonii karnej.

V

Dobry anioł Maurycego Frere'a

Zakończywszy pomyślnie dzień pracy Prere wybrał się z pociechą do narzeczonej, dla której spokoju zrezygnował ze stryczka dla Johna Rexa. Po drodze spotkał mężczyznę, który dotknął kapelusza i poprosił kapitana o chwilę rozmowy. Człowiek ów zbliżał się do starości i miał czerwoną twarz pijaka, a jego ruchy i postawa zdradzały marynarza. Frere zatrzymał się i zrobił niezadowoloną minę, jakby oczekiwał niedobrych wiadomości.

No i co, Blunt? O co chodzi? zapytał. Chciałem tylko powiedzieć panu kapitanowi, że wszystko w porządku.

Ona wróciła dziś rano na pokład.

Wróciła! – zawołał Frere. Dobrze sobie! Wcale nie wiedziałem, że zeszła na ląd. Co miała do roboty w mieście? Maurycy był wyniosły i pewien siebie, a Blunt bynajmniej niepodobny do zucha z niezbyt odległych czasów – zachowywał się niepewnie i słuźalczo.

Proces buntowników z „Malabara” zwichnął karierę Phineasa Blunta. Nie dało się zataić przykrego faktu, że szypier został znaleziony przez Pine'a pijany w swojej kabinie, w chwili kiedy powinien sprawować odpowiedzialną służbę na pokładzie. Władze nie mogły lub nie chciały tolerować tak rażącego wykroczenia przeciwko dyscyplinie i pozbawiły wilka morskiego zaszczytu transportowania więźniów do kolonii karnych w Nowej Południowej Walii i Kraju Van Diemena. Blunt zakontraktował statek wielorybiczny i wybrał się na morza południowe, ale zgubny wpływ Sary Purfoy pozostawił niezatarte ślady, co zdarza się często, gdy ograniczony, wrażliwy na wdzięki niewieście mężczyzna ulega kobiecie sprytnej i pozbawionej skrupułów. Biedak upadał coraz niżej, upijał się i zyskiwał opinię „osobnika źle widzianego w kołach zbliżonych do władz kolonialnych”.

Kapitan Frere, korzystający niekiedy z rozmaitych usług Blunta, odegrał rolę jego protektora i wyrobił mu stanowisko kapitana szkunera handlowego, z macierzystym portem w Sydney. Objąwszy ów statek (ku niezadowoleniu zamieszkałego w Hobarcie armatora) Phineas Blunt ślubował abstynencję na przeciąg roku i w rezultacie był najniezwyklejszym z ludzi. Frere'owi jednak służył wiernie, bo miał nadzieję, że przy jego poparciu uzyska posadę rządową, w owych latach cel marzeń wszystkich kolonialnych „kapitanów”.

W mieście nie miała chyba nic do roboty, panie kapitanie odrzekł Blunt. – Chciała tylko zobaczyć się ze znajomym.

Z jakim znów znajomym?

No... z więźniem, panie kapitanie powiedział szypier spoglądając najprzód w niebo, potem w ziemię. I widziała się z nim, jak sądzę?

Tak, panie kapitanie. Myślałem, że należy powiedzieć

o tym panu kapitanowi.

Dobrze pan myślał - pochwalił protegowanego Frere. Powinien pan zaraz podnieść kotwicę. Nie ma na co czekać.

Mogę odpłynąć jutro rano albo, jeżeli pan kapitan woli, jeszcze dzisiaj wieczorem.

242

243

Dzisiaj wieczorem rzucił szorstko Frere. Najwcześniej, jak to możliwe.

W Sydney mam na widoku jedną posadę bąknął niepewnie Blunt. Gdyby pan kapitan zechciał pomóc.

Co to za posada? - przerwał Frere.

Stanowisko kapitana na okręcie rządowym.

- Niech pan nie pije, a zobaczymy, czy da się coś zrobić.

No i proszę uważać, żeby ta kobieta trzymała język za zębami.

Sojusznicy spojrzeli sobie w oczy i Blunt uśmiechnął się służalczo.

Będę uważał, panie kapitanie powiedział i postaram się nie pić.

Mam nadzieję rzucił szorstko Frere i odwróciwszy się na pięcie odszedł bez pożegnalnych formalności.

Vickersa zastał w ogrodzie i poprosił go, aby w obecności córki nie mówił o wydarzeniach dnia.

- Widział pan, majorze, jak niedobrze poczuła się dziś Sylwia. Na miłość boską, niech pan jej jeszcze raz nie zaszkodzi.

Nie pisnę słowa na ten temat powiedział Vickers.

- Po powrocie z sądu mała wciąż niedomaga. Jest zdenerwowana, napięta jak struna. Może pan z nią porozmawia, dobrze?

Szczerze zmartwiony Frere rozstał się z majorem i wszedł do domu, aby uspokoić wytraconą z równowagi młodą damę.

Już po wszystkim, Laleczko powiedział. Staraj się nie myśleć na ten temat. Zapomnij o nim raz na zawsze. Ach, Maurycy! Zachowałam się strasznie niemądrze, ale nie potrafiłam zapanować nad sobą. Widzisz, dźwięk głosu tego... tego człowieka zbudził we mnie bezbrzeżny żal z powodu czegoś... czy litość dla kogoś... Sama nie wiem... Nie umiem tego wyjaśnić, ale wydało mi się, że lada moment przypomnę sobie wszystko o jakiejś wielkiej krzywdzie... że będę musiała odwrócić się od kogoś, kogo... kogo powinnam kochać z całego serca. Nie wiem, czy mnie rozumiesz, Maurycy?

Myślę, że rozumiem odrzekł z niepewną miną Frere. Ale to wszystko nie ma przecież sensu.

244

Naturalnie! -- przyznała skwapliwie. Każdy wie.

że to nie ma sensu. Ale rozmaite dziwne myśli przychodzą ludziom do głowy. Mnie wydaje się czasami, że dawniej byłam kimś innym. Rozumiesz? Miałam jakieś zupełnie odmienne życie: życie z marzeń sennych.

Okropna z ciebie romantyczka - powiedział kapitan, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi. - Jak ktoś może mieć życie z marzeń sennych?

Oczywiście to niepodobieństwo, głupstwo. Takie życie jest tylko urojeniem. Rozumiesz, Maurycy? Czasami śnię o rozmaitych okropnościach. Staczam się do bezdennych przepaści albo tonę, albo błędę w jakichś skalnych pieczarach. Mój Boże! Takie okropne sny!

To z niestrawności - orzekł Frere. - Za mało masz ruchu. No i nie powinnaś tak dużo czytać. Lepiej odbyć

codziennie przyzwoity pięciomilowy spacer.
Jedno mnie zastanawia -•? ciągnęła Sylwia, jak gdyby
nie słyszała dobrych rad przyszłego męża. -- W tych snach
zawsze występujesz ty, Maurycy.
Ja? To chyba zrozumiałe.
Naturalnie. Ale nie jesteś taki dobry i miły jak
naprawdę. Gniewasz się, grozisz, wyglądasz srogo. Strasznie
się siebie boję.
Przecież to są tylko sny, Laleczko.
Tak, ale... urwała i zaczęła obracać w palcach
guzik jego surduta.
Ale... co?
Ale w sądzie miałeś dziś minę zupełnie jak w moich
snach. Może to właśnie tak silnie mną wstrząsnęło... Czyja
wiem...
Kochana! Uspokój się... Bardzo proszę... Nie płacz,
Laleczko... Co się stało?
Ach, Maurycy! Jestem zła, okropna! - szlochała
w jego ramionach. - Nie mogę zrozumieć samej siebie. Cza-
sami zdaje mi się, że kocham cię tak, jak powinnam kochać
człowieka, co opiekował się mną czule i ocalił mi życie.
Uspokój się, kochana. Przestań o tym myśleć - szep-
nęła Maurycy Frere dziwnie zdławionym głosem.
Po pewnym czasie Sylwia opanowała się i spojrzała
w twarz narzeczonego.

245

Powiedz mi, Maurycy podjęła czy w tamtych
dawnych czasach, o których mi opowiadałeś... kiedy pielęg-
nowałeś mnie w chorobie, nosiłeś na rękach, umierałeś
z głodu, aby mnie nie brakło pożywienia... Czy myślałeś
wtedy, że... że kiedyś możesz się ze mną ożenić?
- Nie wiem... Dlaczego pytasz?
--- Sądzę, że musiałeś tak myśleć ciągnęła. Nie,
Maurycy, to nie próżność ani dobre mniemanie o sobie. Ale
nie potrafiłbyś chyba być taki dobry, czuły, troskliwy,
gdybyś myślał inaczej.
- Co ty opowiadasz, Laleczko? obruszył się Frere.
Byłeś przecież dobry, czuły, troskliwy. A ja jestem
okropna dziewczyna. Papa mnie strasznie rozpieścił. Ty
zawsze jesteś dobry, dbały, a to, co czasami drażni mnie
w tobie, wypływa także z miłości. Prawda, Maurycy?
- Tak mi się zdaje szepnął Frere i poczuł, że oczy mu
wilgotnieją.
- Teraz rozumiem, dlaczego jestem czasami tak zła na
siebie. Chodzi o to, że nie kocham cię tak, jak powinnam
kochać. Widzisz, chciałabym, żebyś kochał wszystko, co ja
kocham: książki, muzykę, piękne obrazy... cały mój świat.
Zapominam, że ty, mój kochany, jesteś mężczyzną, a ja tylko
niemądrą dziewczyną. Zapominam, Maurycy, że postępo
wałeś wtedy szlachetnie, po rycersku, że zupełnie bezin-
teresownie narażałeś życie, by mnie ratować. Co się stało,
Maurycy? Co tobie?
Frere odsunął się gwałtownie od narzeczonej i poszedł
w stronę okna. Spojrzał na ogród i drzemiącą w dali cichą
zatokę. Szkuner, co przywiózł świadków z Port Arthur, stał
na redzie. Na jego maszcie trzepotała poruszana łagodnym
wiatrem żółta bandera. Widok jej musiał rozdrażnić kapita-
na, gdyż zaklął i odwrócił się od okna.
- Kochany! zawołała panna Vickers. Zrobiłam ci
przykrość!
- Nie... Nie... Mniejsza o to -? odrzekł tonem człowie-
ka zagadniętego nagle w momencie słabości. Widzisz, boli
mnie zawsze, kiedy ty... kiedy słyszę, że mnie właściwie nie
kochasz.

– Ach, wybacz mi, kochany! Nie chciałam cię dotknąć.
To moja wina! Plotę, sama nie wiem co, więcej, niż chciała-
246

bym powiedzieć. Czy mogłabym nie kochać człowieka, który
tyle dla mnie zrobił! Zastanów się, Maurycy!
Frere uległ naglemu, nieodpartemu impulsowi.
A gdybym nie zrobił tego, co mi przypisujesz? – za-
wołał. Powiedz, Sylwio, czy kochałabyś mnie wtedy?
Dziewczyna odwróciła tkliwe dotychczas spojrzenie.
Niemądre pytanie, mój drogi. Nie wiem. Jestem
przekonana, że kochałabym cię mimo wszystko. Po co
myśleć o czymś, co mogłoby być, gdyby... Wiemy obydwójce,
ile dla mnie zrobiłeś. To wystarczy. Nie mam pojęcia, jak
postąpiłabym w innych okolicznościach. Przecież i ty mógł-
byś mnie nie pokochać, prawda?

Po tej mętnej odpowiedzi ustąpiły wyrzuty sumienia,
jakie odczuwał przez chwilę zakamieniały egoista.
Oczywiście, masz słuszość – powiedział kapitan
otaczając ramieniem kibić narzeczonej.
Podniosła wzrok i spoglądając mu w oczy roześmiała się
wesoło.

Zdaje mi się, że straszne z nas głuptasy! – zawołała.
Nie odmienimy tego, co minęło. Kochany, mamy przed
sobą przyszłość! Ja będę twoją małą żoneczką i nasza miłość
przetrwia do końca życia, jak to się dzieje w pięknych
powieściach.

Maurycy Frere ulegał często pokusie występującej w po-
staci mniej ponętnej niż ta urocza, niewinna dziewczyna,
która płomiennym wzrokiem prosiła, aby ją zdobył. Z miło-
ścią jej łączył najpiękniejsze nadzieje i czynił wiele dobrych
postanowień związanych ze szlachetnością i czystością,
jakimi Sylwia ozdobi jego życie. Wszak sama powiedziała, że
niepodobna odmienić tego, co minęło. Przed sobą mają
piękną przyszłość i tkliwe, dozgonne uczucie. Frere był
obłudnikiem i samolubem, potrafił więc okłamywać nawet
samego siebie. Czuł się naprawdę szlachetnym i dobrym,
kiedy przygarnawszy do serca dziewczynę szepnął:
Niech cię Bóg błogosławi, najdroższa. Jesteś moim
dobrym aniołem.

Panna Vickers westchnęła.

Będę twoim dobrym aniołem, Maurycy, jeżeli ze-
chcesz mi na to pozwolić.

247

VI Wielebny

Meekin udziela pociechy

Dnia następnego wielebny Meekin zaszczycił odwiedzi-
nami Johna Rexa, ten zaś powiedział mu, że „za łaską Pana
nad Pany zawdzięcza życie przychylnym dla siebie słowom
kapitana Frere'a”.

Mam nadzieję, dobry człowieku odrzekł solennie
duchowny że doświadczenie to będzie dla ciebie zbawienną
przestrogą, a resztę życia, które zawdzięczasz Panu nad
Pany, poświęcisz żalowi za grzechy młodości i przykładnej
pokucie.

Poświęcę, wielebny księże pastarze! zawołał Rex,
który zdążył już dobrze się przypatrzeć Meekinowi. Na
pewno poświęcę. Wielebny ksiądz pastor bardzo łaskawy, że
raczy rozmawiać z takim jak ja nędznikiem.

To nie łaska, dobry człowieku, lecz mój obowiązek.
Jestem przecież rzecznikiem Pisma świętego.

– Mój Boże! westchnął Dandys. Gdybym za
młodu pilnie słuchał nauk zawartych w Piśmie świętym,
uniknąłbym zapewne wielu nieszczęść.

– ? Zapewne, biedaku, zapewne. Atoli miłosierdzie

Boże

jest nieskończone i nie zna granic. Obejmuje całą ludzkość: równie dobrze ciebie, jak mnie mówiąc to wielebny Meekin spojrział na Rexa tak, jakby chciał dorzucić: „No i co ty na to?” – Czy pamiętasz łotra żałującego za grzechy na krzyżu? Pamiętasz, dobry człowieku?

Pamiętam doskonale, proszę wielobnego księdza pastora.

Czytaj więc Pismo święte i módl się żarliwie o siły nieodzowne do cierpliwego znoszenia kary.

Posłucham szlachetnej rady wielobnego księdza pastora. Będzie mi trzeba wielkiej siły moralnej, a także fizycznej, ponieważ więzienne racje żywnościowe są bardzo szczupłe.

Pomówię o tych racjach z kim należy rzekł protekcyjnie wielebny Meekin. Przyjdę jeszcze do ciebie, a tymczasem postaraj się odświeżyć w pamięci

248

niezwykłe przygody, o których wspominałeś. Chętnie zapoznam się z nimi bliżej. Tak niezwykłą historię należy zachować dla potomności.

Wielobny ksiądz pastor bardzo dla mnie łaskawy.

Dziękuję stokrotnie. Postaram się przypomnieć sobie wszystko jak najwierniej. – Łajdak lubił opowiadać wymownie o swojej nieskalanej przeszłości. – Ach, Boże! Czy mogło mi przyjść do głowy, kiedy byłem dżentelmenem, że upadnę kiedyś tak nisko! Ale kara spotkała mnie sprawiedliwie. Najzupełniej sprawiedliwie.

Niezbadane drogi Opatrzności są zawsze sprawiedliwe.

Pamiętaj o tym, Rex. Cieszę się, że tak wyraźnie dostrzegasz dziś swoje minione błędy. Do widzenia, Rex, do widzenia.

Do widzenia i niech Bóg ma w swojej pieczy wielobnego księdza pastora – odrzekł Rex i zerknąwszy na towarzyszy niedoli zrobił ukradkiem filuterną minę.

Wielobny Meekin odszedł z godnością i wdziękiem, przekonany, że uczciwie pracuje w winnicy Pańskiej, a w osobie Johna Rexa znalazł człowieka naprawdę niepośledniej miary.

Jego wspomnienia prześlę do Anglii – powiedział do siebie. – Powinny zabawić biskupa. Kolonie karne są niewątpliwie pełne wstrząsających opowieści, należałoby je tylko wyłowić.

W tym momencie duchowny spostrzegł „niepoprawnego Dawesa”, który z polecenia władz zabawiał się tłuczeniem kamieni, oczekując na transport do Port Arthur. Szopa, którą wizytował duchowny, była długa, niska, kryta blaszanym dachem. Z obydwu końców przytykała do murów z jednego do budynku mieszczącego cele, z drugiego do zewnętrznego ogrodzenia terenów więziennych. Siedziało tam czterdziestu zakutych w łańcuchy zesłańców, a strzegło ich dwu strażników uzbrojonych w naładowane karabiny.

Trzeci -- również uzbrojony -- czuwał w wyżce umieszczonej na szczycie głównego muru. Co pół godziny dozorca odbywał przechadzkę pod szopą i troskliwie kontrolował kajdany. System izolatek (który na ogół doprowadza do obłądów w ciągu roku) nie był podówczas znany w Hobarcie, więc skazańcy mieli przyjemność przyglądania się sobie nawzajem przez sześć godzin dziennie.

249

W ciągu dnia mm więźniowie pracowali na drogach i wykonywali rozmaite zadania, lecz tych czterdziestu uchodziło za zbyt niebezpiecznych, by wypuszczać ich za bramę. Siedzieli więc pod szopą na dziedzińcu, o trzy stopy jeden od drugiego, w dwu długich szeregach. Każdy miał między

wyciągniętymi nogami niewielki stosik kamieni i bez pośpiechu tłukł je młotem na szuter. Owe dziecięcy, beznadziejnie ostukujące spróchniałe drzewo dyscypliny karnej, czyniły wrażenie niemal komiczne. Absurdem musiał wydawać się fakt, że czterdziestu silnych, zdrowych mężczyzn zakuto w kajdany i umieszczono pod strażą po to jedynie, by rozbijali większe odłamki kwarcu na mniejsze.

Zjawienie się wielebnego Meekina powitały gniewne spojrzenia i niezgodny chór tłumionych bluźnierstw. Więźniowie mieli zwyczaj stękać za każdym razem, gdy młot uderza o kamień, a pod osłoną tego odgłosu nietrudno było zakląć lub rzucić sąsiadowi słowo niedosłyszalne dla dozorców. Ktoś obdarzony wyobraźnią, kto zobaczyłby nierównomierny ruch czterdziestu młotów, mógłby porównać szopę do wnętrza fortepianu, po którego niewidzialnej klawiaturze błędzi na chybił trafił jakaś ręka.

Rufus Dawes siedział ostatni w szeregu, zwrócony twarzą do cel, a plecami do głównego muru, znajdował się więc najbliżej strażnika czuwającego na wyżce. Było to miejsce wyznaczane najniebezpieczniejszym więźniom, budzące zatem posępną zazdrość ludzi mniej wyróżnionych.

Wielebny Meekin zmierzył wzrokiem dystans między sobą a „niepoprawnym Dawesem”, tak jak mógłby mierzyć długość łańcucha złego psa.

-- No i co, Dawes? -- przemówił. Jak się dziś czujesz?

Więzień odburknął coś zgłuszonego uderzeniem młota, co mogło oznaczać, że czuje się doskonale.

Obawiam się, Dawes podjął duszpasterz tonem przygany że twoje poniedziałkowe wystąpienie w sądzie nie wyjdzie ci na dobre. O ile mi wiadomo, głos opinii publicznej potępia cię jednomyślnie.

Dawes milczał. Powoli układał spory kawałek skały na podstawie z kilku drobnych kamieni.

-- Podejrzewam, Dawes, że brak ci cierpliwości, że nie odczuwasz skruchy z racji swoich występków przeciwko prawu.

250

Jedyną odpowiedzią człowieka w kajdanach (jeżeli można to nazwać odpowiedzią) był potężny cios młota, pod którym rozprysnął się odłamek skały. Wielebny Meekin bezwiednie przykniął oczy i odskoczył krok do tyłu.

Jesteś zatwardziałym grzesznikiem -- powiedział surowo. Nie słyszysz, Dawes, że mówię do ciebie?

Słyszę, że pan do mnie mówi -- odrzekł Dawes wybierając kamień ze stosu.

No to słuchaj uważnie i z szacunkiem -- ciągnął duchowny przejęty zbożnym gniewem. Na tłuczenie kamieni masz cały dzisiejszy dzień.

Tak. Na tłuczenie kamieni mam cały dzisiejszy dzień, a także jutrzejszy i pojutrzejszy odrzekł Dawes podnosząc niechętny wzrok. Uff!... -- młot opadł znowu z łoskotem.

Przyszedłem tu, człowieku, aby udzielić ci pociechy. Rozumiesz? Aby udzielić ci pociechy -- podjął wielebny Meekin urażony lekceważeniem, z jakim spotykały się jego wstępne życzliwe słowa. -- Pragnę też dać ci pewną zbawienią radę.

Władczy ton wielebnego Meekina podziałał widocznie na resztki poczucia humoru, które przetrwały mimo łańcuchów i upodlenia, gdyż więzień uśmiechnął się blado. Bardzo pana przepraszam powiedział. Chciałem zwrócić uwagę, dobry człowieku, że sam sobie zaszкодziłeś. Nie w porę wystąpiłeś z zarzutami pod adresem pana kapitana Frere'a i wmieszałeś w to wszystko pannę Vickers. Więzień zmarszczył czoło, jak gdyby odczułnagle ból

lub z trudem pohamował wybuch gniewu.
Czy nie będzie w tej sprawie dochodzenia? --
zapytał wreszcie. Ja mówiłem prawdę, tak mi dopomóż
Bóg!

Nie bluźnij, człowiecze! obruszył się Meekin. Nie
bluźnij! Kłamstwo to grzech, lecz grzechem po stokroć
cięższym jest branie imienia Pana twojego nadaremno. A
teraz odpowiem na twoje pytanie. Nie, Dawes, nie
będzie żadnego dochodzenia.

Jak to? Nikt nie zapyta, co ona ma do powiedzenia? spytał
Dawes głuchym tonem rozpaczy. — A ja myślałem...

Nie! Władze zechcą wysłuchać jej zdania. Na pewno.

251

Nie wolno mi zapewne informować cię, Dawes,
o zamierzeniach władz — podjął wielebny Meekin, nie
zwracając uwagi na burzę żalu i pasji, pod której wpływem
drżał i łamał się głos krzepkiego więźnia. Mogę ci jednak
oznajmić, że nikt nie zapyta, co panna Vickers mogłaby
powiedzieć o tobie. Dwudziestego czwartego grudnia od-
płyniesz do Port Arthur, gdzie pozostaniesz.

Rufus jęknął tak przejmująco, że mękę jego odczuł nawet
wielebny Meekin, człowiek z natury mało wrażliwy.

— Tak chce prawo, dobry człowieku powiedział.

Myślę, że to rozumiesz. Ja nic ci pomóc nie mogę. Nie
trzeba było łamać prawa.

-- Do diabła z prawem! wybuchną! więzień. To
cholerne, piekielne prawo! Ja... Bardzo pana przepraszam...
urwał i począł z rozmachem tłuc kamienie, wtórując sobie
tłumionym śmiechem wymowniejszym niż wszelkie słowa
lub okrzyki bólu.

Trudno, Dawes. Nie powinienes się skarżyć podjął
Meekin czując, że musi rzucić więźniowi garść wyuczonych
w Londynie komunałów. — Złamałeś prawo i dlatego
cierpisz obecnie. To nieunikniony porządek rzeczy. Cywili-
zowane społeczeństwo powiada: nie należy robić pewnych
rzeczy. Jeżeli więc je robisz, musisz ponieść karę, jaką
cywilizowane społeczeństwo nakłada. Nie brak ci intelligen-
cji, Dawes, przyznasz więc niewątpliwie, że tego rodzaju
zasada jest sprawiedliwa.

Dawes nie odpowiedział, lecz rozejrzał się dokoła, jak
gdyby chciał zapytać wzrokiem, czy cywilizowane społec-
zeństwo postępuje zgodnie z zasadami sprawiedliwości,
gdy tworzy takie miejsca jak ta otoczona murami, strze-
żona przez zbrojną straż szopa, w której czterdzieści bestii
ludzkich marnuje najlepsze lata życia na tłuczeniu ka-
mieni.

No i co, Dawes? podjął wymuskany duszpasterz.

-- Chyba nie możesz odmówić mi słuszności?

— Nie uchodzi mi dyskutować z panem odrzekł
więzień z obojętnością wyrobioną na skutek długoletnich
cierpień, a mało doświadczony Meekin nie zorientował się,
czy nawrócił zatwardziałego grzesznika, czy też został po-
traktowany lekceważąco. — Ale ja jestem więźniem skaza-

252

nym na dożywotnie ciężkie roboty, oceniam więc te kwestie
z innego punktu widzenia niż pan.

Zapewne kapłan nie brał pod uwagę tego innego punktu
widzenia, bo zarumienił się lekko. Tak! Więzień skazany na
dożywotnie ciężkie roboty może odnosić się odmiennie do
takich kwestii. W tej chwili dzwoniący więzienny oznajmił
południe i dał do zrozumienia wielebnemu Meekinowi, że
winien udzielać pociechy komuś innemu, nie szykującym się
do przeglądu skazańcom.

Z pobrzękiwaniem i szczękiem łańcuchów dźwignęło się

czterdziestu ludzi i każdy z nich stanął wyprostowany za swoim stosem kamieni. Dozorca obchodził wszystkich nie-dbałym krokiem, aby upewnić się, czy od ostatniej jego wizyty nie zaszło nic podejrzanego. Uważnie oglądał kajdany, ostukiwał pierścienie na kostkach, podciągał zgrzebne spodnie zapinane z boku niby meksykańskie calzoneros, aby dać łatwy dostęp do okowów. Po dokonanej inspekcji każdy więzień salutował i siadał na ziemi, obejmując stos kamieni szeroko rozsuniętymi nogami. Wielebny Meekin niewiele miał do czynienia z konną jazdą, a przecież odniósł wrażenie, że ta scena żywo przypomina przegląd końskich podków przez kowala.

Doprawdy?— mruknął do siebie z nie udanym tym razem współczuciem — to okropne, żeby tak traktować istoty ludzkie. Cóż dziwnego, że ci biedacy burzą się i sarkają... Ach, mój Boże! Dochodzi pierwsza! Obiecałem, że o drugiej będę na obiedzie u majora Vickersa. Jak ten czas leci!

VII

Sielanka Rufusa Dawesa

Tego samego popołudnia, kiedy wielebny Meekin trawił obiad przy miłej pogawędce z Sylwią, Rufus Dawes począł snuć śmiałe plany. Wiadomość, że nie odbędzie się upragnione dochodzenie, nadwątlila więzy opanowania, jakie sobie

253

nakładał. Od pięciu lat miał nadzieję i czekał, aby pomyślny traf sprowadził go do Hobartu i pozwoli! ujawnić niecną zdradę Maurycego Frere'a. Zdarzył się niemal cud: więzień mógł zabrać głos publicznie, ale gdy zaczął mówić, nie pozwolono mu dobrnąć do końca. Runęły wszelkie nadzieje. Narzucona sobie cierpliwość odmieniła się w dławiającą gorzyc i pasję. Zamiast jednego wroga zyskał dwudziestu. Wszyscy przewodniczący sądu, przysięgli, dozorczy więzienni, kapelan —? zawarli przymierze, aby krzywdzić go i poniewierać. Cały świat był mu nieprzyjacielem. Nikt nie hołdował słuszności i prawdzie. Nikt, z wyjątkiem jednej istoty ludzkiej.

Jednostajną nędzę życia w Port Arthur rozjaśniało wspomnienie promienne niby gwiazda na niebie. Na dnie rozpacz i poniżenia dodawała mu ducha czarowna myśl —myśl o dziecku, które ocalił i które go niegdyś kochało. Po uratowaniu płonącego czółna przez statek wielorybiczny Dawes cierpiał, bo zdawał sobie sprawę, że marynarze dają wiarę kłamliwym opowieściom Frere'ai stronią od ponurego zbrodniarza. Nie protestował jednak, a pociechę znajdował w myślach o złożonej ciężką niemocą Sylwii. Kiedy pani Vickers umarła nie wyrzekłszy słowa (ubył więc główny świadek bohaterstwa biednego więźnia), Rufus czerpał otuchę ze świadomości, że dziewczynka pozostała przy życiu. Kiedy Frere oddał go jako zbiega w ręce władz, sobie zaś przypisał zasługę zbudowania czółna więzień milczał, bo wiedział, że Sylwia da niebawem świadectwo prawdzie.

Wierzył głęboko w jej wdzięczność, nie chciał więc błagać o łaskę. Był pewien, że Sylwia wystąpi i o przebaczenie dlań poprosi. Gardził tchórzem i kłamcą, który wykorzystał swoje stanowisko i złożył fałszywe zeznania, kiedy zatem usłyszał wyrok skazujący go na dożywotnie ciężkie roboty, nie wyjawiał, jaką rolę odegrał istotnie. Wolał czekać na doskonałą zemstę, na zupełniejsze oczyszczenie, które jego zdaniem musiało nastąpić po powrocie do zdrowia dobrego dziecka.

Ale w Port Arthur mijał dzień za dniem, a ułaskawienie nie nadchodziło, nie słyhać było dobrych nowin. Wobec tego Rufus Dawes zaczął dręczyć się bolesnymi domysłami, że zaszło coś dziwnego i nieoczekiwanego. Nowo przybyli

więźniowie powiadali, że córka komendanta choruje nadal i jest bliska śmierci. Potem rozeszła się pogłoska o wyjeździe majora Vickersa i biedny zesłaniec zrozumiał, że przepadła ostatnia nadzieja ratunku. Był to dlań cios dotkliwy.

W pierwszej chwili Rufus Dawes jął surowo potępiać egoizm Sylwii. Niebawem jednak podszeptała mu usprawiedliwienie gorącą miłości utajoną pod zewnętrzną powłoką ponurej obojętności, nabytej z racji długoletnich cierpień. Przecież dziewczynka była chora i znajdowała się pod opieką ludzi, którzy darzyli ją miłością, jego zaś chłodną niechęcią. Może jej opowiadanie lub nawet prośby uznane zostały za niedorzeczną paplaninę dziecka? Na pewno Sylwia przyszłaby mu z pomocą, gdyby potrafiła tego dokonać.

Nieszczęśliwy człowiek zaczął pisywać „zeznania”, naprzykrzać się komendantowi, zanudzać dozorców i strażników opowieściami o swoich krzywdach, zasypywać władze podaniami, które nie dochodziły nigdy rąk adresatów, ponieważ zawierały ciężkie zarzuty pod adresem Maurycego Frere'a. Przełożeni, zrazu przychylni skazańcowi, który miał za sobą tak niezwykle przygody, znudzili się rychło jego domniemanymi kłamstwami powtarzаныmi tak złośliwie i jęli go przydzielać do coraz cięższych zadań. Jego zamknięcie się w sobie brali błędnie za knowanie zdrady, nagłe wybuchy gniewu za nieposkromioną dzikość, cierpliwe znoszenie męki za niebezpieczną chytrość. Rufus Dawes został w Port Arthur tym samym, czym był w Macquarie Harbour: człowiekiem napiętnowanym. Utracił wszelką nadzieję na uzyskanie upragnionej wolności uczciwą drogą, a że grozą przejmowała go myśl o dożywotnich kajdanach, dwukrotnie próbował ucieczki. Było to jednak przedsięwzięcie jeszcze bardziej chyba beznadziejne niż ucieczka z Macquarie Harbour. Półwyspu pilnowano doskonale. Kolonię karną otaczał łańcuch posterunków sygnalizacyjnych. Szalupy z uzbrojonymi załogami strzegły wszystkich dogodnych zatoczek, a wąski przesmyk łączący Port Arthur z lądem stałym był obstawiony wojskiem i psami tresowanymi do tropienia ludzi.

Obydwa razy zbieg został pochwycony, wychłostany i skazany na cięższe okowy. Ostatecznie wysłano go do kopalni węgla, gdzie więźniowie kwaterowali pod ziemią,

254

255

pracowali półnago i jak bydłeta robocze ciągnęli po żelaznych szynach wagoniki, których dozorczy lubili używać przy przeprowadzaniu inspekcji w chodnikach. W dzień odejścia do kopalni węgla Rufus usłyszał, że Sylwia nie żyje, zgasła wiec w nim ostatnia iskierka nadziei.

Ale wiadomość ta stała się zarazem źródłem nowej religii. Więzień zaczął ubóstwiać zmarłą. Dla niej miał miłość i pełne tkliwości myśli – dla żywych tylko nienawiść i złe słowa. Zamiast nawiedzających go dawniej widm minionej młodości widywał obecnie tylko jedną zjawę zjawę dziecka, które go niegdyś kochało. Zamiast malować w myślach obraz utraconego domu i wizerunki osób, co w odległej przeszłości darzyły go szacunkiem i uczuciem, ograniczał się do jednej tylko idei, jednego uosobienia szczęścia, myśli o jedynej istocie, która pośród wyrzutków zaludniających otchłań męki pozostawała czysta i nieskalana. Wszystko co piękne i szlachetne łączył ze wspomnieniami o uroczym dziecku, które kładło mu ufnie główkę na piersi i uśmiechało się doń purpurowymi ustami. Pogrzebał już nadzieję odzyskania nazwiska i własnego miejsca na świecie, wyobrażał więc sobie jakiś cichy zakątek – otoczony ogrodem stary dom w niemieckim miasteczku albo samotną chatę na wybrzeżu Anglii

– gdzie pędziłby z dziecięciami swoich marzeń życie radoś-
niejsze i czystsze niż zakochani w sobie wzajemnie mężczyzna
i kobieta. Mógłby dzielić się z nią wiedzą zyskaną dzięki
osobliwym kolejom życia. Mógłby wyjawić jej prawdziwe
nazwisko, a nawet odzyskać je kiedyś i za tę cenę kupić dla
ukochanej bogactwa i zaszczyty. Wolałaby na pewno życie
ciche i pożyteczne – życie poświęcone dobrym uczynkom,
miłosierdziu, miłości... Widywał Sylwię w swoich snach na
jawie: czytywała przy rażno trzaskającym ogniu, spacero-
wała po pachnącym latem lesie, siadywała nad morzem
drzemiącym w skwarne południe. W swoich snach na jawie
czuł jej miękkie ramiona na szyi i niewinne pocałunki na
wargach, słyszał jej srebrzysty śmiech, widział bujne złociste
loki odrzucone do tyłu, gdy biegnie mu na spotkanie.
Wiedział, że Sylwia umarła, a jej pamięci nie uchybia
marzenia grzęznącego w bagnie zła nędzarza, lubił więc
wyobrazić sobie, że dziewczeczka żyje, i roić dla niej i dla siebie
nieprawdopodobne koleje przyszłego szczęścia. W hałas-
256

liwym mroku kopalni, w skwarze słonecznego południa,
wlokąc ciężki furgon widywał ją ustawicznie i wyobrażał
sobie, że wielkimi spokojnymi oczyma spogląda w jego oczy
tak, jak spoglądała niegdyś w zagubionym na morzu czółnie.
Nie dojrzewała, nie rosła, nie zamierzała nigdy odejść od
niego. Niknęła tylko, gdy przestawał nad sobą panować
przekhnał, bluźnił albo uczestniczył w plugawych żartach
towarzyszy niedoli.

Snując takie marzenia Rufus Dawes znajdował żalną
pociechę i w urojonym świecie nagradzał sobie krzywdy
wyrządzone mu przez okrutną rzeczywistość. Obojętniał
stopniowo na codzienne udręki, lecz pod powłoką tej
obojętności kryła się zadawniona nienawiść do krzywdziciela
i oszczercy oraz gorące pragnienie, aby przy pierwszej
sposobności odebrać mu zyskane kłamstwem laury boha-
tera.

W takim nastroju Rufus Dawes stanął przed sądem
i zamierzał wygłosić rewelacyjne oskarżenie. Ale nieoczeki-
wana wiadomość, że Sylwia żyje, pozbawiła go siły ducha,
a przygotowaną mowę zmieniła w rwący potok skarg i obelg,
które nie przekonały nikogo. Frere'owi zaś dostarczyły
takich właśnie argumentów, jakie mogły mu się przydać
najbardziej. Władze doszły do wniosku, że Rufus Dawes jest
złośliwym, sprytnym łajdakiem, a na celu ma tylko chwilową
ulgę od kary wymierzonej mu sprawiedliwie i słusznie.

Nieszczęśliwy postanowił zbuntować się przeciwko
ostatniej krzywdzie. Potwornością wydało mu się to, że nikt
nie chce wysłuchać świadka gotowego przemówić w jego
obronie, że władze odeślą go do kaźni nie pozwoliwszy Sylwii
wyrzec słowa na jego korzyść. Ale on obróci wniwecz te
knowania! Zdołał obmyślić plan ucieczki. Wyrwie się z mat-
ni, padnie na kolana przed Sylwią, będzie ją błagał, by
powiedziała prawdę, by go ratowała! Wierzył w nią bez
zastrzeżeń, a jego dawną miłość stokrotnie wzmogło idealne
uczucie do istoty z marzeń sennych, nie wątpił więc, że ona
potrafi ocalić go teraz tak, jak on ją niegdyś ocalił.
„Gdyby wiedziała, że żyję, na pewno odezwałaby się
jakoś myślał. Widocznie powiedzieli jej, że umarłem”.
257

Rufus Dawes był „niepoprawny”, sypiał więc sam w celi
i korzystając z tej wątpliwej pociechy, mógł swobodnie
rozmyślać. W noc po rozprawie sądowej omal nie płakał
wyobrażając sobie, jak bezlitośnie okłamano Sylwię.
„Powiedzieli jej, że umarłem, bo chcieli, żeby o mnie

zapomniała. Ale ona zapomnieć nie mogła. Przez te straszliwe lata myślałem o niej tak wiele, że i ona musiała pamiętać o mnie. Pięć lat! Przecież to już dorosła kobieta. Moje biedne małe dziecko zmieniło się w kobietę. Ale na pewno jest taka słodka i czysta jak dziecko. Będzie okropnie cierpieć, kiedy usłyszy o moich krzywdach. O ukochana, ukochana! Ty żyjesz!"

Więzień rozejrzył się dokoła, jakby przejęty obawą, że ktoś może go podpatrzeć nawet w samotnej celi. Potem wyjął z zanadru małe zawiniątko, jał je gładzić szorstkimi, spracowanymi dłońmi, podnosić do ust, skrapiać łzami, jak gdyby był to cudowny talizman, który otworzy przed nim wrota wymarzonej wolności.

VIII

Ucieczka

W kilka dni później dwudziestego trzeciego grudnia zdumiewająca wiadomość zaniepokoiła Maurycego Frere'a. „Niepoprawny Dawes" umknął!

Tego rana kapitan przeprowadził inspekcję więzienia i zdawało mu się, że młoty stukają żywiej niż kiedykolwiek, a łańcuchy pobrzękują weselej.

Łajdacy! powiedział Frere do strażnika. Cieszą się na świąteczne próżniactwo; na próżniactwo i pudding! Dobrze im się wiedzie.

Najbliższy kajdaniarz roześmiał się z uznaniem, tak jak więźniowie lub uczniacy zwykli śmiać się z żartów osoby sprawującej władzę. Wszystko wydawało się w porządku. Kapitan zrobił sobie nawet przyjemność i zakpił ze szczególnego pecha prześladowającego Dawesa.

Szkuner odpływa jutro powiedział. Trudno, dobry człowieku, ty spędzisz Boże Narodzenie w kopalni.

258

Rufus dotknął tylko czapki i dalej tłukł kamienie, a Frere pogratulował sobie z tej racji. Jeszcze raz stwierdził, że nic nie łamie człowieka tak skutecznie jak ciężkie kajdany i ciężka praca. Cóż dziwnego, że uszom nie wierzył, gdy tego samego dnia po południu usłyszał niezwykłą nowinę. Rufus Dawes uwolnił się z więzów, w biały dzień przesadził mur więzienia, zniknął na Macquarie Street i obecnie, jak przypuszczać należy, ukrywa się gdzieś w górach.

Jak to się stało, u licha? --?• zapytał Frere, kiedy znalazł się na dziedzińcu więziennym. – Mów, Jenkins. Niech mnie grom spali, jeżeli wiem, panie kapitanie. Anim się obejrzał, a on był już na murze. Scott strzelił i nie trafił. Potem usłyszałem karabin wartownika, ale ten także chybił.

Także chybił! ?- zawołał Frere. Ładne z was zuchy! Żaden nie trafiłby w stóg siana na dwadzieścia kroków. Przecież ten drań był od ciebie, Scott, o trzy stopy. Biedny Scott zerknął melancholijnie na porzucone łańcuchy i bąknął, że słońce świeciło mu prosto w oczy. Nie wiem, jak to się stało, panie kapitanie – ciągnął. Powinienem trafić, a nie trafiłem. Mój Boże! Zdawało mi się nawet, że dostał, jak wspinał się na mur.

Słuchając tej rozmowy ktoś nie obeznany z lokalnymi zwyczajami mógłby sądzić, iż chodzi o zawody w strzelaniu do gołębi.

Opowiedz wszystko od początku, Jenkins rzucił

Frere i zaklął gniewnie.

Patrzyłem, panie kapitanie, w inną stronę, kiedy Scott zawołał nagle: „Oo! Co to?" Odwróciłem się i zobaczyłem porzucone kajdany Dawesa na tamtej kupie kamieni. W tej chwili zerwali się dwaj po mojej prawej stronie, pomyślałem więc, że to sprawa ukartowana z góry, i po-

stąpiłem zgodnie z instrukcjami. Wymierzyłem do nich z karabinu i krzyknąłem, że zastrzelę tego, który pierwszy krok zrobi. Potem usłyszałem strzał Scotta. Więźniowie krzyknęli, a jak się odwróciłem, tego obwiesia już nie było.

Nie ruszył się nikt więcej?

Nie, panie kapitanie. Z początku przestraszyłem się, że to ogólna zмова. Potem Parton i Haines nadbieg-

259
li i stanęli między mną a murem. Potem przyszedł pan Short i sprawdziliśmy kajdany. Były w porządku?

W porządku, panie kapitanie. Wszyscy więźniowie zapewniają, że o niczym nie wiedzieli. Dawes był też okuty jak należy, kiedy szedł na obiad. To wiem na pewno.

Frere pochylił się i z uwagą obejrzał łańcuchy.

Był okuty jak należy! powtórzył gniewnym tonem.

Bodaj cię diabli wzięli! Jeżeli, mój człowieku, tak znasz swoje obowiązki, możesz się stąd wynosić! A im prędzej, tym lepiej! Spójrz.

Oba pierścienie zakładane na kostki były uszkodzone: jeden przepiłowany, drugi przełamany ukośnie, jakby silnym uderzeniem.

Nie wiem, skąd on mógł wziąć pilnik powiedział starszy dozorca Short.

Nie wie pan? Oczywiście! Wy nigdy nic nie wiecie, póki me stanie się coś złego. Ja wam jestem potrzebny na kilka tygodni. Nauczyłbym was wszystkich, jak pełnić obowiązki. Nie wie pan, skąd on mógł wziąć pilnik? A na dziedzińcu poniewiera się takie coś! Dziwne, że wszyscy ci łajdacy nie wydostali się na wolność i nie poszli na obiad do gubernatora!

„Takie coś” było odłamkiem świdra górniczego, dostrzeżonym przez bystre oko kapitana obok przepiłowanych kajdan.

Podaję się przeciąć tym najgrubszy łańcuch, jaki tu macie. Zrobię to ja, on i jeszcze sto innych osób. Powinien pan być, panie Short, pracować ze mną na Wyspie Sary. Wtedy wiedziałby pan, skąd ten zbój mógł wziąć pilnik.

To był przypadek, panie kapitanie próbował bronić się Short. -- Nic teraz nie poradzimy.

– Przypadek! ryknął Frere. Proszę mi tylko nie gadać o przypadkach. Jak, u diabła, ten człowiek wydostał się za mur?

Pobiegł prosto do tej przyzmy kamieni odpowiedział Scott. Zobaczyłem go, jak skakał na dach szopy. Wystrzeliłem, ale on stanął na szczycie muru i przepadł po tamtej stronie.

260

Frere zamilowany i dobry sportowiec zmierzył wzrokiem dystans od przyzmy kamieni do dachu szopy.

Na Boga! To był skok! powiedział z uznaniem i przypomniawszy sobie, jak dotlikwie skrzywdził Dawesa, dodał niechętnie: Taki zuch nie cofnie się przed morderstwem, jeżeli będzie przyciśnięty do muru. W którą stronę uciekł?

Pobiegł prosto przez Macquarie Street, a później skręcił w kierunku gór. Na ulicy było trochę ludzi. Pan Mays, ten z hotelu „Pod Gwiazdą”, próbował go zatrzymać, ale tak oberwał, że aż się nogami nakrył. Powiada, że Dawes umykał niczym jeleń.

Trzeba będzie wyznaczyć nagrodę, jeżeli nie capniemy go do wieczora. Ta zabawa w chowanego może być niebezpieczna. Radziłbym wysłać wzmocniony patrol.

Frere odwrócił się od strażników i wyszedł z więzienia, udając się do koszar.

W mieście-więzieniu zarządzono alarm i konny patrol wyjechał drogą do New Norfolk, by jak najrychlej wpaść na trop zbiega. Ale zapadła noc, Dawes zaś nadal pozostawał na wolności. Patrol wrócił zawiedziony i zmęczony, a dowódca jego twierdził, że uciekinier przywarował zapewne w jakiejś rozpadlinie skalnej, lecz głód zmusi go wkrótce do kapitulacji. Tymczasem odpowiedni meldunek obiegł całą wyspę, a że system obmyślony przez wielkiego reformatora Arthura działał bez zarzutu, przed południem dnia następnego wszystkie posterunki sygnałowe wzdłuż wybrzeża wiedziały, że „Więzień nr 8942 itd. itd., skazany na dożywotnie ciężkie roboty, znajduje się na swobodzie”. Wiadomość tę uzupełniła wzmianka dziennikarska zatytułowana: „Śmiała ucieczka”, na ogół jednak ludność miasta nie przejmowała się zbyt faktem, że szkuner „Mary Jane” odpłynął do Port Arthur bez Rufusa Dawesa w ładowni.

Przejmowało się tym ledwie kilka osób. Major Vickers bolał, że jego rygle i kraty okazały się tak mało skuteczne, a panowie Jenkins, Scott i s-ka byli w jeszcze gorszym humorze, ponieważ zostali zawieszani w czynnościach i zagrożeni zwolnieniem z posad. Wielebny Meekin bał się nie na żarty, że tak groźny bandyta porusza się swobodnie w bliskim sąsiedztwie jego świątobliwej osoby. Sylwia zdradzała

261
objawy silnego, chociaż starannie ukrywanego napięcia, a pan Maurycy Frere stał się łupem nad wyraz nieprzyjemnych obaw. W koszarach spędził tylko dziesięć minut, a następnie wyjechał galopem w stronę New Norfolk, aby korzystając ze światła dziennego tropić zbiega. Dnia następnego był w górach już przed wschodem słońca i z psem u nogi pracowicie myszkował wśród niedostępnych wąwozów i rozpadlin skalnych. Potem podwoił wyznaczoną nagrodę i dyskretnie przesłuchał kilku podejrzanych osobników. Wszyscy widzieli, że kapitan przeprowadził inspekcję więzienia na niewiele godzin przed ucieczką, toteż jego przesadną gorliwość przypisywano chęci odzyskania dobrej reputacji.

•— Nasz drogi przyjaciel uważa to przykre wydarzenie za sprawę poniekąd osobistą rzekł wielebny Meekin do Sylwii podczas świątecznego obiadu w domu majora Vickersa. — Szczyć się sprytem i dokładną znajomością wszystkich sztuczek tych nieszcześliwych ludzi, przykro mu więc, że dał się w błąd wprowadzić.

Tak czy inaczej Rufus Dawes zniknął bez śladu. Otyły właściciel hotelu „Pod Gwiazdą” był ostatnim człowiekiem, który go widział. Następnie postać w żółtym kaftanie rozplynęła się w blaskach słonecznego popołudnia, tak jak mogłaby przepaść w mrokach bezksiężycowej nocy.

IX List Johna

Rexa

„Małe zebranie towarzyskie”, o którym w swoim czasie mówił major Vickers wielebnemu Meelcinowi, urosło do nieoczekiwanych rozmiarów. Na obiedzie mieli być tylko domownicy, przyszły małżonek Sylwii i przykładowy duszpas-terz, ale dom inspektora więzień nawiedzili: pan McNab, oficer; pan Pounce, funkcjonariusz administracji cywilnej oraz panie Protherick i Jellicoe. Skromny rodzinny obiad przerodził się w istne przyjęcie, a rozmowa zesłała na temat najbardziej aktualny.

262

Nic jeszcze nie wiadomo o tym Dawesie? — zapytał pan Pounce.

Na razie nic odrzekł posępnie Frere — ale niedługo

będzie brykał. Dwunastu ludzi szuka go teraz w górach. Sądzę, że udana ucieczka więźnia to przedsięwzięcie bardzo trudne – odezwał się wielebny Meekin. – Prawda, drogi kapitanie?

Oczywiście. Zbieg nie musi być nawet ujęty, bo i tak głód go pokona. Mało kto potrafi długo ukrywać się na pustkowiu.

Istotnie – przyznał duchowny zajądając ze smakiem zupę. Wszystko wskazuje, że Opatrzność boska dała tej wyspie warunki szczególnie sprzyjające założeniu kolonii karnej, jakkolwiek bowiem klimat jest rozkoszny, niewiele roślin nadaje się na pokarm dla istot ludzkich.

A mnie się zdaje – powiedział McNab do Sylwii – że Opatrzność boska nie miała na myśli kolonii karnej, kiedy tworzyła Kraj Van Diemena.

I ja tak sądzą – zgodziła się panna Vickers.

Trudno to rozstrzygnąć zabrała głos pani Protherick. – Mój nieboszczyk mąż powtarzał często, że zapewne Stwórca pragnął, by w Kraju Van Diemena powstały kolonie karne, gdyż wybrzeża naszej wyspy uczynił dziwnie jałowymi.

Właśnie! –? ożywił się Frere. Port Arthur nie mógłby wyglądać lepiej, gdyby cały półwysep zbudować celowo. Wzdłuż wybrzeża od Tenby do Przylądka Świętej Heleny nie ma nic, czym człowiek mógłby się posilić. A zachodnie wybrzeże przedstawia się jeszcze gorzej. Pamiętam dawne czasy, kiedy...

Aha – wtrącił wielebny Meekin – mam coś, co chciałbym panu pokazać, drogi kapitanie. Szczere wyznania Johna Rexa. Zabrałem je specjalnie w tym celu.

Zabrał pan szczere wyznania Johna Rexa? – zdziwił się Frere.

Tak. Opis przygód zbiegów z Macquarie Harbour. Zamierzam posłać ten dokument przewielebnemu biskupowi. O, jakie to ciekawe! – ożywiła się Sylwia. – Wie pan chyba, że przygody tych biedaków interesują mnie w pewnym sensie osobiście.

263

To, Laleczko, temat dla ciebie zaitazany.

Ach nie, papo! Dawniej strasznie przejmowałam się tą historią. Teraz już nie. Musi mi pan to dać do przeczytania, panie Meekin.

Na pewno to stek kłamstw rzucił posępnie Frere, – Rex nie potrafiłby powiedzieć prawdy nawet dla ratowania własnej skóry.

Niesprawiedliwie go pan sądzi, drogi kapitanie obruszył się duchowny, – ? Nie wszyscy więźniowie są zatwardziali w grzechu tak jak ów niepoprawny Rufus Dawes.

Moim zdaniem Rex okazuje szczerą skruchę. Napisał nawet wzruszający list do swojego ojca.

List! • – zawołał Vickers. Jak to? Według regulaminów królewskich więźniom nie wolno wysyłać listów z pominięciem władz.

Wiadomo mi o tym, kochany majorze odparł wielebny Meekin. •-- Dlatego właśnie list przyniosłem ze sobą, aby pan mógł zapoznać się z jego treścią. A treść ta, moim zdaniem, tchnie nie udaną pobożnością.

Chętnie zobaczę list Rexa -- powiedział Maurycy Frere.

Oto on rzeki duchowny dobywając z kieszeni arkusz papieru. Jeżeli łaskawe panie pozwolą, przeczytam go na głos przy deserze. Jest doprawdy pouczający.

Panie Protherick i Jellicoe wymieniły znaczące spojrzenia. Cóż pouczającego może być w liście więźnia? Od razu

widać, że wielbny pan Meekin nie zna stylu życia w Kraju Van Diemena.

Frere ujął w palce złożony arkusz i głośno odczytał adres;

John Rex, Senior

z pocztą Wielmożnego Pana filieksa

Bishopsgate Street Within, Nr 38

Londyn

Czemu ten Rex nie pisze bezpośrednio do ojca?

zapytał. Co to za Blicks?

Jakiś uczciwy kupiec. W jego kantorze Rex pracował za młodu. Rychło się pan przekona, że ten biedak ma jakie takie wykształcenie.

264

Wykształceni więźniowie są z reguły najgorsi – powiedział Vickers. – James! Podaj wino. Nie jestem zwolennikiem toastów, ale ponieważ mamy dzień Bożego Narodzenia, pozwolę sobie wznieść zdrowie Najjaśniejszej Pani. Niech żyje Królowa! --- zawołał z ogniem Maurycy

Frere.

Po spełnieniu wiernopoddańczego toastu major wzniósł zdrowie jego ekscelencji sir Johna Franklina, wywołując podobny entuzjazm.

A teraz – powiedział Frere, który nadal trzymał list w rękę – wesołych świąt i pomyślnego nowego roku dla pana, drogi gospodarzu, i wszystkich obecnych. Oby Bóg raczył nam błogosławić!

Amen – zakończył pobożnie Meekin. – Ufam i tuszę, że Wszechmogący nie odmówi nam swojej najwyższej łaski. A teraz, łaskawe panie, pozwolę sobie przeczytać list Johna Rexa. Jego wspomnienia zostawimy na później. Rozłożywszy arkusz z miną robotnika w winnicy Pańskiej, spoglądającego na pierwszą własnoręcznie wyhodowaną winorośl, zacny duszpasterz zaczął:

Hobart, dn. 27 grudnia 1838 r.

Kochany Ojcze! Pośród doli, niedoli i odmian mojego urozmaiconego życia nie przypadło mi nigdy w udziale zadanie tak bolesne jak obecnie, gdy mam przemówić do Ciebie z tego posępnego miejsca – z mojego opasanego morzem więzienia, gdzie zwykłem stawać na plaży niby posąg zawiedzionych nadziei, popychany przez niepomyślne wiatry ku krainie czarnej rozpacz i otchłaniom niewysłowionej męki.

Jaki poetyczny! wtrącił Frere.

Podobny jestem gigantycznemu drzewu z pierwotnej puszczy, które przetrwało liczne burze i zamiecie śnieżne, niestety jednak stało się tylko spróchniałym pniem ogołoconym z zieleni i żywych gałązek. Jakkolwiek zbliżam się szybko do średnich lat wieku męskiego, nie zajmuję godnego zazdrości, zaszczytnego stanowiska, nie cieszę się szacunkiem ani uznaniem. Nie!

265

Rychłoprzy wdzieję kaftan hańby napiętnowany litera/ni P.A., co znaczy Port Arthur albo innymi słowy: „Dom Zbrodniarza”.

Biedak! westchnęła Sylwia,

Wzruszające, prawda? zapytał Meekin i czytał

dalej:

Z nieznośnym bólem serca, żalobą w duszy trafiłem pośród wyrzutków społeczeństwa. Stan moich uczuć i wierny mój obraz znajdziesz, Kochany Ojcze, w Psalmie 102, poczynając od wiersza czwartego, a kończąc na dwunastym. Proszę Cię bardzo, przeczytaj te słowa uważnie, nim zajmiesz się dalszym ciągiem mojego listu.

A to ciekawe! powiedział Frere dobywając notes.

Niech no pan jeszcze raz przeczyta te liczby. Kapelan posłuchał, a kapitan uśmiechnął się krzywo. – Jedźmy

dalej – rzucił. – Na zakończenie pokażę panu w tym liście coś naprawdę godnego uwagi.

O mój Ojczy Najdroższy! Unikaj świeckich, nieprzystojnych ksiązek. Niechaj myśl Twoja wraca ku sprawom świętym i ustawicznie wzbogaca Cię w łaskę. Psalm LXXVIII. 2. Atoli nie tracę ducha nawet w beznadziejnej sytuacji. Psalm XXXV. 18. ..Albowiem Pan jest łaskawy i nakłania ucho swoje ku miłosierdziu".

Ten kundel bluźni! wybuchnął Vickers. Chyba nie wierzy pan w jego brednie, panie Meekin? Może pan major łaskawie pozwoli mi skończyć zgromił go z godnością duszpasterz.

Silny duch stronnictwa panuje nawet w więzieniu w Kraju Van Diemena. Przykro się robi na myśl, że bezczelna prasa rzuca rozmaite zupełnie pozbawione podstaw kalumnie, chociaż w istocie rzeczy nasze władze są nieodmiennie otaczane głębokim szacunkiem wszystkich ludzi dobrej woli. Nic nie pomogą często podejmowane zabiegi i starania nikczemników i kłamców szemrających nienawiścią i pogardą nieszczęśliwych

266 więźniów. Miło mi jednak donieść Ci, Kochany Ojczy, iż te knowania nie wiedą do niczego. Nie wierz temu, co wszystkie gazety naszej kolonii piszą. Ich wypociny to stek kłamstw i paszkwilów.

To na pański benefis, panie Frere uśmiechnął się Vickers. Pamięta pan, co wypisywano na temat pańskiej obecności na wyścigach?

Naturalnie – powiedział Frere. Co za spryciarz! Proszę czytać dalej, panie Meekin.

Z pewnością znajdziesz w prasie, Najdroższy Ojczy, liczne obłudne relacje o tyranii i straszliwych okrucieństwach, wedle słów wrogów naszych władz i porządku społecznego – słów z reguły i zawsze mijających się z zasadami prawdy – stosowanych przez dozorców wobec zesłańców. W rzeczywistości kolonia karna nie jest aż tak okropna, jak często przedstawiają ją zwykli, pozbawieni skrupułów ludzie pióra. Bezlitosna chłosta i ciężkie kajdany bywają niekiedy karą, ale zdarza się to rzadko i w przypadkach znacznej wagi, gdy więzień jest istotnie winien. Za lekkie wykroczenia przeciwko dyscyplinie prawo karze z umiarem i raczej nominalnie. Nikt nie otrzymuje chłosty niezasłużenie.

powie-

Jeżeli o tego łotra chodzi, to święta prawda działał Frere i zgniółł orzech.

Teksty Pisma świętego przytoczone przez naszego kapelana umocniły mnie w wierze. Mam powody do wdzięczności, bo po próbie odzyskania swobody, jaką podjąłem lekkomyślnie, okazano mi zamiłowanie. Śmierć – straszna śmierć ciała i duszy – winna stać się moim udziałem, ale za łaską Wszechmogącego zostałem ocalony dla pokuty. Ewangelia św. Jana III. Jestem prawdziwie skruszony obecnie. Nasz drogi, pobożny kapelan mówi, że to nigdy nie popłaca kraść. „Złóż swoje skarby w Niebiesiech, gdzie ich nie zniszczą mole ani rdza nie tknie". Niezachwiana uczciwość to najlepszy drogowskaz. Nie wróciłbym na złą drogę nawet za tysiąc funtów. Psalm XXXVIII. 14. Kiedy wspominam dobre chwile spędzone dawnymi laty pobożnie i wesoło u zacnego pana Blicksa

267

w kochanym starym domu przy Blue Anchor Yard i myślę, że od owych radosnych dni upadłem nisko, a celem moim stały się skradzione towary, a także zegarki, pierścionki, spinki, klejnoty, że byłem pospolitym złodziejem ogarnia mnie lęk i groza. Psalm V. Ludzie nikczemni grzeszą i są przeklęci! Mam nadzieję, że teraz wady moje zostaną głęboko ukryte, że

za łaską Chrystusową bezpiecznie ustrzegę się pokus. Tylko sam za sprawą łaski Bożej mogę zyskać zbawienie. Postaram się obmyślić rygory modlitwy i pokuty. Skuteczny oręż szatana na rozliczne sposoby zagradza grzesznikowi drogę ucieczki, atoli ja zwyciężyć muszę, a skoro pokonam siebie, będę później czysty. Najdroższy Ojcze. Psalm C.74. Życie i zdrowie zawdzięczam kapitanowi Maurycemu Frere 'owi. Zechciał on łaskawie przemówić za mną w smutnej sprawie brygu „Rybołów”, który to statek opanowałem przy pomocy Shiersa i Barkera oraz innych. Módl się, Kochany Ojcze, za kapitana Maurycego Frere 'a. Jest on człowiekiem dobrym i szlachetnym, a pełnione obowiązki służbowe stanowią często ciężką próbę dla jego uczuć osobistych. Ale to zarazem człowiek mocny, który nie dopuszcza nigdy, aby na drodze między obowiązkiem a własnymi chęciami stawało pragnienie zemsty lub miłosierdzia. A niechże piorun trzaśnie tego łajdak a! wybuchnął Frere purpurowy ze zmieszania.

Najdroższy Ojcze! Pozdrów ode mnie serdecznie Sarę, małego Williama oraz wszystkich przyjaciół, którzy mnie jeszcze pamiętają. Niechaj mój los będzie dla nich przestroga i przypomnieniem, iż nie wolno zbaczać z drogi cnoty. Czyste sumienie jest cenniejsze niż złoto, a żadne korzyści nie zdołają opłacić cierpienia przestępcy. Wątpić należy, Kochany Ojcze, czy zobaczysz mnie kiedyś. Zostałem skazany na dożywotnie ciężkie roboty i do śmierci będę więźniem, jeżeli władze nie zmienią mojego losu i nie uznają, iż usilną pracą zasłużyłem na wolność.

Niech pokój Pana nad Pany będzie z Tobą. Modlę się gorąco, aby krew Zbawiciela oczyściła Cię i obmyła z grzechów.

Twój przywiązany i nieszczęśliwy syn

John Rex

! 268

PS. Jakkolwiek grzechy Twoje są szkarłatne, mogą się stać białym śniegiem.

Skończone? zapytał Frere.

Tak, panie kapitanie odparł wielebny Meekin. Chyba słusznie twierdziłem, że to list wzruszający?

Oczywiście. Czy mogę go zobaczyć? – powiedział Maurycy.

Wziął kartkę papieru i zerkając do swojego notesu jał wertować pobożną i obłudną epistołę Johna Rexa.

Tak, miałem rację – odezwał się wreszcie. – Nie na próżno spryciarz umieścił tu i ówdzie oznaczenia tekstów biblijnych. To stary kawał, ale chytrze obmyślony.

Co też pan opowiada! – obruszył się kapelan.

Co opowiadam? Ten wzruszający utwór zawiera cenne informacje dla pana Blicksa. Nie wiem, kto to taki. Zapewne jakiś paser. A teraz, panie Meekin, proszę wziąć list i ołówek i zacząć od pierwszego tekstu. Co to było? Aha, psalm sto drugi, wiersze od czwartego do dwunastego włącznie, zatem dziewięć wierszy. Niech pan podkreśli dziewięć wyrazów zaczynając od drugiego po następnym tekście. „Atoli nie tracę...” itd.

Tak odrzekł zbity z tropu Meekin, a wszyscy obecni w pokoju pochylili głowy nad stołem.

W porządku. Kolejny tekst to osiemnasty wiersz trzydziestego piątego psalmu, prawda? Niech pan policzy pięć wyrazów po cytacie w cudzysłowie, a następnie podkreśli pięć. Załatwione? A teraz proszę policzyć osiemnaście wyrazów i znowu pięć podkreślić. Ma pan?

Zaraz... – bąknął Meekin. Szesnaście, siedemnaście, osiemnaście... Tak... „nasze władze...”

Doskonale – podjął kapitan. – A teraz niech pan liczy i podkreśla tą samą metodą, póki nie natknie się pan na słowo „teksty”. Zechce mi pan przysunąć karafkę z winem, majorze Vickers.

Jest! - oznajmił po chwili duszpasterz. „Teksty Pisma świętego cytowane przez naszego kapelana...” Niepodobna jednak, panie kapitanie...

Chwileczkę! - przerwał Frere. - Jaki jest następny cytat?

Aha, Ewangelia św. Jana III. A więc co trzecie słowo.

269

Rozumie pan? Proszę podkreślać co trzecie słowo poczynając od „Jestem”, aż napotka pan następny tekst. Załatwione?

Ile wyrazów ma cytat?

„Złóż swoje skarby w Niebiesiech, gdzie ich nie zniszczą mole ani rdza nie tknie” przeczytał zgorszony trochę Meekin. - Czternaście.

Niech pan policzy słowa i podkreśli czternaste. Znam się na tych sztuczkach z tekstami. Ma pan?

Mam. „Tysiąc”.

Teraz następny tekst. Psalm trzydziesty ósmy, prawda? Wiersz czternasty. Robota jak poprzednio. Trzeba liczyć po czternaście wyrazów, a następnie podkreślać osiem. Na co pan w rezultacie trafił?

Na psalm piąty odrzekł zdumiony Meekin.

Zatem co piąte słowo. Jedziemy dalej, drogi panie, jedziemy! Właśnie... właśnie... „sposób”... „ucieczki”... Setny psalm oznacza kropkę. A jaki wiersz? Siedemdziesiąty czwarty? Pozostaje nam tylko policzyć siedemdziesiąt cztery wyrazy i siedemdziesiąty piąty podkreślić.

Nastąpiła dłuższa pauza. Meekin liczył, a major Vickers i jego goście myśleli, że list Rexa okazał się naprawdę interesujący.

A teraz, panie Meekin powiedział wreszcie Frere proszę odczytać podkreślone miejsca. Zobaczymy, czy domyślałem się trafnie.

Kapelan zaczął czytać i z każdą chwilą twarz czerwieniała mu coraz bardziej.

Atoli nie tracę ducha nawet w beznadziejnej sytuacji... w więzieniu w Kraju Van Diemena... nasze władze są nieodmiennie otaczane... nienawiścią i pogardą nieszczęśliwych więźniów... wszystkie gazety naszej kolonii piszą... o tyranii i straszliwych okrucieństwach... stosowanych przez dozorców wobec zesłańców... bezlitosna chłosta i ciężkie kajdany... za lekkie wykroczenia przeciwko dyscyplinie... jestem obecnie... pobożny... to... popłaca... tysiąc... w kochanym starym domu przy Blue Anchor Yard... skradzione towary, a także zegarki, pierścionki, spinki, klejnoty... są... teraz ukryte... bezpiecznie... sam... mogę... obmyślić... skuteczny... sposób... ucieczki... a... później... zemsty.

270

No i co? zapytał Frere z uśmiechem triumfatora.

Zadziwiająca! - powiedział Pounce.

Jak pan na to wpadł, Frere?

Nic prostszego - odrzekł kapitan tonem świadczącym, że sprawa wcale nie była prosta. - Miałem sporo do czynienia z podobnymi sztuczkami, i to znacznie bardziej zawiłymi. Ten list jest nieudolny, ale przynajmniej pobożny, prawda, panie Meekin?

Zirytowany kapelan wstał z krzesła.

Nieładnie, kapitanie Frere, bardzo nieładnie - powiedział. - To kapitalny żart, nie wątpię, chciałbym jednak nadmienić, że nie uchodzi żartować z podobnych rzeczy. List tego biedaka do sędziwego ojca stał się przedmiotem bezlitosnych drwin, których, muszę to przyznać, nie pojmuję. List został mi powierzony w momencie, gdy pełniłem uświęcone obowiązki kapłańskie.

W tym sedno sprawy, panie Meekin podchwycił Frere. Bardzo przepraszam, ale ci dranie wykorzystują

duchownych i pod płaszczykiem „uświęconych obowiązków kapłańskich” pozwalają sobie na różne sztuczki. Jak ten hunewot musiał śmiać się duchu, kiedy wręczał panu swój list!

Kapitanie Frere! – zawołał Meekin szkarłatny z oburzenia i złości. Jestem głęboko przekonany, że pańskie domysły są błędne. Jakim cudem ów biedak mógł zdobyć się na szyfr równie pomysłowy?

Niby że upitrasiał gryps? powiedział Frere, bezwiednie wpadając w żargon więzienny. – Zaraz to wyjaśnię. Niewątpliwie miał Biblię, kiedy list układał...

Oczywiście, kapitanie Frere. Pozwalałem mu korzystać z Pisma świętego. Odmowa kolidowałaby z charakterem mojego urzędu.

Nie wątpię, panie Meekin, nie wątpię. Dlatego właśnie wy, duchowni, coś zawsze pobruźdycie. Powinniście mniej myśleć o charakterze swojego urzędu, a za to czytać...

Maurycy! Opamiętaj się, mój drogi! zawołała Sylwia.

Stokrotnie przepraszam, panie Meekin. Aleja znam tych łotrów. Mieszkam obecnie pośród nich, przypląnałem

271
tu z Anglii okrętem więziennym, wiele rozmawiałem z nimi, a nawet piłem. Czy pan nie rozumie, że w małym palcu mam wszystkie ich sekrety? Biblia to jedyna książka, do jakiej mają dostęp, a jej teksty stanowią wyłączne źródło ich wiedzy. Przecież ci ludzie spiskują wciąż, dławia się własną nikiemnością, knują jakieś szatańskie plany. Z czegoż mieliby przy tym korzystać, jeżeli nie z podręcznika wciskanego im w ręce przez kapelanów?

Z tymi słowy Maurycy wstał pełen oburzenia, a zarazem uznania dla własnej osoby.

Doprawdy, to okropne, okropne westchnął wielebny Meekin, człowiek niezły z natury i zarozumiały. ?-• Ale niestety prawdziwe wtrącił pan Pounce.

Mogę poprosić o oliwki, panie majorze?

Jak Boga kocham! wybuchnął zacny McNab.

Ten cały system jest błędny i z pewnością nie ułatwia poprawy zesłańców,

Proszę mi przysunąć karafkę porto, panie McNab powiedział Vickers, człowiek równie zacny, ale spętany łańcuchami regulaminów służby.

W ten sposób niebezpieczna dyskusja na temat dyscypliny została stłumiona w zarodku. Ale Sylwia wiedzioną zapewne ciekawością lub może chęcią pocieszenia zmarłego kapelana – przechodząc za jego krzesłem wzięła leżące obok kieliszka kartki „szczerych wyznań” Johna Rexa.

Niech pan się nie martwi, panie Meekin, i dolewa sobie wina powiedział Vickers, gdy drzwi pokoju zamknęły się za damami. -- Przykro mi, że tak dziwnie wyszło z listem Rexa, ale zapewniam pana, że Frere'owi można wierzyć. On, panie Meekin, wie o zesłańcach więcej niż ktokolwiek inny w Kraju Van Diemena.

Jak widzę, kapitanie Frere, prowadzi pan żmudne studia nad przestępcami rzekł z godnością duszpasterz. Robię, co mogę, drogi panie. Znam wszystkie ich wybiegi i kruczki. Moja maksyma brzmi: dzielić i rządzić! Zdaje się, wymyślił ją już dawniej jakiś Francuz, ale mniejsza o to! Z nimi trzeba tak postępować, by wszyscy byli przeciwko wszystkim. Niech kundle szpiegują się wzajemnie. Okropność! westchnął Meekin.

To jedyna metoda, łaskawy panie. Gdyby zesłańcy

byli jak my solidarni, przez tydzień nie utrzymalibyśmy władzy nad wyspą. Dlatego właśnie, że nikt z nich nie ufa nawet najbliższemu druhowi, każdy spisek kończy się katastrofą.

Sądzę, że pan ma słuszość przyznał biedny Meekin.

Niewątpliwie mam słuszość, drogi panie. Gdyby to ode mnie zależało, tak pokierowałbym sprawami, że żaden więzień nie mógłby powiedzieć do sąsiada z prawej strony czegoś, czego nie powtórzyłby mi jego sąsiad z lewej. Na Boga! Popierałbym denuncjatorów i uczyniłbym tych obwiesiów własnymi strażnikami. Cha, cha, cha!

Takie metody mogłyby być poniekąd przydatne...

zapewne, kapitanie Frere. Ale w ostatecznym wyniku stałyby się przyczyną zła. Wyzwoliłyby najniższe namiętności naszej upadłej natury i wiodłyby do niezliczonych oszczerstw i fałszów. Jestem pewien, że działałoby się nie inaczej.

Cierpliwości, panie Meekin! – zawołał Frere. – Mo-

że dostanę kiedyś władzę w ręce i wypróbuję mój system.

Ach, ci zesłańcy! Jest tylko jeden sposób postępowania z nimi: dawać im tytoń, kiedy się dobrze sprawują, a chłostę, kiedy broją.

Straszne wzdrygnął się kapelan. Mówi pan

o tych ludziach tak, jakby byli dzikimi zwierzętami.

Bo to są dzikie zwierzęta zakończył spokojnie

Maurycy Frere.

X

Koleje losu buntowników z „Rybołowa”

W głębi przestronnego, pięknego ogrodu była ławeczka ustawiona pod niskim murem, który oddzielał ów uroczy zakątek od cichej bocznej uliczki. Ławeczkę ocieniały dawno zasadzone angielskie drzewa, przez których szeleszczące

272

! K

Dożywotnie

zesłanie

273

gałązki widać było srebrzystą wstęgę rzeki. Siedząc twarzą w stronę zatoki, plecami zwrócona do domu, Sylwia rozłożyła rękopis wzięty od wielbego Meekina i zaczęła czytać. Dokument ten był skreślony zamaszystym, szerokim charakterem pisma i nosił tytuł:

OPOWIEŚĆ

o przygodach i cierpieniach
jednego z dziesięciu zesłańców,
którzy opanowali bryg „Rybołów”
w Macquarie Harbour (Kraj Van Diemena),
spisana przez tegoż zesłańca
skazanego za owo przestępstwo
na dożywotnie ciężkie roboty,
a przebywającego obecnie w Hobarcie.

Sylwia odczytała kwiecisty nagłówek i na moment przerwała lekturę. Oto ma przed sobą historię buntu najważniejszego wydarzenia swojego dzieciństwa jeżeli więc opowieść jest prawdziwa, może przypomni jej coś niezwykłego i strasznego, co od wielu lat spowija jej życie posępnym cieniem. Pragnęła i lękała się zgłębić tajemnicę i ze zwiniętymi na poły kartkami w ręku zastygła tak, jak zastygała niegdyś przed uchylonymi drzwiami ciemnego pokoju, do którego wejść chciała i bała się zarazem. Ale wahanie jej trwało krótko.

Po otrzymaniu rozkazów zlikwidowania kolonii karnej w Macquarie Harbour komendant (major Yickers) załadował większość więźniów na szkuner rządowy i wraz z nimi odpłynął

do Hobartu. Na miejscu pozostawił bryg zbudowany w Mac-
aumarie Harbour, a dowództwo nad nim powierzył kapitanowi
Maurycemu Frere'owi. Na brygu „Ryholów” pozostał również
pan Bates, pilot kolonii karnej, czterech żołnierzy, dziesięciu
więźniów (którzy mieli stanowić załogę) oraz żona i córeczka
komendanta.

szepnęła do siebie panna
– Jak dziwnie o tym czytać
Vickers.

274

Dwunastego stycznia 1834 roku rozwinęliśmy żagle i pod
wieczór zarzuciliśmy szczęśliwie kotwicę już poza Bramą
Piekieł. Ale wiatr zmienił się na północno-zachodni i na
płytcźnie powstała fala przybojowa, a zatem pan Bates
postanowił wrócić do Zatoki Wellingtona. Staliśmy tam na
redzie przez cały następny dzień. Po południu kapitan Frere
wziął dwóch żołnierzy i popłynął szalupą na połów ryb. Na
pokładzie zostali tylko pan Bates i dwaj żołnierze, wobec czego
William Cheshire rzucił myśl, by zawładnąć statkiem. Zrazu
nie chciałem o tym słyszeć, bo obawiałem się, że bunt może
pociągnąć za sobą ofiary śmiertelne. Ale Cheshire i inni
wiedzieli, że znam się na nawigacji, bo w dawnych dobrych
czasach wiele żeglowałem po morzach, zagrozili mi więc
śmiercią, jeżeli do nich nie przystanę. Moi towarzysze zaczęli
śpiewać w ładowni, a kiedy jeden z żołnierzy przyszedł, aby
posłuchać, rozbroili go i obezwładnili. Potem Lyon i Riley
napadli i związali wartownika. Wydarzenia te zmusiły mnie do
wzięcia udziału w buncie, wbrew chęciom i skłonnościom.
Przyznaję jednak, że serce tłukło mi się w piersi na myśl
o wolności, dla której odzyskania byłbym gotów poświęcić
wszystko. Upojony szaleńczą nadzieją objąłem komendę nad
towarzyszami niedoli, a zatem dopuściłem się czynu przestęp-
czego z punktu widzenia prawa. Zdaję sobie z tego sprawę, lecz
na obronę swoją mogę powiedzieć że współwinnych powstrzy-
małem od gwałtów, do których byli – niestety – skłonni jako
ludzie mający za sobą burzliwe i zbrodnicze życie.

Biedaczek! – szepnęła Sylwia ujęta
poetycznym wywodem pana Rexa. – Żał mi go
szczerze.

Pan Bates był w kabinie i wezwany przez Cheshire 'a, by
się poddał, próbował obrony z niepospolitym męstwem.
Cheshire wystrzelił do niego przez górny iluminator, ale ja
podbilem karabin, bo obawiałem się o życie kobiety i
dziecka. Kula utkwiała w oprawie iluminatora rufowego.
Tymczasem żołnierze, których związaliśmy i zamknęli w
ładowni, wyważyli pokrywę luku i wydostali się na pokład.
Cheshire postrzelił jednego z nich, a drugiego obalił kolbą
karabinu. Ranny stracił równowagę i niestety wypadł za
burtę, ponieważ bryg chwiał się i przechylał na fali
przyływowej. Była to, za łaską

275

gałązki widać było srebrzystą wstęgę rzeki. Siedząc twarzą
w stronę zatoki, plecami zwrócona do domu, Sylwia roz-
łożyła rękopis wzięty od wielebnego Meekina i zaczęła
czytać. Dokument ten był skreślony zamaszystym, szerokim
charakterem pisma i nosił tytuł:

OPOWIEŚĆ

o przygodach i cierpieniach
jednego z dziesięciu zesłańców,
którzy opanowali bryg „Rybołów”
w Macaumarie Harbour (Kraj Van Diemena),
spisana przez tegoż zesłańca
skazanego za owo przestępstwo
na dożywotnie ciężkie roboty,

a przebywającego obecnie w Hobwcie. Sylwia odczytała kwiecisty nagłówek i na moment przerwała lekturę. Oto ma przed sobą historię buntu najważniejszego wydarzenia swojego dzieciństwa jeżeli więc opowieść jest prawdziwa, może przypomni jej coś niezwykłego i strasznego, co od wielu lat spowija jej życie posępnym cieniem. Pragnęła i lękała się zgłębić tajemnicę i ze zwiniętymi na poły kartkami w ręku zastygła tak, jak zastygała niegdyś przed uchylonymi drzwiami ciemnego pokoju, do którego wejść chciała i bała się zarazem Ale wahanie jej trwało krótko.

Po otrzymaniu rozkazów zlikwidowania kolonii karnej w Macaquań Harbour komendant (major Yickers) załadował większość więźniów na szkuner rządowy i wraz z nimi odpłynął do Hobartu. Na miejscu pozostawił bryg zbudowany w Macaquań Harbour, a dowództwo nad nim powierzył kapitanowi Maurycemu Frere'owi, Nabrygu „Rybołów” pozostał również pan Bates, pilot kolonii karnej, czterech żołnierzy, dziesięciu więźniów (którzy mieli stanowić załogę) oraz żona i córka komendanta.

Jak dziwnie o tym czytać szepnęła do siebie panna Yickers.

274

Dwunastego stycznia 1834 roku rozwinęliśmy żagle i pod wieczór zarzuciliśmy szczęśliwie kotwicę już poza Bramą Piekieł. Ale wiatr zmienił się na północno-zachodni i na płyciźnie powstała fala przybojowa, a zatem pan Bates postanowił wrócić do Zatoki Wellingtona. Staliśmy tam na redzie przez cały następny dzień. Po południu kapitan Frere wziął dwóch żołnierzy i popłynął szalupą na połów ryb. Na pokładzie zostali tylko pan Bates i dwaj żołnierze, wobec czego William Cheshire rzucił myśl, by zawładnąć statkiem. Zrazu nie chciałem o tym słyszeć, bo obawiałem się, że bunt może pociągnąć za sobą ofiary śmiertelne. Ale Cheshire i inni wiedzieli, że znam się na nawigacji, bo w dawnych dobrych czasach wiele żeglowałem po morzach, zagrozili mi więc śmiercią, jeżeli do nich nie przystanę. Moi towarzysze zaczęli śpiewać w ładowni, a kiedy jeden z żołnierzy przyszedł, aby posłuchać, rozbroili go i obezwładnili. Potem Lyon i Riley napadli i zwięzali wartownika. Wydarzenia te zmusiły mnie do wzięcia udziału w buncie, wbrew chęciom i skłonnościom. Przyznaję jednak, że serce tłukło mi się w piersi na myśl o wolności, dla której odzyskania byłbym gotów poświęcić wszystko. Upojony szaleńczą nadzieją objąłem komendę nad towarzyszami niedoli, a zatem dopuściłem się czynu przestępczego z punktu widzenia prawa. Zdaję sobie z tego sprawę, lecz na obronę swoją mogę powiedzieć że współwinnych powstrzymałem od gwałtów, do których byli – niestety – skłonni jako ludzie mający za sobą burzliwe i zbrodnicze życie.

Biedaczek! – szepnęła Sylwia ujęta poetycznym wywodem pana Rexa. Żal mi go szczerze.

Pan Bates był w kabinie i wezwany przez Cheshire'a, by się poddał, próbował obrony z niepospolitym męstwem. Cheshire wystrzelił do niego przez górny iluminator, ale ja podbiłem karabin, bo obawiałem się o życie kobiety i dziecka. Kula utkwiała w oprawie iluminatora rufowego. Tymczasem żołnierze, których zwięzaliśmy i zamknęli w ładowni, wyważyli pokrywę luku i wydostali się na pokład. Cheshire postrzelił jednego z nich, a drugiego obalił kolbą karabinu. Ranny stracił równowagę i niestety wypadł za burtę, ponieważ bryg chwiał się i przechylał na fali przyplływowej. Była to, za łaską

275

Wszechmogącego, jedyna ofiara, jaką pociągnął za sobą bunt na „Rybolowie”.

Pan Bates zrozumiał, że pokład jest w naszym władaniu, poddał się więc uzyskawszy wprzód obietnicę, że żonę i córkę komendanta odstawimy bezpiecznie na ląd. Powiedziałem mu, żeby wziął ze sobą najniezbędniejsze rzeczy, a towarzyszący mi kazalem spuścić szalupę. Kiedy to wykonali, kapitan Frere nadpłynął welbotem i zaatakował nas śmiało, ale fala nie pozwoliła mu zbliżyć się do brygu. Postanowiłem już, że wolność odzyskam, a moi towarzysze również nie chcieli się cofać. Wobec tego zagroziłem kapitanowi Frere'owi, że otworzę ogień do welbotu, jeżeli się nie podda. Odmówił i zamierzał wziąć bryg abordażem, ale żołnierze opowiedzieli się po naszej stronie i nie dopuścili do walki. Ponieważ jeńców mieliśmy w szalupie, przesadziliśmy tam również kapitana Frere'a, sami zaś obsadziliśmy welbot i kazaliśmy panu Batesowi i kapitanowi Frere'owi wiosłować w stronę lądu. Następnie wzięliśmy próżną szalupę na hol i wróciliśmy do brygu. Przez całą noc trzymaliśmy straż na wypadek jakichś prób odbicia statku.

O świcie wyszliśmy wszyscy na pokład, gdzie odbyła się narada w sprawie podziału zapasów żywności. Cheshire był zdania, że pozostawieni na lądzie mogą zdechnąć z głodu, ale Lesly, Shires i ja opowiedzieliśmy się za równym podziałem. Po długich i gorących sporach ludzkie uczucia przeważyły i część prowiantu powieźliśmy welbotem na ląd. Przyjmując żywność pan Bates wyraził się w takie słowa: „Dobrzy ludzie, ani przez moment nie liczyłem, że potraktujecie nastak życzliwie i szczupłe zasoby brygu podzielicie z nami. Zastanawiam się nad waszym położeniem i dochodzę do wniosku, iż jest ono groźne. Wyruszenie na morze lichym statkiem, bez doświadczanego nawigatora. Mam nadzieję, że Bóg raczy okazać wam łaskę i ustrzeże was od licznych niebezpieczeństw, jakie napotkacie na burzliwym oceanie”. Pani Vickers dodała łaskawie, że odniosłem się do niej przychylnie, co zapamięta dobrze i po powrocie do Hobartu złoży korzystne dla mnie zeznania. Wszyscy pozostawieni na lądzie żegnali nas serdecznymi okrzykami i życzyli nam szczęśliwej podróży, gdyż byli wdzięczni za dobrowolnie dokonany podział zapasów żywności.

276

Po śniadaniu zaczęliśmy wyrzucać za burtę wszystko, co znajdowało się w ładowni, a bez czego mogliśmy się obejść. Zajęło to czas do południa. Następnie zjedliśmy obiad i jęli sposobie się do drogi. Przy spokojnym odpływie rozwinęliśmy stusążniową linę kotwiczną i w ten sposób wybierając i zarzucając kotwicę udało nam się dotrzeć do dwu wysepek zwanych Czapka i Kapelusze. Potem opuściliśmy welbot, który wziął „Rybołowa” na hol, dzięki czemu szczęśliwie ominęliśmy płyciznę. W tej chwili powiała łagodna południowo-zachodnia bryza, wystrzeliliśmy więc z karabinu, by pozostałym na lądzie dać znak, że pomyślnie wydostaliśmy się z zatoki. Potem rozwinęliśmy żagle i wypłynęli na pełne morze.

Sylwia przestała czytać, bo dręczyć ją poczęły wracające wspomnienia. Pamiętała ów wystrzał z karabinu i pochyloną nad sobą zapłakaną twarz matki. Atoli wszystko inne tonęło w mgłę niepewności. Obrazy pojawiały się nagle i równie szybko nikały, gdy je próbowała utrwalić. Ponadto dziwna lektura budziła dokuczliwe napięcie nerwowe. Autor opowieści o cierpieniach i przygodach buntowników uciekał się niekiedy do obłudnego krasomówstwa, udawał pobożność i skruchę, przeinaczał po trosze fakty, aby przedstawić się w korzystniejszym świetle, wychwalał męstwo ludzi, na których łaskę lub niełaskę był obecnie zdany, ale nie zmyślał dla przydania barwy swojemu dziełu. Z ponurą prostotą malował dzieje buntu sprzed lat pięciu, a nuta prawdy i zwięzłość, pozwalająca wyobraźni czytelnika dodawać

opuszczone, mrożące krew w żyłach szczegóły, przemawiały na ogół silniej niż najbardziej malownicze opisy. Serce dziewczyny biło mocno, a jej skłonne do poetycznych marzeń myśli uzupełniały suchą opowieść zesłańca. Widziała błękitne morze, płomienną kulę słońca, z wolna sunący statek, pozostawioną na lądzie grupkę nieszczęśliwców. Słyszała... Co to? Tak dziwnie zaszeleściły zarośla... Nie. To tylko ptak. Sylwia pomyślała, że staje się zbyt nerwowa.

Zdawało się nam, że na zawsze pożegnaliśmy życie więzienne, więc w pogodnym nastroju odbyliśmy naradę co do planów na przyszłość. Byłem zdania, że trzeba dostać się między wyspy na morzach południowych i zatopić bryg, aby

277
pośród krajowców odegrać rolę marynarzy z rozbitego statku, a potem liczyć na zmiłowanie Boże i czekać, aż zabierze nas jakiś okręt żeglujący do kraju. Na moją propozycję pierwszym oficerem został James Lesly, doświadczony marynarz, który zaraz zabrał się do obliczania kursu za pomocą paru instrumentów, jakieśmy znaleźli w kabinie. Ludzi obeznanych z morzem przemieszałem ze szczurami lądowymi, podzieliłem załogę na zmiany i o ósmej wieczorem zaciągnęliśmy pierwszą wachtę. Ale w niespełna dwie godziny zerwał się silny wiatr południowo-zachodni. Choroba morska jęła dręczyć mnie i kilku mniej doświadczonych towarzyszy, a Lesly ledwie radził sobie z kursem, bo przy tak burzliwej pogodzie dwu ludzi winno stać przy sterze. Mimo słabości wyszedłem z rana napokład i stwierdziłem, że wiatr osłabł cokolwiek. Kiedy jednak zrobiłem sondowanie kadłuba, okazało się, że na jego dnie jest dużo wody. Lesly próbował puścić w ruch pompy, ale działała tylko jedna. Od tej pory istniały na pokładzie tylko dwa zadania: trzeba było nieustannie biegać od steru do owej czynnej pompy i z powrotem. Wiatr dał przez dwa dni i dwie noce. Bryg mknął pod rozwiniętymi żaglami, bo nie chcieliśmy ich skracać obawiając się pościgu i powrotu do straszliwego wiezienia.

W południe szesnastego stycznia wygramoliłem się znowu na pokład i przeprowadziwszy pomiary zmieniłem kurs na wschodnio-południowo-wschodni. Chciałem przemknąć na południe od Nowej Zelandii, z dala od wszelkich szlaków żeglugowych. Liczyłem, że jeśli starczy zapasów żywności, trafimy ostatecznie do wybrzeży południowoamerykańskich i wpadniemy w chřeścijańskie ręce. Następnie zeszedłem do kabiny i cały tydzień przeleżałem w koi jak człowiek bliski utraty ostatniego tchnienia. Chwilami żałowałem podjętej decyzji, gdyż zdawałem sobie sprawę, że załoga nie jest zadowolona z obranego kursu. Dwudziestego pierwszego stycznia wybuchł bunt pod przywództwem Lyona, który twierdził, że wypływamy na Ocean Spokojny i nieuchronnie musimy zginać. Nie znał się on na żegludze, ale doradzał zmianę kursu na południowy. Zdawało mu się, że trafimy wówczas do Wysp Przyjacielskich, gdzie będziemy mogli rozbić bryg o nadbrzeżne skały i prosić tubylców o opiekę. Daremnie Lesly dowodził, że płynąc na południe trafimy do

278
krainy wiecznych lodów. Buntownikom zdawało się, że temu rozumnemu zdaniu kłam zadaje wysoka temperatura. Ostatecznie Lyon skoczył do steru, a Russen położył go trupem z pistoletu odebranego w swoim czasie panu Batesowi. Skłoniło to resztę buntowników do kapitulacji. Ów czyn zbrodniczy i krwawy był niestety konieczny dla bezpieczeństwa brygu i na każdym okręcie z załogą wolnych marynarzy zyskałby poklask jako krok bezwzględny, lecz nieunikniony.

Tumult i walka na pokładzie skłoniły mnie do wygłoszenia krótkiej mowy. Udało mi się przekonać załogę, że sprostam

zadaniu, którego się podjąłem, ale serce zamierało we mnie i marzyłem tylko, aby ujrzeć zarys jakiegokolwiek łądu. Lesly i Barker podtrzymywali mnie z dwóch stron, ja zaś robiłem namiary i zmieniłem kurs napółnocno-wschodni. Bryg płynął wówczas z prędkością jedenastu węzłów pod rozwiniętymi topslami i pompa pracowała nieustannie. Trwało to do trzydziestego pierwszego stycznia, kiedy biały szkwał omal nie przywiódł nas do zguby.

Lesly popełnił wówczas błąd nie do darowania, bo kiedy bryg położył się na burtę, kazał zwinąć topsle foka, opuścić górną marsreję, zwinąć główny żagiel i zrefować grottopsle, zostawiając „Rybołowa” tylko pod zrefowanym grottopslem i głównym fokżaglem. Statek przeciekał tak, że straciłem nadzieję na ujrzenie łądu i począłem gorąco błagać Boga o zesłanie nam pomocy. Sztorm trwał dziewięć dni i nocy, co wyczerpało załogę do ostatka. Jeden z dwu żołnierzy, którzy do nas przystali, został zmyty za burtę i utonął. Kończyły się zapasy żywności. Wreszcie dziesiątego dnia wiatr przycichł trochę, postanowiliśmy więc przeładować resztki prowiantu do szalupy. Morze było jeszcze bardzo wzburzone, musieliśmy więc stosować wszelkie środki ostrożności przy opuszczaniu łodzi, która łatwo mogła rozbić się o burtę. Na koniec jednak udało się nam to przedsięwzięcie. Przebraliśmy się w odzież pana Batesa i kapitana Frere'a i o zachodzie słońca porzuciliśmy bryg zagłębiony niemal do relingu.

W nocy wiatr przybrał znów na sile i naszą łódź (była to raczej duża szalupa zaopatrzona w maszt, bom i bukszpryt) fale zalewały raz po raz. Dla ochrony siadaliśmy po czterech obok siebie na burcie rufowej i plecami zagradzali drogę wodzie, co było czynnością wyczerpującą dla najsilniejszych

279
nawet ludzi. Jednakże dzień nagrodził nas przeżycia straszliwej nocy, O świcie zobaczyliśmy łąd w odległości nie większej niż dziesięć mil, podeszliśmy więc do niego możliwie najbliżej i lawirując wzdłuż brzegu szukaliśmy bezpiecznej przystani.

O pół do trzeciej po południu zobaczyliśmy głęboką zatokę, której wejścia strzegły dwie skały bardzo podobne do piramid. Shiers, Russen i Fair wylądowali, aby poszukać słodkiej wody potrzebnej nam nagląco. Niebawem wrócili z wiadomością, iż widzieli indiański szałas i znaleźli w nim prymitywne gliniane garnki. Obawiając się niespodzianek spędziliśmy noc na morzu, a z rana wpłynęliśmy do zatoki, gdzie udało nam się zabić fokę. Było to pierwsze świeże mięso, jakiego skosztowałem od czterech lat. Dziwnie było jeść w tak niezwykłych warunkach. Na śniadanie ugotowaliśmy płetwy, serce

1
wątrobę, a trochę surowego mięsa daliśmy kotu, którego zabraliśmy z brygu, ponieważ nie chciałem skazywać na pewną śmierć nawet bezdusznego zwierzęcia. Po śniadaniu wypłynęliśmy znowu na morze i pod lekką bryzą żeglowaliśmy od zatoki do zatoki z prędkością siedmiu węzłów, poszukując mieszkańców tego łądu. Tuż przed zachodem słońca usłyszeliśmy porykiwanie bawołu, a Barker, którego nigdy nie posadziłbym

0
taką delikatność uczuć, wybuchnął płaczem.

Po upływie mniej więcej dwu godzin zobaczyliśmy na wybrzeżu ogniska, zarzuciliśmy więc kotwicę na głębokości dziewiętnastu sążni. Przez całą noc nikt z nas nie zmrużył oka. Rano przybiliśmy do brzegu i uwiązali łódź pośród wodorostów. Spostrzegli to Indianie i zaraz przybiegli na plażę. Rozdałem im igły i nici, a jakaś kobieta wskazała widoczny na południu cypel łądu i powiedziała: „Valdivia”, następnie zaś podnosząc trzy palce dodała: „leaghos”. Zrozumiałem, że do jakiejś ważniejszej miejscowości jest trzy mile, co niebawem miało okazać się prawdą.

Około trzeciej po południu minęliśmy wskazany przez

Indiankę przylądek i zobaczyliśmy maszt flagowy oraz baterię nadbrzeżną o dwunastu działach. Sprawiedliwie podzieliłem między towarzyszy ubranie wzięte z brygu oraz sześć funtów 1 dziesięć szylingów znalezione w kabinie kapitana Frere'a. Mieliśmy również dwa zegarki. Jeden zachowałem dla siebie, drugi otrzymał Lesly. Ustaliliśmy, że będziemy się podawać za rozbitków z brygu „Julia”, który utonął na morzach

280
południowych w drodze do Chin. Po wylądowaniu Hiszpanie powitali nas serdecznie i ugościli szczodrze, niestety jednak nie rozumieliśmy ani słowa z tego, co mówili.

Dnia następnego postanowiliśmy, że wynajmiemy indiańskie czółno, którym Lesly, Barker, Shiers i Russen popłyną do miasta położonego dziewięć mil w głąb łądu, nad brzegiem rzeki. Rozstali się z nami szóstego marca o świcie, a w trzy dni później do baterii przypłynęła szalupa z żołnierzami. Dowodzący nimi porucznik miał rozkaz przetransportowania nas wszystkich do miasta. Wobec tego zajęliśmy miejsca w naszej łodzi i pod eskortą popłynęliśmy w górę rzeki. Obawiałem się, że Hiszpanie dostali skądś wiadomość, kim naprawdę jesteśmy, i nie myliłem się, niestety. Jedyne pozostałe przy życiu żołnierze okazały się podwójnym zdrajcą. Najprzód odmówił posłuszeństwa oficerowi, następnie zaś nas wydał.

Odprowadzeni zaraz do więzienia, spotkaliśmy tam czterech naszych towarzyszy. Radzili oni, by trzymać się bajeczki o rozbiciu brygu „Julia”, ja jednak byłem innego zdania. Wiedziałem, że przy indywidualnych przesłuchaniach opowieści nasze będą niewątpliwie sprzeczne, przekonałem więc wszystkich, że jedyną deską ratunku mogą stanowić szczere wyznania.

Okazało się, że miałem słusność. Czternastego października zaprowadzono nas do gubernatora czy komendanta miasta, który oznajmił, iż jesteśmy wolni. Jedynym postawionym nam warunkiem był zakaz opuszczania granic miasta. Kiedy usłyszałem tak pomyślną wiadomość, zrobiło mi się lekko na sercu. Poprosiłem tylko gubernatora, w imieniu własnym i towarzyszy, by nie wydał nas nigdy władzom brytyjskim.

Gdyby stać się to miało dodałem wolałbym raczej zostać zaraz rozstrzelany na dziedzińcu pałacowym. Gubernator spojrzał na nas ze łzami w oczach i powiedział: Nie obawiajcie się, biedacy. Nie zamierzam korzystać z mojej nad wami przewagi. Nie próbujcie uciekać, a będę wam życzliwy. Przekonacie się, że potrafię dotrzymać słowa, jeżeli nawet zawinie tutaj brytyjski okręt i zażąda, by was wydać. Radzę jedynie, byście unikali pijaństwa, które zastraszająco szerzy się w naszym kraju, a kiedy stać was na to będzie, zwrócili koszty poniesione na wasze wyżywienie w więzieniu.

281

Nazajutrz wszyscy dostaliśmy pracę przy spuszczeniu na wodę trzystutonowego statku. Moi towarzysze, okazali się bardzo sprawni, armator zaś powiedział, że woli nas niż trzydziestu swoich rodaków. Spodobało się to gubernatorowi, który był w stoczni i wraz z orkiestrą i prawie całą ludnością miasta asystował uroczystemu wodowaniu statku budowanego od blisko trzech lat. Następnie ci z moich towarzyszy, co znali się na żegludze, pomagali przy oporządzeniu statku i dostawali za to po piętnaście dolarów miesięcznie, nie licząc zakwaterowania i wiktury. Ja otrzymałem zajęcie w miejscowej stoczni, gdzie pracowałem uczciwie i ciesząc się upragnioną wolnością, zapominałem niemal o srogich przeciwnościach losu, jakie przypadły mi w udziale. Przykro pomyśleć, że ja niegdyś przyjaciel dżentelmenów i ludzi światłych radowałem się, iż za dnia wolno mi harować, w nocy zaś sypiać na stosie skór!

Ale to kwestia osobista, na którą nie ma miejsca w tej opowieści.

Przy budowie statku pracował ze mną żołnierz zdrajca. Pewnego dnia spadł on z wysokiego rusztowania i po niewielu godzinach umarł w straszliwych mękach, co poczytałem za sprawiedliwe rządzenie Opatrzności. Czas płynął stosunkowo szczęśliwie aż do dwudziestego maja 1836 roku, kiedy to stary gubernator ustąpił ze stanowiska ku żalowi wszystkich mieszkańców Valdivii, a „Achilles” (okręt wojenny o dwudziestu jeden działach) przywiózł jego następcę. Jednym z pierwszych uczynków tego dżentelmena było sprzedanie naszej łodzi przycumowanej na przystani pałacu rządowego. Wydało mi się to podejrzane i wzbudziło obawę, że raz jeszcze grozi nam więzienie, postanowiłem więc spróbować ucieczki. W plany swoje wtajemniczyłem Barkera, Leslyego, Rileya, Shiersa i Russena. Zaproponowałem nowemu gubernatorowi, że zbudujemy dla niego piękny nowy welbot z obmyśloną przeze mnie żelazną konstrukcją. Zgodził się i w niespełna trzy tygodnie ukończyliśmy łódź zdolną stawić czoło sztormom na pełnym morzu. Zaopatrzyliśmy ją w żagle i prowiant (na rachunek gubernatora) i w sobotę czwartego lipca pod wieczór opuściliśmy Valdivię. Nie wiem, czy gubernator zrezygnował z pościgu, czy też zniknięcie nasze spostrzeżono dopiero w poniedziałek z rana, gdy już było za późno, by nas ująć. Tak czy inaczej bez przeszkód płynęliśmy na pełne morze i prze-

282

prowadziwszy dokładne namiary wzięliśmy kurs na Wyspy Przyjacielskie.

Niestety jednak opuściło nas sprzyjające dotąd szczęście. Po czterech dobach mozolnej żeglugi przy zmiennym wietrze nastąpiła kompletna cisza i przez czterdzieści osiem godzin welbot leżał jak kłoda na morzu. Byliśmy na środku oceanu, pod skwarnymi promieniami słońca, w łodzi pozbawionej wody i prowiantów. Zamierzaliśmy już ciągnąć losy, kto ma zginać, by towarzyszy utrzymać przy życiu, gdy wyłowili nas statek udający się po opium do Kantonu. Jego kapitan, Amerykanin, potraktował nas nad wyraz życzliwie, a w Kantonie kupcy brytyjscy urządzili składkę i zapewnili nam przejazd do Anglii. Atoli Russen wypaplał po pijanemu coś niepotrzebnego i wzbudził podejrzenia. Ja również popełniłem błąd. Opowiadając konsulowi brytyjskiemu historię o rzekomym rozbiciu naszego statku, przedstawiłem się jako Wilson. Niestety jednak zapomniałem o zabrany z „Rybołowa” sekstansie, na którym było wygrawerowane nazwisko pana Batesa. Konsul dodał dwa do dwóch i wraz z nami wysłał do Londynu polecenie, by postawić nas przed sądem karnym. Bylibyśmy oczywiście zwolnieni z braku dowodów, gdyby w sądzie nie znalazł się przypadkiem doktor Pine, w swoim czasie lekarz na „Malabarze”. Poznał mnie i pod przysięgą stwierdził moją tożsamość. Zostaliśmy zatrzymani w areszcie, a na domiar złego bawił właśnie w Londynie pan Capon, komendant więzienia z Hobartu. Ten zidentyfikował nas wszystkich, co ostatecznie stało się przyczyną publicznej rozprawy sądowej. Barker i Lesly złożyli zeznania obciążające Russena, który za morderstwo Lyona został skazany na śmierć i stracony. Mnie i pozostałych towarzyszy przetrzymano w więzieniu, a następnie załadowano z transportem zaścianców na „Lady Jane”, abyśmy stanęli przed sądem w Kraju Van Diemena, gdzie dopuściliśmy się przestępstwa.

Do Hobartu zawinęliśmy piętnastego grudnia 1838 roku.

Sylwia przeczytała jednym tchem zakończenie tej zduńmiewającej opowieści, a potem opuściła ręce i zadumała się głęboko. Dzieje rozpaczliwej walki o wolność kryły w sobie coś dla niej przerażającego. Nigdy dotychczas nie uprzytam-

niała sobie, pośród jakiego pokroju ludzi żyć jej przyszło.

283

Ponurzy zesłańcy o twarzach jednakowych i po/bawionych wyrazu, którzy pracowali skuci łańcuchami lub wiosłowali w łodziach, musieli chyba być zupełnie inni niż John Rex i jego towarzysze. Dziewczyna widziała oczyma wyobraźni podróż chłoniącym wodę brygiem, niewolę w Ameryce Południowej, ucieczkę o północy, potworną pracę przy wiosłach, przewlekłe męki głodu i beznadziejną rozpacz, jaką musiało budzić ujęcie zbiegów i ponowne ich uwięzienie. Ciężkie roboty muszą być naprawdę straszną karą, jeżeli ludzie narażają się na takie niebezpieczeństwa, aby odzyskać wolność. John Rex, zesłaniec, który mimo choroby potrafił stłumić bunt towarzyszy i wyprowadzić bryg z bezkresów burzliwego oceanu, miał niewątpliwie cechy charakteru kwalifikujące go do czegoś więcej niż tłuczenie kamieni. Czy Maurycy Frere ma słuszość? Czy zesłańcy są istotnie potworami obdarzonymi nieludzką wytrzymałością potworami, które poskromić można tylko poprzez nieludzkie kary łańcuchów i batoga?

W szybko gęstniejącym mroku Sylwia wzdrygnęła się na myśl, do czego tacy ludzie mogliby być zdolni, gdyby zdarzyła się im sposobność pomsty nad dręczycielami. Może maska serwilizmu i ponurego strachu, kryjąca twarz przeciętnego więźnia, przesłania rozpacz i odwagę owych dziesięciu biednych włóczęgów po odmętach Pacyfiku? Maurycy mówił niejednokrotnie, że zesłańcy mają swoje tajemne znaki, swój własny język. Ostatnio panna Vickers przekonała się sama, jak sprytnie Rex potrafił zredagować list do przyjaciół na wolności – list, co miał być wysłany za pośrednictwem dozorców więziennych! A może cała wyspa to jeden wulkan utajonego buntu i mordy? Może wszystkich zesłańców łączy tajemne sprzysiężenie, jakaś potworna masoneria zbrodni i cierpienia? Strach pomyśleć o tym, ale to przecież jest możliwe.

Ach, jak dziwnie kształtowała się cywilizacja ludzka, skoro jeden najczarowniejszych zakątków ziemi musiał stać się miejscem wygnania dla dzikich bestii poczętych i wyhodowanych przez tę właśnie cywilizację!

Dziewczyna rozejrzała się wokół i odniosła wrażenie, że całe piękno krajobrazu zniknęło. Urocza zieleń, spowita teraz zmierzchem, wydawała się groźna i zdradliwa. Rzeka

284

płynęła leniwie, posępnie, jak gdyby wezbrana krwią i łzami. Cienie drzew kryły nieznane, zagadkowe niebezpieczeństwa. Nawet łagodny tchnienie wiatru niosło stłumione jęki, przekleństwa, mściwe pogroźki.

Sylwia przestraszyła się samotności, zwinęła więc spiesznie rękopis, wstała i odwróciła się, by pójść do domu, ale w tej chwili drogę jej zagroziła postać w łachmanach, jakby wyczarowana spod ziemi przez nerwowe lęki. Zjawą ta wydała się dziewczynie ucieleśnieniem jej posępnych myśli. Przypomniała jej wydarzenie, które przed trzema dniami wstrząsnęło więziennym miastem. Oto stoi przed nią zesłaniec z Port Arthur, zbiegły buntownik, morderca! Jest wolny, bez łańcuchów, może zrobić z nią, co zechce. Sylwio! To ty... Nareszcie! Ja uciekłem. Przyszedłem do ciebie, żeby poprosić... Co? Ty mnie nie poznajesz? Panna Vickers przycisnęła dłonie do piersi i oniemiała z przerażenia cofnęła się dwa kroki.

Jestem Rufus Dawes -- ciągnął zbieg spoglądając w twarz dziewczyny, by dostrzec uśmiech, który się nie pojawiał. – Rufus Dawes. Nie przypominasz mnie sobie? Goście majora Vickersa przestali już pić wino i siedzieli

na przestronnej werandzie słuchając jakiejś nudnej opowieści wielbego Meekina. Nagle przeraźliwy krzyk rozdarł wieczorną ciszę.

Co to? – zaniepokoił się gospodarz.

Frere zerwał się i spojrział w głąb ogrodu. To jedno spojrzenie wystarczyło. Zobaczył dwie postacie, jakby szamocące się ze sobą. Zaklął głośno i przeskoczywszy grządki kwiatowe pobiegł w stronę poszukiwanego uciekiniera.

Rufus Dawes spostrzegł kapitana, nie przeraził się jednak, gdyż pewien był opieki dziewczyny, dla której niegdyś uczynił tak wiele. Postąpił krok i błagalnym gestem chwycił suknię Sylwii.

Maurycy! Na pomoc! Maurycy! zawołała rozdzierająco. Więzień osłupiał. Od trzech dni nie szczędził starań, by zachować życie i wolność i rozmówić się wreszcie z jedyną jak mniemał – istotą, co darzy go sympatią.

W niemal cudowny sposób umknął ze strzeżonego dziedzińca, zmylił wszystkie pogonie i na koniec zakradł się śmiało tam, gdzie przebywała uwielbiana. Pragnął zyskać od niej
285

bodaj dwa życzliwe słowa uznania i podziękii. Ale ona nie chciała go wysłuchać, cofnęła się, jak gdyby zobaczyła potępieńca, a potem, na dźwięk nazwiska zbawcy, wezwała na ratunek jego śmiertelnego wroga!

Rufus nie potrafił uwierzyć w tak potworny dowód niewdzięczności. Pielęgnował przecież Sylwię w chorobie i żywił kosztem własnego głodowania. Dla niej wyrzekł się ciężko zapracowanej nadziei na wolność i dostatnie życie. Marzył o niej i modlił się do jej wspomnienia, a ostatecznie i ona zwróciła się przeciwko niemu! A zatem nie ma sprawiedliwości, nie ma nieba, nie ma Boga!

Zesłaniec opuścił ręce i nie bacząc na coraz bliższy tupot kroków stał oniemiały, rozdygotany nerwowo. Po chwili Frere i McNab chwycili go i obalili na ziemię. Był wycieńczony głodem, bez trudu jednak wyrwał się napastnikom i niewątpliwie mógłby umknąć raz jeszcze, zanim nadbiegła służba z zaalarmowanego domu. Ale nieszczęśnik stał jak sparaliżowany. Oddychał ciężko, bladą twarz perliły mu krople potu i obfite łzy wzbierały w oczach. Przez moment poruszał wargami, jakby zamierzał rzucić straszliwą kłatwę na dziewczynę szlochającą w ramionach ojca. Nic jednak nie powiedział. Wsunął tylko dłoń pod kaftan i z zanedrza dobił coś, co odrzucił ze wstrętem. Później westchnął żałośnie i wyciągnął przed siebie ręce, aby mu je związane. W jego niemej rozpaczii było coś tak przejmującego, że gdy odchodził pod eskortą, wszyscy obecni w ogrodzie bezwiednie odwracali twarze nie rozjaśnione bynajmniej wyrazem triumfu.

Xi

Pamiętka z Macquarie lllarhour

Musisz uchronić go od dalszej kary powiedziała nazajutrz Sylwia do narzeczonego. Wcale nie chciałam wydać tego biedaka. Ale nie potrafiłam zapanować nad strachem, bo zdenerwowało mnie czytanie wspomnień Rexa. Nie powinnaś czytać takich bredni odrzekł Frere.

Po co? Przecież nie ma tam słowa prawdy.

Ależ to prawda, Maurycy! Na pewno prawda. Ci ludzie są straszni, straszni! Zdawało mi się, że wiem wszystko o zesłańcach, ale nie przypuszczałam nigdy, że pośród nich są tacy.

Dzięki Bogu, o skazańcach wiesz bardzo niewiele.

Służba, z którą się tu stykasz, nie przypomina wcale Rexa

1 jego kamratów.

Ach, Maurycy! Mam dosyć tego miasta. Może źle, że tak mówię, bo tutaj przecież jest biedny papa, ale bardzo chciałabym znaleźć się gdzieś, gdzie nie widywałam ciągle kajdan i złotych kaftanów. Czuję się coraz gorzej, chociaż nie wiem doprawdy dlaczego.

Jedźmy do Sydney powiedział Frere. Nie ma tam wielu zesłańców. Wiesz przecież, że mamy się tam wybrać. To sprawa uzgodniona.

Tak – odpowiedziała z prostotą dziewczyna. – Mamy się tam wybrać na miodowy miesiąc. Ale nie jesteśmy jeszcze małżeństwem.

Możemy nim łatwo zostać.

Ach, co ty opowiadasz! obruszyła się panna Vickers. Posłuchaj, chciałam z tobą pomówić o tym Dawesie. Jestem przekonana, że nie myślał mi zrobić nic złego. Pewno miał zamiar poprosić o żywność lub coś takiego. To moja wina. Niepotrzebnie się zdenerwowałam. Ach, Maurycy! Przecież go nie powiesz, prawda?

Nie. Dziś rano rozmawiałem na ten temat z twoim ojcem. W razie rozprawy musiałabyś zeznawać jako świadek. To byłoby niewskazane. Doszliśmy do wniosku, że wystarczy Port Arthur i ciężkie kajdany. Sąd już się odbył. Łajdak został skazany na dożywotnie ciężkie roboty. To trzeci taki wyrok już zarobił.

A co on mówił?

Nic. Kazałem zaraz odesłać go na szkuner. Myślę, że zdążył wypłynąć już z ujścia rzeki.

Posłuchaj, Maurycy. Ten człowiek budzi we mnie dziwne uczucie.

Co takiego?

286

287

Boję się go. Mam wrażenie, że wiem o nim coś, czego mimo wszystko nie wiem.

Przyznaję, że wysławiasz się w sposób mało zrozumiały powiedział kapitan z wymuszonym uśmiechem. Ale nie mówmy już o nim. Wkrótce będziemy daleko od Port Arthur i wszelkich spraw tego miejsca.

Kocham cię, Maurycy szepnęła Sylwia. Pamiętaj, że zawsze, zawsze będziesz mnie bronił przed tymi okropnymi ludźmi.

Kapitan pocałował ją serdecznie.

Nie otrząsnęłaś się jeszcze z przestachu powiedział. Widzę, że bardzo będę musiał dbać o małą żoneczkę.

Naturalnie przyznała dziewczyna. Zaczęły się pieszczoty raczej jednostronne, gdyż Sylwia poddawała się im biernie. Nagle dostrzegła coś, co zwróciło jej uwagę. Co to leży na trawie tam, koło fontanny? zapytała.

Stali w pobliżu miejsca, gdzie poprzedniego wieczoru ujęto Rufusa Dawesa. Płynął tam bystry strumyczek, a po jego środku wyrzeźbiony przez zesłańców tryton dał w konchę na sztucznej skale, zbudowanej również przez zesłańców. Opośd fontanny leżało na murawie małe zawiniątko. Frere podniósł je i zobaczył żółtą tkaninę, brudną od częstego dotykania.

Wygląda na futerał z przyborami do mycia powiedział.

Pokaż mi, Maurycy? ożywiła się Sylwia. Skąd się to wzięło? Żółte więzienne płótno... Ach! Ten człowiek, który tu był wczoraj!

Bardzo możliwe, że to jego własność przyznał kapitan obracając w palcach zawiniątko.

Wczoraj zdawało mi się, że on rzucił coś na ziemię...

Tak, tak! Na pewno!

Sylwia spoglądała ciekawie przez ramię narzeczonego, gdy ów rozwijał najprzód zewnętrzną powłokę, potem szare sukno pochodzące z munduru więźnia „sprawującego się nienagannie”. W paczce znajdował się skrawek nie więcej niż trzy cale kwadratowe spłowiałej i wyplamionej tkaniny z błękitnej niegdyś, delikatnej wełny.

Oo! zdziwił się Frere. Co to?

Kawałek materiału, z którego niegdyś uszyta była suknia odpowiedziała dziewczyna.

Był to talizman Rufusa Dawesa: szmatka pochodząca z sukienki noszonej przez ubóstwianą z Macquarie Harbour, pamiątka czczona niby święte relikwie przez pięć tragicznych lat.

Frere zasępił się i rzucił szmatkę w wodę, a wartki nurt strumyka uniósł ją szybko.

Ach, Maurycy, czemu to zrobiłeś? zawołała panna Vickers, która odczuła nagle niezrozumiały żal i wyrzuty sumienia.

Skrawek materiału zatrzymał się na moment wśród wodorostów. W tej chwili Maurycy i Sylwia podnieśli wzrok i w przerwie między gęstwiną drzew zobaczyli szkuner, który uwoził Rufusa Dawesa do miejsca kaźni. Statek pojawił się i zniknął, a gdy narzeczem spojrzeli na strumyk, przekonali się, że zniknął osobliwy amulet straceńca z Port Arthur.

XII

W Port Arthur

Kiedy szkuner wiozący Rufusa Dawesa przybijał do kamiennego nadbrzeża w Port Arthur, rozlegało się tam jak zawsze monotonne stukanie młotków. Dalej, na stoku wzgórze, wznosiły się ponure koszary, a pod nimi ciągnął się długi szereg budynków warsztatów więziennych. Na lewym skrzydle stał dom komendanta – okazały i władczy z racji ozdobnego tarasu i wartownika tkwiącego u wejścia. Nadbrzeże z widokiem na purpurowe skały Wyspy Zmarłych pełne było jednakowych, bezbarwnych postaci zajętych przymusową pracą pod karabinami straży.

Rufus Dawes niejednokrotnie oglądał ten widok. Znał na pamięć uroki krajobrazu: płomienne wschody słońca, roziskrzone morze, porośnięte drzewami wzgórze. Pamiętał wszystko od ohydnej wysprzątanej nadbrzeża do rysującej się w oddali stacji sygnałowej z semaforem, którego

288

19

Dożywotnie

zesłanie

289

smukłe ramiona przecinały kreskami tło bezchmurnego nieba. Nie miały dlań uroku zielone cieniste jary ani niepokalany błękit zatoki, ani delikatne falki, co rozkosznie pieściły białe piaski plaży. Więzień siedział bez ruchu z opuszczoną głową i dłońmi splecionymi na kolanach, a drgnął dopiero wówczas, gdy go wprost zagadnięto.

O, Dawes! zawołał starszy dozorca Troke, zatrzymując prowadzony skuty łańcuchami rząd żółtych kaftanów. A więc wróciłeś do nas! Jakże mi miło. Dawes.

Wydaje mi się, że przez sto lat byłem pozbawiony przyjemności twojego towarzystwa.

Rząd żółtych kaftanów wybuchnął śmiechem, aż kajdany brzęknęły głośniejsz. Więźniowie przekonali się dawno, że brak reakcji na dowcipy pana Troke'a potrafi wywołać nieprzyjemne następstwa.

No, chodźże tutaj, Dawes ciągnął dozorca. Po-

zwól, że przypomnę cię dawnym kamratom. Na pewno powitają cię serdecznie. Prawda, chłopaki, że go serdecznie powitacie, co? Jak Boga kocham, Dawes, myśleliśmy wszyscy, że przepadłeś na dobre. Widocznie w H obarcie nie miałeś przyzwoitej opieki. Ale nie martw się, Dawes! Tutaj zajmujemy się tobą, dopilnujemy, żebyś nie dał drapak. U nas, rozumiesz, Dawes...

Pan znowu swoje, panie Troke przerwał dozorczy surowy głos. – Proszę dać spokój temu człowiekowi. Dawesa przykuwano właśnie do ostatniego rzędu, a że z Hobartu zdażyły już nadejść niepokojące wieści, kajdany na jego nogach wzmocniono dodatkowym łańcuchem. Więcej obojętnie przyjmował te zabiegi, lecz podniósł wzrok, gdy usłyszał dźwięk obcego, niewątpliwie życzliwego dlań głosu. Zobaczył wysokiego, szczupłego mężczyznę, który miał na sobie podniszczony pstry surdut i czarny fular omotany niedbale wokół szyi. Nie znał tego człowieka, nie widział go nigdy.

Stokrotnie przepraszam, panie North powiedział Troke zmieniając się błyskawicznie z tyrana w sługusa. Nie spostrzegłem, kiedy wielebny ksiądz pastor nadszedł.

„Klecha!” pomyślał zawiedziony Dawes i niechętnie odwrócił spojrzenie.

Wiem, że pan nie spostrzegł chłodno odparł wielebny North. Wprzecywnym razie byłbypan słodki jak lukrecja. Może pan nie silić się na kłamstwa. To zupełnie zbyteczne.

Rufus podniósł znów wzrok i pomyślał, że to bardzo dziwny klecha.

Jak się nazywasz, mój człowieku? – zapytał wielebny North.

Postępując zgodnie ze swoim obyczajem „niepoprawny Dawes” winien się tylko nachmurzyć, ale ton pewny i władczy podziałał na drzemiacą w nim drugą naturę długoletniego więźnia, odpowiedział niemal bezwiednie:

Rufus Dawes.

Aa, to ten – rzekł North spoglądając na skazańca z zainteresowaniem i nie bez współczucia. – Słyszałem, że masz pójść do kopalni węgla.

Tak jest, proszę wielebnego księdza pastora powiedział Troke. – Ma pójść do kopalni węgla. Ale transport wysyłamy tam dopiero za dwa tygodnie, na razie więc będzie pracował tutaj w kajdanach.

Aha, rozumiem – podjął „bardzo dziwny klecha”.

Proszę dać mi nóż, panie Troke. Następnie stało się coś niezwykłego. Wielebny North dobył z kieszeni zwitek tytoniu i na oczach wszystkich odciął prymkę pożyczonym od dozorczy nożem. Rufus Dawes odczuł coś, czego nie odczuwał od trzech dni: zainteresowanie. Spojrzał na duchownego, ten zaś widać niewłaściwie odczuł wyraz jego oczu, bo podał mu smakowity kasek zamiast wsunąć go do ust. Więźniowie drgnęli, pochylili się do przodu, aby napaść wzrok widokiem szczęśliwca żującego tytoń i dzięki temu zażyć wątpliwej przyjemności. Nawet Troke uśmiechnął się obleśnie do wyróżnionego zesłańca. Masz – powiedział wielebny North wyciągając rękę ze skarbem pożerany łąkomię przez liczne spojrzenia. Rufus Dawes wziął prymkę, przez chwilę patrzył na nią łąkomię, a potem odrzucił ku ogólnemu zdziwieniu i zaklął szpetnie.

Nie trzeba mi pańskiego tytoniu -- burknął. – Zatrzymaj go pan sobie.

L

290

291

Więźniowie wydali pomruk zdziwienia i uznania. Trokc zrobił srogą minę.

Ach, ty niewdzięczny kundlu! warkną! podnosząc kij.

Spokojnie, Troke, spokojnie powiedział wielebny North. I tak wiem, że szanujesz pan mój stan duchowny. Proszę odprowadzić ludzi.

Marsz! krzyknął Troke dławiając przekleństwo i Rufus Dawes odczuł szarpnięcie świeżo założonych łańcuchów.

Dość dawno nie poruszał się w skutym szeregu, wyszedł więc z wprawy i w pierwszym momencie stracił równowagę. Aby nie upaść, oparł się na ramieniu sąsiada i zobaczył zwrócone ku sobie czarne, płomienne oczy. Wówczas dopiero poznał Johna Rexa.

Wielebny North spojrział na dwóch ostatnich w rządzie kajdaniarzy i ze zdziwieniem zauważył ich podobieństwo. Byli jednakowego wzrostu, a oczy, włosy, rysy twarzy mieli niemal identyczne. Mimo różnicy nazwisk mogliby być krewnymi.

„Wyglądają jak bracia pomyślał duchowny. Biedacy! Jak żyję nie widziałem, by zesłaniec nie przyjął tytoniu”.

Rozejrzał się dokoła, szukając wzrokiem pogardzonej prymki, ale nie mógł jej dostrzec. John Rex nie powodował się fałszywą dumą, podniósł więc skarb ukradkiem i wsunął go do ust.

W takich okolicznościach Rufus Dawes wrócił do dawnego życia, a jego narodzona w więzieniu nienawiść do ludzi wzmogła się stokrotnie.

Zdawać się mogło, że oszołomiło go nagłe przebudzenie, że powódź światła, co spłynęła na pogrążoną w drzemce duszę, olśniła oczy przywykłe do półmroku, który kłamie łagodnie i życzliwie. Z początku nie był w stanie rozeznąć szczegółów swojej niedoli. Wiedział tylko, że dziewczę jego marzeń żyje, lecz odwróciło się odeń z odrazą. Wiedział, że zawiodło go to, co do ostatka darzył miłością i wiarą, że zgasła na wieki nadzieja, pogrzebana została sprawiedliwość i łaska, ziemia utraciła piękno, a niebo promienne blaski, on zaś jest mimo wszystko skazany na zycie.

Pracował w otępieniu, niebacznym na docinki i żarty Troke'a, na szcęk łańcuchów i rozbrzmiewające dokoła jęki, przekleństwa, śmiechy. Siła potężnych mięśni chroniła go od chłosty: nie pozwalał się złamać, choć sympatyczny Troke zabiegał o to usilnie. Nie biadał nad swoim losem, me śmiał się, nie płakał. Jego najbliższy sąsiad, Rex, próbował nawiązywać z nim rozmowy, lecz bez skutku. Kiedy kwieciście opisywał londyńskie hulanki i rozkosze, Rufus Dawes wzdychał tylko posępnie i wzrok odwracał.

„Coś go nieustannie dręczy -- myślał Dandys, wytrawny znawca duszy ludzkiej. – Jestem pewien, że ukrywa wielką tajemnicę”.

Rex był ciekawy i lubił wszystko wiedzieć, ale nie potrafił wywęszyć, jaka to tajemnica. Rufus Dawes nie odpowiadał na żadne, nawet najzreczniej zadane pytania dotyczące jego przeszłości. Daremnie Rex uciekał się do wypróbowanych sztuczek, daremnie rozwijał cały wdzięk manier i mowy, jakim mogło pozyskać zaufania upartego mruka. Nie nagabywany milczał posępnie, a wszelkie awanse zbywał odpowiedziami, które nie wyjaśniały niczego. John Rex stracił wreszcie cierpliwość i jał stosować pomysłów szychany, jakimi Gabbett, Vetch i inni więzienni

prowdyrzy posługiwali się, by władać słabszymi towarzyszami niedoli. Ale i ta metoda nie przyniosła pożądanych skutków.

Dłużej niż ty siedzę w tym piekle powiedział mu Rufus Dawes. — Znam diabelskich sztuczek więcej, niż ty możesz pokazać. Lepiej dałbyś mi spokój.

Przestroga nie została przyjęta do wiadomości, toteż któregoś dnia Dawes chwycił za gardło i zapewne udusiłby Dandysa, gdyby Troke nie posłużył się w porę ulubioną pałką. Rex szanował odwagę i siłę fizyczną, przyznał więc bez wahania, że sprowokował sąsiada. Ale nawet ten gest nie zdołał przejednać zamkniętego w sobie milczka, który roześmiał się tylko.

Wówczas Dandys doszedł do wniosku, że Dawes szykuje ucieczkę. Sam również snuł myśli tego rodzaju, podobnie jak Gabbett i Vetch, lecz wzajemna nieufność nie dopuszczała nigdy do zwierzeń na taki temat. Groziłoby to zbyt wielkim niebezpieczeństwem.

292

293

„Dobry byłby zeń kompan w razie czego” pomyślał Rex i zdecydował, że musi zwąchać się jakoś z tajemniczym i groźnym sąsiadem.

Pewnego razu Dawes zadał pytanie, na które Rex mógł odpowiedzieć.

Co to za jeden ten North?

Kapelan. Zostanie tutaj jeszcze tydzień, może trochę dłużej. Niebawem ma przyjechać nowy. North odchodzi do Sydney. Jest źle widziany przez biskupa.

Skąd wiesz?

Dzięki dedukcji —• uśmiechnął się Dandys. Nosi kolorowy surdut, pali i nie klepie cytat z Pisma świętego. Biskup ubiera się czarno, nie cierpi tytoniu i wciąż ma Biblię w gębie. North został tu przysłany na miesiąc, żeby wygrzać miejsce dla tego osła, Meekina. Ergo: biskup ma Northa za psi pazur.

Jemmy Vetch ?•?- kolejny w rzędzie za. Rexem przerzucił cały ciężar grubego kloca na ramiona Gabbetta, aby swobodnie dać wyraz uznania:

Cwaniak z naszego Dandysa, co'!

Pewnie, że cwaniak przyznał Rex. A może ty masz zamiar zostać człowiekiem pobożnym? Tylko nie próbuj bajerować Northa. Nie wygrasz z nim. Zaczekaj, aż przyjedzie inteligentny Meekin. Tego następcę apostołów łatwo owiniesz dokoła palca.

Cicho tam! — zawołał strażnik. Chcecie, żebym złożył meldunek?

Dnie mijały i Rufus Dawes niemal tęsknił do kopalni węgla, bo dla nieszczęśliwych więźniów transport z kolonii karnej do kopalni lub odwrotnie stanowił coś w rodzaju wycieczki, jaką ludzie wolni odbywają „dla zmiany powietrza”.

XIII

Lokaj komendanta

W dwa tygodnie po powrocie Rufusa Dawesa do Port Arthur nowy więzień zjawił się pośród pracujących w łańcuchach. Był to młody, mniej więcej dwudziestoletni mężczyzna — szczupły, jasnowłosy i wątły. Nazywał się Kirkland i należał do tak zwanych „wykształconych” zesłańców. W swoim czasie pracował jako kancelista w domu bankowym, a skazany został za sprzeniewierzenie, chociaż dowody jego winy budziły poważne wątpliwości. Komendant kolonii karnej, kapitan Burgess, zatrudnił go w swoim domu w charakterze lokaja, więc Kirkland mógł uchodzić za

wybrańca losu. Niestety jednak szczęście jego zmaćił przypadek nieprzewidziany. Kapitan Burgess – stary kawaler i oficer dawnej szkoły – lubił kłać i ustawicznie obrzucać zesłańców wyzwiskami. Natomiast Kirkland pochodził z rodziny metodystów i był skromny w stopniu całkowicie niestosownym w Port Arthur. Język komendanta gorszył go niewypowiedzianie i pewnego dnia biedak zapomniał się tak, że zakrył uszy rękami.

A niech cię cholera zdusi, ty gówniarzu! Nie podoba ci się, co? Zaraz cię z tego wykuruję, skurczybyku! – wrzasnął Burgess i kazał przenieść niefortunnego lokaja do ciężkiej pracy w kajdanach, karząc go w ten sposób za „niesubordynację”.

Nowi towarzysze przyjęli Kirklanda podejrzliwie, bo więźniowie o białych dłoniach nie cieszyli się dobrą opinią. Troke chciał zapewne przeprowadzić ciekawe studium natury ludzkiej, gdyż umieścił nowego obok Gabbetta. Dzień mijał jak zazwyczaj i Kirkland czuł, że stopniowo nabiera ducha. Nie przytrafiło mu się właściwie nic złego, chociaż bolał go grzbiet i pokryte pęcherzami dłonie, chociaż praca była nad wyraz ciężka, a towarzystwo odrażające.

Kiedy wieczorem zabrzmiał dzwon i więźniowie udawali się na spoczynek, Rufus Dawes idąc do swojej samotnej celi spostrzegł szczególną zmianę w traktowaniu nowego przy-

294

295

bysza. Troke nie umieścił go w separacie, lecz kazał mu iść z innymi do ogólnej sali.

Co? To chyba omyłka? wyjąkał były kancelista bankowy spoglądając z przestraczem.

– Żadna omyłka, szczeniaku powiedział Troke.

Komendant mówi, że taka noc oduczy cię fasonów. No, jazda!

Ależ, panie Troke...

Stul pysk! Starszy dozorca zaklął i przyłożył tęgo młodzikowi. Nie będę spierał się z tobą do rana!

Biedny Kirkland nie miał wyboru: musiał wreszcie wejść do ogólnej sali.

Rufus Dawes westchnął ciężko, bo wśród jego bolesnych wspomnień sala ta zajmowała poczesne miejsce. Kiedy jednak został zamknięty w separacie, zawstydzził się westchnienia i litości. Potworne życie wywarło nań wpływ głęboki, osłabiło uczucia ludzkie.

„Czemu on ma być lepszy od innych?” pomyślał i jał rozpamiętywać własne cierpienia i krzywdy.

Krótko przed świtem wielebny North (który niezależnie od innych potępionych przez biskupa dziwactw miał zwyczaj włóczyć się po więzieniu o różnych godzinach) zwrócił uwagę na sprzeczkę koło drzwi ogólnej sali. Co się tu dzieje? – zapytał.

Więzień się awanturuje, proszę wielebnego księdza pastora wyjaśnił strażnik. Prosi, żeby go wypuścić.

Panie North! Panie North! wołał zdławiony głos. Na miłość boską, niech pan mnie każe wypuścić! Do prętów kraty przywarła upiornie blada, okrwawiona twarz Kirklanda. Wielebny North ujrzał niebieskie oczy szeroko otwarte i błędne, zobaczył podartą w strzępy wełnianą koszulę.

Ach, panie North! Ratunku! Na miłość boską! Panie North! Panie North!

Kirkland? zdziwił się duchowny, który nic wiedział o zemście komendanta. Co ty tutaj robisz?

Ale biedak nie był w stanie udzielić wyjaśnień. Tłukł tylko okrwawionymi, białymi pięściami o kraty i krzyczał rozpaczliwie:

296

Panie North! zawodził nieszczęsny młodzik. Panie North!

Wypuście go, strażniku!

Nie mogę, proszę wielbnego księdza pastora. Nie mogę bez rozkazu pana kapitana.

Ja wam daję rozkaz. Słyszycie! – zawołał urażony North.

Bardzo przepraszam wielbnego księdza pastora, ale posłuchać nie mogę.

Panie North! -- zawołał nieszczęsny młodzik. – Panie North! Zginę w tym piekle! Zatracę ciało i duszę. Panie North! Pan na to nie pozwoli! Nie pozwoli! O wy, słudzy Chrystusowi, wilki w owczej skórze! Odpowiedcie za moja krzywdę na sądzie ostatecznym! Panie North! Ratunku!

Panie North!

Wypuście go! powtórzył duchowny i tupnął gniewnie.

Nie mogę, proszę wielbnego księdza pastora. Nie mogę, choćby konał.

Duchowny pobiegł do komendanta, a gdy się odwrócił, strażnik otworzył z trzaskiem drzwi i wbiegł do ogólnej sali.

A masz! – uderzył Kirklanda po głowie kluczami, tak że biedak padł bez zmysłów na podłogę. – Patrzcie go, jaki delikatny! Tylko kłopoty z tymi arystokratami! Będziesz ty siedział cicho, co?

Wyrwany nagle ze snu kapitan Burgess powiedział wielbnemu Normowi, że Kirkland zostanie tam, gdzie się znajduje, on zaś będzie nad wyraz wdzięczny, jeżeli kapelan zechce nie budzić go po nocy tylko dlatego, że jakiś zapowietrzony więzień drze zapowietrzoną gębę.

Ależ, panie kapitanie! – zawołał duchowny z trudem powstrzymując się od rzucenia kilku przykrych słów przełożonemu. – Wie pan przecież, jacy ludzie nocują w sali ogólnej. Domyśla się pan chyba, co ten chłopiec musiał wycierpieć.

Bezczelny szczeniak! – obruszył się komendant.

Dobrze mu to posłuży, bodaj go diabli! Panie North, bardzo żałuję, że fatygował się pan na próżno, może jednak pozwoli mi pan pójść do łóżka.

297

Zawiedziony North wrócił do spokojnego już więzienia, gdzie zastał służbistę Hailesa na posterunku.

– Co się stało z Kirklandem? zapytał.

Ułożyłem go do snu, proszę wielbnego księdza pastora odparł strażnik tonem ojcowskiej troskliwości.

– Żal mi smarkacza. Strasznie tu ciężko takim młodym, proszę wielbnego księdza pastora.

Z rana Rufus Dawes spostrzegł wyraźną zmianę w wyglądzie Kirklanda. Chłopiec miał twarz spopielała i wykrzywioną grymasem zdumienia i grozy.

Trzymaj się, chłopcze powiedział Dawes ulegając przelotnemu współczuciu. – Żale nic nie pomogą.

– Co robią tutaj z kimś, kto próbuje uciekać? szepnął były lokaj komendanta.

Zabijają go odrzekł Rufus zaskoczony naiwnością pytania.

Dzięki Bogu!

No i co, panienko? Jak się dziś czujesz? wtrącił jeden z więźniów.

Kirkland wzdrygnął się, a jego bladą twarz oblał szkarłatny rumieniec.

•— Mój Boże! westchnął. Dlaczego taki nieszczęśnik jak ja żyć musi?

Cicho tam! krzyknął Troke. A ty, numer czterdzieści cztery, stul gębę, bo dam ci takie wały, że naprawdę będziesz miał o czym gadać. Marsz!

Tego dnia po południu praca polegała na dźwiganiu ciężkich kłoców nad brzeg rzeki, a na długo przed wieczorem Rufus Dawes spostrzegł, że Kirkland jest zupełnie wyczerpany.

— Zadręczą cię tu, szczeniaku powiedział nie bez życzliwości. Co przeszkobałeś, żeś się do nas dostał?

— Czy byłeś kiedy... byłeś tam, gdzie ja spędziłem ostatnią noc?

Dawes twierdząco kiwnął głową.

-- A komendant wie, co się tam dzieje?

-- Chyba tak. To nie jego sprawa.

Nie jego sprawa! Człowieku, czy ty wierzysz w Boga?

Nie. Tutaj nie wierzę. Trzymaj się, chłopcze. Jeżeli upadniesz, upadniemy wszyscy i bał cię przydusi.

Ledwie przebrzmiały te słowa, Kirkland rzucił się na ziemię i niewątpliwie zostałby zmiażdżony, gdyby Gabbett nie wyciągnął stalowej ręki i nie uchronił od śmierci niedośzłego samobójcy.

Opieraj się o mnie, panienko powiedział olbrzym.

Starczy mi krzepy, żeby dźwigać za dwóch. Chłopiec wzdrygnął się z odrazą, odtrącił podaną dłoń, a następnie krzyknął i podtrzymując kajdany ruszył szparko w kierunku rzeki.

Stój! - ryknął Troke pochylając lufę karabinu.

Stój, głupi szczeniaku!

Kirkland biegł wytrwale i był już prawie na brzegu, kiedy pośliznął się i upadł w ramiona kapelana, który w tymże momencie ukazał się zza przyzmy kamieni.

Ach, ty kundlu! wołał Troke. - Dobrze za to zapłacisz i ten dzień zapamiętasz na długo!

Oo... pan North powiedział Kirkland. - Dlaczego pan mnie zatrzymał? Wolę umrzeć niż spędzić tam jeszcze jedną noc.

Oj, dostaniesz, szczeniaku burknął Gabbett, gdy zbieg wrócił na swoje miejsce. - Zobaczysz, jaką pamiątkę wypiszą ci na skórze.

Kirkland milczał. Dyszał tylko ciężko, szukając wzrokiem wielebnego Northa, ale wielebny North już odszedł.

Tego właśnie popołudnia miał przybyć nowy kapelan, więc dawny musiał asystować przy powitaniu.

Wieczorem Troke zameldował komendantowi o wybraniu byłego kancelisty, a Burgess szybko rozstrzygnął sprawę, ponieważ spieszył się na kolację z nowym kapelanem.

Co? Próbował dać nogę? powiedział. -- Z takimi historiami trzeba skończyć. Pięćdziesiąt batów, Troke. Powiedz Macklewainowi, żeby był gotów, albo poczekaj... lepiej ja sam mu powiem. Już ten ladaco dostanie nauczkę! Bodaj go wszyscy diabli!

Rozkaz, panie kapitanie. Odmeldowuję się. Dobranoc, panie kapitanie.

298

299

Hej, Troke! Wyznacz jakiegoś tęgiego zucha, rozumiesz? Tamten ostatni sam powinien dostać wały. Bił tak, że

nie zatłukłby nawet pchły.

Trudno, panie kapitanie, nakłonić drani, żeby się bili nawzajem powiedział Troke. Nikt nie chce tego robić. Przekonasz się, że ten jutrzejszy zechce. Niech to cholera! zaklął Burgess. Chcę, żeby chłosta była dobrym przykładem dla tych kundli. Jeżeli wybrany przez ciebie zuch nie spełni obowiązku jak należy, każ go przywiązać do trójkąta i wsypać mu dwadzieścia pięć, rozumiesz? Sam przyjdę z rana do więzienia, jeżeli mi czas pozwoli. Tak jest, panie kapitanie. Kirkland został umieszczony w separacie, a na dobranoc Troke oznajmił mu, że rano „zarobi pięćdziesiątkę”. Dawes zajmie się tobą dodał na zakończenie. To chyba najlepszy z moich zuchów. Na pewno nie będzie cię oszczędzał. Sam zobaczysz.

XIV Choroba

wielebnego Northa

Przekona się pan, panie Meekin, jakie to okropne miejsce powiedział wielebny North swojemu następcy w drodze na kolację do komendanta. Żyć tutaj trudno. A ja myślałem, że w Port Arthur zastanę mały ogród rajski odparł Meekin. – Kapitan Frere mówił tak wiele o czarującym krajobrazie. To prawda. Ale zesłańcy nie są czarujący. Zapewne... zapewne... Biedacy opuszczeni przez ludzi... Proszę spojrzeć, jak pięknie księżyc oświetla wybrzeże. Słusznie. Biedacy opuszczeni przez ludzi. Przez Boga także.

Panie North, Bóg nie opuszcza nigdy służebników swoich, nawet najmniej godnych jego najświętszej łaski. Nie słyszałem, by człowiek sprawiedliwy został pogwałcony lub by potomstwo jego musiało zebrać chleba. W dolinie śmierci On będzie również z nami lub Jego anioły. Dom komendanta jest położony prześlicznie. Jak pan uważa, panie North? Dawny kapelan westchnął.

Niedługo bawi pan w Kraju Van Diemena, panie Meekin. Bardzo przepraszam, że mówię bez ogródek, lecz moim zdaniem nie zdażył pan zgłębić naszego systemu penitencjarnego.

To doskonały system. Idealny! ożywił się wielebny Meekin. W Hobarcie nie podobało mi się to i owo, na przykład częste używanie nieprzyzwoitych wyrażeń. Ale, ogólnie biorąc, jestem zachwycony tutejszym systemem penitencjarnym. Jest niezawodny, całkowity!

Tak. – North zerknął spod oka na towarzysza i wydał wargi. Może nawet trochę zbyt niezawodny i całkowity. Stanowię zawsze mniejszość w rozmowach na ten temat, lepiej więc nie rozpoczynajmy dyskusji, jeżeli pan pozwoli, panie Meekin.

Oczywiście... Naturalnie... Jak pan sobie życzy.

Wielebny Meekin słyszał od biskupa, że pan North prowadzi się nagannie: pali fajkę, lubi popijać piwo, noszenie lub nienoszenie białego halsztuka uważa podobno za kwestię pomniejszej wagi.

Kolacja mijala gładko. Burgess chciał zapewne sprawić korzystne wrażenie na kapelanie protegowanym przez samego biskupa, bo panował nad językiem i wyrażał się oględnie.

Przekona się pan, panie Meekin mówił – że jesteśmy trochę nieokrzesani, ale w razie potrzeby trzymamy się razem. Port Arthur to małe królestwo samo w sobie.

Jak z Berangera? – zapytał z uśmiechem Meekin.

Kapitan Burgess nie słyszał nigdy o Berangerze, lecz zrobił taką minę, jakby na pamięć znał jego wiersze.

Albo jak wyspa Sancha Pansy – dodał North.
Pamięta pan stosowane tam zasady sprawiedliwości?
W tej chwili nie przypominam sobie, panie North
rzucił sucho komendant, który nie pierwszy raz odniósł
wrażenie, iż kapelan natrzęsa się z niego. – Pozwoli pan
wina?

Nie, dziękuję –? odrzekł North napełniając szklanę
wodą. Głowa mnie boli.

300

301

Głos miał zmieniony i począł zachowywać się tak dziw-
nie, że współbiesiadnicy umilkli i wymienili znaczące spojrze-
nia. Zdawać się mogło, że zadają sobie pytanie, czemu
wielebny North zmienił się nagle, dlaczego bębni palcami po
stole i patrzy na wszystko z wyjątkiem karafki wina?
Pierwszy odezwał się nowy kapelan, gładki i układny jak
zawsze.

Często pan kapitan miewa gości? zapytał.

Bardzo rzadko. Czasami przyjeżdża tutaj ktoś z pole-
cenia gubernatora. Wtedy pokazuję całą kolonię karną. Ale
na ogół widzimy tylko siebie.

Pytałem o to podjął Meekin ponieważ ktoś
z moich przyjaciół zamierza odwiedzić Port Arthur.

Oo! Któż to taki?

Czy zna pan kapitana Frere'a?

Czy znam kapitana Frere'a? Też pytanie! Burgess
roześmiał się bardzo podobnie do dzielnego Maurycego.
Stacjonowaliśmy razem na Wyspie Sary. A więc to pański
przyjaciel, panie Meekin?

Miałem przyjemność poznać go na gruncie towarzy-
skim. Słyszał pan może, iż niedawno się ożenił.

Ożenił się? A to cwaniak! Coś niecoś o jego sprawach
sercowych obijało mi się o uszy.

Panna Vickers jest czarującą młodą damą – ciągnął
wielebny Meekin. Nowożeńcy pojechali do Sydney, gdzie
kapitan ma jakieś interesy. W drodze powrotnej chciałby
wstąpić do Port Arthur.

Szczególny pomysł jak na podróż poślubną wtracił
wielebny North.

Kapitan Frere żywo interesuje się dyscypliną więzien-
ną i całym systemem penitencjarnym ciągnął Meekin nie
zwracając uwagi na słowa kolegi. Ponadto pragnie
pokazać małżonce małe królestwo naszego miłego gos-
podarza.

Słusznie! rozpromienił się Burgess. Nikt nie
powinien wyjechać z Kraju Van Diemena nie zaznajomiwszy
się z Port Arthur. Jest tu na co popatrzeć.

Frere zgadza się z panem, kapitanie. Ach, cóż to za
romantyczne małżeństwo! Wie pan oczywiście, że on urato-
wał jej życie?

Aha. Dziwny był tamten bunt --- powiedział Burgess.

Ptaszków mamy obecnie tutaj.

Wiem – uśmiechnął się Meekin. -- Widziałem ich
proces w Hobarcie. Otwarcie mówiąc prowodyr, John Rex,
dał mi swoje wspomnienia. Wysłałem ten dokument bis-
kupowi.

To wielki łajdak wtracił North. – Niebezpieczny,
przebiegły, wyrachowany.

Hm... Nie zgodziłbym się z panem, panie North podjął
żywo nowy kapelan. – Jak widzę, wszyscy są przeciwko
temu biedakowi. W Hobarcie kapitan Frere próbował
mnie przekonać, że listy Rexa są pisane szyfrem. Nie
mogłem w to uwierzyć. Moim zdaniem ten człowiek
okazuje żywą skruczę. Źle się pokierował, to racja, ale nie

widzę w tym obłądy, a chyba znam po trosze naturę ludzką. Oby pan miał słuszność! powiedział North. – Ja nie ufam Rexowi. Teraz nam już nie zagraża roześmiał się Burgess. Niech tylko zacznie brykać, pokosztuje bata. Tak... Zapewne... – bąknął wielebny Meekin. – Sądzę, że surowość jest nieodzowna. Ale trudno mi słu-chać o chłóście. Wydaje mi się, że to kara okrutna, bestial-ska.

W sam raz dobra dla bestii podchwycił komen-dant nie zdając sobie sprawy, że jak żyje nie powiedział nic równie bliskiego epigramatowi.

W tym momencie wielebny North znowu zwrócił na siebie uwagę osobliwym zachowaniem. Wstał i nie prze-prosiwszy gospodarza szeroko otworzył okno, jak gdyby brak mu było świeżego powietrza.

O, co się stało, panie North? – zaniepokoił się kapitan.

Nic... nic... Duszno mi... Miewam czasami takie ataki.

Może łyk brandy?

Nie, nie, już mi lepiej... NIE! Chyba mówię wyraźnie?

Ale... Aa... jeżeli pan nalega... Chwycił podaną szklankę, napełnił ją do połowy mocnym trunkiem i niebezpieczną zawartość wychylił duszkiem.

302

303

Wielebny Meekin spojrział ze zgrozą na kolegę. Nie był przyzwyczajony do duchownych, którzy noszą czarne halsz-tuki, żują tytoń i szklankami piją brandy.

Ha! zawołał North tocząc dokoła błędnym wzro-kiem. Teraz mi lepiej.

Może przejdziemy na werandę zaproponował

Burgess. Chłodniej tam niż w domu.

Wobec tego trzej biesiadnicy przeszli na werandę, skąd mogli patrzeć na oświetlone więzienie i słuchać szumu morza szturmującego wybrzeże. W przyjemnym chłodzie wielebny North odzyskał równowagę ducha i rozmowa potoczyła się dość gładko.

Po pewnym czasie z mroku wyłoniła się sylwetka krę-pego mężczyzny z cygarem w ustach. Był to doktor Mack-lewain, który nie mógł wziąć udziału w kolacji, ponieważ został wezwany do chorego strażnika znad zatoki Norfolk.

No i co? Jak tam Forrest? zawołał żywo Burgess.

Przepraszam... Wielebny Meekin, doktor Macklewain.

Forrest nie żyje – odparł lekarz. Bardzo mi miło, panie Meekin.

Bodaj to diabli! zaklął Burgess. Znowu jeden z najlepszych moich ludzi. Napije się pan wina, Mackle-wain?

Ale doktor był zdruzony i wolał zaraz pójść do domu.

Ja również muszę udać się na spoczynek powie-dział wielebny Meekin. Podróż, choć bez wątpienia urocza, utrudziła mnie trochę.

No to idziemy wszyscy odezwał się North. Ma-my przecież jedną drogę.

Nie chcą panowie pokrzepić się łykiem brandy?

zapytał komendant. Nie? Trudno. Pozwolę sobie posłać do pana jutro rano, panie Meekin. Życzę dobrej nocy Macklewain, mam jeszcze z panem do pogadania.

Macklewain dogonił dwóch duchownych w połowie ścieżki wiodącej ze wzgórza na równinę, gdzie stały domki lekarza i kapelana.

I znów jutro chłosta burknął niechętnie. Oczy-

wiście, jak zawsze, o świcie. Bodaj to lichy!
Kto ma być ukarany? zapytał North.
Ten młodzik. Lokaj komendanta.

Co? Kirkland? Kirkland ma dostać baty? Za co?
Za niesubordynację odrzekł doktor. — Pięćdzie-
siąt.

Trzeba temu zapobiec! krzyknął North. On nie
wytrzyma chłosty. Na pewno umrze.

Zechce pan łaskawie pozwolić, panie North, abym ja
wypowiedział się w tej materii — odrzekł doktor prostując
dumnie swoją niepozorną postać.

Ależ drogi, kochany doktorze -- podjął North rozu-
miejąc, że należy udobruchać Macklewain. — Nie widział
go pan ostatnio. Nie wie pan, że dziś chciał odebrać sobie
życie! Próbował się utopić.

Wielebny Meekin zrobił przerażoną minę, lecz doktor
uspokoił go szybko, mówiąc:

Z takimi wybrykami trzeba skończyć. Niezbędny jest
surowy przykład. Dziwię się, że Burgess nie zaaplikował mu
setki.

Kirkland został umieszczony na noc w sali ogólnej
podjął żywo North. — Wie pan, jakie to piekło. Bogiem się
świadczę, że jego wstyd i rozpacz przejęły mnie grozą.

Cóż, jutro zostanie umieszczony w infirmerii na
tydzień, może dziesięć dni powiedział Macklewain.

Uspokoi się, przyjdzie do siebie.

Jeżeli Burgess rzeczywiście go wychłoscze, wniosę
skargę do gubernatora. W ogólnej sali dzieją się haniebne
rzeczy.

Czemu Kirkland sam nie złożył zażalenia, jeżeli
spotkała go krzywda? Bez należytej podstawy nie możemy
nic zrobić powiedział lekarz.

Czemu nie złożył zażalenia? Dobrze sobie! Chyba mu
życie miłe. A zresztą Kirkland nie jest człowiekiem skorym
do skarg. Wolałby pozbawić się życia, niż rzec bodaj słowo
w takiej sprawie.

Co za brednie! obruszył się Macklewain. — Nie
możemy ukarać całej ogólnej sali chłostą z racji mglistych
podejrzeń. Ja nie widzę innego wyjścia. Smarkacz nawarzył
piwa, jutro musi je wypić.

Idę zaraz do Burgessa! zawołał North. — Oto
furtka, panie Meekin. Pański pokój jest na prawo z sieni.
Niedługo wrócę.

304

20

Dożywotnie

305

Proszę nie spieszyć się xc względu na mnie powie-
dział uprzejmy Meekin. — Pragnie pan spełnić miłosierny
uczynek, a wobec miłosierdzia ustąpić muszą wszelkie wzglę-
dy. Moją walizę znajdę chyba w pokoju?

Tak, tak! Proszę obudzić służącego, gdyby pan czegoś
potrzebował. Sypia w alkówce za kuchnią rzucił pospiesz-
nie North i zniknął w mroku.

Gdy umilkł odgłos jego kroków, nowy kapelan zerknął
spod oka na lekarza.

Popędliwy jegomość mruknął, — Tak — przyznał
Macklewain i poważnie kiwnął głową. Ma dziwne
dolegliwości, na których nie mogę się poznać. Często
dostaje jakichś ataków... Czy ja wiem? Chyba to rak
żołądka.

Rak żołądka! Co za okropność! Ach, drogi doktorze,
każdy z nas dźwiga swój krzyż, każdy cierpi. Czuje pan, jak

cudownie pachną kwiaty? Port Arthur to mimo wszystko wspaniałe miejsce. Jestem pewien, że będzie mi tu bardzo dobrze. Dobranoc panu.

Dobranoc, panie Meekin. Mam nadzieję, że nocleg będzie wygodny.

?- A ja mam nadzieję, że zacny pan North osiągnie powodzenie na drodze wskazanej mu przez miłość bliźniego i uchroni od męki biednego Kirklanda powiedział wielebny Meekin otwierając furtkę. Jeszcze raz życzę panu dobrej nocy, drogi doktorze.

Kapitan Burgess zamykał okno wychodzące na werandę, kiedy nadbiegł wielebny North.

Panie kapitanie! Macklewain powiedział mi, że pan skazał Kirklanda na chłostę.

Skazałem. I co z tego?

Przyszedłem błagać pana o zmianę decyzji. Chłopiec został już srogo ukarany... Na Boga! Dziś próbował pozbawić się życia!

I właśnie za to dostanie jutro w skórę. Już ja oduczę więźniów takich samobójczych sztuczek.

Ale on nie wytrzyma chłosty, panie kapitanie. Jest wąły, słaby...

To sprawa Macklewaina.

Kapitanie! Zapewniam, że ten biedak nie zasłużył na karę. Widziałem go. Jest bliski obłędu.

Panie North! Ja nie wtrącam się do tego, co pan robi z duszami więźniów. Proszę nie wtrącać się do tego, co ja robię z ich ciałami.

Kapitanie Burgess! Nic wolno panu szydzić z mojego powołania!

A panu nie wolno wodzić mnie za nos!

Czy stanowczo nie zmieni pan decyzji?

Wydałem już rozkazy, panie North. Błada

dotychczas twarz kapelana pokryła się szkarłatem.

Kapitanie Burgess! Krew tego nieszczęsnego chłopca spadnie na pańskie sumienie. Jestem kapłanem. W imię Wszechmogącego zabraniam panu popełnienia tej zbrodni!

Co za bezczelność! – wybuchnął Burgess.—Jest pan dymisjonowanym funkcjonariuszem rządowym i nie ma pan tutaj nic do gadania. Jeżeli będzie mi pan przeszkadzał w utrzymywaniu dyscypliny, to jak Boga kocham, zakuję pana w kajdany i zatrzymam pod kluczem, póki pan nie odpłynię z Port Arthur. Słyszał pan, panie North?

Była to oczywiście czcza pogroźka. North wiedział, że komendant nie mógłby pozwolić sobie na taki akt przemocy, mimo to jednak obelga zaboląła go niby smagniecie biczem. Postąpił krok, jak gdyby chciał skoczyć do gardła Burgessowi, lecz opamiętał się w porę i stanął z zaciśniętymi pięściami i rozgorzałym wzrokiem. Przez moment przeciwnicy spoglądali na siebie wrogo. Potem kapitan spuścił oczy.

Podły bluźnierco przemówił North. – Powiadam ci, że nie wychłostasza tego chłopca.

Burgess, siny z wściekłości, szarpnął sznur dzwonka, a gdy przybiegł służący, powiedział głucho:

Odprowadź do furtki pana Northa, a potem idź do koszar. Powiedz, żeby Troke wyliczył jutro Kirklandowi sto batów. STO! Rozumiesz? Już ja panu pokażę, North, kto tutaj rządzi!

Wniosę skargę do gubernatora! zawołał kapelan.

To morderstwo!

Gubernator może mnie pocałować... I pan także, North! – ryknął Burgess. – Wynoś się stąd!

Z tymi słowy pierwszy po Bogu w Pori Arthur potężnie trzasnął drzwiami.

North szedł do domu niezmiernie wzburzony.

Ten biedak nie dostanie chłosty mówił głośno do siebie. W razie potrzeby osłonię go własnym ciałem. Złożę meldunek gubernatorowi. Tak! Pomówię z sir Johnem Franklinem. Muszę dobyć na światło dzienne okropności tej otchłani.

Wróciwszy do domu zapalił lampę w małej bawialni.

Było cicho. Tylko z przyległego pokoju dochodziło dyskretne chrapanie wielebnego Meekina. North sięgnął po książkę i spróbował czytać, ale litery skakały mu przed oczyma. Szkoda, że piłem brandy mruknął półgłosem.

Skończony dureń ze mnie.

Potem zaczął spacerować po pokoju, czytać, kłaść się na sofie, modlić.

O Boże, daj mi siły, pospiesz z pomocą, ratuj! Walczę ze sobą, ale jestem słaby. Wesprzyj mnie łaskawie, o Panie! Twarz miał pobladła, wargi spękane. W męce wił się na sofie, jęczał, rozmawiał ze sobą, modlił się zdławionym szeptem. Patrząc na to można by pomyśleć, że kapelan cierpi straszliwie z racji jakiejś choroby. Raz po raz otwierał książkę, zmuszał się do czytania, lecz ustawicznie spoglądał w stronę kredensu, jak gdyby tam było coś, co go urzekło. Wreszcie poszedł ku kuchni, znalazł słoik z papryką i wsypanszy czubatą łyżkę żrącego proszku do kubka wody wypił zawartość duszkiem. Na krótki czas przyniosło mu to ulgę.

Muszę zachować najutro przytomność umysłu powtarzał szeptem. Od tego zależy przecież życie nieszczęśliwego chłopca. No i Meekin może coś wywęszyć... Trzeba położyć się, zasnąć.

Poszedł do sypialni i padł na łóżko, lecz po to tylko, by przewracać się z boku na bok. Daremnie powtarzał teksty Pisma świętego i urywki wierszy. Daremnie liczył urojone owce i słuchał tykania urojonego zegara. Sen nie nadchodził, zbliżało się za to coś jakby przesilenie groźnej, utajonej od wielu dni choroby.

Muszę wypić choć kroplę, żeby uspokoić te męki szepnął do siebie kapelan.

Dwukrotnie przystawał w drodze do bawialni. Dwukrotnie popychała go naprzód siła potężniejsza niż wola. Wreszcie otworzył kredens i chwycił to, co miał na myśli: butelkę brandy. Kiedy poczuł ją w ręku, ustąpiły skrupuły. Uniósł flaszkę do ust i jął pić łakomie. Potem odstawił ją zawstydzony własną słabością i wrócił do sypialni. Nadal jednak nie mógł zmrużyć oka. Żrący smak w ustach przywodził go do szaleństwa. Biedak widział w ciemnościach zarysy butelki, widział bursztynowe błyski zdradliwego płynu. Słyszał pełny bulgot przy nalewaniu do szklanki. Czuł przejmujący zapach alkoholu.

Wyobrażał sobie butelkę stojącą w kącie kredensu.

Wyobrażał sobie, że chwyta ją i gasi płonący we wnętrzu ogień. Płakał, modlił się, walczył z przemożnym pragnieniem niby z ogarniającym go obłędem. Powtarzał sobie, że od jego wytrwania zależy cudze życie; że uleganie haniebnemu nałogowi uraga godności człowieka wykształconego i istoty obdarzonej rozumem; że to namiętność poniżająca, ohydna, zwierzęca zawsze i wszędzie, a w obecnej sytuacji – zbrodnicza. Wszystko na próżno!

Wiodąc ze sobą gorącą dysputę North znalazł się koło kredensu i niemal bezwiednie podniósł butelkę do ust.

Przedstawiał wówczas widok odrażający, zarazem jednak godny litości i współczucia.

Nie miał on raka. Cierpiał na stokroć gorszą chorobę. Wielebny James North – dżentelmen, uczony i kapłan Chrystusowy – był nałogowym alkoholikiem.

XV Sto

batów

jasne słońce poranka spoglądało na osobliwą scenę. Na kamiennym dziedzińcu stała niewielka grupa osób: Troke, Burgess, Macklewain, Kirkland, Rufus Dawes.

Trzy paliki po dziewięć stóp długie ustawione były w kształt trójkąta, co po trosze przypominało stojak, na

309

jakim Cyganie zwykli zawieszać kociołek nad ogniem. Do tego rusztowania przywiązany był Kirkland. Stopy miał przytwierdzone rzemieniami do podstawy trójkąta, dłonie do wierzchołka, wobec czego ciało jego było wyciągnięte na całą długość, a nagie plecy połyskiwały w blasku słońca. W czasie przywiązywania skazaniec milczał, wzdrygnął się tylko, kiedy dozorca zdarł z niego koszulę.

Teraz spełnij swój obowiązek, więźniu powiedział Troke do Dawesa.

Rufus spojrział na trzy surowe twarze, potem na białe plecy Kirklanda i zaczerwienił się mocno. Nie zdarzyło mu się nigdy wymierzać chłosty, chociaż otrzymywał ją często.

– Chyba pan kapitan nie każe mi bić tego chłopca?

– zwrócił się do komendanta.

-- Bierz bat, łajdaku! rzucił Burgess. Co to ma znaczyć?

Więzień wziął ciężki kańczug i przesunął palcami po jego węzlastych końcach.

Rób swoje, Dawes szepnął Kirkland nie odwracając głowy. ----- Jesteś tylko człowiekiem.

Co on gada? zainteresował się Burgess.

– Prosi, żeby go bić lekko, panie kapitanie skłamał gorliwy Troke. – Oni wszyscy to robią.

Bić lekko! Właśnie! – zawołał komendant. Zaraz się tym zajmujemy. No, do roboty, człowieku, a staraj się dobrze, bo jak Bóg na niebie, każe tobie wyliczyć pięćdziesiąt.

Rób swoje, Dawes szepnął skazaniec. Mnie wszystko jedno.

Rufus Dawes podniósł bat, zawinał mm nad głową i sznury z węzłami spuścił na nagie plecy Kirklanda.

Raz! zawołał Troke.

Na białym grzbiecie pojawiło się sześć czerwonych pręg.

Kirkland stłumił wrzask. Zdawało mu się, że został przecięty na dwoje.

Uważaj, łajdaku! ryknął Burgess. Nie tak.

Rozdziel sznury.

Więzień przeciągnął sękatymi palcami po końcach bata i uderzył powtórnie. Tym razem osiągnął lepszy skutek. Na skórze ukazały się krople krwi. Chłopiec nie krzyknął,

310

zaciśnął tylko pięści, a mięśnie jego nagich ramion zadrżały konwulsyjnie.

Dwa!

Teraz ujdzie – pochwalił Burgess. Trzeci cios zabrzmiał głucho. Gołe plecy poczerwieniały mocniej.

Boże! –jęknął cicho katowany i przygryzł wargi. Do dziesięciu uderzeń panowała grobowa cisza. Wreszcie Kirkland zadrżał boleśnie niby zraniony koń.

Aa!... Aa... – zaczął wrzeszczeć. – Panie kapita-

nie!... Dawes!... Panie Troke!... Aa!... Aa... Mój Boże!... Mój

Boże!... Litości... Panie doktorze!... Panie North!... Aa!...
Aa...

Dziesięć! – zawołał Troke i dalej liczył bez przeszkód do końca pierwszej dwudziestki. Plecy skazańca opuchły, jak gdyby wyrósł na nich garb. Przypominały teraz dojrzałą brzoskwinie nakłutą szpilką przez psotne dziecko. Rufus Dawes przerwał na chwilę krwawe dzieło i lepkimi palcami rozdzielił znowu sznury bata.

Jazda dalej! – powiedział Burgess.

Raz! – zacznij od nowa Troke.

Zbudzony blaskiem porannego słońca wielebny North otworzył przekrwione oczy i potarł czoło drżącymi dłońmi. Nagle uprzytomnił sobie, że ma do załatwienia coś bardzo ważnego, stoczył się więc z łóżka i zerwał na równe nogi. Rozejrzał się dokoła, zobaczył na stole próżną butelkę po brandy i zrozumiał, co zaszło ubiegłej nocy. Pospiesznie zmoczył obolałą głowę i doprowadził do porządku ubranie. Skutki wczorajszej pijatyki były takie jak zawsze: mózg zdawał się płonąć, dłonie były gorące i suche, obrzmiały język przywierał do podniebienia. North zadrżał, kiedy zobaczył w lustrze swoją pobladłą twarz i zaczerwienione oczy. Potem nerwowo spróbował otworzyć drzwi. Były zamknięte. Widocznie mimo szaleństwa zachował tyle przytomności umysłu, by ukryć swój oplakany stan. Cichaczem wszedł do bawialni i zobaczył, że zegar wskazuje pół do siódmej. Chłosta miała się odbyć o pół do szóstej, więc spóźnił się już, jeżeli nie zaszedł jakiś nieprzewidziany wypadek.

311

Targany niepokojem i wyrzutami sumienia kapelan minął drzwi, za którymi słodko spał wielebny Meekm, wybiegł z domu i ruszył w stronę wiezienia. Kiedy wchodził na dziedziniec, Troke mówił właśnie: „Dziesięć”. Kirkland otrzymał pięćdziesiąt batów.

Dosyć! krzyknął North. Kapitanie Burgess!

Żądam, by pan rozkazał przerwać chłostę!

Spóźnił się pan trochę, panie North odpowiedział komendant. Kara już prawie wymierzona.

Raz! zawołał w tej chwili Troke. Nastąpiło sześć dalszych uderzeń. Stojąc opodal North ogryzał paznokcie i zgrzytał zębami. Kirkland przestał krzyczeć. Jęczał tylko głucho. Jego grzbiet był podobny do nasączonej krwią gąbki. W przerwach między razami żywe mięso drgało niby tusza świeżo odartego ze skóry wołu. Nagle Macklewain spostrzegł, że głowa skazańca opada na ramię. Odwiązać go! Prędko! zawołał, a Troke rozluźnił rzemienie.

Polejcie łajdaka wodą powiedział Burgess. Uda-
je.

Kubeł wody zmusił Kirklanda do otwarcia oczu.

A nie mówiłem! podjął komendant. Przywiązać go znowu.

Nie! Nic! Ludzie, czy nie jesteście chrześcijanami? wybuchnął North i znalazł najmniej oczekiwanego sojusznika.

Rufus Dawes rzucił ociekający krwią kańczug i powiedział:

Nie będę dłużej chłostał.

Co takiego?! – ryknął Burgess.

Nie będę dłużej chłostał. Może pan wziąć kogo innego do tej diabelskiej roboty. Ja nie chcę.

Przywiązać go! Prędko! Hej, dozorca! Sprowadź mi zaraz innego więźnia. Ten łajdak dostanie zaległe pięć-

dziesiąt i jeszcze pięćdziesiąt na dokładkę. A Kirkland ochłonie tymczasem i popatrzy.

Rufus Dawes spojrział na Northa, bez słowa zdjął koszulę i stanął pod trójkątem. Plecy miał poznaczone bliznami, nie białe i gładkie jak Kirkland. Niejednokrotnie przecież do-

312

stawał chłostę. Troke wrócił wkrótce z Gabbettem, który lubił operować kańczugiem. Chwalił się, że potrafi zatłuc człowieka na śmierć, trafiając zawsze w miejsce nie większe od dłoni. Lewą ręką posługiwał się równie zręcznie jak prawą, jeżeli zaś trafił na „faworyta”, dokonywał istnych cudów.

Nowy skazaniec zarył się stopami w ziemię, mocno uchwycił żerdzie i odetchnął głęboko.

Macklewain rozesłał koszule i kaftany chłostanych, ułożył na nich Kirklanda i odwrócił się, by obserwować nowy akt porannego przedstawienia. Burczał i kłął z cicha, bo pilno mu było na śniadanie, a wiedział, że trudno przewidzieć, kiedy komendant skończy, skoro raz zacznie chłostać.

Dawes wytrzymał bez jęku dwadzieścia pięć uderzeń. Potem Gabbett splótł w warkocz sznury kańczuga i dalej robił swoje. North patrzył i podziwiał odwagę oraz wytrwałość katowanego.

„Żeby nie przekłeta brandy myślał z goryczą – mógłbym temu zapobiec”.

Po setnym razie olbrzym opuścił kańczug i czekał rozkazu, by przestać, ale Burgess postanowił „przełamać opór tego łotra”.

Już ja nauczę cię skamleć, kundlu ???- krzyknął. –Już ja ci pokażę! Rób swoje, więźniu.

Przez dalsze dwadzieścia uderzeń skazaniec milczał.

Potem męka dobyła z niego głos. Nie był to jednak jęk

0 litość, jaki wydawał Kirkland, lecz wybuch rozpaczliwego szału. Nieszczęśnik obrzucał wyzwiskami Burgessa, Troke'a

1 Northa. Krzyczał, że wszyscy żołnierze to tyrani, a klechy obłudnicy. Bluźnił Bogu i Zbawicielowi. W plugawych słowach wołał, by ziemia pochłonęła jego prześladowców, niebo spaliło ich ognistym deszczem, piekło rozwarło się pod ich nogami. Zdawać się mogło, że każde uderzenie dobywa nową falę pasji. Dawes pieniał się, miotał, szarpał więzami, aż chwiała się mocne pale. Wił się przykrępowany do trójkąta i pluł w stronę Burgessa, który drwił z jego tortur.

North zakrył oczy rękami, skulił się pod więziennym murem i zamierał ze zgrozy. Miał wrażenie, iż rozpętało się wokół niego szaleństwo piekieł. Pragnął umknąć, lecz trwał

313

na miejscu niby urzeczony, Kańczug świstał. Burgess zanosił się ohydny śmiechem, Dawes miotał przekleństwa. Nagle North zobaczył, że Kirkland patrzy na niego i jakby się uśmiecha. Czy to naprawdę był uśmiech? Kapelan zerwał się i krzyknął tak przejmująco, że spojrzeli nań wszyscy,

Oo! zawołał Troke pochylając się nad rozciągniętym na szmatach więźniem. Szczeniak puścił ostatnią parę.

Kirkland nie żył.

Odwiązać tego kundla! rozkazał Burgess zbity z tropu niefortunnym przypadkiem.

Troke niechętnie i bez pośpiechu uwolnił z pęt Rufusa.

W tej chwili stanęli koło niego strażnicy, gdyż doświadczenie wskazywało, iż wychłostany więzień bywa czasami nieobliczalny. Ten jednak milczał, tylko wyciągając koszulę spod zwłok Kirklanda szepnął tonem zazdrości:

Nie żyje...

Następnie okrył skrwawione barki i odszedł dumny i wyzywający do ostatka.

Zuch, co? powiedział jeden strażnik do drugiego, kiedy wprowadzali więźnia do pustej celi, gdzie miał czekać na posługaczy z lazaretu.

Gało Kirklanda wyniesiono z dziedzińca w milczeniu, a Burgess pobladł, gdy zobaczył przed sobą srogą twarz kapelana.

Nie moja wina, panie North wyjąkał. Skąd mogłem wiedzieć, że ten chłopak ma tyle sił co kurczę.

Ale North odwrócił się ze wstrętem, a komendant i doktor wyszli razem z więzienia.

– Dziwne, że tak nagle klapnął rzekł po drodze Burgess.

Może miał jakąś ukrytą chorobę odparł lekarz.

Tak. Na przykład wadę serca.

Zrobię sekcję. Zobaczymy.

Wstąpi pan do mnie na jednego, Macklewain? Nietęgo dziś się czuję.

Dwaj panowie weszli do domu komendanta pocertowawszy się uprzejmiem w progę. Tymczasem North, dręczony wyrzutami sumienia, podążył ze spuszczonego czołem do celi

314

skazańca, który przeżył chłostę. Biedak klęczał na podłodze słaby i bliski omdlenia.

Dawes – rzekł półgłosem kapelan. Rufus odwrócił głowę, lecz gdy poznał niepożądanego gościa, odprawił go gestem ręki.

Niech pan się do mnie nie odzywa – rzucił tonem, od którego dreszcz przejął wielebny Northa. – Powiedziałem już, co myślę o takim hipokrycie. Stoi pan i patrzy, jak tłuka człowieka, a potem przychodzi popłakiwać i udzielać religijnej pociechy.

North stał pośrodku celi. Opuścił ręce, głowę skłonił na piersi.

Masz rację, Dawes – powiedział. – Muszę wydawać ci się obłudnikiem. Nie jestem sługą Chrystusowym, ale zwierzęciem, co nie włada sobą. Nie przyszedłem tutaj popłakiwać i udzielać religijnej pociechy. Przyszedłem, by prosić cię o wybaczenie. Mogłem uchronić cię od kary. Mogłem ocalić życie tego nieszczęsnego chłopca. Bogiem się swiadczę, że chciałem go ratować. Ale mam wielki grzech na sumieniu: jestem pijakiem. Wczoraj uległem pokusie i... i dlatego przybyłem za późno. Przychodzę do ciebie jak człowiek do człowieka po to, by błagać cię o wybaczenie. Wielebny North padł na kolana przed więźniem i ujmując jego okrwawioną rękę zawołał:

– Przebacz mi, nieszczęśliwy bracie! Rufus Dawes był tak zdziwiony, że nie mógł dobyć słowa. Zwrócił spojrzenie czarnych oczu ku klęczącej przed nim postaci i w mrocznej duszy poczuł dreszcz zbożnej litości. Zrozumiał mgliście niedolę gorszą od własnej. Jego zatwardziałe serce uderzyło po ludzku i odczuło życzliwość dla zbłąkanego brata.

A więc w tym piekle jest jeszcze człowiek – powiedział i dwaj nieszczęśliwi uścisnęli sobie dłonie.

North wstał z klęczek i wybiegł nie odwracając głowy.

Rufus Dawes spojrział na rękę ścisną tak niedawno przez osobliwego gościa i zobaczył coś połyskującego. Była to łza. Załamał go ten niezwyuczajny widok i gdy nadeszła warta, by odprowadzić do lazaretu nieugiętego więźnia, zastała go na kolanach, skulonego w kącie separatki i rozszłochanego niby małe dziecko.

315

Głową o mur

Nazajutrz, rano wielebny North miał odpłynąć szkunem do Hobartu. Wydarzenia dnia poprzedniego otwarły przepaść między komendantem kolonii a byłym kapelanem. Burgess zdawał sobie sprawę, że North złoży raport władzom, a ponadto rozpowie wszystko osobom nieskłonny do trzymania języka za zębami.

„Bardzo nieporęcznie, że ten chłopak umarł medytował komendant. Gdyby się to nie stało, nikt nie zatroszczyłby się o niego”.

Była to oczywista i posępna prawda.

Wielebny North pocieszał się myślą, że śmierć więźnia w czasie chłosty wywoła oburzenie i pociągnie za sobą śledztwo. Prawda musi wyjść na jaw, jeżeli władze zechcą w nią wejrzeć. Biedny, naiwny człowiek! Przez cztery lata był kapelanem więziennym i nie przekonał się jeszcze, jak władze wglądają w takie sprawy! Robaki zjedzą umęczone ciało Kirklanda, nim obeschnie atrament na ostatnim protokole urzędowym!

Mimo wszystko jednak Burgess nie czuł się pewnie, chciał więc pokrzyżować plany kapelana już na wstępie. Postanowił, że tym samym statkiem, który zabierze jego wroga, odpłynie „meldunek służbowy o nieszczęśliwym wypadku” dokument, co odpowiednio usposobi przełożonych.

Pod wieczór w dzień chłosty Meekin wybrał się na przechadzkę i mijając drewnianą szopę, gdzie złożono ciało Kirklanda, zobaczył Troke'a z dwoma wiadrami ciemno zabarwionej wody oraz usłyszał dźwięki świadczące o wielkim myciu i szorowaniu.

Co się tam dzieje? zapytał. Pan doktor robił sekcję więźnia, który dziś rano dostał chłostę objaśnił Troke. Teraz robimy tam porządek, proszę wielebnego księdza pastora.

Meekin poczuł, że robi mu się słabo, i odszedł szybko. Słyszał już, że biedny Kirkland cierpiał na utajoną chorobę serca i zmarł, niestety, przed odebraniem wyznaczonej kary. Obowiązkiem jego była troska o duszę Kirklanda. Nie obchodziło go wynędzniałe, brzydkie, umęczone ciało więźnia, mógł więc wybrać się spokojnie na molo, aby na wietrze morskim pozbyć się chwilowych mdłości. Zobaczył tam Northa zajętego rozmową z księdzem Flahertym, kapelanem rzymskokatolickim. Na takich księży Meekin zwykł spoglądać jak pasterz na wilki, minął więc obu duchownych z wyniosłym ukłonem. Roztrząsali niewątpliwie poranny przypadek, bo ksiądz Flaherty właśnie mówił:

To nie mój człowiek, panie North. Władze nie pozwalają mi wtrącać się do protestanckich więźniów.

„Biedak był protestantem pomyślał z ulgą wielebny Meekin. -?- Chwała Bogu, nie naraził zbawienia nieśmiertelnej duszy wyznając herezje Kościoła rzymskokatolickiego”.

Ominął z dala pocziwego Denisa Flaherty'ego, syna sklepiarza z Kildrum, gdyż obawiał się, że ów może zaatakować go nagle i potęgą jezuickiej wymowy pozyskać dla własnych błędów, co jak wiadomo, jest obyczajem rozpowszechnionym pośród tych gladiatorów intelektu – katolickich księży. Natomiast North z żalem rozstawał się z Denidem Flahertym. Spędził z nim wiele przyjemnych godzin i wiedział, że to człowiek o ciasnym umyśle, sumienny, skory do śmiechu; człowiek, dla którego bóstwem nie jest żołądek ani brewiarz, lecz raz jedno, raz drugie, zależnie od pory dnia i postów wyznaczonych dla umartwienia ciała.

„Potrafiłby on pełnić duszpasterskie obowiązki w parafii zapijaczonej albo tam, gdzie ludzie żyją zbyt wygodnie, żeby

grzeszyć ciężko. Ale nie może sobie poradzić z szatanem skazanym na wygnanie przez rząd brytyjski". Taka ironiczna uwaga na temat księdza Flaherty'ego nasunęła się wielebnemu Northowi, gdy spoglądał na piękną panoramę Port Arthur rozplywającą się w mgłach za rufą szkunera.

Po wylądowaniu w Hobarcie wielebny North poszedł prosto do majora Vickersa.

Pragnę złożyć formalną skargę, panie majorze – powiedział i przede wszystkim chcę uprzedzić o tym pana. W Port Arthur więzień został zachłostany na śmierć. Jestem naocznym świadkiem zbrodni.

316

317

Vickers zmarszczył czoło.

To poważne oskarżenie, panie North. Oczywiście muszę je przyjąć, skoro pochodzi od pana. Sądzę jednak, że rozważył pan dokładnie wszelkie okoliczności sprawy. Dotychczas wiadomo mi było, że kapitan Burgess jest bardzo ludzkim przełożonym.

North pokręcił głową. Nie myśli oskarżać Burgessa.

Chce, by fakty przemówiły same za siebie.

Proszę tylko o dochodzenie powiedział.

Rozumiem, drogi panie, rozumiem. Zupełnie słuszny punkt widzenia, jeżeli uważa pan, iż popełniono niesprawiedliwość. Ale czy myślał pan o kosztach, stracie czasu, kłopotach i kwasach, jakie pociągnie za sobą ta historia? – Żadne kłopoty ani kwasy nie mogą stanąć na drodze miłosierdziu i sprawiedliwości powiedział North.

Niewątpliwie, panie North, niewątpliwie. Ale czy sprawiedliwości stanie się zadość? Czy potrafi pan przeprowadzić dowód prawdy? Zastrzegam się, że osobiście nie przyjmuję zarzutów przeciwko kapitanowi Burgessowi, którego mam za służbistę i oficera godnego zaufania i szacunku. Chodzi mi o to, czy potrafi pan przeprowadzić dowód prawdy, gdyby nawet oskarżenie było uzasadnione?

Tak. Jeżeli świadkowie powiedzą prawdę.

–? Jacyż to świadkowie?

Ja, doktor Macklewain, starszy dozorca Troke, dwaj więźniowie, z których jeden również został ukarany chłostą.

On powie prawdę. Jestem o tym głęboko przekonany. Do drugiego nie mam raczej zaufania.

Aha, więc pozostają doktor Macklewain i jeden więzień, bo jeżeli nawet było coś nie w porządku, dozorca nie potwierdzi zarzutu przeciwko władzom. Doktor Macklewain jest odmiennego niż pan zdania.

Odmiennego niż ja zdania? powtórzył zdumiony kapelan.

Tak. Niech drogi pan zrozumie, że w takich kwestiach nie należy sądzić pochopnie. Moim skromnym zdaniem...

Proszę wybaczyć zupełną szczerą... Otóż moim skromnym zdaniem w błąd wprowadziła pana przyrodzona dobroć serca. Kapitan Burgess nadesłał urzędowy raport o tym wypadku. Píše, że więzień został skazany na sto batów za

318
niesubordynację i poważne wykroczenia przeciw dyscyplinie. Doktor był obecny przy chłostce i na jego polecenie karę przerwano po pięćdziesięciu sześciu razach. Niebawem okazało się, że więzień wyzionął ducha, wobec czego doktor Macklewain przeprowadził sekcję zwłok i stwierdził utajoną chorobę serca.

Była sekcja zwłok? zdumiał się North znowu.

Nic o tym nie słyszałem.

Oto świadectwo lekarskie powiedział Vickers

rozkładając papiery. – A ponadto odpis zeznań dozorczy i własnoręczne pismo kapitana Burgessa. Biedny North przeczytał uważnie wymienione dokumenty. Na pozór zdawały się wiarygodne. Jako powód zgonu podany był aneuryzm serca i lekarz przyznawał otwarcie, że pozwoliby na nie więcej niż dwadzieścia batów, gdyby wiedział, że zmarły cierpi na niedomaganie tego rodzaju. Sądzę, że Macklewain jest uczciwy – powiedział North tonem powątpiewania. – Nie pozwoliby sobie chyba na wystawienie fałszywego świadectwa zgonu... Ale, panie majorze, inne okoliczności sprawy... Okropna sytuacja więźniów... przeżycia tego biednego chłopca... W to, panie North, nie mogę wchodzić – przerwał Vickers. Zadaniem moim jest przestrzeganie prawa, nie kwestionowanie jego słuszności. North spuścił głowę. Odczuł, że zgodnie z niesprawiedliwymi zasadami sprawiedliwości zasłużył na taką przyganę. – Więcej nie mam nic do powiedzenia, panie majorze podjął. – Obawiam się, że w tej sprawie będę równie bezsilny, jak byłem dawniej w wielu innych. Dowody są przeciwko mnie, przyznaję. Ale za obowiązek swój uważam nie szczędzić dalszych wysiłków i zapewniam, że szczędzić ich nie będę. Vickers skłonił się sztywno i pożegnał niemiłego gościa. Urzędnik potrafi być w życiu prywatnym człowiekiem dobrej woli, ale służbowo odczuwa spontaniczną niechęć do osób, które chcą wiedzieć za dużo i dotrzeć za daleko. North wyszedł z ciężkim sercem z gabinetu majora, a w korytarzu spotkał piękną młodą osobę. Uchylił kapelusza i obejrzał się za nią. Odgadł, że to córka Vickersa, a żona kapitana Frere'a, o którym słyszał tak wiele. Jego chory,

319

wrażliwy umysł skłonny był do dziwacznych wyobrażeń, toteż wydało mu się, że w wielkich, promiennych oczach, co zmierzyły go przelotnym spojrzeniem, dostrzegł cień smutku, zapowiedź przyszłej tragedii, w której i on w jakiś sposób weźmie udział. Nic mógł oderwać wzroku od strojnej, smukłej młodej damy, a gdy zniknęła w głębi korytarza, długo miał przed oczyma wyobraźni jej jasne oczy i koronę złotych włosów.

XVII

Państwo Frere

Sylwia została żoną Maurycego Frere'a, a zaślubiny ich wywołały pewną sensację w koloniach karnych. Pan młody żywił właściwą mężczyznom tego pokroju niechęć do publicznych ceremonii małżeńskich, nie mógł jednak upierać się przy cichym ślubie, gdyż zdawał sobie sprawę, jak świetną robi partię. Wesele odbyło się zatem ze stosowną pompą, a po wystawnej kolacji i balu nowożeńcy wyjechali do najbliższej posiadłości majora Vickersa, aby spędzić tam dwa tygodnie, następnie zaś popłynąć na pewien czas do Sydney. Major Vickers miał wiele sympatii dla człowieka, którego uważał za zbawcę córki, nie życzył sobie jednak, by kapitan żył z majątku Sylwii. Posag wynoszący dziesięć tysięcy funtów ulokował na imię pani Frere oraz jej przyszłych dzieci, a zięciowi dał do zrozumienia, że powinny mu wystarczyć własne dochody.

Po wielu naradach młoda para doszła do wniosku, że kapitan obejmie stanowisko w administracji cywilnej w Sydney, sprzedawszy wprzód swój stopień oficerski. Był to pomysł Frere'a, który nigdy nie lubił służby wojskowej, a ponadto miał dość pokaźne kawalerskie długi. Sprzedaż stopnia umożliwiłaby mu spłatę tych obciążeń, a zarazem objęcie lukratywnej posady, którą mógłby zyskać dzięki

stosunkom teścia i własnej dobrej opinii służbisty oraz zwolennika bezwzględnej dyscypliny wobec zesłańców. Vickers wolałyby oczywiście nie rozstawać się z córką, lecz nie chciał być samolubny i musiał przyznać słuszość twierdzeniu Maurycego, że w środowisku towarzyskim Sydney Sylwia poczuje się nieporównanie lepiej. Jak się urządzimy, będziesz mógł nas odwiedzić, papo powiedziała młoda mężatka, dumna ze swojego przyszłego domu. ?- My także nie zapomnimy o tobie. Hobart to śliczne miasto, ale chciałabym przecież zobaczyć świat.

Powinnaś wybrać się do Londynu, Laleczko – za-wołał Maurycy. To mi dopiero miasto! Prawda, proszę ojca?

Ach, Londyn! -- Sylwia klasnęła w ręce. – Opa-ctwo Westminsterkie, Tower, plac Świętego Jakuba, Fleet Street... „Łaskawy panie rzekł doktor Johnson – przejdźmy się trochę po Fleet Street”. To z książki pana Crokera, pamiętasz, Maurycy? Nie. Naturalnie, że nie pamiętasz. Wiem, że obejrzałeś ilustracje, a potem wzięłeś się do opisu jakiejś walki na pięści między Bobem Gaynorem a Nedem Nealem czy kimś takim.

Małe dziewczynki powinny pozwalać patrzeć na siebie i nic nie mówić – powiedział Frere z uśmiechem i przelotnym rumieńcem. – Czytanie moich książek to nie twój interes, Laleczko.

Dlaczego? – zdziwiła się młoda dama z niezupełnie szczerym dobrym humorem. – Mąż i żona nie powinni mieć przed sobą tajemnic. A zresztą ja chcę, żebyś ty czytywał moje książki. Jutro zaćmę ci czytać Shelleya.

Nie rób tego, kochanie odparł z prostotą kapitan. I tak nic nie zrozumie.

Rozmowa ta toczyła się w jadalni domu Frere'a, w No-wym Mieście, dokąd major Vickers został zaproszony celem omówienia planów na przyszłość.

Ja nie chcę jechać do Port Arthur – powiedziała nieco później młoda mężatka. – Przecież nie wzywa cię tam nic ważnego, Maurycy.

Po prostu mam ochotę zobaczyć to miejsce – odrzekł Frere. -?- Uważam, że należy zapoznać się ze wszystkimi etapami naszego systemu penitencjarnego. To dla mnie bardzo ważne.

320

21

Dożywotnie

zesłanie

321

Prawdopodobnie trzeba tam będ/ie przeprowadzić dochodzenie w sprawie śmierci jednego więźnia zabrał głos Vickers. ?•?- Były kapelan z Port Arthur, poczciwy, ale uparty jegomość, robi wokół tego wiele hałasu. Mógłbyś zająć się tym, Maurycy, równie dobrze jak każdy inny. Aha. I oszczędzić kosztów podróży. Ale to takie smutne miejsce! zawołała Sylwia, Jedno z najbardziej malowniczych na naszej wyspie. Spędziłem tam w swoim czasie kilka dni i byłem po prostu oczarowany.

Vickers pomyślał, że młodzi małżonkowie zaczynają już naśladować wzajemnie swój sposób mówienia. Sylwia wyraża się mniej poprawnie, Frere bardziej.

„Ciekawe, czyj styl przyjmą wreszcie obydwójce?” zakończył major swoje rozważania.

Ale, mój drogi podjęła Sylwia słyszałam, że w Port Arthur są złe psy i rekiny, i Bóg wie co. A zresztą czy nie mamy już dosyć zesłańców i więźniów?

Dosyć? Przecież ja żyję z zesłańców i więźniów!
obruszył się kapitan, a jego młoda żona westchnęła smutno.

Zagraj nam coś, Laleczko wtrącił żywo ojciec. Młoda dama usiadła do fortepianu, aby grać i śpiewać nie uczonym, świeżym głosem. Kwestia podróży do Port Arthur uleciała na falach muzyki i przez czas pewien nie było o niej mowy. Kiedy jednak wyniknęła ponownie, Sylwia przekonała się, że jej małżonek jest stanowczy. Chciał i musiał zobaczyć Port Arthur. Skoro raz wbił sobie do głowy, że coś będzie dla niego korzystne, obstawał przy tym, a jego wrodzony upór nie liczył się z przeszkodami. Sylwia popłakała trochę i dała za wygraną, pragnąc zapomnieć o pierwszym nieporozumieniu w ich krótkim wspólnym życiu. Jej niepokoje i złe przeczucia topniały w promieniach miłości jak mgły, co rozpraszają się w blaskach poranka. Bo w początkowym okresie małżeństwa Frere kochał naprawdę, a miłość dawała mu to, co daje ludziom w przeciwieństwie do zwierząt: łagodności zapomnienie o własnej osobie. Uczciwa młoda dziewczyna o szlachetnych skłonnościach i bujnej wyobraźni, spaczona nieco skutkiem doznanych w dzieciństwie zaburzeń umysłowych, została kobietą i zaczęła odczuwać kobiecą ufność do mężczyzny, któremu oddała się z własnej woli, oraz dumę z tego mężczyzny. Stopniowo jednak jej własne uczucia przekształciły się w źródło nowych niepokojów. Sylwia zajęła pozycję żony, porzuciła więc wątpliwości, czy szczerze kocha wybranego człowieka, lecz wkrótce jęły ją dręczyć obawy, by on nie zrobił czegoś, co mogłoby osłabić jej uczucie. Kilkakrotnie musiała przyznać w duchu, że jej mąż jest egoistą większym, niż się spodziewała. Nie żądał wielkich ofiar. Gdyby zażądał, uległaby z radością, gdyż jako kobieta miała wrodzoną skłonność do wyrzeczeń. Ale tak się nie działo. Od czasu do czasu Frere okazywał cechujące go lekceważenie cudzych uczuci upodobań. Kochał ją – nawet kochał zbyt gorąco jak na subtelna naturę Sylwii – nie zwykł jednak naginać swojej woli do niczego, a zwłaszcza do drobiazgów, których przestrzeganie stanowi o prawdziwym braku samolubstwa. Kiedy ona chciała czytać, a on wolał pójść na spacer, z humorem odbierał jej książkę, gdyż nie wątpił, że przechadzka w jego towarzystwie musi stanowić przyjemność najwyższej miary. Kiedy ona chciała pójść na spacer, a on wolał odpoczywać, śmiał się i usprawiedliwiał swoim lenistwem, uważając je za wódz aż nadto wystarczający. Nie trudził się ukrywaniem nudy, gdy żona czytała mu swoje ulubione książki. Nie przeproszał, jeżeli zdrzemnął się słuchając jej muzyki lub śpiewu. Kiedy Sylwia zaczęła mówić o czymś, co go nie interesowało, bezceremonialnie zmieniał temat. Nie obrażał jej rozmyślnie, lecz wydawało mu się oczywistym, że ziewa, gdy się nudzi, śpi, gdy jest zmęczony, mówi wyłącznie o ciekawych dla siebie sprawach. Atoli zdziwiłby się, gdyby ktoś mu powiedział, że jest egoistą.

Wreszcie Sylwia uprzytomniła sobie, że wiedzie podwójne życie – cielesne i duchowe a z tym drugim jej mąż nie ma nic wspólnego. Przestraszyła się zrazu, ale wnet pomyślała z uśmiechem: „Trudno wymagać, by Maurycy interesował się moimi głupimi fantazjami”. Starła się przezwyciężyć smutek, chociaż wewnętrzny głos mówił jej, że te fantazje nie są wcale głupie, lecz stanowią najpiękniejszą i najbardziej istotną część jej natury. Mężczyzn a myśli inaczej niż kobieta – przekonywała na głos samą siebie. – Ma swoje interesy i obowiązki

służbowe, o których kobieta rac nie wie. Trzeba dodawać sił Maurycemu, a nie nękać go niemądrymi fanaberiami. Tymczasem Frere miał również swoje troski. Nie potrafił zrozumieć żony. Jej charakter stanowił zagadkę, jej umysł łamigłówkę, której nie dało się ułożyć wedle prostych wzorów życia codziennego. Od jej dzieciństwa znał i kochał Sylwię. Popełnił czyn haniebny, by ją zdobyć. Kiedy jednak cel osiągnął, nie zbliżył się do zgłębienia tajemnicy. Miał prawo głaskać złote włosy i całować purpurowe usta żony, a oczy jej spoglądały czule tylko na niego. Ale niekiedy usta te były zimne, a w oczach wyczytać można było wyraz tajonej odrazy. Czasami Sylwia popadała w zadumę, podobnie jak on zapadał w drzemkę, kiedy ona czytała głośno. Ale w podobnych przypadkach ona rumieniła się i przepraszała on nigdy.

Maurycy Frere nie należał do ludzi, którzy zaprzatają sobie głowę drobiazgami, wypalił więc kilka fajek, poskrobał się po głowie i dał spokój zawiłym rozważaniom. Nie mógł przecież rozwiązać problemu ducha i umysłu tej kobiety, skoro jej ciało stanowiło dlań zagadkę. Nie potrafił pojąć, jak to się stało, że dziecko, co rosło przy nim z dnia na dzień, jest obecnie niewiastą dojrzałą, nie mającą przed nim tajemnic.

Pewnego dnia spostrzegł, że Sylwia ma znamię na łopacie, i przypomniał sobie, że zauważył je już przed laty u dziecka. Wówczas nie miało to znaczenia, obecnie było cudownym odkryciem. Frere upajał się posiadanymi skarbami, podziwiał ciało żony, jej subtelny niewieści wdzięk, jej piękne stroje, które zdawały się rozsiewać rajskie wonie. Przyczyna takiego stanu rzeczy była nader prosta. Protektor Sary Purfoy niewiele miał do czynienia z cnotliwymi kobietami i dopiero po ślubie odkrył, że skromność jest bardzo smacznym kąskiem.

XVIII

Lazaret

Lazaret w Port Arthur nie był przyjemnym miejscem, ale udręczonemu fizycznie i moralnie Dawesowi wydawał się rajem. Mimo surowości i grubiaństwa strażników odczuwał, że tam przynajmniej dba ktoś o niego. Czuł, że jest wolny od narzuconego towarzystwa ludzi, którymi gardzi i do których poziomu stacza się nieuchronnie dzień po dniu. Przez wiele lat poniżeń i męki potrafił zachować nieco szacunku dla samego siebie dzięki wspomnieniom o swojej miłości i ofierze, wiedział jednak, że to nie może trwać długo. Zdawał sobie sprawę, iż staje się istotą obcą uczuciom i miłosierdziu, straconą do otchłani, gdzie nie zagląda oko Stwórcy. Po ujęciu w H obarcie dawał swobodny upust nienawiści i rozpacz.

„Jestem wzgardzony i zapomniany myślał. Nie mam rodziny ani nazwiska. Mogę zrównać się z resztą więźniów”.

Pod wpływem takich uczuć wziął kańczug na rozkaz kapitana Burgessa, kiedy zaś nieszczęsny Kirkland powiedział, że on może go wychłostać podobnie jak każdy inny, przyznał rację skazańcowi. Kim jest ostatecznie? W imię czego ma dbać o honor i własne człowieczeństwo? Ale przecenił swój upadek. Chłostał ze wstydem, kiedy zaś rzucił bat i grzbiet odsłonił, doznał dziwnego upojenia na myśl, że poniżenie okupi krwią. Nawet wówczas, gdy wyczerpany i udręczony padł na kolana w samotnej celi, żałował tylko nieprzytomnego wybuchu, do jakiego zmusiły go tortury. Miotane pod razami obelgi i przekleństwa paliły mu usta, ponieważ dowodziły jego słabości i zwycięstwa dręczycieli. Pocięchę Northa odtrącił nie dlatego, że kapelan

widział jego chłostę, lecz dlatego, że słyszał jego płacz i jęki. Wiara w siebie i siła woli opuściły go w momencie, gdy potrzebował ich najbardziej. Człowiek, co śmiało stawiał czoło szubienicy, bezwodnemu pustkowiu i morzu, załamał się przy fizycznej torturze kańczuga. Był już dawniej chłostany i potajemnie płakał nad swoim poniżeniem, ale teraz

324

325

dopiero zrozumiał, jak beznadziejne być może to poniżenie. Zdał sobie sprawę, że ból potrafi zabić udaną obojętność i zmusić cierpiącego do wyznania, iż został pokonany. Przed kilkoma miesiącami więzień ukarany chłostą zamordował towarzysza, z którym był skuty, następnie zaś przyniósł jego ciało strażnikom i sam oskarżył się o zbrodnię, by znaleźć śmierć i ucieczkę od losu, jakiego nikt nie mógł pozazdrościć. Rufus Dawes myślał wówczas ze zgrozą

0 krwawym czynie i wraz z innymi potępiał tchórzostwo mordercy. Teraz rozumiał jak i dlaczego została popełniona diabelska zbrodnia, i odczuwał jedynie litość.

Z obolałym grzbietem leżał okryty szmatami i w ciszy lazaretu ślubował sobie, że umrze, jeżeli jeszcze raz jego męka stanie się publicznym widowiskiem. W takim nastroju

przypominał sobie nagle dziwaka, który ścisnął mu dłonie

1 nazywał go bratem. Po odejściu Northa płakał nie dlatego,

że okazał mu współczucie ktoś, kogo uważał za równie oschłego jak inni. Przyczyną tych łez była litość dla człowieka, który przyznał mu się do słabości w momencie, gdy i jego zawiodły siły. Zdarzenie to wywarło wpływ na nieszczęsnego więźnia, a dwa tygodnie spokoju i wypoczynku w lazarecie zwróciło jego posępne myśli ku religii. Czytywał przecież niegdyś o męczennikach, co wspierani przez wiarę znosili z pogodą niewypowiedziane męki. W dniach burzliwej młodości drwił z modlitw i kapłanów. Późniejsze ciężkie lata wzbudziły w nim nienawiść wobec istot własnego gatunku i wzdarcie dla religii, która każe kochać bliźniego. „Bóg jest miłością, moi bracia” – mawiał w niedzielę kapelan, a przez cały tydzień trzaskały baty dozorców i nad ukaranymi chłostą świszczła kańczug. Jaką praktyczną wartość ma religia zalecana podczas kazań, lecz nie stosowana w życiu? „Duszpasterz” mógł zalecać więźniowi, by nie ulegał złym uczuciom, a karę znosił cierpliwie i łagodnie. Mógł doradzać więźniowi, by „pokładał ufność w Bogu”. Bardzo to piękne, ale jak powiedział pewien zesłaniec skazany za pijaństwo w pokątnym szynku: „Bóg jest straszliwie daleko od Port Arthur”.

Rufus Dawes uśmiechał się z politowaniem, kiedy za takie błahostki, jak kłamstwo lub drobne kradzieże, duchowni gromili ludzi, którzy tyle co on wiedzieli i widzieli! Wszystkich kapłanów uważał za szarlatanów i półgłówków, wszystkie religie za oszustwo i drwinę. Obecnie jednak, kiedy ból fizyczny zdołał zdławić w nim siły ducha, poczynął myśleć, że religia musi mieć w sobie coś istotnego, krzepiącego i jest nie tylko zbiorem legend i formułek. Słaby i załamany szukał oparcia i podobnie jak wszyscy w takich wypadkach, zwracał się ku nieznanemu. Gdyby przyszedł doń wtedy chrześcijański kapłan lub człowiek prawdziwie chrześcijańskiego ducha (obojętne jakiej wiary), mógłby uchronić nieszczęsnego więźnia od jego przyszłych losów. Mógłby odrodzić go słowami pociechy i łaski, zedrzyć z niego powłokę zakrzepłej, tragicznej rozpaczki, zmusić go do wyznania własnych błędów i słabości, ukazać jego zbolelej duszy drogę nieśmiertelności i zbawienia.

Ale człowieka takiego nie było w pobliżu. North prowa-

dził w Hobarcie walkę z biurokratycznymi władzami i daremnie próbował pomścić zgon nieszczęsnego Kirklanda. Urzędnicy zbywali go niczym, odsyłali jeden do drugiego; tutaj częstowali drwiną, tam uniżonym ukłonem. Rufus Dawes poprosił o kapelana i trochę zawstydzony swoją słabością czekał nerwowo przez cały długi ranek. Wreszcie otwarły się drzwi i zgięty w ukłonie dozorca wprowadził do szpitalnej celi wytrawnego lekarza dusz wielebego Meekina.

XIX

Pociecha religijna

Oto jestem, dobry człowieku rozpoczął łagodnie

Meekin. — Podobno chciałeś mnie widzieć?

Prosiłem, żeby odwiedził mnie kapelan — odparł

Rufus Dawes zbity z tropu i zły na siebie.

Ja jestem kapelanem powiedział Meekin

godnie i z taką miną, jak gdyby chciał dodać: „Nie ten

pstro ubrany pijaczyna, ale szanowany duszpasterz,

przyjaciel samego biskupa”.

326

327

Sądziłem, że pan Morih...

Pan North wyjechał, mój człowieku przerwał

sucho kapelan. — Ja mogę wysłuchać tego, co masz do

powiedzenia. Nie odchodźcie, strażniku. Najlepiej poczekajcie przed drzwiami.

Rufus Dawes usiadł na drewnianej pryczy i nie wygojony jeszcze grzbiet oparł o ścianę.

Niech się pan niczego nie obawa powiedział

z gorzkim uśmiechem. — Nie zrobię panu krzywdy. Chciałbym tylko porozmawiać trochę.

Czytujesz Pismo święte, Dawes? odpowiedział

Meekin pytaniem. — Sądzę, że taka lektura przyniosłaby ci

więcej niż rozmowa. Tak, Dawes. Należy czytać Pismo

święte i modlić się pokornie i ze skrucą.

Czytałem Biblię — odrzekł Rufus nie zmieniając pozy i nie odrywając wzroku od kapelana.

Ale czy zawarte w tej księdze nauki wpłynęły na twój umysł? Czy pojąłeś nieskończone miłosierdzie Boga, który

zapamiętaj to, Dawes — darzy litością nawet najgorszych grzeszników?

Więzień beznadnie rozłożył ręce. Oto znowu zaczyna się stara, jałowa, bezduszna pobożna śpiewka! Prosił o chleb, lecz potraktowano go, jak zwykle, kamieniem.

Czy pan wierzy w Boga, panie Meekin?

Zatwardziały grzeszniku! Jak śmiesz obrażać duchownego podobnym pytaniem?

Myślę czasami, że jeśli Bóg istnieje, musi być bardzo niezadowolony z tego, co się tu wyprawia mruknął Dawes raczej do siebie.

Nie mogę słuchać takiej buntowniczej gadaniny z ust więźnia obruszył się kapelan. Bacz, byś bluźnierstwem nie pomnożył innych swoich zbrodni. Wszelako w obecnym twoim stanie ducha rozmowa byłaby co najmniej bezcelowa. Przyślę ci Biblię, w której zaznaczę miejsca stosowne dla ciebie, moim zdaniem. Radzę zrozumieć teksty i dobrze zapamiętać. Hailes! Proszę otworzyć drzwi.

Z tymi słowy i chłodnym skinieniem głowy „pocieszcie!” opuścił celę.

Rufus Dawes popadł w posępną zadumę. A zatem North wyjechał. Wyjechał jedyny człowiek, który zdawał się mieć

328

serce w piersi, który uściskał zrogowaciałą, splamioną krwią dłoń więźnia i śmiało nazwał go bratem.

Biedak odwrócił głowę i spojrział w okno otwarte szeroko i nie okratowane, gdyż w Port Arthur kraty nie były potrzebne. Zobaczył uroczą, gładką jak szyba zatokę połyskującą w blasku popołudniowego słońca. Zobaczył długie nadbrzeże, pstre od pracujących w kajdanach zesłańców. Wraz z kojącym pomrukiem fal i cichym szelestem drzew usłyszał nigdy nie ustający brzęk łańcuchów i wieczne postukiwanie młotów.

Czy na zawsze mam zostać w tym pobielanym grobie, zapomnianym od Boga i ludzi? zadał sobie pytanie. Rozmyślenia te przerwał Hailes, który wszedł do celi i powiedział z krzywym uśmiechem:

Masz tu książkę. Dawes. Kapelan ci ją przysłał. Rufus wziął Biblię, położył na kolanie i począł otwierać w miejscach założonych przez Meekina skrawkami papieru. Zakładek takich było kilka, a zakreślonych ołówkiem tekstów mniej więcej dwadzieścia.

Kapelan powiedział, że jutro przyjdzie cię przesłuchać i żebyś nie śmiał zabrudzić książki.

„Przeczytać!” „Nie zabrudzić książki!” Czy Meekin sądzi, że ma do czynienia z chłopcem ze szkółki dobroczynnej? Zupełna niemożność zrozumienia potrzeb jego duszy była tak wzniosła, że graniczyła ze śmiesznością i omal nie skłoniła Dawesa do śmiechu. Spuścił wzrok i począł czytać zakreślane teksty.

W bezgranicznej swojej głupocie Meekin wybrał najbardziej namiętne złożeńca barda i kapłana. Najsroźsze klątwy psalmisty przeciwko jego wrogom, najpłomienniejsze biadania Izajasza nad upadkiem wiary pośród ludu, najdonośniejsze gromy apostoła i ewangelisty rzucające na bałwochwalców i niedowiarków zostały zgromadzone i ofiarowane Rufusowi jako pociecha i pokrzepienie. Nieudolna ręka rzuciła cierpiącemu grzesznikowi wszystkie okropności wiary Meekina wyrwane z obszerniejszej treści, a więc ogołoczone z poezji i kolorytu lokalnego. Człowiek nieszczęśliwy, poszukujący ukojenia i pokoju, przewracał karty Biblii po to jedynie, by napotykać „męki piekielne”, „robactwo, co toczy łono”, „ogień wieczny”, „wrzącą siarkę”, „bezdenna 329

otchłań”, z której „dymy męki” będą unosić się przez wieki wieków. Nie ukazano mu wizerunku dobrotliwego Zbawiciela o delikatnych dłoniach i oczach wezbranych łzami nieprzebranego miłosierdzia Zbawiciela, który umarł na krzyżu po to, by Dawes i wszyscy inni złoczyńcy mogli żywić nadzieję wspominając przykład cudownej ofiary. Zamiast nauczać nieszczęśliwego, że ludzkość została odkupiona dzięki miłości, godny tego miana faryzeusz dawał mu poznać prawo, którego barbarzyńska moc skonała na Kalwarii wraz z łagodnym Nazarejczykiem.

Zawiedziony w ostatnich nadziejach Dawes wypuścił z palców księgę i pozwolił jej osunąć się na podłogę.

Czy nie ma dla mnie niczego prócz męki ani na tym, ani na tamtym świecie? –jęknął i wstrząsnął się nerwowo. Ale wzrokiem poszukał swojej prawej ręki i spojrział na nią tak, jakby nie należała do niego lub co najmniej różniła się znacznie od lewej.

„On by tak nie postąpił pomyślał On nic rzuciłby mi gróźb potępienia, piekła i śmierci. Przecież nazwał mnie bratem”.

Przejęty szaleńczym współczuciem dla siebie i gorącą miłością dla człowieka, co okazał mu serce, Rufus Dawes począł głaskać rękę zroszoną niegdyś łzami Northa i kołysząc się w tył i do przodu jęczał głucho.

Nazajutrz rano Meekin zastał swojego ucznia jeszcze

bardziej ponurym niż zwykle.

No i co? Wyuczyłeś się tekstów, mój człowieku?

--- zapytał życzliwym tonem, chcąc zjednać sobie trudnego do nawrócenia grzesznika.

Nie. — Rufus wskazał stopą Biblię, która leżała na podłodze tam, gdzie upadła poprzedniego wieczora.

-- Nie? Dlaczego?

Nie chcę uczyć się takich zdań. Wolę o nich zapomnieć.

Zapomnieć! Ależ, dobry człowieka...

Więzień zerwał się z pryczy i wskazał drzwi gestem nie pozbawionym godności mimo łańcuchów i łachmanów.

— Nie wie pan nic o uczuciach takiego jak ja nędzarza.

Proszę wyjść i zabrać tę księgę. Prosiłem o rozmowę z kapelanem, ale nie pana miałem na myśli. Żegnam.

330

Wielebny Meekin był przekonany, że powinna go zdobić aureola świętości, ale zapomniał o chrześcijańskiej pokorze. Na chwilę zatarły się różnice między przeciwnikami, którzy spojrzeli na siebie jak człowiek na człowieka. Kapłan, przedstawiciel władzy, zatrwożył się urażonego człowieczeństwa więźnia, podniósł więc Biblię i wstydliwie wycofał się z celi.

Ten Dawes jest naprawdę bezczelny — powiedział nieco później urażony kapelan do Burgessa. — Dziś potraktował mnie po grubiańsku, bez odrobiny szacunku.

— Widocznie za długo wypoczywa — odrzekł komendant. Jutro każę go posłać do roboty.

Bardzo słusznie — przyznał Meekin. — Zajęcie niewątpliwie mu posłuży.

XX „Naturalne miejsce odosobnienia”

Zajęcia w Port Arthur ograniczały się przeważnie do rolnictwa, budowy statków i garbarstwa. Dawes, skazany na ciężkie roboty w łańcuchach, wrócił do stosownej pracy, to znaczy, że wraz z innymi kajdaniarzami musiał dźwigać z lasu kłocę albo ładować je na nadbrzeże. Zadanie to nie było lekkie, obliczono bowiem troskliwie, że ciśnienie bala na ramię wynosi przeciętnie sto dwadzieścia pięć funtów. Więźniowie pracujący w łańcuchach nosili żółte kaftany, a ku przestrodze innych mieli słowo „zbrodniarz” wymalowane na plecach w sposób widoczny.

Takie życie wiódł nieszczęsny Rufus Dawes. Rano wstawał o pół do szóstej, by harować do szóstej wieczorem z czterdziestopięciominutową przerwą na śniadanie i godziną w porze obiadowej. Raz na tydzień dostawał czystą koszulę, a raz na dwa tygodnie czyste skarpety. Jeżeli czuł się chory, wolno mu było zgłosić się do lekarza. Jeżeli chciał napisać do kogoś, mógł prosić komendanta o pozwolenie i wręczyć mu nie zapieczętowany list, który potentat ów miał

331

prawo zatrzymać, jeżeli uznał za wskazane. Jeżeli czuł się pokrzywdzony otrzymanym rozkazem, wolno mu było zgłosić zażalenie do komendanta, ale dopiero po wykonaniu rozkazu niezwłocznie i bez szemrania. Skarżąc się na przełożonego miał obowiązek zachowywać się i wyrażać z szacunkiem. Sam odpowiadał jedynie za całość swoich kajdan, a we wszystkich innych kwestiach zdany był na łaskę i niełaskę dozorców i strażników. Ludzie ci mieli prawo rewidowania więźniów, wchodzenia do cel o każdej porze i korzystali z wielu przywilejów, a zależeli tylko od komendanta, który z kolei był odpowiedzialny jedynie wobec gubernatora, czyli, innymi słowy, wobec Boga i własnego sumienia. Składał on okresowe meldunki administracji

centralnej, faktycznie jednak sprawował nieograniczoną władzę, a jurysdykcja jego obejmowała cały Półwysep Tasmana oraz przyległe wyspy i wody terytorialne w promieniu trzech mil.

Jak już powiedziano, Półwysep Tasmana ma kształt kolczyka z dwoma wisiorkami. Dolny wisiorek jest większy i ozdobiony licznymi zatokami. Na południowym krańcu wrzyna się weń głęboko zatoka Maignon, którą ze wschodu i zachodu ograniczają podobne do puszczalek organowych skały przylądka Raoul oraz wyniosły szczyt Kolumny. Od zatoki Maignon ramiona oceanu sięgają ku północy. Na zachodnim wybrzeżu półwyspu leży kolonia karna, a na przeciwko niej znajduje się wysepka z cmentarzem więźniów, zwana Wyspą Zmarłych. Minąwszy purpurowe piękno tej Golgoty nowy zesłaniec musi zobaczyć na południu szarą, spiczastą skałę zabudowaną gęsto i kipiącą życiem. Jest to Point Puer miejsce odosobnienia dla chłopców i wyrostków w wieku od lat ośmiu do dwudziestu. Dalej rozciąga się Zatoka Druga oraz zatoka Norfolk, której wybrzeże porosłe nieprzebytym gąszczem przecina zbudowana przez więźniów linia kolejki leśnej. Wylot tej zatoki zamyka Wyspa Leśna, wykorzystana jako stacja sygnałowa i dozorowana zawsze przez szalupę z uzbrojoną załogą. Dalej leży Punkt Trzynasty, południowy kraniec większego wisiorka, i morze oblewające półwysep od wschodu, aż do piaszczystego Przesmyku Orłego łączącego dwa wisiorki kolczyka. Niski ten pasek lądu wyrasta z dzikich, odludnych wybrzeży; w ich skałach wody Zatoki Piratów wyżłobiły głębokie pieczary 0 różnorodnych, cudacznych kształtach. W jednym miejscu wody oceanu przewierciły dwieście stóp gruby mur skalny 1 utworzyły prostopadłą, wąską jak komin studnię, gdzie przy wietrze sztormowym słone bryzgi sięgają pięciuset stóp w górę. Górny wisiorek kolczyka nosi nazwę Pół wyspu Forrestiera, a z lądem stałym łączy go wąski przesmyk. Półwysep Forrestiera porasta nieprzebyta gęstwina sięgająca do szczytów skał bazaltowych, które zstępują w morze.

Przesmyk Orli stanowił wrota więzienia, i to wrota starannie zaryglowane. Na wąskim skrawku piasku zbudowano wartownię, gdzie żołnierze z koszar na lądzie stałym pełnili straż dniem i nocą. Czuwały tam również złe, specjalnie szkolone psy, a opieka nad nimi należała do oficera dowodzącego wartą. Był on obowiązany składać komendantowi meldunek, gdy zauważy, że „którykolwiek z tych stróżów przestaje być użyteczny”. Ponadto wody zatoki nie były wolne od rekinów. Na zachód od Orlego Przesmyku i Wyspy Leśnej znajdowała się osławiona kopalnia, gdzie pod silną strażą przebywało sześćdziesięciu „niepoprawnych”. Był tam również najdalej na północ wysunięty jeden z serii dobrze obmyślonych semaforów sygnalizujących i uniemożliwiających w zasadzie wszelkie próby ucieczki. Górzysty charakter półwyspu szczególnie sprzyjał zadaniu telegrafistów. Na szczycie skały, u której stóp zbudowano główną wartownię kolonii, stał olbrzymi pień drzewa gumowego, na jego zaś wierzchołku semafor. Komunikował się on z dwoma skrzydłami więzienia – Przesmykiem Orlim i kopalnią węgla – wysyłając sygnały na przełaj, przez półwysep, od jednej stacji do następnej. Jeżeli więzień zbiegł z kopalni węgla, w ciągu niespełna dwudziestu minut straż na Przesmyku Orlim mogła być zaalarmowana i cała kolonia karna postawiona na nogi.

Sama przyroda dała temu zakątkowi świata cechy idealnie pewnego więzienia, nic więc dziwnego, że pułkownik Arthur, redagując raport dla rządu brytyjskiego, nazwał

półwysep noszący jego miano „naturalnym miejscem odosobnienia”. Sądzić należy, że ów wybitny teoretyk więziennictwa uważał za dowód szczególnych względów Bożych

332

333

stworzenie miejsca tak odpowiedniego do wprowadzenia w życie słynnego „Regulaminu dyscypliny obowiązującej zesłańców”.

XXI

Inspekcja

Pewnego popołudnia czynne jak zawsze semafony rozposzechniły wiadomość, co poruszyła cały Półwysep Tasmania. Kapitan Frere, który przybył z Hobartu, by przeprowadzić dochodzenie w sprawie zgonu Kirklanda, zechce zapewne zwiedzić wszystkie osiedla, a więc dozorczy winni dołożyć starań, by podopieczni ich prezentowali się jak należy. Burgess wpadł w doskonały humor, kiedy dowiedział się, że meldunek o jego sprawkach ma złożyć władzom dusza tak bardzo pokrewna.

To czysta formalność, mój stary powiedział Frere, spotkawszy się z dawnym kolegą. Ten klecha robi niepotrzebne zamieszanie, a więc trzeba zamknąć mu Bardzo rni miło, że będę miał sposobność zaprezentować Port Arthur tobie i szanownej małżonce odrzekł uprzejmie Burgess. Postaram się zapewnić państwu możliwie najprzyjemniejszy pobyt, obawiam się jednak, że pani Frere niewiele znajdzie tu rozrywek.

Przyznaję otwarcie, panie kapitanie odezwała się Sylwia że wolałabym jechać prosto do Sydney. Ale mój mąż musiał tu wstąpić służbowo, więc towarzyszę mu oczywiście.

Nie ma w Port Arthur licznego towarzystwa godnego szanownej pani zabrał głos Meekin, który uczestniczył w powitaniu gości. – Pani Datchett, żona naszego funkcjonariusza, jest jedyną damą w tutejszym gronie. Spodziewam się, że dziś wieczorem u pana komendanta będę miał przyjemność zaznajomienia pani z tą sympatyczną osobą. Znajomy pani, pan McNab, pełni służbę na Orlim Przesmyku i niestety nie może opuścić posterunku nawet po to, by złożyć uszanowanie łaskawej pani.

Przygotowałem skromne przyjęcie – powiedział Burgess --•? nie liczę jednak, aby udało się tak, jak tego pragnę.

Ach, ty zatwardziały stary kawalerze! – wybuchnął śmiechem Frere. – Powinieneś znaleźć sobie taką jak moja żonkę!

To nie byłoby łatwe – odparł komendant z szarmanckim ukłonem.

Sylwia uśmiechnęła się na ów komplement powiedziany przy dwudziestu więźniach, którzy dźwigali pod górę liczne kufry i walizy gości. Nie uszło jej uwagi, że więźniowie uśmiechnęli się również, zapewne z nieporadnych uprzejmości swojego władcy.

Nie podoba mi się kapitan Burgess – powiedziała Sylwia do męża w czasie odpoczynku przed obiadem. Sądzę, że zachłostał na śmierć tego biednego chłopca. W każdym razie, Maurycy, wygląda na to. Co za brednie! obruszył się Frere. – Burgess to całkiem porządny jegomość. A zresztą oglądałem świadectwo lekarskie. Ta historia została celowo rozdmuchana. Nie rozumiem, moja droga, twojego nedorzecznego współczucia dla więźniów.

Czy więźniowie nie zasługują czasami na współczucie?

Nie! Z pewnością nigdy. To banda łgarzy i szubrawców. A ty wciąż biadasz nad ich losem. Nie podoba mi się to wcale, o czym wiesz, bo nie raz ci to już mówiłem. Pani Frere nie odpowiedziała. Maurycy często pozwalał sobie na drobne grubiaństwa, które lepiej było przyjmować w milczeniu. Ale milczenie nie równało się obojętności, bo w danym wypadku szorstkie słowa były niesprawiedliwe, a wrażliwych niewieścich uczuć nic nie rani bardziej niż niesprawiedliwość.

Kapitan Burgess przygotował bankiet z udziałem całego „towarzystwa” Port Arthur. Zaproszenia otrzymali ksiądz Flaherty, wielbny Meekin, doktor Macklewain oraz państwo Datchett. Pokój jadalny lśnił od szkielek i był bogato przystrojony kwiatami.

334

335

Mam tutaj więźnia, który był zawodowym ogrodnikiem powiedział gospodarz do Sylwii podczas obiadu. Staram się wykorzystywać jego talenty. Mamy również zawodowego malarza dodał z odzieniem dumy Macklewain. Ten obraz „Więzień Chillonu” to jego robota. Prawda, że całkiem niezła sztuka? Nie brak nam i innych osobliwości podjął Burgess. Mój dom to istne muzeum. Jutro je państwu pokażę. O, te kółka do serwet są również dziełem więźnia. Jak Boga kocham! Bardzo ładne! zawołał Frere oglądając pod światło kość rzeźbioną misternie. To robota Johna Rexa powiedział Meekin. Ten człowiek ma złote ręce. Mnie ofiarował nóż do przecinania kartek, prawdziwe dzieło sztuki. Jutro albo pojutrze wybierzemy się na Orli Przesmyk podjął znowu gospodarz. Pani Frere musi zobaczyć Diabelski Gwizdek. To miejsce rzeczywiście godne widzenia.

Daleko stąd? zaniepokoiła się Sylwia.

O nie! A zresztą pojedziemy pociągiem.

Pociągiem?

Tak. Nie ma powodu do zdumienia. Jutro zobaczy pani pociąg. Damy z Hobartu nie wyobrażają sobie nawet, do czego jesteśmy tutaj zdolni.

A co będzie ze sprawą tego Kirklanda? zapytał

Frere. Myślę, że z rana będziesz mi mógł poświęcić pół godziny i urządzić jakieś przesłuchanie.

W każdej chwili, gdy zechcesz, mój drogi odrzekł wylewnie Burgess. – Dla mnie to również kwestia pierwszorzędnej wagi.

Obiad był dobry, a reprezentant władz kolonii usposobiony życzliwie, powiedział wiec tonem niemal usprawiedliwienia:

Rozumiesz, że nie chcę robić zamieszania, muszę jednak wysłać do Hobartu raport „prawdziwy, bezstronny i wyczerpujący”.

Oczywiście! zawołał Burgess z pozorną beztróską.

Rozumiem cię wybornie, mój stary. Chciałbym również, by pani Frere zobaczyła Point Puer.

Miejsce odosobnienia dla chłopców?

Właśnie. Jest ich tam blisko trzystu. Wybierzemy się jutro do Point Puer i łaskawa pani będzie mogła świadczyć, jak wybornie traktujemy młodocianych przestępców.

Nie! – żywo zaprotestowała Sylwia. Wolę zrezygnować z wycieczki. Te sprawy nie interesują mnie tak, jak zapewne powinny interesować. Wydają mi się przerażające i ponure.

Nonsens rzucił szorstko Frere. –? Oczywiście,

Burgess, oboje wybierzemy się do Point Puer. Następne dwa dni poświęcone były zwiedzaniu Port Arthur. Sylwię oprowadzono po lazarecie i warsztatach, pokazano jej semafor, a nawet zamknięto na chwilę w ciemnej celi. Frere i Burgess odnosili się do więzienia niby do oswojonej bestii, której wrodzoną dzikość poskromili dzięki wyższej inteligencji i obecnie mogli z nią robić, co im się podobało. Bezpośrednie zetknięcie młodej i ładnej kobiety z kratami i ryglami stanowiło kontrast odpowiadający gustom tych panów.

Maurycy zaglądał wszędzie, zadawał pytania więźniom, gawędził wesoło z dozorcami i strażnikami, a nawet szczodrość posunął tak daleko, że dawał tytoń chorym.

Zwiedzając po drodze to i owo, towarzystwo dotarło wreszcie do Point Puer, gdzie był przygotowany wystawny obiad. Niestety jednak tego właśnie rana zdarzył się tam nieszczęśliwy przypadek, który zwarzył wszystkim humory. Niepoprawny dwunastoletni złodziejaszek, Peter Brown, skoczył do morza z wysokiej skały i utopił się pod okiem strażników. Takie „wybryki” powtarzały się dość często ostatnimi czasy, ale Burgess szalał ze złości, że podobna historia musiała trafić się owego rana. Gdyby jakimś cudem potrafił tchnąć życie w zwłoki biednego malca, chętnie wychłostałby je porządnie za pogwałcenie dyscypliny. Co za pech, że akurat dziś musiało się to zdarzyć powiedział do Frere'a, gdy przystanęli w celi, gdzie złożono młodocianego samobójcę.

Trudno odrzekł Frere spoglądając surowo na dziecinną twarz, która zdawała się uśmiechać. – Na takie rzeczy nie ma rady. Już ja znam tych małych szatanów. Wszystko gotowi zrobić na złość. Jaką ten miał opinię? Jak najgorszą. Dajcie księgę, Johnson.

336

12

Do/ywatnie

??slanic

337

Dozorca przyniósł księgę i panowie Frere i Burgess mogli zobaczyć kaligraficznie wypisane wykroczenia Browna oraz rejestr jego kar podkreślonych schludnie czerwonym atramentem.

20 listopada. Zakłócenie porządku Dwanaście batów.

24 listopada. Obrza posługacza szpitalnego. Ograniczenie racji żywnościowej. 4 grudnia. Kradzież czapki innego więźnia. Dwanaście batów.

15 grudnia. Nieobecność na apelu. Dwa dni ciemnicy.

23 grudnia. Niesubordynacja. Dwa dni ciemnicy. 8

stycznia. Niesubordynacja. Dwanaście batów. 20

stycznia. Niesubordynacja. Dwanaście batów. 22

lutego. Niesubordynacja. Dwanaście batów i tydzień ciemnicy. 6 marca. Niesubordynacja.

Dwadzieścia batów.

To ostatnia pozycja? zapytał Frere.

Tak jest, panie kapitanie potwierdził Johnson.

A później Brown, ee... to zrobił?

Tak jest, panie kapitanie. Nie inaczej. Tak jest!

Idealny system penitencjarny głodził i torturował dwunastoletnie dziecko, pokąd się nie zabiło. Nie inaczej! Po obiedzie goście zaczęli zwiedzać urządzenia Point Puer. Wszystko przedstawiało się idealnie. Była obszerna klasa, gdzie ludzie pokroju Meekina nauczali, jak to Chrystus miłował małe dzieci. Za budynkiem szkolnym znajdowały się cele i strażnicy, i niewielkie podwórko, na którym

wyliczano dwanaście lub dwadzieścia batów. Sylwia spoglądała ze zgrozą na galerię typów, od dziewiętnastoletniego półgłówka z chmielników Kentu, do wynędzniałego, przebiegłego Cygana, włóczęgi z londyńskich ulic. Na wszystkich krzywo uśmiechniętych lub okraszonych udaną pokorą twarzach malowały się wszelkie odcienie i rodzaje młodzieńczych przestępstw. „Dopuszczcie dziatkom iść do mnie, a nie zakazujcie im, albowiem takowych jest Królestwo Boże” powiedział lub miał powiedzieć twórca obowiązującej nas religii. Ale rząd i parlament miłościwie nam panującej monarchini uczynił wszystko, by dla „takowych” stworzyć na ziemi królestwo szatańskie.

Odegrana została utarta zwyczajem komedia. Dzieci wstawiały i siadały, śpiewały pieśni kościelne, mówiły, ile jest dwa razy pięć i powtarzały, że „wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi”. Później goście zwiedzali warsztaty, oglądali kaplicę i chodzili wszędzie, omijając tylko izbę, gdzie na drewnianej pryczy leżał trup dwunastoletniego Browna spoglądający martwo w więzienny pułap, co dzielił go od kopuły niebios.

Opodal tej właśnie izby Sylwię spotkała dziwna przyгода. Wielebny Meekin odłączył się od towarzystwa, a kiedy Burgess został nagle odwołany w sprawach służbowych, Frere odszedł razem z gospodarzem, zaleciwszy małżonce, by wyczęła trochę na ławce z pięknym widokiem na morze. Siedząc w zadumie pani Frere odczuła nagle czyjaś obecność. Podniosła głowę i zobaczyła przed sobą małego chłopca z czapką w jednej ręce, a młotkiem w drugiej. Coś tragicznego miał w sobie widok drobnej figurki odzianej w zbyt obszerny szary mundur i trzymającej w dziecinnej, wynędzniałej dłoni zbyt ciężki młotek.

Co powiesz, mały? zapytała Sylwia.

Myśleliśmy, pszepani, że go można zobaczyć – odpowiedział chłopiec i wytrzeszczył oczy, zdumiony życzliwym tonem nieznanym.

Kogo chciałeś zobaczyć?

Koślawego Browna, pszepani. Tego, co dziś rano to zrobił. Myśmy z Billem dobrze go znali. To był nasz koleżka. Chcieliśmy zobaczyć, czy ma teraz zadowoloną minę.

O czym ty mówisz, mały? zapytała Sylwia i odczuła nagły, bolesny skurcz serca.

Potem opanowana niezmiernym współczuciem dla chłopca przygarnęła go do siebie i pocałowała ulegając kobiecemu impulsowi. Spojrzał na nią z radosnym zdziwieniem i westchnął cicho. Sylwia obdarzyła go drugim pocałunkiem.

Czy nikt cię nigdy nie całuje, biedaku? – zapytała.

Dawniej matka. Ale ona jest w domu. Oj, pszepani zawołał rumieniąc się mocno. Można zawołać Billa?

338

339

Spojrzenie w młodą, uroczą twarz dodało mu widać odwagi, gdyż odszedł z powagą za występ skalny i przeprowadził drugą drobną figurkę w takim samym szarym mundurze i z takim samym młotkiem.

To Bili, pszepani – powiedział – On nigdy nie znał matki. Niech pani pocałuje Billa.

Młodej mężatce łzy napłynęły do oczu.

Biedne dzieciaki! zawołała i zapominając na chwilę, że jest damą strojną w jedwabie i koronki, uklękła na ziemi i tuląc do siebie nieszczęśliwych malców zapłakała żałośnie nad ich losem.

Płakałaś, Sylwio? zdziwił się Frere, gdy wrócił.

Co cię spotkało?

Nieważnego, Maurycy... Nic... Może zresztą powiem ci przy sposobności.

Wieczorem, gdy zostali sami, opowiedziała o spotkaniu z biednymi dziećmi, ale mąż wybuchnął śmiechem.

Mali cwaniacy! •– powiedział i epitet ten poparł tyłoma przykładami przewrotności młodocianych więźniów, że wbrew jej woli niemal przekonał Sylwię.

Niestety jednak po rozstaniu z nieznaną panią Tom i Bili postanowili zrealizować plan dojrzewający od tygodni w ich biednych małych głowach.

Mogę to teraz zrobić powiedział Tom. Starczy mi siły,

A bardzo będzie boleć? zapytał Bili, mniej z natury odważny.

Nie tak bardzo jak baty.

Boję się! Ach, Tom! Tam jest strasznie głęboko. Boję się! Nie puść mnie tylko, Tom!

Ten odważniejszy zdjął z szyi chustkę i swoją lewą rękę przywiązał do prawej towarzysza.

Teraz nie będę mógł cię puścić powiedział.

Co to mówiła ta pani, co nas całowała? Pamiętasz, Tom?

„Panie, ulituj się nad tymi dwoma sierotami” powtórzył Tom.

Chłopcy uklękli na skraju skalnego urwiska, wzniesli ku górze spętane ręce i spoglądając w niebo wyrzekli: Panie, ulituj się nad nami, dwoma sierotami! Potem ucałowali się i skoczyli w otchłań. Czujne jak zawsze semafony przekazały smutną wiadomość, którą komendant otrzymał w czasie kolacji i tak się przejął, że nie zachował jej dla siebie.

Boże! To ci malcy, z którymi dziś rozmawiałam!

zawołała pani Frere. Ach, Maurycy, te dwa dzieciaki przywieziono do samobójstwa!

Nieszczęśni! Dobrowolnie skazali swoje młode dusze na ogień piekielny – dodał pobożny kapelan.

Wstyd, panie Meekin! Jak pan może tak mówić?

Biedne, nieszczęśliwe sieroty! To przerażające! Zabierz mnie stąd, Maurycy! Zabierz mnie zaraz! i Sylwia wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Nie moja wina, łaskawa pani bąknął zbity z tropu Burgess. Nie mogłem temu zapobiec.

Ona jest bardzo nerwowa – powiedział Frere wyprzedzając żonę z pokoju. Zechciej jej wybaczyć, stary.

No, chodź, kochanie. Położysz się, wypoczniesz.

Nie chcę tu zostać dłużej powiedziała Sylwia.

Jutro wyjedziemy.

To niemożliwe, moja droga.

Możliwe! Możliwe! Maurycy, jeżeli mnie kochasz choć trochę, zabierzesz mnie stąd jutro.

Dobrze. Postaram się ustąpił wzruszony zapewne szczerą rozpaczą żony, a wróciwszy do jadalni zagadnął komendanta: – Wiesz, Burgess, żona okropnie przejęła się tą głupią historią. Koniecznie chce stąd zaraz wyjechać, a ja mam jeszcze zajrzeć na Orli Przesmyk. Jak to urządzić?

Cóż, jeżeli wiatr się nie zmieni, bryg może jutro wypłynąć na Zatokę Piratów i zabrać państwa po drodze.

Musieliście tylko spędzić jedną noc w koszarach.

Myślę, że to najlepsze wyjście. Jutro zatem ruszamy, a teraz, Burgess, byłbym ci bardzo wdzięczny za pióro i atrament.

Mam nadzieję, że jesteś zadowolony – powiedział komendant.

W zupełności odrzekł Frere. Muszę tylko zalecić wzmożony dozór na Point Puer. Nie pozwolimy, by ci mali łajdacy wymykali się nam w taki sposób.

340

341

A żalem do akt urzędowych przybył gładko napisany raport, w którym znalazły się nazwiska Williama Tomkinsa i Tomasza Grove'a. Macklewain sporządził orzeczenie lekarskie i nikt nie kłopotał się więcej o małych samobójców. Któż miałby się wzruszać ich losem? Przecież więzienia londyńskie pełne były takich Tomów i Billów.

Resztę podróży Sylwia odbyła jak w koszmarnym śnie. Tragiczny wypadek z dziećmi wstrząsnął jej nerwami, toteż marzyła o wydostaniu się z miejsc przypominających to zdarzenie. Nawet na Orlim Przesmyku nie zainteresowała jej psiarnia i plaża gładka niby naturalny chodnik. Uprzejmości McNaba były nudne i męczące, a widok spienionej otchłani Diabelskiego Gwizdka budził jedynie grozę. Pani Frere drżała, gdy „pociąg” kapitana Burgessa dudnił po niebezpiecznym torze wijącym się wzdłuż urwistych brzegów zatoki. Pociąg ten składał się z paru niskich wagoników ciągniomych lub popychanych przez zesłańców, którzy wskakiwali na osie przy zjazdach i mozolnie windowali cały pojazd pod górę. Sylwii wstyd było, że istoty ludzkie służą jej za zwierzęta pociągowe, i wzdygała się nerwowo, ilekroć zaświstał bat poganiacza. Ponadto wśród tych zwierząt pociągowych zauważyła twarz, która nawiedzała ją często w dzieciństwie i wczesnej młodości, a dopiero niedawno zniknęła z marzeń sennych. Twarz owa zwracała się ku niej z wyrazem niechęci i pogardy, więc pani Frere była zadowolona, gdy w czasie południowego odpoczynku tego właśnie więźnia odłączono od reszty, aby wraz z czterema innymi zakuć go w kajdany i odesłać z powrotem.

Jak Boga kocham, Laleczko! zawołał Frere. To nasi dawni znajomi: Rex, Dawes i spółka. Burgess nie pozwala im odbyć z nami całej drogi, bo są zbyt niebezpieczni. Mogliby skorzystać ze sposobności i popróbować ucieczki,

Sylwia pojęła wszystko. To była twarz Dawesa. Spojrzała jego śladem i zobaczyła, że wzniosł ręce ku górze gestem, który zbudził w niej przestrasz. Na moment opanowały ją żalose, nieskoordynowane myśli. Usiłowała przypomnieć sobie, jak i kiedy zasłużył na jej litość Rufus Dawes łotr, z którego szponów wydarł ją niegdyś Maurycy.

342

Ale zawodna pamięć nie spełniła zadania i kiedy wagonik minął zakręt, a grupka więźniów zniknęła z jej oczu, młoda kobieta ocknęła się z zadumy i westchnęła ciężko.

Maurycy – zapytała – czemu na widok tego człowieka robi mi się zawsze bardzo smutno?

Frere spojrział na nią posepnie, ale rozchmurzył się niebawem i począł prosić, by zapomniała o tym człowieku i miejscu, i swoich żalach.

Niepotrzebnie uparłem się, żebyś tu przyjechała powiedział następnego dnia rano, kiedy młodzi małżonkowie stali przy relingu zmierzającego do Sydney statku i spoglądali na malujące się w oddali „naturalne miejsce odosobnienia”. – Za mało masz sił na takie podróże.

Daves – powiedział John Rex kochałeś i kochasz tę małą. Dziś zobaczyłeś ją jako cudzą żonę. Służyłeś za bydło robocze, a tamten drugi trzymał ją w ramionach. Dosyć widziałeś i dosyć wycierpiałeś. Może teraz przystałbyś do nas? Rufus odpowiedział jedynie nerwowym gestem.

Posłuchaj dobrej rady -- ciągnął Dandys. – Inaczej

nigdy się stąd nie wydostaniesz. No, bądź mężczyzną, przystań do nas.

Nie.

To twoja jedyna szansa. Dlaczego ją odrzucasz? Czy chcesz gnić tutaj do końca życia?

— Nie chcę współuczucia twojego ani niczyjego i nie przystanę do was.

Rex wzruszył ramionami i dorzucił odchodząc:

Jeżeli myślisz, że skorzystasz coś na tym dochodzeniu, to grubo się mylisz. Już Frere potrafi zakłajstrować całą sprawę.

Była to słuszna opinia. O wynikach dochodzenia nikt nigdy nie usłyszał, tylko w pół roku później wielbny North otrzymał w Paramatcie urzędowe pismo. Dowiedział się z jego treści, że „zgodnie z decyzją głównego inspektora departamentu karnego dalsze dochodzenie w sprawie zgonu więźnia wymienionego na marginesie nie będzie prowadzone, jako bezprzedmiotowe”. Ponadto ktoś o podpisie zupełnie nieczytelnym zapewniał wielbny Northa o głębokim szacunku i „kreślił się jego uniżonym sługą”.

343

XXII Po nitce do

kłębka

Frere przekonał się rychło, że jego piękne nadzieje związane z Sydney nie były płonne. Głośne przygody w Macquarie Harbour, małżeństwo z córką powszechnie szanowanego majora Vickersa i opinia surowego, bezlitosnego dla zesłańców słuźbisty uczyniły zeń znaną osobistość. Bez trudu otrzymał wakujące stanowisko sędziego i zasłynął niebawem dzięki nieubłaganemu stosowaniu dyscypliny i znajomości wszelkich więziennych podstępów i sztuczek. Zesłańcy mówili o nim „ten skurwysyn Frere” i nierzadko ślubowali mu zemstę, na co on odpowiadał lekceważącym śmiechem. Jego charakter i metody sprawowania władzy ilustruje dobitnie następująca anegdota.

Frere miał zwyczaj odwiedzać dwa razy w tygodniu więzienie przy koszarach w Hyde Parku. Naturalnie był wówczas uzbrojony, a rękojeści dwu pistoletów zatkniętych nie dbale za pasem przyciągały na dziedzińcu niejedno tęskne spojrzenie. Jakże łatwo było sięgnąć po broń i zdruzgotać uśmiechniętą, nienawistną gębę tyrana! Ale kapitan odważny do szaleństwa — nie zabezpieczał broni i spacerując z rękami w kieszeni rozpiętej kurtki myśliwskiej odsłaniał pistolety, jak gdyby kusił śmiałków, by próbowali po nie sięgnąć.

Zrobił to pewnego dnia więzień Kavanagh, ujęty zbieg, który z ławy oskarżonych zaprzysiągł śmierć sędziemu. Zbliżył się szybko do przechodzącego dziedzińcem Frere'a i wyrwał mu pistolet z za pasa. Więźniowie skamienieli i dech wstrzymali. Towarzyszący sędziemu strażnik usłyszał trzask odwodzonego kurka i przymknął oczy, jakby się wystraszył, że oślepi go błysk wystrzału. Ale Kavanagh nie wystrzelił! Z palcem na cynglu spojrział w twarz tyrana i napotkał jego zimne, władcze oczy. Wysiłkiem woli mógł łatwo rozproszyć urok. Poruszenie palcem starczało, by znienawidzony wróg padł martwy. Ale Kavanagh pozwolił umknąć stosownej chwili, bo urzekły go nieustraszone oczy. Trzymał niepewnie pistolet, jakby nie wiedział, co z nim zrobić. Więźniowie spoglądali nań zdumieni. Frere stał bez ruchu, nie wyjmując rąk z kieszeni kurtki.

Ładny pistolet, prawda, Jack? odezwał się wreszcie.

Kavanagh, którego pobladła twarz ociekała kroplami potu, roześmiał się ochryple, jak gdyby doznał nieoczekiwa-

nej ulgi.

Spuścił wzrok i pistolet z odwiedzionym kurkiem zatknął za pas sędziego.

Frere bez pośpiechu dobył prawą rękę z kieszeni, ujął pistolet i wymierzył w pierś swojego niedoszłego zabójcy. Zmarnowałeś, Jack, ostatnią szansę powiedział.

Nie trafi ci się druga taka.

Więzień padł na kolana.

Litości, panie kapitanie! krzyknął. —? Litości, przez miłosierdzie Boże!

Frere spojrział z góry na drżącego ze strachu człowieka.

Ostrożnie opuścił kurek pistoletu i roześmiał się drwiąco.

Wstań, kundlu! — powiedział. — Lepszego niż ty trzeba, by dać mi radę. Hawkins, przyprowadzić go do mnie jutro rano. Uczciwie zarobił dwadzieścia pięć.

Kult siły musi być zakorzeniony bardzo głęboko, kiedy bowiem Frere wychodził z dziedzińca, więźniowie poczęli wiwatować na jego cześć.

Jedną z pierwszych czynności Maurycego Frere'a w Sydney było zebranie informacji o Sarze Purfoy. Ku niemałemu zdziwieniu dowiedział się, że jest ona właścicielką dużego domu eksportowego przy Pitt Street, posiada piękną willę nad zatoką, na sięgającym daleko w morze cyplu, i ma podobno rachunek bankowy o pokaźnym saldzie. Kapitan daremnie głowił się nad rozwiązaniem tej zagadki. Jego była kochanka wyjechała z Kraju Van Diemena jako kobieta uboga. Tak przynajmniej mówiła, a prawdziwość jej słów potwierdzały wszelkie pozory. Skąd nagle zdobyła majątek? A przede wszystkim dlaczego ulokowała pieniądze w taki sposób? Sędzia przeprowadził wywiad w bankach, lecz w nagrodę za trudy spotkał się tylko z impertynencją. Bankierzy z Sydney robili w owym czasie różne niezbyt czyste interesy i nie lubili osób zbyt ciekawych.

344

345

Pani Purfoy zgłosiła się do nas odpowiednio wyposażona powiedział z uśmiechem nagabywany dyrektor banku.

Ale skąd wzięła pieniądze? zapytał sędzia.

Takie nagłe fortuny zawsze budzą we mnie podejrzenia. Ta kobieta miała złą opinię w Hobarcie, a wyjechała stamtąd bez pensa.

Drogi panie kapitanie odrzekł przebiegły bankier nie mamy zwyczaju badać przeszłości naszych klientów. Zapewniam pana, że traty pani Purfoy były dobre, bo inaczej na pewno byśmy ich nie honorowali. Do widzenia, drogi kapitanie Frere.

Traty! A więc wszystko zaczyna być jasne. Sara otrzymała zyski z jakichś dawnych łajdactw Johna Rexa. Kapitan przypomniał sobie list do ojca i wzmiankę o pieniądzach „w starym domu przy Blue Anchor Yard”. Zapewne dostała i przywłaszczyła sobie pieniądze wysłane dla kochanka przez jakiegoś pasera. Ale dlaczego ulokowała kapitał w eksporcie tranu i łoju?

Frere nigdy nie ufał Sarze, bo nie rozumiał jej zupełnie, teraz jednak podejrzenia jego wzrosły w dwójnasób. Nie wątpił, że gotuje się jakiś spisek, postanowił więc wykorzystać swoje stanowisko i jak najspieszniej wyjaśnić tajemnicę.

List Rexa adresowany był do kogoś nazwiskiem Blicks, Wobec tego Frere postanowił zbadać, czy pośród zesłańców nikt nie wie o owym Blicksie.

Dochodzenie przeprowadzone z należytą dyskrecją przyniosło wnet odpowiedź. Blicks, londyński paser, znany był kilkunastu podejrzanym typom z Sydney. Uchodził za

człowieka niezmiernie bogatego i chociaż wiele razy stawał przed sądem, nigdy nie był skazany. Informacje te wyjaśniły niewiele, a w kilka miesięcy później zaszło coś, co wzmogło podejrzenia Frere'a.

Wkrótce po objęciu przez kapitana stanowiska sędziego Blunt zgłosił się po nagrodę za wywiezienie Sary Purfoy z Hobartu.

Chodzi mi o ten szkuner, panie kapitanie powiedział wilk morski, kiedy zamknął za sobą drzwi gabinetu Frere'a.

O jaki szkuner?

346

„Franklin”.

Otóż „Franklin” był trzystodwudziestotonowym statkiem i kursował między Sydney i Norfolk, tak jak niegdyś „Rybołów” między Hobartem a Macquarie Harbour.

Obawiam się, Blunt, że trudno będzie – odrzekł

Frere. „Franklin” to chyba najlepszy szkuner rządowy.

Moje wpływy nie starczą, by dostać go dla pana. A zresztą spojrzął krytycznie na petenta jest pan trochę za stary do takiej roboty.

Phineas Blunt szeroko rozłożył ręce i otworzywszy usta błysnął garniturem białych zębów.

Wytrzymam jeszcze dwadzieścia lat powiedział. Mój ojciec po siedemdziesiątce żeglował stale z Indii do kraju i z powrotem. Zdrowie mi dopisuje, chwała Bogu, i nie mam wad, jeżeli nie liczyć, że czasami lubię kropelkę rumu. Ale nie pilno mi, panie kapitanie. Przez miesiąc, może dłużej, nie będę miał zmartwienia. Chciałem tylko odświeżyć trochę pamięć pana kapitana.

Aha. Nie pilno panu. A zatem dokąd się pan wybiera? Cóż...

ee... bąknął wilk morski kręcąc się niespokojnie pod badawczym spojrzeniem Frere'a. – Szykuje mi się zajęcie.

Bardzo jestem rad. Jakie to zajęcie, Blunt? Na wielorybniku – odparł marynarz jeszcze bardziej zбитy z tropu.

Rozumiem. W pańskiej dawnej specjalności. A kto zatrudnia pana teraz?

Ton pytania nie brzmiał podejrzliwie i Blunt mógłby łatwo uniknąć bliższych wyjaśnień. Wolał jednak odpowiedzieć wyraźnie, jakby z góry przygotował się na taką ewentualność.

Pani Purfoy.

Kto? – zawołał Frere nie wierząc własnym uszom. Ona ma teraz dwa statki, panie kapitanie. Na jednym mnie zrobiła szyprem. Mamy szukać trepangów i od czasu do czasu polować na wieloryby.

Frere patrzył na Blunta, ten zaś patrzył w okno. Instynkt szeptał sędziemu, że knuje się coś podejrzanego. Ale zdrowy rozsądek (który zawodzi nas tak często) uspokajał, że sprawa jest zupełnie naturalna.

347

Dlaczego Sara nie miałaby ciągnąć korzyści ze statków wielorybnych? Nie ma w tym nic dziwnego, skoro prowadzi interesy handlowe. W Sydney różnie się dzieje. Ludzie nie lepszego niż Sara pochodzenia bywają nieraz właścicielami kilku statków.

Aha powiedział Frere. Kiedy wychodzi pan w morze?

Z dnia na dzień czekam polecenia odrzekł Blunt z wyraźną ulgą. Dlatego właśnie pomyślałem, że dobrze będzie odwiedzić pana kapitana i zapytać, czy przypadkiem nie trafia się coś dla mnie.

Przez chwilę Frere milczał i bawił się scyzorykiem. Skąd Sara Purfoy wytrzasnęła pieniądze? zapytał wreszcie.

Niech mnie grom spali, jeżeli się domyślam odrzekł wilk morski z nieudawaną prostotą. Powiada, że to jej oszczędności. Ale kto by w to wierzył? Na pewno nie ja. A zatem nic pan nie wie, prawda? podjął Frere nieoczekiwanie surowym tonem.

Nie, panie kapitanie.

Bo jeżeli Sara Purfoy coś knuje, niech się ma na baczności! wrzasnął Frere wpadając w ton, jakim się posługiwał w rozmowie z zesłańcami. Ona mnie zna. Powiedz jej pan, że mam ją na oku. Niech nie zapomina o naszej umowie. Powtórz jej pan to, Blunt. Jeżeli zacznie płać mi jakieś figle, popamięta. Rozumiesz pan, Blunt? W podnieceniu stukał o blat biurka otwartym scyzorykiem, który zatrzasnął się wreszcie i przeciął palec do kości. Wszystko jej powiem – odezwał się Blunt ocierając zroszone potem czoło. – Ale jestem przekonany, że nie knuje niczego przeciw panu kapitanowi. W każdym razie odwiedzę pana kapitana po powrocie. Za drzwiami gabinetu sędziego wilk morski odsapnął z ulgą.

Do stu diabłów! mruknął do siebie porywam się na grę piekielnie ryzykowną. A przypomniawszy sobie rozdrażnienie groźnego Frere'a dodał: I tylko jedna kobieta w świecie mogła mnie tak ogłupić.

Dręczony niepokojem i podejrzeniami Frere kazał po południu osiodłać konia i pojechał zobaczyć willę zakupioną niedawno przez właścicielkę „Domu Handlowego Purfoy”. Łatwo odnalazł biały budynek położony o cztery mile od miasta, na długim cyplu sięgającym daleko w zatokę. Starannie utrzymany ogród oddzielał ów dom od drogi, a w ogrodzie jakiś mężczyzna kopał pracowicie. Czy tutaj mieszka pani Purfoy? zapytał Frere popychając żelazną furtkę.

Ogrodnik odpowiedział twierdząco i zmierzył gościa nieufnym spojrzeniem.

Zastałem ją?

Nie.

Na pewno?

Jak pan nie wierzy, można zapytać w domu padła mało uprzejma odpowiedź, po której tonie Frere poznał człowieka wolnego.

Wprowadził konia przez furtkę i ruszył pieszo szeroką, pięknie żwirowaną aleją. Służący w liberii zjawił się na dzwonek, powiedział, że pani wyjechała do miasta, i zatrzasnął drzwi przed nosem gościa. Frere zdziwił się tym oczywistym dowodem niezależności i przez moment stał na podjeździe niezdecydowany, zły i niemal skłonny wtargnąć do domu mimo opozycji. Potem rozejrzał się dokoła i w przerwie między drzewami zobaczył maszty brygu stojącego na kotwicy opodal cypla, na którym znajdowała się posiadłość Sary.

A zatem willa dysponowała komunikacją zarówno lądową, jak morską! Czy położenie takie zostało obrane celowo, czy też było dziełem przypadku? Sędzia czuł się niepewnie, próbował jednak stłumić niepokój.

Jak dotąd Sara dotrzymywała warunków umowy. Mogła przecież wkroczyć na inną, uczciwszą drogę. Czemu więc szukać zła tam, gdzie go zapewne nie ma? Blunt to człowiek niewątpliwie przyzwoity i szczery. A Sara? Cóż, kobiety jej pokroju często dochodzą do jakiejś takiej fortuny i w późniejszym wieku kultywują cnoty domowe. Zresztą dom, ogród,

ten bryg stojący na kotwicy i „Dom Handlowy Purfoy” mogą należeć w istocie do jakiegoś zamożnego kupca. Czy warto niepokoić się podejrzeniami bez podstaw?

Wytrawny znawca psychologii zesłańców i więziennej dyscypliny nie doceniał jednak zdolności Johna Rexa.

348

349

W chwili gdy usłyszał dożywotni wyrok, Dandys postanowił uciec i od tej pory logicznie i bez skrupułów obmyślał najskuteczniejsze metody wprowadzenia w czyn zamierzeń. Przede wszystkim zatroszczył się o pieniądze. Pisząc do Blicksa sądził, że je zdobędzie, kiedy jednak dowiedział się od Meekina o losie swojego listu, musiał poszukać innej, mniej dla siebie miłej drogi; pośrednictwa Sary Purfoy.

John Rex człowiek bezwzględny i niezdolny do wdzięczności nie kochał kobiety, która była doń bezgranicznie przywiązana, podążyła za nim na koniec świata i za cel życia uważała przywrócenie mu wolności. Pociągała go jej uroda w czasie, kiedy jako pan Lionel Crofton grasował pośród londyńskich birbantów. Inteligencja i lojalność stanowiły cechy drugorzędne, przydatne u współpracownicy, lecz nie decydujące zgoła o wyborze. W ciągu dwunastu lat od dnia, gdy przez własną nieostrożność został ujęty w domu fałszerza monet Greena, nie dręczył go przesadny niepokój o losy kochanki. Prawdę rzekłszy, zobaczył i wycierpiał tak wiele, że dawne życie utraciło wszelkie znaczenie. Kiedy po niefortunnym powrocie do Hobartu usłyszał, że Sara mieszka tam nadal, ucieszył się, gdyż zyskał gotową na wszystko sojuszniczkę, która na „Malabarze” pokazała, co potrafi. Zarazem jednak był niezadowolony, bo wiedział, że ceną, jakiej Sara zażąda za oddane przysługi, będzie miłość miłość wygasła w nim już od dawna. Po niedługim wahaniu zdecydował, że wykorzysta tę kobietę, a gdyby później okazała się zbyt kłopotliwa, wynajdzie jakiś sposób, by się jej pozbyć.

Ostentacyjna pobożność osiągnęła w niedługim czasie swój cel. Mimo zdemaskowania przez Frere'a Dandys potrafił odzyskać zaufanie Meekina i wrzucił naiwnego kapelana dziwną i smutną historią. Jest synem anglikańskiego pastora, którego prawdziwego nazwiska nie wyjawiałby za nic na świecie, ponieważ stan duchowny darzy zbyt wielkim respektem. Skazany został na deportację za fałszerstwo, którego się nie dopuścił. Sara Purfoy jest jego żoną zbłąkaną, grzeszną, lecz mimo wszystko ukochaną żoną. Czysta niegdyś i ufna wobec świata, nie zapomniała ślubów złożonych przed ołtarzem i postanowiła towarzyszyć mężowi na obczyźnie. W tym celu przyjęła miejsce pokojowej u pani Vickers. Niestety, tyfus powalił męża na łożo boleści, a Maurycy Frere – rozpustnik i łajdak – skorzystał z okazji i skrzywdził zrozwaloną młodą żonę. Rex dawał do zrozumienia, że atakując cnotę biednej Sary uwodziciel posługiwał się nieszczelną bronią, gdyż twierdził, że chory, bezbronny zesłaniec zdany jest całkowicie na jego łaskę i niełaskę.

Poczcivi Meekin przeraził się, zgorszył i byłby niemal skłonny udzielić admonicji pewnemu sobie zięciowi majora Vickersa, gdyby „cała ta historia nie wydarzyła się tak bardzo dawno”.

Dziś nie życząc mu źle, proszę wielobnego księdza pastora ciągnął Rex. – Ale dawniej czułem całkiem inaczej. Był czas, że zabiłbym go z radością. Kiedy jednak wpadł w moje ręce, o czym wielobnemu księdzu pastorowi wiadomo, nie potrafiłem zadać śmiertelnego ciosu. Nie

jestem zdolny do morderstwa.

To słuszne stanowisko -- pochwalił Meekin. - Nad wyraz słuszne, dobry człowieku.

Bóg Wszechmogący ukarze go, jak i kiedy zechce.

Największą moją troską, proszę wielbnego księdza pastora, jest ta nieszczęśliwa kobieta. Mieszka obecnie w Sydney i, jak słyszałem, żyje uczciwie. Serce wyrywa mi się do niej, proszę wielbnego księdza pastora. - Rex zakończył te słowa westchnieniem, dzięki któremu mógłby zrobić karierę na deskach scenicznych.

Współczuję ci, dobry człowieku powiedział kapelan. Czy masz jej adres?

Tak, proszę wielbnego księdza pastora. - Możesz do niej napisać.

Dandys westchnął znowu. Zdawać się mogło, że przez moment toczy walkę wewnętrzną, aby wreszcie powziąć ważką decyzję.

Nie, proszę wielbnego księdza pastora. Nie napiszę. Dlaczego?

Wielebny ksiądz pastor zna regulamin, prawda?

Komendant czyta wszystkie listy. Nie potrafię napisać do mojej biednej Sary czegoś, co będą oglądały obce oczy powiedział Rex i spojrzał przenikliwie na pastora.

350

351

Ta-ak... Sądzę, że masz słuszność przyznał po chwili Meekin.

Niewątpliwie zakończył Rex i smutno zwiesił głowę na pierś.

Dnia następnego Meekin znowu odwiedził protegowanego i powiedział zażenowany świadomością, że dopuszcza się wykroczenia:

Posłuchaj, Rex. Jeżeli obiecasz, że nie napiszesz nic, czego komendant nie mógłby wiedzieć, ja wyślę twój list do żony.

Niech Bóg błogosławi wielbnemu księdzu pastrowi! zawołał Rex i następne dwa dni poświęcił na pisanie listu, który miał pouczyć Sarę Purfoy, jak postępować należy.

Było to arcydzieło w swoim rodzaju. Więzień wyłożył wszystko zwięźle i jasno. Nie pominął niczego, co mogłoby być przydatne. Nie pozwolił sobie na ani jedno zbędne słowo. Przejrzyście i z prostotą przedstawił rezultaty sześciomiesięcznych medytacji. Epistołę tę podał nie zapieczętowaną kapelanowi, ten zaś spojrzał na nią ciekawie i nieco podejrzliwie.

Ręczysz słowem, że nie ma tułaj nic, czego komendant nie mógłby zobaczyć? zapytał.

John Rex był odważny, lecz na widok śmiertelnie niebezpiecznego listu w rękach zacnego duszpasterza kolana się pod nim ugięły. Nie miał wszakże wyboru. Znał naturę ludzką i pragnął doprowadzić do końca ryzykowny plan.

Niech wielbny ksiądz pastor sam przeczyta powiedział z mocą. Wiem, że jest pan dżentelmenem. Ufam panu.

Nie, Rex odrzekł Meekin, z godnością wpadając w sidła. Ja nie czytuję cudzej prywatnej korespondencji. List został zapieczętowany i Dandys poczuł się tak, jakby gasł lont nad beczką prochu.

W miesiąc później wielbny Meekin dostał pięknie zredagowaną odpowiedź od „Sary Rex”. Nieszczęśliwa kobieta dziękowała mu za niezwykłą dobroć i prosiła, by załączoną kopertę zechciał doręczyć jej mężowi lub (jeżeli jest to sprzeczne z obowiązującymi przepisami) zwrócił ją nie

otwartą. Naturalnie kapelan oddał list Rexowi, ten zaś pokazał mu i przeczytał dnia następnego elaborat niezmiernie wzruszający i pobożny. Meekin uspokoił się zupełnie, nie wiedział bowiem, że przesyłka zawierała również kartkę przeznaczoną wyłącznie dla adresata. Ten drugi list miał tak znaczną wagę, że Dandys zjadł go po uważnym kilkakrotnym przestudiowaniu.

W gruncie rzeczy plan ucieczki był zupełnie prosty. Sara Purfoy miała wydostać zdeponowane u Blicksa pieniądze, a następnie ulokować je w jakimkolwiek przedsiębiorstwie, dzięki któremu mogłaby – nie budząc podejrzeń – mieć statek żeglujący koło południowych wybrzeży Kraju Van Diemena. Ucieczka winna odbyć się w miesiącach zimowych, najlepiej w czerwcu albo lipcu. Statek musi prowadzić szyper godny zaufania, który będzie często lądował na południowo-wschodnim wybrzeżu i pilnie baczył na wszelkie niezwykłe znaki. Ze strażnikami i psami Rex upora się oczywiście bez pomocy z zewnątrz.

Plan wygląda na szalony pisał Dandys ale jest rozumniejszy, niż się zdaje. Przemyślałem i odrzuciłem kilkanaście innych. Pozostał tylko ten. Zastanów się nad nim dobrze. Wiem, jak stąd umknąć, i wszystko pójdzie łatwo, jeżeli pomoc będzie pod ręką. Najważniejsza kwestia to zaufany szyper statku, ale odpowiedniego człowieka na pewno znasz, i to niejednego. Poczekam półtora roku, żeby dać ci czas na przygotowania.

Wyznaczony termin dobiegał obecnie końca i zbliżał się czas ryzykownej próby. Wierny swojej bezwzględnej filozofii, John Rex postarał się o kozły ofiarne, które miały drogo zapłacić za jego ocalenie. Od dawna wiedział, że pośród dwudziestu pracujących razem z nim więźniów ośmiu przemyśliwa o ucieczce. Byli to: Gabbett, Vetch, Bodenham, Cornelius, Greenhill, Sanders, Cox i Travers. Na czele spisku stali Vetch i Gabbett, który z należytych respektem zwrócił się do Dandysa, proponując mu współuczestnictwo. Rex podejrzliwy z natury – zaniepokoił się uprzejmościami olbrzyma, odmówił więc zrazu, ale po pewnym czasie ustąpił niby to niechętnie i pozwolił się wciągnąć. Sądził, że dobrze będzie pomóc owym ludziom w realizowaniu ich zamierzeń,

352

23

Do7.vwot.nic

zesłanie

353

a następnie czmychnąć niepostrzeżenie, korzystając i zamieszania wywołanego ucieczką ośmiu więźniów.

„Cała wyspa będzie szukać tych głupków, a ja tymczasem zniknę jak kamfora” myślał z zadowoleniem.

Mimo wszystko jednak chciał mieć towarzysza, kogoś odważnego i silnego, kto w razie biedy odwróci się i zatrzyma pościg, jemu zaś da szansę ratunku. Na takiego kompana--ofiara upatrzył i wybrał Rufusa Dawesa. Z początku jał mu schlebiać i podsuwać myśl o ucieczce z pobudek wyłącznie samolubnych. Niebawem jednak dumny upór, z jakim Rufus Dawes odtrącał wszelkie awanse, zrodził coś w rodzaju sympatii. John Rex – łotr i wnikliwy badacz natury człowieczej wyczuł pod szorstką, narzuconą przez męki powłoką charakter nieugięty i szlachetny oraz materiał na wiernego przyjaciela. Ponadto Rufus Dawes krył jakąś tajemnicę, którą znawca serc ludzkich gorąco pragnął zgłębić.

Nie masz rodziny, przyjaciół? Nie masz nikogo, kogo chciałbyś zobaczyć? zapytał pewnego wieczora, gdy Dawes był szczególnie głuchy na wszelkie pokusy.

Nie padła posępna odpowiedź wszyscy przyjaciele umarli dla mnie.

Wszyscy? Przecież każdy ma kogoś, kogo pragnąłby zobaczyć.

Rufus roześmiał się głucho, ponuro.

Mnie tu najlepiej.

Jak to? Zadowolony jesteś z tego psiego życia? Daj spokój, Rex. Mnie nie namówisz. Nonsens! Otrząśnij się,

Dawes. Nabierz ducha. Mój plan musi się udać!

Rozumiesz? Myślę nad nim od półtora roku. Wiem, że nie może nawalić.

Kto z tobą idzie? zapytał Dawes nie podnosząc wzroku.

Spojrzał na Rexa dopiero wówczas, gdy usłyszał osiem nazwisk,

Ja nie pójdę! wzdrygnął się na upiorne wspomnienie tego, co widział niegdyś w zalanym słonecznym blaskiem jarze opodal Bramy Piekieł. Dwukrotnie widziałem, jak to było z ucieczkami. Mam doświadczenie. Trzeci raz nie chcę sam próbować. I tobie nie radzę.

Dlaczego?

Gabbett uciekał dwa razy. Miał współników, ale wracał zawsze sam.

Co ty gadasz? –? zawołał zbity z tropu Rex.

Powiedz, co się stało z tamtymi!

Nie wiem. Chyba pomarli roześmiał się nienaturalnie Rex.

Oczywiście. Ale jak? Nie mieli przecież żywności.

Jakim cudem ten potwór mógł wytrzymać sześć tygodni?

Dandys zbladł i nie odpowiedział. Przypomniał sobie ponure, krwawe legendy o niesłychanych powrotach Gabbetta. Nie zamierzał jednak odbyć wędrówki w jego towarzystwie, nie miał więc powodu do obaw.

W takim razie chodź tylko ze mną podjął wreszcie.

We dwóch spróbujemy szczęścia.

Nie. Moje postanowienie jest ostateczne. Zostanę tutaj.

I nie dowiedziesz nigdy, że cierpisz niewinnie?

Jak tego dowieść?! wybuchnął spokojny dotąd

Dawes. Są zbrodnie, o których prawda nigdy nie wyjdzie na światło dzienne. Tak musi być i ze mną, rozumiesz?

Mniej więcej... Ty wiesz najlepiej, co o tym sądzić.

Może masz rację. Ja sam szukałem kiedyś wiatru w polu.

Cztery miesiące zmarnowałem, by rozwikłać jedną tajemnicę, i w końcu zgubiłem ślady. Chodziło wtedy o syna pewnego budowniczego okrętów.

O syna budowniczego okrętów! – zawołał Dawes.

Któż to był taki?

John Rex zdziwił się nagłemu zainteresowaniu odludka i umilkł na moment. Niebawem jednak skorzystał ze sposobności podtrzymania rozmowy.

To była dziwna historia podjął przypominając sobie dawne dobre czasy. Różne miałem zajęcia. Bawiłem się też trochę w prywatnego detektywa. Jednego razu zgłosił się do mnie budowniczy okrętów, facet bardzo w owe lata znany, taki stary kutwa, sir Ryszard Devine.

Rufus przygryzł wargi, żeby nie krzyknąć. Drugi raz jako więzień usłyszał nazwisko swojego domniemanego ojca.

Coś sobie przypominam powiedział głosem, który wydał mu się dziwnie opanowany i chłodny.

354

355

Stary miał syna, jak to się mów; , marnotrawnego ciągnął Dandys. Chłopak dał nogę za granicę i coś tam

strasznie broił. Staremu zależało na dokładnych informacjach. Dlatego do mnie przyszedł.

Zdobyłeś te informacje?

Niezupełnie. Tropiłem chłopca z Paryża do Brukseli, z Brukseli do Antwerpii, a potem znowu z Antwerpii do Paryża. Tam ślad zgubiłem. Marnie skończyła się trudna czteromiesięczna robota. Zdobyłem tylko walizę pełną listów od matki młodego hultaja. Zebrane wiadomości posłałem staremu. Myślę, że go zabiły złe nowiny, bo wkrótce umarł.

A jego syn?

To właśnie najdziwniejsza historia. Stary zostawił mu majątek, o ile mi wiadomo, bardzo pokaźny. Ale on wyjechał z Europy, zdaje się do Indii, i zginął na „Hydaspesie”. Frere to jego bliski kuzyn.

Aha.

Jak Boga kocham, jeszcze dziś złość mnie bierze! ciągnął Rex przeżywając we wspomnieniach dawne awanturnicze przygody. – Środki miałem prawie nieograniczone, a tak mi się nie wiodło. Po całych dniach i nocach wałęsałem się, żeby przyłapać tego Ryszarda Devine'a, i nie widziałem go nigdy. Stary opisał mi dokładnie całą historię syna, dał mi jego miniaturę. Nosiłem na piersi ten medalion z kości słoniowej i przez trzy miesiące zerkałem na niego co pół godziny, żeby odświeżyć pamięć. Jeżeli młody džentelmen jest podobny do portretu, jak Boga kocham, mógłbym zeznać pod przysięgą, że to on, gdybym przypadkiem spotkał go bodaj w Timbuktu.

Poznałbyś go i teraz? zapytał cicho Dawes, odwracając twarz.

Zapewne ów ruch głowy albo też zdławiony ton pytania na temat pozornie obojętny i daleki zwrócił uwagę Rexa i myśl jego skłonił do błyskawicznej, zdumiewającej syntezy. Syn marnotrawny – podobieństwo miniatury tajemnica spowijająca życie Rufusa Dawesa. Połączyły się elementy łańcucha galwanicznego. Powstał obwód zamknięty i nastąpiło olśnienie:

OTO MÓJ CZŁOWIEK!

W tej chwili starszy dozorca Troke podszedł i dotknawszy ramienia Rexa powiedział:

Chodź, Dawes. Jesteś potrzebny na dziedzińcu

a poznawszy swoją omyłkę dodał z uśmiechem: – Bodaj was licho! Tacyście podobni do siebie, że człowiek wciąż się rnyli.

Rufus odszedł z obojętną miną, ale Rex pobladł i serce zabiło w nim mocno.

„Na Boga! Troke ma rację pomyślał. Jesteśmy do siebie diabelnie podobni. Tak... Nie będę go więcej namawiał do wspólnej ucieczki”.

XXIII

Ryzykowna próba

„Śliczna Mary” najbrzydsza i najbardziej smrodliwa krypa, jaka żeglowała po morzach południowych myskowała od blisko trzech tygodni w sąsiedztwie przylądka Surville. Kapitan Blunt zaczynał mieć tego dosyć. Nie szczenił starań, by znaleźć ławicę ostryg, której ostentacyjnie szukał, lecz fortuna nie sprzyjała jego poczynaniom. Daremnie zapuszczał się łodzią we wszystkie mniejsze i większe zatoczki. Daremnie podprowadzał „Śliczną Mary” do zębanych raf i odbywał samotne wycieczki na wybrzeża. Daremnie (w przesadnej trosce o interesy pani Purfoy) wspinał się na strome skały i raz po raz sondował wody Zatoki Blackmana. Nie mógł jakoś natrafić na ani jedną ostrygę.

Jeżeli nic nie znajdziemy w ciągu trzech albo czterech dni powiedział swojemu zastępcy -- będziemy wracać. Żegluga tutaj jest bardzo niebezpieczna. I tego samego wieczora, kiedy kapitan Blunt oznajmił o zamierzonym powrocie, telegrafista z posterunku zwanego po prostu Stacją Sygnałową zobaczył, że ramiona semafora zamstalowanego w kolonii zaczynają się poruszać.

356

357

Każdy semafor miał trzy ramiona umieszczone jedno nad drugim. Górne podawało jednostki od jednego do sześciu: środkowe dziesiątki - od dziesięciu do sześćdziesięciu; dolne setki od stu do sześciuset.

Tym razem zawirowały górne i dolne ramiona. Telegrafista odczytał trzysta sześć. Potem odezwał się jeden dzwon. Oznaczało to tysiąc. A zatem podano liczbę 1306, co po rozszyfrowaniu znaczyło: „Więźniowie zbiegli”.

Jak Boga kocham, Harry! zawołał telegrafista

Jones. - Ktoś dał drapaka.

Semafor z kolonii zaczął znowu pracować i podał liczbę 1411.

Zbronia! przetłumaczył z miejsca Jones. Chodź no tu, Harry, bo może być gorąco.

Ale Harry nie odpowiedział, a kiedy Jones otworzył drzwi swojej kabiny, żeby wyjrzeć na schody, zobaczył ciemną postać. Wychwalany semafor zawiódł tym razem: zbiegowie uprzedzili wiadomość o swojej ucieczce! Telegrafista sięgnął po karabin, lecz intruz zdążył go ubiec.

Nie warto się stawiać, Jones powiedział. Jest nas ośmiu. Bądź lepiej łaskaw zająć się semaforem.

Jones poznał głos Johna Rexa.

No odpowiadaj! Prędko ciągnął ten ostatni. Nie widzisz, że kapitanowi Burgessowi bardzo pilno? Istotnie, ramiona semafora z kolonii gestykulowały z komicznie poważnym pośpiechem.

Jones ujął linki i otworzył księgę szyfrów. Zamierzał potwierdzić telegram, ale Rex go powstrzymał.

Nie, Jones! - rzucił szorstko. Podaj: „Nie widziani. Wiadomość przekazano Orlemu Przesmykowi”.

Telegrafista zawahał się na moment. Był również zęśłańcem, pomyślał wiec, że nie uniknie chłosty, jeżeli w bład wprowadzi władze.

Jak się to wyda... -- zaczął.

Rex odwiódł kurek karabinu i spojrzał tak wymownie, że Jones przestał się namyślać i jał sygnalizować z zapalem. Na dole rozległ się szczęk metalu i ktoś zapytał głośno:

Co tak marudzisz, Dandys? Nic się nie stało?

Nie. Wszystko w porządku. Pozbądźcie się kajdanów, chłopcy, potem pogadamy. Na razie próbuję dać kopniaka w zadek staremu Burgessowi.

Żartowi zawtórował wybuch śmiechu, a Jones, wyjrząwszy z okna kabiny, zobaczył kilku mężczyzn rozkuwających łańcuchy młotem zabranym z wartowni. Dwaj już uwolnieni zlewali stos alarmowy kubłami wody. Opodal leżał związany należycie strażnik.

A teraz ?--? rzucił Rex uległemu Jonesowi - podaj wiadomość dla Wyspy Leśnej. „Ucieczka z kopalni. Uważać na Punkt Trzynasty, przekazać Orlemu Przesmykowi”.

Ruszaj się!

Telegrafista zrozumiał manewr polegający na odwróceniu uwagi od przesmyku, począł wiec pracować ze złośliwym uśmiecchem.

Cwaniak z ciebie, Rex powiedział wreszcie. Rex podziękował za komplement odwodząc ponownie kurek karabinu.

Ręce do góry! rozkazał. Jemmy Vetch!

Słucham – odpowiedział z dołu Świeca.

Chodź tutaj związać naszego przyjaciela Jonesa.

Gabbett! Znalazłeś siekiery?

Tylko jedną – odrzekł olbrzym i zaklął paskudnie.

No to bierz ją i całe żarcie, jakie ci w ręce wpadnie.

Strażnik porządnie związany? Dobrze. No, idziemy.

Nim upłynęło pięć minut od chwili, gdy Harry został nagle napadnięty przez dwie postacie, co wychynęły z cienia koło wartowni, Stacja Sygnałowa opustoszała.

W kolonii Burgess pienił się ze złości. Dziewięciu więźniów opanowało łódź na zatoce i zbiegło uprzedzając alarm!

To przecież przypadek bez precedensu! Co robił starszy dozorca Troke? Ale Troke – odnaleziony w osiem godzin później, bez broni, w pętach i z kneblem w ustach nie był

winien niedbalstwa. Skąd mógł wiedzieć, że na znak

Dandysa skoczy na niego dziewięciu więźniów, których

eskortował do lasu? Że buntownicy zwiążą go jak

prosiaka, zanim zdąży wyciągnąć pistolet? Najgorszy z

całej bandy, Rufus Dawes, zgłosił się tego dnia na ochot-

nika do zniechęconej przez wszystkich pracy przy wbi-

janiu pali falochronu. Wobec tego Troke czuł się pewnie.

358

359

Nie odgadł, biedak, że właśnie ten „niepoprawny” odmówił

udziału w spisku.

Strażnicy piesi i konni zostali wysiani do pobliskiego

buszu, a że Stacja Sygnałowa potwierdziła przekazanie

alarmu na Przesmyk Orli, Burgess był pewien rychłego ujęcia

zbiegów. Poleciał tylko, by semafony pracowały nadal, i po-

szedł do siebie na kolację. Ledwie jednak służący zdążył

sprzątnąć zupę, zaczęły się objawiać skutki pomysłowej

roboty Rexa.

Semafory Stacji Sygnałowej przestał funkcjonować.

Może ci durnie źle widzą o zmroku powiedział

komendant. Zapalić stos alarmowy i dawać mi konia!

Zapalono stos alarmowy. Odpowiedziały inne punkty.

Ku zachodowi linia działała bez zarzutu. Ale na Stacji

Sygnałowej było nadal ciemno.

Burgess wpadł w istną furię.

Przygotować szalupy! I przez kopalnię przekazać

alarm na Wyspę Leśną!

Kiedy komendant stanął na niewielkim molo, nadbiegł

zdyszany strażnik ze smutnymi nowinami:

Szalupy odpłynęły do Punktu Trzynastego. Z Orlego

Przesmyku wysłano tam również pięciu ludzi, zgodnie

z otrzymanym rozkazem.

Burgess zrozumiał grę. Zbiegowie osłabili wartę na

przesmyku! Skoczył do swojej łodzi i zakomenderował:

Odbijaj! Żywo!

Łódź wystrzeliła w ciemność spowijającą już zatokę.

Tak czy inaczej niewiele mnie wyprzedzą mruknął

do siebie komendant.

Między Orlim Przesmykiem a Stacją Sygnałową groziły

zbiegom różne niebezpieczeństwa. Wzdłuż wybrzeża znaj-

dowały się tam cztery posterunki strażnicze rozmieszczone

tak, że mogły porozumiewać się ze sobą. Ominąć je można

było tylko nadkładając drogi przez zarośla. John Rex nie

chciał tracić czasu, rozumiał jednak, że zaatakowanie poste-

runków równałoby się zgubie. Z drugiej strony powodzenie

przedsięwzięcia zależało od tego, czy zbiegowie dotrą do

Orlego Przesmyku w czasie, gdy warta będzie jeszcze osłabiona liczebnie i nie uprzedzona o fałszywym alarmie. Wobec
360

tęgo Dandys postanowił porzucić drogę w pobliżu zatoki Norfolk i rzędem ruszyć na przełaj ku przesmykowi. Po zmierzchu zerwał się silny zachodni wiatr wróżący ulewę. W nieprzeniknionych ciemnościach drogowskazem dla zbiegów był tylko głuchy łoskot fal szturmujących brzegi. Pierwszy w rzędzie szedł Świeca z karabinem odebrany Harry'emu, za nim Gabbett z siekierą. Dalej postępowało sześciu zbiegów obciążonych zdobytymi zapasami żywności. Pochód zamykał John Rex uzbrojony w karabin i pistolety Troke'a.

Ustalono z góry, że w krytycznej sytuacji każdy będzie umykał w swoją stronę, gdyż w tym przypadku rozproszenie stanowiło siłę. Od czasu do czasu zbiegowie dostrzegali światła posterunków strażniczych, coraz wyraźniej też słyszeli pomruk morza, za którym czekała wolność albo śmierć. Po blisko dwugodzinnym uciążliwym marszu Jemmy Vetch zatrzymał się i szepnął, by inni doń podeszli. Stanęli na stoku piaszczystej wydmy. Po lewej stronie widzieli ciemny zarys baraku wartowniczego, po prawej białą linię fal rozbijających się na piaskach plaży. Przed sobą mieli szereg słupów z latarniami, a między nimi poruszały się żywo niewielkie ciemne sylwetki. Świeca wskazał je chudym palcem.

Psy – powiedział.

Wszyscy cofnęli się instynktownie, jakby przejęci strachem, że z tak znacznej odległości mogą ich dostrzec obaj wartownicy, widoczni dobrze w czerwonym świetle ogniska płonącego przed barakiem.

No i co robimy, szefie? zwrócił się Gabbett do Rexa. W tej chwili jeden z uwięzanych brytanów począł ujadać, a odpowiedział mu chór psiarni.

John Rex – najodważniejszy zapewne z całej bandy wzdrygnął się nerwowo.

Zwietrzyły nas – powiedział. Nie ma rady.

Musimy zacząć.

Gabbett popluł w garść i mocniej ujął siekierę.

Racja – przyznał. – Już ja naznaczę jednego z tych kundli.

Po drugiej stronie przesmyku mignęły światła. Zbiegowie usłyszeli odgłos spiesznych kroków.

361

Wszyscy na prawy koniec nadbrzeża rozkazał szeptem Rex. -- Zdaje się, widać tam łódź. To nasza jedyna szansa, bo nie przejdziemy siłą. Gotów? Razem! Naprzód! Gabbett wyprzedził resztę towarzyszy o trzy kroki. Psów było jedenaście. Dwa z nich przywiązano do pali wbitych w wodę, a wszystkie rozmieszczono tak, że zamykały kordon. Olbrzym rozplątał siekierą łeb bestii, która rzuciła się nań z prawej strony, ale w tej chwili drugi brytan chwycił go za lewe udo.

Ognia! -- zabrzmiał za linią latarni głos McNaba.

Olbrzym wrzasnął z bólu i wściekłości i zwałił się na psa, który szarpał go kłami. Przeznaczona dlań kula trafiła w szczękę Traversa. Ranny ryknął okropnie i padł (niby Dares Wergiliusza) „rzygając krwią, zębami i kłatwy”. Gabbett ścisnął żelazną dłonią grdykę brytana i zmusił go do rozluźnienia chwytu. Potem skoczył z siekierą w ręce ku najbliższemu żołnierzowi. Uprzedził go jednak Jemmy Vetch, który dał ognia i trafił w pierś wartownika. Inni rzucili się w lukę powstałą w kordonie i co tchu pobiegli do łodzi. Głupcy! zawołał z tyłu John Rex. Zmarnowaliście

ładunek. Spójrzcie w lewo!

Burgess nie tracił czasu. Na Stacji Sygnałowej uwolnił tylko swoich ludzi z więzów, a następnie zmienił łódź na Wyspie Leśnej i z nową załogą pospieszył na odsiecz.

W chwili gdy padło ostrzeżenie Rexa, łódź kapitana była 0
dziesięć jardów od nadbrzeża.

Świeca jak należy ocenił niebezpieczeństwo. Skoczył do wody i uczepił się rozpaczliwie burty łodzi McNaba.

Za mną, jeśli wam życie miłe! wrzasnął. Dokoła zbiegów kule poczęły siec wodę, ale w ciemności salwa warty nie była groźna. Gabben wydzwignął się na rufę łodzi 1
chwycił wiosło.

Odpychać! Odpychać! Cox! Bodenham! Greenhill!

Skacz, Tom! Skacz!

Kiedy Burgess stanął na ładzie, do welbotu kołyszącego się już na głębinie wciągnano Corneliusa.

Widząc to McNab pospieszył z pomocą komendantowi.

Łódź do góry! Przez przesmyk! wrzasnął. Razem, chłopcy! Mocno!

Dwanaście krzepkich ramion uniosło szalupę i jęło wlec ją po piasku.

Mamy pięć minut przewagi powiedział Vetch

patrzac, jak Burgess zajmuje miejsce na rufie swojego czółna.

Do wiosła, zuchy! Postarajcie się, a jeszcze ich wyprzedzimy!

Żołnierze dawali ognia z przesmyku, ale błysk wystrzałów wskazywał tylko, że łódź pościgowa znajduje się o co najmniej sto jardów za welbotem zbiegów, który pruł już głęboką wodę Zatoki Piratów.

Wówczas dopiero sześciu zbiegów uprzytomniło sobie, że nie ma pośród nich Johna Rexa.

XXIV

W nocy

Dandys wprowadził w czyn pierwszą część swojego planu. Kiedy zobaczył łódź Burgessa, ostrzegł krzykiem towarzyszy, a następnie zawrócił i podbiegł na brzeg morza w niejakiej odległości od przesmyku. Miał nadzieję, że cała uwaga pościgu skoncentruje się na umykającym welbocie, wobec czego on zdoła dostać się wpław na półwysep. Nie było to zadanie szczególnie trudne, a Rex wierzył we własne siły i dobrze wiedział, co robić z chwilą, gdy znajdzie się na półwyspie. Musiał jednak odejść w kierunku południowym tak daleko, by prąd wywołany silnym zachodnim wiatrem pomagał, a nie przeszkadzał mu płynąć. Z tą myślą biegł przez piaszczyste wydmy u nasady przesmyku i niebawem poczuł pod stopami ubity piasek plaży. Tam przystanął, aby posłuchać, co się dzieje, i złowił uchem odgłos szybkich kroków. Ktoś ścigał go niewątpliwie! Nagle kroki ucichły i jakiś głos zawołał:

Stój! Poddaj się!

Był to McNab, który zauważywszy ucieczkę Rexa pospieszył za nim śmiało. Dandys dobył zza pazuchy pistolet Troke'a. Czekał.

362

363

Poddaj się! powtórzył McNab ? zbliży! się o dwa kroki. Rex podniósł rękę z pistoletem, lecz w tej chwili błyskawica rozjaśniła niebo i przedstawiła upiorny widok. Niesamowicie jasne fale unosiły dwie łodzie, ściganą i ścigającą. Ta ostatnia zdawała się odległa ledwie o kilka kroków, a ludzie w niej wyglądali jak trupy. Dalej strzelał w niebo przyładek Surville obłany wodami wiecznie głodnego oceanu. Obraz pojawił się i zniknął niemal równocześnie, zdążył jednak wywołać takie wrażenie, że zbieg wzdrygnął się

i chybił. Zaklął i odrzuciwszy pistolet skoczył ścieżką w zarośla. McNab podążył za nim.

Po dobrze wydeptanej ścieżce biec było łatwo, a Rex jak zazwyczaj ludzie przebywający często w ciemnościach miał koci instynkt wyczuwania przeszkód. Stopy same omijały nierówności gruntu, ręce odgarniały zwisające gałęzie, głowa pochylała się bezwiednie, aby uniknąć zderzenia z niskimi konarami. Ścigający miał mniejsze szczęście. Dwukrotnie Rex omal się nie roześmiał, bo usłyszał łoskot świadczący o upadku, a gdy przesadził strumyk w niewielkim wąwozie i po chwili usłyszał plusk i chlupot, nie mógł powstrzymać śmiechu. Obecnie dróżka wiodła pod górę, więc Rex przyspieszył kroku licząc, że zostawi ścigającego daleko za sobą. Opodał grzbietu wyniosłości przystanął i jał nasłuchiwać. Trzask gałęzi umilkł. Zdawać się mogło, że zbieg znacznie wyprzedził pogoń.

Niebawem znalazł się na szczycie skał nadbrzeżnych. Świateł na przesmyku nie widział. Pod sobą miał morze. Z czarnej pustki nadciągały gwałtownie podmuchy słonego wiatru. Niosły strzępy piany z łamiących się w dole fal białe bryzgi rozplywające się natychmiast w nieprzejrzanym mroku. Na północy ryczał głośno ocean szturmujący prostopadle rafy, co strzegą Półwyspu Forrestiera. Bezpośrednio pod sobą zbieg słyszał straszliwy gwizd i chichot przerywany od czasu do czasu jakby hukami gromu. Dokąd trafił?

Zmęczony i zdyszany osunął się w kolczaste zarośla i począł nasłuchiwać. Nagle dobiegł Rexa głos, co przejął go obłądnym lękiem i postawił na nogi. Ze ścieżki, którą przebył tak niedawno, docierało ujadanie psa.

364

Rex sięgnął za pazuchę i wydał okrzyk rozpaczony, gdyż nie znalazł drugiego pistoletu. Musiał go zgubić po drodze. Zaczął po omacku szukać kamienia albo kija, który mógłby mu posłużyć za broń. Ale trafiał tylko na cierniste gałązki i ostrą trawę. Przerażony, oblany zimnym potem patrzył w ciemność tak bystro, jak gdyby chciał rozproszyc ją siłą spojrzenia. Pośród wycia wichury i ryku oceanu szczekanie powtórzyło się na pozór bardzo blisko. Odezwał się również głos ludzki, zapewne przynaglający brytana. Przypuszczać należało, że żołnierze z przesmyku pospieszyli z pomocą McNabowi. W takim razie ujęcie stało się nieuniknione. Rex prawie ślubował pokutę i poprawę, jeżeli uda mu się ująć szczęśliwie niebezpieczeństwa. Pies szczeknął raz, urywanie. Zachręściły gałęzie. Potem umilkły złowróżbne odgłosy.

Mroki gęstniały wraz ze wzmaganiami się zawieruchy. Wichy omiatały kopułę niebios i między błyskawice a powierzchnię morza rzucał nieprzenikniętą zasłonę czarnych chmur. Zdawała się zwarta tak, że można by ją pochwycić, ściągnąć jeszcze niżej, bliżej. Białe od piany fale zniknęły w ciemnościach, których przedrzeć nie potrafiły nawet błyskawice. Duża, ciepła kropla deszczu upadła na wyciągniętą rękę zbiega. Gdzieś daleko z trzaskiem uderzył piorun. Umilkł dziwny gwizd i chichot w dole, ale skały i ziemia wokół drżały od czasu do czasu, jak potrącane skrzydłami olbrzymiego ptaka. Rex zwrócił spojrzenie w stronę morza i zobaczył przed sobą chwiejny, mglisty kształt – biały na tle burzowej czerni. Na moment zarysował się wyraźnie, by z głuchym jękiem męki i rozpaczony zapaść się gdzieś, zniknąć. Człowiek przejęty nieokreśloną grozą wzdrygnął się i odwrócił, chcąc stawić czoło bliższemu niebezpieczeństwu. Pies rzucił się na niego z morderczym warczeniem, ale

zbieg z rozpaczliwą odwagą chwycił bestię za brzuch i gardło i odrzucił daleko od siebie. Brytan zawył krótko i umilkł, jak gdyby legł bezwładnie tam, gdzie upadł i gdzie ponownie wyrosła biała mglista kolumna.

Czemu McNab i żołnierz nie wykorzystają zyskanej przewagi? To dziwne! Do diabła. Odważnie! Może uda się jeszcze umknąć z matni? Szczęście mu sprzyja. Przecież z psem uporał się bardzo łatwo.

365

KLiedy z nadzieją w sercu rzucił się de ucieczki, powstał znów przed nim ów dziwaczny białawy kształt i chłodnym powiewem zdawał się go ostrzegać, zawracać z drogi. Ale strach pędził Rexa naprzód. Jeszcze kilka kroków i stanie na grzbiecie nadbrzeżnej skały. W mrokach czuł bezpośrednią bliskość morza. Chwiejna kolumna zapadła się znowu, a zjawisku temu towarzyszył piekielny chichot, skowyt i ryk tak przerażający, że zbieg zatrzymał się przejęty grozą.

Za późno! Odniosł wrażenie, że ziemia ustąpiła mu pod nogami. Spadając w czarną czeluść, daremnie czepiał się występów skalnych, zarośli, trawy. Błyskawica rozdarła zasłonę czarnych chmur i w przelotnym blasku Rex znalazł wytłumaczenie swoich obaw, bardziej niż te obawy straszliwe. Ścieżka zawiiodła go do miejsca, gdzie morze wyżłobiło w skałach głęboki, prostopadły szyb zwany Diabelskim Gwizdkiem.

W połowie urwiska zbieg natknął się na wyrastające tam drzewo. Uczepił się go kurczowo i spojrział w otchłań. Przed sobą miał olbrzymi łuk skalny, przez który widział blady całun rozszalałego, spienionego oceanu. W dole była przepaść najeżona czarnymi głazami, kipiąca groźnymi wirami wody. Nagle wydało mu się, że dno owej przepaści wznosi się ku niemu albo raczej że otchłań rzyga zbałwanionymi masami wody, co ogarną go zaraz i pochłoną. Wśród straszliwego kłębowiska zobaczył zmiażdżone ciało psa, ale mogła to być uluda wyobraźni.

Przepaść, do której runął John Rex, miała kształt komina fabrycznego odwróconego cieńszym końcem ku dołowi. Ściany jej usiane były rozpadlinami i występami skalnymi, gdzie utrzymywało się nieco gleby pokrytej lichą roślinnością. Wegetacja ta ustawała mniej więcej w połowie głębokości szybu, niżej zaś kamień był nagi i wilgotny od powstającej raz po raz kolumny wodnej. Zrzadzenie losu (gdyby zbiegiem był Meekin, powiedziałaby zapewne: „zrzadzenie Opatrzności”) chciało, by Rex zatrzymał się na ostatniej półce skalnej. Przy spokojnym morzu nie groziłoby mu niebezpieczeństwo, obecnie jednak rzecz miała się inaczej. Błyskawica ukazała przerażonemu zbiegowi, że ściana szybu jest mokra co najmniej dziesięć stóp nad jego głową.

366

Nie ulegało wątpliwości, że sięgnie tam następna kolumna spienionej wody.

Stało się to niespodziewanie szybko. Zbieg poczuł, że coś porywa go i rzuca w górę. Oburącz otoczył pień drzewa. Kurczowo zacisnął palce na własnych rękawach. Jeżeli nie rozluźni uchwytu, może się uratować! Potężna siła – jak gdyby dłoń olbrzyma – podcięła i uniosła w górę jego stopy. Woda zabulgotała w uszach. Wydało mu się, że ramiona zaraz zostaną wyrwane ze stawów. Gdyby wysiłek potrwał jeszcze sekundę, nastąpiłaby katastrofa. Ale woda opadła wnet z podobnym rykiem, a Rex trwał na miejscu zdławiony, obłany krwią, półprzytomny, lecz żywy. Wiedział, że drugiego szturmego nie wytrzyma, rozprostował więc zesztyniałe palce i zdecydował poddać losowi. W tej chwili jednak

spozrzegł na skalistej ścianie po swojej prawej ręce mdły odbłask szkarłatnego światła, a na tym tle dziwacznie rozchwiany, ogromny cień człowieka. Podniósł wzrok i zobaczył, że w czarną czeluść opada powoli ognisty krzak przywiązany do liny. To McNab korzystał z chwilowej ciszy, by zbadać ściany Diabelskiego Gwizdka.

Szaleńcza nadzieja wstąpiła w serce zbiega. Za moment ci w górze dostrzegą postać ludzką przywierającą niby małą do ściany. Odkryć go muszą tak czy inaczej, jeżeli jednak zdołają opuścić linę dostatecznie szybko, chwyci ją i znajdzie ocalenie.

Groza straszliwej śmierci w ziejącej otchłani była mocniejsza niż strach przed pojmaniem. Szatański ryk opadającej wody umilkł chwilowo, atoli Rex wiedział, że kolejny oddech wzburzonego morza przyniesie mu nieuchronną zgubę. Olbrzymia pochodnia opuszczała się z wolna. Zbieg wciągnął już oddech, by wydać okrzyk, co mógłby przezwyciężyć szum wichury i oceanu, nagle jednak zauważył na licu skały coś, co kazało mu milczeć. W odległości sześciu stóp od niego cienki strumień wody, niby wąz wyłaniający się z kryjówki, tryskał do czarnej otchłani i w szkarłatnym blasku płonącego drewna lśnił czystym złotem. Nad tym źródłem znajdowała się czarna plama, której nie rozjaśniało światło pochodni. Raz jeszcze Rex uwierzył w możliwość ratunku. Oto w pobliżu ma kręty, ciasny tunel, jaki wody ryją niekiedy w nadmorskich skałach! Sądzić należy, że

367

słup wznoszący się z otchłani nie sięga zbyt daleko w głąb tej cudownej kryjówki!

Linę! Linę! krzyknął John Rex powodowany rozsądkiem, który w mniej krytycznej sytuacji należałoby nazwać obłędem.

Rzucone w kolosalny komin i wzmoczone tysięcznym echem słowa donośnie zabrzmiały na górze.

On żyje! -- zawołał McNab zaglądając w czeluść.

Widzę go! Spójrz!

Żołnierz owinał koniec rzemieennego powroza wokół pnia drzewa i począł manipulować liną tak, by krzak ognisty sięgnął półki skalnej, na której przywarował człowiek w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Głuchy ryk poprzedzający następny przybór wody rozległ się w dole.

Boże, ulituj się nad tym nieszczęśnikiem! szepnął pobożnie młody Szkot i wstrzymał oddech.

Kłęb białej piany pojawił się na dnie otchłani. Rozległ się ryk stokroć potężniejszy. Rex patrzył na purpurowe wahadło, które zakreślało coraz szerszy łuk i było coraz bliżej i bliżej. Wreszcie po raz ostatni wznosił wzrok ku czarnemu niebu i krótko pomodlił się półgłosem. Kiedy na koniec chwycił linę, blask ognia rozjaśnił jego twarz i ukazał szatański uśmiech triumfu.

Luźniej! Luźniej! wrzasnął zbieg i przyciągnawszy olbrzymią pochodnię próbował ją zdeptać.

Żołnierz oparł się plecami o pień drzewa, mocniej uchwycił linę i odwracając głowę od groźnej czeluści powiedział do McNaba:

Pan mi pomoże, panie poruczniku. Fala przybiera.

Ryk w dole zmienił się w zgiełk nie do opisanania i rozszalałe wody jęły wypełniać komin. John Rex nie zdołał zagasić płomienia, chwycił więc oburącz linę i skorzystał z momentu, gdy przybierające wody utworzyły jakby podłogę. Odbił się nogami od swojej półki i skoczył ku przeciwnemu ścianie przepaści. Chwytał już skalny występ, podciągał się ku przodowi, kiedy wymierzył mu cios potężny taran wodny.

McNab i żołnierz odczuli nagle szarpnięcie liny i ujrzeli smugę światła przecinającą głąb czeluści. Potem kolumna wodna podniosła się z triumfalnym wyciem, napięcie liny zelżało, światło zgasło. Kiedy wody ustąpiły, w przepaści zwiślał tylko mokry i poczerniały szkielet dębowej gałęzi. W tej chwili uderzył piorun i spadła od dawna wisząca w powietrzu ulewa. Upiorny blask rozjaśnił czarne chmury i ratownicy zobaczyli głęboko w dole rozszalałe morze, wysoko w górze poszarpane szczyty skalne, a pod stopami ziejącą czeluść Diabelskiego Gwizdka – groźną i próżną. W milczeniu wyciągnęli bezużyteczną już linę, a gdy druga spuszczonej w otchłań pochodnia nie ukazała niczego, McNab powiedział:

Już on nie w naszych rękach. Wieczne odpoczywanie jego grzesznej duszy.

XXV

Ucieczka

Za radą Świecy Gabbett postanowił wylądować na południowym cyplu przylądka Surville. Był to krok rozpaczliwy i podyktować go mogła tylko równie rozpaczliwa sytuacja. Piętrzące się tam prostopadłe ściany skał groziły pewną zgubą, ale Vetch, który pracował przy budowie mola na Orlim Przesmyku, wiedział, że południowy skraj wybrzeża zamyka mała plaża, gdzie zbiegowie mogą przybić pomyślnie przy jakim takim szczęściu. Świeca miał w sobie coś z odwagi i stanowczości Rexa, zacisnął więc zęby i pochwycając wiosło, które zastępowało rudel, skierował welbot ku masywowi skalnemu zamykającemu od północy Zatokę Piratów.

Mrok był nieprzenikniony. Tylko fosforyzujące fale połyskiwały blado. Burgess prowadził pościg prawie na wyczucie, póki ta sama błyskawica, co oślepiła Johna Rexa i uratowała życie McNabowi, nie oświeciła welbotu rozkołysanego na grzebieniu olbrzymiej fali i niebezpiecznie bliskiego potężnej skały. Po chwili Burgess wzniesiony wraz z łodzią przez górę wodną zobaczył rozszalały bezmiar morza, przeorany bruzdami, które mogłyby pomieścić ol-

368

24

Do?ywn(mc

zesłanie

369

brzymie cielsko lewiatana. Na dnie jednego z tych parowów widać było szalupę zbiegów podobną do sześcionogiego owada brodzącego w kałuży atramentu.

Majestatyczna, rzeźbiona w szczeliny i występy skała była doskonale widoczna w oślepiającym blasku i sześcionogiemu owadowi zdawała się podawać cienką, płaską słomkę – skrawek piaszczystej plaży. W tejże sekundzie masy wody wraz z kruchą łupiną runęły na tę plażę i jakby podcięły skalnego kolosa u podstawy. Zakotłowało się straszliwie, welbot zniknął pod wodą i ciemność pochłonęła fantastyczny obraz.

Półprzytomny z przerażenia Burgess wrzasnął, by zawrócić szalupę, lecz równie łatwo mógłby krzykiem powstrzymać lawinę. Wiatr porwał jego głos i uniósł w powietrzu. Zdradliwa fala wyszarpnęła mu wiosło z ręki. Pomimo rozpaczliwych wysiłków żołnierzy łódź zakręciła się na górze wodnej niby opadły liść wśród wiru. Następną błyskawica ukazała pościgowi kilka lalek szamoczących się w przybrzeżnej pianie oraz łupinę orzecha odwróconą dnem do góry i niesioną od brzegu ku pełnemu morzu. Wszystkim zdawało się przez moment, iż podziela los nieszczęsnych zbiegów, atoli kapitan wyprostował szalupę i pod wrażeniem niebez-

pieczeństwa, którego szczęśliwie uniknął, wydał rozkaz powrotu.

Kiedy żołnierze obracali łódź dziobem ku zbawczym światłom mrugającym z przesmyku, rufę minęła i pomknęła w morze czarna plamka uczepiona czarnej kreski. Rozległ się przeraźliwy krzyk, więc wszyscy odgadli, że był to jeden z więźniów trzymający się wiosła.

Tylko ten uszedł z życiem powiedział Burgess w dwie godziny później, bandażując w koszarach na przesmyku skaleczoną rękę ale i tak jedzą go teraz ryby. Mylił się jednak. Los gotował rozbitkom śmierć stokroć gorszą niż utonięcie. Dzięki błyskawicom i tak zwanemu „wisielczemu szczęściu” Vetch trafił na skrawek piaszczystej plaży i zbiegowie, posiniaczeni i okrwawieni, dostali się na wybrzeże. Z całej zbójckiej załogi zginał jedynie Cox. Pracował wiosłem dziobowym i nie ustąpił w porę Świecy, który dobrze rozumiał, że życie zależy od pośpiechu, a więc ratując własną skórę obalił żywą przeszkodę i w bród pomknął ku lądowi. Cox szukając ratunku chwycił wiosło i w tejże chwili został porwany przez odbijającą fale. Ostatnią nadzieję ocalenia łódź Burgessa — minął tak szybko, że

0 pomocy nie mogło być mowy, znalazł się więc na najlepszej drodze, by uniknąć powieszenia często i żartobliwie przepo-
wiadanego mu przez towarzyszy niedoli. Ale był silny

1 wytrzymały, toteż krzepko trzymał wiosło, a nawet rozpiął skórzany pas i przykrępował się nim do zbawczego kawałka drewna. W takim stanie, a ponadto wyczerpanego do ostatka zauważył go o brzasku w odległości paru mil od przylądka Surville sternik „Ślicznej Mary”. Blunt, pełen radosnej nadziei, że mogą to być zwłoki kochanka Sary Purfoy, spuścił łódź ratunkową i wyłowił rozbitka. Ofiara morder-
czego pośpiechu Vetcha była niemal przecięta na pół pasem, opita słoną wodą, skostniała z zimna oraz miała złamane dwa zębra. Atoli biedak zachował nieco hartu ducha i prze-
żył całe dwie godziny mimo zabiegów kuracyjnych szypra „Ślicznej Mary”. W czasie tym zdołał powiedzieć, że nazywa się Cox, a z Port Arthur uciekł z ośmioma towarzyszami; przywódca bandy — John Rex został prawdopodobnie ujęty, bo nie znajdował się w welbocie, który zatonał wraz z załogą zbiegów. Udzieliwszy Bluntowi tak cennych infor-
macji Cox jęknął, że tchu mu brak, a następnie umarł, bezbożnie przeklinając Świecę, Port Arthur i bezlitosne morze.

Blunt wypalił trzy fajki, po czym zmienił kurs o dwa rumby ku wschodowi i pożeglował w stronę brzegu. Być może Rex nie został pochwycony i wygląda teraz spodziewanej pomocy. Szyper dowiedział się, że planowana ucieczka doszła do skutku, nie miał więc prawa rezygnować z poszukiwań, póki istniała iskierka nadziei.

Jeszcze raz trzeba się rozejrzeć mruknął do siebie.

Przy łagodnym wietrzyku lawirował cały dzień blisko brzegów, lecz nie wypatrzył niczego. Lądowanie na przylądku Surville byłoby czystym szaleństwem, gdyż zaalarmowałyby całą kolonię karną. Wobec tego z nadejściem nocy Blunt stanął na redzie u wylotu Zatoki Piratów. Spacerując po pokładzie przeklinał wariacką wyprawę, gdy spostrzegł coś, co kazało mu zatrzymać się nagle.

370

371

Na zboczach nadbrzeżnej skały i jakby w jej wnętrzu płonął ogień! Blunt przetarł i wytrzeszczył oczy. Potem zwrócił się do marynarza przy sterze:

Widzisz tam coś, Jem?

Jem pochodził z Sydney i me znał Kraju Van Diemena, odpowiedział więc zwięźle:

Tak. Latarnię morską.

Szyper zeszedł do kabiny i rozłożył mapę, ale me znalazł na niej żadnej latarni morskiej. W stosownym punkcie był tylko znak w kształcie kotwicy oraz uwaga: „niezwykła pieczara”.

Blunt obudził swojego zastępcę i wrócił z nim na pokład. Był to William Staples, obwieś, którego Sara Purfoy kupiła za złoto z duszą i ciałem. Przez czas pewien patrzył na łunę, co pojawiała się i niknęła na przemian, a potem rzekł tonem łakomej radości:

Ognisko, stary, jak Boga kocham! Każ zwinąć żagle i opuścić łódź. Mamy ptaszka! Trzymam zakład o tysiąc funtów.

Żagle zwinięto i Blunt ze swoim zastępcą zeszedł do szalupy.

Panowie na połów ostryg? zapytał sternik z wymownym uśmiechem, kiedy Blunt kładł na rufie jakieś zawiniątko.

Staples zrobił szelmowską minę. Nie ulegało już wątpliwości, że starannie dobrana załoga odgaduje istotny cel podróży. Ale Blunt nie troszczył się o to. Szukał przecież ludzi nieskorych do zdrady, którą nawiasem mówiąc niemal wykluczały środki ostrożności zalecone przez Johna Rexa. Co to za tobolek, stary? zapytał Staples, gdy łódź odbiła od statku.

Ubranie. Przecież nie sprowadzimy go (jeśli to on, naturalnie) w kanarkowym kaftanie. Wciągnie te łachy, rzuci do wody królewską liberię i na naszym pokładzie zjawi się jako rozbitek z zatopionego okrętu. Rozumiesz?

Pomysł pierwsza klasa! zawołał z uznaniem obwieś. Czyj, stary? Na pewno naszej pani, co?

Aha.

Ma baba głowę na karku! Nad fiołkową wodą zadźwięczał śmiech dobranej pary.

Wolno, po cichu, człowieku szepnął Blunt, gdy zbliżyli się do brzegu. – Na Orlim Przesmyku nikt nie śpi.

Jeżeli przekłete psy podniosą jazgot, będziemy mieli na karku łódź strażniczą. Na szczęście wiatr dmie od brzegu.

Staples podniósł wiosła i jał nasłuchiwać. Noc była bezksiężycowa. „Śliczna Mary” zniknęła już w mrokach.

Łódź podchodziła do brzegu od południowego wschodu, a więc skała kryła strzeżony bacznie przesmyk. Na południowo-zachodnim zboczu tej skały, mniej więcej w połowie drogi między jej szczytem a powierzchnią morza, widać było łukowate zagłębienie. Dobywało się stamtąd szkarłatne światło, które rzucało nikły odblask na fale za rufą łodzi. Ogień raz przygasał i stawał się prawie niewidoczny, raz był tak jasny, jak gdyby płomienie buchały z pieczary. Wreszcie u wylotu tego skalnego pieca pojawiła się ciemna postać.

Schylała się i prostowała na przemian zapewne dorzucała drew do gorejącego stosu. Zdawać się mogło, że tuż obok rozwartych wrót swojej kuźni Wulkan sposobi oręż dla antycznych półbogów.

Blunt pobladł nagle.

To chyba nie człowiek •-- szepnął. – Wracajmy. A co powie nasza pani? – odrzekł William Staples, obdarzony szatańską odwagą i za pieniądze gotów nawet zstąpić do Hadesu.

Blunt pokiwał głową i pod wpływem najsilniejszej pasji swojego życia zapomniał o lęku. Łódź jęła wolno posuwać się naprzód.

Dzieło morza

Przybór w szybie skalnym uratował Johna Rexa, który w krytycznej chwili wylądował na czworakach u wylotu grotu. Strzelający w górę słup wody rozprzestrzenił się również na boki i ta właśnie siła wepchnęła zbiega do wyżłobionego w kamieniu korytarza. Zrazu biegł on ku

.172

373

dołowi, więc Rex staczał się z nurtem wodospadu, póki nie ugrzązł w szczelinie między dwoma głazami, co zwisały nad niezgłębioną czeluścią. Dzięki temu przypadkowi ocalił życie, o które walczył tak uparcie, gdyż nie został zmyty przez powracającą falę. Słyszał za sobą ryk opadającej szybko topieli, lecz głazy spełniały rolę falochronów i łagodziły moc nurtu. W kilka sekund pieczara była pusta.

John Rex zdołał wydostać się z rozpadliny i pełen obaw przed nieznanym postanowił wspiać się na bliźniacze głazy zagradzające przepaść niewiadomej głębi. Ale przy pierwszym gwałtowniejszym ruchu krzyknął głośno. Lewa ręka, którą kurczowo czepiał się sznura, zwisała teraz jakby tknięta chwilowym paraliżem. Opadł bezwładnie i przez moment siedział na szorstkiej, postrzępionej skale. Rychło jednak usłyszał groźny ryk nowego przyboru, zebrał więc wszystkie siły i wdrapał się na stromą pochyłość. Z wyczerpania i bólu był bliski omdlenia, lecz sięgał coraz wyżej i wyżej. W dole grzmiał zgiełk wciąż rosnących wirów, a wreszcie mrok zgęstniał przerażająco, gdy woda wypełniła właz do tunelu. Słona piana bluznęła w twarz Rexa, a języki wody polizwały jego rękę zwisającą z półki skalnej, do której przywarł. Ale na tym koniec. Zbieg uszedł niebezpieczeństwa.

Gdy uprzytomnił to sobie, opuściła go odwaga i siła.

Stracił przytomność i zapadł w odrętwienie.

Kiedy się ocknął, nikłe blaski świtu wypełniały grotę.

Podniósł wzrok i wysoko nad sobą zobaczył sklepienie skalne, a na nim ruchome, różnobarwne refleksy promieni słonecznych precedzonych przez wodę. Po prawej stronie miał wylot pieczary, po lewej wrogą otchłań, na której dnie słychać było gulgot i stłumiony szmer morza. Rex dźwignął się, rozprostował obolałe ręce i nogi. Nadwerężone ramię dokuczało mu mocno, mimo to jednak należało coś przedsięwziąć. Nie wiedział przecie, czy zauważono, że się uratował, czy pieczara nie ma drugiego wyjścia, przez które mógłby trafić McNab. Ponadto był przemoczony i zgłodniały. Aby ocalić życie wydarte morzu, musiał postarać się o żywność i ogień. Przede wszystkim zbadał szczelinę, przez którą trafił do grotu. Miała kształt nieregularnego trójkąta o podstawie zrytej przez wodę wdzierającą się tam w czasie sztormów takich jak ubiegłej nocy. Rex nie popełnił daleko ze strachu, że ześlizgnie się z wilgotnych głazów i runie na ostre skały sterczące na dnie Diabelskiego Gwizdka. Wyciągając szyję widział ich zarisy, a między nimi spienione, groźnie syczące wiry, co zdawały się czekać następnej burzy i chwili, gdy zdołają pochłonać urągającą im z góry kruszynę. Rex osądził, że wydostanie się z grotu tą drogą jest niemożliwe, zawrócił więc, by rozpoznać przeciwny kierunek.

Bliźniacze głazy, między którymi utknął, były jak gdyby kolumnami wspierającymi pułap jaskini. Za nimi leżała szara pustka, mętnie rozjaśniona światłem dnia, co przenikało wody zatoki. Pustkę tę przecinała w poprzek migotliwa smuga rzucająca dziwaczny blask na skałę brodatą od wodorostów. Mimo rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znalazł, zbieg potrafił ocenić należycie odkryty przypadkowo

dziw przyrody. Wyniosła skała nadbrzeżna, która wyglądała z zatoki, zdawała się masywem górskim, w istocie zaś była wydrążonym stożkiem usianym znaczną liczbą grot i szczelin wrytych dzięki niewidzialnej pracy morza, co trwała tysiącletnia. W porównaniu z tą otchłanią Diabelski Gwizdek robił wrażenie nieznacznej rozpadliny.

John Rex zeszedł z trudnością po stromym zboczu i niebawem znalazł się na galerii skalnej okrążającej podziemną sadzawkę. Wilgoć i gęste wodorosty uczezione kamieni świadczyły, iż miejsce to jest ustawicznie zatapiane. Niewątpliwie za murem skalnym był obecnie odpływ. Czepiając się strzępiastych alg, bardzo podobnych do korzeni, zbieg sunął wzdłuż galerii, aby nieoczekiwanie wyjść z półmroku w jasne światło dnia. Zrytą niby plaster miodu kamienną ścieżkę przecinała w tym punkcie szeroka wyrwa. Łagodny wietrzyk musnął twarz Rexa, który nad sobą zobaczył bezchmurne niebo, a o sześćdziesiąt stóp pod sobą rozległą tafelę morza, sfałdowaną miliardem drobnych falek i roziskrzoną wielobarwnymi blaski. Doskonałej harmonii krajobrazu nie mąciły wspomnienia niedawnej burzy, a że nie widać było żadnych oznak życia ludzkiego, nic nie świadczyło o ponurym sąsiedztwie więzienia. Ze szczeliny skalnej Rex patrzył tylko na niebo uśmiechające się czystym turkusem do szafirowego morza.

374

375

Ale ta podniosła cisza stała się dla ściganego więźnia nowym źródłem niepokoju. Dzięki niej właśnie możliwe będą dokładne poszukiwania w okolicy Diabelskiego Gwizdka. Niewątpliwie Burgess i McNab zechcą skorzystać ze sprzyjającej pogody i upewnić się co do losu zbiega.

Rex odwrócił się i spróbował zejść jeszcze niżej. Blask słońca rozgrzał go i ożywił, a jakiś głos wewnętrzny począł mu szeptać, że skała tak zryta i przeorana musi mieć u podstawy szczeliny, którymi w czasie odpływu można wydostać się na brzeg zatoki. Niżej robiło się coraz bardziej mroczno i dwukrotnie Rex omal nie zawrócił z lęku przed przepaściami, co nagle zastępowały mu drogę. Ponadto miał wrażenie, że parów, którym się posuwał, zmienia kierunek i prowadzi do wnętrza skały. Szedł jednak naprzód, bo dręczył go głód oraz świadomość, iż za niewiele godzin nastąpi przypływ, a wówczas woda zapełni podziemne przejścia i odetnie mu odwrót. Opuścił się już na przeszło dziewięćdziesiąt stóp i poczynął tracić wszelką orientację, gdy nagle zobaczył błysk światła. Rozsunął oślizłą masę wodorostów zagrządzających przejście niby kotara i znalazł się na zboczu wąskiej rozpadliny. Tamtędy właśnie fale zatoki napływały do Diabelskiego Gwizdka. Wysoko w górze zbieg widział potężny łuk skalny oraz część okrągłego otworu, przez który zsunął się w otchłań. Daremnie jednak szukał wzrokiem zbawczej pieczary była niewidoczna z tego miejsca. U stóp miał długi parów wyżłobiony w litej skale, tak wąski, że prawie mógłby go przeskoczyć. Oto którąś nadciąga nurt, by rozbić się o zębate skały i wzlecieć ku górze! Obecnie spokojne stosunkowo dno Diabelskiego Gwizdka połyskiwało w słonecznym blasku, co przenika górnym otworem.

Zbieg zadrżał przerażony, zrozumiał bowiem, że miejsce, na którym stoi, znajduje się pod wodą w czasie przypływu, kiedy szturmują je zaciekle długie na milę fale oceanu. Miejsce to było wąską półką skalną, gładką jak stół, gdzieniegdzie tylko upstrzoną podobnymi do misek zagłębieniami, w których odpływ zostawiał kałuże czystej,

spokojnej wody. W szczelinach ściany skalnej gnieździły się małe białe kraby, a ponadto były tam liczne małże, łykawatę wprawdzie i cierpkie, lecz dla człowieka wygłodzonego jadalne.

Rex posilił się i ogrzał w blaskach słońca, a następnie zaczął uważnie oglądać ścianę skalną zwróconą ku morzu. Zryta i przeorana, wystawiała potężną pierś na wichry i fale, stojąc krzepko na szerokim cokole, który sięgał zapewne w głąb zatoki równie daleko, jak wysoko sterczały piętrzące się nad nim urwiste stoki. Skała ta sprawiała wrażenie nieruchomej, a przecież żywej istoty -- tytana skazanego na niekończącą się walkę z potęgą niezmiernego i rzadko nawiedzanego przez ludzi oceanu. Stojąc na występie skalnym nie tkniętym dotąd stopą człowieka, Rex dostrzegł w położonej nieco wyżej pieczarze dziwny przedmiot, który tkwił między dwoma skąpanymi w słońcu ogromnymi głazami. Oko wytrawnego żeglarza poznało w jednej chwili głowicę masztu dużego statku. Pokryta muszlami i spowita w wodorosty tak, że trudno było odróżnić mięsiste łodygi od resztek olinowania, świadczyła o zwycięstwie natury nad pomysłowością ludzką. Zdawać się mogło, że w momencie gdy zdruzgotany okręt szedł na dno wśród ryku fal i jęków nieszczęsnej załogi, olbrzym skalny postawiony na straży tego ładu porwał w szpony ów szczątek i z dreszczem groźnej radości przytulił go do łona.

Na widok tej pamiątki dawnej walki i śmierci John Rex odczuł prozaiczną ulgę.

Oto mam opa! – rzekł do siebie i wspiał się po stromej pochyłości.

Nietrudno mu było zrzucić na półkę skalną odłamki drewna, które znajdując się od lat powyżej zasięgu fali sztormowej doskonale wyschło na słońcu. Nie ulegało wątpliwości, że będzie płonąć niczym chrust przechowywany na rozpałkę. Niczego więcej nie trzeba było na razie zbiegłemu złoczyńcy, który dziwnym zrzędzeniem losu miał rozgrzać się dzięki tej pozostałości po zaginionym i zapomnianym dawno statku.

Podkutym obcasem kruszył zbutwiałe drewno, a zwią-
zawszy rękawy i kołnierz koszuli zrobił worek do przenoszenia paliwa. Obrócił dwukrotnie na galerię z widokiem na morze i wybierał się właśnie w trzecią uciążliwą wędrówkę, gdy bystrym uchem złowił plusk wiosła. Ledwie zdążył

376

377

opuścić kotarę z wodorostów, kiedy s/ulupa strażnicza z Orlego Przesmyku ukazała się w polu widzenia. Burgess siedział na jej rufie i dawał znaki komuś, kto musiał znajdować się na szczycie skały. Rex uśmiechnął się złośliwie, łatwo bowiem zrozumiał taktykę przeciwników; McNab ze strażnikami przetrząsa wybrzeże, które komendant obwarował od strony zatoki. Przez chwilę zdawało się, że łódź zmierza prosto ku osłoniętej wodorostami szczelinie, i John Rex człowiek nieustraszony zadrzał na myśl, iż mimo wszystko pościg może znać tajemnicę pieczar w łonie skały. Atoli było to mało prawdopodobne. Zbieg wytrwał na posterunku, a szalupa minęła go i spokojnie podążyła dalej. Przesunęła się tak blisko, że widać było bladość na czerstwej zazwyczaj twarzy komendanta i opatrunek pod rozciętym lewym rękawem. A więc nie obeszło się bez walki i uczestnicy szaleńczego planu zostali być może ujęci!

Dandys roześmiał się zadowolony ze swej pomysłowości i rozsądku. Łódź wpłynęła do wąskiego kanału i stanęła na chwilę dzięki wysiłkom załogi. Burgess obejrzał uważnie poszarpane zbocza, dał jakiś znak McNabowi i gestem kazał

wracać na morze.

Zbieg odczuł niewypowiedzianą ulgę, lecz tak go pochłonęła obserwacja trudnego manewru prześladowców, że nie spostrzegł zrazu zmian szybko zachodzących we wnętrzu groty. Woda odsłaniająca przed godziną czarne, wygładzone skały rozlewała się teraz szerzej i pokrywała urwistą ścieżkę, po której tak niedawno schodził. Niewątpliwie nastąpił przypływ i morze przenikało do pieczary jakimś niżej położonym tunelem. Działo się to tak szybko, że wylot, którym wpłynęła łódź wartownicza, musiał niebawem zostać zatopiony. Rex czuł już pod nogami przybierającą falę, a gdy po raz ostatni spojrzął na szalupę, zobaczył majestatyczny, zielonawy wał wodny, który niemal przesłonił światło dzienne. Burgess musiał się spieszyć, jeżeli nie chciał, by jego łódź została zdruzgotana niby orzech o sklepienie skalnego korytarza. Zdawał sobie widocznie sprawę z niebezpieczeństwa, bo przynaglał wioślarzy, zaniechawszy poszukiwań zwłok zbiegłego więźnia. Szalupa porwana spiętrzoną falą ledwie uniknęła rozbicia, a John Rex wspinając się ku galerii z niemałą satysfakcją zobaczył szerokie plecy komendanta niknące za skalnymi występami. Ostatnia próba prześladowców zawiodła, a za godzinę wzburzone morze zatopi wejście do pieczary.

Niewątpliwie dozorczy uwierzą w śmierć więźnia i przestaną go szukać. Jak dotąd sprawę układają się pomyślnie. Czekają jeszcze ostatni etap śmiałego planu: wydostanie się z cudownej groty -- kryjówki i więzienia zarazem.

Rex ułożył stos suchego drewna i po długich staraniach rozniecił ogień, posługując się krzesiwem i żelazną obrączką kajdan, którą miał jeszcze na kostce. Rozgrzał nieco zmarznięte ciało i siedząc w kręgu światła oraz miłego ciepła począł rozmyślać, co przedsięwziąć należy. Chwilowo był bezpieczny, a znajdujące się w pieczarze zapasy żywności mogły starczyć na długo. Atoli trudno sobie wyobrazić, by zdołał ukrywać się tam przez wiele dni lub tygodni. Nie miał słodkiej wody, a chociaż braku jej nie odczuwał na razie z powodu przemoczenia i wilgotnej atmosfery, wiedział, że słone małże obudzą wkrótce pragnienie. Bezwarunkowo musi wydostać się na półwysep w ciągu najwyżej czterdziestu ośmiu godzin. Przypominał sobie mały strumyczek, w który 0 mało co nie wpadł w czasie nocnej ucieczki. Może pod osłoną ciemności zdoła okrążyć skałę i dostać się tam niepostrzeżenie? Plan począł się krystalizować. Należy podjąć ryzyko, ominąć chyłkiem psy i strażę, by na półwyspie czekać zbawczego statku.

Rex musiał przyznać, że ma przeciwko sobie bardzo wiele. Jeżeli Gabbett i jego towarzysze zostali pochyceni, droga będzie stosunkowo czysta. Jeżeli jednak umknęli, Burgess nie zaniecha pościgu, póki zostanie chociażby nikła szansa ujęcia zbiegów. Jeżeli nawet sprawy ułożą się pomyślnie, samotnik będzie musiał żyć jakoś na pustkowiu do chwili, kiedy go Blunt odnajdzie. Ale na tym nie koniec. Blunt mógł zniechęcić się długim a niebezpiecznym oczekiwaniem i wrócić do Hobartu.

Zapadła noc. Blask ognia dobywał dziwaczne cienie z zakamarków olbrzymiej pieczary. W dole szumiała i zdradliwie chichotała niewidzialna otchłań. Rex począł bać się 1 ulegać grozie samotności i pustki. Czy ta cudem niemal znaleziona kryjówka ma stać się jego grobem? Czy on potwór wśród ludzi – ma zginąć potworną śmiercią,

378

379

zagrzebany w tajemniczych i groźnych jaskiniach nadmorskich?

Starał się rozproszyć ponure myśli kieśląc plan przyszłego działania. Na próżno jednak! Daremnie próbował precyzować mglisty dotychczas zamiar, by ukraść nazwisko i fortunę synowi bogatego budowniczego okrętów. Przejęty nieokreślonym lękiem nie potrafił rozpatrywać tej kwestii w spokoju i skupieniu, jakich wymagała. Usiłował rozważyć, jak wywieść w pole kobietę, co go uratuje, a następnie pojawić się w Anglii jako od dawna zaginiony dziedzic sir Ryszarda Devine'a.

Nic z tego! W mrocznej, wilgotnej jaskini Rex musiał walczyć ze strachem i upiornymi obrazami śmierci. Do-rzucił dREW do ognia, by jaśniejszy płomień rozpędził groźne cienie, co czyhały pod nim, nad nim i wokół niego. Bał się spojrzeć za siebie i zobaczyć bezkształtnego, zrodzonego z głębi oceanu potwora -- polipa o chwytnych mackach i galaretowatej, zawsze otwartej, łakomej żeru paszczy - który wypełźnie z czeluści po czarnych gładkach i bezpo-wrotnie wciągnie go w ciemność. Wyobraźnia bujna zawsze, a ponadto podsycona przeżyciami minionej nocy kazała mu w każdym łachmanie cienia przylegającym do ścian pieczary widzieć olbrzymiego pajaka morskiego, co lada moment spadnie z góry i pochwyti ofiarę w krzep-kie, szczeniaste łapy. Każde westchnienie morza, każdy plusk ruchliwej wody zdawał się zapowiadać przybycie jakiejś nadprzyrodzonej, żadnej krwi istoty. Szmer przy-bierały realne kształty, co wpełzały z mroku w krąg ognia i uparcie wpatrywały się w samotnego człowieka. Na dnie pieczary połyskiwały tu i ówdzie stworzenia morskie świecące własnym fosforycznym blaskiem. Łuna ogniska odsłaniała na ścianach jaskini dziwaczną roślinność po-czętą przez stulecia wilgoci. Osobliwe stwory wpełzały z niewidzialnych szczelin. Wszystko to zdawało się osa-czać Rexa bezkształtną, bezimienną masą, grozić mu i urągać.

Przerażony skoczył na skraj otchłani, ale wzniesiona w rękę płonąca głownia ukazała mu okrągły, pokryty wodorostami kamień, uderzająco podobny do głowy topiel-ca. Pobiegł do „okna” galerii, lecz jego cień rzucony na skałę przybrał postać widmowej istoty, która podnosząc ręce zagradzała mu drogę.

Przyrodnik, odkrywca, marynarz z rozbitego okrętu nie dostrzegłby nic przerażającego w przejawach tajemni-czego życia australijskiego oceanu. Ale od lat okłamywane, nieczyste sumienie przestępca doszło do głosu, gdy znalazło się sam na sam z naturą i nocą. Rozsądek ustąpił miejsca wyobraźni - tej nieświadomej religii duszy ludzkiej. Jeżeli Rex był kiedykolwiek bliski skruchy, stało się to w tej chwili. Opadły go widma dawnych zbrodni, zakrył więc oczy i drżąc ze strachu padł na klęczki. Głownia wysunęła mu się z ręki i spadła w otchłań, gdzie zgasła ze stłumio-nym sykiem. Dźwięk ten jakby wyczarował czatującego w mrokach upióra, bo w pieczarze rozległ się dziwny szept:

Czy to John Rex?

Zbieg przywarował. Włos zjeżył mu się z przerażenia.

Czy to John Rex?

Głos był niewątpliwie ludzki! Samotnik nie zastanawiał się, czy to może być wróg czy przyjaciel. Strach stłumił wszelkie inne względy.

Jestem! Tutaj! - zawołał i rozsunał kotarę z wodoro-stów.

U stóp olbrzymiej skały Blunt i Staples znaleźli się w ciemnościach, gdyż odblask tajemniczego ognia, którym się dotychczas kierowali, zniknął im z oczu, jak to się stać

musiało. Noc była cicha, a morze niezwykle spokojne, instynktem jednak czuli, że są blisko nieznanego niebezpieczeństwa. Blunt wyciągnął ręce i dotykając półek skalnych nie pozwalał, by czołno wpadło w nurt dążący ku tunelowi, który łączył zatokę z Diabelskim Gwizdkiem. Nagle błysnęło w górze, jak gdyby ktoś machnął pochodnią, a okruh płonącego drewna spłynął poprzez ciemność i upadł tuż koło łodzi. Nie ulegało wątpliwości, że nikt z wyjątkiem zbiega nie może ukrywać się na takim od-
ludziu.

Blunt postanowił postawić wszystko na jedną kartę i przez dłonie złożone w tubę zawołał: Czy to John Rex?

380

381

Światło błysnęło znowu w otworze skalnym i w blasku gorejącej szczapy ukazała się twarz tak wykrzywiona grozą, że omal niepodobna do ludzkiej.

Jestem! Tutaj!

Biedak, zbzikował trochę rzeki półgłosem Will Staples i krzyknął głośno: To przyjaciele! Z pomocą! Dla wyjaśnienia sytuacji starczyła chwila. W ludzkim towarzystwie miejsce strachu prześladowającego Johna Rexa zajęło zwykle opanowanie. Zbieg ukląkł na kamiennym balkonie i na odległość jął prowadzić pertraktacje. Teraz nie dostanę się do was powiedział. To niemożliwe. Przypływ zalał jedyne wyjście z grotty. A nie mógłbyś wypłynąć nurkiem? zapytał Staples. Nic! zawołał Rex i dreszcz wstrząsnął nim na myśl o zdradliwej toni.

To co robimy? Nie próbowałbyś zejść po tej ścianie? Poczekajcie do rana odparł chłodno Dandys. O siódmej będzie najniższy stan wody. Przyślijcie łódź tak koło szóstej. Do tej pory zdążę się stąd wydostać.

A co będzie ze strażnikami?

Na pewno się tu nie pokażą. Starczy im roboty przy pilnowaniu przesmyku i tropieniu moich kamratów. A zresztą ja nie żyję.

Jak to nie żyjesz?

Im tak się wydaje. To na jedno wychodzi, a dla mnie nawet nie na jedno. Jeżeli nie zobaczą waszego statku ani czołna, nic wam nie grozi.

Boję się ryzykować powiedział Blunt. Rozumiesz, że jeżeli nas capną, będzie dożywocie. Będzie śmierć, jeżeli mnie capną roześmiał się posępnie Dandys. —• A ryzyka żadnego nie ma. Musicie tylko być ostrożni. Nikt nie szuka szczurów w psiarni, a po tej stronie nie ma ani jednego posterunku strażniczego. Pilnujcie tylko, żeby waszego statku nie było widać z przesmyku, i o szóstej przyślijcie łódź.

Niech i tak będzie ustąpił Blunt. Spróbujemy.

Chyba nie zechcecie czekać do rana, co? Dostyc tu nieprzyjemnie powiedział Rex drwiąc najwyraźniej ze swoich niedawnych lęków.

Zuch z ciebie! roześmiał się Staples i dodał:

Przypłyniemy o świcie.

Macie ubranie, jak pisałem? zapytał zbieg.

Mamy.

Dobranoc. Zgaszę teraz ogień. Mógłby zobaczyć go ktoś mniej niż wy przychylny.

Dobranoc.

Ani słowem nie zapytał o naszą panią powiedział Staples, gdy dwaj awanturnicy znaleźli się na pokładzie „Ślicznej Mary”.

Ani słowem! Co za niewdzięczny łajdak! przyznał szyper i dodał z niespodziewanym ogniem: Tak już jest z kobietami. Dla drania, co nie dba o nie wcale, pójdą w ogień i wodę. Ale urągają tylko biedakowi, który ryzykuje głowę, żeby się im przypodobać. Żałuję, że zaplątałem się w tę paskudną historię.

„Nie ma większych durni niż stare durnie” – pomyślał Staples spoglądając na miejsce, w którym niedawno płonął ogień, ale nie wypowiedział na głos tej sentencji. Dnia następnego o ósmej rano „Śliczna Mary” sunęła pod rozwiniętymi żaglami. Połowy szypra szczęśliwie dobiegły końca i w wyniku przyniosły marynarza z rozbitego okrętu. Człowiek ten – sprowadzony na pokład wkrótce po świcie jadł śniadanie w kajucie. Załoga wymieniała porozumiewawcze spojrzenia na widok wynędzniałego rozbitego, odzianego w dziwnie dobrze zachowany ubiór. Nikt jednak nie widział potrzeby przeczenia słowom szypra. Dokąd płyniemy? – zapytał John Rex paląc z lubością fajkę Staplesa. Rozumiesz, Blunt, że jestem kompletnie zdany na twoją łaskę i niełaskę. Będę krążył po terenach wielorybnych, póki nie spotkam drugiego naszego statku – odparł posępnie Blunt. Przesadzę cię wtedy na jego pokład i popłyniesz do Sydney. Takie otrzymałem rozkazy. Nic pilnego. Mam prowiantu na roczną podróż.

W porządku! – roześmiał się Dandys i poklepał swojego zbawcę po ramieniu. – Tak czy inaczej muszę dostać się do Sydney. Ponieważ jednak Filistyni krążą w pobliżu, mogę czekać w Jerychu, aż mi broda urośnie.

382

383

Czego się gapisz, Stapis? dodaj zadowolony z siebie i bezpieczny wśród drogo kupionych przyjaciół. Że niby sypię cytatami z Pisma świętego? Mam przecież pierwszorzędne wykształcenie religijne, a prawdę rzekłszy, mojemu światłemu duszpasterzowi i przewodnikowi duchowemu zawdzięczam to, że mogę w tej chwili palić twój obrzydliwy tytoń.

XXVII Droga śmierci

Zbiegowie zauważyli brak towarzysza wówczas dopiero, gdy znaleźli się na bezpiecznej, suchej plaży. Kiedy stojąc u podnóża skał wyżymali odzież, Gabbett policzył ich wzrokiem i zapytał: Gdzie Cox?

Dureń wypadł za burtę wyjaśnił zwięźle Jemmy

Vetch. Nigdy nie miał głowy na karku. Wiadomo.

– To trzech brakuje – burknął olbrzym takim tonem, jakby poniósł osobistą stratę.

Potem więźniowie sprawdzili swoje uzbrojenie. Sanders i Greenhill mieli noże, a za pasem Gabbetta tkwiła siekiera. Vetch zgubił karabin na Orlim Przesmyku. Bodenham i Cornelius nie mieli żadnej broni.

A jak tam z żarciem? zapytał Świeca.

Okazało się, że mają tylko jeden worek prowiantu.

Znaleźli w nim płat solonej wieprzowiny, dwa bochenki chleba i trochę surowych kartofli. Stacja Sygnałowa była lichy zaopatrzona.

•- Niewiele -- mruknął posępnie Vetch. Prawda, Gabbett?

Musi jakoś starczyć odparł beztrąsko zagadnięty.

Po tej inspekcji zbiegowie ruszyli wzdłuż brzegu, aby niebawem zatrzymać się na biwak w zagłębieniu skalnym. Bodenham chciał rozpaść ogień, ale Vetch (obranym hersztem za milczącą zgodą) zaprotestował twierdząc, że światło może

ich zdradzić.

Wszyscy myślą, żeśmy potoncli rzekł. Nie będą nas ścigać.

Wobec tego sześciu nieszczęśników spędziło noc tuląc się do siebie.

Dzień wstał promienisty i jasny, lecz zbiegom daleko było do pogody ducha. Wolni po raz pierwszy od dziesięciu lat, zrozumieli, że muszą rozpocząć straszliwą podróż.

Dokąd teraz pójdziemy? Jak wyżyjemy? – odezwał się Bodenham mierzając pochmurnym spojrzeniem busz sięgający bezkresnego morza. – Ty uciekałeś już, Gabbett. Jak się to robi?

Napotkamy szałas pasterzy i znajdziemy tam coś do żarcia odrzekł olbrzym. – Trzeba się kryć, póki nie zdobędziemy innego ubrania. Najlepiej powędrujmy wzdłuż wybrzeża.

Zaraz, zaraz chłopcy wtrącił przezorny Vetch.

Trzeba chyłkiem okrażyć te wydmy piaszczyste i dostać się w zarośla. Jeżeli na przesmyku mają dobre szkła, mogliby nas zobaczyć.

Racja – przyznał Bodenham. Wydaje się tak blisko, że można by dorzucić kamieniem do wartowni.

Przekłęte miejsce! – dodał grożąc zaciśniętą pięścią. – Nie chcę go widzieć do dnia sądu ostatecznego!

Świeca podzielił żywność i wędrowali przez cały dzień aż do zmroku. Zarośla były gęste i kolczaste, zbiegowie mieli przeto podarte kaftany, a ich dłonie ociekały krwią. Już po pierwszym etapie czuli wyczerpanie. Stwierdzili jednak, że nie są ścigani, rozniecili więc ogień i spokojnie ułożyli się do snu.

Drugiego dnia napotkali piaszczystą ławicę sięgającą daleko w morze. Zorientowali się wówczas, że zaszli zbyt daleko na wschód i muszą zawrócić, by trafić na Przesmyk Zachodni. Znowu powlekli się gęstwina, wieczorem zaś zjedli ostatnie okruszyny chleba.

Trzeciego dnia w południe wspięli się na wysokie wzgórze (zwane obecnie Górą Collinsa) i zobaczyli u swych stóp Przesmyk Zachodni. Po prawej stronie mieli nagie skały, a w sienie dali majaczył zarys Wyspy Marii.

384

?5

Dożywotnie

zesłanie

385

Musimy ruszyć na wschód, i to szybko powiedział Greenhill bo inaczej natkniemy się na wolnych osadników i wpadniemy.

Do wieczora zdążyli minąć przesmyk i zapuścić się głęboko w jałowy busz. Wreszcie ściągnęli pasy na pustych brzuchach i rozbili obóz pod pasmem niskich wzgórz.

Czwartego dnia rozpoczęły się prawdziwe kłopoty. Bodenham, kiepski piechur, zaczął niedomagać i ustawicznie zostając w tyle opóźniał pochód. Gabbett kłął i groził mu losem gorszym niż odparzone nogi, jeżeli będzie marudził.

Na szczęście Greenhill wypatrzył pod wieczór szałas, co dodało ducha wędrowcom. Nie ufali jednak życzliwości lokatora owego szałasu i poczekawszy, aż się wyniesie z rana, posłali Vetcha na zwiady. Świeca kontent, że za jego radą nie przedsięwzięli zbójckiego napadu, wrócił do towarzyszy z pełnym do połowy workiem mąki.

Lepiej ty ponieś żarcie zwrócił się do Gabbetta

• – a mnie oddaj siekierę.

Olbrzym przyglądał mu się przez moment, jakby szacował wzrokiem jego tuszę. Wreszcie oddał siekierę swojemu

przyjacielowi Sandersowi. Tego dnia więźniowie przemykali ostrożnie między morzem a wzgórzami, na nocleg zaś stanęli nad strumykiem. Vetch znalazł trochę jagód i oddał je do podziału. Połowę zjedzono zaraz, połowę zachowano „na jutro”.

Dnia następnego zagroziła im drogę wąska zatoka sięgająca daleko w głąb lądu, a gdy skręcili na północ, Wyspa Marii zniknęła im z oczu, przestali więc obawiać się lunet.

Wieczorem przybyli na biwak rozciągniętym rzędem, każdy zaś spoglądając na wynędzniałe twarze kompanów zastanawiał się, czy i on tak wygląda.

Siódmego dnia Bodenham miał tak obolałe nogi, że nie mógł maszerować dalej, a Greenhill zerkając pożądliwie na jagody jał go namawiać, aby został w buszu. Biedak był kompletnie wyczerpany, skorzystał więc z dobrej rady i odpadł nazajutrz koło południa. Atoli Gabbett zauważył wkrótce brak towarzysza, wrócił więc i w godzinę później przygnał Bodenhama razami niby barana do rzeźni. Greenhill obruszył się, że przybywa niepotrzebna gęba do jedzenia, ale olbrzym uciszył go wymownym spojrzeniem. Jemmy

386

Vetch przypomniał sobie, iż Greenhill uciekał raz z Gabbettem, i poczuł się dziwnie nieswojo. Odciągnął na bok Sandersa i podzielił się z nim obawami, ale ów wybuchnął tylko śmiechem. Niewątpliwie istniało porozumienie między tą trójką.

Brzask dziewiątego dnia wolności rozjaśnił piaszczyste, pokryte kolczastymi zaroślami wzgórze i ujrzał sześciu konających z głodu nędzarzy, którzy przeklinali swój los i Boga, lecz mimo wszystko lękali się śmierci. Nad głowami mieli niemiłosierne niebo, dokoła siebie jałowy busz, spalony słońcem i pozbawiony cienia. W oddali widzieli bezkres morza. Pośród szarych pustkowi pod szarą kopułą nieba i na tle szarego oceanu musiało wydarzyć się coś okropnego. Otoczenie sprzyjało zachowaniu groźnych sekretów. Vetch powiedział, że do Zatoki Ostryg nie może być daleko, i zbiegowie postanowili udać się tam, zboczywszy z obranego kierunku. Z wysiłkiem wlekli się pięć godzin, lecz na pozór nie znaleźli się bliżej wybrzeża. Zrozpaczeni i ostatecznie wyczerpani padli na ziemię. Vetch dostrzegł w oczach Gabbetta wilcze błyski; instynktownie odsunął się od niego.

Taki jestem słaby – powiedział w rozmowie Greenhill że mógłbym zjeść kawał ludzkiego mięsa.

Dziesiątego ranka Bodenham oznajmił, że za nic się nie ruszy, a inni zasiedli bezradnie wokół niego. Nie mieli sił iść dalej. Greenhill spojrział na rozciągniętego na ziemi człowieka i wycedził z wolna:

Próbowałem tego w swoim czasie. Smakuje jak świnia.

Vetch zadrzał, gdy posłyszał wypowiedzianą na głos myśl, która tajemnie prześladowała wszystkich.

Popełnilibyśmy morderstwo! – zawołał z tłumionym szlochem. – A nie wiemy przecież, czy to przełkniemy. Przełkniecie, przełkniecie, ręczę – powiedział Gabbett z krzywym uśmiechem. – Ale wszyscy musicie przyłożyć do tego ręki.

Gabbett, Greenhill i Sanders odeszli na bok, a po chwili Sanders wrócił i powiedział do Świacy:

On chłostał na ochotnika. Słusznie mu się taki los należy.

387

Prawdę mówiąc, Gabbett także chłostał na ochotnika odpowiedział przejęty grozą Vetch.

Racja. Ale Bodenhamowi nawaliły nogi. Szkoda zostawiać go bez pożytku.

Zbiegowie nie mogli rozniecić ognia, zrobili więc z chrustu zagrodę chroniącą od wiatru. Skulony za nią Świeca usłyszał koło trzeciej nad ranem krzyk: „Chryste!” i obudził się zły zimnym potem.

Tej nocy tylko Gabbett i Greenhill mieli apetyt. Rozpalili jakoś ognisko, rzucili upiorne szczątki na gorący popiół i żarli je, nim zdażyły się upiec. Z rana poćwiartowano zmasakrowane zwłoki i posilili się wszyscy. Potem ruszyli w drogę, by maszerować w grobowym milczeniu. Około południa Cornelius zaproponował, że poniesie kociołek, gdyż po śniadaniu bardzo nabrał sił. Vetch oddał mu go, a w pół godziny później Cornelius zniknął. Gabbett i Greenhill próbowali go ująć, ale wrócili z niczym, klnąc okropnie.

Sam w buszu zdechniesz jak pies! zawołał Greenhill. Jemrny Vetch z właściwą mu bystrością pomyślał, że Cornelius woli zapewne taką śmierć niż inną, lecz nie odezwał się słowem.

Dnia dwunastego ranek był mglisty i chłodny. Vetch widział, że prowiant się kończy, udawał jednak dobry humor i opowiadał o różnych ludziach, co uszli stokroć gorszych niebezpieczeństw. Myślał ze zgrozą, że jest najślabszy z kompanii, ale pocieszał się, że jest również najchudszy. Po południu wędrowcy natknęli się na strumień i do zmroku daremnie szukali brodu. Następnego dnia Gabbett i Vetch przepłynęli na drugą stronę, aby następnie wyciąć długi pęd i z jego pomocą przeholować dwu towarzyszy. Był to pomysł Vetcha, który powiedział z widmowym uśmiechem: No i co stałoby się z wami beze mnie?

Nie mogli rozniecić ognia, bo Greenhill zamoczył hubkę. Gabbett wpadł w furję i klnąc począł wymachiwać siekierą. Świeca skorzystał z okazji, by szepnąć dyskretnie olbrzymowi, że Greenhill to rosły i tęgi mężczyzna.

Czternastego dnia zbiegowie ledwie się wlekli. Greenhill, najbardziej wyczerpany, zobaczył, że Gabbett z Sandersem odchodzą na bok, podpełznął więc do Świecy i zapłakał: Na miłość boską, Jemmy! Nie pozwól mnie zamordować!

Nie mogę ci nic pomóc odrzekł Vetch rozglądając się wokół z przestachem. — Pomyśl o biednym Tomie Bodenhamie.

Ale on nie był mordercą! Jeżeli mnie zabijecie, pójdę do piekła splamiony krwią Toma.

Opanowany strachem wił się na ziemi jak robak. Niebawem wrócili Sanders i Gabbett, który kazał Świecy przynieść chrustu na ogień. Odchodząc Vetch zobaczył, że Greenhill czepia się kolan olbrzyma, a Sanders krzyknął: Zaraz coś usłyszysz, Jemmy!

Przerażony Vetch zasłonił uszy dłońmi, pomimo to jednak dobiegł go głuchy łoskot i jęk. Kiedy wrócił, Gabbett wciągał mniej zdarte od swoich buty nieboszczyka.

Zostaniemy tutaj dzień albo dwa i odpoczniemy powiedział. — Mamy przecież prowiant.

Minęły dwa dni i trzech wędrowcy ruszyli w dalszą drogę, mierzając się wzajemnie podejrzliwym wzrokiem. Trzeciego dnia dzwigane z trudem mięso okazało się niezdatne do jedzenia. Zgłodniali ludzie spojrzeli na swoje wychudłe twarze i każdy zadał sobie w duchu pytanie: „kto następny?” Musimy umrzeć wszyscy razem?— powiedział żywo Sanders. — Jeżeli, naturalnie, coś nas nie uratuje. Vetch wyczuł strach w tych słowach, szepnął więc w chwili, gdy nie mógł go usłyszeć groźny olbrzym:

Na Boga, Alick, uciekajmy. Widzisz, jaki drań z tego Gabbetta? Gotów zatłuc rodzzonego ojca, jeżeli przez dzień nie będzie miał co w gębę włożyć.

Skręcili w zarośla, ale Gabbett dogonił ich zaraz. Świeca uskoczył zwinnie, lecz Sanders dostał w czoło siekierą. Ratunku! Jem! Ratunku! wrzasnął zraniony i rozpaczliwym wysiłkiem odebrał siekierę napastnikowi, aby rzucić ją w stronę Vetcha.

Masz, Jem! Trzymaj! – krzyknął. Czas skończyć z morderstwami.

Wlekli się do wieczora, kiedy to Vetch odwiódł na bok Gabbetta i powiedział dziwnie zmienionym głosem:

On musi umrzeć.

388

389

On albo ty roześmiał się olbrzym. Dawaj siekierę.

Nie! Nie! zaprotestował Świeca. Nie dam.

Odczep się! Ty go przytrzymasz, a ja zrobię resztę.

Kiedy zbliżyli się do niego, Sanders zrozumiał, że to śmierć nadciąga, i poddał się losowi ze stłumionym szlochem.

Dajcie mi pół godziny poprosił. Chcę zmówić pacierz za swoją duszę.

Zgodzili się, a on ukląkł na ziemi i złożył ręce jak dziecko.

Jego tępa okrągła twarz drżała ze wzruszenia, szerokie, spieczone wargi poruszały się bezdźwięcznie. Chwiał się, kiwał i kręcił głową. Wreszcie wyszeptał:

Nie mogę sobie przypomnieć słów, Jem.

Mniejsza o to rzucił Świeca. Nie będziemy głodować do rana.

Znowu minęły cztery dni. Dwaj pozostali przy życiu zbiegowie obserwowali się bacznie. Wychudły olbrzym spoglądał z łakomą nienawiścią na cherlaka, ten zaś pilnował siekiery jak oka w głowie. Od czterdziestu ośmiu godzin nie odzywali się do siebie. Każdy z nich liczył, że drugi musi wreszcie zasnąć i umrzeć. Vetch miał się na baczności, bo rozumiał grę Gabbetta, który namawiał ludzi do ucieczki, aby za cenę ich życia przetrwać i odzyskać wolność. Gabbett czekał sposobności, by wydrzeć broń towarzyszowi i rozprawić się z nim ostatecznie. Za dnia wędrowali posępnie, szukając pretekstów, by zawsze znajdować się w tyle. Nocą walczyli z sennością i jeden lub drugi co chwila podnosił głowę, by zobaczyć utkwione w siebie baczne spojrzenie wroga. Vetch czuł, że siły go opuszczają i umysł odmawia mu posłuszeństwa. Olbrzym mamrotał do siebie, ślinił się, gestykulował--- niewątpliwie był bliski obłędu. Czy ostatecznie rzuci się na towarzysza i siłą wydrze mu splamioną kwią siekierę, czy też zdrzemnie się wreszcie i sam padnie ofiarą? Nieszczęsny Vetch! Bezsensowność jest straszliwym przywilejem szaleńców.

Piątego dnia Świeca kryje się za drzewem, zdejmując pas, robi pętlę. Chce się powiesić, ale w ostatniej chwili zawodzi go odwaga. Zbliżyła się olbrzym. Vetch próbuje mu umknąć, ukryć się w buszu. Daremnie. Zgłodniały, szalony potwór nie

390

pozwała się zmylić. Cherlak próbuje biec, lecz nogi uginają się pod nim. Siekiera ciąży nieznośnym brzemieniem. Może ją rzucić? Nie! To szaleństwo! Zmrok znów zapada. Świeca musi odpocząć lub zwariować. Ręce mu opadają. Kleją się powieki. Zaczyna drzemać stojąc. Czy to nie straszny sen? Może jest w Port Arthur albo ocknie się za moment na sienniku w tanim domu noclegowym, z którego korzystał często, gdy był wyrostkiem? Czy to policjant zbliżyła się, by go

zbudzić do okropności życia? Nie... jeszcze wcześniej... Vetch zapada w głęboki sen, a olbrzym zbliża się na palcach i porywa upragnioną siekierę. Twarz wykrzywia mu uśmiech szatańskiej radości.

Na północno-wschodnim wybrzeżu Kraju Van Diemena znajduje się cypel, zwany Przylądkiem Świętej Heleny. Pewien szyper, któremu zabrakło świeżej wody, wylądował tam szalupą i nad potokiem znalazł dziwnego człowieka. Był on wynędzniały i okrwawiony, a na grzbiecie dźwigał siekierę i jakiś tobolek. Kiedy zobaczył marynarzy, przyzwał ich gestem i rozwiązawszy zawiniątko pokazał zbawcom jego straszliwą zawartość.

Przejęci grozą pochwycili i skrupowali szaleńca. W Hobarcie poznano w nim jednego z dziewięciu więźniów, co zbiegli z „naturalnego miejsca odosobnienia” – Port Arthur.

Księga czwarta

Rok 1846

Wyspa Norfolk

I

Kartki z dziennika wielbego Jamesa Northa

Bmhursl, 11 lutego 1846

Kiedy przewracam strony tego dziennika, by zanotować pomyślnie wydarzenie, które mnie spotkało, dziwię się okropnej pustce mojego życia na przestrzeni minionych lat siedmiu.

Czy to możliwe, by James North chluba uniwersytetu, poeta, zdobywca nagród i Bóg wie co tam jeszcze potrafił mieszkać na tym odludziu niby zwierzę, które je, pije i nie troszczy się o jutro? A jednak to prawda. Mój świat świat, 0 którym marzyłem tak górnie zawędrował tutaj. Moja sława, co miała sięgać krańców ziemi, sięga tylko sąsiednich farm. Pośród hodowców owiec uchodzę za dobrego kaznodzieję. To bardzo ładnie z ich strony.

A przecież w wigilię odjazdu muszę przyznać, że to samotne życie nie było pozbawione uroku. Miałem do dyspozycji książki i własne myśli myśli, które niekiedy były smutnymi kompanami. Walczyłem z moją słabością 1 nie zawsze byłem zwyciężany. Nie zawsze! To brzmi żałośnie, przyrzekłem sobie jednak, że nie będę się okłamywał na tych kartkach. Przyrzekłem i dotrzymam! Nie chcę przemilczać niczego, nie chcę traktować pobłaźliwie swoich grzechów. Ten dziennik jest spowiednikiem, otwieram więc przed nim całe serce.

Dziwną satysfakcję sprawia mi opisywanie czarno na białym cierpień i tajonych pragnień, o których nie ważyłbym się mówić. Dla podobnych zapewne przyczyn mordercy zwierzają się psom lub kotom, ludzie o zbrukany sumieniu 392

mają zwyczaj myśleć głośno, a żona króla Midasa musiała opowiadać szeptem sitowiu o tajonym kalectwie swojego władcy.

Na pozór jestem sługą Pana nad Pany, człowiekiem pobożnym, szanowanym, czczonym i łagodnym. Ale kim jestem w istocie? Podłym, tchórzliwym, słabym grzesznikiem, znanym jedynie temu zeszytowi, który... Szatanie! Mogę przecież podrzeć cię na strzępy i na pewno uczynię to kiedyś. Na razie jednak będę cię trzymał pod kluczem, a ty wiernie przechowasz moje sekrety. Nie, nie, stary przyjacielu, z którym współżyję od lat... Przepraszam cię i proszę

0 wybaczenie. Zastępujesz mi żonę i kapłana-przewodnika duchowego. Twoim niebieskawym kartkom... Za ile to, łobuzie, kupiłem cię w Paramatcie?... Twoim niebieskawym

kartkom powierzam przeżycia, tęsknoty, wahania, których za nic nie powierzyłbym ludzkiemu uchu, gdybym nawet mógł znaleźć istotę ludzką równie jak ty dyskretną. Ktoś rzekł, że człowiek nie śmie spisywać wszystkich swoich myśli i uczynków, ponieważ słowa poraniłyby papier. Ale te twoje stronicie, gruby nicponiu, są całkiem gładkie, chociaż za pełnione słowami! Nasi współbracia z Rzymu znają naturę ludzką. Człowiek musi się spowiadać. Nie na próżno czyta się o łotrach, którzy przez lata kryją w sercach plugawe tajemnice po to jedynie, by rozgłosić je wreszcie. Jestem tu jak spętany, pozbawiony towarzystwa, przyjaznych uczuć, listów. Nie mogę jednak zamknąć na kłódkę swojej duszy

i karmić się wyłącznie własnymi myślami.

Czym jesteś, o nieogarniona mocy, Co zamieszkujesz w nas bez pozwolenia I w naszym wnętrzu żyjesz własnym życiem Jako pan, który pragnie tylko władać?

Czym jesteś? Sumieniem? Nie! To czcze słowo wymyślone dla straszenia dzieci. Sumienie każdego człowieka jest jego tworem. Mój przyjaciel, ludożerca o zębach rekina, przywieziony do Sydney na statku wielorybniczym Staplesa, odczuwałby gryzące wyrzuty sumienia, gdyby odmówił udziału w biesiadzie uświęconej obyczajem jego przodków. Może to iskra Boża? Może moc tę umieścił w nas Bóg, który wedle

393

przyjętej doktryny zasiada na odległym tronie i słuchając rajskiej muzyki pozwala rodzajowi ludzkiemu kroczyć ku wiecznemu potępieniu? Nie mnie brać na takie rzeczy, chociaż rozprawiam o nich w kazaniach! Niekiedy trzeba schlebiać wulgarnym wyobrażeniom tłumu. Stan kapłański ma swoje „błogosławione kłamstwa”. Przecież i nasz Zbawiciel posługiwał się podobieństwami. Może jest to rozum świadomy, jak niezrównoważone są nasze postęпки i dążenia? Ten szatański rozum, płód naszego mózgu zazdrośny o uczucie, z którego drwi nieustannie? Może szaleństwo? To bardziej prawdopodobne, bo nie istnieje chyba człowiek nie obłąkany przynajmniej przez jedną godzinę na dwanaście. Jeżeli odmienny pogląd na rzeczy zwyczajne dowodzi pomieszczenia zmysłów, to ja jestem wariatem wariatem albo mędrce. Nie! Takie rozważania graniczą z dzieleniem włosów na czworo. James North, wspomnij swoje młodzieńcze wybryki, upadek i odrodzenie. Wróć myślami na ziemię. Warunki uczyniły z ciebie to, czym jesteś, w przyszłości zaś budować będą twój los bez twojego udziału. A los ów zaczyna się pięknie kształtować!

Może to słuszne, chociaż koszarne? Może istotnie człowiek jest tylko niewolnikiem warunków? Niedaleko mi do wiary w taką doktrynę, chociaż wyznaję to niechętnie. Ale w takim przypadku jakie warunki powstały nagle i zbudziły przekonanie, że James North jest zdolny do pełnienia odpowiedzialnych obowiązków?

Ilobart. 12 stycznia

Drogi Panie North! Z prawdziwą przyjemnością donoszę, iż może Pan zająć stanowisko kapelana protestanckiego na wyspie Norfolk, jeżeli oczywiście Pan zechce. Tamtejsze władze miały jakieś nieporozumienia z obecnym kapelanem, a kiedy zwrócili się do mnie po radę, poleciłem im bez wahania Drogiemu Pana. Uposażenie jest tam skromne, ale będzie Pan miał wygodny dom i inne korzystne warunki. Stanowisko to uchodzi za szczęśliwy los na kapłańskiej loterii i niewątpliwie jest lepsze niż Bathurst.

W najbliższym czasie ma tam być przeprowadzone do-

chodzenie. Biedny stary Pratt (jak Panu wiadomo, udał się na wyspę Norfolk ulegając gorącym prośbom czynników oficjal-
394

nych) i okazał się nedorzecznie pobłażliwym dla więźniów, co stało się przyczyną opłakanego podobno stanu rzeczy. Sir Eardley rozgląda się obecnie za jakimś surowym słuźbistą, który objąłby tam komendę.

W każdym razie stanowisko kapelana wakuje, a ja zaproponowałem Pańską kandydaturę.

Cóż, trzeba się zastanowić nad tym pozornym uśmiechem losu.

19 lutego

Przyjmuję! Wiele jest do zrobienia pośród ludzi nieszczęśliwych. Może to właśnie będzie moje oczyszczenie? Władze usłyszą jeszcze o mnie, jakkolwiek śledztwo w Port Arthur zostało umiejętnie zdławione. Zwrócono się do Jamesa Northa! Widocznie rządzi teraz faraon, który nie wie nic o Józefie. Kłopotliwy człeczyna, co biadał, że ludzi na śmierć się chłoszczę, poszedł w zapomnienie – jak wszyscy.

Ileż widm musi nawiedzać ponure więzienne wybrzeża!

Biedny Burgess odszedł tam, dokąd odejść muszą wszystkie żyjące istoty. Ciekawe, czy jego duch spływa czasami ku miejscu, gdzie popełnił tyle okrucieństw?

Napisałem: „biedny Burgess”. To dziwne, ale współczujemy każdemu, kto rozstał się z tym życiem. Nieprzyjaźń gaśnie, kiedy możemy tylko wspominać urazy. Jeżeli ktoś mnie skrzywdził, sam fakt, że ów człowiek żyje, stanowi wystarczający powód nienawiści. Jeżeli ja skrzywdziłem kogoś, będę go naturalnie nienawidził po stokroć bardziej. Dlatego zapewne nie cierpię chwilami siebie największego swojego wroga, a zarazem człowieka, którego skrzywdziłem najsrożej.

Farma Dziewięć Strumieni 27

lutego, godz. 11.30

Lubię być dokładny w nazwach, datach itp. Akuratność to nie lada cnota, praktykujmy ją zatem. Farma hodowlana w odległości 90 mil od Bathurst. Mniej więcej 4000 sztuk bydła. Dostatek bez wytworności. Wiele do jedzenia, picia i czytania. Właścicielka nazywa się pani Carr. To trzydzie-stokilkuletnia osoba, dobrze zakonserwowana.

Jest bystra

395

w sensie mc intelektualnym, lecz praktycznym. Nie chciałbym być jej mężem. Niewiasty nie powinny zajmować się interesami, jeżeli chcą być kobietami, nie potworami seksualnymi. Pani Carr nie jest (jakkolwiek mogłaby być) damą z towarzystwa. Nie sądzę jednak, by zaliczyć ją można było do dobrych niewiast. Nie zdziwiłbym się wcale, gdybym usłyszał, że zna więzienie dla kobiet w Hobarcie, Otaczają ją jakaś tajemnica. Dowiedziałem się, że dawniej nazywała się pani Purfoy. Była wdową po szyprze statku wielorybniczego i wyszła za zesłańca przydzielonego jej do służby. Mąż uciekł przed pięcioma laty, gdy dobiegł końca termin jego kary. Przy obiedzie kilka słów dało mi wiele do myślenia. Pani Carr dostała tego dnia gazety z Anglii i była dziwnie roztargniona. Zdaje się, otrzymałam wiadomość o mężu powiedziała posepnie, jak gdyby usprawiedliwiając swoją małomówność.

Nie chciałbym znaleźć się w skórze pana Carra, skoro żona otrzymała o nim wiadomość. Nie wygląda na osobę, która potrafi puścić zniewagę płazem. Ale co mnie to właściwie obchodzi?

Przy obiedzie wypilem trochę za dużo, iecz nie pozwolę się wciągnąć. Co? Uśmiechasz się ironicznie? Zapewne masz

słuszność. Ale jeżeli nawet ulegnę, jutro będą mnie żarły wyrzuty sumienia.

i marca

Miejscowość zwana Jerrilang. Boli mnie głowa i serce mi krwawi. Człowiek, który zrzuca pęta rozsądku, staje się łatwym łupem wszelkich pokus.

Sydney, 20 marca

Bawię u kapitana Frere'a. Od siedemnastu dni nie zaglądałem do ciebie, ukochany i znienawidzony powierniku. Miałem szczerą ochotę nie otworzyć cię już nigdy. Czytać cię, to przywodzić na pamięć wszystko, o czym rad bym zapomnieć. Ale nie czytać cię, to zapominać o wszystkim, co winienem pamiętać przez wzgląd na swoje grzechy. Miniony tydzień zmienił mnie nie do poznania. Nie jestem już pochmurny, przygnębiony, zgorzkniały, lecz tryskam życiem i na los się nie skarżę. Dziwny przypadek

396

sprawił, że od siedmiu dni przebywam pod jednym dachem z promienną zjawą, która nawiedzała mnie od dawna. Spotkanie na ulicy, prezentacja, gościnne zaproszenie i sprawa załatwiona.

Osobliwe doprawdy są warunki kształtujące nasze przeznaczenie. Nie spodziewałem się, że zobaczę jeszcze kiedyś jasną, młodą twarz, co zachwyciła mnie niezmiernie. A do tego twarz ta uśmiecha się do mnie co dzień. Kapitan Frere powinien być człowiekiem szczęśliwym. Atoli i w tym domu znajduje się jakiś schowek ze szkieletami. Szczególny wyraz smutku, który dwukrotnie zaćmił dzisiaj to jasne czoło, nie pasuje do młodej mężatki, istoty tkliwej i radosnej z natury. A ów wytrawny znawca dyscypliny więziennej robi na mnie wrażenie pasjonata i gbura. Urocza mała Sylwio, to mąż nieodpowiedni dla ciebie! Masz zbyt wrażliwą duszę, zbyt delikatną urodę. A jednak jest to niewątpliwie małżeństwo z miłości.

21 marca

Odkąd tu zamieszkałem, czytuję co wieczór modlitwy domowe i czuję się winowajcą mimo czarnego surduta i białego halsztuka. Próbuje odgadnąć, co rzekłaby młoda dama o niewinnych oczach, gdyby wiedziała, że jestem podłym obłudnikiem, bo głoszę z kazalnicy cnoty, których nie praktykuję, i skłaniam bliźnich do wiary w cuda, w które nie wierzę. Tchorz ze mnie, nie śmiem zrzucić maski świątobliwości i głośno przyznać się do wolnomyślicielstwa. Ba! Wmawiam w siebie, że postępuję tak przez wzgląd na chwałę Bożą. Zgorszenie wywołałaby przecież wieść, że kapłan zdeklarował się jako niedowiarek. Strata byłaby większa niż korzyść. Na przykład wiara tej ufnej, pobożnej kobiety pani Frere - ucierpiałaby z racji takiego grzechu, chociaż zgrzeszyłaby nie ona. „A kto by zgorszył jednego z tych małych, lepiej mu, aby zawieszono kamień młyński u szyi jego i zatopiono go w głębokości morskiej”. Tak czy inaczej prawda zostaje prawdą i człowiek winien dawać jej świadectwo. Czy na pewno, mój przekorny powierniku? Czemu przypominasz mi, że często prawdy nie mówiłem? Przecież w armii czarnych surdutów, dowodzonej przez naszych biskupów, muszą być kapłani podobni do mnie - kapłani,

397

którzy nic potrafią zmusić swojego umysłu do wiary w sprawy sprzeczne z doświadczeniami ludzkości., przeciwne prawom przyrody i fizyki.

22 marca

Prozaiczny kapitan Frere ma romantyczną przeszłość i lubi o niej napomykać. W młodości liczył na ogromny spadek po wuju, który poróżnił się ze swoim synem. Ale wuj

umarł w dniu wyznaczonym na zmianę ostatniej woli, a syn zniknął i podobno utonął. Wdowa nie mogła uwierzyć w śmierć zaginionego, a że ma dożywocie na całej fortunie, uparcie broniła jej przed wszelkimi zakusami. Mój biedny gospodarz opuścił kraj, aby w Australii żyć tylko z gaży. Trzy lata temu, kiedy zaczynał mieć nadzieję, że ciotka rychło umrze, a on jako najbliższy krewny będzie mógł zgłosić prawa do części schedy, syn marnotrawny odnalazł się, został poznany przez matkę i objął w posiadanie swoje dziedzictwo!

Druga romantyczna historia to małżeństwo państwa Frere. Pewnego wieczoru kapitan opowiedział mi, że jego żona znalazła się w dzieciństwie na bezludnym wybrzeżu, on zaś uratował jej życie i wyrwał biedaczkę z łap jakiegoś zbiegłego więźnia, jednego z tych potworów, jakie wytwarza nasz okrutny system penitencjarny.

No i tak zaczęła się nasza miłość dorzucił pociągając ze smakiem wino.

To dobry omen powiedziałem i pomyślna wróżba na przyszłość.

Przytaknął tylko skinieniem głowy. Nie cierpi, zdaje się, na przerost mózgu.

Spróbuję teraz dać jaki taki opis tego uroczego zakątka oraz jego mieszkańców.

Długi biały dom otoczony tonącym w kwiatach ogrodem. Z szerokich okien widok na piękny trawnik. W dole szumi wspaniałe morze --• to samo zawsze, a przecież co godzina inne. Jest wieczór. Rozmawiam z panią Frere o teoriach naprawy społecznej, o galeriach obrazów, zachodach słońca, modnych książkach. Na zwirowanym podjeździe zgrzytają koła. To kapitan-sędzia wraca od swoich spraw związanych z dyscypliną więzienną. Słyszemy jego

398

szybkie kroki na schodach, lecz me przerywamy gawędy.

(Sądzę, że niegdyś młoda pani wybiegała na spotkanie męża.)

Maurycy Frere wchodzi do salonu, chłodno całuje żonę i niezwłocznie zakłóca tok naszych myśli.

Straszny dziś upał! Co słyhać, panie North? Nie ma pan jeszcze wiadomości o terminie wyjazdu? Wiesz, Sylwio, spotkałem w mieście panią Golightly. Pytała o ciebie.

Niedługo będzie bal w Pałacu Rządowym. Musimy pójść.

Potem wychodzi, a my słyszemy niebawem, jak klnie gdzieś

w głębi domu, ponieważ woda nie jest dość gorąca albo

Dawkins, lokaj-zesłaniec, nie wyczyścił spodni jak należy.

Podejmujemy przerwana rozmowę, ale on wraca wnet

głodny, zadowolony z siebie, starannie uczesany.

Ha! Obiad! -- woła. -- Głodny jestem jak wilk!

North, niech pan poda ramię mojej żonie. Przy stole padają związane zdania:

North, proszę przysunąć mi sherry. Sylwio, zupa znów do niczego. Wychodziłaś dziś z domu? Co? Nie

wychodziłaś? Gniewnie marszczy brwi, ja zaś prawie słyszę

jego myśl: „Znowu musiała czytać jakieś bzdurne

powieści-dło". Atoli uśmiecha się z przymusem i zaczyna

opowiadać, jak to policja „capnęła” Billa Kakadu

niepoprawnego zbiega, co długo ukrywał się w buszu i żył z rozboju.

Po obiedzie długo rozmawiam ze znawcą dyscypliny

więziennej o psach, koniach, kogutach bojowych, zesłań-

cach, drobnych wydarzeniach dnia powszedniego. Pragnę

być na poziomie gospodarza, przypominam więc sobie

dawne uniwersyteckie lata i rozprawiam na temat gier

sportowych. Ach, jakimiż obłudnikami jesteśmy my, ludzie!

Przez cały czas marzę, by znaleźć się w salonie i wobec pani

domu dokończyć krytycznej oceny utworów nowego poety, pana Tennysona. Frere nie zna wierszy Tennysona. Nie czytuje niczych wierszy.

W salonie gawędzę do kolacji (kapitan zwykł jadać kolację) z panią Frere. To urocza osoba, a gdy mówię ze swadą (wiesz, powierniku, że nie brak mi daru słowa), na jej twarzy dostrzegam wyraz zainteresowania rzadki przy innych okazjach. Jej towarzystwo daje mi spokój, łagodzi gorączkę wewnętrzną. Bezpretensjonalna wytworność jej

399

domu to po Bathurst, hodowcach i bydło jakby cień wyniosłej skały na skwarnej, monotonnej pustyni. Pani Frere liczy sobie około dwudziestu pięciu lat. Jest wzrostu niżej średniego i ma smukłą, wiotką figurę. Na pierwszy rzut oka wygląda jak podłotek, a wrażenie to potęgują jasnobłond włosy i błękitne oczy. Ale podczas rozmowy widać, że utraciła już świeżą, różaną cerę, jaką musiała niewątpliwie olśniewać we wczesnej młodości. Raz była matką, lecz urodziła nieżywe dziecko. Obecnie policzki ma zapadłe, a wzrok jej wyraża smutek świadczący o cierpieniach fizycznych i moralnych. Przy zapadłych, mizernych policzkach oczy wydają się większe niż naprawdę, a czoło szersze. Jej białe dłonie zapewne kształtne niegdyś i pulchne są teraz przerażająco chude, a ciemna purpura ust dowodzi ustawicznej gorączki.

Chwilami zdaje mi się, że kapitan Frere wchłonał wszystkie siły witalne żony. Kto to przytoczył opowieść o Lucjuszu Klaudiuszu Hermippie, co dożył bardzo sędziwego wieku dzięki temu, że wciąż spowijał go oddech młodych dziewcząt? Chyba Burton, który lubi cytować wszystkich i wszystko. W każdym razie ten człowiek jak gdyby przejmuje młodość i ożywienie, które ona traci. Ma co najmniej czterdzieści pięć lat, lecz nie wygląda nawet na trzydzieści. Twarz czerstwa, wzrok bystry, głos dźwięczny, stentorowy. Musi być bardzo silny i że się tak wyrażę, cieszyć się nieprzeciętną zwierzęcą odwagą i zwierzęcym apetytem. Jest wysoki, postawny, barczysty. Ma rude faworyty i rudawe włosy, ledwo ledwo przyprószone siwizną. Hałaśliwy, władczy, do grubiaństwa pewny siebie, mówić potrafi tylko 0 koniach, psach, kogutach i zesłańcach. Osobliwie dobrana para!

30 marca

Nadeszły wiadomości z Kraju Van Diemena.

Czuć smród w tym kotle powiedział Frere właściwym sobie niewybrednym stylem.

Jak się okazało, inspektor generalny kolonii karnych wydelegował jakiegoś pana Pounca na wyspę Norfolk

1 polecił mu zbadać panujące tam stosunki. Ja mam się zabrać z tym dygnitarzem, wobec czego Frere napisał do

400

niego, aby po drodze wstąpił do Sydney. Od tej pory rozmawiamy wyłącznie o dyscyplinie więziennej. To konik mojego gospodarza, który zanudza mnie opowieściami o przeróżnych łajdactwach i podstępach zesłańców. Jest autorytetem w tej plugawej dziedzinie wiedzy. Służba nienawidzi go, ale słucha bez szemrania. Nic dziwnego. Przestępca, podobnie jak dziki zwierz, drży zazwyczaj przed kimś, kto raz zdołał go poskromić. Nie zdziwię się, jeżeli władze Kraju Van Diemena powierzą Frere'owi przywrócenie porządku na wyspie Norfolk. Mam nadzieję, że to nie nastąpi, zarazem jednak żywię tajone pragnienie, by nastąpiło.

4 kwietnia

Do dziś nie zaszło nic ciekawego. Jadłem, piłem i spałem. Mimo czterdziestu siedmiu lat zaczynam czuć się podobnie

jak ów James North, który był mistrzem boksu i zdobywcą złotych medali. Woda to cudowny trunek! Ale wracajmy do ciekawszych wydarzeń. Dziś zdziwiły mnie niemało dwa odkrycia. Pierwsze: zbiegłym więźniem, który nastawał niegdyś na życie pani Frere, był Rufus Dawes biedak, którego twarz prześladuje mnie jak żywy wyrzut sumienia, gdyż z winy mojej karygodnej słabości otrzymał chłostę w Port Arthur. Drugie: Frere jest dawnym znajomym pani Carr. Tę wiadomość zdobyłem przypadkiem.

Wieczorem, kiedy na pewien czas zostaliśmy sami, zaczęliśmy rozmowę o sprytnych i mądrych kobietach. Byłem zdania, że nadmierny rozwój umysłowy pozbawia kobietę cech przyrodzonych jej naturze.

Pożądanie mężczyzny mówiłem winno być u kobiety pragnieniem, rozumowanie – intuicją, szacunek uwielbieniem, namiętność miłością. Należy, by kobieta odpowiadała ukochanemu w tej samej kadencji, lecz w subtelniejszym tonie. Mężczyzna dysponuje siłą rozumowania, kobieta wrażliwością odczucia. Kobieta obdarzona męskim umysłem jest bez wątpienia nienormalna.

Frere nie rozumiał mnie nawet w połowie, zapewne jednak zgodził się z ogólnym tokiem myśli.

401

Znałem tylko jedną, jak się to mówi, „babę z głową na karku” powiedział. Przyznaję, że to była szelma. Wcale nie musiała być szelmą.

Dożywotnie zesłanie

Ale była. Skończona szelma, panie North. Miała też spryt i rozum, bodaj ją lichy! No i urodę.

Wyraz twarzy gospodarza zdradził, że ma jakieś niemiłe wspomnienia związane z ową „szelmą”, jałem więc ciągnąć go za język.

Mieszka podobno gdzieś na wsi odparł. Wyszła za zesłańca przydzielonego jej do służby, za jakiegoś Carra. Od lat jej nie widziałem i nie mam pojęcia, jaka jest teraz, ale dawnymi laty odpowiadała kubek w kubek pańskiemu opisowi (nawiasem mówiąc, nie opisywałem nikogo ani niczego). Przyłączyliśmy się z Anglii jednym okrętem. Była pokojówką nieboszczki matki mojej żony.

Omam nie przyznałem się do znajomości z panią Carr, ale sam nie wiem czemu, ugryzłem się w język. Mężczyźni pokroju Frere'a mają wspomnienia, których nie należy odświeżać. Odniosłem wrażenie, iż tak jest w danym przypadku, bo kapitan zmienił nagle temat rozmowy, gdy jego żona wróciła do salonu. Czy ów znawca dyscypliny więziennej i żona zesłańca byli w młodości czymś więcej niż dobrymi znajomymi? Bardzo możliwe. On jest typem mężczyzny, do którego pasują niewybredne miłostki, łatwo więc mogła go oczarować ta bystra, ciemnooka kobietka. (Ładnie, mój spowiedniku, oczerniać tak gospodarza!) Może podobne sprawy są jednym z powodów bolesnego wyrazu oczu pani Frere? Ale po co się nad tym zastanawiać? Pisząc o takich podejrzeniach zadręczam samego siebie, bo zdaje mi się, że ją znieważam. Nie należę przecież do sekty biczowników.

7 kwietnia

Przyjechał pan Pounce niebywale przejęty ważnością swojej misji. Chodzi z miną ministra stanu w wigilię przyznania wakującego Orderu Podwiązki: oblicza szansę, wątpi, nabiera nadziei i jest dostojski nawet w swojej niepewności. Chichoczę niby pensjonarka na myśl o tym napuszonym urzędniku, a przecież zdaje sobie sprawę z powagi czekającego go zadania. Cóż, takie łamańce umysłowe przynoszą niekiedy ulgę. Pamiętam więźnia z Hobartu, który dwukrot-

nie był skazany na śmierć i dwukrotnie ulaskawiony. Kiedy trzeci wyrok uprawomocnił się nareszcie, biedak skakał

402

i krzyczał z radości. Powiedział mi przed egzekucją, że gdyby zachował się inaczej, musiałby popaść w obłąd.

10 kwietnia

Mieliśmy dziś galowy obiad i rozmowa obracała się wyłącznie wokół zesłańców. Nie widziałem nigdy pani Frere gorzej usposobionej. Była roztargniona, smutna, milcząca. Powiedziała mi później, że z racji przykrych skojarzeń nie znosi nawet brzmienia wyrazu „zesłaniec”.

Spędziłam wśród nich całe życie -- mówiła -- ale to nie poprawia stanu rzeczy. Z zesłańcami łączą się dla mnie dziwne ułudy na pograniczu wspomnień. Boję się tych ludzi i przeczuwam, że coś straszego spotka mnie z ich ręki.

Próbowałem żartować, lecz nie przyniosłem ulgi pani Frere. Powtórzyła swoje zdanie i spojrzała na mnie pełnymi grozy oczyma.

Pani jest zdenerwowana powiedziałem. -- Powinna pani odpocząć.

Tak, jestem zdenerwowana przyznała. -- A także mam złe przeczucia.

Milczeliśmy przez chwilę. Potem młoda kobieta zwróciła ku mnie szeroko otwarte oczy i zapytała spokojnie: Panie North, jaką śmiercią zginę?

Było to niczym echo moich myśli, wzdrygnąłem się więc zaskoczony. Zadawałem sobie w duchu to samo pytanie, bo mam niemądre pretensje, że znam się na fizjonomistyce. Istotnie! Jaką śmierć można spotkać z tak szeroko otwartymi oczyma, z rozchyłonymi wargami, ze zmarszczonym czołem? Na pewno nie śmierć spokojną i łagodną.

Na pomoc przywołałem mój czarny surdut.

Śmierć, droga pani, to tylko sen. Dlaczego mamy spodziewać się koszmarów?

Ocknęła się jakby z przelotnego transu. Z wysiłkiem pohamowała łzy i po krótkiej rozmowie na jakiś zdawkowy temat znalazła pretekst, by usiąść do fortepianu. Zagrała walca z burzliwym rozmachem, ale wydaje mi się, że zakończeniem wybuchu nienaturalnej wesołości był atak histeryczny. W nocy słyszałem głos kapitana Frere'a, który wołał o sole trzeźwiące. Ten człowiek zaleciłby sole trzeźwiące nawet Pytii delfickiej, gdyby to od niego zależało.

403

26 kwietnia

Przygotowania skończone. Jutro ruszamy. Fan Pounce jest godny nie do zniesienia. Boi się ruszyć żywiej, aby nie skruszyć lodów urzędowej powagi. Nie pozwala sobie oczywiście na poufałości z osobą tak nieznaczną jak kapelan kolonii karnej. Rani to moją miłość własną, ale łagodzi nudę. Pytanie: czy dla większości ludzi brak zainteresowania ze strony dygnitarza nie jest gorszy niż jego nudne towarzystwo? James North odmawia odpowiedzi we własnym imieniu.

Pożegnałem już moich gospodarzy i na wspomnienie miłych chwil spędzonych w ich domu zrobiło mi się smutno.

Chyba niewiele podobnych godzin czeka mnie w życiu.

Czuję się jak włóczęga zaproszony na krótki czas do ciepłego domu i posadzony przy ogniu trzaskającym rażno na kominku, a następnie wygnany na zimną, wilgotną ulicę, która wydaje mi się jeszcze bardziej wilgotna i zimna.

Rozdział skończony. Teraz na wyspę Norfolk do mojego czyścica!

1! Zaginiony

spadkobierca

Zaginiony syn sir Ryszarda Devine'a powrócił do Anglii i upomniał się o swoje dziedzictwo i nazwisko. Czyli, innymi słowy, John Rex zrealizował plan od dawna uknuty i wkradł się w prawa dawnego towarzysza niedoli.

Pałac cygaro w swoim kawalerskim apartamencie lub przerywając na chwilę rozważania na temat wyścigów konnych John Rex dziwił się często łatwości, z jaką przeprowadził szalbierstwo tak niezwykle i na pozór niewykonalne. Kiedy opuścił w Sydney statek wysłany na ratunek przez panią Purfoy, znalazł się w pętach niemal równie uciążliwych jak te, które niedawno zrzucił w pętach narzuconego

404

związku z kobietą nie kochaną. Jeden z zesłańców przydzielonych Sarze do służby umarł w porę, co umożliwiło podstawienie na jego miejsce Johna Rexa. W owym czasie stosunki w Nowej Południowej Walii były pierwotne i nie unormowane, a zesłańcy często zawierali związki małżeńskie z wolnymi osadnikami. Wobec tego nie zdziwiła nikogo wiadomość, że pani Purfoy, wdowa po kapitanie statku wielorybniczego, poślubiła swojego magazyniera, Johna Carra, który był zesłany za sprzeniewierzenie i miał przed sobą jeszcze dwa lata kary. Po upływie tego czasu pan Carr, człowiek wolny oraz posiadacz pięknej żony i pięknej fortuny, znalazłby niewątpliwie licznych przyjaciół skorych do umożliwienia mu pobytu w Australii. Ale Dandys nie myślał długo zagrzać miejsca i nieustannie szukał sposobów ucieczki z ponownego więzienia. Przez czas niejaki poszukiwania te nie wiodły do niczego. Sara Purfoy niewątpliwie kochała łajdaka, lecz mówiła bez skrpułów, że kupiła go i uważa za swoją własność. Rex zdawał sobie sprawę, że gdy popróbuje zrzucić małżeńskie okowy, kobieta, co ryzykowała dlań tak wiele, nie zawaha się wydać go władzom. Wystarczy, by opowiedziała, jak to śmierć Johna Carra pozwoliła jej dać nazwisko i pracę zbiegłemu więźniowi. Rex sądził zrazu, że żona nie może oskarżyć męża, ale Sara przypominała mu w porę, iż Blunt też potrafi dorzucić swoje. Wiem, mój miły, że już o mnie nie dbasz – dodała. Ale twoje życie jest w moim ręku. Jeżeli mnie opuścisz, wyprawię cię na szubienicę.

Daremnie biedak wił się i pinił ze złości. Miał spętane ręce i nogi. Żona trzymała mocno jego pieniądze (pomnożone w dwójnasób dzięki swemu sprytowi) i władała nim absolutnie. Mógł jedynie oczekiwać jej śmierci albo szczęśliwego wypadku, co wróci mu wolność i pozwoli wprowadzić w życie plan od dawna powzięty.

„Jak się od niej uwolnię – medytował podczas samotnych przejazdów po farmie hodowlanej należącej nominalnie do niego wszystko pójdzie jak z płatka. Wrócę do Anglii z ładną bajeczką o katastrofie na morzu i na pewno zostanę przyjęty z otwartymi ramionami przez kochaną mamusię, która wygląda mnie od dawna. Tak! Ryszard Devine musi znów wypłynąć na wierzch!”

405

Ale „uwolnienie się od niej” nie było łatwe. Dwa razy próbował uciekać bez powodzenia.

Kupiłam cię, John – mówiła uciążliwa towarzyszka życia. Nie odczepisz się ode mnie. Powinieneś być zadowolony, bo do niedawna musiałeś poprzestawać na mniej przyjemnym życiu. Nie jestem przecież brzydka i odrażająca, prawda?

Żre mnie nostalgia, Saro odpowiedział pewnego razu. Jedźmy do Anglii.

Do Anglii? powtórzyła bębniąc w blat stołu długimi, białymi palcami. ~- O nie, mój miły! Rozumiem, że

życzysz sobie tego. W Anglii ty byłbyś panem. Zagarnąłbyś pieniądze, a mnie puścił z torbami. Dobrze cię znam, John! Zostaniemy tu, gdzie mogę cię w każdej chwili wydać pierwszemu lepszemu żołnierzowi, jeśli będziesz dla mnie niegrzeczny.

Diablica!

Możesz mi wymyślać, Jack, jeżeli sprawia ci to przyjemność. Bij mnie, jeżeli chcesz, ale nie porzucaj, bo źle będzie z tobą.

Dziwna z ciebie kobieta! zawołał Rex ulegając trwożnemu podziwowi.

Czy dlatego, że kocham takiego łajdaka? Bo ja wiem... Kocham cię właściwie za to, że jesteś łajdakiem. Ktoś lepszy byłby dla mnie nudny i męczący.

Po diabła uciekałem z Port Arthur? Lepsze ciężkie roboty niż takie psie życie.

A więc wróć do Port Arthur. Wystarczy, że powiem słowo.

Tak zmagali się z sobą. Ona upajała się władzą nad człowiekiem, który był niegdyś jej tyranem. On znajdował pociechę w myśli, że rychło nadejdzie czas, który przyniesie mu wolność i majątek zarazem.

Pewnego dnia los uśmiechnął się do Rexa. Korzystając z choroby żony niewdzięcznik ukradł pięćset funtów i dwa konie i bez przeszkód dotarł do Sydney, gdzie opłacił przejazd do Rio de Janeiro.

Zrzuciwszy jarzmo Dandys z ostrożnością i rozważą przystąpił do gry o wielką stawkę swojego życia. Udał się na kontynent europejski, by przemieszkować tygodniami w mia-

406
stach, które odwiedzał niegdyś Ryszard Devine. Pilnie utrzymywał w pamięci ich ulice, zawierał znajomości ze starymi mieszkańcami, zbierał skąpe nitki wiadomości, które pomóc mu mogły przy wiązaniu oczek sieci. Ale nitek tych znajdował niewiele, gdyż syn marnotrawny sir Ryszarda był za mało bogaty, za mało ważny, by zostawić po sobie żywą i trwałą pamięć. Rex zdawał sobie sprawę, jak błaha na pozór zdarzenia grożą niebezpieczeństwem człowiekowi, który podszysza się pod kogoś innego. Może zjawić się nagle jakiś dawny kolega lub towarzysz hulanki zaginionego i pytaniem o drobiazg przeciąć pajęczynę kłamstw tak łatwo, jak miecz Saladyna rozdzielił niegdyś powiewną jedwabną kotarę. Uzurpator nie mógł pozwolić sobie na nieznaną drogę drobiazgów. Powoli, pracowicie budował fragmentami opowieść, co miała wprowadzić w błąd stęsknioną matkę, jego zaś uczynić posiadaczem jednej z największych w Anglii fortun prywatnych.

A oto historia rzekomego Ryszarda Devine'a. Po tragicznym pożarze „Hydaspesa” został uratowany przez statek płynący do Rio. Nie wiedział jednak o śmierci ojca, a powodowany dumą – dominującym rysem swojego charakteru postanowił nie wracać do kraju, póki nie zdobędzie bogactw przynajmniej równych schedzie, jakiej go pozbawiono. W Ameryce hiszpańskiej daremnie próbował się dorobić. Harował przez czternaście lat jako vaquero, podróżnik, spekulant, żeglarz – ale wszędzie spotykały go niepowodzenia. Zawiedziony i skruszony wrócił do kraju, by znaleźć skrawek ojczyźnej ziemi i złożyć w nim strudzone kości.

Opowieść była prawdopodobna, prosta i nie groziła potknięciami. Trudno sobie wyobrazić, by nawigator z „Rybołowa”, mieszkaniec Chile i poganiacz bydła z Australii nie znał się dostatecznie na żegludze, obyczajach hiszpańskich lub konnej jeździe. Ponadto Dandys obrał metodę po-

stępowania dowodząca gruntownej znajomości natury ludzkiej.

Ostatnia wola, na której podstawie Ryszard Devine dziedziczył majątek, była sporządzona w 1807 roku, kiedy testator upajał się niedawnym ojcostwem. Zabezpieczona na rzecz lady Devine roczna renta w wysokości trzech tysięcy

407
funtów miała obciążać masę spadkową oddaną w ręce dwu powierników do czasu, gdy Ryszard Devine umrze lub ukończy dwudziesty piąty rok życia. Następnie lady Devine otrzyma sto tysięcy funtów (które umieszczone w obligacjach rządowych przyniosą dochód równy utraconej rencie), a reszta ogromnego majątku przypadnie Ryszardowi Devine'owi, jeżeli żyć będzie, albo jeżeli umrze, jego dzieciom lub innym najbliższym spadkobiercom. Wykonawcami testamentu i powiernikami masy spadkowej wyznaczeni zostali: ojciec lady Devine, pułkownik Wotton Wade, i pan Silas Quaid, długoletni notariusz i doradca prawny sir Ryszarda Devine'a. Za zgodą Quaida pułkownik przed zgonem mianował swoim następcą syna, pana Francisa Wade'a. Kiedy stary prawnik umarł, spadkobierca jego kancelarii zrezygnował z praw do powiernictwa i za zgodą lady Devine wyłącznym kuratorem został pan Francis Wade. Siostra sir Ryszarda oraz jej mąż, Antoni Frere z Bristolu, nie żyli już od dawna, a ich syn Maurycy, zadowolony wreszcie ze zdobytej samodzielnie pozycji, przestał zaprzętać sobie głowę niedoszłą schedą po zmarłym wuju. Wobec tego John Rex wcielony w zaginionego Ryszarda Devine'a musiał oszukać tylko dwie osoby: rzekomą matkę oraz jej brata.

Zadanie to okazało się nad wyraz łatwe. Francis Wade, słabowity i wiekowy już miłośnik sztuki, nie cierpiał praktycznej strony życia, a jedyną jego ambicją była opinia człowieka o doskonałym smaku artystycznym. Był niezależny materialnie i od śmierci ojca mieszkał w North End, która to rezydencję zamienił w miniaturowe muzeum. Kiedy na gorące prośby siostry przyjął wyłączną odpowiedzialność za ogromny spadek po sir Ryszardzie, ulokował cały płynny kapitał w trzyprocentowych obligacjach rządowych i zadowolony się narastaniem zysków.

Lady Devine nigdy nie przyszła do siebie po wstrząsie wywołanym niezwykle okolicznościami śmierci męża. Wierzyła niezłomnie, że jej syn żyje, siebie zaś uważała za strażniczkę jego fortuny i gotowa była oddać mu ją niezwłocznie, gdy powróci. Brat i siostra mieszkali razem, wydawali czwartą część wspólnych dochodów na dobroczynność i powiększanie zbiorów w North End. Obydwoje powitali radośnie zaginionego spadkobiercę. Powrót jego

408
równał się dla lady Devine spełnieniu najdroższych nadziei, a Francisa Wade'a zwalniał od niemiłej odpowiedzialności za cudze sprawy majątkowe.

Nie zamierzam wtrącać się do twoich posunięć, drogi wuju powiedział John Rex pierwszego wieczora po przyjęciu na łono rodziny. – Byłoby to niedelikatne w najwyższym stopniu. Mam bardzo skromne potrzeby, łatwe do zaspokojenia. Przy sposobności pomówię z twoimi doradcami prawnymi i wszystko jakoś załatwię.

Pomów z nimi zaraz, Ryszardzie, chociażby jutro. Jak wiesz, nie jestem człowiekiem interesu, ale spodziewam się, że swoje sprawy zastaniesz w doskonałym porządku. Ale Ryszard odkładał wizytę z dnia na dzień. Chciał mieć jak najmniej do czynienia z prawnikami, a ponadto obmyślił inną metodę postępowania. Miał zamiar brać od matki pieniądze na bieżące wydatki, a po jej śmierci wejść gładko

w posiadanie całej schedy.

Mam za sobą ciężkie życie, droga matko, nie nadaję się więc do salonów – mówił. – Nie należy robić hałasu wokół mojego powrotu. Wystarczy, gdy dasz mi w swoim domu kącik, gdzie będę mógł spokojnie palić fajkę. Ku zdziwieniu uzurpatora lady Devine godziła się na wszystko z tkliwością i współczuciem, toteż „panicz Ryszard” począł niebawem uchodzić za ofiarę przeciwności losu i człowieka, który zdaje sobie sprawę z własnych braków, a więc z racji tych braków nie powinien być lekceważony. Miał własne apartamenty w domu matki, własną służbę, własny rachunek bankowy. Jadł, pił i cieszył się życiem.

Przez pięć lub sześć miesięcy uważał, że trafił do raju. Następnie życie, jakie prowadził, zaczęło go nieznośnie dręczyć. Jarzmo obłudy jest trudne do dźwigania, a biedny Dandys musiał je dźwigać nieustannie. Lady Devine wymagała, aby poświęcał jej wiele czasu. Z uwagą słuchała słów syna marnotrawnego, po pięćdziesiąt razy kazała sobie powtarzać dzieje przygód i wędrówek. Obsypywała go pocałunkami, płakała nad jego niedolą, wylewnie dziękowała mu za „ofiara”, jaką uczynił dla niej ze swojego życia. Przynieśliśmy sobie, Ryszardzie, że nie będziemy nigdy o tym mówić – powiedziała pewnego razu nieszczęs-

409

liwa dama. Jeżeli jednak dozgonną miłością zdołam okupić krzywdę, którą ci wyrzodziłam...

Wystarczy, droga matko przerwał jej John Rex nie wiedząc zgoła, o czym mowa. Najlepiej dotrzynamy przyrzeczenia.

Lady Devine popłakała chwilę, a potem wyszła i zostawiła domniemanego syna w niepewności i strachu. John Rex zrozumiał, że Ryszard i jego matka mieli jakąś tajemnicę dla niego nie do zgłębienia. Atoli dnie mijały, a sędziwa dama nie powracała do tematu, wobec czego Dandys uspokoił się i stopniowo zapomniał o dręczącej go trosce.

W początkowych stadiach swojej fałszywej roli Rex był nieśmiały i ostrożny. Ale z czasem zbawienny wpływ dobrobytu, szacunku ludzkiego i bezpieczeństwa podziałał nań i niemal go ucywilizował. Zaczynał czuć się podobnie jak za czasów pana Lionela Croftona. Przeżywał jednak nowe, nie znane dotąd uczucia. Kochająca kobieta opiekowała się nim czule, obsypywała pocałunkami, nazywała synem. Ludzie prości spoglądali nań z podziwem, osoby na świeczniku z zazdrością i szacunkiem. Otoczenie ulegało mu we wszystkim, a było tak dobre, że chwilami szalbierz miał ochotę wyznać wszystko i zdać się na łaskę i niełaskę oszukanych. Rozumiał jednak, że taki krok byłby szaleństwem. Jemu przyniosłoby zgubę, a nikomu nie dałby korzyści. Prawdziwy Ryszard Devine, zmyty falami licznych kar, utonął w niezgłębionym oceanie dyscypliny więziennej. Uzurpator pocieszał się myślą, że ograbił z nazwiska człowieka nie należącego właściwie do żywych ?-?? który nie wróci nigdy, aby go oskarżyć, chyba że wstanie z grobu. Wierzył w to istotnie, a więc stopniowo stawał się coraz śmielszy i objawiał prawdziwą naturę. Zaczynał traktować służbę po grubiańsku, używać ordynarnych wyrażeń, dręczyć bez potrzeby psy i konie, bezmyślnie lekceważyć cudze uczucia. Lady Devine, jak większość kobiet, powodowała się wyłącznie sercem, zrazu więc darzyła miłością człowieka, w którym widziała ciężko pokrzywdzonego syna. Ale jego egoizm, chamstwo, brak opanowania zrobiły swoje. Przez czas pewien nieszczęśliwa kobieta prowadziła walkę wewnętrzną, próbowała

pokonać instynktowną odrazę. Przekonywała się, że popełni
410

zbrodnię, jeżeli ulegnie wzrastającej niechęci. Na koniec jednak musiała skapitulować.

Przez pierwszy rok pan Ryszard prowadził się nienaganie. W miarę jednak jak rósł krąg jego znajomych oraz wiara we własne siły, poczynał chwilami zapominać o odgrywanej roli. Pewnego dnia wybrał się na przyjęcie do znajomego z wyścigów, który był dumny, że może gościć u swego stołu człowieka tak bogatego i niezwykłego. Pan Ryszard przebrał miarkę i do domu wrócił zupełnie pijany. Był obrzydliwy, bo nie miał daru upijania się na wesoło i nietrzeźwość dobyteła na jaw prawdziwego Johna Rexa ordynarnego brutalą. Kiedy przywiózł go wolant, pan Francis Wadę był nieobecny, a lady Devine dawno już spała. Pan Ryszard zwymyślał na pożegnanie stangreta, a starego, poczciwego kamerdynera, który drzwi otworzył, uderzył pięścią w piersi i kazał mu podać brandy. Potem pijak zatoczył się do jadalni i zażądał „więcej światła”, kiedy zaś przyniesiono świece, począł zabawiać się opryskując płynnym łojem dywany.

Urządzi się luminacje! wrzeszczał. — Luminacje!

Zabłoconymi butami deptał po wyściełanych fotelach i rysował polerowany blat stołu, zatykając świece w srebrne kinkiety i żyrandole, którymi rozmiłowany w antykach gospodarz domu przyozdobił jadalnię.

Wielmożny pan połamie stół — zaoponował nieśmiało stary sługa.

Do diabła ze stołem! Kupi się nowy! Co cię, u licha, stół obchodzi? — czknął przeciągle. — Aha... Żebym miał bat pod ręką, nauczyłbym cię skakać. Gdzie brandy, do cholery?

Tutaj, panie Ryszardzie.

Kropnij sobie, co? Dobry trunek na frasunek!

Ruszaj się! Sprowadź służbę. Urządzimy tańce. Tańczysz, Tomkins?

Nie, panie Ryszardzie.

To się musisz nauczyć, stary ciemiego! Będiesz tańczył jak lalka. Rozumiesz, Tomkins? Hej! Mary! Susan! Janet! William! Chodźcie tu wszyscy! Do mnie! — Ryszard Devine zaczął wrzeszczeć i kłać ohydnie.

Czy nie lepiej byłoby pójść do łóżka, panie Ryszardzie? Już późno — powiedział Tomkins.

411

Nic! krzyknął były zesłaniec. Nie pójdę do łóżka. Mam dosyć chodzenia spać z kurami. Urządzimy luminacje, rozumiesz, Tomkins? Ja tu rządę. Ja jestem panem. Nazywam się Ryszard Devine! Może nie? Co? Ależ tak, tak... panie Ryszardzie wyjąkał biedny kamerdyner.

Pewnie, że tak. A ty, Tomkins, musisz o tym pamiętać. Nie jestem żaden dziad-przybłęda, tylko dżentelmen, prawdziwy dżentelmen. Rozumiesz, Tomkins? Widziałem kawał świata. Wiem, co robię. Poznałem życie. Rozumiesz, Tomkins? Poczekaj, niech no stara zdechnie, a zobaczysz, kto jestem.

Butelka z brzękiem wylądowała w kominku. Pijak zaczął znów kłać i odgrażać się, co to on robi, jak wejdzie w posiadanie majątku.

Dawać więcej brandy, żywo! Zapalić światła w salonach! Urządzimy tańce. Jestem urzędnicy. No to co? Jakbyś, Tomkins, przeszedł tyle co ja, urzynałbyś się chętnie. Mam głupią gębę? zwrócił się do własnego odbicia w lustrze. ?- No to co? Nie jestem głupi, a przynajmniej nie będę.

Wynosz się, ty uśmiechnięty durniu! pięścią rozbił lustro. Wynosz się! Nie rób takiej miny. Hej! Orkiestra! Gdzie stara? Sprowadz ją, Tomkins! Ruszaj się! Urządzimy tańce! Albo ja pójdę!

Lady Devine śpi od dawna, panie Ryszardzie za-wołał Tomkins zagradzając drogę szaleńcowi.

Wyciągniemy babę z łóżka! ryknął John Rex i skoczył w stronę drzwi.

Kamerdynier spróbował go zatrzymać, ale odtrącony runął na serwantkę pełną saskiej porcelany. Pijak pobiegł ku schodom, lecz zatrzymali go inni służący. Zrobił się nieopisany zamęt. Trzaskały drzwi, migały przenoszone świece, pokojówki wrzeszczały przerażone i pytały, czy to pożar.

Nagle na podeście pierwszego piętra stanęła lady Devine i spojrzała z góry na piekielną scenę. Zobaczywszy „matkę” Rex począł lżyć ją okropnie, ona zaś cofnęła się do sypialni. Wreszcie obezwładniony przez służbę szalenię zakrwawiony, posiniaczony, ryczący straszliwie znalazł się we własnym pokoju. Stangret, którego twarz poważnie ucier-

412
piała podczas utarczki, pożegnał tęgim kopniakiem postać rozciągniętą na podłodze.

Nazajutrz lady Devine nie chciała przyjąć syna, chociaż ten przeprosił ją pokornie za pośrednictwem starego kamerdynera.

Obawiam się, Tomkins, że wczoraj w nocy przebrałem trochę miarę powiedział zbity z tropu awanturnik. Nie inaczej, wielmożny panie przyznał służący. Widzisz, Tomkins, znikoma ilość wina kompletnie wytrąca mnie z równowagi. Czy bardzo się awanturowałem? Powiedziałbym, że bardzo, panie Ryszardzie. Masz suwerena, Tomkins. Czy coś mówiłem? Kłął pan okropnie, panie Ryszardzie. Ale panowie klną przeważnie, kiedy... ehem... kiedy później wracają z miasta.

„Co za osioł ze mnie! myślał ubierając się John Rex. Popsuję wszystko, jeżeli nie będę ostrożny.” Miał słuszność. Proszą drogą zmierzał do popsucia wszystkiego. Ale pierwszy swój wyskok zatuszował. Pieniędzmi ułagodził służbę, a przeprosinami w porę uzyskał przebaczenie lady Devine.

Nie mogę jakoś przywyknąć do angielskich obyczajów powiedział w stosownej chwili. Chwilami, droga matko, czuję się nie na miejscu w twoim spokojnym domu. Gdybyś mogła znaleźć dla mnie trochę pieniędzy, chętnie wyjechałbym w podróż.

Lady Devine przyjęła tę propozycję z uczuciem ulgi, które sobie wyrzucała, a Rex zaopatrzony w akredytywy wyjechał wkrótce do Paryża.

W kręgu rozrywek i swobodnych obyczajów szybko popuścił sobie wodze. Jako młody człowiek nie miał inklinacji do pijaństwa i trzeźwość – podobnie jak inne zalety wykorzystywał w złych celach. Ale przywykł do sutych libacji w czasie przymusowego osamotnienia na farmie hodowlanej swojej żony. Obecnie dysponował znacznymi sumami pieniędzy, które rad by wydawać tak jak w zielonych latach. Zapomniał, biedak, że od jego śmierci i pogrzebu świat nie odmłodził. Być może pan Lionel Crofton odnalazłby część swoich dawnych kamratów. Wielu z nich żyło i prosperowało. Na przykład pan Lemoine ożenił się dobrze

413

na swojej rodzinnej wyspie Jersey i groził już wydziedziczeniem bratankowi o rozwiązłych skłonnościach.

Ale pan Lemoine nie poznałby zapewne Lionela Crofto-

na, szulera i oszusta, nawet w jego własnej osobie, a odgadnąć go pod powłoką pana Ryszarda Devine'a mógłby tylko przy szczególnie niepomysłnym zbiegu okoliczności. A zatem biedny Lionel musiał spokojnie leżeć w grobie, Ryszard Devine zaś (pewny, że bujna broda i trochę bardziej korupulentna postać ustrzeżę jego sekretu) zawierał na nowo znajomości z dawnymi przyjaciółmi nieboszczyka. W Londynie i Paryżu nie brakowało ludzi gotowych witać radośnie każdego, kto posiada pieniądze. Dziwną historię pana Ryszarda Devine'a opowiadano szeptem w licznych buduarach i klubach. Nie zawsze jednak opowiadano ją tak samo. Plotkarze zgadzali się na ogół, że lady Devine miała syna, który przez długie lata uchodził za zmarłego, a wreszcie odnalazł się ku niemałemu strapieniu całej rodziny. Natomiast okoliczności, w jakich syn marnotrawny wrócił, przedstawiano bardzo rozmaicie.

Powód tego był prosty. Pan Francis Wadę, człowiek znany i szanowany, nie obracał się nigdy w szynkownym towarzystwie, które z otwartymi ramionami przyjęło ostatnio jego siostrzeńca. W Anglii znajdzie się wiele ludzi o majątku nie mniejszym niż scheda po starym budowniczym okrętów, a mimo to kompletnie obcych dla ciasnego kółka obejmującego rzekomo wszystkich, o których warto wiedzieć. Francis Wadę stał na świeczniku w swojej własnej koterii. Artyści, ludzie pióra, miłośnicy i handlarze antyków widzieli w nim mecenasa i człowieka obdarzonego niezwykłym smakiem. Jego bankierzy i doradcy prawni wiedzieli, iż jest niezależny materialnie. Ponieważ jednak nie parał się nigdy polityką, nie „bywał w towarzystwie”, nie grał w karty, nie spekulował na giełdzie, liczne gałęzie społeczeństwa nie słyszały nigdy jego nazwiska. Niejeden szanujący się lichwiarz musiałby zasięgnąć języka przed zdyskontowaniem jego weksla, a bywalcy klubów (z wyjątkiem może starych wygów znających wszystkich począwszy od Adama) nie mieli pojęcia o istnieniu takiej osoby. Pojawienie się pana Ryszarda Devine'a jegomością gruboskórnego i o nieograniczonych niemal środkach finansowych interesowa-

414

ło przede wszystkim nicponiów płci obojga, tworzących tak zwany półświatek. Ludzie ci jęli badać przeszłość nowego przybysza, a że nie znajdowali wyczerpujących informacji, musieli tworzyć kłamstwa na jego temat. Utarła się opinia, że była to czarna owca, wyrodek celowo trzymany na uboczu przez rodzinę, lecz w finansowym sensie wart niemało. Taki wyrok otworzył Dandysowi drogę do najlepszych kół złego towarzystwa i zyskał mu wielu przyjaciół chętnych pomagać w szastaniu pieniędzmi. A pieniądze wydawał tak doskonale, że nawet pan Francis Wadę zaniepokoił się niezliczonymi tratami i jał nalegać, by siostrzeniec uregulował wreszcie swoje sprawy majątkowe.

Ale nic z tego! Pan Ryszard Devine bawił w Paryżu, Londynie, Hamburgu, nigdy i nigdzie jednak nie można go było skłonić, by zajął się interesami. Biedny sędziwy dżentelmen troskał się coraz bardziej z racji lekkomyślności bratanka i ostatecznie zapadł poważnie na zdrowiu. „Chciałbym, drogi Ryszardzie, abyś dał wreszcie znać, co mam robić” pisał strapiiony. „Rób, drogi Wuju, co uważasz za stosowne” odpowiadała szaławiła. „Czy zgodzisz się powierzyć swoje sprawy adwokatom?” – pytał Francis. „Nie cierpię adwokatów. Niech lepiej wuj załatwia wszystko według własnego uznania” – wykręcał się Ryszard.

Pan Wadę zaczął wyrzucać sobie, że po powrocie siostrzeńca odniósł się do niego zbyt beztrosko. Oczywiście nie podejrzewał szalbierstwa, lecz pamiętał dobrze, że Dick był

zawsze nieokiełznany. Spokojny tryb życia starego piękno-
ducha uległ znacznemu zakłóceniu. Biedak pobladł i oczy mu
zapadły. Zle trawił. Nie interesował się starą porcelaną tak,
jak by należało. Krótko mówiąc, przestał wypełniać wy-
tkniętą sobie misję życiową. Był pochmurny, zgryźliwy i
łatwo się irytował, a lady Devine zauważyła te niepokojące
zmiany. Dyskretnie odwiedziła lekarza domowego, ten zaś
wzruszył ramionami.

Nie przewiduję nic złego powiedział jeżeli brat
łaskawej pani będzie miał spokój. Spokój winien mu zapew-
nić długie lata życia, ale, łaskawa pani, nie zapominajmy, że
jego ojciec zmarł z powodu niedomagań serca.

Zrozpaczona niewiasta wystosowała długi list do pana
Ryszarda, który przebywał wówczas w Paryżu. Powtórzyła
415

słowa doktora i zaklęła syna, aby wracał niezwłocznie.
Odpisał, że chwilowo ma ważne sprawy związane z wy-
ścigami konnymi, niebawem jednak będzie w swoim kawa-
lerskim apartamencie przy Garges Street (od dawna miał już
taki apartament w Londynie) i „postara się wejrzeć” we
wszystko. „Ostatnio, droga Matko, straciłem poważne sumy
– pisał sądząc więc, że nadeszła pora, by uregulować
kwestie prawne.”

Nie kłamał tym razem. Od trzech lat bez kłopotów grał
rolę Ryszarda Devine'a, postanowił więc zaryzykować i za
jednym zamachem zagarnąć cały majątek, o który grę
prowadził.

III

Kartki z dziennika wielebnego Jamesa Northa

12 maju

Wylądowałem wreszcie na Norfolk* i zawarłem znajo-
mość z moim nowym przytułkiem, odległym od Sydney
mniej więcej tysiąc sto mil. Jest to samotna skalista wyspa na
tropikalnym oceanie – odpowiednie zaiste miejsce wygna-
nia. Mierzy około siedmiu mil długości i czterech szeroko-
ści. Najgodniejszym uwagi dziwem przyrody jest tu oczy-
wiście jodła z wyspy Norfolk*, której majestatyczne wierz-
chołki górują o sto stóp nad otaczającym lasem. Krajobraz
jest malowniczy, pierwotny i żywo przypomina opisy wysp
na Pacyfiku, nad którymi dawni geografowie rozwodzą się
z takim upodobaniem. Roślinność bujna: cytryny, guawy,
pomarańcze, winogrona, figi, banany, brzoskwinie, gra-
naty i ananasy. Klimat -- przynajmniej w tej porze roku

* Wyspa Norfolk na Pacyfiku była w latach 1788 1855
brytyjską kolonią karną; od 1913 roku jest terytorium zamorskim
Australii (przyp. red.).

* Jodła z wyspy Norfolk tak nazywano występujący
na Norfolk gatunek araukarii (A. excelsa) (przyp. red).

416

gorący i wilgotny. Dojazd do Kingstown (bo taką nazwę
noszą koszary i zabudowania więzienne) jest odpowiednio
trudny. Naprzeciw wejścia do zatoki sterczy i zagradza
statkom drogę niska, wydłużona rafa, która zapewne łączyła
niegdyś nagie, skaliste wysepki Nepean i Philip, położone na
wschód i zachód od osady. Szkunier nasz stanął na redzie, a
lądowanie odbyło się łodziami przez wąski kanał roz-
dzielający rafę. W czasie przypływu fale niemal zmywają
brukowaną drogę wiodącą do koszar.

Obrzydzeniem przejmuje nieład panujący w kolonii
karnej. Nie ma tu bodaj żadnego porządku ni dyscypliny. Po
drodze do domu komendanta mijaliśmy jakiś niebywale
odrapany budynek, gdzie więźniowie mełli kukurydzę. Na
nasz widok podnieśli okropny zgiełk, gwizdząc, wrzeszcząc i
rzucając najbardziej plugawe słowa. W pobliżu stało trzech

dozorców, żaden jednak nie próbował położyć kresu gorzszacemu przedstawieniu.

14 maja

Siadam do spisywania wrażeń z taką niechęcią, jak gdybym odbył podróż przez kanał ściekowy.

417

Przed wszystkim więzienie. Zajmuje ono powierzchnię około trzech akrowi otoczone jest potężnym murem. Między tym murem a morzem przebiega droga. Główny trzypiętrowy budynek mieści siedmiuset dziewiętnastu ludzi, a na całej wyspie znajduje się ich z górą dwa tysiące. W budynku są dwadzieścia dwie izby, a każda z nich zajmuje całą jego szerokość, czyli mierzy osiemnaście stóp od okna do okna. W konsekwencji jest to jakby przewód wentylacyjny, po którym hula gorący lub zimny przewiew. Największą z tych izb zamieszkuje stu lokatorów, najmniejszą piętnastu. Śpiał w hamakach zawieszonych ciasno jak na okręcie i w dwuszerogach po obu stronach wąskiego przejścia. Ład mają rzekomo utrzymywać „starsi” wybierani przez więźniów. Każda izba ma takiego „starszego” – zwykle łotra o jak najgorszej opinii. Oczywiście nie próbuje on nawet sprawować władzy, bo jest zamykany w izbie od szóstej po południu do wschodu słońca, i to bez światła, mógłby więc zostać zmasakrowany, gdyby był uciążliwy w jakikolwiek sposób.

27 Dużywotr.ii: mianie

Przed tym ponurym gmachem rozciąga się dziedziniec, pełen zazwyczaj wałęsających się więźniów. Okna lazaretu wychodzą również na ów dziedziniec, wobec czego zdrowi są w ustawicznym kontakcie z chorymi. Lazaret mieści się w niskim kamiennym budynku obliczonym na mniej więcej dwudziestu ludzi i stojącym tuż koło plaży. Podczas inspekcji dotknąłem rękami ściany. Była zupełnie mokra. Jakiś chory na sarkomę więzień wyjaśnił, że wilgoć jest skutkiem bezpośredniej bliskości morza, które w czasie przyływu niemal obmywa fundamenty. Przy dziedzińcu znajdują się również dwa karcerzy – stary i nowy. Stary sąsiaduje z morzem i wewnętrzną przystanią więzienną. Przed jego drzwiami wznosi się szubienica, której dotknąłem przechodząc. Jest to pierwszy obiekt, jaki napotyka spojrzeniem świeżo przybyły więzień. Nowy karcer, niezupełnie jeszcze wykończony, ma kształt pięciokąta i mieści osiemnaście cel zaprojektowanych niewątpliwie w Anglii przez jakiegoś mądralę który uważa, iż pozbawienie człowieka widoku podobnych mu istot nie jest najprostszą drogą do obłądzenia. Dwudziestu czterech zakutych w kajdany więźniów oczekuje w starym karcerze sądu, który ma odbyć nad nimi przybyła z Hobartu komisja. Są pośród tych biedaków tacy, co popełnili przestępstwa wnet po wizycie poprzedniej komisji, nie opuszczają więc karceru od przeszło roku!

O szóstej po południu odbył się apel wieczorny. Czytałem modlitwy przed frontem i dziwiłem się bardzo, bo część więźniów zachowywała się przystojnie, natomiast inni spacerowali po dziedzińcu, gwizdali, śpiewali i żartowali obrzydliwie. Cały apel robił na mnie wrażenie farsy. Nikt nie komenderuje, nie prowadzi oddziałów do sypialni. Wszyscy rozbiegają się bezładnie i ubrani lub już rozebrani stają obok swych hamaków. Potem starszy strażnik wywołuje nazwiska i kto bądź odpowiada: „Jestem!” Jeżeli wszyscy odpowiedzą w porę, apel uchodzi za przeprowadzony. Następnie zabiera się świece z izb i więźniów zostawia bez kontroli. Tylko o ósmej wieczorem następuje pewne zakłócenie spokoju, bo do izb wpuszcza się wówczas nagrodzonych za dobre sprawowanie.

Znam obyczaje zesłańców, a więc serce zamarło we mnie,
gdy pomyślałem, że „nowy” musi pozostać na wiele godzin
418

w tej cuchnącej jaskini zamieszkaną przez stwory nierównie
gorsze od dzikich zwierząt.

15 maja

Między głównym budynkiem a murem okalającym teren
więzienia znajduje się zakątek zwany „podwórkiem”. Tam
więźniowie jadają – teoretycznie przy stołach obstawionych
ławami. Ale miejsc przy stołach jest co najwyżej sześćset,
a w czasie posiłku zapędza się na podwórko przeszło
siedmiuset ludzi. Wobec tego najsłabsi muszą sadzić się na
ziemi. Trudno doprawdy o widok bardziej gorszącego
zamieszkania i nieładu. Tuż obok stołów stoi szopa kuchenna,
gdzie więźniowie powinni piec podpłomyki. Ale nie to
najgorsze. Przed wejściem do kuchni piętrzy się stos drewna
opałowego, a więc zgłodniały stołownicy rozpalają ogniska
gdzie popadnie. Obsiadają je wokół, smażą wydawaną
codziennie surową wieprzowinę, grzeją zupę, rozmawiają
głośno, a nawet palą jawnie.

Podwórko bywa swego rodzaju azylem dla ściganego
więźnia. Nie wyobrażam sobie, by najśmielszy na wyspie
strażnik ważył się wejść tam po jednego z siedmiuset łotrów.
Ba! Gdyby nawet wszedł, wątpię, czy wyszedłby stamtąd
żywy.

16 maja

Rozmawiałem dziś ze starszym dozorcą nazwiskiem
Hankey. Powiedział, że mniej więcej czterdziestu najgor-
szych i najdawniejszych więźniów tworzy tak zwane „Bra-
ctwo”. Jego członkowie związani są przysięgą, że będą sobie
pomagać wzajemnie i mścić się za każdą karę, która spotka
jednego z ich grona. Na dowód prawdy swoich słów Hankey
opowiedział, że dwaj więźniowie z Anglii odmówili udziału
w jakiejś znowie i donieśli komendantowi o poczynaniach
Bractwa. Nazajutrz z rana ludzi tych znaleziono w
hamakach – uduszonych. Pomimo drobiazgowego śledztwa
nikt z dziewięćdziesięciu lokatorów izby nie pisnął słowa.
Drzę na myśl o czekających mnie zadaniach. Jak nauczać
takich ludzi zasad religii i moralności? Jak nawet ratować
mniej upodlonych?

419

/ '?' maja

Dziś odwiedziłem więzienie i wróciłem zrozpaczony. Warunki
są tam nieporównanie gorsze, niż sądziłem. Trudno opisać je
wiernie. Zesłańców nowo przybyłych z Anglii (dzieje
niektórych z nich są naprawdę wzruszające) przeraża i
gorszy zachowanie oraz język zatwardziały złoczyńców
wyrzutków z Port Arthur i innych kolonii karnych.

Najpotworniejsze zbrodnie uchodzą tu za sprawy naturalne, a
mowa i uczynki wielu łotrów przypominają chyba tylko
szpital wariatów. Są ludzie, co pyszną się, że zamordowali
towarzyszy niedoli, i wszystkim wokół to wiadomo. Selekcja
nie istnieje. Wśród takich zbrodniarzy umieszcza się pa-
robków z angielskich farm, zbuntowanych robotników,
ofiary pomyłek i przesądów. Są tam również Chińczycy
z Hongkongu, tubylcy z Nowej Holandii, czarni z Indii
Zachodnich, Malajowie, dezertery z wojska, idioci, szaleń-
cy, koniokradzi lub złodzieje kieszonkowi. Okropne to
miejsce jest jak gdyby śmietniskiem wszystkiego, co w naszej
naturze plugawe i grzeszne. Jego wyuzdanie, nieład, brud
i beznadziejność przywodzą na myśl piekło z ludowych
wierzeń.

21 maja

Objąłem formalnie funkcje przewodnika religijnego ko-

lonii.

Dziś z rana zaszło wydarzenie, które dowodzi, jak niebezpieczne jest Bractwo. Towarzyszyłem panu Pounce w inspekcji podwórka, gdzie spostrzegliśmy więźnia palącego bezczelnie opodal szopy kuchennej. Komendant policji na wyspie mój stary znajomy z Port Arthur, Troke zorientował się, że pan Pounce zwrócił na to uwagę, wskazał więc winowajcę swojemu podwładnemu. Policjant, Jakub Gimblett, podszedł do więźnia i kazał mu oddać fajkę. Ale ten wsunął ręce do kieszeni i z pogardliwą miną odszedł w tę część podwórka, gdzie zbiera się zazwyczaj Bractwo.

Zaprowadzić tego łotra do karceru' krzyknął Troke.

Nikt się me ruszył, a strażnik przy bramie wiodącej przez stolarnię do koszar zawołał, żebyśmy lepiej wyszli, bo
420

więźniowie nie pozwolą zabrać kamrata. Atoli Pounce dotrzymał pola i z odwagą, o jaką go nie posądzałem, jał się domagać kary za tak rażące wykroczenie. Wobec tego Troke utorował sobie drogę w tłumie i ruszył śladem bezczelnego więźnia.

Na podwórku szumiało niby w ulu. Lada moment oczekiwałem ataku na nas.

Po chwili ukazał się ów więzień w asyście raczej niż pod eskortą Troke'a. Podszedł do stojącego tuż koło mnie policjanta i zapytał:

Za cóż to chciałeś mnie wziąć do karceru?

Policjant odpowiedział mu, by szedł za nim, i to szybko, ale więzień zwałił go z nóg potężnym ciosem.

Niech panowie uchodzą szepnął do nas Troke.

Niektórzy mają noże.

Ruszyliśmy w stronę bramy, a ciżba pochłonęła dwu policjantów niby morze. Spodziewałem się morderstwa, ale po chwili ukazali się Troke i Gimblett, prowadząc między sobą przestępcę. Byli poturbowani trochę, ale cali i zdrowi. Mijając mnie więzień podniósł rękę niedbałym gestem, nie wiem jednak, czy chciał poprawić słomkowy kapelusz, czy też wyrazić spóźnione ubolewanie.

Nigdy dotąd nie byłem świadkiem równie śmiałego wykroczenia przeciwko dyscyplinie. Stare wygi często wymyślają dozorcóm i strażnikom i nikt się tym nie przejmuje. To rzecz wiadoma. Ale żeby więzień uderzył policjanta! Tego jeszcze nie widziałem.

Troke powiedział mi, że ów więzień nazywa się Rufus Dawes, jest przywódcą Bractwa i ma opinię najgorszego łotra na całej wyspie. Gdyby nie obecność specjalnego wysłannika jego ekscelencji gubernatora, Dawes nie ustąpiłby tak łatwo, a Troke nie ważyłby się wystąpić stanowczo.

A więc to więzień, którego skrzywdziłem w Port Arthur! Jak widzę, siedem lat „dyscypliny” nie bardzo go zmieniło. Jest skazany na dożywocie. Wielki Boże! Dożywocie w tym potwornym miejscu! Troke mówi, że był on niegdyś postwachem Port Arthur i został tu przysłany, kiedy „przesiewano” więźniów. Na wyspie Norfolk przebywa od czterech lat. Nieszczęśliwy!

421

24 maja

Po nabożeństwie widziałem Dawesa. Siedzi w starym karcerze, zamknięty w celi wraz z siedmioma przestępcami. Na moje żądanie wyszedł i stanął oparty o futrynę drzwi. Bardzo się zmienił od czasu, kiedy go spotkałem. Siedem lat temu był wyprostowanym, sprężystym, przy-

stojnym mężczyzną. Dzisiaj to zmięty, ponury, przygnębiony opryszek. Utracił harmonijne proporcje ciała i włosy ma zupełnie siwe, chociaż liczy co najwyżej lat czterdzieści. Jego twarz nie różni się prawie od twarzy innych starych zesłańców. Jak ohydnie podobni są ci ludzie! Nie poznałbym go chyba, gdyby nie czarne oczy i charakterystyczny grymas ust.

Mówiłem niewiele, bo towarzysze z celi słuchali bacznie. Zdaje mi się, że byli ciekawi, jak to Dawes zapędził w kozie róg nowego kapelana. Podobno na wszelkie nauki mojego poprzednika odpowiadał obelgami. Powiedziałem mu tylko, iż człowiek rozumny nie powinien buntować się przeciwko władzy niewątpliwie silniejszej od niego. Nie odpowiedział nic, a pewne zainteresowanie okazał dopiero, gdy przypomniałem mu, że spotkaliśmy się niegdyś. Wzruszył ramionami i otworzył usta, jak gdyby chciał przemówić. Ale zerknął w stronę skupionych w celi towarzyszy i znów zapadł w milczenie. Należy pomówić z nim na osobności. Trudno wydobyć coś z człowieka, gdy podsłuchuje siedmiu gorszych od niego łotrów.

Posłałem po Hankeya, aby zapytać go o karczer. Objął mnie, że jest tam przerażająco ciasno. „Samotna cela” to czcze słowo, bo zamyka się tam po kilku więźniów skazanych na odosobnienie. Cela ta nazywa się „klauzura”. Kiedy zajrzałem tam, sześciu nagich do pasa ludzi ociekało kroplistym potem.

Ze wstrętem piszę o tych wszystkich sprawach.

26 czerwca

Pounce odpłynął do Hobartu na „Lady Franklin”.

Krażą pogłoski, że dostaniemy nowego komendanta. Szyprem „Lady Franklin” jest protegowany kapitana Frere'a, stary jegomość nazwiskiem Blunt, do którego poczułem niewytłumaczoną i bezpodstawną niechęć.

422

Rano widziałem Rufusa Dawesa. Jest nadal pochmurny i milczący. Jego papiery wyglądają okropnie: właściwie to rejestr ustawicznych kar. Podobno on i niejaki Eastwood o przydomku Jacky Jacky podają się z dumą za hersztów Bractwa i otwarcie przyznają, że są znużeni życiem. Czy do tak opłakanego stanu ducha mogła przywieść Dawesa chłosta odebrana niezasłużenie w Port Arthur? Może to była kropla przepełniająca dzban cierpienia? Jamesie North! Nie zapominaj o własnych grzechach, postaraj się uratować bodaj jedną duszę, aby na sądzie Przedwiecznego miał kto przemówić za tobą.

30 czerwca

Po południu zrobiłem sobie święto i wybrałem się na spacer w kierunku Góry Pitta. Zmierzyłem olbrzymią jodłę: ma w obwodzie dwadzieścia trzy stopy. Potem wędrowałem z biegiem strumyka, co wypływa ze wzgórz i wije się pośród bujnej zieleni krzewów i pnączy aż do pełnej uroku i czaru dolinki. Okalają ją wyniosłe drzewa, których konary połączone pędami dzikiej winorośli tworzą szmaragdową, żywą kopułę. Są tam ruiny chaty opuszczonej przez jakichś dawnych osadników. Dokoła gąszcz cytryn, fig, drzew guawa splełanych bujnym pnączem o krwistopurpurowym kwieciu.

W zakątku tym usiadłem i zapaliłem Fajkę. Poprzedni lokator moich pokoi w kolonii musiał czytywać po francusku, bo poszukując książki na przechadzkę, znalazłem i wsunąłem do kieszeni tom Balzaka. Okazało się, że jest to opowieść z cyklu „Sceny z życia prywatnego”, zatytułowana „Fałszywa kochanka”. Z całą wiarą w Paryż swojej wyobraźni (gdzie Marcas był politykiem, Nucingen – bankierem, Gobseck –

lichwiarzem, a Vautrin kandydatem do więzienia) Balzak zapoznał mnie z niejakim Pawłem Pazem. Dżentelmen ów, zakochany w żonie przyjaciela, stawia sobie za cel jej szczęście oraz czuwanie nad interesami jej męża karciarza i hulaki. Paz mówi ukochanej, że trudności w domowych finansach wynikły z jego winy, ponieważ zadłużył się u jej męża. Kobieta nie daje temu wiary, wobec czego bohater, pragnąc uśpić podejrzenia, knuje sprytną intrygę z jeźdźcem cyrkowym. Żona woła do męża: „Prze-

423

pędź tego szalonego przyjaciela! To przccseż .szuler i rozpustnik, a na domiar złego pijak!" Paz odchodzi, a łatwowierna dama poznaje jego prawdziwą wartość poniewczasie. Opowieść nie kończy się pomyślnie. Balzak był zbyt wytrawnym mistrzem pióra, by sobie na to pozwolić. W prawdziwym życiu kurtyna nie zapada nigdy po radosnym finale. Dramat trwa nieustannie.

Przez cały wieczór medytuję o tej historii. Ktoś kocha żonę przyjaciela i nie szczędzi starań, by dać jej szczęście maskując błędy i winy męża. Tylko Balzak mógł wpaść na taki pomysł. „Ktoś kocha żonę przyjaciela"... Asmodeuszu! Nie piszę więcej. Nie gawędziłem z tobą od tak dawna, że rumienię się na myśl o tym, co kryję w głębi serca. Nie wyznam tego i basta!

IV

Kartki z dziennika wielebnego Jamesa Northa

24 sierpnia

Od trzydziestego czerwca pisałem tylko raz. Wspominałem wtedy zwięźle o przyjeździe nowego komendanta. Jak przewidywałem, okazał się nim kapitan Maurycy Frere. Zaszły ostatnio zmiany tak radykalne, że doprawdy trudno je opisać. Frere spełnił moje najgorsze oczekiwania. Jest brutalny, mściwy, nie znosi oporu. Znajomość więzienia i więźniów daje mu przewagę nad Burgessem, na ogół jednak przypomina drapieżne zwierzę. Ma tylko jeden cel: utrzymać rygor w swoim królestwie, dopóki wiec na wyspie panuje spokój, wszystko mu jedno, czy ludzie żyją, czy pomarli. Zostałem tu przysłany, aby zaprowadzić i utrzymać porządek rzekł mi w kilka dni po przyjeździe i zrobię to, jak Bóg na niebie!

Muszę przyznać, że dotrzymał słowa, zarazem jednak ściągnął na siebie nienawiść, której zapewne kiedyś pożałuje. Zorganizował trzy oddziały policyjne. Jeden z nich patroluje okolice, drugi strzeże zabudowań i magazynów, trzeci pełni

424

służbę wywiadowczą i śledczą. Ponadto kapitan McNab, dowódca garnizonu w sile dwustu żołnierzy, otrzymał od komendanta rozkazy rozszerzające znacznie jego uprawnienia i zadania. Chaos, jaki panował na wyspie Norfolk, kiedy tu przybyłem, Frere zamienił w żelazny, nieubłagany rygor. Funkcjonariuszowi, który dałby więźniowi bodaj szczyptę tytoniu, grozi niezwłoczne wydalenie z wyspy. Rosnący dziko tytoń został do cna wypleniony, aby zesłańcy nie mogli z niego korzystać. Dawniej więźniowie wracający po pracy w polu otrzymywali wieczorem kubek gorącej wody. Przywilej ten cofnięto obecnie. Zesłańcom zatrudnionym na farmach hodowlanych i ogrodniczych nie wolno trzymać papug ani innych ptaków. Zakazano też wszystkim wyplatania słomkowych kapeluszy w wolnych godzinach. Na terenie więzienia (gdzie przebywają wszyscy „starzy wyjadacze") ustawiono żelazne sztachety. Więźniom nie wolno przekraczać tych granic, jeżeli nie wymaga tego wykonywana praca. Dwa dni temu Murzyn (nazwiskiem Job Dodd) przeszedł na drugą stronę sztachet, ponieważ upuścił tam

swój kaftan. Otrzymał za to okrutną chłostę. Ten rodzaj kary jest wymierzany przerażająco często. W dni egzekucji patrzą ze zgrozą na miejsca, gdzie stali ludzie przywiązani do trójkątów. Ziemia bywa tam mokra, jakby zlano ją wiadrami krwi. Ohydne plamy liczące trzy stopy średnicy wysyłają na wszystkie strony cienkie szkarłatne macki.

Postanowiłem oddawać sprawiedliwość nawet tym, których nie lubię, muszę więc przyznać, że wyspa została ujęta w karby. Bunt nie miałby szans powodzenia. Ludzie wychodzą do pracy bez szemrania, a wieczorem zmykają do izb sypialnych niby obite psy do budy. Karcery i samotne cele są przepełnione. Co dnia sypią się kary za rozmaite przestępstwa, a za przestępstwo uchodzi chyba wszystko prócz oddychania.

Kapitan Frere stosuje metody bardzo dlań charakterystyczne. Skłania więźniów do szpiegowania się nawzajem, najbardziej opornych przeraża grubiaństwem, o jakim nawet oni nie mają wyobrażenia, najgorszym łotrom okazuje zaufanie i każe im wskazywać winowajców, którzy zasłużyli na karę. Prowokacje są z reguły nagradzane. Więźniowie wyznaczeni do pomocy dozorcóm mają prawo i obowiązek

425

częstego rewidowania towarzyszy. Robią to zazwyczaj w sposób brutalny i odrażający, a opornych biją bezlitośnie. Krótko mówiąc, wyspą włada strach i przemoc, a życie setek więźniów stało się nieprzerwanym pasmem grozy, nienawiści i wzajemnych podejrzeń.

Nie wyobrażam sobie, panie kapitanie powiedziałem, gdy Frere wtajemniczył mnie w swój system by łądacy mianowani przez pana dozorcami mogli wypełniać te obowiązki.

Muszają wypełniać - odrzekł. Wiedzą, że dostaną baty, jeżeli będą wyrozumiali dla kamratów. Jeżeli zaś będą robić to, co im każe, ściągną na siebie taką nienawiść, że raczej przywiążą rodzzonego ojca do trójkąta, niż narażą się na pozbawienie funkcji.

Traktuje ich pan jak niewolników dozorujących klatki z dzikimi zwierzętami. Muszą smagać bestie po to, by uniknąć chłosty.

Właśnie, panie North przyznał ze śmiechem.

Skoro zaczną raz smagać bestie, chętnie zrobią wszystko, byle tylko nie narazić się na zamknięcie w klatce. Rozumie pan?

Strach pomyśleć, że podobnym rozumowaniem posługuje się człowiek, który ma jakieś swoje życie, żonę, przyjaciół, wrogów! To logika godna kata zadającego tortury. Obrzydzeniem przejmuje mnie to plugawe miejsce. Pozbawia wiary w miłosierdzie ludzkie. Odziera wymiar sprawiedliwości ze wszystkiego, co może być w nim chwalebne i szlachetne. Jest okrutne, haniebné, nieludzkie.

26 sierpnia

Znowu widziałem Rufusa Dawesa. Jak zwykle był gburowaty i ostentacyjnie odpychający. Upadł już tak nisko, że delektuje się własnym poniżeniem. Stan taki nie jest i mnie obcy. Dawes pracuje w kajdanach i należy do grupy, której nadzorcą jest Hankey. Ślepy Mooney (więzień z kataraktą na obojgu oczach, przeniesiony ostatnio do szpitala) mówił mi, że podwładni uplanowaJi zamach na życie Hankeya, ale Dawes zapobiegł zbrodni w ostatniej chwili.

Gdy spotkałem Hankeya, powiedziałem mu o tym i zapytałem, czy wiedział o spisku.

426

Nie odrzekł z widocznym przestraczem. Major

Pratt obiecał załatwić mi przeniesienie. Prosiłem o nie, bo domyślałem się, że grozi mi śmierć. Ale o spisku nie wiedziałem.

Zainteresowałem się, czemu Dawes go bronił, nadzorca wyjaśnił z wahaniem, uzyskawszy wprzód obietnicę, że nie powiem nic komendantowi. Kilka dni przedtem Hankey został wysłany do domu komendanta z jakimś meldunkiem Troke'a. Wracając zerwał w ogrodzie kwiat, o który Dawes poprosił gorąco i w zamian zaproponował dwudniową rację żywnościową. Hankey, człowiek niezły w gruncie rzeczy, dał mu gałązkę, a biedak przyjął ją ze łzami w oczach. Musi być jakaś droga do serca i duszy tego człowieka, na pozór zgubionego bez ratunku.

28 sierpnia

Hankey został wczoraj zamordowany. Prosił komendanta o przeniesienie, lecz w odpowiedzi usłyszał:

Nie pozwalam moim ludziom tchórzyc. Skoro dranie grożą ci śmiercią, na przekór im zostaniesz jeszcze miesiąc.

Ktoś podsłuchał tę rozmowę i powtórzył podwładnym Hankeya, ci zaś rzucili się na niego przy sposobności i zmasakrowali mu głowę szpadlami. Podobno jeden z zabójców krzyknął:

Masz! To dla ciebie. A niech twój pan uważa, bo i on może dostać!

Grupa ta pracowała przy budowie falochronu i ludzie stali po pachy w wodzie. Hankey upadł po pierwszym razie, który był zdaje się śmiertelny. Dziś rozmawiałem z jego podwładnymi i Dawes powiedział:

To wina Frere'a. Należało przenieść tego człowieka do innej służby.

Dziwię się, że ty nie zapobiegłeś zbrodni odrzekłem.

Zrobiłem, ile mogłem brzmiała odpowiedź. A zresztą życie ludzkie niewiele tutaj warte. Przerażeni tym wypadkiem nadzorcy zwrócili się do komendanta ze zbiorową prośbą o zwolnienie ich ze sprawowanych funkcji.

427

Frere potraktował tę petycję w charakterystyczny dlań sposób, przejmujący mnie podziwem, a jednocześnie obrzydzeniem. Wszedł na dziedziniec karczeru, zamknął bramę i przemówił:

Ten papier wręczyli mi przed chwilą nadzorcy. Piszą, że boją się, bo możecie ich uśmiercić, tak jak uśmierciliście Hankeya. Słuchajcie teraz! Jeżeli macie ochotę mordować, mnie zamordujcie. Jestem do dyspozycji. Wystąp, kto zechce!

Słowa te, rzucone tonem lodowatej wzdury, nie poruszyły więźniów. Dwanaście par oczu pożerało komendanta spojrzeniami, ale nikt nie drgnął. Szaleńcza odwaga obywateli łotrów tak, jak podobno niegdyś w Sydney. Łatwo go było zabić, a ludzie ci niejednokrotnie śmierć mu ślubowali, mimo to jednak trwali bez ruchu. Jeden Rufus Dawes postąpił krok, lecz i on zatrzymał się zaraz. Wówczas Frere dał dowód brawury, o jaką nawet jego nie posądzałem. Zbliżył się do groźnego łotra i przesunął dłońmi wzdłuż jego boków, tak jak to robią dozorca rewidując więźniów. Dawes poczerwieniał. Myślałem, że uderzy komendanta, ale nie zrobił tego. Kapitan sam i bezbronny pośród zgrai szarżował dalej.

Jakże się czujesz, Dawes? Nie myślisz jeszcze raz dać drapaka? A może byś spróbował znowu zbudować czółno?

Co, Dawes?

Szatanie! rzucił człowiek w kajdanach, a głos jego

zabrzmiał takim pragnieniem mordy, że wzdrygnęli się jego kamraci.

Zobaczysz jeszcze, jakim jestem szatanem rozeźmiał się Frere i żartobliwie zwrócił się do mnie: Oto, panie North, stosowny dla pana penitent. Niech pan próbuje na nim swoje zdolności.

Oniemiałem na ten nowy dowód odwagi, a na mojej twarzy musiał odmalować się wyraz niechęci, bo kapitan zarumienił się lekko i kiedy wychodziliśmy z dziedzińca, powiedział, że nie warto wygłaszać kazań do głązów, a tacy jak Dawes są zgubieni na zawsze i bez ratunku.

To mój dawny znajomy ciągnął. Przypłynęliśmy z Anglii jednym statkiem. Łajdak wywołał wtedy bunt.

Kiedy spotkaliśmy się ponownie, omal nie zamordował

428

mojej żony. Od osiemnastu lat nie rozstaje się z łańcuchami.

Zrzuca je tylko wówczas, gdy próbuje ucieczki. Cóż, jest skazany na dożywocie, zapewne więc rozstanie się z tym światem w kajdanach.

Istotnie, musi to być zakamieniały grzesznik i przestępca. A przecież budzi we mnie niewytłumaczoną sympatię i litość...

Niespodzianka dla pana Ryszarda Devine'a

Londyńska siedziba pana Ryszarda Devine'a znajdowała się przy Clarges Street. Ale ów skromny pałacyk nie był jedyną jego rezydencją. John Rex miał duże i kosztowne wymagania. Nie interesował się polowaniem, nie angażował więc kapitałów ani w szkockie wrzosowiska, ani w tereny łowieckie hrabstwa Leicester. Natomiast stajnie jego w podziw wprawiały stolicę, gdyż był właścicielem całego miasteczka wyścigowego pod Doncaster. Ponadto miał własny dom w Paryżu i płacił stale wysoką tenutę za piękną willę w Brompton. Należał również do kilku szykownych i drogich klubów i w każdym z nich mógłby mieszkać po królewsku, gdyby mu chęć przyszła. Atoli nie ośmielony bynajmniej trzyletnim powodzeniem, ustawicznie bał się zdemaskowania i wolał zacisze domowe oraz kompanię dobieraną według własnych upodobań.

Pałacyk przy Clarges Street został przystrojony zgodnie z gustami właściciela: obrazy przedstawiały konie, biblioteka ograniczała się do sprawozdań z wyścigów i lekkich powieści o tematyce sportowej.

Dnia 20 kwietnia 1846 roku pan Francis Wade czekał z rana na pojawienie się siostrzeńca i wzdychał na myśl o ciszy i kulturze swojego domu w North End. Pan Ryszard Devine zszedł z piętra w szlafroku. Trzy lata dostatniego życia i picia nad miarę zmieniły jego atletyczną postać. Przekroczył już czterdziestkę, a więc nagłe zaprzestanie ciężkiej fizycznej pracy, do jakiej zmusza życie zesłańca lub

429

osadnika, zrobiło swoje, John Rex, skłonny z natury do otyłości, stał się mężczyzną w średnim wieku, nie zażywnym nawet, lecz tłustym. Twarz miał nalaną i czerwoną od pijaństwa, dłonie obrzękłe i lekko dygocące, zarost przyprószony siwizną. Jego oczy czarne i bystre jak zawsze okalała sieć zmarszczek zwanych kurzymi łapkami, a przedwczesna łysina świadczyła o trybie życia.

Ha! Kochany wujaszek! zawołał z udaną serdecznością i równie nienaturalną wesołością. Proszę siadać, proszę siadać. Bardzo się cieszę. Wuj po śniadaniu? Ależ oczywiście! Co za pytanie! Ja poszedłem spać bardzo późno... A może jednak wuj coś pozwoli? Kieliszek wina, co? Nie. W takim razie niech wuj siada i opowie wszystkie nowiny z Hampstead.

Dziękuję, Ryszardzie odrzekł dość chłodno stary dżentelmen. Chciałbym porozmawiać z tobą serio. Co zamierzasz zrobić ze schedą? Niepokoi mnie twój brak zdecydowania. Albo zwolnij mnie z obowiązków kuratora, albo stosuj się do moich rad.

Prawdę mówiąc – odparł John Rex powoli i z nad wyraz nieprzyjemną miną – brak mi gotówki, a wujowi łatwo to było zgadnąć.

Brak ci gotówki! Jak to? Pan Purkiss twierdzi, że majątek przynosi dwadzieścia tysięcy na rok.

Może tak było... pięć lat temu. Ale moje wyścigi, gra w karty i inne rozrywki, o które wuj nie zechce chyba dopytywać zbyt ciekawie, uszczupliły poważnie wartość fortuny.

Mówił niedbałym, szorstkim tonem. Niewątpliwie sukces obudził w nim wrodzoną skłonność do grubiaństwa. Jego dawniejsza układność była względna, narzucona przez biedę i planowane szachrajstwa. Nie bez powodzenia udawał dżentelmena, lecz w zmienionych warunkach mógł dać folgę prawdziwej naturze.

Pan Wadę zażył tabaki i z obrzydzeniem spojrział na siostrzeńca.

Nie interesują mnie twoje hulanki powiedział.

I tak słyszałem o tobie dosyć złego.

Po co robić z igły widły? wybuchnął ordynarnie.

Mój stary zdobywał pieniądze paskudniejszymi sposo-

430
bami, niż ja je wydaję. To był kutwa i przechera, gotów kraść i truć ludzi. Może nie?

Starszy dżentelmen wstał z fotela.

Nie uchodzi, żebyś lżył ojca, który zostawił ci cały majątek.

Tylko przypadkiem. Nie miał tak pocziwego zamiaru. Gdyby nie umarł w porę, wszystko dostałby ten obwieś, rzeźmieszek, Maurycy Frere. Aha! – dodał zmienionym tonem. Ma wuj jakie nowiny o Maurycym?

Od lat o nim nie słyszałem odrzekł pan Wadę. O ile się nie mylę, mieszka w Sydney i ma jakieś stanowisko w więziennictwie.

Czyżby? – powiedział John Rex i wzdrygnął się mimowolnie. Miejmy nadzieję, że pozostanie tam na zawsze. Ale wracajmy do naszych spraw. Mówiąc otwarcie... ehem... noszę się z zamiarem sprzedania całego majątku.

Ryszardzie! Nie mówisz chyba poważnie? Poważnie, jak Boga kocham! Chcę sprzedać posiadłość w Hampstead i całą resztę.

Chcesz sprzedać dom w North End? zawołał przerażony miłośnik sztuki. – Przecież rzeźby Grinlinga Gibbonsa należą do najprzedniejszych w Anglii!

Nic na to nie poradzę – roześmiał się pan

Ryszard pociągając sznur dzwonka. – Potrzeba mi gotówki i gotówkę mieć muszę... Śniadanie, Smithers...

Mam zamiar podróżować.

Pan Francis Wadę oniemiał. Człowiek wychowany i wykształcony na jego modłę mógł równie dobrze pomyśleć o wystawieniu na sprzedaż katedry Świętego Pawła, jak o wyzbyciu się domu mieszczącego jego skarby – stare monety, bezcenną porcelanę, obrazy, pierwodruki.

Ty... ty... żartujesz... Ryszardzie – wyjąkał wreszcie. Wcale nie żartuję. Ale... gdzie znajdziesz nabywcę? O to nietrudno. Rozparceluję posiadłość na place

budowlane. A zresztą słyszałem, że nowa linia kolejowa... linia podmiejska do Saint John's Wood ma przeciąć park na dwoje. Wuj naprawdę po śniadaniu? W takim razie proszę mi łaskawie wybaczyć.

431

Nie kpij ze mnie, Ryszardzie... Jak można mówić takie rzeczy?

Chcę się wybrać do Ameryki podjął Dandys tłukąc skorupkę jajka. Europy mam wyżej uszu. Po co taki jak ja facet ma udawać, że należy do „dobrej rodziny”, ma wspaniałą „rezydencję” i opowiadać różne banialuki? Dziś, kochany wujaszku, grunt to gotówka. Brzęcząca moneta, wuju! To karta wstępu, co wszystkie drzwi otwiera. Jak ostatecznie wyglądają twoje plany?

Chcę zabezpieczyć dożywocie matki, jak przewiduje to ostatnia wola, a później podróżować wyjaśnił Ryszard racząc się galareta z pardwy.

Zdumiewasz mnie, Ryszardzie. Zdumiewasz i przerażasz. Naturalnie wolno ci postąpić, jak uznasz za stosowne. Ale skąd ta nagła decyzja?... Stary dom rodzinny... Porcelana... Zbiór numizmatów... obrazy... Doprawdy, Ryszardzie... Ha! Jesteś właścicielem... i... i... pozwól, że cię pożegnám, Ryszardzie.

Pewnie, że wolno mi postąpić, jak uznám za stosowne monologował Rex przerywając sutego śniadania. - Możesz, stary idioto, oddać pod młotek swoje śmiecie i wynieść się za granice: do Niemiec, Jerozolimy, gdzie zechcesz, a im dalej, tym dla mnie lepiej. Ja tymczasem wyprzedam wszystko, co się uda i zniknę z horyzontu. Nie wątpię, że ucieczka do Ameryki wyjdzie na korzyść mojemu zdrowiu.

Ktoś zastukał do drzwi i John Rex drgnął niespokojnie. Wejść!... Do diabła, strasznie się staję nerwowo... Co tam masz? Listy? Dawaj, Smithers, dawaj. I dlaczego, u licha, nie postawiłeś na stół brandy? Co?

Pan Ryszard Devine wypił duszkiem kieliszek mocnego trunku i zabrał się do otwierania korespondencji. Okropny bydlak! mruknął Smithers za drzwiami. Żeby z piekła nie wyjrzał! Traktuje człowieka jak psa. Słucham, jaśnie panie? -- zawołał głośno, odpowiadając na ryk chlebobdawcy.

Kiedy to przyszło? zapytał Rex pokazując lokajowi list bardziej niż inne ostemplowany.

Wczoraj wieczorem, jaśnie panie. Był adresowany do Hampstead i przyszedł z tamtejszą pocztą powiedział

432

Smithers i dodał zaraz, zauważywszy gniewny błysk w czarnych oczach: - Mam nadzieję, jaśnie panie, że nie stało się nic złego?

Nic złego, bałwanie! - wybuchnął Ryszard blady z furii. Nic! Tylko tyle, że ten list powinienem dostać zaraz. Nie widzisz, co na nim napisane? Pilny! Nie umiesz czytać? Co? Milcz, durniu! Nic chcę słuchać żadnych bredni. Wynos się!

Kiedy służący wyszedł, pan kilka razy przemierzył pokój nerwowym krokiem, otarł spocone czoło, wypił całą szklankę brandy i wreszcie usiadł, by list odczytać powtórnie. Był zwięzły i przerażająco rzeczowy.

Hotel „Pod Królem Jerzym”

Plymouth 17

kwietnia 1846 r.

Jack, mój drogi!

Odnalazłam Cię, jak widziisz, mniejsza o to, jakim sposobem. Wiem wszystko o Twoich poczynaniach, jeżeli więc pan

Ryszard Devine nie przyjmie swojej małżonki z należnymi względami, znajdzie się pod opieką policji.

Odpowiedz telegraficznie pod adres podany w nagłówku, na nazwisko pani Ryszardowej Devine.

Twoja na zawsze

Sara.

Cios był niespodziewany i okrutny. Rozzuchwalony powodzeniem lotr nie miał ochoty wracać w znienawidzone więzy. Nie zmylił go pozornie życzliwy ton listu, bo dobrze znał kobietę, z którą przyszło mu znowu mieć do czynienia. Przez kilka strasznych minut siedział bez ruchu, zapatrzony w złowróżbną kartkę papieru. Nie mówił do siebie, a myśli jego płynęły takim mniej więcej nurtem:

433

„Przeklęta dziwka! Wraca, kiedy naprawdę zacząłem cieszyć się wolnością. Jak mnie wywęszyła? Mniejsza o to! Ważniejsze pytanie: co teraz robić? Jestem bezsilny. Ucieczka byłaby szaleństwem. Policja łatwo mnie capnie. A zresztą nie mam pieniędzy. Na koncie u Mastermanna wiszę na dwa tysiące funtów. Jeżeli wiać, to wiać zaraz, w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jestem bogaty, nawet bardzo bogaty, ale w tak krótkim czasie zbiorę najwyżej pięć tysięcy funtów. Sprawy finansowe wymagają czasu. Za dwa dni mógłbym mieć dwadzieścia tysięcy, ale dwa dni to stanowczo za długo. Bodaj ją wszyscy diabli! Znam tę dziwkę. Znam dobrze. Jak, u licha, wpadła na mój trop? Mniejsza o to. Sytuacja wygląda fatalnie. Cała pociecha, że ona nie chce przecież narobić mi kłopotów bez korzyści dla siebie. Co za szczęście, że nie ożeniłem się w Anglii! Trzeba się jakoś dogadać i zaufać fortunie. Ostatecznie była mi zawsze wiernym przyjacielem. Poczciva Sara! Gdyby nie ona, zgniłbym w tej piekielnej norze niedaleko Orlego Przesmyku. To nie najgorsza kobieta i prawdę mówiąc, przystojna. Jakoś się porozumiemy. Tak czy inaczej muszę sprzedać majątek i czmychnąć. Mogło być gorzej. Scheda jest warta jeszcze ze trzysta tysięcy funtów. Niezły będzie początek w Ameryce. Ha! Może później pozbędę się jakoś baby? Zobaczymy. Nie ma innego wyjścia. Muszę się poddać. Niech ją piekło pochłonie!”

Smithers! Smithers! krzyknął pan Ryszard Devine dzwoniąc donośnie i podjął, kiedy zjawił się służący: Blankiet telegraficzny i dorożkę. Zaraz! Poczekaj! Spakuj walizę. Wyjeżdżam na parę dni. – Półgłosem: Tak. Najlepiej porozumieć się z nią osobiście. – Głośno: Przynieś mi kolejowy rozkład jazdy. – Półgłosem: ?- Bodaj ją wszyscy diabli!

VI Kapelan

zapada na zdrowiu

Dom komendanta wyspy Norfolk był obszerny, wygodny i dobrze urządzony, a najbardziej ponure przejawy życia kolonii karnej omijały go z dala. Mimo to nie malała niechęć, z jaką Sylwia tu przybyła. Zewsząd otaczały ją obrazy i odgłosy kary i męki. Nie potrafiła spojrzeć w okno bez dreszczu trwogi. Każdego wieczora bała się, że mąż po

434

powrocie zacznie rozprawiać o jakichś nowych okrucieństwach. Z rana nie śmiała pytać go, dokąd wychodzi, by nie dowiedzieć się o jeszcze jednej chłości.

Żałuję, Maurycy, że przyjechaliśmy tutaj – powiedziała ze smutkiem, wysłuchawszy, jak Frere poskromił więźniów z karceru. – Ci biedacy strasznie ci kiedyś odpłaca.

Nonsens! – odpowiedział kapitan. -- Ci łajdacy to

w gruncie rzeczy tchórze. Gotów jestem prowokować nawet tych najbezzeczniejszych.

Jak możesz patrzeć ciągle na tak wiele nikczemności i męki? Strach pomyśleć!

Nasze zamięłowania, moja droga, różnią się bardzo.

Jenkins! wrzasnął na swojego lokaja-zesłańca, który pojawił się niezwłocznie. — Gdzie jest, u diabła, rejestr kar?

Mówiłem ci, durniu, że ma być zawsze pod ręką. Czemu nie słuchasz, co? Pewno, nygusie, znów obijałeś się w kuchni?

Bardzo przepraszam, panie kapitanie, ale...

Nie masz nic do gadania. Dawaj rejestr i wynoś się!

Rozumiesz?

Jenkins przyniósł księgę, a Frere otworzył ją na właściwej stronie i jął komentować półgłosem wykroczenia, za które nazajutrz rano miał wymierzyć kary.

„Meer-a-seek miał fajkę." Co za drań z tego Hindusa.

„Benjamin Pellett miał tłuszczyk. Miles Byrne nie chciał maszerować szybkim krokiem." Ha! Trzeba popędzić kota

panu Milesowi „Tomasz Twist miał fajkę i krzeszał ogień po apelu wieczornym. W. Barnes nieobecny na apelu;

powiada, że się mył." Już ja go umyję! „John Richards

nieobecny na apelu; pyskował. John Gateby odgrażał się i pyskował. James Hopkins odmówił wykonania rozkazu.

Rufus Dawes pyskował, odgrażał się, nie chciał przystąpić do pracy." Zajmiemy się tobą, bratku. Trzymasz z kapela-

nem, prawda? Nic ci to nie pomoże. Już ja złamię twój opór albo... Sylwio!

Słucham, Maurycy?

Twój dawny znajomy, Dawes, znowu się popisał. O

kim mówisz, Maurycy?

O tym draniu, szubrawcu Dawesie. Niedługo łajdak dojrzeje do...

435

Maurycy! przerwała. Proszę cię, nic mów przy mnie o takich sprawach i w taki sposób. Wiesz, że tego nie cierpię.

Co za delikatność! Co za wrażliwe uszka, jak Boga kocham! Wielka dama nie pozwala mężowi kląć w swojej obecności.

Nie chciałam cię urazić, Maurycy odpowiesz, działając tonem zniechęcenia. Nie kłóćmy się, na miłosierdzie Boże.

Frere wyszedł tupiąc głośno, a Sylwia spuściła wzrok i zapatrzyła się w dywan. Z zadumy obudziło ją skrzypnięcie

drzwi. Podniosła głowę i zobaczyła przed sobą Northa.

Twarz jej się rozjaśniła.

O, pan North! Nie spodziewałam się... Co pana sprowadza? Naturalnie zostanie pan na obiedzie, prawda?

Nie czekając odpowiedzi zadzwoniła. Pan North będzie na obiedzie. Proszę o nakrycie poleciła Jenkinsowi.

Przyniósł pan książkę? Nie mogłam się doczekać.

Oto ona odparł kapelan podając tom „Hrabiego Monte Christo". Zazdroszczę pani pasjonującej lektury.

Żywo chwyciła książkę, otworzyła ją i zerknąwszy na kartę tytułową zwróciła ku gościowi pytające spojrzenie.

To spuścizna po moim poprzedniku powiedział.

Był widać zwolennikiem literatury francuskiej. W domu znalazłam wiele powieści w tym języku.

Myślałam, że duchowni nie czytują francuskich powieści zdziwiła się pani Frere.

Są powieści i powieści odparł North. Głupcy podciągają pod jeden strychulec złe i dobre. Pewien szanowny znajomy zgromił mnie w Sydney za lekturę Rabelais'go.

Zapytałem, czy zna „Gargantuę i Pantagruela”. Odrzekł, że wolałby odciąć sobie rękę niż sięgnąć po takie świństwo. Odpowiedni krytyk, prawda?

— A czy ta książka jest naprawdę dobra? Papa uważają za zbiór bredni.

To romans, moim zdaniem bardzo ciekawy. Sam pomysł jest kapitalny. Prosty marynarz uczy się niejednego w więzieniu od księdza i jako dżentelmen wraca do świata, by wyrzucić zemstę.

436

Proszę nie zdradzać sekretu! roześmiała się Sylwia i dodała zaraz z iście niewieścią zmiennością: No i co? Jaka jest intryga powieści?

Człowiek niesłusznie więziony ratuje się cudem i zostaje bogatym „ponad wszelkie marzenia chciwca”, jeśli wolno mi użyć słów doktora Johnsona. Na wolności poświęca swoje życie i majątek zemście.

I mści się?

Tak, na wszystkich nieprzyjaciółach z wyjątkiem jednego.

Z wyjątkiem jednego? Czemuż to? Bo największy jego wróg był mężem kobiety, którą kochał. Dantes oszczędził go przez wzgląd na uczucia ukochanej.

Sylwia odwróciła głowę i powiedziała chłodno:

Istotnie, to może być ciekawe.

Na czas pewien zapadło kłopotliwe milczenie. North przygryzł wargi, jakby żałował tego, co powiedział. Sylwia stuknęła nerwowo obcasem w podłogę. Wreszcie podniosła wzrok i napotkawszy zwrócone ku sobie spojrzenie kapelana wstała szybko, by powitać wracającego do domu męża.

Oczywiście zostanie pan na obiedzie — powiedział Frere. Serdecznie prosimy.

Nie lubił kapelana, ale chętnie widział każdego, kto mógł się przyczynić do wesołego spędzenia wieczoru.

Przyniosłem pani Frere książkę — wyjaśnił duchowny.

Właśnie! Ona za dużo czyta. Nic tylko siedzi w książkach. Niezdrowo ślęcze ciągle nad drobnym drukiem, prawda, North? Pan ma na nią wpływ. Niech jej pan to wyjaśni. No, chodźmy już. Piekielnie jestem głodny.

Mówił poważnie jowialnym tonem, jakim mężowie jego pokroju zwykli maskować niezadowolenie. Sylwia wyczuła to i zajęła właściwe stanowisko obronne.

Naturalnie panowie zgodnie wystąpią przeciwko mnie powiedziała żywo. — Nigdy nie słyszałam, by dwaj mężczyźni nie porozumieli się w kwestii posłuszeństwa, jakie kobieta winna mężowi. Ale ja i tak będę czytać. Wie pan, panie North, że przed ślubem zawarłam specjalną umowę

437

7

z kapitanem. Zobowiązał się nie wymagać, bym rau przyszywała guziki.

Istotnie? zdziwił się North nic rozumiejąc naglej zmiany humoru obydwójga gospodarzy.

I dotrzymaliśmy umowy podchwycił Frere, który odzyskał pogodę ducha na widok zastawionego stołu.

Nigdy nie wiem, czy koszula nadaje się do użytku. Słowo daję, w szufladzie leży ich cały tuzin.

North czuł się nieswojo i nie odrywał wzroku od talerza.

Na myśl przyszło mu powiedzenie wszechwiedzącego Balzaka: Le grand écueil est le ridicule*. Potem zatonął w rozważaniach filozoficznych niezupełnie być może stosownych dla duszpasterza.

Po obiedzie Maurycy począł rozprawiać na ulubiony temat dyscypliny więziennej. Był zadowolony, że znalazł słuchacza, gdyż żona z chłodną niechęcią przyjmowała wynurzenia w kwestii utrzymywania rygoru wśród zbrodniarzy i łotrów skorych zawsze do nieposłuszeństwa. — Ty zdecydowałeś, że przyjedziemy tutaj zwykła mawiać. Ja nie chciałam tego. Nie lubię rozmów o takich sprawach. Lepiej pomówmy o czymś innym.

Gdy uciekała się do takiej taktyki, Frere nie miał wyboru i musiał kapitulować, bo na swój sposób bał się żony. W tym źle dobranym stadle on sprawował jedynie nominalną władzę. Był tyranem w sensie czysto fizycznym. Uważał, że wszelka słabość zasługuje tylko na pogardę, nic więc dziwnego, iż jego gruboskórna natura górowała nad subtelnością żony. O miłości między nimi nie mogło być mowy od dawna. Młoda, uczuciowa, wrażliwa dziewczyna, która oddała mu siebie przed siedmioma laty, przestała istnieć. Miejsce jej zajęła kobieta zniechęcona i cierpiąca. Żona jest tym, co mąż z niej uczyni, a Maurycy uczynił z Sylwii nerwowo chorą istotę. Zamiast miłości obudził w niej niesmak bliski niekiedy obrzydzeniu. Podobał się jej najmniej w momentach, kiedy kochał ją najgoręcej. Ale odraza stanowiła właśnie źródło przewagi Sylwii, bo tak już bywa, że w związku natury brutalnej z wrażliwą ta ostatnia jest zawsze górą, niezadko nawet wbrew pozorom. Maurycy Le grand... (fr.) — Śmieszność jest groźną rafa.

438

Frere nie wątpił o posłuszeństwie żony, zarazem jednak zdawał sobie sprawę z własnej niższości i lękał się posągu, który wyrzeźbił własnoręcznie. Był to posąg z lodu, ale z lodu sztucznego, jaki chemicy potrafią stworzyć w rozpalonym piecu. Chłód Sylwii był jej siłą i słabością zarazem. Mroziła męża i dzięki temu mogła nim powodować.

Nieświadom myśli dręczących jego gościa kapitan gawędził beztrosko. North mówił mało, za to pił nieumiarkowanie. Ale wino, miast rozplątywać, plątało mu język. Pragnął zatopić bolesne wspomnienia, lecz nie osiągnął celu. Kiedy panowie przeszli do salonu, gdzie oczekiwała ich pani Frere, kapitan był hałaśliwie wesoły, kapelan zaś milczący i przygnębiony.

Zaśpiewaj coś, Sylwio! — powiedział mąż, jakby był właścicielem pozytywki. — Albo lepiej zagraj.

Pan North nie lubi muzyki — odrzekła — a śpiewać nie mam ochoty. Śpiew wydaje się tutaj nie na miejscu. Nonsens! — obruszył się Frere. — Dlaczego śpiew ma tu być bardziej nie na miejscu niż gdziekolwiek indziej?

Pani Frere sądzi, że wesołość w tak smutnym otoczeniu jest poniekąd niestosowna.

W smutnym otoczeniu! — zawołał kapitan spoglądając na fortepian, otomany i lustra. — Cóż, ten dom nie umywa się do naszego gniazdko w Sydney, ale ostatecznie jest niezły, wcale niezły.

Nic nie rozumiesz, Maurycy —? zabrała głos Sylwia.

Wszystko wydaje mi się tutaj smutne. Serce zamiera we mnie na myśl o nieszczęśliwych, sponiewieranym ludziach, wiecznie okutych w łańcuchy.

Brednie! — wybuchnął Maurycy, dotknięty tym razem do żywego. — Zbrodniarze zasłużyli na to, co ich spotkało, a nawet więcej. Z jakiej racji ty masz się nad nimi litować?

Biedacy! Skąd wiesz, jak silnym ulegli pokusom, jak gorzko później żałowali?

Złoczyńca zasługuje na karę wtrącił North dziwnie surowym tonem. – Winien nauczyć się znosić ją z pokorą. Żadna skrucha nie może odrobić grzechu.

439

Ale nawet najgorszemu złoczyńcy należy się miłosierdzie rozpoczęła łagodnie kobieta.

Miłosierdzie! krzyknął Frere. Nie jestem tutaj po to, by świadczyć miłosierdzie! Mam utrzymywać rygor pośród łotrów i utrzymam, jak Bóg na niebie!

Nie mów tak. Pomyśl, że błahe na pozór zdarzenie mogło zrównać każdego z nas z tymi zbłąkanymi ludźmi. Co panu, panie North?

Kapelan pobladł nagle.

Nic... nic... -- odrzekł z wysiłkiem. Tylko chwilo-
wa słabość... Duszno mi...

Otwarto okna i kapelan przyszedł niebawem do siebie, podobnie jak przed siedmioma laty w bawialni kapitana Burgessa w Port Arthur.

Miewam czasami takie ataki... To chyba serce... Będę musiał odpocząć dzień, dwa...

Naturalnie! – przyznał kapitan. Trzeba odsapnąć. Za dużo pan pracuje.

North, blady jeszcze i zdyszany, uśmiechnął się słabo.

Tak... tak... – powiedział. –• Jeżeli nie pokażę się przez tydzień, będzie pani wiedziała, czemu to przypisać.

Przez tydzień! – zdziwiła się Sylwia. Mam nadzieję, że pańska słabość nie potrwa aż tak długo.

Określenie „słabość” zabolalo widocznie kapelana, bo zarumienił się i odrzekł z wahaniem:

Tydzień, może dłużej... Tego... tego nigdy nie można przewidzieć...

Był zmieszany, jakby zawstydzony, odczuł więc wyraźną ulgę, kiedy do drzwi zastukał Jenkins.

Meldunek od pana Troke'a, panie kapitanie. Od Troke'a? Co się stało?

Dawes, panie kapitanie, urządził awanturę i pobił pana Troke'a. Pan Troke powiada, że pan kapitan kazał zaraz meldować o każdym naruszeniu dyscypliny. Słusznie, słusznie. Gdzie jest teraz Dawes? Słyszałem, że w nowym karcercze. Bronił się, ale w końcu zamknęli go w celi.

Zamknęli go, powiadasz... Ha... Dobrze, Jenkins.

Pokłoń się panu Troke'owi i powiedz, że jutro o dziewiątej rano będę miał zaszczyt złamać opór pana Dawesa.

Maurycy! zawołała Sylwia, która w wyraźnym zaniepokojeniem słuchała całej rozmowy. Nie torturuj tego biedaka! Proszę cię, błagam!

Co ci strzeliło do głowy, żeby wstawiać się właśnie za nim? odburknął Frere.

Co mi strzeliło do głowy? Jego nazwisko jest dla mnie od dzieciństwa synonimem cierpienia i krzywdy. Nie wiem, jaką popełnił zbrodnię, lecz sądzę, że dożywotnim zesłaniem zapłacił za nią drogo. Na pewno teraz żałuje.

Sylwia mówiła z zapałem i wzruszeniem, a pochłaniający ją wzrokiem North dostrzegł łzy w lazurowych oczach.

Czy to ma być dowodem żalu? – warknął Frere rzucając na stół meldunek Troke'a.

On jest zły... wiem... wiem... powiedziała Sylwia rozkładając ręce dawnym niepewnym gestem.–Ale... chyba nie zawsze był taki... Zdaje mi się, że... że gdzieś, kiedyś... kiedyś słyszałam o nim wiele dobrego.

Nonsens! – powiedział Frere wstając z fotela zdecydowanym ruchem. – Ulegasz złudom wyobraźni. Nie chcę słyszeć o tym więcej. Łajdak buntuje się znowu, więc bat musi mu przypomnieć o obowiązkach. Chodźmy, North. Wypije-

my coś na pożegnanie.

Panie North! – zawołała Sylwia tracąc panowanie nad sobą. – Czy pan nie ujmie się za tym biedakiem? Sądziłam, że ma pan serce zdolne współczuć nieszczęśliwym. Kapelan wzdrygnął się. Jakby wrócił myślą z bardzo dalekich światów.

Nie mogę ingerować w sprawę małżonka łaskawej pani rzekł chłodno i opuścił salon z pośpiechem niemal impertynenckim.

Pocziwy stary North stracił przez ciebie równowagę ducha ?-?- powiedział Frere wyprawivszy z domu kapelana. Wolał pominąć milczeniem własne grubiańskie zachowanie i wykrętem uniknąć wymówek. Dla uspokojenia nerwów wypił pół butelki brandy, a potem uciekł, jakby go upiory ścigały.

Sylwia nie odpowiedziała. Była zbyt zaprzątnięta własnymi myślami.

440

441

VII

Łamanie oporu

Wykroczenie, jakiego dopuścił się tym razem Rufus Dawes, nie było zbyt poważne. Nowi strażnicy i dozorczy, wybierani przez Frere'a spośród więźniów, mieli zwyczaj wpaść do izb sypialnych nocą, zapalać światła, robić wiele hałasu i przeprowadzać rewizje w sposób brutalny. Wypędzali ludzi z hamaków, obmacywali ich, kazali otwierać usta, by sprawdzić, czy nie ukrywają tam tytoniu. Najbardziej pod tym względem upośledzona była grupa pracujących w kajdanach „niepoprawnych”, do których należał Dawes. Troke nienawidził i podejrzewał tych ludzi, budzono ich więc kilkakrotnie w ciągu nocy, obszukiwano w czasie pracy, przy posiłkach i po apelu w drodze na nabożeństwo. Niewyspani, poniżani do ostatecznych granic, tracili resztki szacunku dla samych siebie i gotowi byli mordować prześladowców. Wielką ambicją Troke'a było przyłapanie na gorącym uczynku Dawesa, ale przywódca Bractwa był człowiekiem zanadto doświadczonym i przebiegłym. Daremnie Troke rewidował go częściej niż innych i o najróżniejszych porach. Rufus nigdy nie miał przy sobie tytoniu. Nie dawał też wziąć się na przynętę i starannie omijał podrzucane prymki, przywiązane do długiej nitki, której drugi koniec trzymał dozorca ukryty w zaroślach. Przywiedziony do ostateczności Troke wpadł wreszcie na prosty i skuteczny sposób. Wiedział przecież, że stary wyga ma tytoń, chodziło tylko o to, żeby go przy nim znaleźć. Otóż Dawes, który swoim zwyczajem trzymał się z dala od towarzyszy, znalazł jednego przyjaciela jeśli przyjacielem nazwać można człowieka tak ograniczonego i steranego jak Mooney. Istniały zapewne dwie przyczyny tego dziwnego wyboru: po pierwsze ślepy Mooney był jedynym na wyspie Norfolk człowiekiem, który o niedolach zesłańców wiedział więcej niż przywódca Bractwa. Po drugie Rufus Dawes – posępny, skory do gwałtownych wybuchów i nieufny wobec wszystkich mógł sądzić, że ociemniały towarzysz jest mniej niebezpieczny niżli ktoś obdarzony bystrym wzrokiem.

442

Mooney należał do pierwszej grupy deportowanych.

W Sydney wylądował przed pięćdziesięciu siedmiu laty jako czternastoletni wyrostek. Znał wszystkie fazy losów zesłańca. Odbił karę więzienia, otrzymał przydział do służby, ożenił się i zamieszkał „na wsi”. Potem został ponownie skazany i na wyspie Norfolk, gdzie znajdował się od chwili założenia kolonii karnej, uchodził za tragi-

cznego patriarchę. Nie miał krewnych ani przyjaciół. Jego żona nie żyła od dawna, a niegdyś sprowadziła nań nie-szczęście, bo wpadła w oko chlebobdawcy, ten zaś wolał się pozbyć niewyrozanego męża i posłał go do więzienia. Tak mówił Mooney i nikt nie przeczył prawdzie jego twierdzeń. Możliwe. Podobne przypadki zdarzały się dość często.

Rufus Dawes zyskał bez trudu sympatię i zaufanie niewidomego starca. Pomagał mu na różne sposoby, a przede wszystkim dawał od czasu do czasu szczupłe ilości tak lub inaczej zdobywanego tytoniu. Troke wiedział o tym, obmyślił więc doskonały podstęp i wprowadził go w życie w nocy,

0 której mowa.

Cichaczem zakradł się do hangaru na łodzie, gdzie kajdaniarze spali, pochylił się nad przywódcą Bractwa 1 udając seplenienie bezzębego Mooneya poprosił szeptem o ciut tytoniu. Dawes spał mocno i Troke musiał powtórzyć prośbę, w nagrodę jednak poczuł w dłoni coś drobnego. Wówczas chwycił więźnia za rękę i zapalił światło. Tym razem złowił ptaszka! Rufus podał mniemanemu przyjacielowi prymkę dużą jak paznokcie!

Nietrudno wyobrazić sobie uczucia człowieka przychwyconego w tak nikczemny sposób. Dawes zobaczył nagle znieprawioną twarz pana Troke'a, zeskoczył więc z hamaka, wyrwał się i zadał cios, który rzucił dozorcę w ramiona wbiegających do szopy strażników. Wywiązała się zaciekle walka i rozszalały więzień uległ wreszcie przeważającej liczbie przeciwników. Bez zmysłów został zawleczony do samotnej celi w karcerze, gdzie strażnicy założyli mu knebel i przywiązali łańcuchem do żelaznego koła w posadzce, a potem zbili niemiłosiernie.

Następnego dnia Troke wprowadził komendanta do celi skrwawionego i okutego więźnia.

443

A widzisz, mój człowieku powiedział Frere znów wpadłeś do karceru. Podoba ci się tu, hę?

Dawes patrzył nań spode łba i milczał.

Dostaniesz pięćdziesiąt batów. Zobaczymy, jak się poczujesz później.

Pięćdziesiąt batów odliczono skrupulatnie, a nazajutrz kapitan Frere złożył w karcerze wizytę. Oporny więzień milczał nadal.

– Daj mu jeszcze pięćdziesiąt, Troke polecił komendant. Przekonamy się, z jakiej ten drań jest gliny. Do południa padło sto dwadzieścia razów, lecz „nieprawny Dawes” nie wydał głosu. Ostatecznie zamknięto go na czternaście dni do naprawdę samotnej celi w nowym karcerze. Po upływie tego terminu stanął przed dręczycielem i na pierwsze pytanie odpowiedział tylko śmiechem. Dostał drugie dwa tygodnie, a później chłostę i jeszcze raz czternaście dni karceru. Gdyby kapelan odwiedził go w tym czasie, znalazłby zapewne podatnego odbiorcę pociechy. Ale wielebny North był chory, i to, jak mówiono, poważnie.

Gdy po raz trzeci wyprowadzono Rufusa z samotnej celi. był tak wyczerpany, że lekarz polecił przenieść go do lazaretu. Przyszedł tam nieco do siebie, lecz Frere odwiedził go i osądziwszy, że opór nie został złamany jeszcze jak należy, kazał przydzielić ofiarę do mielenia kukurydzy. Dawes odmówił pracy. Wobec tego przykuto jego rękę do korby młynka, a przy drugim kole postawiono innego więźnia. Kamienie obracały się i z konieczności wprawiały w ruch ramię opornego.

– Nie taki znów zuch z ciebie, jak się ludziom zdaje

?--? zadrwił Frere i wskazał gestem kręcące się koło. Dawes wyprostował się, natężył wszystkie siły i zahamował ruch młynka. Otrzymał za to pięćdziesiąt batów i następnego dnia został posłany do mielenia białego pieprzu. Była to najsroższa z kar wymierzanych więźniom. Gryzący pył zasypywał oczy, przenikał do płuc i powodował straszliwe męki. Dla człowieka z pooranym do żywego mięsa grzbietem stanowiło to torturę nie do wytrzymania. Minęły cztery dni i Dawes wyczerpany do cna, okryty czyrakami, prawie ślepy wybuchnął wreszcie.

444

Na miłosierdzie Boże! Niech pan mnie każe zabić, kapitanie Frere – powiedział głucho. Nie bój się, człowieku – odrzekł komendant upojony poczuciem władzy. – Poddaleś się, a tylko o to mi chodziło. Troke! Zabrać go do szpitala.

W lazarecie wielbny North odwiedził przywódcę Bractwa.

Przyszedłbym wcześniej, Dawes powiedział – - ale byłem chory, ciężko chory.

Sam wygląd kapelana potwierdzał prawdę jego słów. Wielbny North sprawiał wrażenie człowieka po długotrwałej wysokiej gorączce. Miał ogolony zarost i włosy krótko obcięte. Dawes zrozumiał, że ten wynędzniały cherlak ma za sobą dni męki nie mniej może dotkliwej niż jego długotrwałe tortury.

Dnia następnego Frere złożył wizytę w szpitalu. Pochwalił Rufusa za wytrzymałość i męstwo i oznajmił, że chce go mianować strażnikiem. Więzień odwrócił się do dręczyciela poblížnionymi plecami i nie odpowiedział słowem.

Obawiam się – rzekł nazajutrz wielbny North – że zyskałeś w komendancie nieprzejednanego wroga. Dlaczego nie przyjąłeś jego propozycji?

Dawes zmierzył kapelana pogardliwym wzrokiem.

Musiałbym szpiegować i zdradzać towarzyszy. Ja nie z takich.

Duchowny począł mówić o nadziei, skrusze, odpuszczeniu win i odkupieniu.

Kto mnie ma odkupić, co? Chrystus musiałby umrzeć po raz drugi, żeby takiego jak ja uratować.

North wspominał wówczas o nieśmiertelności.

Jest przecież inne życie – ciągnął. – Nie zaprzeczaj szczęścia, jakie może cię w nim czekać. Masz przed sobą przyszłość, nieskończenie długą przyszłość.

Liczę, że nie mam takiej przyszłości – odparła ofiara doskonałego systemu penitencjarnego. – Chcę tylko spać, spać i nie obudzić się nigdy.

Tym razem opór był złamany jak należy, chociaż Dawes zachował tyle siły woli, że potrafił odrzucić wznawianą kilkakrotnie propozycję komendanta.

445

Nie chwycę tej przynęty powiedział Northowi gdyby mnie nawet ćwiartowali na sztuki.

North współczuł mu i zaklinał, by duch nieujarzmiony zmiłował się nad sponiewieranym ciałem. Wszystko na próżno. Wreszcie zbłąkane i udreżone serce kapelana dało mu klucz do szyfru życia nieszczęśliwego więźnia.

„To szlachetny charakter, który poniósł klęskę myślał North. Jaką tajemnicę mogą kryć jego dzieje?”

Z drugiej strony Dawes dostrzegał różnicę między innymi duchownymi a tym szczególnym kapelanem człowiekiem pełnym zapału, a zarazem smutku, surowym i jednocześnie tkliwym. Począł zastanawiać się, czemu

ów przewodnik duchowy ma zapadłe policzki, niepewne ruchy, wzrok gorejący dziwnym blaskiem. Próbował odgadnąć, jakie cierpienia tkwią u źródła żarliwych modlitw i wezbranych natchnieniem nauk szeptanych co dnia nad nędzną szpitalną pryczą. A zatem osobliwa więź sympatii zaczynała łączyć parę ludzi kapłana i zatwardzającego grzesznika.

Pewnego dnia więź owa zacieśniła się tak, że targnęła boleśnie obydwoma sercami. Podczas odwiedzin u chorego kapelan miał kwiat przypięty do surduta. Dawes pożerał go łakomym wzrokiem i wreszcie, gdy wielebny North miał odejść, poprosił cicho;

Panie North... czy... czy mógłby mi pan zostawić ten pączek róży?

Duchowny zawahał się, jak gdyby toczył wewnętrzną walkę, niebawem jednak złożył kwiat na ogorzałej, zrogowaciałej dłoni więźnia. Rufus poczekał, aż drzwi zamkną się za gościem, a następnie podniósł do ust cenną zdobycz. Ale North przypomniał coś sobie i wrócił nagle do szpitalnej cełi. Skrzyżowały się spojrzenia dwu mężczyzn. Twarz więźnia poczerwieniała, kapelana pokryła się śmiertelną bladością. Nie przemówili słowem, lecz poczuli się bliźsi sobie, obydwaj bowiem całowali pączek róży zerwany palcami Sylwii.

446

Viii Kartki z dziennika
wielebnego Jamesa Northa
21 października

Jeżeli zachowam ostrożność, nic nie przytrafi mi się w ciągu co najmniej sześciu miesięcy, bo ostatni atak trwał dłużej, niż przewidywałem. Podobny paroksyzm zabije mnie kiedyś i nie będę tego żałował.

Ciekawe, czy mój powiernik (zaczynam nienawidzić tego słowa) weźmie mi za złe próbę własnej obrony? Czy obruszy się, gdy powiem, że słabość swoją poczytuję za chorobę? W opinię taką wierzę głęboko i uczciwie. Muszę upijać się, jak szalenciec musi wrzeszczeć i bredzić. Nie mam na to rady. Zapewne działałoby się inaczej, gdybym był zadowolony z życia, gdybym miał żonę, dzieci i sprawy rodzinne zaprzątające myśli. Jestem jednak ponurym, nieszczęsnym samotnikiem odgradzonym od miłości, żartym przez melancholię, nękanym tłumionymi tęsknotami i sam dla siebie stanowię żywą torturę. Myślę o ludziach szczęśliwych, otoczonych czułymi rodzinami, o takich, co kochają i są kochani, na przykład o komendancie wyspy Norfolk. Rodzi się wówczas we mnie ohydna, dzika bestia, której pragnień niepodobna zaspokoić: można je tylko utopić w ogłupiającej brandy.

Pełen skruchy, przejęty grozą ślubuję, że będę wiódł inne życie. Odrzekam się od brandy, mam szczerzy zamiar pić jedynie wodę. Mdło mi się robi na widok albo zapach alkoholu. Przez kilka tygodni wszystko idzie jak najlepiej. Ale stopniowo staję się coraz bardziej nerwowy, przygnębiony, pochmurny. Palę i znajduję pewną ulgę, lecz umiar nie chodzi w parze z moją naturą. Z dnia na dzień powiększam dozę tytoniu. Zamiast pięciu fajek zaczynam palić sześć lub siedem, potem nawet dwanaście. Następnie spadam do trzech czy czterech, aby pewnego dnia skoczyć nagle do jedenastu i wreszcie stracić rachubę. Nadmierne palenie pobudza umysł. Jestem znów bystry, żywy, wesoły. Ale z rana mam nieprzyjemną suchość w ustach, piję więc trochę, aby (dosłownie) zwilżyć język. Umiarkowane ilości

447

wina lub piwa robią mi dobrze i nadal wszystko układa się

pomyślnie. Ruchy mam sprężyste, dłonie chłodne i pewne, umysł niezmacony. Zaczynam wierzyć, iż mam silną wolę. Jestem zrównoważony, ufny, pełen nadziei. Potem nadchodzi okres straszliwej melancholii. Na godziny popadam w odrętwienie, w żalowaną zadumę. Ziemia, niebo, morze – wszystko wydaje mi się puste, jałowe, bezbarwne. Życie stanowi nieznośne brzemię. Marzę o śnie, a kiedy zasnę, budzę się rozpaczliwym wysiłkiem, bo dręcą mnie przerażające koszmary. Wieczorem mówię: „Boże, daj, aby nadszedł już ranek”, rano zaś: „Boże, daj, aby nadszedł już wieczór”. Odczuwam wstręt do siebie i całego otoczenia. Jestem otepiały, pozbawiony pragnień, przyduszony do ziemi ciężarem nad siły, niby brzemieniem Saula. Wiem, co wróci mi siły żywotne, a zarazem pogrąży mnie w jeszcze bardziej przepastnej otchłani rozpacz. Zaczynam pić. Pierwszy łyk krew rozgrzewa. Serce bije żywiej, ręce przestają drżeć. Po trzech kieliszkach odradza się nadzieja, a zły duch prześladowca odlatuje. Miłe obrazy zapełniają wyobraźnię, łąki kwitną bujnie, ptaki podnoszą radosne trele, morze lśni szafirem, pogodne niebo uśmiecha się przyjaźnie. Wielki Boże! Kto zdoła odeprzeć taką pokusę?

Wysiłkiem woli poskrwiam pragnienie. Staram się myśleć o obowiązkach, książkach, nieszczęśliwych więźniach. Spełnia to rolę przez czas pewien. Ale w żyłach kipi krew rozgrzana alkoholem, który jest jednocześnie trucizną i lekarstwem. Piję znowu i marzę. Ukryte we mnie zwierzę z wolna podnosi łeb. Za dnia roją mi się potworne obrazy. Rzeczy najlepiej znane podszeptują plugawe myśli. Zmianom ulega cała moja istota. Czuję się wilkiem w owczej skórze, szaleńcem opętanym przez szatana, który w każdej chwili może wyrwać się na swobodę i bez przeszkód poszarpać mnie na strzępy. W nocy staję się satyrem. Cierpię, nienawidzę samego siebie, czuję obawę przed sobą. Ta sama zawsze piękna twarz jawi się oczom mojej wyobraźni. Pośród gorących snów jest jak księżyc, co rozjaśnia po burzy tropikalną kopułę niebios. Lękam się zetknięcia z tymi, których szanuję i kocham. Lękam się, że szaleńcze myśli znajdą ujście w jeszcze bardziej szaleńczych słowach. Tracę wszelkie cechy człowieka. Zmieniam się w nieokiełznana

448

bestię. Groźna czeluść ma jedyne wyjście: w dół. Trzeba zatopić potwora, którego nieopatrznie obudziłem. Niech uśnie znowu. Piję i zapominam. Istnieje dla mnie tylko brandy. Zamykam się samotnie i bez opamiętania pochłaniam alkohol. Uderza mi do głowy, znów czyni ze mnie człowieka. Ale w momencie gdy odzyskuję godność ludzką, walę się z nóg nieprzytomny, śmiertelnie pijany. Potem nadchodzi przebudzenie, którego wolę nie opisywać. Ułudy, gorączka, wstręt do samego siebie, upadek ducha, rozpacz. W lustrze widzę obrzękłą twarz i przekrwione oczy. Spoglądam w dół i patrzę na rozdygotane dłonie, zwiotczałe mięśnie, uginające się kolana. Zastanawiam się smętnie, czy będę kiedyś groteskową, litość budzącą figurą z kaprawymi oczami, wieczną kapką u nosa, z rozdętym brzuchem i patykowatymi łydkami. Tak! To więcej niż prawdopodobne.

22 października

Spędziłem dzień z panią Frere. Nie wątpię, że ona marzy, by stąd wyjechać. Pragnie tego nie mniej gorąco niż ja. Frere raduje się swoją morderczą władzą i drwi z próśb i błagań żony. Wiem, że kobieta może się znudzić mężczyźnie, ale w obecnym nastroju trudno mi pojąć, jak mąż potrafi odmówić czegokolwiek żonie.

Nie sądzę, by ona kochała Frere'a, by jej na nim zależało.

Nie jestem sentymentalnym egoistą jak większość uwodzicieli. Nie odebrałbym nikomu kobiety dlatego jedynie, że przypadła mi do gustu. Atoli jestem zdania, iż w szczególnych przypadkach mężczyzna, który naprawdę kocha, ma prawo dać szczęście kobiecie nawet za cenę... powiedzmy, za cenę zbawienia własnej duszy.

449

Dać szczęście? Właśnie! Czy ona mogłaby być szczęśliwa? Niewielu mężczyzn potrafi znieść spokojne lekceważenie, bojkot towarzyski, wytykanie palcami, a kobiety są nieporównanie bardziej wrażliwe pod tym względem. Mam przeszło czterdzieści lat i szpakowate włosy, nie jestem więc takim idiotą, by nie pamiętać, że ukochana może przestać kochać. I cóż nastąpi wówczas? Nie skrępowana więzami prawnymi i religijnymi ani poczuciem obowiązku i szacunku dla samej siebie, łatwo wyrzuci uwodzicielowi taką samą krzywdę,

29 Dożywotnie zesłanie

jaką za jego podszeptem wyrzuciła mężowi. Pomijając sprawę grzechu i pogwałcenia siódmego przykazania sądzę, że w naszym świecie najgorszy mąż i najmniej przyjemny dom rodzinny to mimo wszystko coś lepszego niż najtkliwszy nawet kochanek.

Osobliwy temat rozważań dla duszpasterza! Jeżeli mój dzienniczek wpadnie kiedy w ręce bogobojnego, poczciwego durnia, który uniknął takiej jak moja pokusy, bo nie zrozumiał mając lat czterdzieści z górą, że kocha cudzą żonę – dureń ów potępi mnie surowo i niewątpliwie słusznie.

4 listopada

Wieczorem odwiedziłem nowy karcer i w izbie klucznika zobaczyłem przyrząd bardzo podobny do małej uździenicy. Zdziwiłem się i zadałem sobie pytanie, na jakie zwierzę pociągowe może pasować ta część uprzęży. Kiedy jednak przyjrzałem się lepiej, zrozumiałem, że jest to uździenica (z kantarem, kielznem i wędzidłem) obliczona na miarę istoty ludzkiej. Zaopatrzone ją w drewniany waicowaty klocek

0 półtoracalowej średnicy, długi na blisko cztery cale.

Klocek ma wąski otwór u podstawy, a umocowany jest do rzemiennej paska, który może dokładnie zakryć nos
1 wargi. Kiedy więc klocek wtłoczyć w usta, otwór ów staje się jedyną drogą dla oddechu,

W karcerze byłem około ósmej wieczorem i wychodząc od Rufusa Dawesa wstąpiłem na chwilę do izby klucznika. Funkcję tę piastuje Gimblett, zesłany niegdyś za kradzież dwustu funtów. Obecnie ma przepustkę trzeciej kategorii i pobiera wynagrodzenie w kwocie dwu szylingów dziennie. W karcerze było bardzo spokojnie i cicho. Nagle Gimblett powiedział:

O, ktoś gada. Nawet wiem kto.

Z tymi słowy zdjął z kołka kajdanki i wyżej opisaną uździenicę. Poszedłem za nim, a gdy otworzył jedną z cel, zobaczyłem więźnia, który leżał rozebrany na sienniku i według wszelkich pozorów spał głęboko. Klucznik kazał mu wstać i odziać się szybko, następnie zaś wyprowadził go na dziedziniec i wsunął biedakowi w usta drewniany knebel. Dźwięk oddechu zmienił się zaraz i zaczął przypominać dziwne zdławione pogwizdywanie. Gimblett zaciągnął więź-

450

nia pod oświetlającą dziedziniec latarnię, gdzie poznałem ofiarę bezmyślnego okrucieństwa. Był to ociemniały Mooney! Klucznik ustawił go plecami do słupa i bez słowa zatrzasnął kajdanki. Unieruchomiony tak nieszczęśliwy starzec miał pozostać na miejscu przez pełne trzy godziny. Poszedłem prosto do komendanta, który zaprosił mnie do salonu, a kiedy odmówiłem, nie chciał służyć próśb

o zmiłowanie.

Stary oszust zasłania się zawsze ślepotą – powiedział. To nie powód, by łamać dyscyplinę.

Trudno uwierzyć, że ten człowiek jest jej mężem!

IX

Najdłuższa słomka

Następnego dnia rano, kiedy drużynę roboczą przykuto do łańcucha, Rufus Dawes dowiedział się o męce starego przyjaciela. Nie zaklął, nie zagroził dręczycielowi zemstą, szepnął tylko, jakby usprawiedliwiając upadek ducha: Nie jestem taki mocny, jak byłem. Pokonali mnie i smutnym wzrokiem zmierzył swoje wychudłe ciało i rozdygotane ręce.

Nie wytrzymam dłużej –• odrzekł posępnie Mooney.

Gadałem z Blandem. Przyznał mi rację. Wiesz, cośmy postanowili. Zrobimy to dziś.

Rufus spojrział w zwrócone ku sobie niewidzące oczy.

Wsunął dłoń za pazuchę, gdzie na sercu spoczywał niedawno zdobyty amulet.

Nie! wzdrygnął się nerwowo. Poczekajmy jeszcze.

Chyba ci nie strach, co? podjął ślepiec wyciągając

rękę w kierunku głosu. – Nie cofniesz się, człowieku?

Przecież przysiągłeś, prawda? Ty nie z takich, Dawes. No, powiedzże coś. Słyszysz?

Bland się zgadza? – zapytał Dawes odwracając oczy, jakby bał się spojrzenia niewidzących źrenic.

451

Aha. Jest gotów. Wczoraj znowu dostał baty.

Zaczekajmy do jutra burknął niechętnie Rufus.

Nie! rzucił starzec dziwnie stanowczym tonem.

Niech już będzie po wszystkim. Mam dość.

Dawes spojrział tęsknie na mur, za którym znajdował się dom komendanta.

– Zaczekajmy do jutra powtórzył i sięgnął znowu za pazuchę.

Zajęci rozmową nie usłyszeli ani spostrzegli, że wspólny wróg nadchodzi.

Co tam chowasz, łajdaku? krzyknął Frere chwytając Dawesa za rękę. – Tytoń! Pokaż, bydlaku.

Z szarpniętej mocno dłoni więźnia wysunął się i upadł na ziemię zwiędnięty pączek róży. Frere podniósł go zdziwiony i oburzony zarazem.

A cóż to znów, u diabła? Chyba nie plądrujesz, obwiesiu, po moim ogrodzie? Bukiet ci potrzebny, co?

Rufus Dawes krzyknął raz krótko i urywanie, a potem spuścił czoło i stanął zgarbiony i drżący. Towarzysze usłyszawszy ten jęk rozpaczy oczekiwali, że przywódca Bractwa rzuci się na komendanta, wydrze mu odebrany kwiat. Być może Rufus miał takie zamiary, ale w czyn ich nie wprowadził. Zdawać się mogło, że zwiędła róża jest zaczarowana, bo więzień nie mógł oderwać od niej wzroku, kiedy chwiała się w silnych palcach kapitna Frere'a.

–? Elegan z ciebie – szydził ten ostatni. Właśnie

takiemu potrzebny kwiatek do butonierki. A może pan

Dawes wybiera się w niedzielę na randkę ze swoją dzierlatką?

No, jak tam, Dawes?

Więźniowie odpowiedzieli śmiechem.

– Skąd to masz?

Rufus milczał.

Radzę ci gadać, kundlu!

Nie było odpowiedzi.

Troke! Trzeba jakoś rozplatać język temu panu. No,

Dawes, ściągaj koszulę. Może tą drogą trafimy do jego serca, prawda, chłopcy?

Na tę subtelną aluzję do chłosty więźniowie roześmiali się znowu i zaraz spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Czyżby
452

przywódca Bractwa był mimo wszystko ciemięga? Wyglądało na to, bo Rufus blady i drżący zawołał: Proszę mnie nie bić, panie kapitanie! Znalazłem kwiat na dziedzińcu. Pan kapitan zgubił go wczoraj. Frere uśmiechnął się zadowolony ze swoich metod łamania oporu. Wyjaśnienie było prawdopodobne. Komendant nosił zwykle kwiat w butonierce, a nie bardzo mógł sobie wyobrazić, w jaki inny sposób więzień potrafiłby zdobyć pączek róży. Gdyby to była prymka, wiele ludzi mogłoby przynieść ją do więzienia. Ale nikt nie narażałby się na chłostę dla czegoś tak mało przydatnego jak kwiatek. Żeby mi się nie powtórzyło coś takiego!—powiedział Frere. Pamiętaj, kundlu, że nie dla twojej przyjemności mam ogród.

Z tymi słowy rzucił pęk róży za mur i odszedł zamasy-
stym krokiem.

Skuci więźniowie patrzyb ze zdumieniem na Dawesa, który stał zapatrzony w kamienną ścianę, a z oczu spływały mu wielkie łzy. Ktoś bardziej litościwy niż reszta towarzyszy stuknął się palcem w czoło i mrugnął znacząco.

Chłop ma fioła — powiedział, bo nie potrafił wyobrazić sobie, by więzień zdrowy na umyśle mógł troszczyć się
0 kwiaty.

Pod ogniem wzgardliwych spojrzeń Dawes oprzytomniał
1 zarumienił się lekko.

Dziś w nocy — szepnął do Mooneya, ten zaś uśmiechnął się z zadowoleniem.

Po udanym „figlu” z prymką Dawes i Mooney zostali przeniesieni do nowego karczeru. Zajmowali tam wspólną celę z Blandem, który dwukrotnie już próbował popełnić samobójstwo. Kiedy stary ślepiec biadał nad swoją dolą po torturze uździenicy i knebla, Bland zaproponował, aby we trzech wprowadzili w życie plan, który przynajmniej dwu uczestnikom musi przynieść powodzenie. Było to posunięcie desperackie i stosowano je tylko w ostateczności. Ale każdy członek Bractwa składał przysięgę, że uczyni wszystko, co w jego mocy, jeżeli dwu przebywających z nim razem towarzyszy zażąda współudziału w tym najosobliwszym wynalazku ludzi udręczonych dyscypliną więzienną. Plan ów był prosty jak niemal wszystkie wielkie idee.
453

Wieczorem, kiedy zaryglowano drzwi celi i należało oczekiwać, że dozorca nie pojawi się przynajmniej przez godzinę, Bland wyciągnął z siennika długą słomkę. Dawes wziął ją, obejrzał uważnie i przełamał na trzy nierówne części, które wręczył staremu Mooneyowi.

Najdłuższa wygrywa powiedział ten ostatni.

-- No, chłopcy, śmiało! Sięgajcie do kosza szczęścia.

Wyglądało na to, że los ma wskazać, kto z trzech więźniów odzyska wolność. Ciągnięcie odbyło się bez słowa. Potem Dawes i Bland wymienili znaczące spojrzenia. Fortuna uśmiechnęła się do starego ślepca, który trzymał najdłuższą słomkę. Nikt nie zakłócał grobowej ciszy. Bland drżącymi rękami porównywał dwa pozostałe losy. Mooney wpatrywał się w ciemność, jakby jego niewidzące oczy mogły ją przeszyć w tym momencie grozy.

Ja mam najkrótszą — powiedział wreszcie Dawes do Blanda. Ty musisz to zrobić.

To dobrze, bardzo dobrze szepnął Mooney.

Bland połamał na kawałki fatalną słomkę, zaklął, usiadł na pryczy i jał ogryzać paznokcie. Widać było, że ogarnęła go trwoga na myśl o czymś, co ma uczynić z wyroku losu.

Mooney rozciągnął się na sienniku.

~- Chodź, przyjacielu – powiedział. Prędeż!

Bland drżącą dłonią chwycił rękaw Dawesa.

- Ty jesteś odważniejszy szepnął. Zrób to za mnie. Nie, nie – odparł Rufus niemal równie blady jak Bland.

Mieliśmy jednakowe szansę. A zresztą propozycja wyszła od ciebie.

Tchórz ufał widocznie swojej przychylniej gwieździe i wpadł w dół wykopany dla innych. Obecnie siedział na pryczy i cisnąc skronie rękami kołysał się w tył i do przodu.

Na Boga! Nie mogę tego zrobić! jęknął wreszcie, podnosząc twarz białą i zroszoną potem,

Czemu marudzisz? – odezwał się szczęśliwy Mooney. Chodź! Jestem gotów.

~- • Widzi sz... j a... myślałem, że może... m oże chci ałbyś... pomodlić się trochę – wyjąkał z trudem Bland.

Słowa te podziały na starca, zbyt upojonego uśmiechem losu, by myśleć o czymkolwiek.

454

Właśnie! Pomodlić się. Dobry pomysł.

Z tymi słowy ślepiec ukląkł, przymknął oczy – jakby olśniony blaskiem niewidocznym dla towarzyszy i jał bezdźwięcznie poruszać wargami. Po pewnym czasie scenę zakłócił odgłos kroków strażnika przechodzącego korytarzem.

Bland odetchnął z ulgą. Mógł odwlec coś, co przejmowało go grozą.

Trzeba zaczekać, aż sobie pójdzie – szepnął żywo.

Może tu zajrzeć.

Dawes twierdząco kiwnął głową, a Mooney powstał

z klęczek rozpromieniony i szczęśliwy. W judaszu ukazała się posępna twarz Gimbletta.

No i jak tam? Wszystko dobrze? – zapytał strażnik głosem, jak zdawało się więźniom, łagodniejszym niż zwykle.

Wszystko dobrze – odpowiedzieli, a Mooney dodał:

Dobranoc, panie Gimblett.

„Ciekawe, czemu ten dziad taki dziś wesoły?” – pomyślał Gimblett skręcając w boczny korytarz.

Kiedy umilkło echem kroków, Dawes i Bland usłyszeli dźwięk targanej gwałtownie tkaniny. To stary ślepiec odzierał pas ze swojego koca.

Myślę, że to wystarczy powiedział próbując oburzyć mocy wełnianego skrawka. Jestem stary i słaby.

Zapewne zastanawiał się, czy tkanina utrzyma ciężar jego ciała spuszczonego w taką lub inną przepaść.

Masz, Bland, trzymaj – podjął. – Gdzie jesteś? Nie bój się, przyjacielu. To nie potrwa długo.

Bland dźwignął się z pryczy i postąpił parę kroków. Jego upiornie blada twarz przesuwiała się w mroku niby maska.

Dawes uściśnął dłoń wybrańca losu i przycupnął w najodleglejszym kącie. Przez chwilę Bland i Mooney robili coś z wełnianym skrawkiem. Niewątpliwie sposobili się do ucieczki.

W ciszy słycać było dźwięk kajdan Blanda, który trząsał się jak w febrze. Wreszcie Mooney przemówił raz jeszcze dziwnym miękkim i łagodnym tonem:

Dawes... Jak myślisz, chłopcze, czy jest niebo? Wiem tylko, że jest piekło – odparł Dawes nie spoglądając w stronę starego przyjaciela.

455
jest także niebo, chłopcze! Myślę, że tam pójdę. A ty,

przyjacielu, na pewno, bo zawsze byłeś dla mnie dobry. Niech ci Bóg błogosławi. Naprawdę byłeś dla mnie bardzo dobry.

Rano Troke otworzył drzwi celi i oceniwszy jednym rzutem oka, co tam zaszło, kazał uprzątnąć zwłoki uduszonego starca.

Ciągnęliśmy losy powiedział Rufus Dawes wskazując Blanda skulonego w kącie najodleglejszym od trupa. -- Na niego padło. Ja jestem świadkiem. --? Będziesz też dyndał oznajmił Troke.

Mam nadzieję – odrzekł chłodno Rufus Dawes.

Niezawodny plan ucieczki obmyślony przez zesłańców był bardzo prosty. Trzej więźniowie ciągnęli losy, aby zdecydować, który z nich zostanie zamordowany. Zdobywca najdłuższej słomki uchodził za wybrańca fortuny: ginał niezawodnie. Drugi z kolei zabójca musiał być powieszony. Trzeci występował w roli świadka, a jako uczestnik zмовы miał znaczne szanse trafienia na szubienicę. Ale przyszłość jego rysowała się mniej pewnie, uważał się więc zazwyczaj za pokrzywdzonego.

X

Spotkanie

John Rex przekonał się z przykrością, że hotel „Pod Królem Jerzym” oczekiwał przybycia niecodziennego gościa. Usłudźni lokaje pochwycili wnet płaszcz podróżny i walizkę. Gospodarz powitał go na progu. Dwaj oficerowie marynarki wyszli z kawiarni, aby się na niego pogapić.

Czy ma pan więcej bagaży, panie Devine? – pytał gospodarz otwierając z ukłonem drzwi najokazalszego salonu.

456

Nie ulegało wątpliwości, że pani Devine nie chce, by jej małżonek ukrywał pod korcem zapożyczone światło. Pośrodku pokoju stał stół nakryty do wystawnej kolacji na dwie osoby. Ogień trzaskał wesoło pod marmurową półką kominka. Wieczorna gazeta leżała na fotelu, o który otarła się wspaniała suknią kobieta zdradzona niegdyś nikczemnie przez Johna Rexa, obecnie zaś spiesząca ku drzwiom na jego spotkanie.

No i co, panie Ryszardzie Devine? – powiedziała.

Nie liczyłeś, że spotkamy się kiedykolwiek, prawda, mój drogi?

W czasie podróży Dandys układał piękną mowę powitalną, ale chłodna uprzejmość Sary zbiła go z tropu. Saro! Nie chciałem przecież... zaczął. Szszaa, szszaa! Drogi Ryszardzie. Zapewne trzeba nazywać cię Ryszardem, prawda?... Nie pora teraz na wyjaśnienia. A zresztą lokaj mógłby usłyszeć coś niepotrzebnego. Przede wszystkim zjedźmy kolację. Na pewno jesteś bardzo głodny.

Rex zbliżył się do stołu z melancholijną miną, a bezlitosna kobieta mówiła dalej:

Strasznie utyłeś! Za dobrze ci się żyje, co? Trochę inaczej wyglądałeś w Port Ar... Ach! Stokrotnie przepraszam, mój drogi. No, siadaj, siadaj... O, tak właśnie. Wszystkim tu powiedziałam, że jestem twoją żoną i przybywam na twoje wezwanie. Odnoszą się do mnie z zainteresowaniem i co stąd wynika, z respektem. Bardzo cię proszę, nie podrywaj mojej dobrej opinii.

John Rex zaklął cicho, ale Sara uspokoiła go wymownym spojrzeniem.

Zachowuj się przyzwoicie, Jack – powiedziała – bo inaczej zadzwonię i każę sprowadzić policjanta. Musimy się wzajemnie zrozumieć, mój drogi. Dla innych możesz być

wielkim człowiekiem, zgoda. Ale ja widzę w tobie tylko
mojego zbiegłego męża i na domiar złego, zbiegłego więźnia.
Jeżeli nie zjesz grzecznie kolacji, zwrócę się na policję.
Saro! – wybuchnął pan Ryszard Devine. – Przecież
nie chciałem cię porzucić. Słowo honoru! Zaszła fatalna
omyłka. Pozwól, że ją wyjaśnię.

457

Na razie obejdzie się bez wyjaśnień. Nie martw się,
Jack... to jest, chciałam powiedzieć, Dick. Zjedz spokojnie
kolację i... Aha! Wiem, czego ci trzeba.

Nalała pół szklanki brandy, on zaś chciwie wypił mocny
trunek i roześmiał się, jak gdyby alkohol dodał mu ducha.

Niezwykła z ciebie kobieta, Saro powiedziała.

Przyznaję, że postąpiłem jak ostatni bydlak.

Postąpiłeś rzuciła z nagłą pasją jak łajdak
i niewdzięcznik, jak podły samolub bez serca!

Ależ, Saro...

Nie rusz mnie!

Jak Boga kocham. Jesteś cudowna, a ja opuściłem cię
jak głupiec.

Wyrazy uznania ułagodziły ją widocznie, bo nieco zmie-
niła ton.

Potraktowałaś mnie źle, okrutnie podjęła. Prze-
cież ja ocaliłam ci życie, pielęgnowałam cię w chorobie,
dałam ci dostatek. Potraktowałaś mnie jak tchórz i zdrajca.
Tak, tak. Przyznaję.

Teraz przyznajesz. A dawniej nie miałaś wstydu. Czy
zastanowiłeś się, ile musiałam wycierpieć przez te lata? Czy
litowałaś się nade mną choć trochę?

Nie myślałem, że bardzo ci na mnie zależy.

Nie myślałeś! Ty nigdy o mnie nie myślisz! Otóż,
Johnie Rex... Tak, Johnie Rex. Drzwi są dobrze zamknięte...

Tak bardzo mi na tobie zależy, że utopiłam majątek w po-
szukiwaniach, a teraz, kiedy cię odnalazłam, ty będziesz
cierpiał z kolei.

Dandys roześmiał się znowu, lecz tym razem z przymu-
sem.

A jak mnie znalazłaś? zapytał.

Sara była przygotowana na to pytanie, gdyż szybko
otworzyła stojącą na bocznym stoliku szkatułkę i wyjęła
z niej gazetę.

Odnalazłam cię przypadkiem powiedziała. Wi-
dzisz, Jack, ludzi podobnych tobie niszczy najczęściej przy-
padek. Pośród pism przysyłanych z Anglii mojemu adminis-
tratorowi było również to.

Rozłożyła na stole niedzielne wydanie pewnego dzien-
nika, poświęconego głównie wiadomościom sportowym,
458

i pokazała mężowi portret zamieszczony na drugiej stronie.

Przedstawiał on barczystego, brodatego mężczyznę ubra-
nego zgodnie z modą przyjętą przez bywalców torów wy-
ścigowych. Mężczyzna ten stał obok konsoli zastawionej
pucharami oraz innymi nagrodami honorowymi. Podpis
brzmiał:

PAN RYSZARD DEVINE

REKIN TORÓW WYŚCIGOWYCH

I poznałaś mnie? -- zapytał zdziwiony John Rex.

Podobieństwo wydało mi się dość duże, spróbowa-
łam więc zebrać trochę wiadomości, a kiedy odkryłam, że
pan Ryszard Devine wrócił nagle do Anglii po tajem-
niczej cztertnastoletniej nieobecności, wzięłam się do dzieła.
Wydałam furę pieniędzy, Jack, ale dzisiaj trzymam cię
w garści.

Dobra robota, muszę to przyznać, Saro.

Wiem o tobie wszystko podjęła z ogniem. – Odnalazłam twoje tropy od dnia, kiedy wykradłeś się z mojego domu, aż do chwili obecnej. Studiowałam twoje podróże po Europie, zbieranie rozproszonych wiadomości. Podobnie jak ty układałam z części łamigłówek. Wiem, że dzięki jakiemuś szachrajstwu zdobyłeś tajemnicę człowieka niezwykłego po to, by zrujnować Bogu ducha winną, cnotliwą rodzinę.

Co słyszę, Saro? – zawołał Dandys. Odkąd to ty nauczyłaś się gadać o Bogu i cnocie?

Wolno ci kpić ze mnie, Jack! Nie zapominaj jednak, że jesteś w potrzasku. Skomunikowałam się już z kobietą, której synowi zagabiłeś majątek. Za parę dni zobaczę lady Devine.

I co wtedy?

Zwrócę jej fortunę za cenę milczenia.

Mówisz poważnie?

Tak. A jeśli mój mąż nie wróci do mnie i nie będzie żył spokojnie, zawiadomię o wszystkim policję. John Rex zerwał się z krzesła.

Kto ci uwierzy, idiotko? – zawołał. – Poślę cię do więzienia jako oszustkę, szantażystkę!

459

Zapominasz, mój drogi rzekła Sara zerkając zalotnie na małżonka – że powitałeś mnie już jako żonę w obecności właściciela tego hotelu i służby. Za późno, Jack, na takie historyjki. Spryciarz z ciebie, przyznaję, ale mój kochany, nigdy nie potrafiłeś docenić mojego sprytu.

John Rex zdławił przekleństwo i usiadł obok żony.

– Posłuchaj, Saro. Po co mamy robić sobie na przekór jak dzieci. Jestem bogaty... Ja również.

Tym lepiej. Połączymy nasze kapitały. Opuściłem cię, przyznaję. Postąpiłem jak dureń i łajdak, ale grałem o wielką stawkę. Widzisz, nazwisko Ryszarda Devine'a warte było blisko pół miliona. Teraz to moje nazwisko, moje i twoje.

Wygrałem partię. Saro, razem wojowaliśmy z całym światem. Tyle lat upłynęło. Nie kłóćmy się obecnie. Odpłaciłem ci niewdzięcznością. Zapomnij o tym. Wiemy przecież, że nie jesteśmy aniołami. Ramię w ramię ruszaliśmy w życie.

Pamiętasz, Sally, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy?

Ruszaliśmy w życie z mocnym postanowieniem, że zrobimy pieniądze. Udało się nam. Z jakiej racji mielibyśmy dziś szkodzić sobie nawzajem? Jesteś równie ładna jak zawsze. Ja nie straciłem sprytu. Czy warto oznajmiać światu, że ja jestem zbiegłym więźniem, a ty... No, mniejsza o to. Tak czy inaczej, nie warto. Pocałujmy się i zostanemy przyjaciółmi.

Próbowałem ci czmychnąć, przyznaję, ty mnie odnalazłaś. Godzę się z tym stanem rzeczy. Podajesz się za moją żonę, za panią Ryszardową Devine. Uznaję twoje pretensje. Przez całe życie pragnęłaś zostać wielką damą. Teraz nastęrcza ci się sposobność.

Sara miała uzasadnione powody do nienawiści, dobrze znała egoizm i przewrotność męża, zdawała sobie sprawę, iż ufać mu nie może, mimo to jednak nierozumne uczucie do łotra poczęło wracać i przybierać na sile. Siedząc obok Rexa słuchała pilnie głosu, który nauczyła się kochać, chciwie łowiła uchem zapewnienia o przyszłej wierności, dawane tylko po to, by ich nie dotrzymać. Pamięć jej zapełniały obrazy minionych dni ufności i szczęścia, a kobieca wyobraźnia przypisywała znów nikczemnikowi urojone zalety, których oddźwiękiem była gorąca i drapieżna miłość. To altruistyczne przywiązanie do oszusta, a później do zesłańca,

460

stanowiło zapewne jedyny szlachetny rys charakteru Sary

Purfoy, może więc biedna zawiedziona kobieta sądziła, że lepiej trzymać się tego uczucia, niż szukać czegoś nowego w nieprzyjaznym świecie. Tak czy inaczej topniała w jej sercu nienawiść, zamierała chęć zemsty, bladła pamięć o niecnej zdradzie i dezercji. Słodkie łyzy przebaczenia zabłysły w oczach Sary, która ujęła rękę lotra i składając na niej pocałunek szepnęła tonem czułego wyrzutu:

Ach, John, John... przecież mnie mogłeś zaufać...

Mogłem – odpowiedział Dandys uśmiechnięty pogodnie, uradowany odniesionym triumfem. – Oszczędziłbym sobie wielu zmartwień. Ale nie mówmy o tym. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Siadaj do stołu, Saro. Teraz możemy zjeść kolację.

Po sutym posiłku para oszustów zasiadła spokojnie, aby omówić plan działania na najbliższą przyszłość.

Twoje posunięcie, Saro, ma jedną wielką wadę – zaczął John Rex. – Podwaja możliwość wpadki.

Dlaczego?

Rodzina przyjęła mnie bez podejrzeń, ale obawiam się, że nie bez niechęci. Panu Francisowi Wadę'owi, mojemu wujowi, nie podobałem się od początku, a z lady Devine nie najlepiej rozegrałem partię. Jak dowiedzą się, że mam jakąś tajemniczą żonę, ich niechęć łatwo zmieni się w podejrzenia. Czy uwierzą, że przez tyle lat byłem żonaty i nie zawiadomiłem ich o tym?

Nie uwierzą?-- odparła spokojnie Sara i dlatego właśnie nie byłeś żonaty przez tyle lat. Słowo daję! – roześmiała się swobodnie. – Mężczyzna to okropnie tępe stworzenie! W całej tej historii powiedziałaś dziesięć tysięcy kłamstw, a teraz nie wiesz, jak zełgać raz jeszcze! O co ci chodzi?

Najmilszy Ryszardzie! Nie zapomniałeś chyba, że poślubiłeś mnie ubiegłego roku gdzieś w Europie? Aha! O ile dobrze pamiętam, właśnie w ubiegłym roku wiek podróżywałeś, prawda? Jestem córką ubogiego kapłana Kościoła anglikańskiego, a moje panięńskie nazwisko brzmi... no, jak ci się podoba... Spotkaliśmy się, powiedzmy, w Baden. Akwizgranie, Brukseli... A może wolisz przeskoczyć Alpy i zawrzeć ze mną znajomość w Rzymie?

461

John Rex klepnął się dłonią w czoło.

Oczywiście! Co za osioł ze mnie! Ostatnio kiepsko się czuję. Za dużo brandy i rozmaitych zbytków, rozumiesz?

Rozumiem. To się teraz zmieni roześmiała się, lecz niespokojnym spojrzeniem spod oka zaprzeczyła udanej wesołości. Staniesz się domatorem. Jack... to jest, chciałam powiedzieć: Dick.

No, dobrze, dobrze... Mów dalej rzucił niecierpliwie. Jaki masz plan?

Ponieważ osiągnęliśmy wstępne porozumienie, weźmiesz mnie do Londynu i zaprezentujesz krewnym i przyjaciółom.

Śmiały krok!

Śmiały? Nic podobnego! Jedyne kroki niezawodne.

Ludzie z reguły nie podejrzewają nikogo, kto sam nie otacza się tajemniczością. Musisz postąpić tak, nie inaczej. Ja przygotowałam już drogę. Wszyscy tu wiedzą, że jestem twoją żoną. Nie widzę żadnego niebezpieczeństwa, jeżeli naturalnie pan Ryszard Devine nie jest żonaty dodała tonem nagłego podejrzenia.

Nie obawiaj się, Saro. Nie taki dureń ze mnie, by żenić się powtórnie, póki ty żyjesz. Nie zrobiłbym tego, nawet gdybym spotkał kobietę, którą chętnie wziąłbym za żonę. Ale co będzie z lady Devine? Mówiłaś przecież, że się z nią

skomunikowałaś, prawda?

Tak. Napisałam, by zwróciła się do pani Carr, post-restante Torquay, jeżeli chce dowiedzieć się o czymś wysoce ją interesującym. Posłuchaj, John! Gdybyś stanął okoniem, to „coś” byłoby wiadomością, kim jesteś naprawdę. Ponieważ jednak zachowałeś się grzecznie, „coś” będzie listem z prośbą o wsparcie. Lady Devine odbiera niewątpliwie setki takich listów i zapewne nie odpisuje na nie wcale. No i co powie o takim zagranium pan Ryszard Devine?

Jak Boga kocham, Saro, słusznie należy ci się powódzenie! zawołał stary szachraj tonem niekłamane podziwu. Przypominają się dawne dobre czasy, kiedy byliśmy państwem Crofton.

Albo państwem Skinner, co, John'' podchwyciła tak pogodnie i czule jak cnotliwa matrona wspominająca miesiąc miodowy. To było pechowe nazwisko, prawda, kochany? Szkoda, że nie posłuchałeś wtedy mojej rady. Dobrana para utonęła widocznie w miłych wspomnieniach ciemnej przeszłości, gdyż obydwójce milczeli przez czas pewien, uśmiechając się marzycielsko. Od dziś będę cię we wszystkim słuował powiedział. Co zrobimy później?

Później? Jak się wyraziłeś, moja obecność podwaja szansę wpadki. Spróbujemy więc zniknąć po cichu z Anglii. Zaprezentujesz mnie, udobruchasz jakoś wuja Francisa, a następnie zamieszkamy na jakiś czas w Hampstead. Bez rozgłosu postarasz się zdobyć jak najwięcej gotówki, po czym wyjedziemy „dla zdrowia” na kontynent europejski. Za granicą zostaniemy dłużej, niż było przewidziane. Później dajmy na to po roku napiszesz do naszych pełnomocników, by sprzedali więcej nieruchomości lub papierów... Rozumiesz? Po trzech lub czterech latach ludzie przywykną do naszej stałej nieobecności. Wtedy wyzbędziemy się wszystkiego i wyemigrujemy do Ameryki. Tam będziesz mógł zająć się dobroczynnością albo zbudować kościół dla uczczenia pamięci człowieka, którego miejsce zajął.

Świetny pomysł! roześmiał się John Rex. — Odpowiada mi dobroczynność. Szpital Fundacji Ryszarda Devine'a! Dobrze to brzmi, co?

Właśnie! Ale jak zdobyłeś szczegóły jego życia? O ile wiem, Ryszard Devine spalił się na „Hydaspesie”.

Nie! odrzekł z dumą John Rex. Ryszard Devine odpłynął z Anglii na „Malabarze” jako zesłaniec Rufus Dawes. Pamiętasz go chyba? Ach, to długa historia. Nie wiele o nim wiedziałem i gdyby lady Devine była trochę bystrzejsza, łatwo by mnie nakryła. Ale widzisz, pragnęła, by jej syn znalazł się żywy, więc wiele przyjmowała za dobrą monetę. Wszystko opowiem ci dokładnie przy sposobności. A teraz pilno mi do łóżka. Jestem zmęczony i głowa pęka mi z bólu.

A więc postanowione? Będziesz słuował moich rad i wskazówek?

Tak. Kobieta wstała i położyła dłoń na sznurze dzwonka.

462

463

Co chcesz zrobić? zapytał niespokojnie Rex.

Ja nic. To ty wyślesz depezę do swojej słuźby w Londynie. Każesz przygotować dom na powitanie żony, z którą przyjedziesz pojutrze.

Dandys chwycił ją gwałtownie za rękę.

Twój plan, Saro, jest diabelnie chytry powiedział.

Ale przypuśćmy, że się nie uda. Co wtedy?
To twoja sprawa, John. Jeżeli nie masz ochoty, nie
musisz mnie słuchać. Może wolałabym nawet, żebyś był
oporny.

Czego, u licha, chcesz ode mnie?
Posłuchaj. Nie mam naturalnie tak dużo jak ty, ale
mój roczny dochód wynosi mniej więcej siedem tysięcy
funtów. Machnij na wszystko ręką. Wróc ze mną do
Australii, a tych zacnych ludzi zostaw w spokoju. Niech
korzystają swoich bogactw. Wierzaj mi, John, nic lepszego
nie możesz zrobić. Przecież teraz dopiero stać nas na
uczciwość.

Też pomyśl! zawołał Dandys. Wyrzucić w błoto
pół miliona funtów i wrócić do Australii! Oszalałaś chyba!
W takim razie wyślij depeszę.

Ależ, moja droga...

Cicho! Lokaj już stuka szepnęła. Pisząc depeszę
John Rex medytował smętnie, że odzyskał wprawdzie miłość
Sary Purfoy, lecz miłość ta jest i będzie równie zachłanna i
władcza jak dawnymi laty.

Xi

Kartki z dziennika wielbego Jamesa Northa

7 grudnia

Postanowiłem opuścić wyspę Norfolk., zagrzebać się
gdzieś daleko na pustkowiu i oczekiwać śmierci. Staram się
myśleć, że powodem tej decyzji są straszliwe cierpienia
więźniów i świadomość, iż spoglądając codziennie na mękę
i poniżenie istot ludzkich nic im pomóc nie mogę. Nie jestem
464

w stanie ulżyć doli innych, staram się więc ratować samego
siebie. Atoli przyrzekłem notować w tym dzienniku szczerą
prawdę, muszę więc wyznać, że przyczyna mojego po-
stanowienia jest zgoła inna. Nietrudno skreślić ją w kilku
słowach:

„Pożadam żony bliźniego mego”.

Zdanie to napisane czarno na białym wygląda potwornie,
ohydnie, lecz w głębi serca znajduję tysiąc racji usprawied-
liwiających moją pasję. Powiadam sobie: „Mój bliźni nie
kocha żony, a życie ogołocone z miłości to dla niej klęska.
Musi pędzić dni w straszliwej samotni tej przeklętej wyspy
i umiera z tęsknoty do towarzystwa podobnych sobie istot.
Zdaje sobie sprawę, że ja rozumiem ją i oceniam, że
potrafiłbym kochać ją tak, jak na to zasługuje, że mógłbym
dać jej szczęście. Ja natomiast zdaję sobie sprawę, iż spot-
kałem jedyną w życiu kobietę zdolną przeniknąć do głębi
mojego serca, uchronić mnie od ruiny, do jakiej zmierzam
bez opamiętania, i pijaka odmienić w prawdziwego człowieka
przydatnego dla bliźnich”.

Rozumując tak poczynam wierzyć, że należy rzucić
rękawicę opinii publicznej i uszczęśliwić dwoje ludzi. Tłuma-
czę sobie lub raczej tłumaczę mi moje pragnienia: „Jaki
popełnisz grzech? Cudzołóstwa? Nie! Bo małżeństwo bez
miłości to najbardziej plugawa forma cudzołóstwa. Jaka
więź łączy mężczyznę z kobietą? Czy tylko wypowiedziana
przez kapłana formułka, której państwo nadało moc pra-
wną? Nie! Bo małżeństwo to przecież spółka, umowa
o wzajemnej miłości i wierze, a zatem jak w każdej umowie,
pogwałcenie warunków przez jedną ze stron zwalnia drugą
z wszelkich zobowiązań. Pani Frere ma rozwiązane ręce z
przyczyny postępku swojego męża. To oczywiste. Czy
zechce jednak narazić się na publiczny skandal rozwodu lub
zakazanej przez prawo ucieczki? Możliwe. Lecz to nie
wszystko jeszcze. Czy znajdzie dość sił, by udźwignąć
brzemie niesławy, jaką musi na siebie ściągnąć? Czy nie

nabierze wstrętu do mężczyzny, który okrył ją hańbą? Czy dostatki i wygody jej obecnego życia nie opłacają z nawiązką braku tkliwych uczuć?"

465

Tak oto wlecze się straszliwy katechizm człowieka udręczonego wątpliwościami, miłością, rozpaczą.

30 Dożywotnie zesłanie

Niewątpliwie błędzę, niewątpliwie przynoszę wstyd stawni kapłańskiemu, niewątpliwie i zgodnie z wiarą, której nauczam, narażam na potępienie duszę nie tylko własną, lecz jej również. Niestety jednak kapłani też mają serca i namiętności jak wszyscy ludzie. Dziękuję Bogu, że dotychczas nie dałem wyrazu swojemu obłędowi. Ale los mój jest straszny. W jej obecności cierpię, a z dala od niej przystrajam ją w tysiączne uroki, które należą nie do niej, lecz do innych kobiet z moich marzeń, do Heleny, Julii, Rozalindy... Ludzie są bezmyślnymi niewolnikami zmysłów! Kiedy pomyślę

0 niej, oblewam się rumieńcem. Kiedy usłyszę jej imię, blednę

1 serce poczyna tłuc we mnie jak młotem. Miłość! Czymże jest

miłość dwu czystych serc ledwie świadomych raj, w jakim

się znalazły, w porównaniu z moim upajającym szaleń

stwem? Rozumiem teraz truciznę z pucharu Orce, ową

słodką udrękę miłości, co przypomina moją. Precz z or

dynarnym materializmem, do którego naginałem się przez

lata! Drwiłem z namiętności, bo u źródła ich widziałem tylko

zmysły i zbyt dostatnie życie. Mniemałem, że własnym

intelektem zbadam wszelkie głębiny i mielizny ludzkich

uczuć. Urażałem własnej tęsknocie do nieśmiertelności.

Obecnie jednak muszę uznać boskość niepojętej mocy stwo

rzonej przez moją wiarę i wierzyć w Boga, do którego

potrafię się modlić. Pojmuję, czemu ludzie odtrącają tę

zimną, bezosobową siłę, co wedle przykazań rozumu winna

władac światem. Czynią tak, ponieważ kochają. Umrzeć

i przestać istnieć; umrzeć i w proch się obrócić, pozostawiając

naszą miłość bezbronną i samotną, a ponadto skazaną na

taki sam kres i koniec... Nie! Kochać to żyć na wieki. Boże,

wierzę w Ciebie! Zmiłuj się! Okaż litość niecnemu grzesz

nikowi, który odważył się przeczyć Twojemu istnieniu. Oto

padam przed Tobą na kolana! Ulituj się albo pokaraj mnie

śmiercią!

9 grudnia

Odwiedziłem dwu skazanych więźniów Dawesa

i Blanda i modliłem się z nimi. O Panie, pozwól mi ocalić

bodaj jedną duszę, która przed Twoim tronem mogłaby

wstawić się za mną! Pozwól mi dobyć choć jedną istotę

ludzką z tej otchłani. Szlocham, naprzykrzam Ci się mod-

466

litwami. Wejrzyj na mnie łaskawie, daj znak widomy.

Odpowiadałeś ongi ludziom, co błagali cię o miłosierdzie nie

goręcej, niż ja to czynię. Tak naucza Pismo święte – Twoja,

0 Boże, księga, w którą wierzę! Daj znak widomy, a przysię

gam, że nie ujrzę jej więcej. Ty znasz, o Panie, ból, udrękę

1 rozpacz swojego sługi. Wiesz, dlaczego ją kocham. Wiesz,

jak usilnie zabiegam, by mnie znienawidziła. Przecież to

wielka ofiara. Jestem samotny, najzupełniej samotny i mam

na świecie tylko jedną istotę, którą potrafię kochać. Ależ cóż

dla Ciebie znaczy ziemską miłość? Okrutny i nieubłagany

siedzisz na tronie zbudowanym dla Ciebie przez ludzi

i ludziom odpłacasz pogardą. Czy nie ułagodziła Cię jeszcze

przelana krew tak wielu świętych męczenników? Czy nie

nasyciłeś się łzami i cierpieniem, o Boże zemsty, gniewu

i rozpaczy? O dobry Chryste, ulituj się nade mną! Ty okażesz

mi łaskę, bo byłeś przecież człowiekiem. Zmiłuj się, Jezu,

u którego stóp klęczała niegdyś Magdalena! Ludzki i boski

w swojej słabości błagałeś niemiłosiernego Ojca, by raczył Cię ocalić. Przez wzgląd na chwilę, gdy sam czułeś się opuszczony, nie opuszczaj mnie, Synu Boży! Ulituj się nad Twoim grzesznym sługą!

Nie mogę pisać więcej. Będę się modlił żywym słowem.

Będę krzychał tak wielkim głosem, że cały świat mnie usłyszcy i zdziwi się Twojemu milczeniu – niesprawiedliwy i niemiłosierny Boże!

14 grudnia

Pograżony w rozpacz błuźmłem okropnie na tych kartkach. Szaleństwo zawładnęło moją zboląłą duszą. Opętał mnie szatan i niby potępieniec bładziłem pośród grobów krzyżąc straszliwie i szarpiąc własne ciało.

Od tygodnia nie pamiętam o niczym prócz męki. Spełniam zwyczajne obowiązki niby ktoś, kto we śnie powtarza codzienne czynności i nie zdaje sobie z tego sprawy. Wszyscy przyglądają mi się jeszcze bardziej podejrzliwie niż dotychczas. Czy moja choroba pijaństwa zmienia się stopniowo w chorobę obłądzenia? Jestem szalony, czy też stoję dopiero na granicy szaleństwa? O Boże, który wiesz o mnie wszystko, zostaw mi zdrowy umysł, nie pozwól, abym stał się pośmiewiskiem lub przedmiotem współczucia bliźnich! Ulituj

467

się bodaj na czas krótki. Nie zsyłaj kary tutaj! Pozwól, aby ona widziała we mnie grubianina i niewdzięcznego egoistę, jakim chcę się okazać. Niech jednak nie zobaczy i nie wspomina później Jamesa Northa jako człowieka dotkniętego pomieszaniami zmysłów.

Xii

Dziwne postępowanie wielbego Jamesa Northa

W początkach grudnia pani Frere zauważyła niepojętą zmianę w zachowaniu kapelana. Pewnego popołudnia wielbny złożył jej wizytę. Przez dłuższy czas mówił ogólnikowo i z roztargnieniem o opłakanych warunkach życia więźniów, a potem jał natrętnie dopytywać się o Rufusa Dawesa.

– Nie chcę o nim myśleć –? odpowiedziała z dreszczem

grozy. Często miewam okropne sny, w których on gra jakąś rolę. To zły człowiek. Kiedy byłam dzieckiem, chciał mnie zamordować i zrobiliby to na pewno, gdyby mój mąż nie przeszkodził. Od tego czasu widziałam go tylko raz:

w Hobarcie, kiedy go przychwycono w naszym ogrodzie.

Czasami rozmawia ze mną o pani podjął North

spoglądając z ukosa na Sylwię. Raz poprosił nawet o różę zerwaną w pani ogrodzie. Pani Frere zbladła nagle.

A pan dał mu ją? zapytała.

Tak. Czy to coś złego?

Nic... Nie... Kwiat to przecież drobiazg bez wartości... Ale dawać różę zesłańcowi...

Gniewa się pani?

Nie, skąd znowu roześmiała się z przymusem.

Dziwię się tylko, skąd taki pomysł przyszedł do głowy temu więźniowi.

Myślę, że teraz nie da mi pani róży, jeżeli nawet poproszę.

Panu? szepnęła z zakłopotaniem. Dlaczego?

Przecież pan jest dżentelmenem.

468

Dżentelmenem? Nie zna mnie pani.

Nie rozumiem. Do czego pan zmierza?

Zmierzam do tego, że lepiej byłoby dla pani, gdybyśmy się nigdy nie spotkali.

Sylwia wstała spieszenie, bo zaniepokoił ją szczególny błysk oczu kapelana.

Panie North! To dziwne i niepojęte słowa.

Proszę się nie bać, madame. Ja nie jestem pijany odrzekł z silnym akcentem na ostatnim wyrazie. -- A teraz pozwolę sobie pożegnać łaskawą panią. Wydaje mi się, że im mniej będziemy się widywać, tym lepiej. Sylwia - zdziwiona i urażona niezwykłym wybuchem nie rzekła słowa i pozwoliła odejść gościowi. Patrzyła za nim, gdy szybkim krokiem mijał ogród i zatrząskiwał furtkę, lecz nie widziała wyrazu cierpienia na jego twarzy ani rozpaczliwego gestu, jakim pokwitował dobrowolne poniżenie się w jej obecności. Z rosnącym wciąż lękiem zastanawiała się nad osobliwym wybrykiem wielebnego Northa. Nie sądziła, by mógł być pijany. Nie podejrzewała go nawet o skłonności do kieliszka. Myślała raczej, że nie ustąpiły jeszcze skutki gorączki, która ostatnio zatrzymała go w domu przez czas dłuższy.

Nagle strach ją ogarnął, bo uświadomiła sobie, jak żywo interesuje ją los tego dziwaczego kapelana.

Dnia następnego wielebny North spotkał żonę komendanta i ukłoniwszy się minął ją pospiesznie. Dotknął tym Sylwię do żywego. Czyżby obraził się za jakieś nieoględne słowo? Łatwo skłoniła Maurycego, by zaprosił go na obiad, ale North wymówił się niedyspozycją i zaproszenie odrzucił. Zdumiało to i zabolalo panią Frere. Powodowana zadrażnioną dumą odesłała kapelanowi pożyczone książki i nuty. Ale nie na tym koniec. Uległa niegodnej jej ciekawości i służącego, który odniósł paczkę, zapytała, co duchowny powiedział.

Nic nie powiedział, proszę wielmożnej pani. Roześmiał się tylko - brzmiała odpowiedź.

Roześmiał się? Na pewno z jej głupoty. To gbur, nie dżentelmen! Trzeba zapamiętać raz na zawsze o istnieniu tego człowieka. Sylwia powzięła taką decyzję i na czas pewien stała się dziwnie wyrozumiała dla męża.

469

Upłynął tydzień, a wielebny North nic zawróci! z obranej drogi. Niestety jednak poświęcenie i saraoudrcka biedaka stworzyły taki właśnie stan rzeczy, jakiego najbardziej pragnął uniknąć. Gdyby znajomość owej pary została utrzymana na zwyczajnej stopie, podzieliłaby zapewne los niemal wszystkich znajomości zbliżonego pokroju: późniejsze wydarzenia zatarłyby w pamięci wszystko z wyjątkiem wspomnień o wzajemnych uprzejmościach i Sylwia nie odkryłaby nigdy, że żywiła dla kapelana uczucie inne niż szacunek. Ale sam fakt nagłego odsunięcia się pokrewnej duszy odsłonił pani Frere, jak jałowe jest samotne życie przeznaczone jej przez los w udziale.

Od dawna już wiedziała, że wstępując w związek małżeński zrobiła wybór wysoce niestosowny. Nie znajdowała radości w towarzystwie męża, a tak bardzo jej potrzebnego współczucia musiała szukać gdzie indziej. Zdawała sobie sprawę, że miłość Maurycego wygasła, a jego pozorna tkliwość, zrodzona tylko z pożądania, spłonęła w ogniu roznieconym przez zmysły. Wiele kobiet czyni podobne odkrycia, ale najczęściej troskę ich rozprasza jakiegoś odmiennego zainteresowania. Gdyby Sylwia obracała się w doborowym towarzystwie, ulgę przyniosłyby jej błyskotliwe rozmowy i hołdy ludzi wysoko postawionych. Gdyby dane jej było mieszkać w wielkim mieście, stałaby się może jedną z tych dam, które gromadzą przy swym stole elitę umysłową i uważają, że maż nadaje się wybornie do otwierania butelek szampa kupionego za własne pieniądze. Głośne kobiety, co porzucały zacisze domowe, aby urzekać i olśniewać wielki świat, były na ogół nieszczęśliwe w małżeństwie. Atoli sprawa Sylwii przedstawiała się odmiennie. Zdana na swoje

siły, pani Frere nie znajdowała w zasobach wyobraźni leku na troski. Gdy więc spotkała mężczyznę znacznie od siebie starszego i obdarzonego bystrzejszym umysłem, pojęła, że może z nim rozmawiać, i zaczęła szukać jego towarzystwa, rady i sympatii. Pierwszy raz w życiu zapomniała o smutku i cierpieniu, a wrażliwa jej natura rozkwitła w słońcu wzajemnego zrozumienia. Kiedy to słońce nagle zgasło, dama przywykła już do światła i ciepła zadrżała w chłodnym mroku i zmierzyla pełnym rozpaczem spojrzeniem otaczające ją pustkowiem beznadziejnego życia.

470

Innymi słowy zrozumiała, iż towarzystwo Northa stało się jej niezbędne – tak niezbędne, że jego brak ból sprawia, a mąż bynajmniej nie zapełnia pustki i nie daje pociechy. Tydzień samotnych rozmyślań stanowił udrękę nie do zniesienia, toteż pewnego dnia pani Frere poprosiła męża, by zechciał ją wyprawić do Hobartu.

Nie umiem żyć na tej okropnej wyspie – powiedziała. Czuję, Maurycy, że jestem chora. Pozwól mi wyjechać na kilka miesięcy do ojca.

Maurycy nie stawiał przeszkód. Jego żona naprawdę źle wyglądała, a major Vickers był już człowiekiem starym, bogatym i bez pamięci rozkochanym w jedynaczce. Wizyta pani Frere u ojca mogła być z wielu względów wskazana. Ale to nie wszystko. Małżonków łączyła bardzo wątpliwa sympatia i kapitan –? ochłoniwszy z pierwszego wrażenia – był zadowolony, że na czas pewien pozbędzie się Sylwii.

Jeżeli życzysz sobie, moja droga, możesz odpłynąć na „Lady Franklin” powiedział. – Liczę, że lada dzień tu zawinie.

Pani Frere pocałowała męża z czułością, jakiej nie okazała mu nigdy od dnia śmierci ich dziecka.

Wiadomość o rychłym odjeździe żony komendanta obiegnęła wyspę, ale North nie pokazywał się nadal. Gdyby nie wzgląd na kobiecą godność, Sylwia wybrałaby się do kapelana i zapytała o powód niepojętego zachowania. Ale życie nauczyło ją powściągliwości, nie zdobyła się więc na coś, co jako młoda dziewczyna zrobiłaby bez wahania. Wszelako pewnego dnia odwiedziła żonę lekarza i w jej domu spotkała twarzą w twarz wielbego Northa. Nie zmieszała się wcale i z wrodzoną wszystkim kobietom sztuką aktorską jęła żartować z niełaski, w jaką popadła. Biedak, dotknięty do żywego, zachowywał się dziwnie. Zapomniał o dobrym wychowaniu i względach należnych damie. Nie odezwał się słowem, lecz zmierzzył panią Frere bolesnym i gniewnym wzrokiem, a następnie wyszedł szybko z pokoju.

Sylwia zarumieniła się i próbowała usprawiedliwić wielbego Northa skutkami tak niedawno przebytej choroby. Ale żona lekarza zrobiła niewyraźną minę i skwapliwie zmieniła temat rozmowy, a przy następnym spotkaniu

471

odkłomła się pani Frere tak chłodno, że w młodej kobiecie krew zawrzała,

-- Nie wiem, czym mogłam urazić panią Field powiedziała Maurycemu. – Ledwie mi dziś nosem kiwnęła.

– Stara wiedźma! – odburknął kapitan. Nie ma się czym przejmować!

Atoli najbliższe dni dowiodły, że jest się czym przejmować. Kapitan Frere odwiedził doktora Fielda i odbył z nim poważną rozmowę, której wynik Sylwia oblała gorzkimi łzami. Okazało się, że kapelan zaczekał, aż pani Frere wyjdzie z domu lekarza, a następnie wrócił tam i powiedział pani Field, że bardzo nie lubi żony komendanta, nie zamierza

składać jej wizyt i uważa, że zamężna dama z towarzystwa nie powinna być natrętna i lekkomyślna. Ów postępek niegodny lub też szlachetny w najwyższym stopniu cel swój osiągnął: Sylwia przestała dostrzegać nieszczęśliwego kapelana.

Stosunki między komendantem a kapelanem ochłodziły znacznie i Frere zaczął stosować różne drobne szykany licząc, że obrzydzi życie przeciwnikowi i skłoni go do rezygnacji ze stanowiska. Zesłańcy mianowani strażnikami lub dozorcami szybko zorientowali się w sytuacji, więc zachowanie ich również się zmieniło. Bezcelność, opieszałość i impertynenckie natręctwo zajęły miejsce szacunku, posłuszeństwa i usłużności. Więźniom faworyzowanym przez Northa groziło prześladowanie, a chwila rozmowy z nim pociągała za sobą nieraz przykre skutki.

W rezultacie kapelan widział, że dusze bliskie ratunku zapadają znowu w otchłań, życzliwi mu dotąd ludzie witają go z niechęcią, a okazane przezeń zainteresowanie szkodzi więźniowi miast pomagać. Biedak cierpiał dotkliwie, bladł i chudł coraz bardziej. Pokonał miłość grzeszną wprawdzie, lecz jedyną w swoim samotnym życiu aby w nagrodę za to zwycięstwo zyskać odrazę lub niechęć całego otoczenia.

Komendant sprawował absolutną władzę. Wyspa od-
dychała w rytm jego oddechu, a gniew tyrana groził zgubą. Cóż dziwnego, że wszyscy, co chcieli żyć spokojnie, musieli nienawidzić znienawidzonych przez niego? Był jednak człowiek, który nie uległ ogólnemu nastrojowi: oczekujący
472

śmierci więzień-morderca, Rufus Dawes. Przez wiele dni milczał uparcie, lecz North nie szczędził starań, by zyskać i ocalić zgnębioną duszę, której ratunek uważał w pewnym sensie za odkupienie własnych win i grzechów. Było to przekonanie złudne zapewne i chorobliwe, lecz w każdym razie bardzo mocne.

„Ocalę go lub zginę – myślał często kapłan. – Ocalę go, choćbym dla odkupienia musiał przelać własną krew”. Frere nie potrafił zrozumieć, czemu skazany na śmierć zbrodniarz z przykładną pokorą znosi wszelkie udręki i poniżenia. Sądził, że Dawes udaje pobożność, aby zyskać lepszy wikt, począł więc traktować go jeszcze bardziej surowo. Kazał zabierać go do pracy w porze, kiedy North zwykł przychodzić do karceru. Pod pretekstem, że to niebezpieczny przestępca, zarządził, aby dozorca asystował przy wszystkich rozmowach, gdyż „kapelan mógłby paść ofiarą morderstwa”. Ale szykanował przede wszystkim Northa. Wydał polecenie, że więźniowie sprawujący funkcję strażników mają prawo zatrzymywać i legitymować wszystkich, wobec czego kapelan musiał odpowiadać co chwila na wrzask: „Stój! Kto idzie?” i słuchać rubasznego śmiechu towarzyszącego zazwyczaj jego odpowiedzi. Kolejny rozkaz upoważniał strażników i dozorców do przeprowadzania rewizji „wszędzie, gdzie więzień przydzielony do służby mógłby ukryć skradzioną cudzą własność”. Służący Northa był oczywiście więźniem, wobec tego pan Troke myszkował dwa razy tygodniowo w szafach i szufladach kapelana. Nieszczęśliwy kapłan znosił przykrości bez słowa i Frere nie mógł zrozumieć jego chłodnego uporu, póki szkuner „Lady Franklin” nie przywiózł zadowolającego wyjaśnienia. Okazało się, że wielobny North poprosił przed dwoma miesiącami o dymisję, a jego miejsce ma zająć światobliwy i zawsze poprawny Meekin.

Komendant utracił władzę nad niemiłym kapelanem, a dotknięty porażką postanowił wyrzucić zemstę na Da-wesie.

Wyznanie wielbego Nottha

Metoda i technika zemsty kapitana Frere a stała się rychło tematem szeptanych plotek. Opowiadano, że North otrzymał zakaz widywania skazańca, lecz nie ugiał się i grożąc czymś, co zrobi po wylądowaniu w Hobarcie, uzyskał zmianę decyzji komendanta. Atoli komendant za-uważył u Dawesa objawy niesubordynacji i zabrał się od nowa do „łamania oporu” złamanego już w swoim czasie tak skutecznie. Nieszczęsnego więźnia głodzono, gnano do naj-cięższych robót, zakuwano w „specjalne” kajdany, budzono wielekroć w ciągu nocy. Troke z szatańską złośliwością napomynał, że sytuacja ulegnie zapewne poprawie, jeżeli Dawes nie zechce gadać z kapelanem.

Ale zabiegi starego wygi więziennego nie osiągnęły celu. Rufus pewien był rychłej śmierci, nie myślał więc odtrącać jedyne go pocieszyciela udręczonej duszy. Frere zirytowany tym uporem karał swoją ofiarę „orłem” albo „kratą”. Pogłoski o mękach zadawanych nieugiętemu więźnio-wi z rozkazu jej męża dosięgły Sylwii. Ostatnia rozmowa z Northern, a zwłaszcza niezwykła historia pączka róży przypominała pani Frere Rufusa. Raz jeszcze odżyły w jej wyobraźni uludy czy mgliste wspomnienia związane z tym człowiekiem, a prześladujące ją od dzieciństwa. Jakie ogniwo może łączyć ją z rabusiem i mordercą? Czemu współczuje niekiedy jego losowi? Czemu on jej niedoszły morderca – prosił o kwiat, którego dotknęła jej ręka?

Zapytała męża, jaką zbrodnię popełnił ów człowiek, ale Frere ofuknął ją tylko i szorstko odmówił odpowiedzi. Był zły i zbity z tropu jak zawsze, gdy w rozmowie między nimi padło nazwisko Rufusa Dawesa. Podsyciło to tylko cieka-wość Sylwii. Czemu Maurycy żywi tak wielką niechęć do tego biedaka? Czemu w Hobarcie ścigany zbieg zwrócił się do niej z ufnością i wiarą? Czemu przechowywał pieczołowicie strzęp jej dziecinnej sukienki szmatkę, którą kapitan Frere rzucił z pogardą do strumienia? Jakie to wszystko ma znaczenie?

Młoda kobieta drżała na sam dźwięk nazwiska „Dawes”, zarazem jednak kojarzyła z tym dźwiękiem niepojęte uczucie pociechy i nadziei. Jaką tajemnicę okrywa mrok spowijający wspomnienia z jej lat dziecięcych? Pozbawiona życzliwości Northa, któremu tak niedawno mogłaby zwierzyć się ze swoich strapień, powzięła decyzję trudną i nieprzyjemną. Oto sama pójdzie do więzienia i przekona się, ile prawdy zawierają plotki o okrucieństwie jej męża. Pewnego popołudnia, kiedy Frere wybrał się na inspekcję dalej położonych osiedli, Troke ocknął się z drzemki przed drzwiami nowego karceru i z nie lada zdziwieniem zobaczył przed sobą małżonkę komendanta.

Czym mogę służyć wielmożnej pani? – zapytał nie wierząc własnym oczom.

Chcę zobaczyć więźnia nazwiskiem Dawes.

Zobaczyć więźnia nazwiskiem Dawes? – powtórzył dozorca tonem zakłopotania.

Tak. Gdzie on jest?

Troke mógłby skłamać, lecz onieśmielił go władczy ton i dumne spojrzenie młodej damy.

Jest tutaj, proszę wielmożnej pani – odpowiedział.

Chcę go zobaczyć.

On... ehem... odbiera teraz karę.

Jak to odbiera karę? Co to znaczy? Czy go w tej chwili chłoscza?

Nie... Ale to człowiek niebezpieczny. Pan komendant...

Proszę otworzyć drzwi, panie Troke. Widać było, że dozorca woli, by drzwi zostały zamknięte.

Pan komendant zakazał wyraźnie...

Czy mam poskarżyć się komendantowi? – rzuciła

Sylwia z cechującą ją niegdyś stanowczością.

Pomyślała, że strażnicy torturują zapewne więźnia dla własnej rozrywki, więc dodała gniewnie:

Proszę otworzyć drzwi, Troke! Rozumiesz? Otwórz zaraz!

Zbity z tropu dozorca bąknął, że „to nie jego sprawa i wielmożna pani powie na pewno komendantowi, jak do tego doszło”, a następnie otworzył drzwi celi pierwszej po prawej stronie korytarza.

475

Było tam ciemno i zrazu Sylwia dostrzegła tylko jakby nosze i rozciągniętą na nich postać ludzką. Pomyślała, że to zwłoki, lecz przekonała się wnet o swojej omyłce, gdyż domniemany trup jęknął. Stopniowo wzrok jej przywykł do półmroku, zorientowała się więc, na czym polega odbierana przez Dawesa kara. Nad podłogą umieszczono żelazną ramę mniej więcej na sześć stóp długą, a dwie i pół szeroką, zaopatrzoną w pręty rozmieszczone poprzecznie w odstępach dwunastu cali. Człowiek, którego pani Frere pragnęła odwiedzić, był przywiązany do kraty w takiej pozycji, że karciem opierał się o ostatnią poprzeczkę. Jeżeli zwieszał głowę, krew napływała mu do mózgu i powodowała duszności; jeżeli ją podnosił, musiał zdobywać się na niemal nadludzki wysiłek. Nic dziwnego, że twarz miał purpurową i wargi okryte pianą. Sylwia krzyknęła rozpaczliwie:

To nie kara, ale morderstwo! Kto wydał taki rozkaz?

Pan komendant odrzekł posępnie Troke.

Nie wierzę! Uwolnij go zaraz!

Nie śmiem, proszę wielmożnej pani.

– Rozwiąż go! Słyszysz? Hailey! Rozwiąż go! Zaraz!

Zgiełk zwabił do celi kilku strażników.

Nie słyszycie, co mówię? wołała Sylwia. Nie wiecie, kim jestem? Uwolnijcie go zaraz!

Przywiedziona do ostateczności uklękła koło piekielnej maszyny i delikatnymi palcami szarpała sznury,

– Pokaleczyliście go, łajdacy! On umiera! Na pomoc! Zabiliście go!

Ale Rufus Dawes nie umierał. Zemdlał tylko, gdy zobaczył pochylonego nad sobą anioła miłosierdzia i usłyszał na jawie głos, którego brzmienie nawiedzało go od siedmiu lat tylko w marzeniach sennych. Troke i Hailey wywlekli ramę na środek celi i szybko poprzecinali więzy. Dawes stoczył się na podłogę niby kłoda i głową dotknął kolan klęczącej kobiety. Troke odciągnął go gwałtownym ruchem i kazał przynieść wody. Sylwia, drżąc z żalu i blada z gniewu, zwróciła się surowo do strażników:

– Jak długo to trwało?

– Godzinę – odrzekł z wahaniem Troke.

– Kłamstwo! – zabrzmiał od drzwi donośny głos kapelana. Dawes cierpiał przez dziewięć godzin.

476

Łotry! – krzyknęła Sylwia. Zapłacicie za to!

Komendant... Ach, słabo mi... ręką poszukała ściany.

Ja... Ja...

North patrzył na ukochaną z bolesnym wyrazem twarzy, ale nie ruszał się z miejsca.

Ja mdleję! – jęknęła Sylwia tonem nie pozbawionym urazy. Ja... Nie widzi pan, panie North? Proszę mnie

zabrać... Odprowadzić do domu...

Upadłaby na storturowane ciało, gdyby kapelan nie porwał jej w ramiona.

Kiedy Dawes ocknął się z omdlenia, w przenikającej oknem korytarza smudze słonecznego blasku zobaczył kobietę, która przyszła ratować jego ciało, podtrzymywana przez kapłana, który przyszedł ratować jego duszę. Dźwignął się na kolana i z ochryplym jękiem wyciągnął przed siebie ręce.

Może ruch ten dobył z mglistych wspomnień Sylwii podobną postać, co w zamierzchłej przeszłości wyciągała ręce do wystraszonego dziecka. W każdym razie żona komendanta wzdrygnęła się i odgarnawszy włosy z czoła przywarła wzrokiem do upiornej twarzy, jak gdyby chciała wyczytać tam rozwiązanie dręczącej ją od dzieciństwa zagadki. Zapewne odezwałaby się do więźnia, gdyby North (sądząc, że silne wzruszenie wywołało atak histeryczny) nie wyprowadził jej delikatnie na korytarz.

Dawes opuścił ręce i znów jęknął boleśnie. Zmroziło go przecucie klęski, gdy zobaczył kapelana, który wiódł ostrożnie Sylwię ze słonecznej jasności w posępny cień więziennej bramy. Na moment kapłan i kobieta zniknęli w mroku, a Dawesowi wydało się, że odmienny od wszystkich, szalony sługa Boga stał się sługą Szatana – że rozmyślnie niszczy i zaćmiewa promienny urok słodczy i niewinności. Trwało to chwilę. Potem North i pani Frere wyszli z więzienia pod wolne niebo i twarze ich zalśniły słonecznym złotem.

Pani jest chora, bliska omdlenia – powiedział North.

Dlaczego patrzy pani tak nieprzytomnie?

Co to być może? – szepnęła Sylwia odpowiadając własnym myślom. – Jaka więź łączy mnie z tym człowiekiem? Co on uczynił? Czym mnie przeraził? Co uleciało mi

477

z pamięci? Wciąż nawiedzają mnie wspomnienia i nikną, zanim zdążą szepnąć słowo. Ach, to więzienie!

Proszę spojrzeć dokoła. Stoimy w świetle słońca.

Kobieta przesunęła palcami po czole i westchnęła ciężko niby ktoś obudzony ze straszliwego koszmaru. Potem wzdrygnęła się i gwałtownym ruchem uwolniła dłoń z uścisku ręki kapelana, który gest ten zrozumiał właściwie i zaczerwienił się mocno.

Bardzo przepraszam powiedział ale łaskawa pani nie może odejść sama. Możemy rozstać się u furtki ogrodu.

Istotnie upadłaby po drodze, gdyby kapelan me pospieszył znowu z pomocą. Spoglądała nań z żalem i wyrzutem, a on był bliski wyznania, lecz szedł bez słowa z nisko pochyloną głową. W domu usadowił ją troskliwie w fotelu i powiedział półgłosem:

- Teraz już nic nie grozi, wolno mi więc pożegnać łaskawą panią.

Sylwia zalała się łzami.

Czemu pan mnie tak traktuje, parne North? zawołała. Co złego uczyniłam? Dlaczego pan rnnie nienawidzi?

Nienawidzę? Pani? szepnął kapłan drżącymi wargam. Ach, nie... Ja... Ja jestem daleki od nienawiści.

Mówię opryskliwie i zachowuję się nieuprzejmie, ale...

Najlepiej niech pani zapomni o wszystkim i... i o mnie.

Na zwirowanym podjeździe zachrząściły końskie kopyta i po chwili Maurycy wtargnął do pokoju. Wracając z inspekcji spotkał Troke'a i dowiedział się o popołudniowym zdarzeniu w karczerze. Ogarnął go gniew na samowolę żony i wstyd, że była świadkiem jego niecnej zemsty na człowieku,

którego pokrzywdził tak straszliwie. Wypity po drodze koniak wzmógł wrodzoną popędliwość, toteż kapitan ruszył galopem w stronę domu, zdecydowany pokazać „kto tu rządzi”. Zaślepiiony furją wpadł do pokoju i zobaczył tylko Sylwię.

Cóż ja, u diabła, słyszałem? krzyknął. Ty wtrącasz się do moich spraw? Ty darowujesz kary więźniom? Ty...

Kapitanie Frerc! powiedział głośno North chcąc, by świadomość, że ktoś obcy słucha, pohamowała gwałtownika. Komendant zaniemówił na moment, zdziwiony wizytą niespodziewanego gościa. Oto jeszcze jedna zniewaga, jeszcze jeden dowód lekceważenia jego najwyższej władzy! Ulegając pasji wysnuł pochopnie najgorsze wnioski. Pan tutaj? Czego pan szuka? Czego pan chce od mojej żony? To tak wyglądają wasze nieporozumienia, co? – Spojrzał gniewnie na Sylwię, a następnie zbliżył się zamaszystym krokiem do kapelana. Ty łgarzu, obłudniku, nicponiu! Gdybyś nie nosił czarnego surduta, ja bym ci...

Maurycy! krzyknęła oburzona i zawstydzona kobieta i łagodnie położyła dłoń na ramieniu męża. Ale Frere spojrział z odrazą na żonę i zaklął tak okropnie, że North omal nie rzucił się na grubianina. Przez chwilę dwaj mężczyźni spoglądali sobie w oczy. Potem kapitan odtrącił pobladłą kobietę i grożąc zemstą więźniom, dozorcóm, Sylwii i Normowi wybiegł z pokoju. Pani Frere zatoczyła się i ciężko oparła o ścianę, a kiedy North prowadził ją ostrożnie na fotel, przed domem zastukały znowu podkowy galopującego konia.

Boże! westchnęła Sylwia zasłaniając twarz drżącymi dłońmi. Muszę stąd wyjechać. Muszę! North chwycił ją w objęcia, jął pocieszać słowami bez związku. Oszołomiona ciosem, jaki otrzymała, przywarła do jego piersi drżąca i rozszlochana. Dwa razy próbował oderwać się od niej, czuł jednak, że Sylwia upadnie, gdy on rozluźni uścisk. Trzymał ją w ramionach – biedną, sponiewieraną, zalaną łzami nie mógł więc milczeć dłużej. Dał upust powodzi nagłej wymowy, powiedział wszystko o swojej miłości.

W imię czego masz cierpieć? wołał. Nie z woli Boga związałaś się z tym chamem, ty, której życie winno być pełne słońca. Porzuć go, opuść! Przecież on cię już odtrącił. Dręczyliśmy się obydwój. Wyjedźmy razem z tej przeklętej wyspy, z tej ścieżki między padołem ziemskim a piekłem. Ja dam ci szczęście!

Mój wyjazd już postanowiony szepnęła z wahaniami.

North zadrżał.

A zatem to zrządzenie losu, Sylwio. Wyjedziemy razem!

478

479

Spojrzelili sobie w oczy i nieszczęśliwa kobieta zrozumiała „nienawiść”, którą on udawał. Zbladła śmiertelnie i wyrwała lodowatą dłoń z jego dłoni, – Idź! szepnęła głucho. Jeżeli kochasz, idź zaraz, zostaw mnie samą. Nie próbuj się widzieć ani mówić ze mną, póki... milczeniem dopowiedziała to, czego nie ważyła się wyrzec: „póki stąd nie odpłyniemy”.

XIV

Przed odjazdem

Maurycy Frere wyładował pasję w gwałtownym wybuchu. Nie pojechał do więzienia, jak zrazu zamierzał, lecz skręcił na drogę wiodącą do Wodospadów. Żałował nie-

wczesnych podejrzeń. Przecież wizyta kapelana nie świadczyła o niczym. Sylwia lubiła tego człowieka, mogła więc wybaczyć mu nieuprzejme zachowanie po kilku stosownych słowach usprawiedliwienia. Robienie z igły wideł to czyn godny idioty. Albo sprawa Dawesa: Sylwia kazała go rozwiązać. Cóż w tym dziwnego? Kobiety mają na ogół wrażliwe serca. Parę gładkich, odpowiednio dobranych komunałów na temat konieczności stosowania kar, które wydają się zbyt surowe osobom nie znającym przewrotności i łotrostw zesłańców, posłużyłoby lepiej niż wrzaski i obelgi. Ponadto North odpływa na „Lady Franklin”, jeżeli więc nie ułagodzi się go delikatnie, spełni pogrózkę i złoży władzom formalną skargę. Ale na tym nie koniec. Ponowne torturowanie Dawesa dowiodłoby Troke'owi i jego bandzie, że małżonka komendanta działała samorzutnie i wbrew woli męża, a z tym zdradzać się nie wypada.

„Nie ma o co kruszyć kopii myślał Frere. Lepiej załagodzić taktownie całą sprawę. Za kilka dni Sylwia i North odpłyną na «Lady Franklin». Wtedy zostanę sam i dopilnuję, żeby dyscyplina nie doznała uszczerbku”.

W wyniku takich rozważań kapitan wrócił do więzienia i z całą powagą poinformował biednego Troke'a, że „dziwi się doprawdy jego barbarzyństwu”.

Szczęśliwym trafem – ciągnął pani Frere chciała się spotkać ze mną w więzieniu. Od niej właśnie usłyszałem, że ten biedaczysko, Dawes, leżał na kracie od siódmej rano. Melduję, że pan kapitan kazał go położyć – bąknął niepewnie dozorca.

Tak, ośle! Ale nie kazałem przecież, by leżał przez dziewięć godzin. Co ty sobie myślisz, łajdaku? Mogłeś go zabić.

Zdumiony Troke podrapał się w głowę.

Zdejmij mu zaraz kajdany i przenieś do separatki w starym karczerze – podjął komendant. Fakt, że ktoś jest mordercą, nie upoważnia cię do samowolnego wymierzania sprawiedliwości. Rozumiesz, durniu? Radzę, panie Troke, postępować z nieco większą rozwagą.

Wracając do domu Frere spostrzegł kapelana, który na jego widok skręcił z dziwnym pośpiechem w boczną ścieżkę. Hej! panie North! ryknął komendant. – Panie North! Proszę zaczekać!

Kapelan przystanął, a Maurycy zrównał się z nim szybko.

Zechce mnie pan wysłuchać, panie North – rozpoczął uprzejmie. – Potraktowałem dziś pana niegrzecznie... ehem... diabło niegrzecznie. Zachowałem się w sposób niegodny dżentelmena. Bardzo przepraszam.

Duchowny skłonił się w milczeniu i próbował wyminąć kapitana.

Musi mi pan wybaczyć ciągnął ten ostatni. – Z natury jestem gwałtowny, a dzisiaj wyprowadziło mnie z równowagi wtrącanie się żony w moje sprawy. Kobiety, widzi pan, nie rozumieją najprostszych rzeczy... ehem... nie znają tych łajdaków.

North skłonił się znów bez słowa.

Bodaj to licho! Wygląda pan okropnie. Upiornie, jak Boga kocham! Musiałem gadać w złości niestworzone brednie, których teraz nie pamiętam. Proszę zapomnieć o tym i nie gniewać się na mnie. Wie pan co, panie North? Chodźmy do mnie na kolację, hej?

Dożywotnie
zesłanie
481

Panie kapitanie - odrzekł North trochę zbyt uroczystym tonem. -- Nie mogę przestąpić progu pańskiego domu.

Frere wzruszył ramionami i bez powodzenia udając dobry humor wyciągnął rękę do kapelana.

No to uściśnijmy sobie dłonie, panie North powiedział. W podróży musi się pan przecież opiekować moją żoną. Lepiej dogadajmy się przed odjazdem, prawda? No, ręka, kapelanie.

Proszę zejść mi z drogi, panie kapitanie! zawołał purpurowy z gniewu North i nie bacząc na pojednawczo wyciągniętą rękę Frere'a odszedł pospiesznie.

-- Jak na klechę masz, bratku, trochę m dużo fumów

- mruknął do siebie komendant. Trudno! Nie chcesz, nie trzeba. Drugi raz nie będę prosił.

Próba przejednania żony nie powiodła się lepiej. Sylwia przyjęła Maurycego z lodowatym chłodem kobiety zranionej zbyt boleśnie, by ronić łzy.

-- Nie mówmy o tym - rzuciła szorstko. Wyjeżdżam do ojca. Jeżeli chcesz usprawiedliwić swoje zachowanie, tłumacz się wobec niego.

-- Posłuchaj, Sylwio nalegał. Zachowałem się jak bydlak. Zdaję sobie z tego sprawę. Wybacz mi, proszę.

- Nie mogę, więc niepotrzebnie prosisz odparła.

Dosyć ci wybaczałam przez te siedem lat.

Objął ją i usiłował pocałować, ale z odrazą wyśliznęła się z jego ramion. Zaklął wówczas, a że był z natury uparty i zawzięty, nie nalegał dłużej, lecz umilkł i sposepniał.

Niebawem nadszedł Blunt, by omówić jakieś sprawy dotyczące rychłej podróży, i dwaj panowie zaczęli popijać rum. Sylwia wróciła do swojego pokoju, gdzie zajęła się pakowaniem drobniaków toaletowych i iście po kobiecemu znalazła w krzątaninie lekarstwo na niemiłe myśli. North zobaczył ze swojego pokoju światło w oknie ukochanej, usiadł więc na krześle i zapatrzony w nikły odblask modlił się lub kłął na zmianę.

Tymczasem Rufus Dawes nieświadoma przyczyna całego zamieszania wypoczywał w nowej celi i dziwił się pomyślniej zmianie błogosławił piękne ręce, które mu ją przyniosły w upominku. Nie wątpił ani przez moment, że Sylwia przemówiła do okrutnego dręczyciela i wyjednała tak upragnioną ulgę.

Niech ją Bóg błogosławi - szepnął tkliwie. -

Krzywdziłem ją przez tyle lat. Przecież ona nie wiedziała wcale, jak cierpię. Poproszę kapelana, żeby jej podziękował ode mnie.

Z niecierpliwością czekał odwiedzin Northa, bo pragnął znaleźć potwierdzenie swoich przypuszczeń. Ale North nie pokazał się przez całe dwa dni. Do cel nie zaglądał nikt prócz strażników, a Rufus spoglądając na morze, co prawie obmywało więzienne mury, widział szkuner na kotwicy i myślał, że statek urąga mu wolnością tak piękną, lecz dla niego nieosiągalną.

Trzeciego dnia kapelan przyszedł - lękliwy jakiś, nie-spokojny. Strzelał oczyma na wszystkie strony i sprawiał takie wrażenie, jakby dręczyły go myśli, którym nie śmie dać wyrazu.

Chciałbym, panie North, żeby pan podziękował jej ode mnie - powiedział więzień.

Żeby podziękował?... Komu?

Pani Frere. Biedny North zarumienił się na dźwięk

tego nazwiska.

Nie zdaje mi się, byś winien był wdzięczność pani

Frere. Kajdany zdjęto ci z rozkazu komendanta.

Ale na pewno dzięki jej wstawiennictwu. Na pewno!

Myliłem się przez tyle lat. Byłem przekonany, że ona o mnie zapomniała. Czy zechce pan poprosić ją o przebaczenie?

O przebaczenie? — powtórzył North przypominając sobie scenę w celi nowego karczeru. — A cóż ona ma ci do przebaczenia?

-- Podejrzewałem ją -- objaśnił Rufus Dawes. — Myślałem, że jest niewdzięczna, podstępna, że zdradziła mnie i po ucieczce z więzienia wydała w ręce łotra, któremu przez wzgląd na nią uratowałem nędzne życie.

Co ty mówisz? — zdziwił się North. — Nigdy o tym nie opowiadałeś.

Nie opowiadałem. Przysięgłem sobie, że to będzie tylko moja tajemnica. Prawda była zbyt gorzka, by mówić o niej głośno.

Uratowałeś życie kapitanowi?

482

483

Aha. Jemu i jej. To ja zbudowałem czółno. Ja pielęgnowałem ją i nosiłem na rękach. Ja odejmowałem sobie od ust resztki chleba, żeby ją karmić.

Ale ona o tym nie wie wtrącił półgłosem kapelan. Mogła zapomnieć. Była przecież dzieckiem. Ale pan jej przypomni, prawda? Oczyszczi pan mnie w jej oczach, zanim umrę, uzyska pan dla mnie przebaczenie?

Kapelan nie mógł wytłumaczyć, czemu rozmowa z Sylwią jest niemożliwa, obiecał więc, że spełni prośbę więźnia.

-- Ona odpłynie na szkunerze powiedział nie wspominając o własnym odjeździe. Naturalnie zobaczę ją jeszcze i wszystko opowiem.

Niech pana Bóg wynagrodzi odrzekł biedny

Rufus. A teraz pomódlmy się razem.

Nieszczęśliwy kapelan nie miał wyboru. Musiał odmówić mechanicznie jedną z formułek przyjętych przez jego Kościół.

Dnia następnego oznajmił Dawesowi, że pani Frere wybaczyła mu winy. Było to kłamstwo, gdyż wcale nie widział Sylwii. Ale cóż znaczyło teraz dla wielbnego Northa jedno kłamstwo? Kręta ścieżka, na którą wkroczył, wymagała nieustannego mijania się z prawdą. Wszelako nie przychodziło mu to łatwo, a obłuda praktykowana z konieczności stanowiła nieznośną mękę. Uległ potężnej pasji i aby zdobyć upragnioną miłość, dobrowolnie zaparł się prawdy i honoru. Jednakże pozostawiony sam na sam z własnym grzechem, czuł do siebie nienawiść i pogardę. Pragnąc uspić wyrzuty sumienia i myśl otumanić, szukał ucieczki w brandy, a chociaż podniecenie i nieustanny wir obaw i nadziei zabezpieczały go przed ogłuszającymi skutkami alkoholu, nie był zdolny do chłodnych refleksji.

W pewnych stanach nerwowych jesteście odporni na działanie mocnego trunku i jakkolwiek pijemy dziesięć razy więcej niż opój, co bełkocąc niezrozumiale stacza się do rynsztoka, potrafimy chodzić prosto i pewnie, a mówić płynnie. Przy sztucznie wyostrejzonej wrażliwości ludzie bywają niekiedy dziwnie dowcipni, a bystrością i trafnością sądu olśniewają przyjaciół oraz niepokoją lekarzy.

North osiągnął właśnie taki stan umysłowego pijaństwa, czyli innymi słowy stanął na pograniczu obłędu.

Dni mijały szybko i przygotowania kapitana Blunta dobiegły końca. Na szkunerze były dwie kabiny rufowe.

Jedną z nich miała zająć pani Frere, drugą przeznaczono dla

wielebnego Northa. Frere nie wznowił przyjacielskich kroków, kapelan zaś milczał również. Pamiętał ostatnią rozmowę z Sylwią i postanowił unikać starannie ukochanej, dopóki nie wyruszą w podróż, która zwiąże ich losy na zawsze. Rano dziewiętnastego grudnia Blunt oznajmił, że jest gotów do rozwinięcia żagli, a po południu pasażerowie przybyli na „Lady Franklin”.

Rufus Dawes spoglądał z okienka celi na szkuner stojący na redzie za przybrzeżną rafą i nie zdziwił się wcale, gdy po welbocie komendanta wyruszyło z przystani drugie czółno z wielbnym Northern. Więzień sądził, iż kapelan chce pożegnać znajomych, i przez całe upalne popołudnie wyglądał powrotu łodzi, gdyż miał nadzieję, że pan North przywiezie mu dobre słowo od kobiety, której nie spodziewał się ujrzeć na tej ziemi.

Ale godziny mijały i najsłabszy nawet powiew nie marszczył gładkiej tafli morza. Dzień był szczególnie parny i gorący. Ciężkie, kłębiaste chmury wisiały nad widnokrzem, należało więc oczekiwać, że cisza się utrzyma, jeżeli burza nie odświeży powietrza. Mimo to Blunt – uparty iście po marynarSKU w kwestiach pogody – twierdził, że wiatr się zerwie, i zamierzał podnieść kotwicę po zmierzchu. Minęło skwarne popołudnie. Słońce zaszło szkarłatnie. Po części gęstnieć wieczorne mroki. Wówczas dopiero Rufus Dawes dostrzegł, że czółno oddzieliło się od kadłuba „Lady Franklin” i pomknęło w stronę przystani po oleistej wodzie. Kapelan wraca, a więc niebawem może przynieść nieszczęśliwemu skazańcowi słowa tak upragnionej otuchy.

Rufus Dawes rozprostował wolne wreszcie od kajdan nogi, położył się na pryczy i począł wspominać dawną przeszłość: budowę czółna, niespodziewaną wiadomość o odziedziczonej schedzie, swoją miłość i dobrowolną ofiarę. Ale North nie wracał po to, by przynieść nieszczęśliwemu skazańcowi słowa otuchy, jakkolwiek opuścił „Lady Franklin” pragnąc się z nim zobaczyć. Człowiek zboleły, dręczony wyrzutami sumienia i kłębowskiem sprzecznych uczuć postanowił okupić grzech kłamstwa i obłudy. Zamierzał wy-

484

485

znać Dawesowi, że przyniósł mu wiadomość pomyślną wprawdzie, lecz zmyśloną; że kocha żonę komendanta, wraz z nią odpływa na zawsze z wyspy Norfolk, „Nie jestem hipokrytą myślał, Postanowiłem zgrzeszyć, a więc zgrzeszę jawnie, a ten biedak, który uważa mnie za anioła, musi dowiedzieć się, jaki naprawdę jestem”. Chorej wyobraźni Northa odpowiadał pomysł zniszczenia swojej dobrej sławy w oczach człowieka, którego miłość potrafił zyskać. Był to logiczny wynik długotrwałych zaburzeń nerwowych, a kapelan przygotował wszystko z chytrością godną prawdziwego szaleńca. Pragnął zadać fatalny cios w ostatniej chwili – niespodziewanie odkryć karty i odejść, by nie pojawić się nigdy. Celowo zostawił w swoim pokoju jedną walizę, przedmiot, o którym łatwo zapomnieć przy spiesznym odjeździe i równie łatwo przypomnieć sobie na nowym miejscu zamieszkania, chociażby miejscem tym była kabina szkunera. Podczas rozmowy z Bluntem dowiedział się, że szyper „nie liczy na wiatr przed nastaniem nocy, chce jednak, by wszystko było zapięte na ostatni guzik”. Wobec tego dopiero po zachodzie słońca zorientował się, że musi wrócić na łódź, i wiadomość tę zakomunikował Bluntowi. Wilk morski klął, ale nie mógł przecież zatrzymać kapelana na pokładzie.

Mniej więcej za dwie godziny zacznie dmuchać po-

wiedział. Ma pan czas, ale jeżeli nie wróci pan w porę,

odpłynę bez pana, jak Bóg na niebie.
North zapewnił, że będzie punktualny, i dodał ze swobodą maskującą tajony niepokój:
Proszę na mnie nie czekać, kapitanie, gdybym nie zdążył na czas.

-- Na pańskim miejscu trzymałbym kapelana za słowo
– odezwał się Frere, który czekał uprzejmie, by pożegnać żonę w ostatniej chwili. – Do wiosła, chłopcy! krzyknął pod adresem załogi czółna. Czekaście pana Northa na przystani. Jeżeli spóźni się przez was, drogo zapłacicie za lenistwo!

Łódź pomknęła szparko, a wielebny North roześmiał się głośno na myśl, że on miałby się spóźnić i nie wyruszyć w taką podróż. Po chwili Frere spostrzegł ze zdziwieniem, że kapelan okrywa się peleryną, która leżała na rufie łodzi. Czy ten dureń chce się udusić w taki upał? mruknął do siebie.

Ale Northowi nie było za gorąco. Płonęły mu ręce i głowa, mimo to jednak szczykał z zimna zębami. Dlatego zapewne, gdy wylądował i zeszedł z oczu wioślarzom, wyjął z kieszeni płaską flaszkę rumu i pociągnął łakomie. Alkohol wzmógł jego odwagę, dał mu siłę niezbędną do przebycia próby, na którą sam się skazał. Pewnym krokiem zbliżył się do drzwi starego karceru i zdziwił się niemało, gdy Gimblett odmówił mu prawa wstępu.

Jak to? Przybywam prosto od komendanta – powiedział.

Ma pan rozkaz na piśmie?

Na piśmie? Nie mam.

Niestety nie mogę pana wpuścić.

Chcę zobaczyć się z więźniem Dawesem. Mam dla niego bardzo ważną wiadomość. Tylko w tym celu wróciłem na ład.

Bardzo mi przykro, ale to me ode mnie zależy.

Zmiłuj się, człowieku! – zawołał North przestraszony, że jego misja spełźnie na niczym – Za dwie godziny szkuner podniesie kotwicę. Spóźnię się przez ciebie, Gimblett. Wpuść mnie.

Słowo honoru, nie mogę. Pan wie równie dobrze jak ja, co znaczy rozkaz.

Kapelan był bliski rozpacz, nagle jednak olśniła go myśl, która w chwili zupełnej trzeźwości nigdy nie przyszłaby mu do głowy.

„Za wejście trzeba zapłacić!”

Spod peleryny wydobył flaszkę rumu.

Posłuchaj, Gimblett – przemówił pojednawczym tonem. Nie gadaj głupstw. Równie dobrze jak ty wiem, co znaczy rozkaz. Ale nie sądzisz chyba, że ja przyszedłem tutaj bez rozkazu. Masz! Łyknij trochę. No i otwórz drzwi na chwilę.

Dozorca uśmiechnął się życzliwie.

Myślę, że wszystko w porządku – bąknął – skoro wielmożny pan tak powiada.

Jedną ręką ujął cenną flaszkę, drugą otworzył usłużnie celę Dawesa.

486

487

North wszedł, a kiedy drzwi trzasnęły za nim, więzień zerwał się z pryczy i skoczył ku długo oczekiwanemu gościowi, jakby chciał go chwycić za gardło.

Rufus Dawes miał dziwny sen. W samotności i mroku począł wspominać przeszłość i zapełniać wyobraźnię jej obrazami. Zdawało mu się, że wrócił na bezludne wybrzeże, gdzie odnalazł urocze dziecko, które miał pokochać. Żył

znów uczciwie, pożytecznie i pracowicie. Ponownie budował czółno, zaopatrywał je w żywność i wodę, wyprowadzał na pełne morze. Jasna dziewczęca główka spoczywała na jego piersi. Łakomym uchem łowił życzliwe słowa szeptane przez świeże, różane usta. Frere był też przy nim i podobnie jak niegdyś obserwował go bacznie. Wokół rozciągało się szare morze – puste i nieprzyjemne, nie wróżące rychłego ratunku. Potem nastał raz jeszcze burzliwy deszczowy ranek. Na widnokregu pojawia się bryg amerykańskiej bandery. Zbliżyła się i niebawem majaczą nad relingiem brodate twarze zdumionej nagłym odkryciem załogi. Rufus Dawes widzi powtórnie, że Frere bierze chore dziecko w ramiona i wspina się na pokład; słyszy radosne okrzyki powitania, ściska dłonie wyciągnięte życzliwie do ocalonych rozbitków. Pokład jest pełen ludzi. Są tam wszyscy znajomi z dawnych czasów. Rufus widzi białe włosy i surowe rysy sir Ryszarda Devine'a; widzi stojącą obok niego swoją matkę, która płacze żałośnie i załamuje wychudłe ręce. Frere zbliżyła się do tej pary, a za nim John Rex, zesłaniec, toruje sobie łokciami drogę pośród tłumu więźniów i strażników. Niezawodnie wygrałby wyścig, gdyby trup zamordowanego lorda Bellasisa nie powstał i nie odpchnął go do tyłu. Jak głośno stukają młoty w stoczni! Czy to cieśle zbijają trumnę? Dla kogo? Chyba nie dla Sylwii? Nie! Na pewno nie dla niej! Powietrze staje się ciężkie, szkarłatne od płomieni, czarne od dymów. „Hydaspes” płonie! Sylwia tuli się do swojego męża. Chyba jej nie odtrącisz, ty łotrze? Spójrz, ukochana! Niebo połyskuje gwiazdami, nad kłębami dymu powietrze drga łagodnie. Nie bój się. Jeszcze krok, dwa... Ciągłe patrz mi w oczy... Na Boga! Ona się odwraca! Rufus czepia się jej sukni... Ale kto to? Duchowny w czarnym surducie chwytają i z uśmiechem szatańskiej uciechy ciągnie ku gorejącej otchłani, która otwiera się pod nim...

488

Rufus skacze do gardła niktzemnika.

Łotrze! Czy po to ocaliłem jej życie? -- krzyczy i budzi się szarpiąc potwora z koszmaru, a zarazem ideał wielu minionych tygodni...

Pan North... – szepce zdławionym głosem. Kapelan zaskoczony nieoczekiwaną napaścią, a jeszcze bardziej pro-ruczym oskarżeniem, zrzucił z ramion pelerynę i zadrżał stojąc przed człowiekiem, do którego przyszedł, by zyskać jego nienawiść i wzgardę.

Miałem sen – powiedział Rufus Dawes. -- Okropny sen. Przepraszam... To już minęło... Czy... czy przynosi mi pan słowa pociechy?... Nie?... Co panu dolega? Jest pan błądy, uginają się pod panem nogi... Czy to ja...

North zdobył się na ciężki wysiłek i odzyskał równowagę.

Nie, nic mi nie jest –? rzekł. – Muszę z tobą pomówić. Pilno mi, bo czas nagli. Poczytywałeś mnie za dobrego człowieka, uczciwego, czystego, godnego zaufania.

Widziałeś we mnie sługę Pana nad Pany, uświęconego błogosławieństwem Bożym. Wróciłem na ład, by wyznać ci prawdę. Jestem inny, niż sądzisz.

Więzień usiadł i spojrzał ze zdumieniem na swojego gościa. Był przekonany, iż wielebny North oszalał.

Powiedziałem, że kobieta, którą kochasz... bo kochasz ją przecież... śle ci przeze mnie przebaczenie. Skłamałem wówczas.

Jak to?

Nie rozmawiałem z nią o twoich wyznaniach. Nawet nie wymieniłem twojego nazwiska w jej obecności.

I ona odjedzie stąd nieświadoma prawdy! Ach, panie North, co pan uczynił?

Co uczyniłem? – • krzyknął North zraniony boleśnie

tonem gorzkiego wyrzutu w głosie więźnia. – Skazałem na ogień wieczny własną duszę! Nie zatrzymuj mnie dłużej. Moje zadanie spełnione. Zyskałem twoją nienawiść, a tego tylko chciałem i zasłużyłem na to. Muszę iść, bo inaczej się spóźnię.

Spóźni się pan? Dokąd?

Więzień spojrział na pelerynę, usłyszał przez otwarte okno głosy wioślarzy rozmawiających na pobliskiej przystani.

Przypomniał sobie pączek róży i niedawną scenę w celi

489

nowego karceru. Doznał nagłego olśnienia: zrozumiał wszystko.

Wielki Boże! zawołał. Wy odpływacie razem!

Muszę już iść, bo inaczej się spóźnię powtórzył

James North ochrypłym głosem.

Więzień stanął pomiędzy kapelanem a drzwiami.

Nie, szaleńcze! powiedział. Nie puszczę cię. Nie odjedziesz stąd. Nie pozwolę, abyś popełnił wielką zbrodnię i zgubił tę czystą młodą duszę, która... wybacz jej, dobry Boże... obdarowała cię miłością.

North zdumiony i przerażony niespodziewaną zmianą ról cofnął się i wsparł plecami o ścianę.

Nie odejdziesz stąd, powtarzam ciągnął więzień.

Nie narazisz na potępienie wieczne jej i siebie. Kochasz ją. Ja również! Ale moja miłość jest potężniejsza niż twoja i ona właśnie ocali tę kobietę.

– W imię Boga wszechmogącego... zaczął nieszczęsny kapłan i rękami zasłonił uszy.

Właśnie! W imię Boga, o którym zapomniałem

pośród męki. W imię Boga, którego ty mi przypomniałeś.

Posłuchaj! Bóg zesłał cię, abyś mnie ocalił z otchłani,

a teraz daje mi siły i żąda, abym z kolei ja ratował cię.

O panie North, mój mistrzu, przyjacielu, bracie! Nauczyłeś mnie wierzyć w miłosierdzie, bądź zatem miłosierny dla tej zbłąkanej niewiasty!

North spojrział na Rufusa udręczonym wzrokiem

Aleja ją kocham! Kocham, rozumiesz? Ty nie wiesz,

nie możesz wiedzieć, co to miłość.

Miłość! powtórzył skazaniec i twarz mu się roz-

promieniła. Miłość! To ty nie wiesz i nie możesz wiedzieć,

co to miłość. Jest ona ofiarą złożoną z siebie, śmiercią

wszystkich pragnień, które nie służą cudzemu dobru. Miłość

jest podobna Bogu. Ty kochasz? Nie, nie! Uczucia twoje są

samolubne i wiodą tylko do grzechu. Posłuchaj, przyjacielu.

Opowiem ci dzieje miłości takiej właśnie jak twoja. Wyjawię

ci również tajemnicę mojego życia i przyczynę, dla której tu

jestem. Podejdź bliżej.

Wielebny North zadrżał i bez protestu uległ potężnej sile

woli udręczonego więźnia.

490

XV Rewelacyjne

odkrycie

Dom przy Clarges Street został oddany we władanie

małżonki pana Ryszarda Devine'a, która zamieszkała tam

budząc zdziwienie i szczerą niechęć Smithersa oraz podległej

mu służby. Do załatwienia pozostało tylko formalne uznanie

synowej przez lady Devine. John Rex był pewien, że kiedy to

nastąpi, reszta pomysłowego planu ułoży się szczęśliwie

sama. Trafnie ocenił pozycję, jaką pod przybranym nazwis-

kiem zajmował w towarzystwie. Wiedział, że świat kelnerów

i lokajów oraz osób interesujących się kelnerskimi i lokajskimi

plotkami (rozmaitego rodzaju szlifibruków i bywalców

torów wyścigowych) przyjmie wiadomość o jego małżeń-

stwie zdaniaми w stylu: „Podobno Devine się z kimś ożenił”.

Wiedział, że prawdziwy „wielki świat” — w którym skandal byłby niewskazany z towarzyskiego punktu widzenia — nie dbał wcale o poczynania pana Ryszarda Devine'a. Gdyby rozeszła się wiadomość że Rekin Torów Wyścigowych poślubił swoją praczkę, „wielki świat” rzekłby tylko: „Tego należało się po nim spodziewać”. Prawdę mówiąc, Dandys żywił nadzieję, że lady Devine, zrażona jego wybrykiem, nie zechce mieć więcej do czynienia z wyrodnym synem i oszczędzi mu przykrości prezentowania małżonki.

Atoli lady Devine obrała inną drogę postępowania. Pogrożki i niewłaściwe posunięcia pana Ryszarda Devine'a skłoniły jego mniemaną matkę do uświadomienia sobie dojrzewającej od dawna niechęci i wzmogły wątpliwości, jakie chwilami budziła kwestia tożsamości człowieka, który podawał się za jej syna.

Zachowuje się po grubiańsku — rzekła pewnego dnia do brata. — Nie mogę tego zrozumieć.

Zachowuje się gorzej niż po grubiańsku, bo nikczemnie powiedział Francis Wade zerkając z ukosa na siostrę. A poza tym jest żonaty.

Żonaty?

Tak przynajmniej twierdzi podjął pan Francis sięgając po list podyktowany Rexowi przez Sarę. — Pisze, że 491

osoba, którą w ubiegłym roku poślubił za granicą, przyjechała do Anglii i prosi, żebyśmy ją przyjęli.

Lady Devine wstała z fotela i zaczęła przechadzać się nerwowo.

Ja jej nie przyjmę! rzuciła.

Hm... podjął jej niezdecydowany brat obracając na palcu włoski onyks. Byłoby to jawne wypowiedzenie wojny. Nie radziłbym.

Dama przystanęła nagle. Wyraz jej twarzy mówił, że ostatecznie powzięła trudną i od dawna rozważaną decyzję.

Ryszard nie sprzeda tego domu powiedziała twardo.

Ależ, droga Eleonoro zaoponował brat zdziwiony niezwykłą stanowczością siostry. Obawiam się, że nie zdołasz temu zapobiec.

Zdołam, jeżeli jest on tym, za kogo się podaje.

Jeżeli... Właśnie! I mnie przychodzi czasami na myśl...

Eleonoro! Czy to możliwe, że zostaliśmy oszukani?

Nie wiem. Boję się o tym myśleć. Ale... Posłuchaj, Frank! Ryszarda i mnie łączy tajemnica... haniebna tajemnica nic znana nikomu więcej. Jeżeli on jej nie zna, nie jest moim synem. Jeżeli zna...

Na Boga! Co wtedy?

Wtedy wie, że nie ma prawa do schedy po człowieku, który był moim mężem.

Przerażasz mnie, Eleonoro! Co to wszystko znaczy? —

Wyjawię ci, jeżeli zajdzie potrzeba odrzekła nieszczęśliwa dama. — Teraz nie mogę. Nie rozmawiałam o tym z nikim, nawet z nim. Rozumiesz, trudno przerwać milczenie blisko dwudziestu lat. Napisz do tego człowieka, Frank, że zanim przyjmę jego żonę, chcę pomówić z nim w cztery oczy. Nie! Niech nie przychodzi tutaj, póki nie dowiemy się prawdy. Ja go odwiedzę.

Po południu trzeciego maja 1846 roku pan Ryszard Devine siedział w salonie w towarzystwie żony i z pewnym niepokojem oczekiwał zapowiedzianej wizyty matki. Od paru dni był nieswój i rozstrojony, a spodziewana rozmowa budziła w nim lęk z przyczyn, których sam nie mógł pojąć.

„Czego ona chce? Czemu uparła się przyjechać tutaj? Co

ma do powiedzenia? – medytował smętnie. – Chyba nie zaczęła mnie podejrzewać po tylu latach? Nie! To niemożliwe!"

Próbował uspokajać się i pocieszać, daremnie jednak. Serce zabiło mu jak młotem, gdy dźwięk kołatki u drzwi frontowych oznajmił przybycie jego rzekomej matki. Diabelnie jestem roztrzęsiony, Saro – powiedział. Może łyknijemy po jednym dla kurażu?

Od pięciu lat zbyt często „łykasz", Dick –? (zdążyła już przywyknąć do nowego imienia męża). – Obawiam się, że twoje „roztrzęsienie" to właśnie skutek „łykania". Nie praw teraz kazań. Nie jestem w stosownym nastroju.

No, to dodaj sobie „kurażu". Dokładnie zapamiętałeś naszą historię?

Całkiem dokładnie.

Po brandy poczuł się lepiej i na powitanie matki wstał i. dobrze udaną pogodą i serdecznością.

Kochana mamo, pozwól, że ci przedstawię...

urwał, gdyż w twarzy lady Devine wyczytał potwierdzenie najczarniejszych przeczuć.

Życzyłam sobie mówić tylko z tobą – rzuciła dama mierzając Sarę chłodnym, wyniosłym spojrzeniem.

John Rex milczał, ale jego współpracowniczka dostrzegła niebezpieczeństwo i bez wahania pospieszyła z odsieczą.

Łaskawa pani, żona winna być mężowi najlepszym przyjacielem – rozpoczęła. – Pani syn poślubił mnie z własnej woli, więc nawet matka nie może mieć mu do powiedzenia nic, czego wysłuchanie nie byłoby moim prawem i obowiązkiem. Nie jestem podlotkiem, jak łaskawa pani widzi. Potrafię przyjąć spokojnie najgorszą nawet wiadomość.

Lady Devine przygryzła blade wargi. Łatwo zorientowała się, że nieznajoma jest osobą gminnego pochodzenia, zarazem jednak odczuła umysłową wyższość przeciwniczki.

Była przygotowana na najgorsze, lecz zaniepokoiło ją nagłe i otwarte podjęcie kroków nieprzyjacielskich, na co Sara liczyła. Ale sędziwa dama zrozumiała, że nie może tracić energii na walki podjazdowe, jeżeli chce sprostać zadaniu.

492

493

A zatem zwróciła się do Ryszarda nie zaszczycając go żony słowem ni spojrzeniem:

Mój brat będzie tu za pół godziny. Poprosiłam go

o tę zwłokę i przyjechałam sama, by pomówić z tobą po ufnie.

Cóż, możemy mówić poufnie odrzekł John Rex.

Słucham. Co mama pragnie mi powiedzieć?

Tylko tyle, że nie zgadzam się na realizację twoich planów. Nie rozsprzedasz schedy po sir Ryszardzie. Zabraniam ci,

Ty mi zabraniasz! zawołał Dandys tonem niewypowiedzianej ulgi. – Chcę zrobić tylko to, do czego upoważnia mnie ostatnia wola ojca.

Ostatnia wola twojego ojca nie upoważnia dę do niczego, a ty dobrze wiesz o tym powiedziała lady Devine niby aktorka powtarzająca sceniczną kwestię.

Sara spojrzała na nią z wyraźnym zaniepokojeniem.

Nonsens! odburknął zdziwiony nieco John Rex.

Zasięgałem porady prawników.

Czy pamiętasz, co zaszło w Hampstead dokładnie przed dziewiętnastoma laty?

W Hampstead... przed dziewiętnastoma laty... powtórzył Rex i pobladł nagle. Nie. Do czego mama

zmierza?

Nie przypominasz sobie? Zapomniałeś, dlaczego opuściłeś dom rodzinny, w którym się urodziłeś, a który chcesz teraz oddać za pieniądze w ręce obcych? John Rex oniemiał. Krew uderzyła mu do głowy. Od dawna wiedział, że pośród tajemnic człowieka ograbionego przezeń z nazwiska i majątku jest jedna dotąd nie rozwikłana: tajemnica ofiary, o której lady Devine napomknęła raz tylko. Odczuł, że tajemnica ta zostanie dziś ujawniona

1 zdruzgoce go swoim brzemieniem.

Sara pobladła również, bardziej z wściekłości niż strachu.

-- Proszę mówić wyraźnie, jeżeli pani ma coś do powiedzenia! -- zawołała. -- O co oskarża pani mojego męża?

— O szalbierstwo i oszustwo! Ten człowiek może być pani mężem, na pewno jednak nie jest moim synem.

Najgorsze minęło. Rex oprzytomniał zapłonął gniewem.

Poczuł, że przeciw klęsce buntuje się utajony w nim szatan.

Chyba oszalałaś, matko powiedział z udanym

spokojem. — Nie miałaś wątpliwości przez trzy lata, a teraz, kiedy upominam się o swoją własność, wymyślasz jakieś kłamstwa. Bacz, na co się wazysz. Jeżeli nawet nie jestem twoim synem, poznałaś mnie przecież i przyjęłaś. Moje prawa do spadku są udowodnione. Będę się bronił.

Broń się! zawołała patrząc mu prosto w oczy

i przyciskając do piersi obie dłonie. Walcz o swoje udowodnione prawa! Ach, przez tyle lat byłam ślepa i głucha! Podszrywaj się nadal pod mojego syna. Używaj nazwiska Ryszard Devine. Wolno ci to, a mnie wolno wyznać publicznie tajemnicę, dla której osłonięcia mój syn umarł. Słuchaj, oszuście! Ryszard Devine był moim nieprawym dzieckiem i nie miał żadnych podstaw do dziedziczenia majątku mojego męża.

Niepodobna było wątpić w prawdę tych słów. Żadna kobieta, nawet zagrożona utratą majątku i domu, nie potrafiłaby wymyślić tak potwornego kłamstwa. Ale Dandys zmusił się do udawania wątpliwości i zapytał głucho: Więc kto był ojcem Ryszarda Devine'a, jeżeli nie był nim pani mąż?

Mój kuzyn, Armigell Esme Wadę, lord Bellasis odrzekła lady Devine.

John Rex stracił nagle oddech. Drżącą ręką sięgnął do szyi i zerwał dławiający go fular. Doznał olśnienia, jakby błyskawica rozjaśniła mroczny widnokrąg jego przeszłości. Umysł wyczerpany rozpustą ostatnich lat nie potrafił znieść druzgocącego ciosu. Zachwiał się i upadłby niezawodnie, gdyby nie oparł się o stojącą w pobliżu serwantkę. Potem jego najbardziej sekretne myśli znalazły drogę do ust i jakby same ułożyły się w słowa:

Lord Bellasis... On był także moim ojcem i ja go zabiłem.

Zapadła grobowa cisza. Wreszcie lady Devine wyciągnęła ręce do mordercy, który sam się oskarżył, i szepnęła tonem błagania, grozy i przerażającego szacunku:

A co uczyniłeś z moim synem? Czy jego też zabiłeś? John Rex milczał. Chwiał tylko głową niby wół, który otrzymał ogłuszający cios w szlachtuzie. Pierwsza oprzytomniała Sara Purfoy. Zaskoczona i przerażona wynikła nagle

494

495

sytuacją, nic zapomniała o rychłym przybyciu pana Francisza Wadę'a i postanowiła wykorzystać ostatnią szansę ocalenia. Postąpiła kilka kroków i delikatnie dotknęła ramienia zbolalej matki.

Pani syn żyje.

Gdzie jest?

Powiem, jeżeli pozwoli nam pani wyjść z tego domu.

Tak, tak, pozwolę!

Przyrzeknie pani, że wyznanie mojego męża zachowa

pani w tajemnicy, póki nie opuścimy Anglii?

Przyrzeknę wszystko! Na miłość boską, kobieto,

mów, jeżeli masz serce w piersi.

Sara Purfoy spojrzała w twarz przeciwniczki, która

zadała jej klęskę, i odrzekła spokojnym, opanowanym

głosem:

Pani syn nazywa się teraz Rufus Dawes. Jest więźniem

na wyspie Norfolk, skazanym na dożywocie za morderstwo,

do którego mój mąż przyznał się przed chwilą. Ach!... Lady

Devine padła zemdlona.

XVI Piętnaście

godzin

Ocknij się, Jack! zawołała Sara podbiegając żywo

do Rexa. Rusz się, na miłość boską. Nie mamy chwili do

stracenia!

Dandys podniósł rękę do czoła ociężałym gestem. – Nie

mogę myśleć – szepnął. Jestem złamany, chory...

Mózg obumiera...

Spoglądając spod oka na rozciągniętą na podłodze

lady Devine kobieta chwyciła płaszcz, kapelusz i szal,

by w mgnieniu oka wyprowadzić męża z domu i usadować

w dorożce.

Lombard Street trzydzieści dziewięć. Co koń wysko-

czy! rzuciła.

Czy chcesz mnie wydać? szepnął Rex.

Ja ciebie? Nie. Ale policja zacznie nam deptać po

piętach, kiedy to baba odzyska mowę, a jej brat poradzi się

adwokata. Wiem, ile warte są jej obietnice. Mamy przed sobą

piętnaście godzin.

Nie zajdę daleko, Saro... Spać mi się chce i nie mogę

myśleć... Jestem chory...

Stłumiła przestrach, co jak kleszczami ścisnął jej serce,

i spróbowała dodać ducha współnikowi.

Za dużo piłeś ostatnio, John. Teraz siedź cicho i bądź

grzeczny. Muszę postarać się o pieniądze. Rozumiesz?

Szybko weszła do banku, gdzie nazwisko Carr zyskało jej

natychmiastową audiencję u dyrektora.

Bogata kobieta – powiedział jeden z biuralistów do

kolegi.

I do tego wdówka. W sam raz coś dla ciebie, Tom

roześmiał się drugi.

Niebawem z sanktuarium pryncypała wyłonił się trzeci

młody człowiek. Przyniósł czek na dwieście funtów opatrzo-

ny podpisem Sary Carr oraz polecił wystawić przekaz na

Sydney, upoważniający okaziciela do podjęcia trzech tysięcy

funtów minus prowizja. W kasie wymienił czek na banknoty

i z godnością wrócił do gabinetu.

Z banku pani Carr pojechała do agencji żeglugowej

Greena.

Można prosić o kabinę na pierwszym statku od-

pływającym do Sydney? -- powiedziała. Kancelista

spojrzał na nią zza kontuaru.

„Górnolotny” podnosi kotwicę za dwanaście dni.

Mamy jeszcze jedną wolną kabinę.

Muszę wyjechać zaraz: jutro, najdalej pojutrze – od-

rzekła.

Obawiam się, łaskawa pani, że to będzie niemożliwe

uśmiechnął się mężczyzna.

W tej chwili ktoś uchylił drzwi gabinetu i gestem wezwał

kancelistę. Sara chciała już wyjść i spróbować szczęścia

w innej agencji, lecz kancelista wrócił spiesznie. Mam już coś dla łaskawej pani – oznajmił. – Otrzymaliśmy przed chwilą telegram od pasażera, który z powodu choroby żony rezygnuje z kabiny pierwszej klasy na „Dido.”

496

'\1

Dożywotnie

zesłanie

497

Kiedy „Dido” odpływa?

Jutro rano. Czeka w Plymouth na pocztę. Jeżeli łaskawa pani wyjedzie z Londynu pociągiem o dziewiątej trzydzieści wieczór, zdąży pani w samą porę. Depeszę zaraz wyślemy.

Biorę tę kabinę. Ile się należy?

Sto trzydzieści funtów, łaskawa pani uśmiechnął się kancelista.

Sara podała mu banknoty.

Zechce pan przeliczyć powiedziała. My również spóźniliśmy się z powodu choroby. Mój mąż jest inwalidą. Tylko nam nikt nie zwrócił należności za przejazd. Trudno. Nie mieliśmy takiego szczęścia.

Jakie mam podać nazwiska? Pan i pani Carr? Dzięki kuźe łaskawej pani powiedział wręczając jej skrawek papieru.

To ja panu dziękuję odrzekła Sara z czarującym uśmiechem i co tchu wróciła do czekającej dorożki. John Rex siedział z posępną miną i ogryzał paznokcie. Pokazała mu zdobytą szczęśliwym trafem kartę przejazdową.

Jesteś uratowany szepnęła. Zanim pan Francis Wadę oprzytomnieje, a jego siostra odzyska mowę, my będziemy daleko.

Do Sydney? burknął gniewnie Dandys. Cemu, u diabła, nie do jakiegokolwiek innego portu?

Każdy byłby dla mnie lepszy. Dlaczego, u diabła, wybrałaś Sydney?

Dlatego odpowiedziała mierzając współnika lekceważącym wzrokiem -- że twój wielki plan spalił na panewce. Teraz moja kolej. Raz już uciekłeś i w każdym innym kraju możesz to zrobić powtórnie. Jesteś mordercą, łotrem i tchórzem, ale mnie odpowiadasz. Uratowałam cię i chcę zatrzymać dla siebie. Rozumiesz? Pojedziesz do Australii, gdzie zaaresztuje cię pierwszy lepszy dragon, jeżeli powiem, że jesteś zbiegłym więźniem. Gdybyś nie chciał mi towarzyszyć, wolno ci zostać. To twoja sprawa. Jestem bogata. Nie popełniłam żadnego przestępstwa. Nic mi nie grozi ze strony policji lub sądów. No, jak tam? Przyjmujesz moje warunki? W takim razie powiedz dorożkarzowi, żeby zawiózł nas do sklepu Silvera przy Cornhill. Muszę cię oporządzić na drogę.

Załatwiwszy sprawunki Sara Purfoy usadowiła smętnego i zrezygnowanego męża w zacisznej traktierni opodal dworca kolejowego. Nareszcie miała trochę czasu, mogła więc spytać o szczegóły zbrodni, do której Rex przyznał się dobrowolnie.

Jak i dlaczego zabiłeś lorda Bellasis? – rzekła spokojnie.

Wiedziałem od matki, że jestem jego naturalnym synem. Pewnego wieczora wracaliśmy razem konno z wodów w strzelaniu do gołębi. Powiedziałem mu o tym wtedy. Wyśmiał mnie, a ja go uderzyłem. Nie chciałem zabić, ale to był stary człowiek, słaby, no i w gniewie

uderzyłem za mocno. Kiedy spadł z konia, wydało mi się, że za drzewami mignęła sylwetka jeźdźca. Co mogłem zrobić? Nic. Więc uciekłem galopem. Tak zaczęła się moja zła passa, bo tej samej nocy policja capnęła mnie w domu tego przeklętego fałszerza.

Słyszałam także o rabunku – powiedziała Sara.

To nie była moja robota – obruszył się Rex – Ale, na miłość boską, przestańmy o tym gadać. Jestem chory...

W głowie mi się kręci... Chcę spać.

Uważnie. Powoli. Ostrożnie prosiła marynarzy pani Carr, gdy barka portowa stanęła u boku „Dido” w brzasku dnia mglistego i dżdżystego.

A co się tam stało? – zapytał oficer wachtowy.

Jednego dżentelmena tknął, zdaje się, paraliż – odpowiedział sternik barki.

Stało się tak istotnie. Nie było już obawy, że John Rex umknie od kobiety, którą raz porzucił. Szatański spryt Sary Purfoy ocalił i zdobył wreszcie kochankę, lecz po to tylko, by pani Carr mogła go pielęgnować aż do dnia, kiedy umrze nieświadom nawet jej troskliwości.

498

499

XVII

Odkupienie

Oto dzieje mojego życia. Niechaj powstrzymają cię, zawrócą ze złej drogi, a jej przyniosą ocalenie. Kara za grzech spada nie tylko na grzesznika. Czyn raz dokonany żyje w swych skutkach wiecznie. Tragedia hańby i zbrodni, której stosownym finałem ma stać się moja śmierć na szubienicy, jest rezultatem samolubnego grzechu bardzo podobnego twojemu.

W celi było już zupełnie ciemno. Rufus Dawes zakończył opowieść i w tejże chwili poczuł na swojej ręce drżącą dłoń kapelana.

Nieszczęśliwy bracie usłyszał szept sir Ryszard Devine nie zamordował twojego ojca. Lord Bellasis zginął z ręki człowieka, który razem z nim jechał konno. Człowiek ten uderzył raz i odjechał cwałem.

Boże miłosierny! Skąd pan wie o tym?

Widziałem morderstwo i... nie umykaj mi ręki, bracie... obrabowałem zwłoki.

Pan?

Za młodu byłem karciarzem. Twój ojciec ograł mnie, a ja chcąc spłacić dług sfalszowałem dwa weksle. Lord Bellasis, człowiek bezlitosny i pozbawiony skrupułów, zagroził, że wyda mnie w ręce sprawiedliwości. Jeżeli nie zwrócę mu podwójnej sumy. W owych latach fałszerstwo było jeszcze karane śmiercią, nie szczędziłem więc starań, by odkupić dowody mojego szaleństwa. Powiodło mi się.

W noc, o której mówiłeś, miałem spotkać lorda Bellasis w Hampstead, niedaleko jego domu. Umówiliśmy się, że on dostanie pieniądze, ja zaś fatalne weksle. Gdy zobaczyłem, że pada, nadjechałem galopem. Ale zamiast ścigać zabójcę, ukradłem z portfela ofiary dowody mojej winy. Przeląknęłam się. Nie wystąpiłem w procesie jako świadek. W przeciwnym razie mógłbym cię uratować. A widzisz, bracie, cofnąłeś jednak rękę...

Oby ci Bóg wybaczył powiedział Dawes i zapadła śmiertelna cisza.

500

Mów coś! zawołał kapelan. Mów, bo oszaleję!

Przeklnij mnie! Odsądź od czci i wiary! Opluj! Nie możesz myśleć o mnie gorzej, niż ja o sobie myślę.

Ale więzień ukrył twarz w dłoniach i nie odpowiadał, więc

North zerwał się z pryczy i chwiejnie, nieprzytomnie wybiegł /. celi.

Minęła prawie godzina od przybycia kapelana, gdy Gimblett zauważył z pijackim niedowierzaniem, że flaszka nie jest jeszcze zupełnie próżna. Zrazu miał zamiar wynagrodzić się za okazaną uprzejmość tylko jednym rykiem, bo wiedział, że ma słabą głowę. Ale długo czekał na wielebnego Northa, więc jeden łyk urósł do dwóch, dwa do trzech i w rezultacie przeszło połowa zawartości flaszki zwilżyła gardło dozorczy, wzmagając znacznie jego pragnienie. Biedak musiał rozstrzygnąć nie lada problem. Jeżeli odda nie dopita butelkę, sumienie będzie go dręczyć do końca życia. Jeżeli ją wykończy, upije się z pewnością, a pijaństwo na służbie to wykroczenie nie do darowania. Spojrzał w kierunku spowitego mrokiem morza i zobaczył światła szkunera wznoszące się i opadające na przemian. Komendant był tak daleko!

Lekki wiatr wywrócony przez Blunta zerwał się istotnie po zachodzie słońca i obecnie niósł głosy wioślarzy zajętych żywą rozmową na przystani, która leżała w dole, u stóp Gimbletta. Sternikiem łodzi był przecież jego przyjaciel, Jack Mannix. Wypada poczęstować Jacka rumem. Dozorca opuścił posterunek przy drzwiach karceru, wspiął się na niski murek i donośnie zawołał przyjaciela. Ale wiatr wzmógł się w tej chwili, a zatem Mannix nic nie usłyszał i najspokojniej w świecie wiódł dalej rozmowę. Gimblett był wystarczająco pijany, by wziąć do serca taki dowód lekceważenia, usadowił się więc pod murkiem i jednym haustem wypił resztę rumu. Skutek był natychmiastowy i gwałtowny. Biedak spróbował nieporadnie dźwignąć się na nogi, a gdy mu się to nie powiodło, spojrzął z wyrzutem na opróżnioną flaszkę i powąchał jej mocno pachnący otwór. Potem uśmiechnął się błogo, zaklął pod adresem „diabelskiej wyspy i wszystkiego, co się na niej znajduje” i zapadł w głęboką drzemkę.

Wyszedłszy z karceru North nie zwrócił uwagi na nieobecność strażnika, gdyż – mówiąc otwarcie – nie był w stanie

501
zauważyć niczego. Bez kapelusza i peleryny, z wytrzeszczonymi oczyma i zaciśniętymi pięściami wybiegł w noc niby szalencie, co na oślep ucieka przed koszmarną zjawą. Wyglądało na to, że zajęty jedynie własnymi myślami zmylił kierunek, bo zamiast skrócić ku morzu, ruszył znajomą drogą wiodącą do jego dawnego domu, który stał na wzgórzu.

-•?• On ma być zesłańcem! monologował. Nie!

Przecież to bohater, męczennik. Boże! Jak straszne ma za sobą życie. A jego miłość? Tak. To miłość prawdziwa, wspaniała. O Jamesie North! Mały jesteś w oczach Boga przy tym okrytym wzdargą wyrzutku społeczeństwa!

Kapelan mamrotał tak, wrywał szpakowate włosy, ścisnął skronie rękami, aż wreszcie znalazł się w swoim pokoju. Przy świetle księżyca, który właśnie wzeszedł, zobaczył na stole walizę i świecę. Przypomniał sobie czekające go zadanie. Zapalił świecę, chwycił walizę i ostatnim wejrzeniem objął izbę, co była świadkiem jego walk wewnętrznych. Stało się! W walkach tych zatriumfowały niskie skłonności. Los skazał na grzech wielebnego Northa. Należy teraz dokonać czynu, którego we właściwym czasie można było uniknąć. Oczywiście wyobraźni ujrzał kruchą łupinę szkunera oddalającego się z wolna od więziennych wybrzeży.

„Nie wolno zwlekać – pomyślał. Czekają mnie na przystani i pokładzie”.

Odwrócił się i zatrzymał na progu domu. Szybko gromadzące się brzemienne burzą chmury nie przesłoniły jeszcze

młodego księżycyca. Jego blask srebrzył morze, a w blasku tym łódź przemknęła szybko i bezszelestnie. Czyżby to było złudzenie wyobraźni? W czółnie na rufie zarysowała się sylwetka człowieka otulonego peleryną. W tym momencie silny poryw wiatru przesłonił księżyc strzępem czarnej chmury i łódź zniknęła, jakby ją pochłonęły mroki. North zadrżał, gdyż w nagłym olśnieniu pojął prawdę.

Przypomniał sobie własne słowa. Mówił przecież, iż swoją krwią pragnie odkupić Rufusa Dawesa. Czyżby sprawiedliwość Boża wydała wyrok i człowiekowi pokrzywdzonemu przez tchórza zesłała ocalenie, tchórza zaś ukarała pozostawieniem na przeklętej wyspie?

502

„Ten człowiek zasługuje na wolność myślał kapelan. Jest uczciwy, szlachetny, wierny danemu słowu; jakże różny ode mnie wstrętnego samoluba, przeniewierczego kapłana, opoja!”

Na stole stało lustro, w którym odbić się miało wkrótce pogodne oblicze świątobliwego Meekina. North spojrzął w nie i zobaczył własny wizerunek: twarz wynędzniała i błądą, nabiegłe krwią oczy. Zawładnął nim ostatni, tragiczny impuls wzbierającego szaleństwa – chęć ucieczki przed wstrętem do samego siebie. Sięgnął do stojącej opodal walizy i kurczowo zacisnął palce na przedmiocie, którego szukał. Tak będzie lepiej – szepnął zwracając się do konwul-syjnie wykrzywionej twarzy. – Znam cię, łajdaku! Czytałem księgę twego serca. Zapisywałem twoje ohydne sekrety. Jesteś wstrętną powłoką, co w swoim wnętrzu kryje grzech i zgniliznę. On będzie żył, ty zginiesz!

Gwałtownym ruchem ręki przewrócił świecę i ciemność pochłonęła wszystko.

Rufus Dawes, oszołomiony nagłą i niezwykłą wiadomością, zastygł w bezruchu. Potem jął nasłuchiwać. Spodziewał się, że lada chwila kapelan opuści karcer i drzwi zewnętrzne zamkną się z głuchym łoskotem. Nic jednak nie mąciło ciszy, a ponadto powietrze w celi stało się jakby czystsze i chłodniejsze. Dźwignął się z pryczy i ostrożnie wyjrzał na korytarz. Był przekonany, że zobaczy przed sobą surową twarz Gimbletta. Postąpił jeszcze krok i ogarnęło go zdziwienie. Drzwi karceru stały otworem i nikogo nie było widać w pobliżu. Co to znaczy?

Nagle przypomniał sobie Northa. Czy jego opowieść i prośby mogły zawrócić kapelana z obranej drogi?

Rozejrzał się dokoła. Chmury gęstniały, wiatr przybierał na sile. Za płycizną przybrzeżną słychać było pomruk rozjuszzonego oceanu. Jeżeli szkuner ma tej nocy podnieść kotwicę, niechże co rychlej wypłynie na głębokie wody. Ale gdzie się podział kapelan? Boże, spraw, niech zmarudzi tak długo, by statek wyszedł w morze bez niego!

Rufus Dawes postąpił kilka kroków i znów przystanął chcąc rozejrzeć się i posłuchać. Może North oszalał i zrobił coś strasznego, co odwołało z posterunku wiernego

503

Gimbletta? W tej chwili rozległo się chrapanie. Więzień nachylił się. Wiemy Gimblett leżał u jego stóp pijanuteńki!

Hop! Hop! huknął ktoś z niżej położonej przystani. Hej tam! Panie North! Czas na nas! Blask zapalanej świecy rozjaśnił nagle nie zasłonięte okno w stojącym na wzgórzu domku kapelana. Z przystani nie było tego widać. Serce zabiło żywiej w piersi Rufusa Dawesa. Ocknęła się uśpiona od dawna nadzieja. Co tchu wrócił do celi, chwycił kapelusze Northa, okrył się peleryną i po kilkunastu stopniach zbiegł na wybrzeże. Byłe księżyc nie pokazał się

teraz!

Prędeż, panie North, prędeż! powiedział Mannix zajęty jedynie myślą o chłości grożącej mu w przypadku spóźnienia.

Paskudna będzie noc. Niech pan okryje kolana kocem... Odbijaj! Żywo!

Łódź ruszyła szparko. Księżyc wyjrzał na chwilę zza chmur i oświetlił postać w pelerynie i szerokoskrzydłym kapeluszu. Ale załogę pochłaniało trudne zadanie omijania raf przy silnym wietrze, nikt więc nie patrzył na kapelana.

Jak Boga kocham, chłopcy, jesteśmy w samą porę! zawołał Mannix, gdy czołno stanęło u boku szkunera majaczącego ciemniejszą plamą wśród ciemności. Na pokład, panie North! Prędeż!

Wiatr wciąż przybierał na sile i stopniowo zmieniał kierunek. Zaczynał właśnie dać od brzegu. Blunt żałował po trosze swojego uporu, ale wolał nie zmieniać decyzji, pocieszał się więc, że najbezpieczniej będzie na pełnym morzu.

Niech piorun trzaśnie tego klechę! zaklął z całym przekonaniem. Nie możemy czekać na niego do rana. Hej, panie Johnson! Rwij kotwicę!

Kotwica wisiała w powietrzu między powierzchnią morza a relingiem, gdy Rufus Dawes przesadził burtę. Maurycy Frere stał już w swoim welbocie.

– Szczęśliwej podróży, North! krzyknął na pożegnanie. Do diaska! Omal się pan nie spóźnił. Bodaj go lichó – mruknał. – Jaki dumny! Nie chce ze mną gadać.

504

Kapelana nie chciał gadać z nikim. Szybko zszedł po trapie do saloniku na rufie.

Udało się wielebnemu księdzu pastorowi -- powiedział ktoś uprzejmie i otworzył drzwi kabiny.

Zbieg pomyślał, że udało mu się niewątpliwie, ale nic nie powiedział. Zamknął za sobą drzwi, zaryglował i nie troszcząc się o dalsze swoje losy ciężko padł na koję. Nad głową słyszał tupot nóg i miarowe: „Hej-ho! Hej-ho!” majtków obracających kabestan. Czuł zapach morza, a przez otwarty iluminator widział światło w oknie domku kapelana. Niebawem tupot ucichł i szkuner jał poruszać się szybko. Za iluminatorem przemknął welbot wracający na wyspę. Dało się odczuć gwałtowne szarpnięcie. Na „Lady Franklin” podniesiono żagle.

Rufus Dawes spojrział znowu na nikłe światełko w domu kapelana i próbował pomyśleć o przyszłości. Jak dotąd korzystał z mroku i zamieszania i z powodzeniem udawał Norma. Ale nie mogło to trwać długo. Gdyby nawet zachorował i do końca podróży nie opuścił kabiny, rozpoznano by go niezwłocznie w Hobarcie. Co robić? Mniejsza o to... Tak czy inaczej Rufus Dawes powtórnie ocalił Sylwię, gdyż North został na lądzie.

Biedny North! – westchnął półgłosem zbieg. W tej chwili światło w oknie kapelana zgasło i Rufus Dawes niemal bezwiednie ukląkł, by błagać Boga o wybaczenie i szczęście dla człowieka, który go odkupił.

Słyszał pan? Na brzegu wystrzelili z armaty – powiedział Partridge, zastępca szypra na „Lady Franklin”. A teraz palą czerwone światła. To znak, że więzień uciekł. Zatrzymamy się?

Właśnie! Zatrzymamy się! warknął Blunt i zaklął obrzydliwie. – Mamy coś innego do roboty. Spójrz pan tam, Partridge.

Nad północnym widnokregiem rysował się pas ciemnej

zieleni, a nieco wyżej rozdęta czarna chmura zmieniała kształt z sekundy na sekundę.

505

XVIII

Cyklon

Blunt rozpoznał zapowiedź grożącego niebezpieczeństwa i na serio pożałował lekkomyślnej decyzji. Nie wątpił już, że nadciąga huragan.

Złowróźbna cisza, która za dnia spowiła wyspę, ustąpiła pod wieczór miejsca rzczywej bryzie z północnego wschodu. Stojąc na redzie szkuner był osłonięty wzgórzami wyspy („port” miał wyjście zwrócone niemal dokładnie ku południowi), ale z morza niepodobna było zawrócić pod wiatr. Szyper „Lady Franklin” zdawał sobie z tego sprawę i pocieszał się myślą, że przed nadejściem burzy zdaży wypłynąć na szerokie wody.

Rufus Dawes -•?? wyczerpany niedawnymi silnymi wrażeniami zasnął szybko, ale po paru godzinach zbudziło go kołysanie się statku na innym halsie. Zeskoczył z koi i stanął w nieprzeniknionym mroku. Nad sobą słyszał spieszne kroki i donośne rozkazy wydawane ochrypłym głosem Blunta.

Zaniepokojony brakiem księżycowej poświaty na falach odnalazł omackiem iluminator i otworzył go szeroko. Jak wiadomo już, kabina przydzielona kapelanowi znajdowała się na rufie, a zatem zbieg miał przed sobą całą panoramę nadciągającej zawieruchy.

Widok ów czynił majestatyczne wrażenie. Zwisająca nad horyzontem czarna chmura przybrała znów kształt inny i z szerokiej kotary zmieniała się w arkadę. Pod tym wspaniałym portalem lśnił nikły fosforyczny odblask. Za nim dudnił głuchy i groźny pomruk, na który składał się łoskot grzmotów, szum odległej ulewy i zgiełk wiatru i morza, które toczyły zawziętą walkę. Szkuner mknął szybko z wiatrem. Światła wyspy Norfolk już znikły, wokół rozciągało się czarne pustkowie oceanu. Błądząc wzrokiem po złowrogim bezkresie Rufus Dawes zaobserwował szczególne zjawisko: błyskawice zdawały się wyrastać z morza. Od czasu do czasu olbrzymie czarne fale rozjaśniały się jaskrawym blaskiem i ku niebu tryskały słupy ogniste. Wiatr ustawicznie przybierał na sile, a smugi deszczu zarysowały się na tle świetlistego

506

łuku. Ciemnoruda poświata, niby łuna pożaru, plamiła czerń kopuły niebieskiej. Nagle rozległ się przerażający ryk gromu i na powierzchnię morza spłynęły istne kaskady deszczu.

Świetlisty łuk zniknął, jak gdyby niewidzialna dłoń zatrzaskała nagle gigantyczną ślepą latarkę. Olbrzymi wał wodny wyrósł nad równiną morską i ruszył z rykiem grozy, triumfu i niewysłowionej męki. Cyklon zaatakował zagubioną wśród bezmiarów wątłą łupinę - „Lady Franklin”.

Zbieg z wyspy Norfolk zrozumiał, że bunt żywiołów niesie mu ocalenie albo zgubę. W ciągu niewielu godzin rozstrzygną się jego losy, gdyż jedno z dwóch rozwiązań wydaje się nieuniknione. Albo szkuner zatonie, a wraz z nim pójdzie na dno człowiek ukryty w kabinie, albo „Lady Franklin” przetrwa huragan, kapelan zostanie wezwany na pokład i oszustwo wyjdzie na jaw.

Na moment zbieg uległ bezsilnej rozpaczycy i spojrzał na rozszalałe fale, jakby chciał w nich znaleźć kres trosk i cierpień. Ale dźwięk kobiecego głosu przywołał go do przytomności. Cicho odryglował drzwi kabiny i wyjrzał do salonu. W świetle rozchwianej niby wahadło lampy zobaczył Sylwię. Rozmawiała z jedną z kobiet odbywających podróż na „Lady Franklin” i od czasu do czasu spoglądała z wyrazem obawy i nadziei ku drzwiom, za którymi się

ukrywał. Niewątpliwie była przekonana, że w każdej chwili może zobaczyć Northa. Zbieg zarygłował drzwi i spiesznie przebrał się w strój duchownego. Postanowił poczekać i skoczyć na pomoc dopiero wówczas, gdy pomoc będzie konieczna. W ciemnościach Sylwia weźmie go za Northa, a on przeniesie ją do łodzi ratunkowej (jeżeli dojdzie do takiej ostateczności) i własną przyszłość odda w ręce przeznaczenia. Póki niebezpieczeństwo grozi, on musi być blisko ukochanej.

Z pokładu szkunera roztaczał się przerażający widok. Chmury zgęstniały i opadły. Świetlisty łuk zniknął. Wokół nieprzeniknione mroki zawodziły wichurą. Olbrzymie góry wodne wyrastały ze wszystkich stron i chwilami zdawać się mogło, że statek zapada w otchłań wiru niespotykanych rozmiarów. Potężne zrywy wiatru ryczały głosem grzmotów. Wyrwany z olinowania żagiel przemknął nad pokładem niby

507

arkusz białego papieru i zniknął po zawietrznej. Rtęć w barometrze wskazywała 29,50. Blunt, który nie rozstawał się z butelką rumu, kłął i wróżył, że nikt z obecnych na statku nie doczeka wschodu słońca. Później wybuchnął pijackim płaczem, gdy Partridge zgromił go mówiąc, że w niebezpieczeństwie lepiej modlić się niż bluźnić.

Przejęci grozą marynarze pełzali po pokładzie i kurczowo czepiali się wszystkiego, co uważali za pewną podporę. Nie można było zwrócić się twarzą w stronę wiatru, gdyż słone bryzgi siekły niby batem, a powieki zamykały się same. Załoga poczyniała chorować. Partridge zrozumiał, że nie warto wydawać rozkazów, bo nie usłyszy ich nawet najbliższy stojący marynarz. A zresztą szkuner stał prawie na sztorc dziobem ku górze, zerwane żagle trzepotały rozpaczliwie na połamanych masztach i rejach. Żadna moc ludzka nie mogła ocalić „Lady Franklin”.

Około piątej nad ranem szkwał osiągnął szczytową prędkość. Niebo ziało deszczem i błyskawicami: deszczem, co rozpraszał się mgłą, zanim zdołał dotknąć powierzchni morza: błyskawicami, które niknęły za urwiskami wodnymi, zanim zdały rozjaśnić ciemności. Szkuner pochylił się na burtę i nie przewracał się jedynie dlatego, że podtrzymywała go moc wichury -? - wichury, która siekła morze, ścinała grzebienie fal i zamieniała je w biały, pianisty obłok unoszący się na wysokości bocianiego gniazda. Każde uderzenie wiatru wydawało się szczytowe, najsilniejsze, ale po krótkiej, pełnej napięcia przerwie następował z kolei cios jeszcze potężniejszy. Barometr wskazywał 27,82. Szkuner dryfował. Był już właściwie wrakiem i w każdej chwili mógł zapaść w głębinę. Niebawem rtęć w barometrze opadła do 27,62. Od czasu do czasu błyskawice ukazywały marynarzom wykrzywione z przerażenia twarze towarzyszy. Na ogół jednak opętańcza walka żywiołów toczyła się w mrokach tak gęstych, że prawie dotykalnych.

Nagle rtęć skoczyła do 29,90. Szkwał zawył okropnie po raz ostatni i nastąpiła cisza. Nieszczęsny szkuner znalazł się w oku cyklonu. Partridge spojrział z ukosa na pijanego Blunta, który przywiązany do koła sterowego zwiślał bezwładnie niby szmata. Odczuł dziwny, upajający dreszcz

508

radości. Jeżeli „Lady Franklin” przetrwa szczęśliwie nawałnicę, pijany szyper dostanie kopniaka, a miejsce jego zajmie on waleczny Partridge.

Szkuner zdany był teraz na łaskę wyrastających w górę fal. Zguba groziła im co chwila. Nagle przechylił się mocno, bo wiatr uderzył z triumfalnym wyciem od innej strony. Jak

zazwyczaj na tych wodach, cyklon powracał własnym śladem i atakował z północnego zachodu.

Masy wody runęły na pokład, zalały trap i wyłamały z zawiasów drzwi salonu. Sylwia znalazła się nagle pośrodku spienionego kłębowiska. Zawołała o pomoc, niestety jednak nawet samanie usłyszała swego głosu. Kurczowo uczepliła się podstawy masztu i spoglądając na drzwi kabiny Northa jęła szeptać błagalną modlitwę o ratunek.

Drzwi otwarły się gwałtownie i do kabiny wbiegła postać w czerni. Pani Frere podniosła wzrok i przy świetle dogasającej lampy poznała twarz, której nie spodziewała się wcale. Czarne oczy spojrzały na nią z wyrazem nieskończonej miłości i bezbrzeżnego żalu. Ociekające wodą ramiona uniosły Sylwię i przygarnęły do szerokiej piersi jak niegdyś w spowitych mgłą zapomnienia, odległych dniach dzieciństwa.

W momencie śmiertelnej grozy pękła nieprzenikniona od lat zasłona. Cudowne pojawienie się Rufusa Dawesa wyjaśniło zagadkę kajdaniarza przykutego do dyszla furgonu w Port Arthur, zagadkę więźnia torturowanego w karczerze na wyspie Norfolk. Sylwia przypomniała sobie okropne przejścia w Macquarie Harbour. Przypomniała sobie ów wieczór, kiedy budowa czółna dobiegła końca. Tak! Podniosły ją w górę stalowe ramiona, ona zaś przyrzekła solennie, że gdy wróci do ojca, poprosi o łaskę dla zbiegłego więźnia, któremu zawdzięcza ocalenie. Z chwilą odzyskania pamięci pojęła hańbę i mękę długich lat Rufusa Dawesa. Zrozumiała, że Maurycy Frere oszukał ją i niegodnym podstępem zdobył jej pierwszą, czystą miłość. Wszelako nie zadała sobie pytania, jakim sposobem skazaniec umknął z przeklętej wyspy. Dlaczego zajął miejsce Jamesa Northa? Myślała tylko o jego straszliwej krzywdzie i o zdumiewającej sile ducha, i wiernej miłości. Pod koniec zmarnowanego życia odczuła, że Rufus

509

Dawes przybył, aby ocalić ją od grzechu rozpacz, jak niegdyś ocalił ją od śmierci głodowej na bezludnym wybrzeżu.

W odzyskanej pamięci Sylwii odległa przeszłość połączyła się z chwilą obecną, a usta jej powtórzyły bezwiednie trzy słowa wypisane niegdyś na piasku;

DOBRY PAN DAWES

Epilog

Po nocnej burzy słońce wzeszło jasno, musnęło promieniami powierzchnię morza opodal miejsca, gdzie szkuner poszedł na dno, i odsłoniło ciemny przedmiot unoszony falami.

Był to top głównego masztu „Lady Franklin”, a w resztkach olinowania tkwiły dwa zaplątane ciała – mężczyzny i kobiety. Mężczyzna obejmował ramionami zwłoki kobiety, której głowa spoczywała na jego piersi.

W oddali wyspa Norfolk rysowała się jak ciemna kreska na widnokręgu. Burza minęła. Niebo było błękitne, powietrze balsamiczne, morze gładkie i roziskrzone.

Tragiczny wrak ze swym ładunkiem dryfował z wolna ku bezkresom oceanu.

Spi;; rzeczy

Prolog ,

Księga pierwsza

Rok 1827 Morze

K s i ę g a d r u g a . . . , . . .

Rok 1833 Macquarie Harbour

Księga trzecia

Rok 1838 Port Arihur

. . . 17

92

, 199

Księga czwarta . . . ,

Rok 1846 Wyspa Norfolk

Epilog .

.... 392

. .511

Marcus Clarke

otwie

esłanie

»-""l

Marc

us Ch

tego*

t»jembicc matki PomMwftii

W rauttade asostaje skażony na i

I ? i i !? I

Marcus Clarke

! . 'rodził się w Londynie w roku 1846. Jego ojciec był prawnikiem, matka zinarła, kiedy Marcus miał zaledwie rok. Staranne wykształcenie odebrał w prywatnej szkole, gdzie oddawał się głównie studiowaniu literatury.

Po śmierci ojca jego rodzina popadła w kłopoty finansowe, toteż zdecydował się pójść za radą wuja i w wieku 8 lat wyemigrował do Australii. Początkowo pracował w banku, ale szybko się przekonał, że do tego się nie nadaje. Zajął się więc dziennikarstwem – z powodzeniem.

Współpracował z wieloma pismami, przez trzy miesiące wydawał nawet własny tygodnik satyryczny „Humbug”. Równocześnie pisał sztuki teatralne, opowiadania, powieści, wiersze. Zmarł w roku 1881.

Powieść Dożywotnie zesłanie, opublikowana w roku 1874, powstała w oparciu o materiały sądowe. To wstrząsający obraz życia w angielskich koloniach karnych w Australii w XIX wieku, najpoczytniejsza książka Clarke'a należąca dziś do kanonu literatury australijskiej.

»Książmca«

kieszonkowa

Ma

rcu

s

Cla

rke

Doż

y

w

o

t

n

ie

z

e

sł

a

n

ie

Przełożyli z angielskiego

Wanda i Tadeusz Dehnelowie

Wydawnictwo,, Książnica"

Tytuł oryginalny

For the Term <>/ II Li Nalurai Life

Koncepcja graficzna serii

Marek J. Piwko

Logotyp serii i projekt okładki

Mariusz Banackowicz

Ilustracja na okładce

Copyright © Hulton Archive/FPM

For the Polish edition
Copyright © by Wydawnictwo „Książmctt”, Katowice 1W1, 201)4
ISBN 83-7132-672-6
Wydawnictwo „Książiica'1 sp. z o.o.
ul. Konckiego 5/223
40-040 Katowice
tel. (032) 757-22-16, 25444-19
faks (032) 757-22-17
Sklep internetowy: <http://www.ksiamica.com.pl>
e-mail: ksiazki@ksiamica.coni.pl
Wydanie trzecie, pierwsze w lej edycji
Katowice 2004
Sktad i łamanie:
Z.U. „Studio P” Katowice
Druk i oprawa:
WZDZ Drukarnia LEGA, Opole

Prolog

Na wschodnim, wysokim krańcu równiny Hampstead Heath, między Finchley Road i Chestnut Avenue, rozciągał się przestronny park, w którym stał duży pałac z czerwonej cegły, zdobny wykuszowymi oknami, a zwany North End House. Wieczorem 3 maja 1827 roku w parku tym rozgrywała się tragiczna scena rodzinna. Uczestniczyło w niej troje aktorów. Pierwszy z nich – stary mężczyzna --• miał twarz zoraną zmarszczkami i siwe włosy, co świadczyło, iż liczy najmniej sześćdziesiąt lat. Stał wyprostowany, zwrócony tyłem do parkowego muru, a w podniesionej ręce trzymał ciężką hebanową laskę, którą podpierał się zazwyczaj. Przed sobą miał dwudziestoparoletniego młodzieńca, niezwykle wysokiego i atletycznie zbudowanego, ubranego jak do podróży morskiej. Człowiek ten tulił w objęciach damę w średnim wieku, jak gdyby pragnął bronić ją i osłaniać. Twarz jego wyrażała grozę i zdumienie, a ciałem smukłej kobiety wstrząsały spazmatyczne łkania. Byk' do sir Ryszard Devine, jego żona i jedyny syn Ryszard, który tegoż dnia rano wrócił z zamorskiej podróży. A więc, pani małżonko – mówił sir Ryszard rozdygotanym głosem, jakim w chwilach krytycznych posługują się ludzie nawet najbardziej opanowani – przez lat dwadzieścia byłaś uosobieniem kłamstwa! Przez lat dwadzieścia oszukiwałaś mnie! Przez lat dwadzieścia śmiałaś się ze mnie niby ze ślepego durnia, wespół z łajdakiem, którego nazwisko jest synonimem wszystkiego co nieczne i rozpustne!